

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



MARK TWAIN

**POD
GOŁYM NIEBEM**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

CZEŚĆ PIERWSZA

I. WYJAZD DO NEWADY

Mój brat otrzymał nominację na sekretarza Terytorium Newady; był to urząd świetny, skupiający w sobie obowiązki i honory skarbnika, kontrolera generalnego, sekretarza stanowego i urzędującego gubernatora w nieobecności tego ostatniego. Pensja wynosząca tysiąc osiemset dolarów rocznie i tytuł „pana sekretarza” przydawały temu szacownemu stanowisku wspaniałości imponującej i oszołamiającej. Byłem młody i głupi, więc zazdrościłem bratu. Zazdrościłem mu pozycji i finansowego splendoru, a zwłaszcza zazdrościłem mu podróży, długiej i niezwyklej, jaka go czekała, i nowego, zdumiewającego świata, który miał poznać. Będzie podróżował! Nie wyjeżdżałem nigdy z rodzinnego miasta i samo słowo „podróż” posiadało dla mnie urzekający czar. Niebawem brat mój znajdzie się w odległości setek mil od domu, na wielkich preriach i równinach, wśród gór Dalekiego Zachodu, zobaczy bawoły i Indian, psy stepowe i antylopy, będzie miał mnóstwo najrozmaitszych przygód i kto wie, czy go nie powieszają albo nie oskalpują, a w ogóle będzie się bawił świetnie, będzie pisał o wszystkim do domu i zostanie bohaterem. Ponadto zobaczy kopalnie złota i srebra i któregoś dnia po południu, po skończonej pracy, pójdzie sobie na przechadzkę i znajdzie gdzieś na stoku wzgórza kilka szufel błyszczących bryłek złota i srebra. Z czasem stanie się bogaty, wróci do domu morzem i będzie tak obojętnie rozprawiał o San Francisco, zatoce i Pacyfiku, jak gdyby zobaczenie tych cudów było bagatelką.

Co cierpiałem rozmyślając nad jego szczęściem, tego żadne pióro nie zdoła opisać. Gdy więc ofiarowałem mi z zimnym spokojem bajeczne stanowisko prywatnego sekretarza, zdawało mi się, że ziemia i niebo zniknęły, a firmament zwinął się na kształt rulonu sekretarskich papierów. Nie mogłem pragnąć niczego więcej. Ukontentowanie moje było zupełne. W dwie godziny później byłem gotowy do drogi. Z pakowaniem niewiele miałem zachodu, ponieważ zamierzaliśmy jechać pocztą od granicy Missouri do Newady, a pasażerom wolno było zabierać tylko znikome ilości bagażu. W tych dobrych dawnych czasach, przed dziesięciu czy dwunastu laty, nie istniała jeszcze kolej żelazna docierająca do wybrzeży Pacyfiku – nie położono jeszcze ani jednego jedyne kawałka szyny.

Planowałem, że zostanę w Newadzie trzy miesiące; nie miałem zamiaru siedzieć tam dłużej. Chciałem zobaczyć wszystko, co osobliwe i nowe, a potem wrócić prędko do moich spraw w rodzinnym mieście. Czy mogłem przypuszczać, że doczekam się końca tej trzymiesięcznej wycieczki dopiero po upływie sześciu czy siedmiu niezwykle długich lat?

Całą noc śnili mi się Indianie, prerie i sztaby srebra; nazajutrz, w oznaczonym czasie, wsiedliśmy w porcie St. Louis na pokład parowca zdążającego w górę rzeki Missouri.

Płynęliśmy z St. Louis do St. Joseph dni sześć, a była to podróż tak nudna, tak ospała i tak monotonna, że pozostawiłaby mi równie mało wspomnień, gdyby trwała sześć minut zamiast tyluż dni. Jedyne, co mi po niej zostało w pamięci, to zatarte, pogmatwane obrazy groźnie wyglądającej karpiny, po której z rozmysłem przejeżdżaliśmy jedną lub drugą śrubą; raf, w które stukaliśmy raz po raz dziobem, aby w końcu wycofać się i szukać przejścia w dostępnym miejscu; i wreszcie mielizn, na których siadaliśmy niekiedy jak kury na grzędzie i odpoczywaliśmy, aby się z nich zwlec po jakimś czasie. Właściwie statek mógł z równym powodzeniem przebyć drogę do St. Joseph lądem, bo i tak szedł cały niemal czas wdrapując się cierpliwie i pracowicie na rafy i przeskakując karpiny. Kapitan powiedział, że jego statek jest „byczy” i że przydałaby mu się tylko większa śruba i silniejsza para. Ja pomyślałem, że statkowi przydałyby się szczudła, ale byłem na tyle mądry, że tego nie powiedziałem.

II. OPUSZCZAMY TEREN STANÓW

Gdy pewnego szczęśliwego wieczora statek nasz przybił do przystani w St. Joseph, skierowaliśmy pierwsze kroki do biura pocztowego, gdzie przyjęto od nas opłatę po dolarów sto pięćdziesiąt za bilety na dylizans do Carson City w Newadzie.

Nazajutrz wczesnym rankiem przelknęliśmy śniadanie i udaliśmy się śpiesznie na miejsce odjazdu. Tu natrafiliśmy na przeszkodę, którejśmy lekkomyślnie nie przewidzieli – mianowicie, że nie można tak spakować rzeczy w ciężki kufer podróżny, żeby waga nie przekraczała dozwolonych dwudziestu pięciu funtów, ponieważ sam kufer waży więcej. A wolno nam było wziąć tylko po dwadzieścia pięć funtów bagażu. Wobec tego musieliśmy otworzyć kufry i dokonać szybkiego wyboru. Włożyliśmy nasz dozwolony prawem bagaż do jednej walizy, a kufry kazaliśmy odesłać do St. Louis. Smutne było to rozstanie, bo nie mieliśmy już teraz czarnych żakietów i białych rękawiczek, w których moglibyśmy wystąpić na przyjęciu u Indian Pawnee w Górach Skalistych, a także zostaliśmy pozbawieni cylindrów, lakierowanych trzewików i w ogóle wszystkiego, co umiła życie i pozwala mu płynąć spokojnym torem. Ograniczyliśmy się do potrzeb stanu wojennego. Włożyliśmy na siebie grube ubrania z szorstkiej wełny, wełniane wojskowe koszule i toporne trzewiki; do walizy zaś wcisnęliśmy po kilka białych koszul, nieco bielizny i drobiazgów. Mój brat sekretarz wziął jeszcze cztery funty dzienników ustaw i sześć funtów słownika encyklopedycznego, nie wiedzieliśmy bowiem, w naszej świętej naiwności, że księgi te można zamówić jednego dnia w San Francisco i nazajutrz otrzymać w Carson City. Byłem uzbrojony po zęby w żaloszny, mały siedmiostrzałowy pistolet systemu Smith and Wesson, który miał kule wielkości pigułek homeopatycznych; przy dozowaniu dla człowieka dorosłego trzeba było użyć wszystkich siedmiu kul. Ale byłem zachwycony. Uważałem, że jest to broń bardzo niebezpieczna. Pistolet miał tylko jedną wadę: nie można było z niego trafić do celu. Jeden z naszych konduktorów wprawiał się na krowie i dopóki krowa stała nieruchomo, nic jej nie groziło; ale zaledwie zaczęła się ruszać, on zaś obrał sobie inny cel, spotkało biedaczkę nieszczęście. Pan sekretarz miał niewielkiego colta, nosił go na pasku dla obrony przed Indianami i z ostrożności nie zasuwał spustu.

Pan George Bemis był postacią złowieszczą i przerażającą. Przydzielono go nam jako towarzysza podróży. Widzieliśmy go pierwszy raz w życiu. Nosił przy pasku stary oryginalny rewolwer firmy Allen, taki, jaki ludzie nieuprzejmi nazywają „pieprzniczką”. Wystarczyło odciągnąć cyngiel, a kurek spadał i rozlegał się strzał. W miarę naciskania cyngla kurek zaczynał się podnosić, a bębenek obracać; po sekundzie kurek spadał i kula z hukiem opuszczała lufę. Wymierzyć do celu nad obracającą się lufą i trafić – ach, takiego czynu nikt nie dokonał rewolwerem firmy Allen! Jednakże broń George'a była niezawodna, bo jak potem powiedział jeden z naszych woźniców: „Jeżeli ta pukawka nie trafi tego, do czego strzelała, to z pewnością przedziurawi co innego”. Tak się też stało. Miała trafić w dwójkę treflową przybitą do drzewa, a przedziurawiła muła stojącego w odległości trzydziestu jardów w lewo. Bemis wcale nie pragnął tego muła, ale przyszedł właściciel z dubeltówką w rękę i namówił go na kupno. Tak, trzeba przyznać, że to była wesolutka broń. Niekiedy wszystkie sześć luf naraz zaczynało pluć kulami i człowiek tylko z tyłu mógł się czuć bezpieczny.

Wzięliśmy kilka koców dla ochrony przed przymrozkami w górach. Jeśli idzie o przedmioty zbytku, byliśmy bardzo skromni; zabraliśmy tylko kilka fajek i pięć funtów tytoniu. Mieliśmy dwie duże bańki do przechowywania wody między stacjami pocztowymi na Wielkiej Równinie, a także woreczek po śrucie pełen srebrnych monet na opłacanie śniadań i kolacji.

O ósmej wszystko było gotowe i znaleźliśmy się po drugiej stronie rzeki. Wskoczyliśmy do powozu, woźnica trzasnął z bata i ruszyliśmy zostawiając za sobą Stany. Był piękny letni poranek, okolica skrzyła się w słońcu. Poranek był ponadto świeży i rześki i przenikał nas upajającą świadomością oderwania się od wszelkich trosk i odpowiedzialności; uczucie to sprawiło, żeśmy niemal żałowali lat spędzonych przy ciężkiej pracy w dusznym i gorącym mieście. Pędziliśmy przez Kansas i po dwóch godzinach znajdowaliśmy się już dość daleko w obrębie Wielkiej Równiny. Teren był tutaj falisty – jak okiem sięgnąć, linia za linią regularnych wzniesień i spadków – jak zmarszczona po burzy majestatyczna tafla morza. I wszędzie dokoła widać było pola zbóż znaczące kwadratami ciemniejszej zieleni ów bezkresny obszar porośniętego trawą gruntu. Ale niebawem to morze na lądzie miało stracić swoją falistość i zmienić się na przestrzeni siedmiuset mil w płaską i równą podłogę!

Nasz dyliżans był ogromnym, kołyszącym się i bujającym, niezwykle okazałym pojazdem – wspaniała kolebka na kołach. Ciągnęło go sześć dorodnych koni, a obok woźnicy siedział konduktor, prawowity kapitan załogi, gdyż do niego należała opieka nad pocztą, bagażami, przesyłkami ekspresowymi i pasażerami. My trzej byliśmy jedynymi pasażerami w tej podróży. Siedzieliśmy na tylnym siedzeniu, wewnątrz. Niemal całą pozostałą przestrzeń wypełniały worki z pocztą, wieźliśmy bowiem przesyłki z trzech ostatnich dni. Przed nami, dotykając niemal naszych kolan, wyrastała aż pod sufit prostopadła ściana z worków. Na dachu piętrzył się stos przytroczony pasami, a zarówno przedni, jak tylny bagażnik były szczelnie wypełnione. Wieźliśmy – według słów woźnicy – dwa tysiące siedemset funtów poczty.

– Trochę dla Brighamów – powiedział – trochę dla Carson i Frisco, ale przynajmniej połowa dla Indian, a zresztą to diabelne zawracanie głowy, bo przecież oni i tak mają dość do czytania.

A ponieważ w tym momencie twarz woźnicy wykrzywiła się w straszliwym skurczu, który przywodził na myśl uśmiech pochłonięty przez trzęsienie ziemi, domyśliśmy się, że jego uwaga miała być krotocwilna i że wyładujemy większość naszej poczty gdzieś na prerii zostawiając ją Indianom czy komu bądź innemu, kto się po nią zgłosi.

Przez cały dzień zmienialiśmy konie co dziesięć mil i niemal frunęliśmy nad twardym, płaskim gruntem. Na każdym postoju wyskakiwaliśmy na ziemię i rozprostowywaliśmy nogi, gdy więc zapadł wieczór, byliśmy wciąż pełni życia i prawie nie zmęczeni.

Po kolacji wsiadła do dyliżansu kobieta wracająca do domu odległego o pięćdziesiąt mil, więc my trzej musieliśmy się zmieniać i siadać kolejno na koźle obok woźnicy i konduktora. Była to najwyraźniej kobieta małowówna. Siedziała w gęstniejącym mroku i wpatrywała się w komara, który pożywił się na jej ramieniu, potem powoli wznosiła drugą rękę, dopóki komar nie znalazł się na linii strzału, i wreszcie częstowała go klapssem, który powaliłby krowę; potem obserwowała trupa z cichą satysfakcją, bo trzeba przyznać, że nie chybiała. Była znakomitym strzelcem na krótki dystans. Trupów nie usuwała, tylko zostawiała je na przynętę. Siedziałem obok tego posepnego sfinksa przyglądałem jej się, gdy tak jeden po drugim zabiła trzydzieści lub czterdzieści komarów. Przyglądałem jej się i czekałem, aż przemówi. Ale ona milczała. Wreszcie przemówiłem pierwszy. Powiedziałem:

– Bardzo dużo komarów w tych stronach, proszę pani.

– No chyba!

– Co pani raczyła powiedzieć?

– No chyba!

Potem obróciła do mnie rozjaśnioną twarz i powiedziała:

– Niech mnie licho! Już myślałam, że wy, ludzie, jesteście głusi i niemi. Jak Bożę kocham, że myślałam. Siedzę tu i siedzę, biję komary i nic, tylko, się zastanawiam, co też wam dolega. Najpierw myślałam, żeście głusi i niemi, potem przyszło mi do głowy, żeście chorzy albo pomyleni, albo coś takiego, a na koniec to was wzięłam za trójkę durniów, co nie wiedzą, od czego zacząć rozmowę. Skąd jedziecie?

Sfinks przestał być Sfinksem! Mówiąc metaforycznie, przerwały się źródła przepaści wielkiej i niewiasta zsyłała na nas deszcz swych słów przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy, zalewając wszystko niszczycielskim potopem pospolitej gadaniny; ani jeden szczyt czy wierzchołek odpowiedzi nie wznosił się ponad zalane wodami pustkowie kiepskiej gramatyki i fatalnej wymowy!

Jak myśmy cierpieli! Mijały godziny, a ona gadała, gadała, aż byłbym się zabił z wściekłości, że poruszyłem kwestię komarów i zachęciłem ją do rozmowy. Nie przestała ani na chwilę, dopóki przed samym świtem nie dotarła do celu swej podróży. Wysiadając z dyliżansu obudziła nas (bo zapadliśmy w drzemkę) i powiedziała:

– Radzę wam dobrze, chłopacy, wysiądźcie i posiedźcie se ze dwa dni w Cottonwood, a ja wpadnę do was wieczorem i jak macie chęć, pogadam z wami jeszcze o tym i owym. Ludziska wam powiedzą, że jak na dziewczuchę wychowaną w lasach byłam zawsze wymagalna i zadzierałam nosa, bo jak mogę nie być wymagalna, kiedy pełno tu wszędzie hołoty. Dziewczyna musi zadzierać nosa, jeżeli chce dojść do czegoś w życiu, ale kiedy napatoczą się ludziska, co mogę z nimi być jak równa z równymi, nie odmówię im swojego towarzystwa.

Postanowiliśmy, że „nie posiedzimy se w Cottonwood”.

III. OŚLI KRÓLIK

Mniej więcej na godzinę przed świtem sunęliśmy gładko po drodze – tak gładko, że nasza kołyska kolebała nas łagodnie do snu i otepiała naszą świadomość – gdy nagle coś się pod nami zapadło! Zdaliśmy sobie z tego niejasno sprawę, ale nie przejęliśmy się tym nic a nic. Powóz stanął. Słyszeliśmy, jak za oknem konduktor rozmawia z woźnicą, jak szukają latarni, jak klną, ponieważ nie mogą jej znaleźć, ale całe to zdarzenie zupełnie nas nie interesowało; przeciwnie, sama myśl o tym, że ci ludzie trudzą się w ciemności, gdy tymczasem my tulimy się bezpiecznie w naszym gniazdku za zaciągniętymi firankami, zwiększała jeszcze rozkoszne poczucie wygody. Ale niebawem przystąpiono do badania przyczyny i po chwili odezwał się głos woźnicy:

– Niech to licho, złamało mu się tylne pióro!

Natychmiast oprzytomniałem, jak to zwykle, kiedy nawiedzi człowieka niejasne poczucie nieszczęścia. Powiedziałem sobie: „Pióro musi być jakąś częścią konia, a sądząc z rozpaczy w głosie woźnicy, częścią bardzo istotną. Może nogą? Chociaż jakim cudem koń mógłby sobie złamać nogę na takiej drodze? Niemożliwe, żeby to była noga. Chyba że próbował kopnąć woźnicę. Hm, ciekawe, co to jest takiego. Ale ani myślę zdradzać się ze swoją ignorancją przed tymi ludźmi”.

W tej właśnie chwili pokazała się za szybą twarz woźnicy, a światło latarni padło na nas i na mur worków z pocztą.

– Panowie, musicie wysiąść na momencik. Złamało się tylne pióro.

Wyszliśmy na zimny, siąpiący deszczyk i nagle poczuliśmy się bezdomni i opuszczeni. Kiedy się przekonałem, iż rzecz zwana przez nich „tylnym piórem” jest częścią masywnej kombinacji pasów i sprężyn, na której kołysze się powóz, powiedziałem do woźnicy:

– Nie przypominam sobie, żebym widział kiedykolwiek pióro tak fatalnie zużyte. Jak to się stało?

– Tak to się stało, że naładowali pocztę z trzech dni na jeden dyliżans. Ot, jak się stało – odparł. – I nie gdzie indziej, tylko właśnie tutaj, w to miejsce są adresowane wszystkie worki z gazetami... te, co to są dla Indian, żeby zaprowadzić między nimi porządek. Całe szczęście, że się pióro złamało, bo w tych ciemnościach ani bym się spostrzegł, że to tutaj, i pojechałbym dalej.

Chociaż był pochylony, wiedziałem, że jego twarz znów drga w konwulsjach uśmiechu, życząc mu więc dalszej szczęśliwej drogi zabrałem się wraz z innymi do wyciągania worków z pocztą. Urosła z tego zupełnie spora piramida przy samej drodze. Kiedy woźnica i konduktor naprawili pióro, załadowaliśmy oba bagażniki, ale nie umocowaliśmy worków na dachu i do środka włożyliśmy tylko połowę tego, co było przedtem. Konduktor opuścił na dół oba oparcia ławek i ułożył worki równomiernie do połowy wysokości pudła, od ściany do ściany. Zaprotestowaliśmy gwałtownie, bo zostaliśmy pozbawieni możliwości siedzenia. Ale konduktor był od nas bardziej doświadczony i powiedział, że zawsze jest lepiej leżeć, niż siedzieć, a co ważniejsze, ten sposób zabezpiecza pióra od ponownego pęknięcia. Potem nigdy już nie tęskniliśmy za ławeczkami. Nasze łoża okazały się nieporównanie wygodniejsze. Spędziłem w pozycji leżącej niejeden wspaniały dzień, studiując ustawy i słownik i zastanawiając się, jakie też wydadzą mi się w życiu postacie, o których czytałem.

Konduktor powiedział, że wyśle z najbliższego postoju straż, która zaopiekuje się porzucaną pocztą, po czym ruszyliśmy w dalszą drogę.

Właśnie świtało. A gdy wyciągnęliśmy zdrętwiałe nogi na workach z pocztą i spojrzeliśmy

przez okno, ponad bezkresnym zielonym pustkowiem otulonym zimną, sypką mgłą, ku wschodowi, gdzie wygląd nieba nad widnokregiem napawał nadzieją świtu, uczucie pełnego szczęścia zmieniło się w cichą ekstazę. Dylizans sunął po drodze z wielką prędkością, firanki i palta wiszące na hakach furkotały radośnie na wietrze, nasza kołyska kolebała się i huśtała łagodnie i miękko, a stuk kopyt końskich, trzaskanie z bata i przeciągłe „Wioooo, wioooo!” woźnicy były jak muzyka. Uciekająca spod kół ziemia i drzewa, które przesuwwały się z zawrotną szybkością, zdawały się nas witać milczącym „Hura!” – Potem zwalniały kroku i oglądały się za nami z zainteresowaniem albo może z zazdrością. I gdy tak leżeliśmy paląc fajkę pokoju i porównywali cały ten zachwycający zbytek z wcześniejszymi latami udreki życia miejskiego, poczuliśmy nagle, że na świecie istnieje tylko jedno pełne i zaspokajające szczęście i że myśmy to szczęście znaleźli.

Po śniadaniu na stacji, której nazwy nie mogę sobie przypomnieć, odstąpiliśmy nasze posłanie konduktorowi, sami zaś siedliśmy we trzech na koźle za woźnicą. Niebawem, gdy w ciepłych promieniach słońca ogarnęła mnie senność, położyłem się twarzą w dół na dachu powozu i trzymając w dłoniach cieką barierkę żelazną spałem jeszcze godzinę. To daje najlepsze pojęcie o znakomitym stanie tamtejszych dróg. Gdy powóz podskakuje na wybojach, człowiek pogrążony we śnie zaciska dłonie na pewnym uchwycie barierki; ale gdy ruch powozu jest łagodny i kołyszący, nie potrzeba tego rodzaju zabezpieczeń. Konduktorzy i woźnicy kontynentalnych dylizansów śpią niekiedy na koźle pół godziny lub dłużej, podczas gdy powóz mknie po gładkiej drodze z szybkością ośmiu lub dziesięciu mil na godzinę. Sam to często widywałem. Nie ma w tym żadnego niebezpieczeństwa, bo gdy powóz podskoczy, śpiący zawsze zdąży na czas zamknąć dłoń na jakimś uchwycie. Ci ludzie pracowali bardzo ciężko i musieli od czasu do czasu szukać odpoczynku w śnie.

Niebawem minęliśmy Marysville i przeprawiliśmy się na drugi brzeg rzeki Big Blue, a potem rzeki Little Sandy; o milę dalej wkroczyliśmy na terytorium Nebraski. Przebyliśmy jeszcze milę i dotarliśmy do rzeki Big Sandy w odległości stu czterdziestu mil od St. Joseph.

Gdy słońce chyliło się ku zachodowi, zobaczyliśmy pierwszy okaz zwierzęcia powszechnie znanego na przestrzeni dwóch tysięcy mil pustyni i gór – od równiny Kansas aż po wybrzeże Pacyfiku – pod nazwą „oślego królika”. Słuszna to nazwa. Zwierzątko owo wygląda jak pospolity królik, z tą tylko różnicą, że jest od jednej trzeciej do dwóch razy większe, ma proporcjonalnie dłuższe nogi, na łebku zaś uszy tak niedorzeczne, jakimi nie może się poszczycić żadne zwierzę z wyjątkiem osła. Gdy ośli królik siedzi spokojnie robiąc rachunek sumienia albo gdy jest roztargniony, albo nie przeczuwa niebezpieczeństwa, majestatyczne uszy sterczą nad nim wysoko i są z daleka widoczne; ale wystarczy trzask suchej gałązki, aby śmiertelnie przerażony odchylił lekko uszy do tyłu i wybrał się w drogę do domu. Wtedy przez najbliższą minutę widać tylko jego długi szary korpus wyciągnięty jak struna, głowę wzniesioną i uszy odchylone lekko do tyłu, ale cały czas wskazujące, któredy zwierzę sunie przez niskie zarośla bylicy, zupełnie jakby niosło rozpostarty żagiel. Od czasu do czasu nasz ośli królik wzbija się na swych długich nogach wysoko nad karłowate pędy bylicy dając przykład skoku, jakiego pozazdrościłby mu niejeden koń. Niebawem przechodzi w łagodny i wdzięczny kłus i zaraz znika w tajemniczy sposób. Przycupnął za krzewem – będzie tam siedział i trząsał się, i nasłuchiwał, dopóki człowiek nie podejdzie na odległość sześciu stóp, kiedy to ośli królik znowu puści się w drogę. Ale jeśli ktoś chce, żeby naprawdę wziął nogi za pas i pokazał, co umie, musi do niego strzelić. Śmiertelnie teraz przestraszony ośli królik kładzie uszy po sobie i wyciągając się jak struna w długim skoku przemierza milę za milą z obojętną swobodą, która zachwyca.

Jak to określił konduktor, zwierzęciu dusza uciekła w pięty z naszej przyczyny. Najpierw pan sekretarz przestraszył go strzałem ze swojego colta, potem ja zacząłem kropić w niego z mojej broni; i jednocześnie, z ogłuszającym hukiem, buchnęła salwa ze wszystkich luf starego allena. Bez przesady można powiedzieć, że królik oszalał! Spuścił uszy, podniósł ogon i wy-

ruszył do San Francisco z szybkością, którą najlepiej można określić jako przelotny błysk.

Nie pamiętam, gdzie zobaczyliśmy po raz pierwszy krzew bylicy, ale skoro już o nim wspomniałem, powinienem go przy okazji opisać.

Nie będzie to trudne, bo jeżeli czytelnik zdoła sobie wyobrazić rosochaty i wiekowy dąb, zmniejszony do rozmiarów małego krzewu wysokiego na dwie stopy, wraz z szorstką dębową korą, dębowymi liśćmi i powykręcانymi konarami, stworzy sobie dokładny obraz bylicy. Podczas rozleniwiających postojów w górach kładłem się często na ziemi, z twarzą pod krzakiem, i wyobrażałem sobie, że komary wśród liści to ptaki z krainy Liliputów, że mrówki maszerujące po ziemi to lilipucie trzody i stada i że ja sam jestem ogromnym wędrowcem z Brobdignag, który czai się, żeby pochwycić i zjeść jednego z maleńkich obywateli.

Krzew bylicy jest imponującym monarchą lasów w znakomitej miniaturze. Listowie ma szarzielone i od niego biorą swą barwę pustynia i góry. Pachnie jak nasza domowa szałwia, a herbata zrobiona z niego przypomina do złudzenia napar z szałwi, tak dobrze znany wszystkim chłopcom. Jest to roślina szczególnie żywotna i rośnie sobie wygodnie na szczerym piachu czy wśród nagich głazów, gdzie z wyjątkiem trawy groniastej nie ośmieliłby się zapuścić korzeni żaden inny okaz flory. Krzewy bylicy, rosnące jeden od drugiego w odległości od trzech do siedmiu stóp, porastają góry i pustynne równiny Dalekiego Zachodu aż po same granice Kalifornii. Na setkach mil terenów pustynnych nie rośnie ani jedno drzewo; na prawdziwej pustyni jedynym przedstawicielem flory jest bylica i spowinowacony z nią krzew, który jest tak do niej podobny, że różnice są doprawdy minimalne. Gdyby nie ta pocziwa roślina, nie byłoby na wielkich równinach ognisk obozowych i gorących kolacji. Konar krzewu ma grubość chłopięcego napięstka, a wykrzywione gałęzie osiągają połowę grubości konaru – wszystko to dobre, twarde drzewo opałowe, bardzo podobne do dębiny.

Pierwszą czynnością przy zakładaniu obozu jest nacięcie bylicy; w kilka minut rośnie wysoki stos konarów i gałęzi. Następnie należy wykopać dół szeroki na stopę, a głęboki i długi na dwie stopy, napełnić go porąbanym suszem i palić drzewo, dopóki dół nie wypełni się aż po brzegi rozżarzonymi węglami. Wtedy dopiero zaczyna się gotowanie – wygodnie, bez dymu, a co za tym idzie, bez przekleństw. I wystarczy tylko z rzadka dorzucać drewno, aby ognisko utrzymało się do rana. Co więcej, jest to niezwykle miłe ognisko, przy którym najbardziej fantastyczne wspomnienia stają się prawdopodobne, pouczające i niezwykle ciekawe.

Bylica dostarcza bardzo dobrego opału, ale jako pożywienie jest do niczego. Tylko osioł i jego nieprawe dziecię, muł, mogą ścierpieć smak tej rośliny. Ale ich świadectwo co do jej wartości odżywczej niewiele jest warte, gdyż zjadają one sęki sośniny, węgiel antracytowy, plomby miedziane, ołowiane rury, stare butelki oraz przeróżne inne przedmioty; a najadłszy się odchodzą z miną tak pełną wdzięczności, jakby je częstowano na obiad ostrygami. Osły, muły i wielbłądy odznaczają się apetytem, który nietrudno jest chwilowo nasycić, ale którego nic nie zaspokoi. Kiedyś w Syrii, nad górnym biegiem Jordanu, pewien wielbłąd zainteresował się moim płaszczem i podczas gdy rozbijano namioty, oglądał go i badał krytycznie z tak wielką uwagą, jakby zamierzał uszyć sobie podobny. A gdy już rozważył wszystkie jego za i przeciw jako ubioru, zaczął się nad nim zastanawiać jako nad potrawą. Postawił na nim nogę, podniósł zębami jeden rękaw i żuł, żuł, stopniowo wciągając go w siebie i cały czas zamykając i otwierając oczy w niemal religijnej ekstazie, jak gdyby nigdy w życiu nie jadł czegoś tak wyśmienitego jak męskie palto. Potem mlasnęła raz czy dwa i sięgnął po drugi rękaw. Następnie skosztował aksamitu na kołnierzu, a uśmiechał się przy tym błogo, jakby chciał dać do zrozumienia, iż uważa to za najsmaczniejszy kąsek w całym palcie. Wreszcie rozsmakował się w połach, które zniknęły w jego żołądku wraz z kilku kapiszonami, pastylkami od kaszlu i pastą figową z Konstantynopola. Aż tu nagle wypadła z kieszeni korespondencja pisana do gazet w moim mieście rodzinnym. I na nią też się pokusił. Biedak – wszedł na niebezpieczny grunt! Natknął się w tych rękopisach na solidną wiedzę, która jak kamień zaczęła mu ciążyć w brzuchu, a od czasu do czasu połykał dowcip, który tak nim trząsał, że aż obluzowały mu się

zęby. Przyszły teraz na niego ciężkie chwile, ale trzymał się dzielnie, dopóki w końcu nie natrafił na twierdzenia, których nawet wielbłąd nie może przełknąć bezkarnie. Zaczął się dławić, krztusić, oczy wyszły mu na wierzch, rozjechały się przednie nogi i po chwili upadł sztywny jak deska i skonał w męczarniach. Wyciągnąwszy mu rękopis z pyska przekonałem się że to wrażliwe stworzenie udławiło się jednym z powściągliwszych i oględniejszych traktatów, jakie przygotowałem dla ufnej publiczności.

Zanim odszedłem od tematu, chciałem powiedzieć, że spotyka się niekiedy okazy bylicy wysokie na pięć lub sześć stóp, z proporcjonalnie rozłożoną koroną; ale przeciętna wysokość tych krzewów nie przekracza dwóch i pół stopy.

IV. DZIWACZNY DYLIŻANS I JESZCZE DZIWACZNIEJSI LUDZIE

Gdy słońce zaszło i nastał wieczorny chłód, zaczęliśmy się przygotowywać do spania. Ułożyliśmy twarde skórzane worki z listami i sękate worki płócienne z drukami (sękate z winy licznych rogów i krawędzi miesięczników, książek i pudełek) w taki sposób, aby nasze łoże stało się możliwie gładkie i równe. I trzeba powiedzieć, że częściowo nam się to udało, chociaż mimo włożonego trudu posłanie było nadal zbałwanione i faliste jak morze podczas burzy. Następnie wyłowiliśmy nasze buty ze szczelin między workami i wzuliśmy je na nogi. Potem zdjęliśmy z haków, na których dyndały cały dzień, i włożyliśmy na siebie kurtki, kamizelki, spodnie i grube wełniane koszule; z uwagi bowiem na nieobecność niewiast i niezwykle upalną pogodę już o dziewiątej rano rozebraliśmy się do bielizny.

Ukończywszy przygotowania wcisnęliśmy ruchliwy słownik w możliwie bezpieczną szczelinę i umieścili bańki z wodą i pistolety w taki sposób, żeby znaleźć je bez trudu nawet w ciemności. Potem wypaliliśmy ostatnią fajkę i wymieniliśmy ostatnie anegdoty; wreszcie wetknąwszy fajki, tytoń i woreczek z pieniędzmi w szpary i szczeliny, jakby do tego celu tworzone, opuściliśmy i umocowaliśmy zasłony na wszystkich oknach, dzięki czemu zrobiło się w powozie – aby użyć malowniczego określenia naszego konduktora – ciemno jak w krowim brzuchu. W końcu zawinęliśmy się, niby gąsienice jedwabnika, każdy w swój pled, i zapadliśmy w spokojny sen.

Przy każdej zmianie koni budziliśmy się usiłując sobie przypomnieć, gdzie jesteśmy – na ogół z dobrym skutkiem – i po minucie czy dwóch powóz znów odjeżdżał, a my z nim w krainę snów. Wjechaliśmy teraz w okolicę poprzecinaną z rzadka małymi strumieniami. Strumienie te miały wysokie, strome brzegi i ilekroć spuszczały się w dół jednego brzegu i wspinali na drugi, wewnątrz powozu wybuchało pewne zamieszanie. Najpierw rzuceni wszyscy na kupę zatrzymywaliśmy się w pozycji niemal siedzącej w przedniej części powozu, po sekundzie zaś ciśnięci w drugi koniec stawaliśmy wszyscy na głowach. I naturalnie wymachiwaliśmy przy tym rękami, wierzgali nogami i starali się uniknąć zetknięcia z twardymi kantami worków, które przewalały się po nas i obok nas; a ponieważ z worków wzbijał się w powietrze kurz, kichaliśmy chórem. Większość z nas narzekała i mówiła pochopne rzeczy jak: „Weź ten łokieć z moich zeber!” albo: „Musisz się pchać?”

Ilekroć przewalaliśmy się lawiną z jednego końca powozu na drugi, tylekroć przewalało się za nami pełne wydanie słownika za każdym razem wyrządzając jakąś szkodę. Raz stuknęło sekretarza w łokieć; kiedyś znów grzmotnęło mnie w żołądek; i wreszcie rozkwaśniło nos Bemisowi, że aż widział własne nozdrza. Tak przynajmniej powiedział. Pistolety i pieniądze osiadły niebawem na dnie powozu, ale fajki, woreczki z tytoniem i bańki z wodą towarzyszyły słownikowi, ilekroć ten przypuszczał do nas szturm, a także wspomagały go i podjudzały do działania sypiąc nam tytoniem w oczy i wlewając wodę za kołnierz.

Ale ogólnie rzecz biorąc spędziliśmy noc bardzo wygodnie; a gdy w końcu przez szpary w zasłonach zajrzało do wnętrza szare, zimne światło, ziewnęliśmy, przeciągnęliśmy się, wyswobodziliśmy z naszych kokonów i stwierdzili w duchu, że jesteśmy zupełnie wyspani. W jakiś czas potem, gdy słońce wzeszło i ogrzało świat, rozebraliśmy się i przygotowaliśmy do śniadania. Stało się to w samą porę, gdyż w pięć minut później woźnica napełnił pustkę równinnego obszaru niesamowitą muzyką swej trąbki i po paru chwilach dostrzegliśmy w oddali kilka niskich chat. A potem turkot powozu, stuk kopyt naszych sześciu koni i gromkie rozkazy woźnicy wciąż i wciąż przybierały na sile, aż w końcu wpadliśmy na stację z szybkością na-

prawdę popisową. Ach, urzekające były te dawne czasy kontynentalnych dylizansów!

Zeskoczyliśmy na ziemię w negliżowych strojach. Woźnica odrzucił lejce, ziewnął i przeciągnął się z upodobaniem. Ściągnął ogromne skórzane rękawice bez pośpiechu i z onieśmiałą godnością, nie zwracając najmniejszej uwagi ani na troskliwe pytania o zdrowie, ani na pokorne krotochwilne i pełne pochlebstw próby nawiązania rozmowy, ani wreszcie na uniżone oferty usług ze strony pięciu czy sześciu owłosionych i na pół cywilizowanych pracowników stacji, którzy jednocześnie wyprzęgali nasze konie i wyprowadzali ze stajen nową szóstkę. Działo się tak, albowiem w oczach woźnicy tamtych czasów pracownicy poczty i stajenni byli czymś w rodzaju poczcwiwych istot niskiego rzędu, pożytecznych na swoim miejscu i pomocnych w administrowaniu światem, ale istot, którymi wybitne osobistości w żadnym wypadku nie mogą sobie zaprzętać głowy. I odwrotnie – w oczach pracownika poczty lub stajennego woźnica był bohaterem, najznakomitszym dygnitarzem, beniaminkiem świata, ulubieńcem ludu, wybrańcem narodów. Gdy przemawiali do niego, a on milczał, przyjmowali jego milczenie z pokorą jako sposób bycia właściwy i słuszny u tak wielkiego człowieka; gdy otwierał usta, z zachwytem spijali słowa z jego warg, chociaż nigdy nie zaszczycał żadną uwagą jednostki – zwracał się ogólnie do koni, stajen, najbliższej okolicy i ludzi; gdy wymierzył obraźliwy dowcip w któregoś ze stajennych, był to dla tego człowieka szczęśliwy dzień; gdy opowiedział swoją jedną jedyną anegdotkę – starą jak świat, chamską, płaską, pozbawioną dowcipu, narzucaną temu samemu audytorium i w tych samych słowach, ilekroć przejeżdżał tędy dylizans – pochlebcy wybuchali śmiechem, bili się po udach i przysięgali, że nigdy w życiu nie słyszeli czegoś równie śmiesznego. A jak koło niego skakali, kiedy zażądał miednicy albo kubka wody, albo ognia do fajki! Ale pasażera, który by się tak dalece zapomniał, że poprosiłby ich o jakąś uprzejmość, natychmiast obsypaliby gradem obelg. Byli w tym mistrzami nie gorszymi niż woźnica, którego naśladowali; należy bowiem pamiętać, że woźnica kontynentalnego dylizansu odnosił się z niewiele mniejszą pogardą do swych pasażerów co do swych stajennych.

Stajenni i pracownicy poczty okazywali naprawdę potężnemu konduktorowi dylizansu jedynie daleko posuniętą uprzejmość (lub to, co według nich było uprzejmością), ale tylko woźnicy kłaniali się w pas i tylko woźnicę wielbili. Z jakim zachwytem spoglądali na niego, kiedy siedząc na wysokim koźle wkładał rękawice z rozmyślną powolnością, gdy tymczasem któryś z uszczęśliwionych stajennych trzymał lejce w wyciągniętej ręce i czekał, aż, on raczy je wziąć! A jakimi pochwalnymi okrzykami go obsypywali, gdy trzasnąwszy z długiego bicza ruszał galopem w drogę.

Zabudowania stacyjne składały się z długich, niskich chat wzniesionych z wysuszonej na słońcu, żółtej cegły, nie spajanej wapnem. Dachy o spadku tak małym, że niegodnym doprawdy wzmianki, przykryte były słomą, a potem przywalone grubą warstwą ziemi, z której wyrastały bujne zielska i trawy. Po raz pierwszy w życiu widzieliśmy ogródek zamiast przed domem – na domu. W skład zabudowań wchodziły stodoły, stajnia na kilkanaście koni i chata mieszcząca jadalnię dla podróżnych, W chacie tej znajdowały się też prycze dla kierownika stacji i kilku stajennych. Można się było oprzeć łokciem na okapie dachu, a wchodząc w drzwi należało schylić głowę. Okno zastępował pozbawiony szyb, kwadratowy otwór w ścianie, przez który z trudem mógłby się przecisnąć dorosły mężczyzna. Zamiast podłogi była twarda, ubita glina. Nie było pieca kuchennego, otwarty komin służył wszystkim celom. Nie było półek, komód, szaf. W kącie stał otwarty worek z mąką, obok wisiały dwa czarne i wiekowe cynowe dzbanki na kawę, cynowy imbryk, woreczek z solą i płat boczku.

Przy drzwiach prowadzących do komórki sypialnej zarządzającego stacją stała na ziemi cynowa miednica, koło niej wiadro z wodą i kawałek żółtego mydła; nad tym dyndała wymownie u pułapu brudnoniebieska koszula wełniana – był to prywatny ręcznik zarządzającego i tylko dwie osoby w naszym gronie odważyłyby się z niego skorzystać: woźnica i konduktor. Konduktor nie zrobiłby tego z poczucia przyzwoitości, woźnica zaś – ponieważ nie

życzył sobie spoufalać zarządzającego. My naturalnie mieliśmy ręczniki. W walizce. Równie dobrze mogły być w Sodomie i Gomorze. Wytarliśmy ręce w chusteczki, to samo zrobił konduktor; woźnica posłużył się spodniami i rękawami kurtki. Przy drzwiach wejściowych wisiała mała staroświecka ramka z dwoma kawałkami lusterka zatkniętymi w jeden róg. To urządzenie dawało sympatyczny, podwójny obraz: górna połowa głowy umieszczona była o dwa cale nad dolną. Przymocowana do ramki wisiała na sznurku połówka grzebienia, ale gdyby od dokładnego opisu tego patriarchy zależało moje życie, czym prędzej obstalowałbym ładną trumienkę. Grzebień pochodził z czasów Ezawa i Samsona i przez wszystkie wieki gromadził włosy wraz z pewnymi nieczystościami. W jednym kącie stało kilka strzelb i muszkietów, obok rogi i woreczki z prochem. Stajenni mieli na sobie spodnie z szorstkiego samodziału, z wszytymi na siedzeniach i na wewnętrznej stronie nogawek dużymi łatami baraniej skóry, co zastępowało sztylpy podczas konnej jazdy, a z uwagi na swe żółtoniebieskie ubarwienie wyglądało niesłychanie malowniczo. Wszyscy nosili spodnie wpuszczone w buty, zaś obcasy mieli ozdobione ogromnymi hiszpańskimi ostrogami, które brzęczały i dzwoniły przy każdym kroku. Zarządzający miał ogromną brodę i wąsy, na głowie stary kapelusz z szerokim rondem; ubrany był w niebieską wełnianą koszulę, ale nie nosił ani szelek, ani kamizelki, ani kurtki; ze skórzanego futerału u pasa sterczał mu wielki i długi „marynarski” rewolwer, zza cholewy buta – nóż myśliwski oprawny w róg. Umeblowanie chaty nie było zbyt wspaniałe i nie zajmowało dużo miejsca. Nie zauważyliśmy foteli na biegunach i kanap, zastępowały je natomiast dwie puste skrzynki po świecach, sosnowa nie heblowana ławka długości czterech stóp i dwa stołki na trzech nogach. Zamiast stołu była brudna deska na krzyżakach, a obrus i serwetki jeszcze nie nadeszły i mieszkańcy stacji chyba się ich nie spodziewali. Przed każdym z nas stał pogruchołany cynowy talerz, cynowy kubek, widelec i nóż, a obok nakrycia woźnicy porcelanowy spodek pamiętający lepsze czasy. Bo dygnitarz ów siedział naturalnie na głównym miejscu. Jedna jedyna sztuka zastawy stołowej miała wyciśnięte na sobie piętno znakomitości w ciężkich terminach. Była to podstawka do oliwy i octu. Wykonana z niemieckiego białego metalu, a ponadto zardzewiała i połamana, była tu jednak tak nie na miejscu, że przywodziła na myśl wynędzniałego króla na wygnaniu wśród barbarzyńców, i nawet w swym upodleniu zmuszała do szacunku. Na podstawce ostał się tylko jeden flakon – z nadłamaną szyjką, pozbawiony korka, upstrzony przez muchy, z dwoma całami octu na dnie i jakimś tuzinem zakonserwowanych much, które leżąc do góry nogami miały takie miny, jakby żałowały, że tu w ogóle weszły.

Kierownik stacji odłamał koniec zeszlotygodniowego chleba, kształtem i wielkością przypominającego krążek sera, i wykrajał zeń kilka kromek nie gorszych w smaku od kamieni brukowych i nawet trochę miększych.

Ukrajął też dla każdego po plasterze boczku, ale tylko doświadczeni weterani wiedzieli, jak się do niego zabrać, był to bowiem boczek odrzucony z dostaw wojskowych, którym Stany Zjednoczone nie chciały żywić swoich żołnierzy w fortach; kompania pocztowa kupiła go tanio i żywiła nim swoich pasażerów i pracowników. Nie pamiętam – może zawarliśmy znajomość z tym odrzuconym z dostaw boczkiem gdzieś dalej na równinie, ale że zawarliśmy tę znajomość, temu nikt nie zaprzeczy!

– Następnie zarządzający nalał do kubków płyn, który udawał herbatę, ale było w nim dużo wywaru ze ścierki, piasku i skórek od boczku, aby inteligentny podróżny dał się oszukać. Zarządzający nie ofiarował nam mleka ani cukru; nie posiadał nawet łyżeczki do wymieszania tych cennych składników.

Nie byliśmy w stanie przełknąć ani boczku, ani chleba, ani „herbaty”. A gdy spojrzałem na melancholijny flakon z octem, przypomniała mi się anegdotka (stara, bardzo stara nawet w tych odległych czasach) o podróżnym, który zasiadłszy do stołu, zobaczył tylko makrelę i słoik z musztardą. Spytał gospodarza, czy to jest wszystko. Gospodarz zawołał:

– Czy to jest wszystko?! Piekło i szatani! przecież tej makreli starczy na sześć osób!

- Ale ja nie lubię makreli.
- O, to niech pan sobie nałoży musztardy,

Dawniej uważałem, że anegdotka jest bardzo zabawna, ale obecna sytuacja przydawała jej smutnego prawdopodobieństwa, które pozbawiało ją całego humoru.

Śniadanie stało przed nami, a myśmy siedzieli beczynnie.

Skosztowałem, pociągnąłem nosem i oświadczyłem, że napiję się chyba kawy. Zarządzający zamarł w bezruchu i spojrzał na mnie oniemiały. Gdy w końcu odzyskał mowę, odwrócił się i rzekł tonem człowieka rozważającego sprawę, której umysł ludzki nie jest w stanie pojąć:

- Kawy! Niech mnie diabli, jeżeli to nie wywraca w człowieku wnętrzości!

Nie mogliśmy jeść, a rozmowy przy stole między stajennymi i pastuchami właściwie nie było, co najwyżej od czasu do czasu któryś z mężczyzn zwracał się do drugiego z pośpiesznym żądaniem. Wypowiadane było ono zawsze w tej samej formie i w tonie szorstko przyjaznym. Iście zachodnia jędrność i świeżość tych wypowiedzi zaskoczyła mnie i zainteresowała; ale niebawem straciły swój urok i stały się monotonne. Brzmiały niezmiennie:

„Podaj mi chleb, ty skunksa synu!” Nie, zapomniałem. To nie chodziło wcale o skunksa. Zdaje się, że używali mocniejszego słowa. Tak, na pewno, ale słowo to wypadło mi z pamięci. Zresztą mniejsza z tym, i tak z pewnością nie nadawało się do druku. Jest ono kamieniem milowym w mojej pamięci, który mi przypomina, gdzie po raz pierwszy zetknąłem się z tym jędrnym żargonem zachodnich gór i prerii.

Zrezygnowawszy ze śniadania i zapłaciwszy po dolarze od osoby wróciliśmy do naszego pocztowego łoża szukając pociechy w fajkach. Właśnie tutaj nasza książęca wspaniałość podróży doznała pierwszego uszczerbku. Zostawiliśmy w stajniach szóstkę pięknych koni i otrzymaliśmy w zamian sześć mułów. Ale były to dzikie meksykańskie bestie, tak ogniste, że gdy woźnica wkładał rękawice i przygotowywał się do drogi, sześciu ludzi musiało ze wszystkich sił trzymać je za łby. I gdy w końcu woźnica ujął lejce i dał hasło odjazdu, stajenni rozpiezchli się na boki, a powóz ruszył ze stacji jak wystrzelony z katapulty. Jak te szalone zwierzęta pędziły! Utrzymywały się cały czas w zapamiętałym, wściekłym galopie i nie zwolniły ani na chwilę, dopóki po przebyciu dziesięciu czy dwunastu mil nie wpadliśmy między niewielkie zabudowania następnej stacji.

I tak frunęliśmy cały dzień. O drugiej po południu ujrzeliśmy w oddali pas drzew porastających brzegi North Platte i znaczących jej bieg przez ogromną płaszczyznę Wielkiej Równiny.

O czwartej przebyliśmy jeden z jej dopływów, o piątej, przeprawiwszy się przez samą Platte, przybiliśmy do brzegu w Fort Kearney – w pięćdziesiąt sześć godzin po opuszczeniu St. Joseph i przebyciu trzystu mil!

Tak odbywała się jazda dyliżansem na wielkiej linii kontynentalnej przed dziesięciu czy dwunastu laty, kiedy najwyżej kilku ludzi w Ameryce spodziewało się dożyć chwili, gdy kolej żelazna dotrze do Pacyfiku. Ale kolej ta już istnieje. A gdy czytałem w „New York Times’ie” sprawozdanie z niedawnej podróży po tej samej niemal trasie, którą tutaj opisuję, narzuciły mi się tysiące najrozmaitszych porównań i kontrastów. Nie mogę wprost pojąć tego nowego stanu rzeczy.

P o p r z e z k o n t y n e n t

W niedzielę o czwartej dwadzieścia po południu wyruszyliśmy ze stacji Omaha w naszą długą podróż na zachód. W dwie godziny później zawiadomiono nas o podaniu obiadu, co było wielkim wydarzeniem dla tych spośród nas, którzy mieli się pierwszy raz pożywiać w pullmanowskim hotelu na kółkach. Opuściwszy więc nasz pałac sypialny przeszliśmy do następnego wagonu, który był wagonem restauracyjnym. Ten pierwszy niedzielny obiad stał się

dla nas rewelacją. A chociaż jedliśmy obiady jeszcze przez cztery dni i tyleż razy śniadania i kolacje, do końca zachwycała nas doskonałość organizacji i wspaniałość osiągniętych rezultatów. Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki murzyńscy kelnerzy w nienaganej bieli stawiali na stołach przykrytych śnieżnymi obrusami i zastawionych pięknym srebrem potrawy, których sam Delmonico by się nie powstydział. A prawdę mówiąc, gdyby ów słynny *chef* chciał dorównać naszemu menu, napotkałby nie lada trudności. Bo czyż nie mieliśmy steków z antylopy (smakosz, który ich nie kosztował, nie wie nic o mięsiwie), czyż nie mieliśmy przepysznych pstrągów z górskiego strumienia, czyż nie mieliśmy najświeższych owoców, czyż nie mieliśmy przyprawy pikantnej, a nie do nabycia – aromatycznego, pobudzającego apetyt powietrza prairii? Możecie być pewni, że oddaliśmy sprawiedliwość wszystkim tym pysznościom, a gdy splukiwaliśmy je szklankami musującego kruga, pędząc cały czas z szybkością trzydziestu mil na godzinę, doszliśmy wszyscy do wniosku, że był to nasz najszybszy obiad w życiu. (Pobiliśmy jednak ten rekord w dwa dni później, przejeżdżając dwadzieścia siedem mil w dwadzieścia siedem minut, przy czym ani jedna kropla nie wylała się z wypełnionych po brzegi kieliszków szampana!) Po obiedzie przeszliśmy do wagonu-bawialni, gdzie (ponieważ była to niedziela) odśpiewaliśmy kilka pięknych starych hymnów jak: „Chwalmy Boga, którego...”, „Jaśniejące brzegi” i „Koronacja”. Głosy mężczyzn i niewiast brzmiały słodko w wieczornym powietrzu, a tymczasem nasz pociąg oświetlający swym cyklopowym okiem ogromny obszar prairii, pędził przez noc i dzikie krajobrazy. Potem położyliśmy się do naszych luksusowych łóżek i spaliśmy snem sprawiedliwych aż do godziny ósmej rano dnia następnego, kiedy to przeprawialiśmy się przez rzekę Platte – przebywszy trzysta mil w piętnaście godzin i czterdzieści minut.

V. KOJOT NIE NALEŻY DO ISTOT ANI URODZIWYCH, ANI SYMPATYCZNYCH

I znowu noc spokoju przeplatane najdzikszym harmiderem. Ale niebawem nadszedł ranek. Obudziliśmy się szczęśliwi, że owiewa nas rzeński wiatr, że widzimy bezkresne obszary zielonej prerii, że świeci jasne słońce, że otacza nas samotność, nie skażona obecnością ani jednej ludzkiej istoty czy osiedla, że atmosfera ma tak szczególne powiększające właściwości, iż drzewa odległe o trzy mile wydają się być tuż obok. Odziani jak wczoraj w nasze bieliźniane uniformy wdrapaliśmy się na dach powozu i siedząc ze spuszczone nogami pokrzykiwaliśmy od czasu do czasu na rozszalałe muły (po to tylko, żeby zobaczyć, jak kładą uszy po sobie i pędzą jeszcze szybciej) i rozglądaliśmy się po płaskim kobiercu prerii w poszukiwaniu widoków nowych i niezwykłych. Nawet dziś jeszcze przebiega mnie rozkoszne drżenie, gdy wspomnę uczucie szczęścia i niczym nie skrupowanej wolności, od których w tamte piękne poranki na Wielkiej Równinie krew szybciej krążyła mi w żyłach.

Mniej więcej w godzinę po śniadaniu zobaczyliśmy pierwsze kolonie świstaków, pierwsze antylopy i pierwszego wilka. O ile się nie mylę, ten ostatni był autentycznym kojotem z dalszych obszarów stepu. A jeżeli był nim rzeczywiście, nie należał do istot ani urodziwych, ani sympatycznych, w czasach bowiem nieco późniejszych poznałem dobrze jego współbraci i mogę mówić z pełnym przekonaniem. Kojot jest długim, chudym, zbiedniałym, żalonym szkieletem w szarej wilczej skórze, o dość puszystym ogonie bezustannie zwieszonym na dowód beznadziejności i rozpacz, o brzydkim i bojaźliwym oku, o długim, ostrym pysku, z lekko ściągniętą górną wargą i wystającymi zębami. Z całej jego postaci bije jakaś osobliwa nieufność. Kojot jest żyjącą i oddychającą alegorią nędzy. Jest zawsze głodny. Jest zawsze biedny, nigdy nie ma szczęścia, nigdy nie zazna niczyjej przyjaźni. Gardzą nim najnędzniejsze istoty i nawet pchły porzuciłyby go chętnie dla welocypedu. Jest tak tchórzliwy, że gdy jego odłonięte zęby wydają się grozić, reszta pyska pokornie za to przeprasza. I jest taki nieskończenie brzydki – chuderlawy, kościsty, zmierzwiiony i żalony! Na widok człowieka podnosi górną wargę i błyska kłami, a potem zbacza nieco z kursu, którym podążał, zniża łeb i puszcza się w lekki, równy kłus poprzez krzewy bylicy, oglądając się od czasu do czasu – dopóki nie znajdzie się poza zasięgiem pistoletu. Wtedy zatrzymuje się i przygląda uważnie intruzowi. Przebiega tak pięćdziesiąt jardów – i zatrzymuje się; znów biegnie i znów się zatrzymuje, aż wreszcie szarość jego futra roztapia się w szarości bylicy i kojot znika. Dzieje się tak, gdy człowiek nie zdradza wobec niego złych zamiarów. W przeciwnym razie kojot okazuje żywsze zainteresowanie dla oczekującej go podróży; bierze nogi za pas i natychmiast pozostawia za sobą tak ogromny szmat nieruchomości ziemskiej, że gdy strzelec podnosi kurek pistoletu, już tylko dobra strzelba mogłaby trafić umykającego kojota, gdy bierze go na cel, przydałaby się raczej armatka polowa, a gdy w końcu naciska cyngiel, już tylko niezwykle długie ramię błyskawicy zdołałoby dosięgnąć zwierzę tam, gdzie się w tej chwili znajduje. Ale najlepiej można się ubawić puszczając za kojotem szybkiego psa, zwłaszcza takiego, który ma o sobie dobre mniemanie i uważa, że wie coś niecoś o szybkości. Kojot rozpocznie bieg swoim lekkim, kołyszącym się, zwodniczym kłusem, od czasu do czasu obejrzy się i oszukańczo uśmiechnie, a jego uśmiech będzie dla psa zachętą – wzmoże ambicje, i każe mu trzymać łeb tym bliżej ziemi, tym bardziej wyprężyć kark, tym straszliwiej dyszeć, w tym prostszą linię wyciągnąć ogon, tym zajadlej przebierać oszalałymi nogami i zostawiać za sobą tym gęstszy, szerszy i wyższy tuman pustynnego piasku. A przez cały ten czas pies znajduje się w odległości zaledwie dwudziestu stóp za kojotem i żadną miarą nie może zrozumieć,

czemu ta przestrzeń nie maleje. Zaczyna się teraz denerwować, coraz bardziej i bardziej wścieka go widok kojota, który mknie swobodnym kłusem i ani nie dyszy, ani się nie poci, ani choćby na chwilę nie przestaje się uśmiechać. I coraz bardziej i bardziej jątrzy go myśl, jak głupio dał się nabrać temu nieznanemu osobnikowi, jak haniebnym oszustwem jest ten długi, spokojny, lekki kłus. Orientuje się po chwili, że jest wyczerpany i że kojot musi zwalniać nieco kroku, żeby mu nie uciec. Wtedy pies miejski zaczyna szaleć z gniewu, wyęcza wszystkie siły, płacze, klnie, coraz wyżej wybija łapami pustynny piasek i przypuszcza do kojota szturm rozpaczliwy. Ten nagły zryw przybliży go do uciekiniera na odległość sześciu stóp i oddala od przyjaciół na odległość dwóch mil. Nagle, gdy w psim sercu zaświta nadzieja, kojot obraca się, uśmiecha miło, jakby chciał powiedzieć: „No cóż, muszę się z tobą pożegnać, chłopie, praca jest pracą i nic mi z tego nie przyjdzie, że będę się tu z tobą zabawiał cały dzień”. Natychmiast rozlega się w atmosferze świst i trzask i oto pies zostaje sam w pośrodku bezkresnej pustki. Dostaje zawrotu głowy. Zatrzymuje się, rozgląda, wbiega na najbliższy kopiec piasku i wpatruje się w dal; potrząsa głową w zamyśleniu, a potem bez słowa zawraca i drepce wolnym kłusem do swoich wozów. Tu staje pokornie obok ostatniego, czuje się niewypowiedzianie podle, minę ma przeraźliwie zawstydzoną i przez najbliższy tydzień nosi ogon zwieszony do pół masztu. A ilekroć (co najmniej przez rok po tym zdarzeniu) usłyszy rozpoczynający się, hałaśliwy pościg za kojotem, spojrzy w tym kierunku bez żadnego wzruszenia, jakby mówił sobie w duchu: „Nie mam najmniejszej ochoty na tę awanturę”.

Kojot żyje głównie na najposepniejszych, najbardziej odludnych stepach, wśród kruków, jaszczurek i oślich królików, gdzie tylko z trudem zdobywa skąpą i niepewną strawę. Żywi się przeważnie padliną wołów, mułów i koni z przeciągających Równiną wozów pionierskich, padłym ptactwem, i od czasu do czasu resztkami pozostawionymi mu w spadku przez białego człowieka, który był na tyle bogaty, że nie musiał się zadowalać boczkiem odrzuconym z dostaw wojskowych. Kojot jada wszystko, czym się pożywiają jego najbliżsi kuzyni – Indianie koczujący na stepach, oni zaś nie gardzą niczym. Rzecz zdumiewająca, że właśnie Indianie są jedynymi znanymi na świecie istotami, które potrafią jeść nitroglicerynę i proszą o więcej – jeżeli wyżyją.

Kojot z prerii poza Górami Skalistymi ma szczególnie trudne życie, a to z tej przyczyny, że jego kuzyni, Indianie, często pierwsi rozpoznają niesiony pustynnym wiatrem kuszący zapach i kierując się nim trafiają na wołu, który tę woń wydziela; a wtedy kojot musi się zadowolić obserwowaniem z niewielkiej odległości, jak czerwonoskórzy wyszarpują i wygrzebują wszystko, co jadalne, a potem oddalają się ze zdobyczą. Następnie on i czyhające w pobliżu kruki zabierają się do szkieletu i oskubują kości do czysta. Według ogólnego mniemania kojot, kruk i Indianin tym dowodzą swego pokrewieństwa, że żyją na jałowych preriach w idealnej zgodzie i harmonii, nienawidząc jednocześnie wszystkich innych żywych stworzeń i marząc o tym, żeby uczestniczyć w ich pogrzebie. Kojotowi bynajmniej to nie przeszkadza, że musi iść sto mil na śniadanie i sto pięćdziesiąt na obiad, ponieważ przerwy między posiłkami i tak trwają trzy lub cztery dni, a lepiej jest przecież podróżować i oglądać ładne widoki, niż leżeć beczynnie i przydawać zmartwień rodzicom.

Nauczyliśmy się niebawem poznawać ostry, przykry szczek kojota, płynący ku nam przez mroczną prerię i niepokojący nasze sny wśród worków z pocztą; pomni na jego beznadziejną przyszłość i ciężką dolę, życzyliśmy mu szczęśliwego dnia i pełnej spiżarni nazajutrz.

VI. MOCARZE KONTYNENTALNEJ LINII

Nasz nowy konduktor (tegoż dnia nam przysłany) nie spał od dwudziestu godzin. Zdarzało się to bardzo często. Odległość dylizansem z St. Joseph w Missouri do Sacramento w Kalifornii wynosi prawie tysiąc dziewięćset mil i przebywano ją często w dni piętnaście, ale kontrakty pocztowe i rozkład jazdy przewidywały na tę podróż, jeżeli dobrze pamiętam, dni osiemnaście lub dziewiętnaście. Pozostawiono ten margines z uwagi na zawieje śnieżne, zapy i inne nieprzewidziane wypadki. Towarzystwo działało na zasadach surowej dyscypliny i doskonałej organizacji. Każdym dwustu pięćdziesięciomilowym odcinkiem drogi zarządzał agent lub superintendent obdarzony rozległą władzą. Taki rewir podporządkowany jednemu agentowi nosił nazwę „dystryktu”. Agent zakupywał konie, muły, uprząż, żywność dla ludzi i zwierząt i od czasu do czasu przydzielał stacjom to, co jego zdaniem było im potrzebne. Zajmował się wznoszeniem budynków stacyjnych i kopaniem studzien. Wypłacał uposażenia zarządzającemu, stajennym, woźnicom i kowalom oraz zwalniał ich wedle własnej woli. Był w swoim dystrykcie człowiekiem potężnym, bardzo potężnym – czymś w rodzaju Wielkiego Mogoła, sułtana Indii; przed obliczem tego wielmoży ludzie zachowywali powściągliwość mowy i gestu, a w porównaniu z blaskiem jego majestatu nawet oślepiająca wielkość woźnicy wydawała się marnym ogarkiem.

Ośmiu tych króli rządziło kontynentalną trasą pocztową.

Następnym po agencie co do stanowiska i ważności był konduktor. Jego rewir pokrywał się z rewirem agenta – te same dwieście pięćdziesiąt mil. Konduktor siedział obok woźnicy i – w razie potrzeby – przebywał tę przerażającą odległość nocą i dniem, bez odpoczynku, a spał tyle tylko, ile zdołał się zdrzemnąć siedząc na koźle pędzącego pojazdu. Pomyślcie tylko! Był osobiście odpowiedzialny za worki z pocztą, druki, pasażerów i dylizans, dopóki nie zdał wszystkiego następnemu konduktorowi i nie otrzymał recepty. Jak z tego wynika, musiał to być ktoś inteligentny, zdolny do podejmowania decyzji i energiczny. Przeważnie był człowiekiem spokojnym, systematycznym, ściśle wykonującym swoje obowiązki i naprawdę dżentelmeńskim. Od agenta nikt nie wymagał, żeby był dżentelmenem, i trzeba przyznać, że najczęściej nim nie był. Był za to generałem, jeśli idzie o zdolności administracyjne, i buldogiem, jeśli idzie o odwagę i determinację – inaczej dowództwo nad awanturniczymi podwładnymi Poczty Kontynentalnej byłoby dla niego co najwyżej miesiącem srogich cierpień i zniewag, zakończonych kulką i trumną. Poczta Kontynentalna zatrudniała szesnastu czy osiemnastu konduktorów, dylizanse kursowały bowiem na co dzień w obu kierunkach, a w każdym dylizansie znajdował się konduktor.

Następnym po konduktorze co do rzeczywistego i oficjalnego stopnia ważności był mój beniaminek woźnica – następnym co do rzeczywistego, ale nieaktualnego stopnia ważności, widzieliśmy bowiem, że w oczach szarego tłumu woźnica był w stosunku do konduktora tym, czym admirał jest w stosunku do kapitana okrętu flagowego. Odcinek woźnicy był długi, a czas snu na stacjach przeważnie krótki; gdyby więc nie wspaniałość jego stanowiska, miałby życie niewesołe, ciężkie i wyczerpujące. Nasi woźnicy zmieniali się każdego wieczoru i każdego poranka (powozili tam i z powrotem zawsze na tym samym odcinku drogi) i dlatego nie zaznajomiliśmy się z nimi tak dobrze jak z konduktorami. Zresztą tak czy inaczej nie znizyliby się do poufałości z istotami tak niskiego rzędu jak pasażerowie. Mimo to przy każdej zmianie wypatrywaliśmy ciekawie nowego woźnicy, bo albo chcieliśmy się jak najprędzej pozbyć niesympatycznego, albo też przykro nam się było rozstawać z takim, któregośmy polubili. Ilekroć więc zajechaliśmy na stację i przychodziła kolejna zmiana woźnicy, natych-

miast pytaliśmy konduktora: „Który jest on?” Zdanie to było może na bakier z gramatyką, ale skąd mogliśmy wiedzieć, że znajdzie się kiedyś w książce?

Dopóki wszystko szło gładko, sytuacja woźnicy kontynentalnego dylizansu była zupełnie znośna; ale jeśli któryś z jego towarzyszy pracy nagle zachorował, zaczynały się kłopoty, bo poczta musiała iść dalej i dygnitarz, który miał właśnie zeskoczyć na ziemię i odpocząć w stacyjnym zbytku po całonocnej jeździe na wietrze, w deszczu i ciemności, zostawał, gdzie był, i zastępował chorego kolegę. Kiedyś w Górach Skalistych zorientowałem się, że woźnica śpi twardo na koźle, podczas gdy muły pędzą swoim zwyczajem na złamanie karku, ale konduktor powiedział, że bym się nie przejmował, bo nie ma żadnego niebezpieczeństwa, a woźnica wykonuje podwójną pracę – przejechał siedemdziesiąt pięć mil w jedną stronę i teraz bez snu i odpoczynku wraca po tej samej trasie. Przez sto pięćdziesiąt mil panować nad szóstką mściwych mułów i powstrzymywać je od wspinania się na drzewa! Brzmi to wprost nieprawdopodobnie, ale pamiętam dobrze słowa konduktora.

Zarządzający stacji, stajenni itp. byli to ludzie ciemni i nieokrzesani, o czym już wspominałem. I od zachodniej Nebraski aż po Nowadę wielu wśród nich było takich, którzy ukrywali się przed wymiarem sprawiedliwości i czuli się najbezpieczniej w kraju, gdzie nie zaprowadzono dotąd prawa ani nawet nie usiłowano zaprowadzić. Gdy agent dystryktu wydawał jakieś zarządzenie, robił to z pełną świadomością, że będzie może musiał wcielić je w życie za pomocą sześciostrzałowego pistoletu; dlatego dobry organizator nie rozstawał się nigdy z bronią. Zdarzało się, że agent istotnie musiał zastrzelić któregoś ze stajennych, żeby go nauczyć jakiejś prostej rzeczy, której w innych okolicznościach nauczyłby go za pomocą kija. Na ogół agenci byli to energiczni, zdolni ludzie i jeżeli przystępowali do nauki swoich podwładnych, doprowadzali rzecz do końca.

Połowa tej ogromnej maszyny – setki ludzi i pojazdów, tysiące koni i mułów – znajdowała się w rękach Bena Hollidaya. Władał on całą organizacją w zachodniej części terytorium. To mi przypomina pewne zdarzenie z wyprawy do Palestyny, które jest tu bardzo na miejscu, przytoczę je więc w takiej formie, w jakiej figuruje w moim notatniku z Ziemi Świętej.

Zapewne wszyscy słyszeli o Benie Hollidayu, człowieku niewyczerpanej energii, który przewoził pocztę i pasażerów przez Wielką Równinę z szybkością błyskawicy swoim kontynentalnym dylizansem – dwa tysiące mil w piętnaście i pół dnia co do minuty! Ale ta opowieść nie jest o Benie Hollidayu, tylko o pewnym młodym mieszkańcu Nowego Jorku imieniem Jack, który jechał w naszej małej grupie pielgrzymów do Ziemi Świętej i który trzy lata przedtem podróżował do Kalifornii jednym z dylizansów Bena Hollidaya i ani nie zapomniał tej podróży, ani też nie utracił nic z gorącego podziwu dla pana Hollidaya. Jack miał lat dziewiętnaście i był dobrym, zacnym chłopcem; urodził się i wychował w Nowym Jorku, a chociaż był inteligentny i posiadał sporą wiedzę praktyczną, jego znajomość Biblii pozostawiała wiele do życzenia – prawdę mówiąc, tak wiele, że cała historia Ziemi Świętej była dla niego zaskakującą nowością, biblijne zaś imiona – tajemnicami, które nigdy nie dotknęły jego dziewiczego ucha. W naszej grupie znajdował się też niemłody już pielgrzym, istne przeciwieństwo Jacka; znał Biblię niemal na pamięć i był jej entuzjastą. Uważaliśmy go za naszą żywą encyklopedię, bez znużenia słuchaliśmy jego objaśnień, tak jak on nam ich niezmiernie udzielał. Nie przepuścił ani jednego słynnego miejsca – od Bashan aż po Betlejem – żeby nie wygłosić stosownej oracji. Gdy któregoś dnia obozowaliśmy w pobliżu ruin Jerycha, przemówił mniej więcej tymi słowami:

– Jack, widzisz ten łańcuch górski zamykający dolinę Jordanu? Góry Moaba, Jack! Pomyśl, chłopcze, góry Moaba, słynne z biblijnej historii. Stoimy twarzą w twarz z tymi czcigodnymi szczytami i turniami i kto wie – może w tej właśnie chwili wzrok nasz spoczywa dokładnie na tym miejscu, gdzie się znajduje okryty tajemnicą grób Mojżesza! Pomyśl tylko, Jack!

– Mojżesza? A kto to taki?

– Kto to taki? Wstydz się, Jack – wstydz się tej zbrodniczej ignorancji! Mojżesz, wielki prorok, żołnierz, poeta, prawodawca starożytnego Izraela! Słuchaj, chłopcze, od tego miejsca, na którym stoimy, ciągnie się aż do Egiptu straszliwa pustynia długości trzystu mil. I przez tę pustynię ów wspaniały człowiek przeprowadził dzieci Izraela. Przeworny i mądry czterdzieści lat prowadził ich przez bezludne piachy, pośród zamykających drogę głązów i gór, aż w końcu przywiódł całych i zdrowych do tego miejsca, na którym teraz stoimy. Tu właśnie wkroczyli na Ziemię Obiecaną śpiewając hymny dziękczynienia. Był to, chłopcze, czyn cudowny i zadziwiający.

– Czterdzieści lat? I tylko trzysta mil? Phi! Ben Holliday przewiózłby ich w trzydzieści sześć godzin!

W południe piątego dnia podróży, przebywszy czterysta siedemdziesiąt mil z St. Joseph, dotarliśmy do miejsca przeprawy przez Południową Platte, czyli do Julesburga, czyli Overland City – najdziwniejszego, najosobliwszego i najzabawniejszego miasteczka na pograniczu, na jakie spoglądały i jakim się zdumiewały nasze oczy nieprzywykłe do oglądania dziwów podróży.

VII. JAK BAWÓŁ WDRAPAŁ SIĘ NA DRZEWO

Było to osobliwe doznanie – zobaczyć znów miasto po tak długim – jak nam się zdawało – przebywaniu wśród głębokiej, cichej, niemal pozbawionej życia i domów samotności! Gdy wpadliśmy na ruchliwe ulice, czuliśmy się jak meteory odkruszone z czubka innej planety i przybywające nagle na ziemię. Przez godzinę z tak żywym zainteresowaniem oglądaliśmy Overland City, jak gdybyśmy nigdy przedtem nie widzieli miasta. Podarowano nam tę godzinę wolnego czasu, ponieważ właśnie w Overland zmienialiśmy nasz dyliżans na mniej okazały pojazd zwany „błotnym wozem” i trzeba było przeładować worki z pocztą.

Niebawem znów wyruszyliśmy w drogę. Zajechaliśmy nad płytką, żółtą, mulastą Południową Platte o brzegach niskich, rozsianych gęsto płaskich mieliznach i miniaturowych wyspach – melancholijny strumień ciekący przez sam środek niezmierzonej równiny. Gdyby nie drzewa porastające z rzadka oba brzegi, nikt nie zdołałby go dojrzeć gołym okiem. Powiedziano nam, że Platte „wezbrała”; zastanawiałem się, czy to możliwe, by przy niskim stanie wody wyglądała jeszcze żałośniej i smętniej. Powiedziano nam też, że próba przeprawy przez rzekę jest niebezpieczna, ponieważ o tej porze ruchome piaski koryta pochłaniają często wozy, konie i pasażerów. Ale poczta musiała jechać dalej i myśmy tę próbę zrobili. Kilkakrotnie w samym środku koryta koła wozu zapadały się w piach tak groźnie, iż byliśmy gotowi uwierzyć, że po to całe życie baliśmy się i unikali morza, żeby w końcu zatonać w „błotnym wozie” na środku pustyni. Ale wygrzebawszy się jakoś pomknęliśmy w kierunku, gdzie na niebie zachodziło słońce.

Nazajutrz, tuż przed świtem, gdy odległość do St. Joseph wynosiła około pięciuset pięćdziesięciu mil, połamały się osie naszego wozu.

Naprawa miała trwać pięć do sześciu godzin, skorzystawszy przeto z uprzejmego zaproszenia, dosiedliśmy koni i przyłączyli się do grupy myśliwych, którzy rozpoczęli polowanie na bizona. Galopowaliśmy przez prerię w rześkim powietrzu wczesnego ranka i doprawdy byłby to szlachetny i piękny sport – gdyby tylko cała wyprawa nie zakończyła się hańbą i niesławą. Otóż ranny bizon gonił przez dwie mile naszego współpasażera, Bemisa, po czym Bemis porzucił konia i wdrapał się na samotne drzewo. Przez dwadzieścia cztery godziny Bemis milczał posepnie, potem zaczął po trochu tajać, aż w końcu rzekł:

– Zabawne to z pewnością nie było i ci durnie nie mieli prawa robić z tego głupich dowcipów. Mówię wam, że przez chwilę byłem naprawdę zły. Powinienem był zastrzelić tego kościstego drağala, na którego wołali Hank, i zastrzeliłbym, gdybym mógł to zrobić nie raniąc przy okazji sześciu czy siedmiu niewinnych ludzi, a naturalnie nie mogłem – stary allen robi takie rzeczy hurtem. Szkoda, że ci nicponie sami nie siedzieli na drzewie; odeszłaby im wtedy ochota do śmiechu. Ach, .gdybym miał przyzwoitego wierzchowca! Ale nie – jak tylko koń zobaczył, że ten bizon pędzi na niego z rykiem, poderwał przednie kopyta do góry i stanął dęba. Siodło zaczęło się zsuwać, więc objąłem go za szyję i dalej odmawiać w duchu modlitwy! Potem opadł na cztery kopyta, ale zaraz poderwał zad do góry i znowu stał tak chwilę, a bizon przestał bić kopytami i ryczeć i przyglądał się temu cudacznemu przedstawieniu. Wreszcie zaatakował konia z przeraźliwym rykiem, który mnie owszem przestraszył, ale który mojemu koniowi odebrał resztki rozumu i zrobił z niego kompletnego obłąkańca. Niech padnę trupem, jeżeli nie stał z ćwierć minuty na łbie i nie płakał żywymi łzami. Dostał bzika, sam nie wiedział, co robi. Potem nagle bizon znowu nas zaatakował, a mój koń opadł na cztery kopyta i zaczął nowe sztuki – przez dziesięć minut fikał kozły jeden po drugim z taką żywością, że bizon też dostał lekkiego pomieszania i nie wiedział, jak się zabrać do roboty; stał

więc tylko prychając! porykując, bijąc ziemię kopytami i pewnie myślał, że będzie miał na śniadanie cyrkowego konia wartości tysiąca pięciuset dolarów. A ja – no cóż, raz byłem na jego karku – konia, nie bizona – raz na brzuchu, kiedy indziej na zadzie, to głową do góry, to na dół, ale powiem wam, że mi się to wydawało niestosowne i grzeszne – fikać kozły, skakać i wyprawiać brewerie w obliczu śmierci. W pewnej chwili bizon kłapnął zębami i wyrwał koniowi trochę włosów z ogona (pewien nie jestem, tylko mi się zdaje, bo byłem wtedy mocno zajęty), ale koń nagle – nie wiadomo czemu – zateśknął za samotnością i postanowił jej szukać. A wtedy – ha! Żałujcie, żeście nie widzieli tego chudonogiego kościotrupa, kiedy się rzucił do galopu. I żałujcie, żeście nie widzieli, jak go bizon gonił – z łbem przy ziemi, ozorem na wierzchu, ogonem zadartym do góry. A jak przy tym ryczał, jak wyszarpywał kopytami grudy ziemi, jakie słupy piachu wzbijał w powietrze! Na Boga – to był pościg! Zsunąłem się razem z siodłem na sam zad, uzdę trzymałem w zębach, rękami uczepiłem się kul siodła. Najpierw psy zostały za nami, potem wyprzedziliśmy oślego królika, wreszcie prześcignąwszy kojota zaczęliśmy doganiać antylopę, gdy raptem pękły te piekielne popręgi i przeleciawszy w powietrzu ze trzydzieści jardów w lewo, runąłem na ziemię; a ponieważ siodło zsunęło się koniowi z zadu, kopnął je kopytami z taką siłą, że poleciało do góry najmniej czterysta jardów. Niech zaraz padnę trupem, jeżeli tak nie było! Leżałem pod samotnym drzewem, jedynym na dziewięć sąsiednich okręgów (co każdy by zauważył gołym okiem), i w następnej sekundzie wczepiłem się w korę czterema kompletami paznokci i zębami, a po jeszcze jednej sekundzie siedziałem okrakiem na górnej gałęzi i bluźniłem własnemu losowi w taki sposób, że zaczęło zalatywać ode mnie piekielną siarką.

Wiedziałem, że ze strony bizona nic mi teraz nie grozi – jeżeli nie przyjdzie mu do głowy pewna myśl. Ale właśnie tego się bałem. Bardzo się bałem. Było możliwe, że bizon nie wpadnie na ten pomysł, chociaż więcej było szans, że wpadnie. Ale wiedziałem już, co zrobić w takim przypadku. Miałem do cierni ze czterdzieści stóp. Bardzo ostrożnie rozwinąłem lasso przymocowane do lęku mojego; siodła...

– Siodła? To wdrapałeś się na drzewo z siodłem?

– Wdrapałem się na drzewo z siodłem? Co też ty wygadujesz! Skąd! Nikt by tego nie potrafił. Siodło spadło między gałęzie.

– Ach tak... rozumiem.

– No właśnie. Rozwinąłem lasso i przymocowałem jeden koniec do gałęzi. Było zrobione z najlepszej skóry, mogło utrzymać nie wiem jaki ciężar. Drugi koniec związałem w pętlę i spuściłem na dół, żeby sprawdzić długość. Siegało w dół na dwadzieścia dwie stopy, na połowę odległości do ziemi. Potem naładowałem wszystkie sześć komór allena podwójnym ładunkiem. Poczulem satysfakcję. Powiedziałem sobie, że jeśli bizonowi nie przyjdzie na myśl, żeby zrobić tę jedną jedyną rzecz, której się boję, tym lepiej. Ale jeśli mu to przyjdzie do głowy, też dobrze. Jestem przygotowany na jego przyjęcie. Ale wiecie, jak to jest – to, czego się człowiek obawia, prędzej czy później zawsze przychodzi. Obserwowałem teraz bizona z niepokojem, którego nie zdoła pojąć ten, co nie był w podobnej sytuacji. Rozumiałem, że w każdej chwili może przyjść do mnie śmierć. Nagle myśl błysnęła w oku zwierzęcia. Wiedziałem, że tak będzie. Jeżeli nie zachowam zimnej krwi, zginę. Jak przewidywałem, zaczął się wspinać na drzewo...

– Kto, bizon?

– Naturalnie. Kto inny mógł się wspinać?

– Bizon nie potrafi wdrapać się na drzewo.

– Nie potrafi, tak uważasz? Jak jesteś taki mądry, to mi powiedz: widziałeś kiedy bizona, który próbował wdrapać się na drzewo?

– Skąd!

– No to po co mówisz takie rzeczy? To, że nie widziałeś, żeby ktoś coś robił, nie jest jeszcze dowodem, żeby to nie mogło być zrobione. Mam rację?

– W porządku. Mów dalej. Co zrobiłeś?

– Bizon wdrapał się na wysokość może dziesięciu stóp, ale zjechał na ziemię. Odetchnąłem. Drugi raz spróbował, wlaź trochę wyżej, znowu się ześliznął. Za trzecim razem był ostrożniejszy. Wspiął się coraz wyżej i wyżej, a ja upadałem na duchu coraz niżej i niżej. Po kawałku, cal za cal – wyżej, wyżej. Ślepią mu się jarzyły, jęzor zwiślał z pyska. Wyżej, wyżej – postawił kopyto na odłamanej gałęzi i spojrzał w górę, jakby chciał powiedzieć: „Dobre będzie z ciebie śniadanie, bratku”. Do góry, po calu, po kawałku, a im był bliżej, tym się bardziej rozszerzał. Odległość wynosiła teraz dziesięć stóp! Odetchnąłem głęboko i powiadam sobie: „Teraz albo nigdy”. – Węzeł miałem naszykowany, zacząłem wypuszczać lasso po kawałku, dopóki nie zawisło tuż nad jego łbem. Nagle popuściłem, zahaczyłem i pętla zacisnęła mu się równiutko dookoła szyi. Błyskawicznie wyciągnąłem allena i wypaliłem mu prosto w pysk. Huk był tak potworny, że chyba przestraszył bizona na śmierć. Jak tylko dym opadł, zobaczyłem go – wisiał w powietrzu, dwadzieścia stóp nad ziemią i przechodził z jednych śmiertelnych drgawek w drugie szybciej, niż można było zliczyć. Nie zostałem jednak, żeby liczyć, zsunąłem się z drzewa i przygnałem tu do was.

– Bemis, czy to wszystko prawda?

– Niech tu zdechnę zaraz jak pies, jeżeli to nie jest prawda.

– Hm, nie możemy ci naturalnie nie wierzyć. Swoją drogą, gdyby były jakieś dowody...

– Dowody! Przyniosłem z powrotem moje lasso?

– Nie.

– Przyprowadziłem konia?

– Nie.

– Widzieliście później tego bizona?

– Nie.

– No to czego jeszcze chcecie? Nigdy w życiu nie spotkałem ludzi, którzy by się tak jak wy czepiali drobiazgów.

Pomyślałem sobie, że jeśli Bemis nie jest kłamcą, to mu do tego niewiele brakuje. Ta przygoda przypomniła mi pewien epizod z mojego krótkiego pobytu w Syjamie, gdzie byłem w wiele lat później. Wśród europejskich mieszkańców miasta położonego niedaleko Bangkoku znajdowało się pewne dziwadło nazwiskiem Eckert – Anglik słynny z ilości, pomysłowości i wprost imponujących rozmiarów kłamstw. Znajomi powtarzali wciąż jego ciekawsze łgarstwa i usiłowali go „podpuszczać” przy obcych. Ale udawało im się to bardzo rzadko. Dwukrotnie zapraszano go do domu, w którym mieszkałem, ale niczym nie zdołaliśmy go skusić do jakiegoś popisowego kłamstwa. Pewnego dnia mój znajomy plantator nazwiskiem Bascom, człowiek wpływowego, dumny i niekiedy gwałtowny, zaprosił mnie na przejażdżkę konną; mieliśmy odwiedzić Eckerta.

– Wie pan, w czym leży błąd? W tym, że wzbudzamy czujność Eckerta. Wystarczy, żeby chłopcy zaczęli go podpuszczać, a on już wie, o co im chodzi, i zamyka się jak ślimak w skorupie. Nic dziwnego. Ale my rozegramy naszą partię delikatniej. Niech sam prowadzi rozmowę wedle swojej chęci, niech przeskakuje z tematu na temat, niech go zmienia. Niech się przekona, że nikt nie próbuje go podpuszczać. Słowem – dajmy mu wolną rękę. Zobacz pan, że się bardzo prędko zapomni i zacznie wytrząsać kłamstwa jak z rękawa. Tylko proszę się nie niecierpliwic. Najlepiej niech pan nic nie mówi, a ja już dam sobie z nim radę. Zmuszę go do kłamstw. Nie rozumiem, jak to możliwe, że chłopcom nie przyszedł do głowy tak prosty i niezawodny sposób.

Eckert, człowiek miły w rozmowie i łagodny w obejściu, przyjął nas bardzo serdecznie. Siedzieliśmy na werandzie pijąc angielskie piwo i przez godzinę rozmawialiśmy o królu, o świętym białym słoniu, o Śpiącym Bóstwie i tym podobnych rzeczach. Zauważyłem, że mój towarzysz nie forsuje rozmowy, nie próbuje jej kierować na takie czy inne tory i nie zdradza najmniejszego niepokoju czy zniecierpliwienia, całą inicjatywę pozostawiając Eckertowi.

Skutek był niebawem widoczny. Eckert stał się przystępniejszy, swobodniejszy, bardziej rozmowny. Spędziliśmy jeszcze godzinę na podobnej rozmowie i nagle Eckert powiedział:

– Och, byłbym zapomniał. Mam tu w domu coś, co was wprawi w zdumienie, coś, o czym ani wy, ani nikt inny nie słyszał. Mam kota, który jada orzechy kokosowe! Zwyczajne zielone orzechy kokosowe. I nie tylko zjada miąższ, ale pije także mleko. Naprawdę, przysięgam wam, panowie.

Bascom rzucił mi szybkie spojrzenie, które doskonale zrozumiałem. Powiedział:

– Niech mnie kule biją! Nigdy w życiu nie słyszałem o czymś takim. Człowieku, to jest niemożliwe.

– Wiedziałem, że pan to powie. Zaraz przyniosą kota. Wszedł do domu. Bascom powiedział:

– Nie mówiłem panu? Oto jak należy postępować z Eckertem. Cały czas podbijałem mu bębenek i wreszcie uspiłem jego czujność. Dobrze się stało, że przyjechaliśmy tutaj. Jak wrócimy, opowie pan o tym chłopcom. Kot jedzący orzechy kokosowe – nie wytrzymam! Taki on właśnie jest, ten Eckert. Powie najbzdurniejsze kłamstwo i potem na los szczęścia próbuje się z tego wykaraskać. Kot zjadający kokosowe orzechy – co za naiwna blaga!

Wrócił Eckert z kotem, minę miał bardzo pewną siebie.

Bascom uśmiechnął się. Powiedział:

– Potrzymam kota. Niech pan da orzech.

Eckert rozłupał orzech kokosowy i odkrajał kilka kawałków miąższu. Bascom mrugnął do mnie ukradkowo i podał kotu plasterek owocu. Kot szarpnął zębami, połknął żarłocznie i – poprosił o więcej.

Dwie mile do miasta przejechaliśmy w milczeniu, prowadząc wierzchowce z daleka od siebie. Przynajmniej ja milczałem, bo Bascom okładał swojego konia i ostro na niego pokrzykiwał, chociaż koń zachowywał się zupełnie przyzwoicie. Kiedy żegnałem się z nim, Bascom powiedział:

– Konia może mi pan oddać jutro. I... i nie musi pan zaraz, opowiadać chłopcom o tym... głupstwie.

VIII. OTO NADJEŹDŹA UMYŚLNY POSŁANIEC

Niebawem wszystko przestało dla nas istnieć. Wykręcaliśmy szyje i wyteżali wzrok, żeby zobaczyć kuriera, ręczego posłańca, który pędził przez kontynent z St. Joseph do Sacramenta wioząc listy, i przebywał tysiąc dziewięćset mil w osiem dni! Pomyślcie, do czego zdolne jest nasze śmiertelne ciało, do czego zdolny jest nie mniej śmiertelny koń! Kurierami byli zwykle ludzie drobnego wzrostu, wielkiej odwagi i nieskończonej wytrzymałości. Nocą czy dniem, zimą czy latem, podczas deszczu, śniegu, gradu, czy droga prowadziła przez gładką równinę, czy też była ścieżką górską biegnącą przez szczyty i nad przepaściami, czy trasa wiodła przez obszary spokojne, czy też tereny zaludnione przez wrogich Indian – kurier wskakiwał na siodło i gnał z szybkością wiatru. Kurier na służbie nie mitrężył czasu. Przejeżdżał pięćdziesiąt mil bez zatrzymania – za dnia czy przy księżycu, przy blasku gwiazd, w najczarniejszą noc – jak popadło. Dosiadał wspaniałego wierzchowca, który jadał i mieszkał jak prawdziwy dżentelmen. Przez dziesięć mil zmuszał konia do wyteżonego galopu, a potem wpadał jak wichur na stację, gdzie dwóch ludzi trzymało w pogotowiu nowego niecierpliwego wierzchowca; zmiana konia, przeniesienie torby z pocztą – wszystko to trwało mgnienie oka i zanim widzowie zdołali się zorientować, ręcza para znów zniknęła im z oczu. Zarówno jeździec, jak i koń „nosił się lekko”. Jeździec miał na sobie ubranie cienkie i dopasowane – krótką opończę, małą myckę na głowie i spodnie wsunięte w cholewy butów jak dżokeje. Nie nosił przy sobie broni, lecz tylko rzeczy najniezbędniejsze, bo porto listów, które wiozł w torbie, wynosiło pięć dolarów od sztuki. Wiozł niewiele korespondencji frywolnej, jego torbę wypełniały listy handlowe. Koniowi też oszczędzano wszelkiego zbędnego obciążenia. Miał lekkie podkowy albo w ogóle nie był podkutym; na grzbiecie lekkie siodło wyścigowe i derkę tak małą, że nie było widać jej brzegów. W małych, płaskich torbach z listami, przytroczonych poniżej ud jeźdźcy, zmieściłaby się zawartość dwóch dziecięcych tornistrów. Ale zawierały wiele ważnych wiadomości prasowych i listów handlowych pisanych dla oszczędności wagi i miejsca na papierze nie grubszym od złota w listkach. Dylizans przebywał sto do stu dwudziestu pięciu mil w ciągu doby, kurier około dwustu pięćdziesięciu. Nocą i dniem siedziało w siodłach około osiemdziesięciu kurierów rozciągających się długą, przerywaną linią od Missouri aż po wybrzeże Pacyfiku. Czterdziestu pędziło na zachód, czterdziestu na wschód, dosiadając czterystu dzielnych koni, które ciężką pracą zarabiała na doskonałe utrzymanie i dzień w dzień przez okrągły rok oglądały mnóstwo ciekawych widoków.

Od początku podróży marzyliśmy o zobaczeniu kuriera, ale tak się jakoś składało, że ci, którzy nas mijali, i ci, którzy jechali z przeciwnego kierunku, przemykali się obok nas nocą; słyszeliśmy więc tylko tupot i szum i szybko konoga zjawa pustyni zniknęła, zanim zdążyliśmy wyrzeć przez okno. Teraz jednak, w biały dzień, spodziewaliśmy się lada minutę zobaczyć posłańca. Nagle woźnica zawołał:

– Jedzie! jedzie!

Wszyscy wyciągają szyje, wszyscy nateżają wzrok. Ponad bezkresną wymarłą płaszczyznę prerii pojawia się na horyzoncie czarny punkcik, najwyraźniej ruchomy. I to jak ruchomy! Po kilku sekundach punkcik staje się jeźdźcem i koniem – podnosi się, opada, podnosi się, opada – w szalonym pędzie coraz bardziej się do nas zbliża, jest coraz wyraźniejszy, kontury ma coraz ostrzejsze – bliżej, bliżej! Słysząc teraz stłumiony tętent, coraz głośniejszy, bliżej, bliżej i – po sekundzie gromkie „hura!” z dachu naszego wozu, jeździec wymachuje ręką, ale nie odpowiada; człowiek i koń mijają nas jak burza i nikną w oddali.

Wszystko stało się tak nagle i tak bardzo przypominało wybryk rozbujanej fantazji, że gdy-

by nie bryzg białej piany na jednym z worków pocztowych, utrzymujący się jeszcze kilka chwil po tym, jak zjawa przemknęła obok nas i zniknęła – nie mielibyśmy chyba pewności, czy naprawdę widzieliśmy jeźdźca i konia.

Niebawem przebyliśmy stromą Przełęcz Scotta. Gdzieś w tych stronach po raz pierwszy zobaczyliśmy na drodze autentyczną wodę alkaliczną i powitaliśmy ją jako osobliwość najwyższego rzędu, o której należy pisać w listach do ignorantów w domu. Droga wyglądała jak pokryta mydlaną pianą, a miejscami ziemia sprawiała wrażenie wybielonej wapnem. Wydaje mi się teraz, że ta osobliwa woda alkaliczna zrobiła na nas silniejsze wrażenie, niż inne dziwy dotąd oglądane, i pamiętam, że gdy dodaliśmy ją do listy rzeczy, któreśmy widzieli, a których inni ludzie nie mieli okazji zobaczyć, wzrosło nasze zadowolenie z samych siebie i zarozumiałość. W pewnym sensie byliśmy podobni do owych głupców, którzy wdrapując się niepotrzebnie na niebezpieczne szczyty Matterhornu czy Mont Blanc nie znajdują w tym żadnej absolutnie przyjemności, lecz tylko satysfakcję, że nie wszyscy mają takie przeżycia. Ale od czasu do czasu jeden z nich potyka się i w pozycji siedzącej zjeżdża w dół długimi górskimi żlebami, wzbijając za sobą pył śnieżny – przeskakuje z półki na półkę, z tarasu na taras, dziurawi ziemię w miejscu, gdzie się z nią styka, nadziewa się na lodowce, drze ubranie w strzępy, czepia się po drodze wszelkich możliwych uchwytów, obejmuje drzewa i wyrывa je z korzeniami, strąca małe kamienie, potem wielkie głazy, gromadząc całe hektary śniegu i lodu, całe połacie lasu, wciąż coś dodaje do swojego pędzącego w dół majestatu i cały czas zbliża się do głębokiej na trzysta jardów przepaści, aż w końcu zjeżdża w wieczność na grzbiecie rozszalałej lawiny.

Brzmi to wszystko bardzo pięknie, ale nie dajmy się ponosić wzruszeniom, tylko spytajmy spokojnie: jak też czuje się taki człowiek nazajutrz, z sześcioma czy siedmioma tysiącami stóp śniegu, i nie tylko śniegu nad głową?

Przeprawiliśmy się przez wydmy piaszczyste w pobliżu miejscowości, gdzie w roku 1856 Indianie dokonali słynnego napadu na dyliżans i masakry; zginęli wtedy woźnica i konduktor, a także – jak powiadano – wszyscy pasażerowie z wyjątkiem jednego, który się uratował. Ale musiała tu zajść jakaś pomyłka, bo w latach późniejszych zawarłem na wybrzeżu Pacyfiku osobistą znajomość ze stu trzydziestu trzema czy czterema osobami, które ranne podczas słynnej masakry ledwo uszły z życiem. Jakże mogłem im nie wierzyć – słyszałem te relacje z ich własnych ust! Jeden z tych osobników powiedział mi, że jeszcze w sześć czy siedem lat po masakrze natrafiał w ciełe i wyskubywał ostrza strzał; od drugiego dowiedziałem się, że był dosłownie naszpikowany strzałami, a gdy Indianie odeszli i mógł wstać i przyjrzeć się sobie, zapłakał, bo ubranie miał zupełnie zniszczone.

Ale źródła naprawdę wiarygodne zapewniają, że zachował się przy życiu tylko jeden jedyny pasażer, człowiek nazwiskiem Babbit, który odniósł bardzo ciężkie rany. Przyczółkał się (jedną nogę miał złamaną) do stacji odległej o wiele mil. Dokonał tego w ciągu dwóch nocy, gdyż cały jeden dzień i część drugiego krył się przed Indianami i przez ponad czterdzieści godzin cierpiał niewypowiedziane katusze głodu i pragnienia. Indianie obrabowali dyliżans zabierając sporo kosztowności.

IX. PRZESTAŃCIE PANOWIE! JA JUŻ JESTEM NIEBOSZCZYK!

W nocy minęliśmy Fort Laramie i siódmego dnia rano znaleźliśmy się wśród Czarnych Gór; tuż obok (przynajmniej pozornie) wznosił się potężny samotny szczyt Laramie, w kolorze ciemne, bogate, głębokie indygo – tak złowieszco spoglądał na nas ten stary kolos spod zmarszczonej brwi chmur burzowych. W rzeczywistości był od nas odległy o kilkadziesiąt mil, ale zdawało nam się, że jest tuż za łańcuchem niskich pagórków po naszej prawej. Zjedliśmy śniadanie na stacji Podkowa, oddalonej od St. Joseph o sześćset siedemdziesiąt mil! Wkroczyliśmy teraz na terytorium zamieszkałe przez wrogie szczepy indiańskie; w południe minęliśmy stację Laparelle i cały czas w tej okolicy czuliśmy się bardzo głupio, bo wiedzieliśmy, że za wieloma drzewami, które nasz dyliżans mijał na odległość ramienia, krył się jeden, a może dwóch Indian. Poprzedniej nocy taki dzikus strzelający z zasadzki przedziurawił kurtkę pędzącego z pocztą kuriera, ale on mimo to pojechał dalej, bo kurierowi nie wolno się zatrzymywać i pytać, jak i co, chyba że już nie żyje. Dopóki tli się w nim jeszcze życie, musi siedzieć na siodle i jechać, nawet jeżeli Indianie czekają na niego już od tygodnia i są bardzo zniecierpliwieni. Mniej więcej na dwie godziny przed naszym przybyciem do stacji Laparelle zarządzający oddał cztery strzały do Indianina, ale powiedział nam z obrażoną miną, że Indianin „tak się diablo wiercił, że wszystko zepsuł, a amunicji też jest diablo mało”. Z tonu, jakim to powiedział, wypływał jasny i naturalny wniosek, że „wierząc się diablo” Indianin postąpił wręcz nieuczciwie. Nasz dyliżans miał na przedzie równą, okrągłą dziurkę – pamiątkę po ostatniej podróży przez te okolice. Kula, która wywierciła tę dziurkę, zraniła lekko woźnicę, ale on nic sobie z tego nie robił. Powiedział, że „człowiek miewał pietra” gdzie indziej, bardziej na południe, między szczepami Apaszów, zanim towarzystwo pocztowe przeniosło linię na trasę północną. Powiedział też, że Apasze bezustannie mu się naprzykrzali i że o mało co nie umarł z głodu pośród największego dostatku, bo Indianie tak go bezustannie dziurawili kulami, że wikt „nic tylko z niego wyciekał”. Człowiek ów nie miał opinii prawdziwego.

Tej pierwszej nocy na wrogim indiańskim terytorium umocowaliśmy starannie zasłony na oknach i wsunęliśmy pod siebie pistolety. Trochę spaliśmy na nich, ale przeważnie tylkośmy leżeli. Rozmowa się nie kleiła, milczeliśmy wyteżając słuch. Noc była czarna jak smoła, od czasu do czasu padał deszcz. Znajdowaliśmy się wśród takiej gmatwaniny lasów i skał, pagórków i wąwozów, że wyjrzawszy przez szparę w zasłonie, nic nie mogliśmy dojrzeć. Woźnica i konduktor na koźle też milczeli lub rozmawiali tylko z rzadka i głosem cichym, jak to robią ludzie w obliczu niewidzialnego niebezpieczeństwa. Wsłuchiwalismy się w grzechot kropel deszczu na dachu; w skrzyp kół po zwirowatym mule; w przeciągłe zawodzenie wiatru. I cały czas mieliśmy uczucie – absurdatne i nieodłączne od podróżowania nocą w zamkniętym pojeździe – że tkwimy w miejscu mimo podskakiwania i kołysania, stuku kopyt końskich i skrzypienia kół. Nadśluchiwalismy bardzo długo, wstrzymując oddech, natężając uwagę. A ilekroć któryś z nas znajdował chwilowe odprężenie, wzdychał z ulgą i chciał coś powiedzieć, natychmiast inny wołał: „Słyszycie?” i nieszczęsny eksperymentator na powrót zamieniał się cały w słuch. I tak wlokły się nużące minuty i kwadransy, aż w końcu zmęczenie przytępiło nasze zmysły i zasnęliśmy – jeśli można tak mocnym słowem określać ów dziwny stan. Był to sen-chaos, w którym roily się i kłębiły niesamowite i przerażające strzępy i fragmenty marzeń sennych. Lecz nagle huk wystrzału i krzyk – przeciągły, oszalały, pełen bólu przerwał sen z jego zmorami i posępną ciszą nocy. Potem usłyszeliśmy w odległości

dziesięciu stóp od naszego dylizansu:

- Ratunku! Ratunku! Ratunku! – Był to głos naszego woźnicy.
- Zabić go! Zabić go jak psa!
- Mordują mnie! Dajcie pistolet!
- Uważajcie! W łeb! W łeb!

Dwa strzały z pistoletu; zmieszany gwar głosów i tupot wielu nóg, jak gdyby tłum gromadził się i zamykał wokół jednego punktu; kilka potężnych, głuchych uderzeń jakby pałką; i błagalny głos:

– Przestańcie, panowie, przestańcie! Ja już jestem nieboszczyk! – Potem cichszy jęk, jeszcze jedno uderzenie i nasz dylizans pomknął w ciemność zostawiając posępną tajemnicę za nami. Cóż to był za wstrząs! Wszystko trwało osiem sekund, może nawet pięć. Zaledwie zdążyliśmy dopaść okna i w niezdatnym, nerwowym pośpiechu odpiąć część sprzączek i zatrzaśków, gdy nad naszymi głowami rozległ się trzask bicia i pojazd z hukiem i turkotem potoczył się w dół górskiej drogi.

Ta przerażająca tajemnica stała się na resztę nocy pożywką dla naszych myśli. Chwilowo musiała zostać tajemnicą nie wyświetloną, bo z konduktora niewiele zdołaliśmy wydobyć; na nasze wołania usłyszeliśmy jedynie coś, co poprzez skrzyp i stuk kół brzmiało jak: „Powiem wam z rana!”

Zapaliliśmy więc fajki i uchyliwszy dla przewiewu róg zasłony leżeliśmy w ciemności przysłuchując się kolejnym opowieściom o tym, co który z nas sobie najpierw pomyślał, ile setek Indian rzuciło się według niego na nasz dylizans, co pamiętał z następujących po sobie dźwięków i jaka była ich kolejność. Naturalnie teoretyzowaliśmy sporo na ten temat, ale żadna teoria nie mogła nam wytłumaczyć ani skąd się wziął tam w ciemności głos naszego woźnicy, ani dlaczego jego indiańscy mordercy (jeżeli to byli Indianie) mówili tak doskonale po angielsku.

Gawędziliśmy więc sobie i palili fajki bardzo przyjemnie aż do świtu, a nasz lęk – ograniczony dotąd do dziedziny wyobraźni – rozproszył się w cudowny sposób w obliczu czegoś rzeczywistego i naprawdę przerażającego.

Nigdy nie udało nam się zaspokoić w pełni naszej ciekawości. Z urywków i strzępów zebranych rano informacji zdołaliśmy się tylko zorientować, że zdarzenie miało miejsce na jednej ze stacji; że zmienialiśmy tam woźnicę i że woźnica, który zszedł z naszego dylizansu, wyrażał się kiedyś źle o wyjętych spod prawa zbójach, których pełno było w tej okolicy. („Bo też tam są sami tacy, co mają cenę wyznaczoną na głowę i nie śmiają się pokazać w osiedlach” – powiedział konduktor). Otóż nasz woźnica wyrażał się źle o tych typach i „powinien był zajechać tam z pistoletem gotowym do strzału i pierwszy wziąć się do rzeczy, bo każdy dureń by wiedział, że na niego czekają”.

Tylko tyle zdołaliśmy się dowiedzieć i zauważyliśmy, że ani konduktor, ani nasz nowy woźnica nie przejmują się zbytnio tą sprawą. Najwyraźniej mieli mało szacunku dla człowieka, który wygłasza opinie obraźliwe dla innych, a przy tym jest tak głupi, że idzie na spotkanie obrażonych przez siebie ludzi nie przygotowany „dowieść swej słuszności”, jak w sympatyczny sposób woźnica i konduktor określili morderstwo dokonane na bliźnim, który nie podziela rzeczonych opinii. Ponadto gardzili biednym woźnicą również za to, że w nierozważny sposób rozbudził przeciwko sobie gniew tych dzikich, krwiożerczych bestii. Konduktor powiedział:

- Mówię wam, że na coś takiego jeden Slade mógłby sobie pozwolić.

Ta uwaga pchnęła moją ciekawość w zupełnie innym kierunku. Przestali mnie obchodzić Indianie, nie interesowałem się już nawet zamordowanym woźnicą. Slade – jakże zdumiewającą magię zawierało w sobie to nazwisko. Dniem czy nocą byłem gotów porzucić każdy temat, żeby usłyszeć coś nowego o Slade’zie i jego przerażających czynach. Jeszcze zanim dotarliśmy do Overland City, słyszeliśmy pierwsze opowieści o Slade’zie i „dystrykcie” (był

bowiem agentem), którym zarządzał. A po wyjeździe z Overland City konduktorzy i woźnice ograniczali swoje rozmowy do trzech tematów: Kalifornia, kopalnie srebra w Newadzie i słynny *desperado* Slade, przy czym Slade wysuwał się na pierwsze miejsce. Stopniowo utwierdził się w przekonaniu, że Slade jest człowiekiem o sercu, duszy i rękach zbuczonych krwią tych wszystkich, którzy obrazili jego godność; człowiekiem, który w sposób straszny mści się za wszystkie krzywdy, afronty, obelgi i zniewagi – jeśli to możliwe natychmiast, jeśli los zrządził inaczej, po wielu latach; człowiekiem, którego dniem i nocą spala nienawiść, dopóki nie znajdzie dla niej ukojenia w zemście – a przez zemstę rozumie śmierć swojego wroga; człowiekiem, którego twarz rozjaśnia się w szatańskim uśmiechu radości, gdy zdoła zaskoczyć wroga i ma nad nim przewagę. Ważny i ceniony pracownik Pocztowej Linii Kontynentalnej, zbrodniarz nad zbrodniami i jednocześnie ich bicz boży, Slade był najbardziej krwiożerczym, najniebezpieczniejszym, a zarazem najcenniejszym obywatelem zamieszkującym dziką fortecę Gór Skalistych.

X. SLADE, CZŁOWIEK BUDZĄCY GROZĘ

Naprawdę bez przesady, odkąd minęliśmy Julesburg, dwie trzecie rozmów między woźnicami i konduktorami obracało się wokół Slade'a. Aby czytelnik ze wschodnich stanów mógł pojąć i zrozumieć, czym jest *desperado* z Gór Skalistych w swoim najwspanialszym rozkwicie, postaram się zamknąć całą tę masę plotek stepowych i pogłosek w jedno zwężłe opowiadanie. Oto ono:

Slade urodził się w Illinois, pochodził z dobrej rodziny. Gdy miał lat dwadzieścia sześć, zabił w kłótni człowieka i zbiegł. W St. Joseph, Missouri, przyłączył się do jednego z wczesnych taborów pionierskich zdążających do Kalifornii i został kierownikiem taboru. Pewnego dnia na prerii pokłócił się gwałtownie z którymś ze swoich woźniców, przy czym obaj wyciągnęli rewolwery. Ale woźnica był lepszym artystą i pierwszy wycelował do przeciwnika. Wtedy Slade powiedział, że nie warto marnować życia dla takiej drobnostki i zaproponował, aby rzucili obaj pistolety i rozstrzygnęli spór w walce na pięści. Łatwowierny woźnica rzucił pistolet, a wtedy Slade zaśmiał się z jego głupoty i położył go trupem.

Znowu zbiegł i przez pewien czas żył jak dziki człowiek dzieląc swój czas między walki z Indianami, a ucieczki przed szeryfem z Illinois, którego za nim wysłano z nakazem aresztowania za pierwsze morderstwo. Powiadają, że w jednej walce z Indianami zabił własnoręcznie trzech dzikich, a potem obciął im uszy i posłał je z pozdrowieniami przywódcy szczepu.

Slade zyskał niebawem sławę człowieka nieustraszonej odwagi, była to zaś cnota dostatecznie cenna, aby mu zaproponowano ważne stanowisko agenta okręgu Overland na miejsce odwołanego agenta Julesa. Już od dłuższego czasu zbrojne bandy wyjętych spod prawa zbójców kradły konie pocztowe i zatrzymywały dyliżanse; ludzie ci śmieliby się, gdyby im powiedziano, że ktokolwiek odważy się okazać im swoje niezadowolenie z powodu tych wykroczeń. Slade okazał swoje niezadowolenie, nawet bardzo prędko. Bandyci zrozumieli niebawem, że nowy agent nie boi się niczego na świecie. Z przestępcami rozprawiał się bardzo stanowczo. Skutek był taki, że nikt nie zatrzymywał pojazdów, nikt nie kradł własności pocztowej i bez względu na to, co się działo i kto na tym cierpiał, dyliżanse Slade'a przechodziły za każdym razem cało i bezpiecznie. To prawda, że aby zaprowadzić ten nowy porządek, Slade musiał zastrzelić kilku ludzi – niektórzy powiadają, że trzech, inni, że czterech, jeszcze inni, że sześciu; ale świat nic nie stracił na ich śmierci. Na pierwsze większe trudności natrafił Slade ze strony byłego agenta Julesa, który sam miał reputację człowieka niebezpiecznego i desperackiej odwagi. Jules nienawidził Slade'a za to, że ten zajął jego miejsce, i teraz czekał tylko na okazję do walki. Po niedługim czasie Slade odważył się przyjąć z powrotem do pracy człowieka, którego Jules kiedyś wyrugował. Następnie odnalazł zaginiony rzekomo zaprzęg i oskarżył Julesa, że to on uprowadził konie i ukrył je na własny użytek. Wojna została wypowiedziana i przez dwa dni obaj mężczyźni chodzili po ulicach i szukali się: Jules uzbrojony w dwururkę, Slade w swój legendarny już rewolwer. W końcu Slade wszedł do jakiegoś sklepu i Jules zza drzwi wpakował w niego cały ładunek swojej strzelby. Ale Slade był człowiekiem dzielnym i Jules otrzymał w zamian kilka groźnych ran. Po czym mężczyźni padli na ziemię, a gdy niesiono ich do domów, obaj przysięgali, że następnym razem będą lepiej mierzyć. Długo leżeli w łóżkach, ale Jules pierwszy wylizał się z ran, zapakował cały swój dobytek na dwa muły i zbiegł w Góry Skaliste, żeby zbierać siły na dzień ostatecznych porachunków. Przez wiele miesięcy nie widziano go ani o nim nie słyszano i w końcu zapomnieli o nim wszyscy – z wyjątkiem Slade'a. Slade nie należał do ludzi, którzy

zapominają. Przeciwnie, powiadano, że wyznaczył nagrodę za Julesa – żywego czy umarłego!

Gdy po jakimś czasie energiczna administracja Slade'a przywróciła spokój i porządek na jednym z najgorszych odcinków drogi, zarząd Towarzystwa Poczty Kontynentalnej przeniósł go do okręgu Rocky Ridge w Górach Skalistych, w nadziei, że dokona tam podobnego cudu. Był to raj awanturników i bandytów. Nie istniało tu żadne prawo, nie zachowywano nawet pozorów praworządności. Panował gwałt. Siła była jedyną uznaną władzą. Najdrobniejsze nieporozumienia regulowano na miejscu, za pomocą rewolweru lub noża. Morderstw dokonywano jawnie, w biały dzień, i nikomu nie przychodziło nawet na myśl, że można by prowadzić dochodzenie przeciwko mordercy. Uważano powszechnie, że strony uczestniczące w zabójstwie mają po temu swoje osobiste powody; wtrącanie się do spraw tak prywatnych byłoby uznane za brak delikatności. Etykieta Gór Skalistych wymagała od widza jedynie tego, żeby pomógł myśliwemu pogrzebać zwierzynę – inaczej ten brak ogłady towarzyskiej mógłby mu być wypomniany przy pierwszej okazji, to jest, gdy sam zabije człowieka i będzie mu potrzebna sąsiedzka pomoc przy grzebaniu.

Slade spokojnie i nie wadząc nikomu osiedlił się w tym zbiorowisku koniokradów i zbrodniarzy, a gdy pierwszy raz któryś z nich spróbował przed nim swych beczelnych przechwałek, położył go trupem. Urządzał regularnie najazdy na bandytów i w bardzo krótkim czasie położył kres rabunkom inwentarza, odzyskał większość skradzionych koni, zabił kilku najgroźniejszych spośród *desperados* tego okręgu i zyskał taką przewagę nad resztą, że zaczęli go szanować, podziwiać, bać się go i słuchać! Zaprowadził tu te same zadziwiające zmiany w obyczajach społeczności, jakie upamiętniły okres jego rządów w Overland City. Ujął dwóch ludzi, którzy kradli konie pocztowe, i własnoręcznie ich powiesił. Był w swoim okręgu najwyższym sędzią – był jednocześnie sądem przysięgłych i katem. I to nie tylko w odniesieniu do przestępstw przeciwko własności swoich pracodawców, lecz także do dobytku przeciągających okolicą emigrantów. Kiedyś jacyś emigranci, którym ukradziono inwentarz, powiedzieli o tym Slade'owi, gdy ten przypadkiem odwiedził ich obóz. Dosiadł konia i z jednym tylko towarzyszem pojechał na rancho pewnego człowieka, którego podejrzewał o kradzież; wchodząc do domu otworzył ogień, zabił trzech mężczyzn, a czwartego zranił.

Przytaczam krótki fragment z interesującej, ociekającej krwią książeczki drukowanej w Montana.

Slade sprawował władzę absolutną nad swoim odcinkiem drogi. Przyjeżdżał na stację, wszczynął kłótnię, demolował wnętrza i w najokrutniejszy sposób maltretował mieszkańców. Nieszczęśni nie mieli żadnej instancji odwoławczej i musieli na własną rękę dochodzić swych strat. Powiadają, że kiedyś przy takiej okazji zabił ojca uroczego małego mieszkańca imieniem Jemmy, którego potem adoptował i który już po straceniu Slade'a mieszkał nadal z jego żoną. Opowieści o tym, jak Slade wieszał ludzi, o niezliczonych napaściach, zabójstwach, walkach na noże i bijatykach, w których Slade był głównym aktorem, są częścią legendy linii pocztowej. Jest rzeczą najzupełniej pewną, że jeśli idzie o pomniejsze kłótnie i strzelaniny, szczególowsy życiorys Slade'a byłby jedną wielką kroniką tego rodzaju zdarzeń.

Slade był niezrównanym strzelcem. Legenda głosi, że pewnego dnia w Rocky Ridge zobaczył zbliżającego się człowieka, który kilka dni przedtem czymś mu się naraził, a że był w dobrym humorze, powiedział wyciągając rewolwer:

– Panowie, odległość wynosi dobre dwieście jardów... rozłupię mu trzeci guzik u kurtki! – Co też zrobił. Widzowie podziwiali celność strzału. I naturalnie uczestniczyli w pogrzebie.

Kiedy indziej znów pewien człowiek, właściciel małego baru na stacji, naraził się Slade'owi i czym prędzej spisał testament. W kilka dni później Slade przyszedł i zażądał jakiegoś napoju. Właściciel sięgnął ręką pod ladę (pozornie po butelkę, a w rzeczywistości może po coś innego), ale Slade uśmiechnął się doń tym swoim szczególnie miłym i pełnym zado-

wolonia uśmiechem, który sąsiedzi od dawna nauczyli się poznawać jako zamaskowany wyrok śmierci, i powiedział: „Nie chcę tego! Nalej mi droższej”. Nieszczęsny szynkarz musiał się odwrócić, żeby zdjąć z półki butelkę whisky najlepszego gatunku, a kiedy znów stanął twarzą do Slade’a, zobaczył przed sobą lufę rewolweru. – I w następnej sekundzie – dodał z przejęciem mój informator – był najumarlejszym umarlakiem, jaki żył kiedykolwiek na tym świecie.

Woźnice i konduktorzy opowiadali, że niekiedy Slade pozostawiał znieawidzonego wroga w zupełnym spokoju przez długie tygodnie – nie interesował się nim, nie wspominał o nim. Przynajmniej działo się tak kilka razy. Niektórzy przypuszczali, że miał na celu uśpienie czujności ofiary, aby potem tym łatwiej się z nią rozprawić; zdaniem innych po prostu chował sobie wroga na później, podobnie jak uczniacy w szkole chowają sobie na później ciastko i przedłużają przyjemność rozkoszą oczekiwania. Za przykład może tu służyć pewien Francuz, który obraził kiedyś Slade’a. Ku najwyższemu zdumieniu wszystkich Slade nie położył go trupem na miejscu i przez długi czas w ogóle się nim nie interesował. W końcu jednak przyszedł kiedyś późnym wieczorem do domu Francuza, zastukał, a gdy jego wróg otworzył drzwi, zastrzelił go, pchnął nogą ciało do środka i podpalił dom grzebiąc w nim zabitego, jego żonę i troje dzieci. Opowiadało mi tę historię kilka różnych osób, które wierzyły w jej autentyczność. Historia może jest prawdziwa, a może nie jest. Zła sława czepia się człowieka jak rzep psiego ogona.

Slade został kiedyś ujęty przez grupę ludzi, którzy chcieli go zlinczować. Odebrali mu broń i zamknawszy go w szałasie z grubych bierwion postawili przed drzwiami straż. Slade wymógł na swoich przeciwnikach, żeby sprowadzili mu żonę, gdyż chciał ją zobaczyć ostatni raz w życiu. Była to odważna, kochająca go, dzielna niewiasta. Wskoczyła na konia i przebyła drogę w szaleńczym pędzie. Gdy przyjechała, wpuścili ją bez żadnej rewizji, ale zanim zamknęli za nią drzwi, wyszarpnęła spod sukien dwa pistolety i przedarła się wraz z mężem przez otaczających ich nieprzyjaciół. A potem wśród świstu kul wskoczyli na jedno siodło i zbiegli nie poniosłszy żadnego szwanku.

Gdy nadeszła właściwa pora, zausznicy Slade’a ujęli jego starego wroga, Julesa. Znaleźli go w doskonale wybranej kryjówece w odludnej warowni Gór Skalistych, gdzie z trudem zdobywał pożywienie za pomocą strzelby. Przynieśli go związanego do Rocky Ridge i złożyli pod słupem na środku zagrody dla bydła. Powiadają, że strach było patrzeć na radość, która rozświetliła twarz Slade’a, gdy o tym usłyszał. Poszedł obejrzeć swojego wroga, przekonał się, że jest bezpiecznie związany, i położył się spać odkładając do rana przyjemność zabicia go. Jules spędził noc w zagrodzie dla bydła, gdzie ciepłe noce nie są znane. Rano Slade wprawiał się na nim w strzelaniu, raniąc go to tu, to tam i od czasu do czasu odłupując mu jeden czy dwa palce, podczas gdy Jules błagał, żeby go Slade zabił jedną kulą i skończył tę straszliwą mękę.

W końcu Slade powtórnie naładował rewolwer i zbliżywszy się do swej ofiary wypowiedział kilka charakterystycznych uwag, po czym wyprawił Julesa na tamten świat. Przez pół dnia ciało leżało na podwórzu i nikt nie śmiał go sprzątnąć bez przyzwolenia Slade’a. Wreszcie Slade wyznaczył kilku ludzi do kopania dołu i sam asystował przy pogrzebie. Ale wpiersz obciął nieboszczykowi uszy, włożył je do kieszeni kamizelki i nosił jakiś czas przy sobie z wielkim zadowoleniem. Opowiedziałem tę historię tak, jak ją słyszałem od kilku osób i czytałem w jednym z kalifornijskich dzienników. Jest niewątpliwie prawdziwa we wszystkich zasadniczych punktach.

Zajechaliśmy na stację i zasiedli do śniadania w na pół dzikim, na pół cywilizowanym towarzystwie uzbrojonych i brodatych górali, ranczerów i pracowników Towarzystwa. Na głównym miejscu przy stole, obok mnie, siedział człowiek o wyglądzie dżentelmena – najspokojniejszy i najuprzejmiejszy z urzędników Towarzystwa, jakiego spotkaliśmy w drodze. Chyba nigdy żaden młodzieniec nie zadrżał tak i nie wybałuszył oczu, jak ja to zrobiłem, kie-

dy usłyszałem w pewnej chwili, że nazywają go Slade!

Tu oto była przygoda, najwspanialsza przygoda, a ja siedziałem z nią twarzą w twarz! Patrzyłem na nią! Dotykałem jej! Można rzec – poufaliłem się z nią! Tu, obok mnie, siedział ów potwór, który w walkach, burdach i w inny sposób pozbawił życia dwadzieścia sześć istnień ludzkich! Byłem chyba najdumniejszym smarkaczem, jaki kiedykolwiek jeździł zwiedzać obce kraje i poznawać niezwykłych ludzi!

Był tak przyjacielski i miał tak miły sposób mówienia, że poczułem do tego człowieka sympatię – mimo jego przerażającej historii. Nie mogło mi się pomieścić w głowie, że ten czarujący człowiek jest bezlitosnym biczem bożym rozbójników i bandytów, że jest krwiożerczym potworem, którym matki z górskich okolic straszą swoje dzieci. I po dziś dzień nie mogę sobie przypomnieć, żebym zauważył w postaci Slade'a coś uderzającego; chyba to jedynie, że twarz miał niezwykle szeroką, nisko osadzone kości policzkowe i bardzo wąskie, cienki wargi. Ale musiało to wywrzeć na mnie silne wrażenie, bo od tego czasu ilekroć widzę człowieka o podobnym układzie twarzy, wyobrażam sobie zaraz, że jest to człowiek niebezpieczny.

Zabrakło przy stole kawy, a raczej zostało tylko trochę na dnie dzbanka i Slade miał już ją sobie nalać, gdy zauważył, że moja filiżanka jest pusta. Bardzo uprzejmie zaproponował, że ją napelni, a ja bardzo uprzejmie odmówiłem. Pomyślałem, że pewnie od rana nikogo jeszcze nie zabił i że ma ochotę trochę się rozerwać. Mimo to z uprzejmą stanowczością obstawał przy swoim, powiedział, że byłem całą noc w drodze i że kawa bardziej mnie się należy niż jemu, a mówiąc napenił jednocześnie filiżankę. Podziękowałem mu, wypilem kawę, ale bez specjalnego upodobania, bo wcale nie miałem pewności, czy Slade nie pożałuje za chwilę, że mi ją oddał, i czy nie zechce mnie zabić – ot, żeby się rozerwać i zapomnieć o poniesionej stracie. Ale nie zdarzyło się nic podobnego. Zostawiliśmy go tylko z dwudziestoma sześcioma trupami na koncie, a ja byłem naprawdę rad, że nie zostałem numerem dwudziestym siódmym. Slade odprowadził nas do dylizansu i pożegnał bardzo uprzejmie, poleciwszy wpierw, aby dla naszej wygody służba inaczej ułożyła worki z pocztą. Odjechaliśmy przekonani, że jeszcze kiedyś o nim usłyszymy, i zastanawialiśmy się, w jakich okolicznościach.

XI. ŻAŁOSNY KONIEC MORDERCY

Rzecz jasna, usłyszeliśmy o nim znowu, w dwa czy trzy lata później. Na wybrzeże Pacyfiku dotarła wiadomość, że Obywatelski Komitet Porządku Publicznego w Montanie (dokąd Slade przeniósł się z Rocky Ridge) skazał go na szubienicę. Znalazłem opis całej sprawy w tej samej wstrząsającej książeczce, którą już cytowałem. „Sprawozdanie z działalności Komitetu Obywatelskiego w Montanie”. Rozdział pióra prof. J. Dimsdale’a nosi tytuł: „Wiarygodny opis ujęcia, osądzenia i egzekucji; słynnego agenta drogowego”. Warto przeczytać pracę prof. Dimsdale’a już choćby dlatego, żeby się dowiedzieć, w jaki sposób ludzie z pogranicza radzili sobie ze zbrodniarzami w czasach, gdy prawo było bezsilne. Profesor Dimsdale dwukrotnie wspomina o Slade’zie; obie uwagi są bardzo trafne, jedna zaś – niezwykle malownicza. „Ci, którzy widzieli go tylko w normalnym stanie ducha, uznaliby go za idealnego męża, gościnnego pana domu, człowieka uprzejmego i prawdziwego dżentelmena. Natomiast ci, którzy widzieli go rozsierzonego alkoholem, w otoczeniu bandy zbrojnych łotrów, uznaliby go za wcielonego diabła”. I druga uwaga: „W okęgach na zachód od Fortu Kearney bano się go bardziej niż Boga Wszzechmocnego”.

Jeśli idzie o zwięzłość, prostotę i wymowę, gotów jestem postawić na tę wypowiedź przeciw wszystkiemu, co zostało powiedziane w literaturze.

A oto sprawozdanie prof. Dimsdale’a. Podkreślenia są moje...

Po egzekucji wykonanej na pięciu skazańcach w dniu 14 lipca Komitet Obywatelski uznał, że jego działalność jest niemal zakończona. Uwolniwszy – w znacznej mierze – kraj od rozbójników i morderców członkowie Komitetu zdecydowali, że w braku regularnej władzy cywilnej ustanowią Sąd Ludowy, w którym wyroki będą wydawać sędziowie i ławy przysięgłych. W tych okolicznościach był to duży krok naprzód w kierunku zaprowadzenia porządku publicznego, a chociaż nie istniała regularna władza sądowa, ludzie postanowili nieodwołać, że będzie u nich rządziło prawo, i mieli zamiar wprowadzić w życie jego przepisy. Należy tu wspomnieć, że jawne i publiczne podarcie i zdeptanie przez Slade’a nakazu aresztowania oraz sterroryzowanie pistoletem i ujęcie sędziego były ostatnim z przestępstw, które zaprowadziły mordercę na szubienicę.

Jak nas poinformowano, J. A. Slade był sam członkiem Komitetu Obywatelskiego; przechwał się tym publicznie i twierdził, że zna wszystkie jego tajemnice. Nie oskarżono go nigdy ani nawet nie podejrzewano o rabunki czy morderstwa na tym terytorium. (Zresztą nigdy i nigdzie nie zarzucano mu rabunków). Był to jednak fakt notorycznie znany, że Slade zabił kilku ludzi w innych okęgach, i ta jego zła reputacja stała się najsilniejszym argumentem przy podejmowaniu decyzji aresztowania go za przestępstwo, o którym wyżej. Po powrocie znad Milk River Slade pił coraz więcej i w końcu stało się zwyczajem, że wraz z kompanami „brał całe miasto w posiadanie”. Zdarzało się często, że on i dwaj jego poplecznicy galopowali konno przez ulice wrzeszcząc i strzelając z pistoletów na prawo i lewo. Wiele razy wjeżdżał nawet do sklepów, demolował kontuary, wyrzucał na ulicę i obsypywał obelgami wszystkich obecnych. W przeddzień aresztowania zmaltretował w okrutny sposób jednego ze swoich kompanów; tak jednak ogromna była jego władza nad tymi ludźmi, że pokrzywdzony płakał gorzko pod szubienicą i błagał, by darowano Slade’owi życie. Gdy Slade zaczynał hulać, właściciele sklepów w obawie przed napaścią zamykali drzwi i gasili wszystkie światła. Gdy był trzeźwy i miał pieniądze, był zawsze gotów płacić za to bezsensowne niszczenie towarów i sprzętów. Ale wielu obywateli uważało, że zapłata jest niedostateczną satysfakcją za

doznane krzywdy; ci ludzie byli jego najzaciętszymi wrogami.

Od czasu do czasu ostrzegano Slade'a i tłumaczono mu, do czego musi doprowadzić w końcu takie postępowanie, a Slade wiedział, że ludzie, którzy mu to mówią, z pewnością go nie zwodzą. Nie było takiej chwili w ciągu tygodni poprzedzających jego aresztowanie, żeby mieszkańcy nie spodziewali się usłyszeć o jakimś nowym krwawym postępku Slade'a. Sama groza jego imienia oraz obecność bandy zbrojnych kompanów powstrzymywała krzywdzonych od stawiania oporu, co dla niebaczących śmiałków natychmiast musiałyby się skończyć masakrą.

Wielokrotnie aresztowano go na podstawie nakazu sądu, którego organizację opisaliśmy wyżej, i Slade zawsze okazywał dla tego sądu szacunek płacąc grzywny lub obiecując je uiścić, gdy będzie miał pieniądze. Ale w momencie opisywanego kryzysu zapomniał nawet o tej ostrożności; rozjuszony własnymi nieokiełznanymi namiętnościami i nienawiścią do wszelkich ograniczeń, skoczył w objęcia śmierci.

Slade był pijany i hulał całą noc. On i jego kompani uczynili z miasta istne piekło. Rano J. M. Fox, szeryf, odszukał go, zaarrestował, zaprowadził do sądu i zaczął mu odczytywać nakaz aresztowania będący jednocześnie aktem oskarżenia. Slade wpadł w niepohamowaną wściekłość, wyrwał szeryfowi dokument, podarł, rzucił na ziemię i podeptał. Natychmiast dał się słyszeć szcęk broni repetowanej przez jego kompanów i wszyscy spodziewali się najgorszego. Szeryf nie próbował zatrzymać Slade'a; był człowiekiem zarówno dzielnym, jak rozważnym, ustąpił więc, a Slade stał się panem sytuacji, chwilowym panem sądu, prawa i prawodawców. Było to wypowiedzenie wojny i zostało przez wszystkich przyjęte. Członkowie Obywatelskiego Komitetu rozumieli, że jest to chwila, w której rozstrzygną się losy porządku publicznego i bezpieczeństwa szanujących prawo obywateli. Znali Slade'a i dobrze wiedzieli, że albo będą musieli bez szemrania podporządkować się jego woli, albo też załatwić się z nim w taki sposób, żeby mu uniemożliwić wywarcie zemsty na Komitecie i jego członkach, którzy narażeni na napaści albo śmierć nie mogliby nawet opuścić terytorium nie spotkawszy się z poplecznikami Slade'a. Ci zaś, ośmieleni jego zwycięstwem, posunęliby się zapewne do ostateczności. Poprzedniego dnia Slade wjechał konno do sklepu Dorrisa, a gdy zażądano, żeby się wycofał na ulicę, wyciągnął rewolwer i zaczął grozić, że zastrzeli dzentelmena, który się do niego zwrócił. Następnie wjechał do jednego z barów, kupił butelkę wina i usiłował zmusić swego wierzchowca do wypicia trunku. Nie był to jakiś niezwykły wyczyn, Slade często wjeżdżał konno do barów i strzelał do lamp wywołując dziki popłoch. Tu natknął się na jednego z najczynniejszych członków Komitetu, który powiedział mu spokojnie i z wielką powagą, jak zwykle mówią ludzie zdający sobie sprawę z ważności chwili:

– Slade, wyprowadź natychmiast konia, bo inaczej zapłacisz. Slade spojrzął na swojego rozmówcę czarnymi, świdrującymi oczami i spytał:

– Co pan chciałeś przez to powiedzieć?

– Nie masz prawa pytać, co chciałem przez to powiedzieć – brzmiała spokojna odpowiedź.

– Wyprowadź natychmiast konia i pamiętaj, co ci powiedziałem.

Po krótkim namyśle Slade obiecał, że się zastosuje do polecenia, i nawet dosiadł wierzchowca, ponieważ jednak był pijany, zaczął po chwili zwoływać jednego po drugim swoich kompanów i zapomniawszy o przestrodze, znów się awanturował wykrzykując imię znanej wszystkim kurtyzany znajdującej się w towarzystwie dwóch mężczyzn, których uważał za najważniejszych członków Komitetu. Było to wyzwanie lub może zwykła brawura. Wydaje się prawdopodobne, że Slade nie zapomniał przestrogi przed chwilą mu udzielonej, ale wyciągnął z niej wnioski głupie i dla siebie zgubne. Odszukał sędziego sądu, Aleksandra Davisa, i przyłożywszy mu do głowy naładowany pistolet oznajmił, że bierze go jako zakładnika gwarantującego mu bezpieczeństwo. Ponieważ sędzia nie stawiał napastnikowi oporu, na tym się chwilowo sprawa skończyła. Jeszcze zanim to miało miejsce, zwołano nadzwyczajne posiedzenie Komitetu, na którym postanowiono wydać wreszcie nakaz aresztowania Slade'a. Nie

brano wtedy pod uwagę możliwości wykonania na nim wyroku, a gdyby kwestia ta była dyskutowana, wniosek z wszelką pewnością by upadł. Wysłano natychmiast do Newady posłańca, który miał poinformować tamtejszych przywódców o rozwoju sytuacji: chodziło bowiem o pokazanie, że na całym terytorium istnieje jednomyślność w tej sprawie.

Górnicy Newady natychmiast przystąpili do działania; rzucili pracę i w sile sześcuset, uzbrojeni po zęby, wyruszyli do Wirginii. Przywódca grupy zdawał sobie sprawę z nastroju swoich ludzi. Przynaglając konia do galopu wyprzedził ich, wjechał pierwszy do miasta i zwoławszy pośpiesznie zebranie ciała wykonawczego zawiadomił jego członków, że górnicy mają zamiar „poważnie wziąć się do roboty” i jeśli przyjdą do miasta, nie będą czekali na ulicy, aż ich kompani Slade’a wybiją do nogi, tylko go powieszą. W zebraniu uczestniczyło zaledwie kilku członków Komitetu, ponieważ większość nie bardzo miała ochotę działać. Ta brzemienista w skutki deklaracja górników z Newady ogłoszona została w obecności garstki działaczy, którzy naradzali się za osłoną wozu, na tyłach pewnego sklepu przy Main Street.

Członkowie Komitetu nie chcieli posuwać się do ostateczności. Wszystko, czego dotąd dokonali, wydało im się drobnostką w porównaniu z oczekującym ich zadaniem; musieli jednak podjąć decyzję, i to podjąć ją szybko. Postanowiono w końcu, że jeśli górnicy uznają jednogłośnie, iż Slade powinien zawisnąć na szubienicy, Komitet odda sprawę w ich ręce. Przywódca górników pogalopował z powrotem, żeby połączyć się ze swoimi ludźmi i objąć nad nimi komendę.

Slade dowiedział się o nowym rozwoju wypadków i wiadomość ta natychmiast go otrzeźwiła. Poszedł do sklepu P. S. Pfoutsy, gdzie był właśnie sędzia Dayis, przeprosił go i obiecał, że cofnie publicznie wszystkie obelgi.

Czoło kolumny wkroczyło teraz na Wallace Street i szybko posuwało się naprzód. Gdy pierwsze szeregi oddziału zatrzymały się przed sklepem, jeden z członków Komitetu podszedł do Slade’a i aresztował go, zawiadamiając jednocześnie, jaki los go czeka i pytając, czy nie ma jakichś ważnych spraw do załatwienia. Kilka osób powtórzyło to pytanie, ale Slade jakby nie słyszał, ogłuszony grozą swojego położenia. Ani na chwilę nie zaprzestał błagań, aby darowano mu życie i pozwolono zobaczyć się z żoną. Ta nieszczęsna niewiasta, którą łączyła z mężem głęboka miłość, mieszkała w tym czasie na ich rancho w Madison. Była osobą bardzo dorodną, wysoką, pięknie zbudowaną, o wdzięcznych ruchach, miłą w obejściu, a ponadto znakomicie jeździła konno.

Wysłannik Slade’a puścił się natychmiast w drogę, żeby ją zawiadomić o aresztowaniu męża. Skoczyła na siodło i z całą energią, jaką miłość i rozpacz wspomagały jej gorący temperament i doskonałą kondycję fizyczną, zmuszała konia do galopu przez długie dwanaście mil skalistej i trudnej drogi dzielącej ją od obiektu namiętnej miłości.

Tymczasem grupa ochotników czyniła odpowiednie przygotowania do egzekucji, która miała się odbyć w dolinie przeciętej dopływem rzeki. Obok murowanego budynku Pfoutsy i Russela znajdował się *corral* z wysokimi i mocnymi słupami przy wejściu. Położono na nich poprzecznie belkę, przez którą przerzucono powróż; pusta skrzynka po towarach miała służyć za platformę. Tam też zaprowadzono Slade’a pod strażą: był to najlepiej uzbrojony i najliczniejszy oddział, jaki widziano na terytorium Montany.

Skazaniec tak był wyczerpany łzami, modlitwami i prośbami o życie, że tylko z trudem trzymał się na nogach pod fatalną belką. Powtarzał wciąż:

– O, mój Boże, mój Boże! Czy ja naprawdę mam zginąć? O, moja biedna żono!

W drodze powrotnej oddział przygotowujący egzekucję spotkał kilku przyjaciół Slade’a, porządnych i godnych zaufania obywateli, którzy mimo wszystko darzyli go przyjaźnią. Usłyszawszy o wyroku jeden z nich, człowiek dzielny i silny, wyjął z kieszeni chustkę i oddalił się płacząc jak dziecko. Slade wciąż błagał, aby mu pozwolono zobaczyć się z żoną, i doprawdy trudno było odmówić tej prośbie; ale nieunikniona próba ucieczki, którą jej obecność i błaga-

nia na pewno by sprowokowały, i krwawe następstwa takiego kroku skłoniły Komitet do odrzucenia prośby. Wyznaczono kilku spośród wybitniejszych obywateli, aby asystowali skazańcowi w jego ostatnich chwilach, i jeden z nich (sędzia Davis), wygłosił krótkie przemówienie do zebranych; mówił jednak głosem tak cichym, że słyszeli go tylko najbliższej stojący. Któryś z przyjaciół Slade'a, wyczerpawszy cały zasób próśb, rzucił na ziemię swoją kurtkę i oświadczył, że zanim powieszą skazańca, muszą wpieryw jego zastrzelić. Natychmiast wycelowano w niego sto luf, więc uciekł. Przeprowadzono go jednak z powrotem i zmuszono do włożenia kurtki, po czym przyrzekł, że będzie się zachowywał spokojnie.

Na miejscu egzekucji niewielu było wybitnych mieszkańców Wirginii, chociaż podczas aresztowania tłum obywateli wmieszał się w szeregi straży. Wszyscy żalowali, że surowa konieczność zmusiła miasto do podjęcia takiej decyzji.

Gdy przygotowania zostały ukończone, padł rozkaz:

– Czyńcie swój obowiązek! – Usunięto natychmiast pustą skrzynkę spod nóg skazańca i Slade skonał.

Odcięto sznur i zanesiono zwłoki do hotelu „Wirginia”, ale zaledwie zdążono je położyć w zaciemnionym pokoju, przyjechała nieszczęsna towarzyszka życia zmarłego, po to tylko, żeby się dowiedzieć, że jest już po wszystkim. Jej ból i rozdzierające okrzyki były dowodem głębokiego przywiązania do męża i dużo upłynęło czasu, zanim zdołano ją uspokoić.

W naturze *desperado* jest coś najzupełniej niezrozumiałego, w każdym razie na pozór niezrozumiałego. Chodzi mi o to: Prawdziwy *desperado* jest człowiekiem wspaniałej dzielności, a mimo to w najhaniańbniejszy sposób wykorzystuje swoją przewagę nad przeciwnikiem. Uzbrojony i wolny, stanie przed oddziałem wrogów i będzie walczył, dopóki go nie przedziurawią kulami; pod szubienicą płacze i błaga jak dziecko. Słowa są tanie i łatwo nazwać Slade'a tchórzem (ludzie bezmyślni nazywają tchórzami wszystkich skazańców, którzy nie potrafią „pięknie umrzeć”) i doprawdy, kiedy się czyta o nim, że „tak był wyczerpany łzami, błaganiami i modlitwą, iż tylko z trudem trzymał się na nogach pod fatalną belką”, to obelżywe słowo samo ciśnie się na wargi; a przecież kładąc trupem przywódców i członków zbrojnych band z Gór Skalistych, ściągając na siebie ich zemstę i nigdy się przed nimi nie kryjąc, Slade dowiódł, że jest człowiekiem niezrównanej odwagi. Żaden tchórz nie potrafiłby się na to zdobyć. Wielu notorycznych łotrzyków o zajęczym sercu – grubiańskich, brutalnych, znikczemniałych – wypowiadało swoje mowy przedśmierne bez drżenia w głosie i kładło głowy w stryczek ze spokojnym męstwem; i dlatego my, biorąc pod uwagę niski poziom intelektualny takich osobników, wyciągamy wnioski, że to bynajmniej nie odwaga moralna pozwala im zdobyć się na taką postawę. A wobec tego, jeśli odwaga moralna nie jest tym bezwzględnie wymaganym warunkiem, jakichż to innych cech zbrakło w godzinie śmierci dzielnemu Slade'owi – krwiożerczemu, gotowemu na wszystko, miłemu w obejściu, dwornemu dżentelmenowi, który nigdy się nie zawahał ostrzec najbrutalniejszego spośród swoich wrogów, że go zabije przy następnym spotkaniu! Myślę, że warto poszukać odpowiedzi na to pytanie.

XII. DROGA PRZEZ WIELKĄ PRZEŁĘCZ

Już za miejscowością, w której jedliśmy śniadanie, dogoniliśmy emigrancki tabor mormonów składający się z trzydziestu trzech wozów; obok, wlokąc z trudem nogi i poganiając stada luzem puszczonego krów, szły dziesiątki ubogo odzianych mężczyzn, kobiet i dzieci o smutnych twarzach. Szli tak dzień po dniu, przez osiem długich tygodni, przebywając w tym czasie odległość, jaką myśmy przebyli dylizansem w osiem dni i trzy godziny – siedemset dziewięćdziesiąt osiem mil! Byli brudni, nie uczesani, z gołymi głowami, w łachmanach – i mieli tak przerażająco zmęczone twarze!

Po śniadaniu wykapaliśmy się w Horse Creek, który był (w tamtych czasach) przezroczywym, spienionym strumieniem; potrafiliśmy ocenić ten zbytek, gdyż nieczęsto się zdarzało, aby nasz rozpędzony dylizans zezwalał nam na tego rodzaju przyjemności. Zmienialiśmy konie dziesięć lub dwanaście razy w ciągu doby, a raczej zmienialiśmy muły, sześć mułów, i prawie nigdy nie trwało to dłużej niż cztery minuty. Gdy nasz dylizans zajeżdżał na stację, sześć mułów w uprzęży wychodziło lekkim krokiem ze stajen; niemal w mgnieniu oka odprzegano znużone zwierzęta i zaprzęgano nowe – i już nas nie było!

W ciągu popołudnia przepawiliśmy się przez strumień Sweetwater Creek, minęliśmy przełęcze Independence Rock, Devil's Gate i Devis Cap. Te ostatnie były wspaniałymi próbkami dzikiego górskiego krajobrazu – niezwykle interesującymi, gdyż znajdowaliśmy się teraz w samym sercu Gór Skalistych! Minęliśmy także Alkaliczne czy też Sodowe Jezioro, a gdy woźnica powiedział, iż mormoni często tu przyjeżdżają z Salt Lake City po ładunki sody kuchennej, zdaliśmy sobie nagle sprawę, że przejechaliśmy ogromny szmat świata. Powiedział nam jeszcze woźnica, że w ciągu kilku dni mormoni wykopują z ziemi (bo jezioro jest suche) dość czystej sody, żeby załadować nią dwa duże wozy; potem wiozą ten środek, który ich nic nie kosztował, do Salt Lake i sprzedają go po dwadzieścia pięć centów za funt.

W nocy dotarliśmy w pobliże niezwyklej osobliwości, o której od kilku dni mnóstwo nam opowiadano i którą bardzo pragnęliśmy obejrzeć. Można by ją nazwać naturalnym składem lodu. Był teraz sierpień i pogoda za dnia upalna, ale na jednej z pobliskich stacji, w miejscu osłoniętym przez łańcuch skałek, na głębokości sześciu cali mieszkańcy zdrapywali ziemię na stoku wzgórza i wykrywali czyste bloki lodu – twardego, ścisłego i przezroczystego jak kryształ!

Tuż przed świtem znów ruszyliśmy w drogę; siedząc przy otwartych oknach rozkoszowaliśmy się pierwszą poranną fajką i obserwowaliśmy wstające słońce w jego pierwszej porannej krasie, gdy schodziło w dół długiego łańcucha gór, różowiąc i złocąc turnię po turni, szczyt po szczycie, jak gdyby niewidoczny Stwórca odbywał przegląd swoich poszarzałych ze starości weteranów, a oni salutowali mu uśmiechem. I kiedy siedzieliśmy zapatrzeni, nagle pojawiło się na horyzoncie South Pass City. Właściciel hotelu, poczmistrz, kowal, burmistrz, konstabl, szeryf, notabl miejski i właściciel nieruchomości w jednej osobie wyszedł nam naprzeciw i powitał nas wesoło, a myśmy mu życzyli dobrego dnia. Poczęstował nas garścią wiadomości o Indianach i nowin z Gór Skalistych, a myśmy mu się odwzajemnili informacjami z Wielkiej Równiny. Po czym dostojnik wycofał się do swej wspaniałej rezydencji, a nasz dylizans podjął drogę pośród ostrych szczytów i poszarpanych chmur. South Pass City składało się z czterech drewnianych chałup, z których jedna nie była jeszcze wykończona, a ów dżentelmen ze swoimi wszystkimi urządami i tytułami był najznakomitszym z dziesięciu obywateli. Pomyślcie tylko! Właściciel hotelu, poczmistrz, kowal, burmistrz, konstabl, szeryf i notabl miejski – wszystko to skondensowane w jednej osobie i wciśnięte w jedną ludzką skórę!

Bemis powiedział, że gdyby człowiek ten umarł jako poczmistrz lub jako kowal albo jako poczmistrz i kowal, świat zniósłby może ten cios; gdyby jednak umarł cały, byłaby to niepotwowana strata dla społeczności.

Dwie mile za South Pass City zobaczyliśmy po raz pierwszy ów dziw, o którym wszyscy pierwszy raz podróżujący po zachodnim terytorium słyszeli i w który wierzą, ale mimo to są wstrząśnięci, gdy go ujrzą na własne oczy – zwały śniegu w samym środku upalnego lata! Byliśmy na podniebnych wysokościach i wiedzieliśmy od dawna, że ujrzymy niebawem wyniosłe szczyty w „czapach wiecznego śniegu”, co w książkach brzmi jak banał; a jednak gdy zobaczyłem w oddali śnieg skrzący się w słońcu na potężnych kopułach górskich szczytów i pomyślałem, że jest to sierpień i moja kurtka wisi obok na haku, byłem tak zdumiony, jak gdybym nigdy dotąd nie słyszał o śniegu w lecie. To prawda – zobaczyć znaczy uwierzyć, a przecież ludzie często żyją długie lata wyobrażając sobie, że wierzą w pewne powszechnie uznawane i od dawna dowiedzione zjawiska i nie domyślając się nawet, że gdyby raz ujrzeli je na własne oczy, zrozumieliby, że właściwie wcale w nie nie wierzyli, lecz tylko im się zdawało, że wierzą.

Niedługo ukazał nam się cały łańcuch szczytów ujętych w długie klamry skrzącego śniegu; gdzieniegdzie, nieco niżej na zboczach i w głębokim cieniu, zalegały pojedyncze płyty śniegu rozmiarów zda się chusteczki damskiej, ale w rzeczywistości nie mniejsze od sporego placu w mieście.

Dotarliśmy wreszcie na słynną przełęcz South Pass i mknęliśmy drogą, wysoko nad zwykłym nizinnym światem. Znajdowaliśmy się na najwyższym szczycie potężnego łańcucha Gór Skalistych, ku któremu nasz dyliżans wspinał się cierpliwie przez długie dni i noce, a obok nas zgromadzeni byli królowie przyrody sięgający wzrostem dziesięciu, dwunastu, a nawet trzynastu tysięcy stóp – wspaniali starcy, którzy musieliby się dobrze schylić, żeby o zmroku dojrzeć Górę Waszyngtona. Byliśmy na tak zawrotnych wysokościach, tak oddaleni od rojowiska ludzkiego w dole, że kiedy od czasu do czasu zasłaniające widok turnie rozsypywały się przed nami, ogarniało nas uczucie, że gdybyśmy się rozejrzeli dookoła, ujrzelibyśmy poprzez tajemniczą mgiełkę letnią cały wielki glob z rozplywającymi się w oddali perspektywami gór, mórz i kontynentów.

Ogólnie rzecz biorąc, przełęcz South Pass bardziej przywodziła na myśl dolinę niż most wiszący, chociaż w jednym miejscu podobniejsza jest do mostu. W miejscu tym wierzchołki kilku majestatycznych fioletowych kopuł wznosiły się po lewej i po prawej, dając nam uczucie ukrytej, niezmierzonej głębi gór, równin i dolin gdzieś u stóp tych kolosów, głębi, które – zdawało nam się – moglibyśmy zobaczyć, gdybyśmy tylko zeszli nad krawędź i spojrzeli w dół. Ci dwaj sułtanowie skalnych szczytów przykryci byli turbanami skłębionych chmur, które odrywały się od czasu do czasu i płynęły postrzępione i rozdarte, ciągnąc za sobą ogromne płyty cienia; zatrzymawszy się na jakimś zamykającym im drogę szczycie, owijały się wokół niego i po chwili znów szybowoły dalej zostawiając na purpurowym wierzchołku, tak jak przed tym zostały na purpurowej kopule, całun świeżego śniegu. Te potwornej wielkości łańchmany chmur szły nisko, tuż nad głową patrzącego; ciągnęły zwisające strzępy tak blisko jego twarzy, że instynktownie kulił się w sobie. Z tego miejsca, o którym mówię, można było spojrzeć w dół na świat malejących szczytów i kanionów, schodzących w dół, w dół i w dal ku majaczącej niewyraźnie równinie przeciętej cienką nicią drogi i poznaczonej maleńkimi piórkami drzew; zachwycał wzrok ten uśpiony w słońcu krajobraz, ale obejmowała go już ciemność nadchodzącej burzy, rozpościerała nad nim coraz głębszy i głębszy posepny mrok. I chociaż ani jedna chmurka czy mgiełka nie zaciemniała południowej jasności podniebnej przełęczy, patrzący mógł obserwować, jak w dole rozpętuje się burza i błyskawice przeskakują z turni na turnię, a strumienie deszczu biją w ściany kanionów, i słyszeć grzmoty dudniące wśród skał. Oglądaliśmy z przejęciem to wspaniałe widowisko, dobrze znane wielu podróżnym – dla nas nowe i zachwycające.

Jechaliśmy sobie wesoło i niebawem, na samym szczycie (choć dla nas już od pół godziny wszystko było szczytem i wszystko mniej więcej na równym poziomie) zobaczyliśmy źródło, z którego woda biła dwoma otworami i spadała w dwóch przeciwnych kierunkach. Konduktor powiedział, że jeden z tych strumieni rozpoczyna właśnie podróż na zachód, do Zatoki Kalifornijskiej i Pacyfiku, przez setki, nawet tysiące mil pustynnej samotności. Drugi zaś opuszcza właśnie pielesze domowe wśród śnieżnych szczytów, aby rozpocząć podobną podróż na wschód, a my wiedzieliśmy, że długo po tym, jak zapomnimy o śmiesznej, małej strudze, ona wciąż będzie się cierpliwie przedzierała w dół zboczy górskich, przez łożyska kanionów, przez rozpadliny Yellowstone, aż po jakimś czasie połączy się z szeroką Missouri i popłynie przez nieznaną równinę i pustynie, przez bezludne puszcze; będzie prowadzić swoją samotną i męczącą pielgrzymkę poprzez korzenie, wraki i mielizny i połączy się z Missisipi, muśnie słupy przystani St. Louis i popłynie dalej, przez płytkie zalewy i skaliste kanały, potem przez nie kończący się łańcuch bezdennych i szerokich zakoli zamkniętych z obu stron nieprzerwaną ścianą lasów; potem napotka tajemnicze odnogi i sekretne przejścia wśród lesistych wysp, potem znów łańcuchy zakrętów obrzeżone równymi łańcami błyszczącej trzciny cukrowej w miejsce posępnych lasów; wreszcie przez Nowy Orlean i znowu przez łańcuchy zakrętów – aż w końcu, po dwóch długich miesiącach mordegi, radości, podniecenia, przygód, strasznego niebezpieczeństwa ze strony spragnionych gardzieli ludzkich, pomp i parowania, przepłynie cieśninę i spocznie na łonie tropikalnego morza, aby nigdy już nie zobaczyć rodzinnych śnieżnych szczytów – i aby za nimi nie tęsknić.

Powierzyłem w myślach liściowi pozdrowienia dla przyjaciół w rodzinnym mieście i wrzuciłem go do strumienia. Ale nie przykleiłem znaczka i pewnie gdzieś go zatrzymali w drodze.

Na samym szczycie dogoniliśmy emigrancki tabor składający się z wielu wozów, wielu zmęczonych mężczyzn i kobiet i z ogromnej ilości rozgoryczonych owiec i krów. W przeraźliwie brudnym jeźdźcu, który przewodził wyprawie, poznałem Johna... Spośród wszystkich ludzi na świecie jego chyba najmniej spodziewałem się zobaczyć na szczytach Gór Skalistych, w odległości tysiąca mil od rodzinnego miasta. Byliśmy kolegami szkolnymi i przez długie lata najserdeczniejszymi przyjaciółmi. Ale mój szczeniący głupi kawał zerwał tę przyjaźń, która nie odnowiła się już w późniejszych latach. Było to tak: odwiedzałem od czasu do czasu pewnego redaktora, którego biuro znajdowało się na trzecim piętrze od ulicy. Pewnego dnia redaktor dał mi w podarku pięknego arbuza i już miałem zabrać się do jedzenia, kiedy wyrzawszy przypadkiem przez okno, zobaczyłem tuż pod sobą Johna stojącego na ulicy; opanowała mnie nieodparta chęć rzucenia arbuza Johnowi na głowę, co też zrobiłem. Stratny byłem naturalnie ja, bo arbus się zmarnował, a John nigdy mi nie przebaczył; zerwaliśmy stosunki i przestali się widywać – i teraz spotkanie nastąpiło w tak niezwykłych okolicznościach!

Poznaliśmy się natychmiast i podali sobie ręce w uścisku tak serdecznym, jak gdyby nigdy nie dzieliło nas najmniejsze nieporozumienie. Wszystkie zale zostały zapomniane i sam fakt ujrzenia znajomej twarzy w tym odludnym miejscu i daleko od domu wystarczył, abyśmy pamiętali tylko rzeczy miłe. Pożegnaliśmy się szczerymi: „Do zobaczenia!” i „Nie cię Bóg prowadzi!”

Wspinaliśmy się na masywny grzbiet Gór Skalistych przez wiele nużących godzin, teraz zaś rozpoczęliśmy jazdę w dół. Trzeba przyznać, że pędziliśmy jak się patrzy!

Zostawiwszy za sobą góry Wind River i góry Uinta jechaliśmy wciąż wśród pięknych krajobrazów, od czasu do czasu zaś między długimi rzędami szkieleatów mułów i wołów, które były pomnikami pierwszej masowej emigracji. Tu i tam widzieliśmy wetknięte w ziemię obciosane paliki lub ułożone w mały stos kamienie, które, jak nam powiedział woźnica, znaczyły miejsca spoczynku cenniejszych szczątków. Chyba nigdzie indziej na świecie groby nie są tak samotne jak na tej ziemi! Była to ziemia oddana we władanie kojota i kruka, a zwie-

rzęta te są symbolami opuszczenia i osamotnienia. Podczas wilgotnych, mrocznych nocy szkielety świeciły mdłym, ohydny blaskiem, jak rozjaśniające pustynię maleńkie plamy księżycowej poświaty. Był to fosfor zawarty w kościach. Ale żadne naukowe objaśnienia nie pomogły; gdy mijaliśmy któreś z tych odrażających światel, przebiegały nas dreszcze na myśl, że wydziela się ono z czaszki.

O północy zaczęło padać i chyba nigdy w życiu nie widziałem takiego deszczu, a ściśle mówiąc tak było ciemno, że nawet go nie mogłem dojrzeć. Opuściliśmy i przymocowali zasłony i nawet zawiesiliśmy okna ubraniami, ale mimo to deszcz przeciekał do powozu w najmniej dwudziestu miejscach. Nie było przed nim ucieczki. Gdy przesuwałem nogi spod strumienia, woda spływała na korpus, gdy przesuwałem korpus, kapała gdzie indziej. Wystarczyło odrzucić nasiąknięte wodą koce i usiąść, a strumień spływał w dół pleców. Tymczasem dyliżans przedzierał się przez równinę pełną dołów i rozpadlin, bo woźnica nie widział nic na odległość ramienia i dawno zjechał ze szlaku, a utrzymanie koni wśród częstych i głośniejących grzmotów było niemożliwością. Gdy nawałnica trochę przycichła, konduktor wziął latarnię i poszedł szukać drogi, ale przy pierwszym kroku wyładował na dnie głębokiej na czternaście stóp rozpadliny, ciągnąc za sobą latarnię jak ogon komety. Zaledwie wyładował, zawołał przerażonym głosem:

– Nie jedźcie tędy!

Na co woźnica, spoglądając w dół przepaści, odpowiedział obrażonym głosem:

– Za co ty mnie masz, za wariata?

Konduktor szukał drogi przeszło godzinę, co wskazuje, jak daleko ujechaliśmy i na ile niebezpieczeństw byliśmy narażeni. W dwóch miejscach natrafił na ślad naszych kół tuż nad groźnymi przepaściami. Byłem szczególnie rad, żeśmy się nie zabili tamtej nocy. Sam nie wiem dlaczego, ale byłem szczególnie rad.

Rankiem, dziesiątego dnia podróży, rozpoczęliśmy przeprawę przez Green River, malowniczą, szeroką rzekę o przezroczystej wodzie, ale utknęliśmy wpół drogi, zanurzeni do wysokości naszego łoża z worków, i czekaliśmy na dodatkowy zaprzęg, który wyciągnął dyliżans na stromy i wysoki brzeg. Woda jednak była przyjemnie chłodna i co ważniejsze, nie znalazła na nas ani jednego miejsca, które nie byłoby mokre.

Na stacji Green River zjedliśmy śniadanie – gorące biszkopty, steki ze świeżego mięsa antylopy i kawa; był to jedyny przyzwoity posiłek, jaki nam podano w drodze między Stanami Zjednoczonymi a Great Salt Lake City. Wyobraźcie sobie obrzydłą monotonię trzydziestu pozostałych posiłków, skoro to jedno skromne śniadanie po dziś dzień majaczy w mojej pamięci jak strzelista wieża na płaskiej równinie!

O piątej po południu minęliśmy Fort Bridger, odległy o sto siedemnaście mil od przełęczy South Pass i o tysiąc dwadzieścia pięć od St. Joseph. Po przebyciu dalszych pięćdziesięciu dwóch mil, w pobliżu gardzieli Kanionu Ech, spotkaliśmy oddział armii Stanów Zjednoczonych w sile sześćdziesięciu żołnierzy, stacjonujący w Camp Floyd. Poprzedniego dnia żołnierze ostrzeliwali trzysto lub czterystoosobową gromadę Indian, której liczebność wydawała im się podejrzana, ale nikt nie został zabity. Wyglądało, że to nie przelewki. Przez chwilę mieliśmy zamiar przyłączyć się do żołnierzy, ale gdy pomyśleliśmy, że Indian jest czterystu, postanowiliśmy jechać dalej i przyłączyć się do Indian.

Kanion Ech ma dwadzieścia mil długości. Sprawiał na nas wrażenie długiej, wąskiej ulicy o gładkiej nawierzchni i lekkim spadku, biegnącej między dwiema ogromnymi i prostopadłymi ścianami nawarstwionych skał, które miejscami są wysokie na czterysta stóp i ozdobione smukłymi wieżyczkami jak średniowieczne zamki. Był to najlepszy w górach odcinek drogi i woźnica powiedział, że „popuści zaprzęg”. Tak też zrobił, a jeśli ekspresy kontynentalnej kolei mkną tamtędy szybciej, niż myślimy mknęli naszym dyliżansem, zazdroszczę pasażerom radości tej podróży. Zdawało się, że oderwawszy koła od ziemi fruniemy w powietrzu, a worki z pocztą uniosły się w górę i tak tkwiły w przestrzeni, niczym nie podparte. Ja naprawdę

nie lubię przesady i jak coś mówię, mówię to na serio.

Ale czas nagli. O czwartej po południu, gdy cały świat był skąpany w promieniach zachodzącego słońca, wspięliśmy się na szczyt Big Mountain, odległy o piętnaście mil od Salt Lake City. Otworzyła się przed nami najwspanialsza panorama gór, jaką widzieliśmy dotąd w podróży. Spoglądaliśmy na ten niezrównany widok poprzez łuk jaskrawej tęczy! Nawet woźnica dyliżansu pocztowego zatrzymał konie i patrzył.

W pół godziny czy może w godzinę później zmieniliśmy konie i zasiedli do wieczerzy z mormońskim Aniołem Niszczycielem. Jeśli mi wiadomo, Aniołowie Niszczyciele są to ci spośród Świętych Dnia Niedawnego, którzy wyznaczeni przez kościół przyczyniają się do znikania niewygodnych obywateli. Słyszałem mnóstwo o tych mormońskich Aniołach Niszczycielach i znałem długą litanię ich strasznych, krwawych czynów, gdy więc wchodziłem do domu jednego z nich, byłem przygotowany na dreszcze grozy. Ale biada naszym romantycznym wyobrażeniom – człowiek ten był hałaśliwym, wulgarnym, odrażającym starym łotrem! Miał wygląd mordercy, który potrafi z nadwyżką wykonać pracę niszczyciela – ale czy wyobrażacie sobie anioła pozbawionego godności? Czy możecie sobie wyobrazić anioła w brudnej koszuli i bez szelek? Czy czcilibyście anioła, który śmieje się jak koń i nadyma jak paw?

Było tam jeszcze kilku innych łotrów, towarzyszy tego pierwszego. I był ktoś, kto wyglądał na prawdziwego dżentelmena: syn Hebera C. Kimballa, wysoki i dobrze zbudowany trzydziestoletni mężczyzna. Mnóstwo kobiet o niechlujnym wyglądzie biegało tam i sam niosąc dzbanki z kawą, talerze z chlebem i inne składniki kolacji; powiedziano nam, że są to żony anioła, przynajmniej niektóre spośród nich. Musiały być żonami, to oczywiste. Bo gdyby były najętą „pomocą”, nie pozwoliłyby, żeby anioł z przestworzy kłął tak na nie i wrzeszczał.

Po raz pierwszy zetknęliśmy się tutaj z osobliwymi instytucjami Zachodu i nie mogę powiedzieć, żebyśmy byli zbudowani. Nie zatrzymując się dla przeprowadzenia dalszych obserwacji, wyruszyliśmy w drogę do siedziska Aniołów Dnia Niedawnego, twierdzy proroków, stolicy jedyne go królestwa absolutnego w Ameryce – do Great Salt Lake City. Gdy zapadł zmierzch, schroniliśmy się w hotelu „Salt Lake Place” i rozpakowali bagaże.

XIII. SALT LAKE CITY. POZNAJEMY KRÓLA

Zjedliśmy wspaniałą kolację składającą się ze świeżych mięs, drobiu, jarzyn w wielkim wyborze i jeszcze większej obfitości. Potem przechadzaliśmy się jakiś czas po mieście i zaglądali do sklepów i składów; było coś fascynującego w tym podejrzliwym przyglądaniu się każdej osobie, którą braliśmy za mormona. Był to dla nas świat bajki – zaczarowany świat dziwnych zjaw i strasznych tajemnic. Mieliśmy nieodpartą chęć pytać każde dziecko, ile ma matek i czy potrafi odróżnić jedną od drugiej; i odczuwaliśmy podniecenie za każdym razem, gdy otwierały się na chwilę drzwi jakiegoś domu mieszkalnego i chwytałyśmy wzrokiem przelotne obrazy ludzkich głów, pleców i ramion – tak bardzo pragnęliśmy przypatrzeć się dobrze mormońskiej rodzinie w całej jej liczebności, zorganizowanej w przepisowe koncentryczne kręgi domowego układu.

Tegoż jeszcze wieczora gubernator terytorialny przedstawił nas innym „niewiernym” i spędziliśmy z nimi godzinę na towarzyskiej rozmowie. Niewiernymi nazywa się tu wszystkich niemormonów. Bemis, nasz towarzysz podróży, spędził tę część wieczoru samodzielnie, ale ze skutkiem nieszczególnym. Wszedł do naszego pokoju w hotelu około godziny jedenastej, ogromnie wesoły, mówiąc cały czas chaotycznie, nieporządnie i nielogicznie, od czasu do czasu niejako wrywając sobie z gardła słowa, które zawierały więcej czkawki niż sylab. A że ponadto powiesił marynarkę na podłodze z jednej strony krzesła, kamizelkę zaś z drugiej, po czym ułożył spodnie w zgrabny stosik na podłodze przed tymże krzesłem i stał przyglądając się rezultatom z wyrazem zabobonnego lęku na twarzy, wreszcie zaś oznajmiwszy, że to „przechodzi ludzkie pojęcie” położył się w butach do łóżka – doszliśmy do wniosku, że musiał zjeść coś, co mu zaszkodziło.

Ale przekonaliśmy się nazajutrz, że zaszkodziło mu nie jedzenie, tylko picie. Winę ponosił mormoński specjał zwany „dolinnym napojem”. Dolinny napój jest czymś w rodzaju whisky czy może jej bliskim powinowatym; receptę wynaleźli mormoni, a trunk jest produkowany tylko w Utah. Tradycja utrzymuje, że robi się go z (importowanego) ognia i siarki. Jeśli dobrze pamiętam, w królestwie Brigham Younga nie wolno było pić ani w barach publicznych, ani w prywatnych domach trunku innego niż mormoński napój.

Nazajutrz odbyliśmy miłą przechadzkę po szerokich, prostych, równych ulicach: zaskoczyła nas w przyjemny sposób niezwykłość tego piętnastotysięcznego miasta, w którym nie widać było na ulicach włóczęgów; nie widać było także pijaków i awanturników. Na każdej ulicy przezroczysty strumień czystej wody w miejsce brudnych rynsztoków, czworobok za czworobokiem ładnych domów mieszkalnych z drzewa i suszonej na słońcu cegły, za każdym z nich piękny sad i ogród warzywny; odnogi głównego ulicznego strumienia wijące się między zagonami ogrodów i rzędami drzew owocowych i ogólne wrażenie schludności, porządku, gospodarności i wygody. Na każdym kroku widzieliśmy warsztaty, fabryki, najrozmaitsze rodzaje przemysłu i wszędzie pracowite ręce i twarze pełne skupienia; a w uszach mieliśmy bezustanny stuk młotków, zgrzyt pił i szum kół rozpedowych.

W herbie mojego rodzinnego stanu widnieją dwa zapijaczone niedźwiedzie kurczowo trzymające się pokrywy od dawno wysuszonej beczki z winem i wygłaszające nad wyraz stosowną uwagę: „Połączeni – stoimy (hic!). Rozdzieleni – padamy”. Dla autora niniejszej książki był to zawsze symbol nazbyt trudny. Ale herb mormonów jest łatwo czytelny. A ponadto prosty, bezpretensjonalny i bardzo stosowny. Złoty ul i uwijające się dokoła pszczoły.

Miasto leży na skraju płaskiej równiny, przycupnięte u stóp potężnej ściany gór, których wierzchołki nikną w chmurach, a których grzbiety przez całe lato bielą się zimowym śnie-

giem. Widziane z tych zawrotnych wysokości, z oddalenia dwunastu czy piętnastu mil, Great Salt Lake City wydaje się być miastem dla lalek leżącym u stóp majestatycznego muru chińskiego.

Na jednym z tych szczytów, ku południowemu zachodowi, deszcz padał bez przerwy przez dwa tygodnie, ale ani jedna kropla nie padła na miasto. A w dni upalne, wczesną wiosną czy późną jesienią, mieszkańcy zamiast wachlować się czy narzekać na upał, mogą wyjść i ochłodzić się przez samo patrzenie na zbytek wspaniałej burzy szalejącej w górach. Mogą co dzień cieszyć nią oczy z daleka, chociaż ani jeden płatek śniegu nie spadnie na nich czy w ich pobliżu.

Salt Lake City ma położenie zdrowe, nadzwyczajnie zdrowe. Mieszkańcy twierdzą, że mają tylko jednego lekarza i że człowiek ten regularnie raz na tydzień dostaje się do aresztu z mocy ustawy o włóczęgostwie, za naruszanie paragrafu „brak stałych źródeł utrzymania”. Podróżniku! Prawdę sprzedają ci w Salt Lake City zawsze w najlepszym gatunku i dają dobrą miarę i wagę. Zdarza się też często, że gdybyś chciał zważyć któreś z ich lekkich jak powietrze, banalnych stwierdzeń, musiałbyś użyć aptekarskiej wagi.

Pragnęliśmy gorąco zobaczyć słynne morze śródładowe, amerykańskie Morze Martwe – Wielkie Jezioro Słone odległe od miasta o siedemnaście mil jazdy konnej. Śniliśmy o nim, marzyliśmy, mówiliśmy, myśleliśmy o nim przez całą pierwszą część naszej podróży; ale teraz, kiedy znaleźliśmy się od niego o krok, przestało nas nagle interesować. Odłożyliśmy więc naszą wyprawę nad jezioro do dnia następnego – i nie pomyśleliśmy już o nim więcej! Byliśmy na proszonym obiedzie u pewnych gościnnych niewiernych; zwiedziliśmy budowę wspaniałej świątyni; odbyliśmy długą rozmowę z mądrym Jankesem z Connecticut, Heberem C. Kimballem (zmarłym niedawno), który był świętym bardzo wysokiego rzędu i bogatym biznesmenem. Obejrzeliliśmy Dom Dziesięciny i Dom Lwów i nie wspomnę już, ile innych kościołów i gmachów publicznych o rozmaitym przeznaczeniu i dziwacznych nazwach. Podnieceni i rozradowani biegaliśmy tu i tam i zdobyliśmy sporo pożytecznych informacji, a także mnóstwo zabawnych bzdur.

Nazajutrz zawarliśmy znajomość z panem Streetem (obecnie już nieżyjącym) i ubrani w białe koszule złożyliśmy oficjalną wizytę królowi. Był to spokojny, dobrotliwy, miły w obejściu, pełen godności i bardzo opanowany starszy pan lat pięćdziesięciu pięciu lub sześćdziesięciu, z błyskiem łagodnego humoru w oku. Ubrany był z wielką prostotą i gdyśmy wchodzili, zdejmował właśnie z głowy słomkowy kapelusz. Rozprawiał o Utah, o Indianach, o Newadzie i ogólnoamerykańskich sprawach z panem sekretarzem i kilku urzędnikami rządowymi, którzy przyszli z nami. Na mnie jednak ani razu nie zwrócił uwagi, chociaż kilkakrotnie próbowałem go wyciągnąć na rozmowę o polityce federalnej i jego nieprzychylnym stosunku do Kongresu. Ale on tylko rzucał mi od czasu do czasu przelotne spojrzenia – trochę jak dobrotliwa stara kotka, ciekawa zobaczyć, które z kociąt tarmosi jej ogon. Po jakimś czasie umilkłem i aż do końca siedziałem wściekły, czerwony i zgrzany, i złorzeczyłem mu w duchu nazywając ignorantem i dzikusiem. Ale on cały czas był spokojny i opanowany. Rozmowa z tamtymi panami płynęła spokojnie, łagodnie i melodyjnie, podobna do szmeru strumyka w letni, pogodny dzień. Gdy audyencja dobiegła końca i mieliśmy już odejść, Young położył rękę na mojej głowie, uśmiechnął się z dobrotliwym zachwytem i powiedział do mojego brata:

– Ach, to zapewne pańskie dziecko? Chłopczyk czy dziewczynka?

XIV. MORMOŃSCY MAŁŻONKOWIE TO SZLACHETNI ALTRUIŚCI

Jan Street miał mnóstwo pracy ze swoim telegrafem, co było naturalne i zrozumiałe, gdy się zważy, że musiał przeciągnąć drut przez osiemset czy dziewięćset mil stromych, zaśnieżonych, bezludnych gór i pozbawionych wody, nie zalesionych, posepnych prerii. A co gorsza, nie mógł stawiać sobie wygodnie słupów wzdłuż drogi, tylko musiał je ciągnąć zaprzęgami wołów przez te niezmierzone pustynie, gdzie miejscami dwa dni drogi dzieliły źródło od źródła. Jakkolwiek na nią spojrzeć, praca, którą powierzono panu Streetowi na podstawie kontraktu rządowego, była pracą ogromną; żeby jednak zrozumieć, co znaczą te blade słowa „osiemset mil skalistych gór i bezludnych prerii”, trzeba przebyć tę drogę samemu – żaden opis nie da czytelnikowi pojęcia o rzeczywistości. A jednak Street napotkał największe trudności tam, gdzie się ich nie spodziewał. Podpisał z mormonami umowy i oddał im do wykonania najtrudniejszą i najcięższą część swojego przedsięwzięcia, aż tu nagle mormoni doszli do wniosku, że im się to nie opłaca, przewracali wznoszone słupy w górach czy na prerii – w zależności od tego, gdzie się znajdowali w chwili podejmowania decyzji – i spokojnie wrócili do domu. Byli związani ze Streetem pisаныmi umowami, ale nic sobie z tego nie robili. Powiadali, że chcieliby zobaczyć niewiernego, który w Utah zmusi mormona do wypełnienia warunków niekorzystnej dla niego umowy! I cała ta sprawa wydawała im się ogromnie pocieszna. Street, od którego usłyszeliśmy wszystkie szczegóły, powiedział:

– Byłem w rozpacz. Wiązały mnie ciężkie rygory, musiałem wypełnić kontrakt w oznaczonym czasie i ta fatalna sytuacja łatwo mogła się dla mnie skończyć ruiną. Byłem dosłownie zdruzgotany. Zdarzyła się rzecz najzupełniej niespodziewana i nie wiedziałem, co począć. Jestem człowiekiem interesu, zawsze nim byłem, i znam się tylko na interesach, więc możecie sobie panowie wyobrazić, jak się czułem w kraju, gdzie pisana umowa nie ma żadnej wartości! Pisana umowa – to główne zabezpieczenie, ostoja i fundament każdego interesu! Straciłem wiarę we własne siły. Na nic by się nie zdało spisywać nowe kontrakty – to jedno wiedziałem. Rozmawiałem z kilku najwybitniejszymi obywatelami. Wszyscy serdecznie mi współczuli, ma się rozumieć, nie umieli mi jednak nic poradzić. Ale w końcu jeden spośród niewiernych moich znajomych, powiedział: „Niech pan idzie do Brigham Younga. Te małe płotki nic panu nie załatwią”. Ten pomysł nie trafił mi do przekonania, bo jeśli prawo było bezsilne, cóż mógł pomóc człowiek, który nie miał nic wspólnego z wydawaniem praw czy wcielaniem ich w życie? Pomyślałem, że Young może być sobie wspaniałym patriarchą kościoła i kaznodzieją, ale religia i siła moralna nie wystarczą, żeby zapanować nad setką krnąbrnych, niecywilizowanych współpracowników. Co jednak miałem robić? Pomyślałem, że jeśli nawet Young nic nie zdoła, poradzi mi może i podsunie jakąś dobrą myśl. Poszedłem więc prosto do niego i przedstawiłem całą sprawę. Mówił bardzo mało, ale słuchał uważnie i z wielkim zainteresowaniem. Zbadał dokładnie wszystkie dokumenty, a ilekroć mu się zdawało, że albo w papierach, albo w moich wyjaśnieniach jest jakaś niezgodność, wracał do tego miejsca i badał wszystko cierpliwie, dopóki nie doszedł do zadowalającej i inteligentnej konkluzji. Następnie sporządził listę niesumiennych kontrahentów i powiedział:

– Proszę pana, sprawa jest zupełnie jasna. Te umowy są sporządzone formalnie i legalnie, są też należycie podpisane i poświadczane. Pana kontrahenci podjęli zobowiązania z otwartymi oczami. Nie widzę tu ani jednego błędu, ani jednego zahaczenia. – Potem Young zwrócił się do człowieka siedzącego w drugim końcu pokoju i powiedział: – Oddaj tę listę takiemu to a takiemu i przypilnuj, żeby zwołał tych ludzi do mnie na taką to a taką godzinę.

Przyszli wszyscy z punktualnością zegarka. Ja naturalnie też byłem obecny. Young zadał im szereg pytań, a ich odpowiedzi wzmacniały jeszcze moje twierdzenia. W końcu Young zabrał głos:

– Podpisaliście te umowy i zobowiązaliście się do ich wykonania z własnej i nie przymuszonej woli?

– Tak!

– Wobec tego wykonajcie je co do litery, choćby to miało zrobić z was nędzarzy. Do roboty!

I trzeba przyznać, że wzięli się do roboty. Są teraz na prerii i w górach; uwijają się jak pracowite mrówki. I nie powiedzieli mi ani jednego złego słowa. Pełno tu rządców i sędziów, i innych urzędników przysłanych z Waszyngtonu, którzy utrzymują pozory władzy republikańskiej – ale Utah jest absolutną monarchią, a Brigham Young jej królem!

Nasz pobyt w Salt Lake City ograniczył się do zaledwie dwóch dni, nie mieliśmy więc czasu zbadać (jak to wszyscy robią) istoty i treści poligamii, ani też sporządzić zwykłych statystyk i wyciągów, co jest wstępem do zwrócenia po raz któryś tam uwagi narodu na tę kwestię. Miałem szczerzy zamiar to zrobić. Aż drżałem z niecierpliwości, żeby rzucić się w sam wir tych pasjonujących zagadnień i przeprowadzić wielkie reformy – dopóki nie ujrzałem kobiet mormońskich. Wtedy przepełniło mnie wzruszenie i moje serce okazało się mądrzejsze od głowy. Te biedne, niezdarne i przeraźliwie brzydkie stworzenia wzbudziły we mnie pełne tkliwości współczucie, więc odwracając głowę, żeby ukryć szlachetną łzę w oku, rzekłem sobie: „Nie, mężczyzna, który poślubił jedną z nich, spełnia akt chrześcijańskiego miłosierdzia i zasługuje na powszechny poklask; ale mężczyzna, który poślubił sześćdziesiąt tych kobiet, dokonał dzieła tak niezrównanie szlachetnego, że ludzkość powinna stać przed jego obliczem z odkrytą głową i wielbić go w milczeniu”.

XV. STO DZIESIĘĆ SREBRNYCH GWIZDKÓW

Nie ma drugiego kraju, w którym opowiadałoby się wieczorami tak rozkoszne wstrząsające historyjki o zabójstwach dokonanych na krnąbrnych i upartych niewiernych. Nie przypominam sobie wieczoru przyjemniejszego i bardziej nastrojowego niż ten, który spędziliśmy w knajpie niewiernych w Salt Lake City paląc fajki i przysłuchując się opowieściom o tym, jak na przykład Burton wpadł konno pomiędzy bezbronnych i błagających o litość i wytłukł wszystkich niczym psy – mężczyzn i kobiety. Jak Bili Hickman, jeden z Aniołów Mścicieli, położył trupem Drowna i Arnolda, ponieważ podali go do sądu za niepłacenie długów. Jak Porter Rockwell zrobił to czy tamto... I jak często ludzie nierozważni przyjeżdżający do Utah wypowiadają jakieś uwagi o Brighamie Youngu, o poligamii albo o innych mormońskich świętościach, a już nazajutrz o świcie leżą sobie spokojnie w jakiejś odludnej uliczce i czekają na karawan. Bardzo się też ciekawie słucha tego, co niewierni mówią o poligamii; o tym, jak powiedzmy ten lub inny stary i opasły dygnitarz kościelny czy biskup żeni się z dziewczyną. Polubi dziewczynę – żeni się z jej siostrą; polubi siostrę – żeni się z drugą siostrą, polubi ją, żeni się z jeszcze jedną, polubi ją, żeni się z jej matką, polubi matkę, żeni się z jej ojcem, dziadkiem, pradziadkiem. I bywa, że ta jedenastoletnia smarkuła zostaje ukochaną żoną, a jej czcigodna babka zajmuje w uczuciach wspólnego męża ostatnie miejsce i musi sypiać w kuchni. Ale kobiety mormońskie przyjmują bez szemrania te okropieństwa – to trzymanie w jednym brudnym gnieździe matki i córek i wywyższanie młodej córki nad jej własną matkę – ponieważ religia uczy je, że im więcej żon ma mężczyzna na ziemi i im więcej spłodzi dzieci, tym wyższe miejsce zajmą wszyscy razem na tamtym świecie.

Według tego, co nam mówili nasi zaprzyjaźnieni niewierni, Brigham Young trzyma w haremie od dwudziestu do trzydziestu żon; niektóre z nich są już stare i wycofały się z czynnej służby, ale żyją sobie wygodnie w tym kurniku, czyli w Domu Lwa, jak go dziwnie w Salt Lake nazywają. Każda żona ma przy sobie swoje dzieci, razem jest tego pięćdziesiątka. Jeżeli dzieci nie brykają, w domu panuje spokój. Do posiłków zasiadają wszyscy razem i jak nam mówiono, jadalnia przedstawia wtedy miły obrazek szczęścia rodzinnego. Nikt z naszych znajomych nie zasiadał do obiadu z Brighamem Youngiem, ale pewien niewierny nazwiskiem Johnson przysięgał, że został kiedyś zaproszony do Domu Lwa na śniadanie. Opisał w niesłychanie barwnych słowach sprawdzanie listy i inne wstępne przygotowania oraz dzikie sceny przy dzieleniu słodkich pszennych bułeczek. Ale mam wrażenie, że trochę koloryzował. Brigham Young powtórzył mu kilka dowcipnych powiedzeń jednego ze swoich dwulatków i dodał nie bez dumy, że sam był kiedyś niezwykle płodnym dostawcą anegdotek i dowcipów do pewnego miesięcznika we wschodnich stanach. Potem chciał pokazać Johnsonowi swojego ulubieńca, który wyróżnił się ostatnio dowcipem, ale nie mógł go znaleźć w tłumie innych dzieci. Przyglądał się uważnie ich twarzyczkom, lecz na próżno. W końcu westchnął z rezygnacją i powiedział:

– Byłem pewien, że poznam tego smarkacza, ale niestety!

W pewnej chwili Young oświadczył Johnsonowi, że życie jest bardzo smutne, albowiem często pogrzeb dawniejszej małżonki zatruwa radość nowego małżeństwa. Johnson opowiedział nam jeszcze, że gdy siedzieli we dwóch prowadząc miłą rozmowę, wpadła do pokoju jedna z pań Young i zażądała broszki; jak wynikało z jej słów, dowiedziała się przypadkiem, że mąż ofiarował broszkę numerowi szóstemu, a ona ani myśli pozwolić na tę niesprawiedliwość i obiecuje zatruć wszystkim życie. Young zwrócił jej uwagę, że w pokoju znajduje się obcy. Pani Young oświadczyła, że jeśli sytuacja w domu nie podoba się obcemu, obcy może

dom opuścić. Young przyrzekł jej broszkę i kobieta wyszła. Ale po kilku minutach zjawiała się inna pani Young i też zażądała broszki. Young zaczął ją strofować, ale żona ostro go osadziła. Powiedziała, że numer szósty dostał broszkę, a numer jedenasty ma ją obiecaną, więc niech mąż nie próbuje jej oszukać, bo ona doskonale zna swoje prawa. Przyrzekł jej broszkę i kobieta wyszła. Niebawem zjawily się trzy następne panie Young i przypuściły do swojego męża szturm błagań, obelg i łez. Wiedziały już o numerach szóstym, jedenastym i czternastym. Young przyrzekł trzy broszki. Zaledwie zamknęły się za nimi drzwi, do pokoju wmaszerowała kolumna dziewięciu następnych pań i nowa burza rozszałała się wokół głów Younga i jego gościa. Young przyrzekł dziewięć broszek i kobiety opuściły pokój. A po chwili weszło ich jeszcze jedenaście ;– płaczących, zawodzących i zgrzytających zębami. Young przyrzekł jedenaście broszek i w końcu zapanował spokój.

– Oto była próbka – powiedział Young. – Widzi pan, jak to jest. Jakie ja życie prowadzę. W chwili słabości ofiarowałem mojej ukochanej żonie, numerowi szóstemu – wybaczy pan, że ją tak nazywam, ale jej imię wypadło mi z pamięci – broszkę. Koszt jej wynosił zaledwie dwadzieścia pięć dolarów... to jest, pozornie wynosił dwadzieścia pięć dolarów, ale w ostatecznym rachunku broszka będzie kosztowała dużo, dużo więcej. W pana obecności koszt wzrósł do sześciuset pięćdziesięciu dolarów, ale niestety to jeszcze nie wszystko. Mam żony w całym Utah. Mam dziesiątki żon, których numerów nie mogę sobie nawet przypomnieć nie zajrzawszy do kroniki rodzinnej. Kobiety te są rozsiane po całym moim królestwie i niekiedy mieszkają w dużej od siebie odległości. Ale zapewniam pana, że nawet te na najdalszym odludziu dowiedzą się o przeklętej broszce i prędzej umrą, niż z niej zrezygnują. Zanim skończy się ta sprawa, koszt broszki numeru szóstego wzrośnie do dwóch tysięcy pięciuset dolarów. I moje żony będą te broszki porównywać, a jeżeli jedna okaże się choć trochę ładniejsza od reszty, rzucą mi je wszystkie pod nogi, a ja chcąc utrzymać spokój w rodzinie zamówię nowy komplet.

Pan zapewne nie zdawał sobie z tego sprawy, ale w obecności moich dzieci był pan cały czas bacznie obserwowany przez służbę. Gdyby pan spróbował ofiarować jednemu z dzieci monetę pięciocentową albo cukierka, albo inny tego rodzaju drobiazg, zostałyby pan natychmiast usunięty z domu – pod warunkiem, że udałoby się tego dokonać, zanim podarunek opuścił pana ręce. Inaczej musiałyby pan ofiarować identyczny podarek wszystkim moim dzieciom, a ponieważ znam z własnego doświadczenia wagę tej sprawy, sam bym przypilnował, żeby się pan dobrze wywiązał z zadania.

Kiedyś pewien dżentelmen ofiarował jednemu z moich dzieci cynowy gwizdek – istny wymysł szatana, rzecz, której nienawidzę całą duszą i której pan by też nienawidził, gdyby pan miał w domu osiemdziesięcioro czy dziewięćdziesięcioro drobiazgu. Ale zło stało się, a ten człowiek uciekł. Wiedziałem, czym się to skończy, i zapalałem pragnieniem zemsty. Dałem rozkaz i oddział Aniołów Niszczycieli puścił się za nim w najbardziej niedostępne szczyty gór Newada. Ale go nie znaleźli. Nie jestem człowiekiem okrutnym i nie jestem mściwy, gdybym jednak dostał tego człowieka w ręce, zamknąłbym go w dzieciennym pokoju i trzymał, dopóki ci smarkacze nie zagwizdaliby go na śmierć. Na poćwiartowane ciało św. Parleya Pratta – takiej sytuacji nie było jeszcze na świecie! Wiedziałem, kto dał temu smarkaczowi gwizdek, ale zazdrosne matki nie wierzyły moim słowom. Były przekonane, że to ja dałem. Skutków każdy może się domyślić. Musiałem zamówić sto dziesięć gwizdków – jeżeli dobrze pamiętam, mieliśmy wtedy w domu sto dziesięcioro dzieci, ale teraz część jest w szkołach. Musiałem zamówić sto dziesięć tych gwizdzących paskudztw i przysięgam, że dopóki gwizdki nie znudziły się malcom, porozumiewaliśmy się w domu na migi. A jeżeli zdarzy się jeszcze, że jakiś człowiek da mojemu dziecku gwizdek, powieszę go własnoręcznie, zawieszę wyżej niż Haman! Pan nie ma nawet pojęcia, co to jest małżeńskie życie. Jestem bogaty i wszyscy o tym wiedzą. Mam miękkie serce i wszyscy to wykorzystują. Mam silnie rozwinięty instynkt ojcowski i w końcu wszystkie podrzutki trafiają do mojego domu. Ilekroć

jakaś matka chce poprawić los swojego dziecka, łamie sobie głowę dopóty, dopóki w taki czy inny sposób nie zwali mi go na kark. Ach, panie, kiedyś jakaś kobieta przyniosła do tego domu dziecko o dziwnie martwej cerze (ona miała cerę podobną) i przysięgała, że jest moją żoną, a dziecko moim potomkiem, że ożeniłem się/ z nią tu a tu, tylko że ona nie pamięta swojego numeru. Ja naturalnie nie mogłem sobie przypomnieć jej nazwiska. Powoływała się na fakt, że dziecko jest do mnie podobne – i wie pan, istotnie było, co w tych stronach nie jest rzadkością. Skończyło się na tym, że dziecko powędrowało do dzieciennego pokoju, a kobieta odeszła. I przysięgam na ducha Orsona Hyda'a – przy myciu spłynęła z bachora farba i okazało się, że to mały Indianin! Tak, pan nie ma pojęcia, czym jest małżeńskie życie.. To jest psie życie, powiadam panu – psie życie. O oszczędzaniu nie ma mowy. Próbowiałem wprowadzić w domu zwyczaj trzymania jednej sukni ślubnej na wszystkie okazje. Ale nic z tego. Najpierw się pan żeni z cienkim jak patyk połączeniem perkalu i suchot, potem dostaje pan za żonę puchlinę wodną w przebraniu, a następnie musi pan sztukować tę ślubną toaletę starym balonem! A niech pan pomyśli o rachunkach za pranie! Wybacz pan tę łzę... Dziewięćset osiemdziesiąt cztery sztuki na tydzień! Nie, w takiej rodzinie jak moja nie zda się na nic oszczędzanie. Niech pan weźmie choćby takie kołyski! A środki owadobójcze! A uspokajające syropy! A kółka do gryzienia przy ząbkowaniu! A zegarki, żeby dziecko miało się czym bawić! A rozmaite przedmioty, którymi można drapać politurę na meblach! A sztuczne ognie do połykania! A kawałki szkła do kaleczenia rąk! Same wydatki na szkło wystarczyłyby na utrzymanie całej pańskiej rodziny. Żeby nie wiem jak zaciskał pasa, nie powiększę swojego majątku tak szybko, jakbym przy swoich możliwościach powinien. Ach, panie, w czasach, kiedy miałem w domu siedemdziesiąt dwie żony, utopiłem w łóżkach tysiące dolarów, które powinienem był zainwestować z zyskiem. Sprzedałem ze stratą cały ten skład mebli i kazałem zrobić jedno łóżko o wymiarach siedem stóp na dziewięćdziesiąt sześć. Ale to była omyłka. Nie mogłem spać. Zdawało mi się., że wszystkie siedemdziesiąt dwie kobiety chrapią jednocześnie. Hałas mnie ogłuszał. A poza tym – jakże to było niebezpieczne! Wszystkie naraz wciągały oddechy i widać było, jak pęd powietrza wsysa do środka ściany domu; potem wszystkie naraz wydychały powietrze i ściany natychmiast się wydymały, słychać było trzask krokwi i zgrzyt dachówek. Przyjacielu, posłuchaj rady starego człowieka i nie obciążaj się zbyt liczną rodziną. Nie rób tego! Tylko w małej rodzinie znajdziesz zadowolenie i spokój ducha, które są najcenniejszym błogosławieństwem na tym świecie i których nie zastąpi ani bogactwo, ani sława czy władza.

Uwierz mi – dziesięć czy dwadzieścia żon zupełnie ci wystarczy, nie przekraczaj nigdy tej liczby.

Jakiś instynkt radził mi, żebym nie ufał zbyt mocno prawdomówności tego Johnsona. Był jednak człowiekiem zabawnym, a zresztą nie sądzę, żebyśmy mogli z innego źródła otrzymać informacje, których on nam udzielił. Był tak niepodobny do powściągliwych i mrukliwych mormonów!

XVI. ZIEWAMY NAD BIBLIĄ MORMOŃSKĄ

Wiele ludzi słyszało o Biblii mormońskiej, ale tylko nieliczni widzieli ją i zadali sobie trud przeczytania jej. Przywiozłem jeden egzemplarz z Salt Lake City. Książka ta uderza mnie jako niezwykła osobliwość – jest tak pretensjonalna, a jednocześnie tak rozwlekła, tak nudna. Niestrawna gmatwanina natchnień. Istny chloroform w druku. Jeżeli Joseph Smith ją napisał, dokonał cudu – w tym przynajmniej, że nie zasnął w czasie pisania. Jeśli, jak głosi tradycja, tylko ją przetłumaczył ze starożytnych, pokrytych tajemniczymi znakami miedzianych tablic, które znalazł jakoby pod głazem w bardzo odludnym miejscu, przetłumaczenie też jest cudem – z tych samych co wyżej racji.

Jest to prozą pisana, wymyślna historia, wzorowana na Starym Testamencie, z dodanym na końcu przenużonym plagiatem z Nowego Testamentu. Autor robił, co mógł, żeby nadać słowom i zdaniom owo szczególne archaiczne brzmienie i składnię najwcześniejszych przekładów Biblii. Wyszedł z tego zwykły kundel – w połowie nowoczesna płynność, w połowie archaiczna naiwność i powaga. Część archaiczna jest sztuczna i wymuszona; część nowoczesna naturalna i gładka, a przez to groteskowa. Ilekroć autor dochodził do wniosku, że używa języka zbyt nowoczesnego – co się zdarzało mniej więcej w co drugim zdaniu – szpikował tekst zwrotami biblijnymi w rodzaju „zaprawdę powiadam wam” lub „i stało się” – i był z siebie ogromnie zadowolony. Do „i stało się” czuł szczególną słabość. Bez tego zdania jego książka byłaby zwykłą broszurą. Na karcie tytułowej czytamy:

KSIEGA MORMONÓW SPISANA RĘKĄ MORMONA NA TABLICACH WZIĘTYCH SPOŚRÓD TABLIC NEPHI

Owóż jest to skrót kroniki ludu Nephi, a także Lamemitów spisany dla Lamemitów, którzy są potomkami Domu Izraela, a także dla Żydów i niewiernych spisany jako przykazania oraz powstały z ducha proroczego i z objawienia. Spisany i przypieczętowany, aliści ukryty z rozkazu Pana, aby go nie zniszczono; aby objawiony był z mocy i woli Boga i był objaśniony; przypieczętowany ręką Moroni i ukryty z rozkazu Boga, aby go przedłożono we właściwym czasie niewiernym i objaśniono z natchnienia Boga. A także, wyciąg z księgi Ethera; która to księga jest historią ludu Jared; który to lud rozproszony został po ziemi, kiedy Pan pomieszał ludziom języki, gdy budowali wieżę, aby wnieść do nieba.

„Owóż” jest dobre. „Aliści” też niegorsze – tylko dlaczego „aliści”? „Jednak” by wystarczyło, choć trzeba przyznać, że nie brzmiałyby tak biblijnie.

Dalej czytamy:

Świadek trojga świadków

Niech się wiadomym stanie wszystkim narodom, szczepom, językom i ludom, które dzieło to czytać będą, że z łaski i za sprawą Pana naszego Ojca i Jezusa Chrystusa widzieliśmy tablice zawierające tę kronikę, która jest kroniką ludu z Nephi, a także Lamemitów, ich braci, a także ludu Jared, co zszedł był z wieży, o której wspomniano; zasię wiemy, że tablice owe zostały przetłumaczone z łaski i woli Boga. Jegoż to bowiem głos obznajmił je nam. I z tej przyczyny wiemy, że są prawdziwe. Świadczyły także, że widzieliśmy napisy wyryte na tablicach; a pokazane nam one były z mocy Boga, nie człowieka. I obznajmiamy słowy uro-

czystymi, że Anioł Pański zszedł z niebios i przyniósł, i położył je przed nami, abyśmy mogli obejrzeć tablice i napisy na nich wyryte; i wiemy, że jest to z mocy i łaski Boga Ojca i Jezusa Chrystusa, żeśmy je obejrżeli i świadczyć za ich prawdą możemy. I to jest wedle nas cud; zasię głos Pana rozkazał nam, iżbyśmy świadczyli. Przeto posłuszni woli Pana dajemy świadectwo prawdzie. I wiemy, iżeli dochowamy Chrystusowi wiary, plamy krwi człowieczej znikną z naszych szat, niesplamieni staniemy przed tronem Chrystusowym w dniu sądenia i wiecznie przebywać będziemy z Nim w niebiesiech. I chwała niech będzie Bogu Ojcu i Synowi Bożemu i Duchowi Świętemu w Trójcy Przenajświętszej. Amen.

Oliver Cowdery

Dawid Whitmer

Martin Harris

Niektórym ludziom potrzeba tysiąca dowodów, zanim uwierzą w cokolwiek. Jeśli o mnie idzie – gdy ktoś mi mówi, że widział napisy wyryte na tablicach i że nie tylko je widział, ale że ponadto był przy tym obecny anioł, który widział, że ten człowiek widzi napisy i tablice i zapewne wziął od niego pokwitowanie z tego widzenia – jestem gotów uwierzyć temu człowiekowi, choćbym nigdy przed tym o nim nie słyszał i choćbym nie znał imienia ani narodowości anioła.

Dalej czytamy:

I ponadto świadectwo ośmiu świadków

Niech się stanie wiadomym wszystkim narodom, szczepom, językom, i ludziom, które dzieło to czytać będą, że Joseph Smith junior, tłumacz tej księgi, okazał nam tablice, o których mowa, a które miały wygląd szczerozłotych; i dotykaliśmy rękami tych kart, które rzeczony Smith przetłumaczył; a zasię widzieliśmy napisy na nich, które wygląd mają starożytny i są osobliwie wykonane. I obznajmiamy słowy uroczystymi, iż rzeczony Smith pokazał nam je, albowiem widzieliśmy tablice i w rękachśmy je dzierżyli, i wiemy ponad wszelką wątpliwość, iż rzeczony Smith sam je posiadał. I obznajmiamy światu nazwiska nasze, aby świadczyły za prawdą tego, cośmy widzieli. A łgarstw żadnych nie mówimy, czego Bóg jest świadkiem.

Cristian Whitmer

Jacob Whitmer

Peter Whitmer junior

John Whitmer

Hiram Page

Joseph Smith senior

Hyrum Smith

Samuel H. Smith

I kiedy już niewiele brakuje, żebym się dał przekonać, a przyjdzie do mnie ośmiu ludzi mówiąc, że oni także widzieli tablice, i nie tylko je widzieli, ale dzierżyli w rękach – wtedy wierzę! Nie byłbym bardziej przekonany i wewnętrznie pewny, gdyby cała rodzina Whitmerów złożyła świadectwo prawdzie.

Biblia mormońska składa się z piętnastu ksiąg: Jakuba, Enosa, Jaroma, Omni, Mosiaha, Zeniffa, Almy, Helamena, Ethera, Moroniego, dwóch ksiąg mormonów i trzech ksiąg Nephi.

Pierwsza księga Nephi jest plagiatem Starego Testamentu i opisuje exodus dzieci Lehi z Jerozolimy oraz ich wędrówki po pustyni przez lat osiem i cudowną opiekę, która sprawował nad nimi pewien jegomość imieniem Nephi. W końcu dotarli do „Kraju obfitości” i rozbili obóz nad morzem. „Przebywali tam przez czas dni wielu”, co jest określeniem bardziej biblijnym niż ścisłym, po czym Nephi otrzymał rozkaz z nieba, aby wybudował okręt, „iżby lud przewieść przez wody”. Nephi strawestował pomysł arki Noego, ale dokładnie wypełnił polecenia co do samego planu. Wybudował okręt w ciągu jednego dnia, .gdy tymczasem jego bracia stali obok i natrzęsali się z niego mówiąc: „Brat nasz głupcem jest, albowiem myśli, że

okręt zbuduje”. Nie czekali, aż drzewo podeschnie, tylko nazajutrz cały szczep czy naród wladował się na okręt i wszyscy razem wypłynęli na morze. Potem zdarzyła się rzecz bardzo ludzka, o której wygadany Nephi wspomina z istic biblijną szczerością: zaczęli wszyscy hulać! Oni, „a takowoż żony ich bardzo się podochocili, tak bardzo, iż tańczyć zaczęli, śpiewać i mówić plugawym językiem; i w wielkie popadli plugastwo obyczaju”.

Nephi robił, co mógł, żeby ukrócić te rozwiązłości, ale oni go spętali od stóp do głów – i dalej się bawili! Zauważmy, jak prorok Nephi, wspomagany przez niewidzialne moce, wywiódł ich w pole.

I stało się, że kiedy mnie związali, kompas, który był mi dany od Boga, przestał działać, a oni nie wiedzieli, w którą stronę obrócić okręt. I burza powstała ogromna, straszliwa nawałnica i wody miały okrętem naszym przez czas dni trzech. I strach obleciał ich wielki, że potopią się wszyscy, ale nie rozwiązali mi pętów. A dnia czwartego morze wzburzyło się jeszcze straszliwiej. I stało się, że głębie morskie pochłonać nas miały.

Wtedy go rozwiązali.

I stało się, kiedym był już z pętów uwolniony, zem wziął do ręki kompas i kompas działał wedle mojej woli. I stało się, że modły wzniosłem do Pana; a kiedym modły skończył, wichry umilkły, wody się uspokoiły i nastąpiła cisza wielka.

Trzeba przyznać, że ci starożytni ze swoim kompasem byli w lepszej sytuacji niż Noe.

Płynęli do „ziemi obiecanej”, która nie miała innej nazwy. Dotarli tam bezpiecznie.

Poligamia jest nowym elementem w religii mormonów i dodana została przez Brigham Younga już po śmierci Josepha Smitha. Przedtem uważano ją za wszeteczeństwo. W rozdziale II Księgi Jakuba znajdujemy poniższy ustęp:

I stało się, iż rzekł Pan: zaprawdę powiadam wam, ludzie ci nużą się w nieprawościach; nie rozumieją Księg, albowiem dla rozwiązłości swej szukają tłumaczenia w tym, co było napisane o Dawidzie i Salomonie. A Dawid i Salomon dużo mieli żon i nałożnic, zasię była to ohyda i wszeteczeństwo, tak powiada Pan. Owóz wyprowadziłem, rzecz Pan, lud ów z Jeruzalem, abym mógł wyhodować sprawiedliwą gałąź z owoców lędźwi Józefa. Owóz ja, Bóg wasz i Pan, nie zezwolę, aby lud mój czynił tak, jak z dawna czynili.

Niestety plan zawiódł – przynajmniej co się tyczy mormońskiej odnogi tej gałęzi – bo Brigham Young „zezwał”. Z tego samego rozdziału pochodzi poniższy urywek:

Owóz Lamenci, wasi bracia, których nienawidzicie za brak ochędóstwa i wrzody, które ich obrosły, bardziej są sprawiedliwi od was; albowiem nie zapomnieli i zasię pamiętają przykazania dane od Boga ich ojcom, że będą mieli tylko po jednej żonie, a nałożnic mieć nie będą.

Poniższy ustęp, pochodzący z rozdziału IX Księgi Nephięgo, zawiera informacje nie znane ogółowi:

I stało się, że gdy Jezus wstąpił do nieba, ciżba rozproszyła się i każdy mąż wziął żonę swą i dzieci i wrócił do domu.

I stało się, że gdy nazajutrz ciżba znowu zebrała się wielka, owo wyszedł między nich Nephi i brat jego Tymoteusz, który zmartwychwstał, a także jego syn imieniem Jonasz, a także Matoni i Matonihaha, jego brat, a także Kumen i Kumenonhi, i Jeremiasz, i Szenon, i Jonasz,

Zedekjasz i Izajasz. Owo są imiona uczniów, których Jezus wybrał.

Aby pokazać czytelnikowi, o ile wspanialszy i bardziej malowniczy był (jak go widziała mormońska dwunastka) jeden z najtkliwszych momentów życia naszego Zbawiciela, cytują poniższy fragment tej samej Księgi Nephi:

I stało się, że Jezus mówił do rzesz wielkich, i kazał im powstać. Powstali z ziemi, a On rzekł im: zaprawdę powiadam wam, błogosławieni jesteście za waszą wiarę. Zaprawdę powiadam wam, że radość wypełnia mnie teraz wielka. A gdy wyrzekł te słowa, zapłakał, a rzesze to widziały; zaś On kładł ręce na ich małe dzieci i błogosławił je i modlił się za nie do Boga. A potem znów zapłakał i rzekł: spójrzcie na dzieci wasze. Gdy spojrzeli, zwrócili oczy ku niebu i nieba się nad nimi rozwarły i zobaczyli anioły spływające z nieba jakby wśród ogni wielkich; i zeszyły anioły i otoczyły dzieci, i dzieci opasane były ogniem; i anioły im służyły, a rzesze widziały to, słyszały i dają świadectwo prawdzie. Albowiem wiedzą rzesze, iż świadectwo ich jest prawdziwe, bo wszyscy widzieli i słyszeli, każdy z nich. A siła ich była wielka, około dwa tysiące pięćset dusz, i składali się z mężów, niewiast i dzieci.

A z czego, u licha, mieli się składać?

Księga Ethera jest niezrozumiałą mieszaniną „faktów historycznych”, przeważnie dotyczących walk i oblężeń prowadzonych przez ludy, o których czytelnik zapewne nigdy nie słyszał i które zamieszkiwały kraje nie znane w geografii. Był tam król o niezwykłym imieniu Coriantumr, który walczył z Szeredami, Libami, Szizami oraz innymi na równinach Heszlon, w dolinach Gilgal, w puszczech Akisz i w kraju Moranów, na równinach Agosz, Ogath i Ramah, w kraju Corihor, na wzgórzu Comnor, nad wodami Ripliancum, itd., itd. „I stało się”, że po długich walkach Coriantumr obliczył swoje straty, zobaczył, że „padły dwa miliony mocnych mężów, a także ich żony i dzieci” – powiedzmy, razem jakieś pięć czy sześć milionów – „po czym żalność chwyciła go wielką”. Hm, najwyższy czas. Napisał więc do Sziza proponując zaprzestanie działań wojennych i aby ratować swój lud, zaoferował mu własne królestwo. Sziz odmówił, żądając, żeby wpiery Coriantumr pozwolił odciąć sobie głowę, na co Coriantumr nie chciał się zgodzić. Potem znów walczyli przez cały jeden sezon, a następnie przez cztery lata gromadzili siły do ostatecznej rozprawy. Rozpoczęła się bitwa – moim zdaniem najniezwyklejsza, jaką notuje historia – może z wyjątkiem walki kotów z Kilkenny, którą zresztą pod pewnymi względami przypomina. Zamieszczam poniżej opis gromadzenia sił i samej bitwy:

7. I stało się, że zebrali wszystek lud, który nie był zginął, z wyjątkiem Ethera. I stało się, że Ether widział wszystko; widział, jak lud, co był za Coriantumrem, przystąpił do armii Coriantumra, a lud, co był za Szizem, przystąpił do armii Sziza. Albowiem dlatego przez lat cztery zbierali wojowników, aby mogli zebrać wszystek lud z oblicza ziemi i wystąpić w największej sile. I stało się, że gdy już wszyscy byli zebrani: wojownicy, ich żony i dzieci trzymając – zarówno mężowie, jak niewiasty i dzieci – tarcze w rękach i uzbrojeni jak na wojnę i także jak na wojnę odziani, ruszyli do boju jedni przeciw drugim. Walczyli dzień cały i nikt nie odniósł zwycięstwa. I stało się, że gdy zapadła noc, umęczeni wrócili do swych obozów; a gdy wrócili do swych obozów, wzniosł się lament i zawodzenie, i oplakiwali śmierć tych, co padli w boju; a tak wielki był ten płacz, lament i zawodzenie, że powietrze nadzwyczajnie się od nich zatrzęsło. I stało się, że nazajutrz zaś wyruszyli do boju, i straszny był to dzień; a przecież znowu nie zwyciężyli. I gdy noc zapadła, znowu rozdarło się powietrze ich lamentem, szlochem i żalnością po tych, co padli w boju.

8. I stało się, że Coriantumr powtórnie napisał do Sziza z błaganiem, iżby miast występować do boju, wziął jego królestwo i oszczędził lud. Atoli Duch Pański opuścił ich i szatan

objął władzę nad nimi, i oddani byli zatwardziałości serca i ślepotcie swojej, aby mogli być zniszczeni. Przeto znowu poszli do boju. I stało się, że walczyli cały dzień, a gdy zapadła noc, spali na mieczach; a nazajutrz znów walczyli do nocy, a jak zapadła noc, pijani byli od gniewu, jako człowiek pijanym bywa od wina; i znowu spali na mieczach; a rano znowu walczyli. Lecz zanim przyszła noc, padli wszyscy i zostało tylko pięćdziesięciu dwóch wojowników Coriantumra i sześćdziesięciu dziewięciu wojowników Sziza. I stało się, że spali tej nocy na mieczach, a nazajutrz znów walczyli na miecze i na tarcze ze wszystkiej mocy; a jak przyszła noc, było ich trzydziestu dwóch wojowników Sziza i dwudziestu siedmiu wojowników Coriantumra.

9. I stało się, że jedli i spali, i przygotowywali się na śmierć dnia następnego. A byli to sami mężowie siły i odwagi wielkiej. I stało się, że walczyli trzy godziny i pomdleli z ubytku krwi. I stało się, że gdy wojownicy Coriantumra odzyskali sił tyle, że mogli chodzić, gotowali się do ucieczki, iżby ocalić mogli życie, ale owo Sziz powstał, a za nim jego wojownicy i Sziz poprzysiął w swym gniewie, że zgładzi Coriantumra albo sam zginie; i ścigał ich, a nazajutrz dogonił i znowu walczyli na miecze. I stało się, że gdy wszyscy padli w boju i żywi byli już tylko Coriantumr i Sziz, owo Sziz omdlał z upływu krwi. I stało się, że Coriantumr wsparty na mieczu odzyskał sił trochę, i odrąbał głowę Szizowi. I stało się, że gdy odrąbał głowę Szizowi, Sziz podniósł się na rękach i padł; a potem krztusił się i dusił i wyzionął ducha. I stało się, że Coriantumr padł na ziemię i był jak bez życia. I Bóg zwrócił się do Ethera i rzekł mu, aby powstał i poszedł. A Ether poszedł i ujrzał, że słowa Pańskie wszystkie się wypełniły. I dokończył swoich kronik. A jam ich setnej części nawet nie spisał.

Chyba szkoda, że nie spisał do końca tej kroniki; po wszystkich poprzednich rozdziałach beznadziejnej nudy i banału, groziło mu wreszcie, że stanie się interesujący.

Biblia mormońska jest książką dość głupią i nużącą, ale w naukach jej nie ma nic zdroźnego. Jej kodeks moralny nie może budzić żadnych zastrzeżeń – jest „święśnięty” z Nowego Testamentu bez powołania się na źródło.

XVII. WYSOKIE ZAROBKI I WYSOKIE CENY

Po dwóch dniach opuściliśmy Great Salt Lake City zdrowi, najedzeni i zadowoleni – w znakomitej kondycji fizycznej, ale niewiele chyba mądrzejsi, jeśli idzie o kwestię mormońską, niż byliśmy w dniu przyjazdu. Zdobyliśmy naturalnie dużo informacji, nie wiedzieliśmy jednak, ile z nich było godne wiary, większość bowiem pochodziło od jednodniowych znajomych – ściśle mówiąc, od ludzi obcych. Dowiedzieliśmy się na przykład, że straszliwa masakra na Mountain Meadows była wyłącznie dziełem Indian i że niewierni w podły sposób usiłowali obciążyć nią mormonów; usłyszeliśmy też, że częściowo była to wina Indian, częściowo zaś mormonów; i wreszcie oświadczono nam z całą stanowczością, że to mormoni byli niemal wyłącznie – jeśli nie wyłącznie i całkowicie – odpowiedzialni za tę zdradziecką i bezlitosną kaźń. Usłyszeliśmy tę historię w trzech różnych wersjach, ale dopiero w kilka lat później, gdy wyszła książka Waite'a pod tytułem „Prorok mormoński”, zawierająca opis rozprawy sądowej przeciwko winnym zbrodni, okazało się ponad wszelką wątpliwość, że ta ostatnia wersja jest prawdziwa i że mormoni byli zabójcami. Wszystkie nasze informacje miały potrójne oświetlenie, zrezygnowałem więc z zamiaru rozgryzienia kwestii mormońskiej w ciągu dwóch dni. Swoją drogą niektórzy korespondenci robili to w jeden dzień.

Wyjeżdżając z Great Salt Lake City miałem bardzo słabe pojęcie o istniejącym stanie rzeczy, a niekiedy wątpiłem nawet, czy tam w ogóle jakiś stan rzeczy istnieje. Ale niebawem uświadomiłem sobie z uczuciem niewymownej ulgi, że dowiedzieliśmy się kilku rzeczy pomniejszej wagi, których mogliśmy być najzupełniej pewni. Na przykład przekonaliśmy się, że dotarliśmy w końcu do kraju pionierskiego, który jest namacalnie i absolutnie prawdziwy. Wysokie ceny towarów świadczyły o wysokim koszcie przewozu i wprost oszałamiających odległościach do pokonania.

Najmniejszą monetą obiegową na Wschodzie był w tamtych czasach pens, reprezentujący najmniejszą sprzedaną ilość towaru. W Cincinnati najmniejszym pieniążkiem w użyciu była srebrna pięciocentówka i nabywca nie mógł kupić mniejszej ilości jakiego bądź towaru niż za pięć centów. W Overland City nie widzieliśmy mniejszej monety w obiegu niż dziesięć centów, ale w Salt Lake najmniejszą monetą obiegową była srebrna „ćwiartka” wartości dwudziestu pięciu centów i nie można było nabyć mniej towaru niż za srebrną ćwiartkę. Byliśmy przyzwyczajeni do „piątek” jako do podstawowego minimum wszelkich finansowych operacji; ale gdy w Salt Lake człowiek chciał kupić cygaro, musiał płacić ćwiartkę; gdy chciał kupić brzoskwinię albo świecę, albo gazetę, albo chciał się ogolić, albo wypić jedną małą whiskey, żeby zalać robaka, wyleczyć niestrawność czy uśmierzyć ból zęba – za każdym razem musiał płacić dwadzieścia pięć centów. Gdy patrzyliśmy od czasu do czasu na woreczek z bilonem, zdawało nam się, że trwonimy majątek na wystawne życie, a z książki rachunkowej wynikało, że żyjemy skromnie. Ludzie łatwo się jednak godzą z dużymi sumami pieniędzy i z wysokimi cenami – lubią je i chępią się nimi; znacznie bardziej przykry i trudniejszy do przyjęcia jest powrót do monet niższej wartości i do niższych cen. Po miesięcznej znajomości z dwudziestopięciocentowym minimum przeciętny człowiek oblewa się rumieńcem na myśl o swoich nędznych pięciocentowych dniach. Jakiż war wstydu oblewał mnie w przebogatej Newadzie na wspomnienie mojego pierwszego przeżycia finansowego w Salt Lake! Rzecz zdarzyła się takim oto trybem (jest to ulubione wyrażenie wielkich autorów i trzeba przyznać, że jest nawet zręczne, chociaż nie słyszałem, żeby ktoś mówił „takim oto trybem”): Młody metys o cerze koloru najzółtszej osy spytał, czy ma mi oczyścić buty. Było to w hotelu „Salt Lake House”, rankiem na drugi dzień po naszym przyjeździe. Zgodziłem się i chłopak buty

oczyścił. Wtedy wręczyłem mu srebrną pięciocentówkę, z dobrotliwą miną człowieka, który obdarza bogactwem i szczęściem nędzę i cierpienie. Żółta Osa wziął monetę powściągnąwszy wzruszenie (tak mi się zdawało) i z czcią położył ją na środku swej ogromnej łapy. Potem zaczął ją badać wzrokiem, bardzo w tym przypominając uczonego, który bada ucho komara na obszernym polu mikroskopu. Kilku górali, woźniców, poganiaczy etc. zbliżyło się i przyłączyło do naszej grupy; oglądali pieniążek z ową zachwycającą pogardą dla wszelkich form, która nas uderza w śmiałych pionierach. Już w następnej chwili Żółta Osa zwrócił mi pieniążek mówiąc przy tym, abym lepiej nosił pieniądze w portmonetce, nie w sercu, bo będą wtedy mniej pogięte i skurczone.

Jakim oni wybuchnęli śmiechem i jaki ten ich śmiech był ordynarny! Zniszczyłem tego kundlowatego płaza w mgnieniu oka, ale gdy zdejmowałem z niego skalp, śmiałem się wbrew woli, bo jak na Indianina zręcznie mi dociął.

Tak, nauczyliśmy się w Salt Lake płacić wygórowane ceny nie zdradzając wewnętrznego dreszczu, który nas przebiegał, bo zdążyliśmy już podsłuchać i zapamiętać ton rozmów między woźnicami, konduktorami i stajennymi, potem zaś między obywatelami Salt Lake i zrozumieliśmy, że te istoty wyższego rzędu gardzą „emigrantami”. Nie wzdrygaliśmy się ani zdradzili najłżejszym nawet skurczem twarzy, bo dalibyśmy dużo, żeby uchodzić za pionierów, mormonów, mieszańców, poganiaczy, woźniców, zabójców z Mountain Meadows – za kogokolwiek, kto się cieszył szacunkiem i podziwem na Równinach i w Utah; wstydziliśmy się potwornie, że jesteśmy „emigrantami”, że nosimy białe koszule i nie umiemy kłąć przy paniach nie odwracając jednocześnie oczu.

Jakże często później w Newadzie mieliśmy okazję przypominać sobie z uczuciem upokorzenia, że jesteśmy „emigrantami”, a co za tym idzie, istotami niższego i pośledniejszego rzędu. Może czytelnik odwiedzał – choćby w ostatnich czasach – Utah, Newadę i Kalifornię i może mu się zdarzyło, że gdy rozmyślał o bolesnej separacji tych krajów od świata, nagle podcinano mu skrzydła; przekonywał się bowiem, że to właśnie on zasługuje na litość i współczucie i że istnieją wokół niego całe społeczeństwa, które są gotowe nad nim się litować – mało – które już się nad nim litują serdecznie. Biedak – wyśmiewają jego kapelusz, krój jego marynarki od nowojorskiego krawca, dbałość o gramatykę, ogładę, jego nieprawdopodobnie pocieszającą ignorancję w sprawach rudy, szybów, tuneli i innych rzeczy, których nigdy dotąd nie widział na oczy i które tak mało go interesowały, że nigdy o nich nie czytał. I podczas gdy on rozczuła się nad smutnym losem ludzi wygnanych w te dalekie kraje, na te odludne ziemie, oni spoglądają nań z miażdżącym politowaniem, gdyż jest „emigrantem”, a nie ową najdumniejszą i najszcześniejszą istotą na ziemi – człowiekiem z pierwszego roku emigracji!

Zaczęło się znów codzienne dyliżansowe życie i już około północy zdawało nam się, żeśmy ani na chwilę nie opuszczali naszego przytulnego gniazdka między workami poczty. Wprowadziliśmy jednak pewną zasadniczą zmianę. Zaopatrzyliśmy się w tak ogromne ilości chleba, szynki i jajek na twardo, że zapasy starczyłyby nam na dwukrotne przebycie tam i z powrotem sześćsetmilionowej odcinka drogi, który mieliśmy przed sobą. Ach, jak przyjemnie było siedzieć i spoglądać przez okno na majestatyczną panoramę gór i dolin jedząc jednocześnie szynkę i jajka na twardo, podczas gdy nasza duchowa natura rozkoszowała się kolejno to burzą, to tęczą, to nieporównanym zachodem słońca. Nic nie podnosi tak piękna krajobrazu jak szynka i jajka. Szynka i jajka na twardo, a potem fajka – stara, dobrze wypalona, przepyszna fajka... Szynka i jajka, piękne widoki, karkołomny zjazd w dół, rozpędzony dyliżans, aromatyczna fajka i pogoda w sercu – oto jest szczęście. Ludzkość walczy o nie od stuleci.

XVIII. MARTWA PUSTY尼亚 ALKALICZNA

O ósmej rano dotarliśmy do smutnych ruin i resztek Camp Floyd, niegdyś ważnej placówki wojskowej, w odległości czterdziestu pięciu lub pięćdziesięciu mil od Salt Lake City. O czwartej po południu nasz dyliżans podwoił tę odległość i znajdowaliśmy się o blisko sto mil od Salt Lake City. Wkraczaliśmy teraz na jedną z pustyń o ohydzie tak zgęszczoną, że bledną przy niej rozsiane i rozproszone okropieństwa Sahary – na pustynię alkaliczną. Ciągnęła się ona na przestrzeni sześćdziesięciu ośmiu mil, z jedną tylko przerwą. Nie jestem pewien, czy była to prawdziwa przerwa w pustynnym układzie, czy raczej wodopój pośrodku pustyni. Jeśli mnie pamięć nie myli, nie było w tym miejscu studni czy źródła, a wodę przywożono zaprzęgami wołów i mułów z krańca pustyni. Znajdowała się tam stacja dyliżansów w odległości czterdziestu pięciu mil od jednego krańca i dwudziestu trzech mil od drugiego krańca pustyni.

Wlekliśmy się, pełzli, snuli po omacku przez całą niezwykle długą noc, aż w końcu, po dwunastu godzinach nużącej jazdy przebyliśmy czterdziestopięciomilowy odcinek pustyni i dotarli do stacji, gdzie wodę przywożono z daleka. Właśnie wschodziło słońce. Przeprawa przez pustynię w nocy, kiedyśmy spali, nie przedstawiała wielkich trudności: i przyjemnie było rano pomyśleć, że my, we własnych osobach, przeprawialiśmy się przez prawdziwą pustynię, i że do końca życia będziemy mogli rozprawiać ze znawstwem o pustyniach w obecności ignorantów. Przyjemność sprawiała też myśl, że nie była to jakaś prowincjonalna, nikomu nie znana pustynia, lecz pustynia słynna – aby tak rzec, prawdziwa metropolia między pustyniami. Odczuwaliśmy ogromną radość i satysfakcję; lecz dopiero teraz mieliśmy przeprawiać się przez pustynię w dzień. Czekало nas przeżycie wspaniałe, nowe, romantyczne, pełne dramatycznych przygód – ach, warto żyć, warto podróżować, aby zdobyć tego rodzaju doświadczenia!

Ten entuzjazm, ta nienasycona żądza przygód wyparowała pod piekącym sierpniowym słońcem i nie trwała dłużej niż godzinę. Jedna krótka, śmieszna godzina – a potem wstydziliśmy się własnego zapału. Cała poezja zawarła się w oczekiwaniu, w posępnej rzeczywistości nie było nic poetycznego. Wyobraźcie sobie ogromne morze bez fal, które umarło i zmieniło się w popioły. Wyobraźcie sobie tę jałową pustynię z rzadka porośłą spopieliałymi krzewami bylicy, wyobraźcie sobie martwą ciszę i samotność takiego miejsca; wyobraźcie sobie dyliżans pełnący jak żuk przez tę bezkresną płaszczyznę i wzbijający za sobą tumany gęstego pyłu, jak gdyby był żukiem o napędzie parowym; wyobraźcie sobie dręczącą monotonię godzin, które jedna za drugą wloką się wraz z powolnym ruchem pojazdu, pozornie ani o krok nie przybliżającym się do utęsknionego brzegu; wyobraźcie sobie zaprzęg, woźnicę, dyliżans i pasażerów przykrytych tak grubą warstwą popiołu, że wszystko i wszyscy są jednakowej popielatej barwy; wyobraźcie sobie sadz z popiołu na wąsach i brwiach, osiadłą jak śnieżna sadz na krzewach i gałęziach. Taka była rzeczywistość.

Słońce praży z bezlitosną, dojmującą i niesłabnącą zajadłością; pot bije z każdego pora w skórze człowieka i zwierzęcia, ale ginie w osadzie pyłu, zanim zdola wydostać się na powierzchnię; powietrze jest nieruchome; ani jednej litościwej chmury na jaskrawym firmamencie; dokądkolwiek zwrócić wzrok, ani jednego żywego stworzenia na pustej płaszczyźnie rozpościerającej swoje monotonne mile we wszystkie strony świata; nie słyhać ani jednego dźwięku, westchnienia, szeptu, brzęczenia, szumu skrzydeł, dalekiego głosu ptaka – nie słyhać nawet szlochu dusz potępionych, które niewątpliwie zaludniają tę martwą przestrzeń. I dlatego rozlegające się od czasu do czasu parsknięcie mułów i chrobot przeżuwanych przez

nie resztek siana głośnym zgrzytem przerywają tę posępną ciszę, ale nie rozpraszają złego czaru, przeciwnie – wzmagają go, tak że w końcu człowiek czuje się jeszcze bardziej samotny i zgubiony.

Zachęczone najstraszliwszymi przekleństwami, pochlebstwami i trzaskaniem z bata muły w pewnych dość regularnych odstępach zdobywały się na wielki „zryw” i ciągnęły dyliżans przez sto, niekiedy dwieście jardów wzbijając gęsty tuman kurzu, który przesunął się do tyłu i obejmował powóz aż po górną krawędź kół lub wyżej, tak że w końcu płynęliśmy jakby we mgle. Wreszcie rozlegało się zwykłe parskanie i żucie. Potem nowy zryw i po przebyciu stu jardów nowy odpoczynek. Powtarzało się to przez calutki dzień, chociaż nie mieliśmy wody dla mułów i ani razu nie zmienialiśmy zaprzęgu. A przynajmniej powtarzało się to przez dziesięć godzin, co moim zdaniem jest na pustyni alkalicznej całym dniem – i to nawet ciężkim. I tak od czwartej rano do drugiej po południu. A jak było gorąco, jak duszno! Ostatnią kroplę wody wypiliśmy w połowie dnia, a pragnienie męczyło nas przeraźliwie. Wszystko to było takie bezsensowne, takie męczące i nudne! A godziny wlokły się, pełzły, kuśtykały z tak okrutną powolnością! Zostawiałem zegarek w spokoju, sam nie wiem na jak długo, a wyciągnąwszy go stwierdzałem, że bałamuciał czas i ani trochę nie raczył się posunąć naprzód. Od pyłu alkalicznego pękała nam skóra na wargach, łzawiły oczy, rzucała się krew nosem – wierzcie mi, naprawdę, cały romantyzm ulotnił się, znikł i została twarda rzeczywistość – spragniona, złana potem, dręcząca, ohydna rzeczywistość.

Dwie mile i ćwierć na godzinę przez dziesięć godzin – oto nasze osiągnięcie. Byliśmy przyzwyczajeni do ośmiu lub dziesięciu mil na godzinę i ten ślimaczy krok wydawał nam się czymś niezrozumiałym. Gdy dotarliśmy do stacji po drugiej stronie pustyni, cieszyliśmy się, po raz pierwszy cieszyliśmy się, że mamy w dyliżansie słownik, bo nie znaleźlibyśmy słów na określenie naszej radości bez pomocy nie skróconego, ilustrowanego słownika! Ale nie ma na świecie takiego słownika, w którym znalazłyby się słowa określające zmęczenie mułów po tych dwudziestu trzech milach. A gdybym spróbował dać czytelnikowi pojęcie o ich straszliwym pragnieniu, „złociłbym złoto najszczerze i malował lilie”.

Umieściłem ten cytat, ale jakoś mi tu nie pasuje; zresztą mniejsza o to, niech, zostanie. Uważam, że jest śliczny i pełen wdzięku, usiłowałem więc setki razy znaleźć dla niego odpowiednie miejsce, co mi się nigdy nie udawało. Te wysiłki rozpraszały moją uwagę i denerwowały mnie, przez co narracja rwała się często i traciła płynność. Wobec tego chyba go zostawię, jak wyżej, gdyż da to chwilowy przynajmniej odpoczynek od męki dopasowywania tekstu do tego naprawdę pięknego i trafnego cytatu.

XIX. ZNIKCZEMNIALI GOSZOCI

Rankiem szesnastego dnia po opuszczeniu St. Joseph stanęliśmy u wejścia do Skalnego Kanionu, w odległości dwustu pięćdziesięciu mil od Salt Lake. Gdzieś tutaj, w tym dzikim kraju i ogromnym oddaleniu od osiedli białego człowieka (nie licząc stacji pocztowych) natknęliśmy się po raz pierwszy na najnędzniejsze okazy rodzaju ludzkiego, jakie dotąd widziałem. Mam na myśli Indian Goszotów. Jeżeli można stwierdzić na podstawie tego, cośmy sami słyszeli i widzieli, stoją oni na znacznie niższym stopniu rozwoju niż powszechnie pogardzani Indianie „Kopacze” z Kalifornii; na znacznie niższym niż wszystkie ludy dzikie naszego kontynentu; niż mieszkańcy Terra del Fuega; niż Hotentoci, a pod niektórymi względami – niższym niż Kiczowie z Afryki. Przeczytałem od deski do deski okazałe tomy dzieła Wooda „Rasy niecywilizowane”, aby znaleźć plemię dzikich, które mogłoby się równać z Goszotami pod względem znikczemnienia. Stwierdziłem, że istnieje tylko jeden szczerp zasługujący na ten haniebny wyrok. Mam na myśli Buszmenów z Afryki południowej. Ci Goszoci, których widywaliśmy w drodze lub na stacjach pocztowych, byli niskiego wzrostu, drobni, chuderlawi, o kolorze, skóry czarnym jak u zwykłego Murzyna amerykańskiego; o twarzach i rękach pokrytych skorupą brudu, który zbierał się tam od miesięcy, lat czy pokoleń – zależnie od wieku właściciela. Jest to rasa milczków, przyczajonych ludzi o zdradzieckim wyglądzie, ludzi obserwujących wszystko ukradkiem – jak zresztą większość „szlachetnych czerwono-skórych”, o których czytamy – ale nic po sobie nie zdradzających: Są opieszali, bezgranicznie cierpliwi i niezmordowani jak wszyscy Indianie; są żebrakami bez ambicji – bo gdyby pozbawić Indianina instynktu żebraczego, przestałby „chodzić”, jak przestałby chodzić zegar pozbawiony wahadła; są głodni, wiecznie głodni, chociaż nie gardzą nigdy tym, co zjadłaby świnia, często zaś jedzą to, od czego świnia odwróciłaby się ze wstrętem; szczerp myśliwski, zaspokajający ambicje łowami na oślego królika, świerszcze i koniki polne, lub podkradaniem padliny sępom i kojotom; dzikusy, którzy na pytanie, czy dzielą wspólną Indianom wiarę w Wielkiego Dobrego Ducha okazują jakby pewne wzruszenie mniemając, że chodzi o whisky; nieliczna, rozproszona rasa ludzi, których czarne dzieci chodzą niemal nago; ludzi, którzy nie produkują, nie budują wiosek, nie są zorganizowani we wspólnoty plemienne; ludzi, których jedynym schronieniem jest szmata zarzucona na krzak częściowo zasłaniająca od śniegu, wreszcie ludzi, którzy zamieszkują jedną z najdzikszych, najbardziej skalistych i wietrznych okolic w naszym kraju.

Buszmeni afrykańscy i nasi Goszoci są z pewnością potomkami tego samego kangura czy goryla, czy też zwykłego szczura lub może innego zwierzęcia – Adama, które według darwinistów jest ich przodkiem.

Zapału do walki można by się prędzej spodziewać po króliku niż po Goszocie, a mimo to bywa, że przeżywiwszy się kilka miesięcy na resztkach i odpadkach stacji pocztowej wracają którejś ciemnej nocy, kiedy nikt nie spodziewa się napadu, i podpaliwszy budynki zabijają biegnących na ratunek ludzi. Kiedyś, nocą, zaatakowali dylizans, którego jedynym pasażerem był pewien sędzia okręgowy z terytorium Newady. Pierwszą salwą z luków (i kilkanaście kulami) posiekali zasłony na oknach, postrzelili konia i zadali śmiertelną ranę woźnicy. Woźnica był człowiekiem dzielnym, podobnie jak jego pasażer. Na wezwanie rannego sędziego Mott wyskoczył z pędzącego dylizansu, wdrapał się na kozioł i pochwycił lejce – uciekali przez otaczający ich tłum szkieletów, pod gęstym gradem strzał. Woźnica osunął się na ziemię, nie wypuścił jednak lejców z rąk i powiedział, że zdoła je utrzymać, dopóki sędzia go od nich nie uwolni. A gdy sędzia wziął lejce z jego omdlałych dłoni, woźnica, leżąc z głową między sto-

pami sędziego, spokojnie dawał mu wskazówki, któredy należy jechać; powiedział, że ma nadzieję, dożyć chwili, w której ujdą pościgowi dzikusów, i jeśli mu się to uda, największa trudność zostanie pokonana. Wystarczy, żeby sędzia jechał dalej taką to a taką drogą (tu dał wskazówki co do miejsc, obok których mieli przejeżdżać, i ogólnego kierunku), a bez trudu trafi do następnej stacji. Sędzia wyrwał się napastnikom i w końcu dopadł następnej stacji, pozostawiając za sobą niebezpieczeństwo strasznej nocy; ale nie miał z kim dzielić swego tryumfu, bo jego towarzysz broni, woźnica o duszy żołnierza, już nie żył.

Zapomnijmy, że mówiliśmy przykre rzeczy o woźnicach poczty kontynentalnej.

Wstręt, jaki wzbudzili we mnie Goszoci – we mnie, który byłem zagorzałym uczniem Coopera i wielbicielem czerwonoskórego, wielbicielem nawet tych uczonych dzikusów z „Ostatniego Mohikanina”, którzy występują w książce wraz z białymi myśliwymi z dalekich kniei, dzielącymi każde zdanie na dwie równe części, przy czym pierwsza część jest nieskazitelna pod względem gramatyki i wyszukana w doborze słów, druga zaś stanowi taką mniej więcej próbę posługiwania się językiem myśliwych z gór i puszczy, o jaką mógłby się pokusić urzędnik z Broadwayu po zjedzeniu pełnego wydania dzieł Emersona Bennetta i dwutygodniowych studiach nad życiem Dalekiego Zachodu przeprowadzonych w Teatrze Bowery – powiadam więc, że wstręt, jaki budzili we mnie Goszoci, skłonił mnie do przestudiowania dzieł źródłowych. Chciałem sprawdzić, czy oglądając czerwonoskórych w łagodnej poświacie romantyzmu przypadkiem ich nie przeceniłem. Jakże rozczarowały mnie te rewelacje! Jak prędko opadły z czerwonoskórego blichtr i farba ukazując go takim, jaki jest w rzeczywistości – zdradziecki, brudny, odpychający. I jak prędko nagromadziły się dowody, że każdy szczep indiański jest w gruncie rzeczy szczepem Goszotów – mniej lub więcej zmienionym przez okoliczności i warunki życia – ale szczepem Goszotów. To prawda, że zasługują na litość, nieszczęśnicy! I z tej odległości gotów jestem się nad nimi litować. Z bliska nie mogą liczyć na niczyje współczucie.

Panuje przekonanie, że wśród pracowników Baltimorskiej i Waszyngtońskiej Linii Kolejowej jest wielu Goszotów. Ale to nieprawda. Istnieje tylko powierzchowne podobieństwo, które może zwieść człowieka nie znającego się na rzeczy, ale które nie wprowadzi w błąd kogoś, kto widział i porównywał jednych i drugich.

Mówiąc poważnie, rozprzeźnienie powyższej pogłoski jest czymś zarówno niemądrym, jak krzywdzącym, bo jakkolwiek niewinny był motyw, nieuchronną konsekwencją jest zaszarganie dobrej sławy ludzi, którzy i bez tego – Bóg mi świadkiem – mają dostatecznie trudne życie w okrutnych pustkowiach Gór Skalistych! Jeżeli nie możemy znaleźć w sercach chrześcijańskiego miłosierdzia i litości dla tych nieszczęsnych, nagich istot, nie obrzucajmy ich, na miłość boską, kamieniami!

XX. CO HANK POWIEDZIAŁ HORACEMU GREELEYOWI

Siedemnastego dnia podróży minęliśmy najwyższe szczyty górskie, jakie widzieliśmy dotąd, a chociaż w dzień panował upał, noc, która po nim przysła, była mroźna i koce nie dały nam żadnej ochrony przed zimnem.

Osiemnastego dnia spotkaliśmy na stacji Reese River konstruktorów linii telegraficznej przeciągających druty z zachodu na wschód i nadaliśmy depezę do Jego Ekscelencji gubernatora Carson City. Była to odległość stu pięćdziesięciu mil.

Dziewiętnastego dnia przeprawiliśmy się przez Wielką Amerykańską Pustynię – czterdzieści pamiętnych mil bezdennych piachów, w których koła pojazdu grzęzły na głębokość od sześciu cali do jednej stopy. Przpracowaliśmy większą część tej drogi, to jest wysiadaliśmy z dyliżansu i szliśmy pieszo. Była to posępna przeprawa – długa i dręcząca pragnieniem, bo zabrakło nam wody. Od jednego krańca po drugi droga bielila się kośćmi wołów i koni. Bez wielkiej przesady dałoby się powiedzieć, że można przejść te czterdzieści mil po kościach. Pustynia była jednym niezmiernym grobowcem. A stopy łańcuchów hamulcowych, kół i butwiejących części pojazdów były nie mniejsze niż stopy kości. Widzieliśmy tyle rdzewiejących na pustyni łańcuchów hamulcowych, że można by je przeciągnąć od granicy do granicy każdego stanu. Czy te smutne pamiątki nie dają słabego choć pojęcia o straszliwych cierpieniach i przywacjach, na jakie narażeni byli pierwsi emigranci do Kalifornii?

Na krańcu pustyni leży jezioro Carson czy raczej „zlew” Carson – posępne, płytkie rozlewisko o obwodzie mniej więcej stu mil. Wody rzeki Carson wpadają do jeziora i znikają – wsiąkają tajemniczo w ziemię i nie wychodzą więcej na światło dzienne, bo jezioro nie ma żadnego odpływu.

W Nowadzie jest kilka rzek i wszystkie spotyka ten sam zagadkowy los. Wpadają do rozmaitych jezior czy „zlewów” i już nikt ich więcej nie widzi. Jezioro Carson, jezioro Humboldt, jezioro Walker, jezioro Mono – wszystko to są ogromne rozlewiska wodne bez widocznego ujścia. Woda wpływa do nich bezustannie; nie widać, żeby wypływała, a mimo to poziom jest zawsze taki sam. Co jeziora te robią z nadmiarem wody – wie tylko jeden Stwórca.

Na zachodnim krańcu pustyni zatrzymaliśmy się tylko kilka chwil w mieście Ragtown. Składa się ono z jednego szałasu i nie jest zaznaczone na mapie.

To mi coś przypomina. Gdy wyjeżdżaliśmy z Julesburga nad rzeką Platte, siedziałem na koźle obok woźnicy, który w pewnej chwili rzekł:

– Mogę panu opowiedzieć coś ogromnie śmiesznego, jeżeli ma pan ochotę posłuchać. Kiedyś jechał tą drogą Horacy Greeley. Wyjeżdżając z Carson City powiedział woźnicy, który się nazywał Hank Monk, że jest zaproszony na wykłady do Placerville i że chciałby jak najprędzej tam dojechać. Hank Monk trzasnął z bata i popędził konie do straszliwego galopu. Dyliżans tak przeraźliwie trząsł i podskakiwał, że Horacemu odleciały wszystkie guziki od płaszczka, a w końcu biedak przebił głową dach. Zaczął wtedy wrzeszczeć do Hanka Monka i błagać go, żeby jechał wolniej... powiedział, że już mu się tak nie śpieszy jak przed chwilą. Ale Hank Monk na to: „Siedź spokojnie, Horacy, dowiozę cię na czas”. – I może się pan założyć, że go dowiozł, a właściwie resztki, które z biednego Horacego zostały.

W kilka dni później wzięliśmy na skrzyżowaniu dróg pasażera, pewnego mieszkańca Denver, który opowiedział nam dużo ciekawych rzeczy o swoim okręgu i kopalniach w Gregory. Był człowiekiem interesującym i dobrze obeznanym ze sprawami Colorado. Po jakimś czasie rzekł:

– Mogę panom opowiedzieć coś ogromnie śmiesznego, jeżeli macie ochotę posłuchać. Kiedyś jechał tą drogą Horacy Greeley. Wyjeżdżając z Carson City powiedział woźnicy, który się nazywał Hank Monk, że jest zaproszony na wykłady do Placerville i że chciałby jak najprędzej tam dojechać. Hank Monk trzasnął z bata i popędził konie do straszliwego galopu. Dyliżans tak przeraźliwie trząsał i podskakiwał, że Horacemu odleciały wszystkie guziki od płaszcza, a w końcu biedak przebił głową dach. Zaczął wtedy wrzeszczeć do Hanka Monka i błagać go, żeby jechał wolniej... powiedział, że już mu się tak nie śpieszy jak przed chwilą. Ale Hank Monk na to: „Siedź spokojnie, Horacy, dowiozę cię na czas”. – I możecie się założyć, że go dowiózł, a właściwie resztki, które z biednego Horacego zostały.

W kilka dni później, w Forcie Bridger, wzięliśmy do dyliżansu pewnego sierżanta kawalerii, człowieka bardzo na miejscu i o doskonałej żołnierskiej postawie. Chyba nikt inny w ciągu całej naszej podróży nie udzielił nam tylu zwiezłych i inteligentnych informacji z dziedziny wojskowości. Było to zdumiewające, że w dzikich odludziach naszego kraju znaleźliśmy człowieka tak dokładnie obznajmionego ze swoim rzemiosłem, mimo iż tak niskiej rangi i tak bezpretensjonalnego w obejściu. Przez trzy godziny przysłuchiwalismy się jego słowom z niesłabnącym zainteresowaniem. W końcu skierował rozmowę na podróżę pocztą kontynentalną i rzekł:

– Mogę panom opowiedzieć coś ogromnie śmiesznego, jeżeli macie ochotę posłuchać. Kiedyś jechał tą drogą Horacy Greeley. Wyjeżdżając z Carson City powiedział woźnicy, który się nazywał Hank Monk, że jest zaproszony na wykłady do Placerville i że chciałby jak najprędzej tam dojechać. Hank Monk trzasnął z bata i popędził konie do straszliwego galopu. Dyliżans tak przeraźliwie trząsał i podskakiwał, że Horacemu odleciały wszystkie guziki od płaszcza, a w końcu biedak przebił głową dach. Zaczął wtedy wrzeszczeć do Hanka Monka i błagać go, żeby jechał wolniej... powiedział, że już mu się tak nie śpieszy jak przed chwilą. Ale Hank Monk na to: „Siedź spokojnie, Horacy, dowiozę cię na czas”. – I możecie się panowie założyć, że go dowiózł, a właściwie resztki, które z biednego Horacego zostały!

W osiem godzin po opuszczeniu Salt Lake City na jednej ze stacji wsiadł do naszego dyliżansu kaznodzieja mormoński – łagodny, cicho mówiący, dobrotliwy człowiek, taki, do którego każdy nieznajomy musi powziąć sympatię od pierwszego wejrzenia. Nie zapomnę nigdy patosu w jego głosie, gdy w prostych słowach opowiadał nam o wędrówkach swoich współwyznawców i o ich bezgranicznych cierpieniach. Żadne krasomówstwo nie byłoby dla słuchacza tak wzruszające ani tak piękne, jak obraz pierwszej pielgrzymki mormonów przez Wielką Równinę, gdy szli wśród cierpień na dalekie wygnanie, znacząc samotną drogę grobami i rosząc strumieniami łez. Jego słowa wywarły na nas wstrząsające wrażenie, było więc prawdziwą ulgą, gdy rozmowa skierowała się na weselsze tory i zaczęliśmy gawędzić o cechach charakterystycznych dziwnego kraju, w którym przebywalismy. Omówiliśmy w miłym nastroju wiele rozmaitych kwestii i w końcu kaznodzieja rzekł:

– Mogę panom opowiedzieć coś ogromnie śmiesznego, jeśli macie ochotę posłuchać. Kiedyś jechał tą drogą Horacy Greeley. Wyjeżdżając z Carson City powiedział woźnicy, który się nazywał Hank Monk, że jest zaproszony na wykłady do Placerville i że chciałby jak najprędzej tam dojechać. Hank Monk trzasnął z bata i popędził konie do straszliwego galopu. Dyliżans tak przeraźliwie trząsał i podskakiwał, że Horacemu odleciały wszystkie guziki od płaszcza, a w końcu biedak przebił głową dach. Zaczął wtedy wrzeszczeć do Hanka Monka i błagać go, żeby jechał wolniej... powiedział, że mu już się tak nie śpieszy jak przed chwilą. Ale Hank Monk na to: „Siedź spokojnie, Horacy, dowiozę cię na czas”. – I możecie się panowie założyć, że go dowiózł, a właściwie resztki, które z biednego Horacego zostały.

Dziesięć mil za Ragtown natknęliśmy się na nieszczęsnego wędrowca, który położył się przy drodze, aby umrzeć. Szedł, dopóki mógł, ale w końcu członki odmówiły mu posłuszeństwa. Zwyciężył go głód i zmęczenie. Nie mogliśmy go tak zostawić; byłby to czyn nieludzki. Zapłaciliśmy za jego przejazd do Carson i wnieśliśmy nieszczęsnego do powozu. Minęło spo-

ro czasu, zanim mogliśmy się w nim dopatrzeć wyraźnych oznak życia; ale rozcieranie ciała i kilka kropel koniaku wanych do ust przywróciło mu w końcu świadomość. Nakarmiliśmy go więc ostrożnie i niebawem zorientował się w sytuacji, a wtedy wdzięczność błysnęła w jego oku. Ułożyliśmy mu możliwie najwygodniej posłanie z worków i pod głowę wsunęliśmy poduszkę z naszych zwiniętych płaszczy. Był nam bezgranicznie wdzięczny. W pewnej chwili powiódł wzrokiem po naszych twarzach i przemówił głosem, w którym drżało szczere wzruszenie:

– Panowie, nie wiem, kim jesteście, ale uratowaliście mi życie. A chociaż nigdy nie będę mógł się wam odwdziaczyć, spróbuję was rozweselić i tym samym skrócić nieco waszą długą podróż. Wnioskuje, że jesteście po raz pierwszy na tym wielkim szlaku, mnie zaś jest on z dawna dobrze znajomy. Dlatego mogę wam opowiedzieć coś ogromnie śmiesznego, jeśli macie ochotę posłuchać. Kiedyś jechał tą drogą Horacy...

Powiedziałem z wielkim naciskiem:

– Niemocą złożony nieznajomy panie, każde dalsze słowo grozi ci niebezpieczeństwem. Patrząc na mnie widzisz smutne resztki tego, co ongiś było wspaniałą, krzepką męskością. Co doprowadziło mnie do tego stanu? Historia, którą miałaś nam zamiar opowiedzieć. Stopniowo, lecz nieuchronnie ta stara, nużąca anegdota podcinała moje siły, nadwreżowała zdrowie, wysysała ze mnie życie. Ulituj się nad moją bezbronnością. Oszczędź mnie ten jeden raz i opowiedz dla odmiany o małym George’u Wasyngtonie i jego toporku.

Byliśmy uratowani. Ale inaczej rzecz się miała z chorym. Usiłując zatrzymać anegdotkę w organizmie, tak się wyteżył, że umarł na naszych rękach.

Rozumiem teraz, że nawet od najzdrowszego i najsilniejszego obywatela tych okolic nie powinienem był żądać tego, o co prosiłem ów cień człowieka. Wiem już bowiem, po siedmiu latach spędzonych na wybrzeżu Pacyfiku, że nie zdarzyło się ani razu, aby jakiś pasażer czy woźnica kontynentalnej linii pocztowej zatrzymał w sobie tę anegdotkę – i wyżył. W ciągu lat sześciu przemierzałem dylizansem góry z Newady do Kalifornii i z powrotem trzynastokrotnie i słyszałem tę nieśmiertelną historyjkę czterysta osiemdziesiąt jeden czy dwa razy. Gdzieś mam to zapisane. Woźnice zawsze ją opowiadali, opowiadali ją konduktorzy, właściciele zajazdów, przypadkowi współpasażerowie, opowiadali ją nawet Chińczycy i wędrujący z miejsca na miejsce Indianie. Spotykałem woźniców, którzy powtarzali mi tę anegdotkę po dwa lub trzy razy w ciągu jednego popołudnia. Docierała do mnie we wszystkich możliwych językach, jakimi wieża Babel obdarzyła ziemię – zaprawiona whisky, koniakiem, piwem, wodą kolońską, pastą do zębów, tytoniem, czosnkiem, cebulą, wszystkim, co na długiej liście rzeczy połykanych i spożywanych przez synów człowieczych posiada zapach. Nigdy nie wahałem żadnej anegdoty tak często jak tę właśnie; nigdy nie wahałem anegdoty, która by miała tak różnorodne zapachy. Ale mimo to nigdy nie mogłem jej poznać po zapachu, bo ile razy zdawało mi się, że znam go już na pamięć, zjawiała się wydzielając zupełnie inną woń. Bayard Taylor pisał rozprawę o tej anegdocie z brodą, a Richardson ją opublikował: pisali też Jones, Smith, Johnson, Ross Browne i wszystkie inne piszące korespondencje dwunogie stworzenia, które kiedykolwiek postawiły stopę na wielkim szlaku pocztowym między Julesburgiem a San Francisco. I słyszałem, że ta anegdotka jest w Talmudzie. Widziałem ją drukiem w dziewięciu różnych językach; mówiono mi, że posługuje się nią inkwizycja w Rzymie, a niedawno słyszałem, że ktoś ma do niej dorobić muzykę. Uważam, że to jest niesprawiedliwe.

Nie ma już dylizansów na wielkim kontynentalnym szlaku pocztowym, a woźnice są rasą wymarłą. Ciekaw jestem, czy zapisali tę starożytną anegdotkę w spadku swoim następcom – brekowym i konduktorom kolei żelaznej, i czy ci pracownicy kolei prześladowają nią bezbronno pasażera – prześladowają z takim uporem, iż w końcu biedak wierzy, jak wierzyli podróżni dawnych czasów, że prawdziwą wspaniałością wybrzeży Pacyfiku nie jest Yo Semite ani Big Trees, tylko Hank Monk i jego przygody z Horacym Greeley.

Fakt, że przygody, o których mowa w tej wyświechtanej historyjce, nigdy się nie zdarzyły, czyni ją tym bardziej irytującą. Gdyby anegdota była dobra, ta pozorna wada stanowiłaby jej główną zaletę, gdyż wyobraźnia twórcza jest cechą wielkości. Ale jak należy postąpić z człowiekiem, który wymyślił anegdotę tak płaską i nudną? Gdybym zaproponował, jak z nim postąpić, uznano by mnie za człowieka niepomiarowanego – a co czytamy w szóstym rozdziale „Księgi Danielowej”? A widzicie!

XXI. GDY W NEWADZIE WIEJE „ZEFIR”

Zbliżaliśmy się do kresu naszej długiej podróży. Był to poranek dwudziestego dnia. W południe mieliśmy stanąć w Carson City, stolicy Terytorium Newady. Nie cieszyliśmy się, przeciwnie – byliśmy zmartwieni. Odbywaliśmy wspaniałą podróż turystyczną, co dnia sycąc oczy rozmaitymi dziwami; przywykliśmy do życia na pocztowym szlaku i bardzośmy je polubili. Myśl o zatrzymaniu się w jednym miejscu i o monotonnej egzystencji w małym miasteczku nie tylko nas nie cieszyła, lecz wręcz przygnębiała.

Nasza nowa ojczyzna była najwyraźniej pustynią otoczoną murami nagich, pokrytych śniegiem gór. Jak okiem sięgnąć, nie widzieliśmy nigdzie drzew. Nie było roślinności innej niż krzaki bylicy. Krajobraz wydawał się od nich szary. Brnęliśmy przez głębokie złoża pyłu alkalicznego, który wzbijał się w gęste tumany i unosił nad pustynią jak dym nad płonącym domem. Byliśmy nim obsypani jak młynarze mąką; obsypane też były muły, dylizans, woźnica, worki z pocztą. Długie tabory wozów transportowych w oddali przywodziły na myśl obrazy płonącej prerii. Nie widzieliśmy innych oznak życia. Znajdowaliśmy się w samym środku samotności, ciszy i pustki. Co kilkadziesiąt kroków mijaliśmy szkielet jakiegoś zwierzęcia o pyłem pokrytej skórze obciążającej puste żebra. Często samotny kruk siedział na czaszce lub kłębach i przyglądał się mijającemu go dylizansowi z filozoficzną pogodą.

Niebawem woźnica pokazał nam w oddali Carson City. Przycupnięte na skraju wielkiej równiny, odległe o wiele mil, wyglądało jak skupisko białych kropek w cieniu posepnego masywu gór, których wyniosłe szczyty zdawały się być oderwane od ziemi i wszelkich spraw ziemskich.

Przybyliśmy na miejsce i wysiedli, a dylizans pojechał dalej. Było to miasto „drewniane”, liczące dwa tysiące mieszkańców. Główna ulica składała się z kilku czworoboków białych, drewnianych budynków sklepowych, zbyt wysokich, żeby na nich siadać, ale wcale nie za wysokich dla rozmaitych innych celów; w istocie zaledwie dość wysokich. Stały ścieśnione, jeden obok drugiego, jakby brakowało miejsca na tej bezkresnej równinie. Chodniki były drewniane, ułożone z mniej lub więcej obluźowanych desek, trzeszczących przy każdym kroku. W środku miasteczka, naprzeciw sklepów, była „plazza”, jakie widuje się we wszystkich miastach za Górami Skalistymi – obszerny, nie ogrodzony, pusty plac ze słupem wolności pośrodku, bardzo przydatny jako miejsce publicznych licytacji, mityngów, jako targ koński, a także miejsce postoju woźniców. Wzdłuż dwóch pozostałych stron placu ciągnęły się sklepy, budynki biurowe i stajnie. Reszta domów rozproszona była tu i tam.

Przedstawiono nas wielu miejscowym obywatelom, najpierw w biurze towarzystwa pocztowego, potem w drodze z hotelu do domu gubernatora, między innymi pewnemu dżentelmenowi nazwiskiem Harris, który siedział na koniu. Zaczął z nami rozmowę, ale nagle przerwał mówiąc:

– Muszę panów na chwilę przeprosić. Zobaczyłem właśnie świadka, który przysiągł, że obrabowałem dylizans kalifornijski... co za bezczelność, proszę panów, ja nawet nie znam tego jegomościa.

Po czym oddalił się i zaczął strofować nieznajomego sześciopistoletowym pistoletem, tamten zaś tłumaczył się również za pomocą sześciopistoletowca. Gdy magazynki pistoletów zostały opróżnione, nieznajomy podjął poprzednie zajęcie (naprawiał szpicrutę), a pan Harris przejechał obok żegnając nas uprzejmym skinieniem głowy; wracał do domu z jedną dziurką w płucach i kilkoma w biodrach. Z dziurek tych spływały małe strużki krwi ściekające po bokach konia, przez co zwierzę wyglądało bardzo malowniczo... Później nigdy już nie widziałem,

żeby Harris strzelał do kogokolwiek, ale tamto zdarzenie upamiętniło mój pierwszy dzień w Carson.

Nie widzieliśmy nic więcej tego dnia, bo była godzina druga i zgodnie z tradycją rozpoczął swoją działalność zefir Washoe; wraz z nim przyszedł tuman kurzu wielkości Stanów Zjednoczonych postawionych na sztorc i stolica Terytorium Newady zniknęła z powierzchni ziemi. Pojawiły się jednak widoki, na które nowy przybysz patrzył nie bez zainteresowania, bo ogromna chmura pyłu upstrzona była gęsto rzeczami dość niezwykłymi jak na wyższe warstwy powietrza – rzeczami martwymi i żywymi, które fruwały tu i tam, odlatywały, wracały, znikwały i pojawiały się znowu w skłębionych chmurach kurzu. Kapelusze, kurczaki i parasole szybowały na podniebnych wysokościach; koce, cynowe szyldy, krzaki bylicy i gonty nieco niżej; wycieraczki do nóg i opończe jeszcze niżej; szufle i kosze na węgiel w następnej warstwie; szklane drzwi, koty i małe dzieci poniżej; składy drzewa, lekkie bryczki i wózki ręczne jeszcze niżej; a na samym dole, na wysokości najwyższej trzydziestu czy czterdziestu stóp nad ziemią, szalały i kłębiły się wędrujące dachy i nie zabudowane działki.

Cóż to były za widoki! Zobaczyłbym więcej, gdyby nie piach, który mi zasypywał oczy.

Ale poważnie mówiąc, z zefirem Washoe nie ma żartów. Obala co tandetniej wybudowane domy, zrywa gonty z dachów, od czasu do czasu zwija w trąbkę dachy blaszane, przewraca niekiedy dylizanse i rozrzuca wokół pasażerów; a jak głosi tradycja, w Newadzie dlatego jest tylu łysych ludzi, że wiatr wyciera im włosy, gdy patrzą w niebo za szybującym w przestworzach kapeluszem. Ulice Carson w letnie popołudnia rzadko mają wygląd ospały – mnóstwo na nich obywateli, którzy uganiają się w podskokach za umykającymi kapeluszami – jak pokojówka usiłująca pochwycić pająka.

Zefir Washoe (Washoe jest zdrobniałym imieniem Newady) posiada osobliwe cechy wiatru biblijnego, ponieważ „żaden mąż nie wie, skąd przychodzi”, ściśle mówiąc, gdzie bierze swój początek. Bo przychodzi prosto znad gór na zachodzie, ale wystarczy przekroczyć łańcuch górski i nie ma ani śladu wiatru! Prawdopodobnie jest specjalnie wytwarzany na szczytach i stamtąd rozpoczyna swój atak. W lecie wieje z dość dużą regularnością; godziny jego urzędowania trwają zwykle od drugiej po południu do drugiej nad ranem następnego dnia i każdy, kto zaryzykuje wyjście na dwór w ciągu tych dwunastu godzin, musi w swoich obliczeniach wziąć pod uwagę siłę wiatru, bo inaczej wyląduje o milę czy dwie od punktu, do którego zdążał. A mimo to mieszkańcy Newady przybywający do San Francisco uskarżają się na wiejące tam bryzy morskie! To daje pewne pojęcie o naturze ludzkiej.

Przyszedłszy na miejsce przekonaliśmy się, że pałac gubernatora Terytorium Newady jest jednopiętrowym, białym, drewnianym domem dwupokojowym, z dobudowaną przed frontem szopą na słupkach, co podnosiło okazałość budowli, nakazywało szacunek obywatelom i budziło grozę z domieszką czci u Indian. Niedawno przybyły komplet sędziowski z sędzią sądu najwyższego na czele oraz inni dygnitarze rządowi mieszkali mniej okazale. Wynajmowali pokoje w domach prywatnych i sypialnie służyły im za biura.

Pan sekretarz i ja zamieszkaliśmy u pewnej zacnej francuskiej damy, pani Brygidy O’Flannigan, która była czymś w rodzaju markietanki Jego Ekscelencji gubernatora. Znała go w latach pomyślności, kiedy był szefem policji miejskiej Nowego Jorku, i nie chciała go opuścić w latach niedoli, kiedy był na stanowisku gubernatora Newady. Otrzymaliśmy pokój na parterze, z oknem na plac, a gdy wstawiliśmy łóżko, mały stolik, dwa krzesła, rządową ogniotrwałą kasę z pełnym wydaniem słownika w środku, było jeszcze dość miejsca na jednego gościa, może nawet na dwóch, chociaż ściany już się po trochu wydymały. Ale ściany mogły się wydymać – przynajmniej te wewnętrzne – zrobiono je bowiem z białego płótna przeciągniętego na sznurku w poprzek pokoju. Była to reguła w Carson, innych ścian wewnętrznych tu nie znano. A gdy lokator stanął w ciemnym pokoju i jego sąsiad zapalił lampę, cienie na płótnie zdradzały niekiedy osobliwe sekrety. Bardzo często te przepierzenia były zszyte ze starych worków po mące, a wtedy różnica między pospółstwem i arystokracją uwi-

doczniała się w tym, że pospólstwo miało worki niczym nie ozdobione, ściany zaś w pomieszczeniach arystokracji zachwycały oko fragmentami fresków ułożonych z czerwoniebieskich znaków fabrycznych na workach mąki. Niekiedy warstwy wyższe upiększały też swoje worki ilustracjami z „Harper’s Weekly”. Często ludzie bogaci i kulturalni wznosili się aż na wyżyny spluwaczek i tym podobnych dowodów wybrednego i kosztownego gustu. My mieliśmy w naszym pokoju dywan i autentyczną porcelanową miednicę, w wyniku czego staliśmy się przedmiotem żrącej nienawiści pozostałych lokatorów „rancho” pani O’Flannigan. A od momentu, w którym zawiesiliśmy w oknie firankę z malowanej we wzory ceraty, nie byliśmy pewni dnia ani godziny. Aby zapobiec rozlewowi krwi, przenieśliśmy się na górę i zamieszkałem z nieutytułowanym plebsem zajmując jedną z czternastu białych sosnowych prycz, które stały w dwóch długich rzędach wzdłuż ogromnego pomieszczenia na pierwszym piętrze.

Ach, wspaniała była ta czternastka! Składała się z ochotniczo ciągnących za obozem gubernatora stronników, którzy z własnego wyboru przyłączyli się do jego orszaku w Nowym Jorku lub w San Francisco, i dotarli aż do Newady mniemając, że w bojach o okruchy władzy terytorialnej z pewnością nie pogorszą swojej sytuacji, a może nawet ją polepszą. Nazywano ich powszechnie Irlandzką Brygadą, chociaż było tylko czterech czy pięciu Irlandczyków wśród tej gubernatorskiej czeladzi. Jego Ekscelencja, człowiek łagodny i dobrotliwy, ogromnie się zirytował, gdy usłyszał plotki wywołane obecnością jego stronników, a zwłaszcza kiedy rozeszła się pogłoska, że są to płatni zabójcy, których przywiózł, aby w razie potrzeby zmniejszyć ilość głosów oddawanych na demokratów!

Pani O’Flannigan trzymała ich i żywiła za dziesięć dolarów tygodniowo od osoby, na co oni pogodnie wystawiali rewery. Byli bardzo z siebie zadowoleni, ale Brygida doszła do wniosku, że rewery, które nie mogą być zrealizowane, są kiepską podstawą finansową dla wszelkiego rodzaju pensjonatów. Zaczęła domagać się od gubernatora, żeby znalazł pracę dla brygady. Jej natarczywe prośby oraz ich nalegania doprowadziły go w końcu do łagodnej depresji; przywołał brygadę przed swoje oblicze i rzekł:

– Panowie, znalazłem dla was lukratywne i pożyteczne zajęcie, które ponadto będzie odpoczynkiem na łonie szlacheckiej natury i da wam okazję do nieustannego wzbogacania ducha dzięki obserwacjom i studiom. Chcę, abyście przeprowadzili pomiary pod linię kolejową z Carson na zachód do pewnego określonego punktu. Gdy tylko zbierze się ciało ustawodawcze, przedłożę odpowiedni wniosek i dokonam wypłaty.

– Jak to? Kolej przez Sierra Nevada?

– Och, w takim razie przeprowadźcie pomiary w kierunku wschodnim do pewnego punktu.

Zrobił z nich geometrów, nosicielei łat mierniczych, łańcuchów i tym podobnych i puścił samopas na pustynię. Był to odpoczynek zaprawiony zemstą. Odpoczywali idąc pieszo, ciągnąc łańcuchy przez piach i krzaki bylicy, pośród szkieletów zwierząt, kojotów i tarantul. Romantyczna przygoda w całym tego słowa znaczeniu! Robili pomiary bardzo wolno, z namysłem, uważnie. Przez pierwszy tydzień wracali co noc na poranionych nogach, zakurzeni, zmęczeni, głodni, ale w doskonałych humorach. Przynosili do domu ogromne zapasy dziwacznych, włochatych pajaków zwanych tarantulami i więzili je w odwróconych do góry dnem szklankach. Gdy minął pierwszy tydzień, musieli nocować na pustyni, bo posunęli się już spory szmat drogi na wschód. Zapytywali wielokrotnie o dokładne położenie owego nieokreślonego „pewnego punktu”, ale nie otrzymali odpowiedzi. W końcu, na szczególnie natarczywe zapytanie: „Jak daleko na wschód?”, gubernator Nye oddepeszował im:

„Do Atlantyku, niech was diabli! Potem przerzucicie most i idźcie dalej!”

Skłoniło to pracowitą brygadę do powrotu; sporządzili raport i rzucili pracę. Gubernator ani myślał się tym przejmować. Mówił, że pani O’Flannigan i tak wydusi od niego zapłatę za życie i mieszkanie brygady, chciał więc możliwie jak najlepiej zabawić się kosztem chłopców. Powiadał z czarującym, jakby staroświeckim błyskiem w oku, że ma zamiar wysłać ich na pomiary aż do Utah, a potem zatelegrafować do Brigham, żeby ich powiesił za przekro-

czenie granicy.

Geometry przynieśli nowe zapasy tarantul, mieliśmy więc prawdziwą menażerię na półkach w naszym pokoju. Niektóre z tych pajaków mogły objąć swoimi muskularnymi, włochatymi nogami przeciętnej wielkości spodek, a gdy im ktoś zrobił przykrość albo je obraził, zamieniały się w najdzikszych *desperados* świata zwierzęcego. Wystarczyło dotknąć palcem ściany ich szklanego więzienia, a już się zrywały dysząc żądzą walki. Pierwszej nocy po powrocie brygady wiał jak zwykle wściekły „zefir”; koło północy dach sąsiedniej stajni zerwany gwałtownym podmuchem grzmotnął w boczną ścianę naszego rancho. Natychmiast wszyscy się obudzili i odbyła się po ciemku zgiełkliwa parada wojskowa brygady połączona z przewracaniem się i wpadaniem jednych na drugich w wąskim przejściu między dwoma rzędami łóżek. Pośród tego zamieszania Bob H... zbudzony z twardego snu, wyskoczył z łóżka i zawadzwszy głową o półkę zwał ją na podłogę. Natychmiast rozległ się wrzask:

– W nogi, chłopcy, tarantule się rozlaży!

Trudno o bardziej przerażające ostrzeżenie. Nikt nie próbował wyjść z pokoju, w obawie, że może nadepnąć na tarantulę. Wszyscy wdrapali się po omacku na skrzynie czy łóżka. Potem zapadła najdziwaczniejsza cisza – straszne, pełne napięcia oczekiwanie. Było ciemno choć oko wykol i tylko wyobraźnia mogła odmalować tych czternastu skąpo odzianych mężczyzn siedzących bojaźliwie, jak kury na grzędzie, na łóżkach i skrzyniach.. Potem rozmaite dźwięki przerywały ciszę, można się więc było zorientować po głosie i umiejscowić każdego z mężczyzn lub rozpoznać szmery zmieniających pozycję i ruszających się w ciemności cierpiętników. Panowie nie byli zbyt rozmowni, słyszało się najwyżej ciche: „Oj!”, po czym coś głucho uderzało o podłogę – to któryś z dżentelmenów poczuł na gołej skórze dotknięcie włochatego koca lub czegoś takiego i wyskakiwał z łóżka na podłogę. Znowu cisza, a po chwili zduszony szept:

– Cccoś llezie mi pppo plecach!

Od czasu do czasu rozlegała się przyciszona kotłowanina i boleściwe: „O, Boże!” Wiadomo było, że to ktoś ucieka przed czymś, co wziął za tarantulę – i nie marudzi! Nagle w kącie odezwał się oszalały ze strachu, dźwięczny głos:

– Mam ją! Mam ją! – Potem pauza, podczas której nastąpiła widocznie zmiana sytuacji. – Nie, to ona mnie ma! Och, czy nigdy nie przyniosą tej lampy?

W tej właśnie chwili zjawiała się lampa przyniesiona przez panią O’Flannigan, która zaniepokojona i ciekawa rozmiaru szkód wyrządzonych przez atakujący dach, po wyjściu z łóżka i zapaleniu lampy odczekała jednak dobrą chwilę, żeby się przekonać, czy wiatr skończył już swoje harce na piętrze, czy też ma jakieś dalsze zamiary.

Widok, który się ukazał w świetle lampy, był z pewnością malowniczy i wielu ludziom mógł się wydać śmieszny; my nie dostrzeżliśmy w nim nic komicznego. Choć tak cudacznie odziani, siedzieliśmy w dziwacznych pozach na łóżkach, skrzyniach i walizach, byliśmy jednak zbyt przestraszeni i czuliśmy się zbyt nieszczęśliwi, żeby nas ten widok śmieszył. Wiem, że nie mógłbym cierpieć bardziej, niż cierpiałem w ciągu tych kilku minut straszliwego oczekiwania w ciemności, otoczony ze wszystkich stron przez pełzające, krwiożercze tarantule. W obłędnym strachu przeskakiwałem z łóżka na łóżko i ze skrzynki na skrzynkę, a ilekroć dotykałem czegoś włochatego, byłem pewien, że to tarantula wbijająca we mnie żądło. Wolałbym pójść na wojnę, niż jeszcze raz to wszystko przeżyć. Nikomu nic się nie stało. Biedak, który zawołał, że tarantula „go ma”, popełnił omyłkę; ukłuł się tylko w palec drzazgą sterczącą ze skrzynki. Nie zobaczyliśmy już nigdy więcej zbiegłych tarantul. Było ich dziesięć czy dwanaście. Ze świecami w rękach przeszukaliśmy cały pokój, od podłogi do sufitu. Czy położyliśmy się potem spać? Gdzie tam! Nie zrobilibyśmy tego za żadne skarby świata. Przesiedzieliśmy do rana grając w karty i czujnie wyglądając wroga.

XXII. TYM POWIETRZEM ODDYCHAJĄ ANIOŁY

Był koniec sierpnia, niebo bezchmurne, pogoda przepiękna. W ciągu dwóch czy trzech tygodni zdumiewający nowy kraj oczarował mnie do tego stopnia, że postanowiłem odłożyć na jakiś czas swój powrót do Stanów. Przywykłem do zniszczonego kapelusza z miękkiego filcu, niebieskiej wełnianej koszuli i spodni wpuszczonych w cholewy butów, a brak marynarki, kamizelki i szelek napawał mnie szczęściem. Czułem się krzepko i „byczo” (jak to określa Józef, mormoński prorok, w swoim znakomitym rozdziale o zniszczeniu świątyni). Uważałem, że nie ma życia wspanialszego i bardziej romantycznego. Zostałem urzędnikiem rządowym, ale tylko dla splendoru tego tytułu. Posada była zwykłą synekurą. Nie miałem nic do roboty i nie otrzymywałem wynagrodzenia. Mianowano mnie prywatnym sekretarzem jego ekscelencji sekretarza, a w Carson City nie było jeszcze .dość do pisania dla nas obu. Wobec tego wraz z Johnnym K... poświęciliśmy czas zabawie. Johnny był synem pewnego krezusa z Ohio i przyjechał do Newady szukać rozrywki. Znalazł jej pod dostatkiem.

Słyszeliśmy wiele o niezrównanym pięknie jeziora Tahoe i w końcu zaciekawieni postanowiliśmy je obejrzeć. Kilku chłopców z brygady było tam już kiedyś; wytyczyli obszar lasu nad brzegiem jeziora i zostawili w swoim obozowisku zapas żywności. Przytroczyliśmy po dwa koce do pleców, wzięliśmy po siekierce i wyruszyli w drogę; mieliśmy zamiar zająć dla siebie leśne rancho czy coś w tym rodzaju i zdobyć bogactwo. Szliśmy piechotą. Czytelnik może pomyśleć, że byłoby wygodniej pojechać konno. Powiedziano nam, że odległość wynosi jedenaście mil. Szliśmy dość długo po płaskim terenie, potem wspięliśmy się mozolnie na górę wysokości tysiąca mil i spojrzeliśmy na drugą stronę. Nie było jeziora. Zeszliśmy w dół zbocza, przekroczyliśmy dolinę i wdrapaliśmy się na następną górę, tym razem wysoką chyba na trzy lub cztery tysiące mil, i znowu spojrzeliśmy w dół. Ani śladu jeziora. Usiedliśmy zmordowani, spoceni i wynajęliśmy sobie dwóch Chińczyków, żeby obrzucili za nas obelgami tych, którzy nas nabrali. W ten sposób odświeżeni wyruszyliśmy w drogę z nowym zapasem sił i determinacji. Wlekliśmy się tak jeszcze dwie czy trzy godziny i nagle naszym oczom ukazało się jezioro – wspaniała tafla szafirowej wody wyniesiona na wysokość sześciu tysięcy trzystu stóp nad poziom morza i okolona ścianą zaśnieżonych gór, których smukłe szczyty wznosiły się jeszcze o tysiące stóp wyżej! Jezioro miało kształt ogromnego owalu i żeby je obejść dookoła, trzeba było przebyć dobre osiemdziesiąt lub sto mil. Gdy patrzyłem na tę nieruchomą taflę wody, w której odbijały się wyraźnie kontury gór, pomyślałem, że jest to chyba najpiękniejszy widok, jakim ziemia może się pochwalić.

Znaleźliśmy małe czółno należące do chłopców z brygady i nie tracąc czasu wyruszyliśmy poprzez głęboki zakręt jeziora ku znakom, które wskazywały położenie obozu. Namówiłem Johnny'ego, żeby wiosłował, bynajmniej nie dlatego, że nie lubię się męczyć; po prostu czuję się szczególnie jadąc przy pracy tyłem. Ale wziąłem do ręki ster. Po trzech milach wiosłowania, już o zmroku, dobiliśmy do obozowiska i zeszli na ląd zmordowani i głodni jak wilki. W skrytce między głazami znaleźliśmy żywność i naczynia do gotowania. Byłem bardzo zmęczony, siadłem więc na kamieniu i udzielałem Johnny'emu wskazówek, podczas gdy on znosił drzewo i gotował kolację. Po dniu tak forsownym większość ludzi chciałaby odpocząć.

Kolacja była zachwycająca – gorący chleb, smażony boczek i kawa. Samotność wokół nas też była zachwycająca. W odległości trzech mil znajdował się tartak i w nim kilku robotników, ale w sumie można się było doliczyć najwyżej piętnastu ludzi nad rozległymi brzegami jeziora. Gdy mrok zgęstniał, a gwiazdy wyszły na niebo i obsypały klejnotami ogromne

zwierciadło, zadumani paliliśmy fajki i w uroczystej ciszy zapomnieliśmy o powszednich troskach i kłopotach. Potem rozłożyliśmy koce na ciepłym piasku między dwoma głazami i natychmiast zapadliśmy w sen, nie zważając na procesję mrówek, które przedostając się przez szpary ubrania badały z bliska nasze osoby. Nic nie mogło zmać naszego snu, snu dobrze zasłużonego, a jeżeli nasze sumienia były obciążone grzechami, musiały zarządzić na tę noc przerwę w sądzeniu. Gdy zapadaliśmy w nicość, zerwał się wiatr i szmer fal bijących o brzeg ukołysał nas do snu.

Noce nad brzegami górskich jezior są zwykle bardzo zimne, ale nam było ciepło pod kilkoma warstwami koców. Nie drgnęliśmy przez całą noc i wczesnym świtem obudziliśmy się w tej samej pozycji, nie odczuwając w kościach bólu i wprost tryskając rzeźkością. Taka noc jest najwspanialszym lekarstwem. Rankiem mogliśmy pokonać dziesięciu takich osobników, jakimi byliśmy dnia poprzedniego – w każdym razie gdyby byli trochę chorzy. Ale świat jest niedorzeczny i ludzie jeżdżą szukać zdrowia „u wód” czy w obcych krajach. Trzy miesiące w warunkach obozowych nad jeziorem Tahoe przywróciłoby do życia egipską mumię i obdarzyłoby ją apetytem aligatora. Naturalnie nie mam na myśli tych najstarszych i najbardziej wysuszonych mumii, tylko trochę nowsze. Powietrze nad tym podniebnym jeziorem jest bardzo czyste i rześkie, wzmacniające i cudotwórcze. A czy mogłoby być inne? Przecież tym powietrzem oddychają anioły. Myślę, że człowiek zdołałby odespać w jedną jedyną noc na piaszczystych brzegach tego jeziora największe nawet zmęczenie. Ale nie pod dachem, tylko pod gołym niebem; w lecie bardzo rzadko zdarzają się tam deszcze. Znam człowieka, który pojechał nad jezioro Tahoe, żeby umrzeć. Tylko że mu się to nie udało. Gdy przyjechał, był wychudzonym szkieletem ledwie trzymającym się na nogach. Nie miał apetytu i jedynym jego zajęciem było czytanie traktatów o życiu przyszłym. W trzy miesiące później sypiał tylko pod gołym niebem, jadł tyle, ile mógł zmieścić, i dla rozrywki uganiał się za zwierzyną po szczytach górskich wznoszących się na trzy tysiące stóp. I nie był już szkieletem, bo ważył chyba tonę. Nie jest to szkic napisany z wyobraźni, tylko najprawdziwsza prawda. Był chory na suchoty. Z całą ufnością polecam tę kurację innym szkieletom.

Znowu udzielałem Johnny'emu wskazówek i natychmiast po śniadaniu wsiedliśmy do czółna i przepłynąwszy mniej więcej trzy mile wzdłuż brzegów jeziora, wysiedliśmy na ląd. Spodobało nam się to miejsce, wobec tego „wzięliśmy w posiadanie” około trzystu akrów lasu i przybiliśmy do drzewa nasze „zawiadomienie”. Był to gęsty bór sosnowy, porośły drzewami wysokimi na sto stóp, o średnicy pni u podstawy od jednej do pięciu stóp. Musieliśmy ogrodzić naszą posiadłość, był to bowiem warunek utrzymania własności. Ściśle mówiąc, musieliśmy zrębać tu i tam drzewo i tak je zwalić, żeby razem utworzyły coś w rodzaju ogrodzenia. Ścięliśmy po trzy drzewa, ale praca ta wydała nam się tak przeraźliwie męcząca, że postanowiliśmy „powierzyć naszą sprawę” tym sześciu pniom. Jeżeli zdołają utrzymać własność, tym lepiej; jeżeli nie zdołają, niech własność przecieknie przez dziury i zniknie; nie miało sensu zapracowywać się na śmierć, żeby zabezpieczyć kilka śmiesznych akrów ziemi. Nazajutrz wróciliśmy, żeby wybudować dom, bo dom też był warunkiem nieodzownym dla utrzymania własności. Postanowiliśmy wybudować solidną chatę z pni ciosanych i wzbudzić tym zazdrość chłopców z brygady; ale po ścięciu i oczyszczeniu pierwszego potężnego pnia doszliśmy do wniosku, że nie ma sensu stawiać tak wysokich wymagań, i zdecydowaliśmy się wybudować dom z młodych drzewek. Jednakże dwa młode drzewka ścięte i należycie oczyszczone otworzyły nam oczy na fakt, że jeszcze skromniejsza architektura zadowoli prawo, i wobec tego postanowiliśmy wybudować szałas z gałęzi. Przeznaczaliśmy cały następny dzień na wykonanie tej pracy, ale tak często „zasiadaliśmy do narady”, że dopiero późnym popołudniem był gotowy dziwny stwór, który jeden z nas musiał mieć wciąż na oku, podczas gdy drugi ścinał gałęzie. Gdybyśmy się odwrócili obaj, moglibyśmy go więcej nie znaleźć – tak silne było w nim rodzinne podobieństwo do otaczającej go roślinności. Ale nas zadowoliło to nasze dzieło.

Byliśmy teraz właścicielami ziemskimi, należycie wprowadzonymi w posiadanie i chronionymi przez prawo. Mieliśmy przeto zamieszkać na naszych dobrach i rozkoszować się wspaniałym poczuciem niezależności, które osiągnąć można jedynie w takich warunkach. Nazajutrz późnym popołudniem, po solidnym odpoczynku, wypłynęliśmy z obozu brygady, unosząc – czy też raczej wypożyczając – tyle prowiantu i garnków, ile zmieściło się w czółnie; a gdy zapadła noc, wciągnęliśmy łódź na brzeg naszej posiadłości.

XXIII. PUSZCZAMY Z DYMEM NASZĄ POSIADŁOŚĆ

Jeżeli istnieje życie szczęśliwsze niż to, któreśmy wiedli na naszym leśnym rancho przez następne kilka tygodni, nie czytałem o nim nigdy w książkach i sam go nigdy nie poznałem. Przez cały ten czas nie widzieliśmy ludzi i nie słyszeli dźwięków innych niż szum wiatru, plusk wody, westchnienia sosen i z rzadka grzmot dalekiej lawiny. Knieja wokół nas była cienista i chłodna, niebo nad nami bezchmurne i rozświetlone, ogromne jezioro przed nami szkliste i gładkie albo zmarszczone i falujące, albo czarne i wzburzone – w zależności od nastroju natury. Okalający je zaś krąg gór porośniętych lasami, poprzecinanych bliznami lawin, porytych kanionami i dolinami i przykrytych czapami iskrzącego się śniegu był ramą właściwą dla tego szlachetnego obrazu. Widoki niezmiennie zachwycaly, fascynowały, porywały. Oko nigdy nie miało dość patrzenia – czy to w dzień, czy w nocy, w czas ciszy, czy gdy szalała burza; oko martwiło się tylko jednym – tym mianowicie, że nie może wciąż patrzeć i czasem musi się zamknąć do snu.

Spaliśmy na piachu, w pobliżu krawędzi wody, między dwoma opiekuńczymi głazami, które radziły sobie doskonale z wichrem podczas burzliwych nocy. Nie zażywaliśmy pigulek nasennych. Zaledwie świtało, byliśmy na nogach i ćwiczyliśmy biegi, żeby wyładować nadmiar sił fizycznych i duchowych. Ściśle mówiąc, Johnny biegał, a ja odprowadzałem go wzrokiem. Pałac po śniadaniu fajkę pokoju obserwowaliśmy, jak szczyty-szyldwachy pierwsze zdobywają słoneczną chwałę i jak zwycięskie światło bierze szturmem cienie i oswobadza z niewoli uwięzione skały i lasy. Obserwowaliśmy, jak barwne obrazy na wodzie rosną i nabierają ostrości, dopóki każdy szczegół lasu, rozpadliny czy szczytu nie uwidocznił się doskonale wykończony i dopóki czarnoksiężnik nie doprowadził swego cudu do końca. Wtedy zabieraliśmy się do „roboty”.

Inaczej mówiąc, wsiadaliśmy do czółna i dryfowaliśmy po wodzie. Nasza „posiadłość” znajdowała się na północnym brzegu. Głazy na dnie w tym miejscu były jedne białe, inne szare, co wzmagało cudowną przezroczystość wody do stopnia nie spotykanego nigdzie indziej na jeziorze. Odbijaliśmy zwykle około sto jardów od brzegu, a potem w ciepłych promieniach słońca kładliśmy się na plecach i godzinami pozwalaliśmy łodzi swobodnie dryfować. Rzadko odzywaliśmy się do siebie. Naruszało to uroczystą, świąteczną ciszę i rwało marzenia, które przynosił ten zbyt długi wypoczynek. Cały brzeg pocięty był półokrągłymi zatokami, okolonymi wąskim pasem piaszczystej plaży; a gdzie kończył się piasek, strome zbocza górskie wznosiły się w podniebną przestrzeń – wznosiły się jak ogromne ściany nieco odchylone od pionu i gęsto porośnięte smukłymi sosnami.

Woda była nieprawdopodobnie przezroczysta i w miejscach, gdzie głębina nie przekraczała dwudziestu lub trzydziestu stóp, widać było dno tak wyraźnie, że łódź zdawała się płynąć w powietrzu! Tak, nawet w tych miejscach, gdzie głębina sięgała osiemdziesięciu stóp. Widzieliśmy każdy mały kamyk, każdego nakrapianego pstrąga, każde pasmo piasku szerokości ludzkiej dłoni. Często, gdy leżeliśmy na brzuchach, granitowy głaz wielkości kościoła wiejskiego wyrastał nagle z dna i piał się szybko ku powierzchni, zdawało nam się, że za chwilę dotknie naszych twarzy i instynktownie chcieliśmy chwycić za wiosła, żeby się ratować. Ale czółno płynęło naprzód, a głaz cofał się w głąbie i dopiero z pewnego oddalenia widać było, że gdy znajdowaliśmy się tuż nad nim, dzieliło nas od niego dwadzieścia lub trzydzieści stóp. Nie wystarczy powiedzieć, że woda w tych klarownych, niezmiernych głębiniach była przezroczysta; była jaśniejsza, oślepiająco przezroczysta. Wszystkie przedmioty poprzez nią widziane odznaczały się niezwykle czystością nie tylko konturów, ale również każdego najdrobniej-

szego szczegółu; nie widać by ich było tak wyraźnie przez taką samą warstwę atmosfery. Tak pusta i pełna powietrza wydawała się przestrzeń pod nami i tak silne było wrażenie unoszenia się w próżni, że nazywaliśmy nasze wyprawy podróżami balonem.

Dużo czasu poświęciliśmy rybołówstwu, ale w przeciętnym obliczeniu nie złowiliśmy nawet jednej ryby na tydzień. Widywaliśmy tysiące pstrągów uwijających się w pustce pod nami lub śpiących na dnie, nie chciały jednak brać przynęty – może zbyt dobrze widziały linę. Często upatrywaliśmy jakiegoś pstrąga i cierpliwie trzymaliśmy mu przynętę przed nosem na głębokości osiemdziesięciu stóp; ale on tylko odtrącał ją zniecierpliwiony i zmieniał pozycję.

Kapaliśmy się niekiedy, lecz woda była zimna mimo swego rozslonecznionego wyglądu. Czasem braliśmy wiosła i wypływali na „niebieską wodę” odległą o milę lub dwie od brzegu. Głębia była tu tak ogromna, że woda miała barwę intensywnego indygo. Według oficjalnych danych głębokość na środku jeziora wynosi tysiąc pięćset dwadzieścia pięć stóp!

Niekiedy, w rozleniwiające popołudnie, leżeliśmy sobie na piachu w obozie i paląc fajki czytaliśmy stare, dobrze wysłużone książki. Wieczorami, przy ognisku obozowym, grywaliśmy w karty dla gimnastyki umysłu; karty były tak wytłuszczone i wytarte, że tylko kilkumiesięczne obcowanie z talią umożliwiłoby uważnemu badaczowi odróżnienie asa pikowego od waleta trefl.

Nie sypialiśmy nigdy w naszym „domu”. Po pierwsze, nigdy nam to nie przyszło do głowy; po drugie, dom był wybudowany po to, żeby zabezpieczyć naszą własność. Nie chcieliśmy go nadwerężyć.

Po jakimś czasie wyczerpały nam się zapasy żywności, pojechaliśmy więc do starego obozu po nowy zapas. Nie było nas cały dzień i wróciliśmy dopiero przed samym zmrokiem, wygłodniali i zmęczeni. Podczas gdy Johnny poszedł zanieść do domu to wszystko, co przeznaczaliśmy na późniejszy użytek, ja zaniósłem na brzeg bochenek chleba, kilka kawałków boczku i garnek do gotowania kawy; postawiłem wszystko pod drzewem, rozpałiłem ogień i wróciłem do łodzi po patelnię. Pochylony w łodzi usłyszałem krzyk Johnny’ego, a gdy podniosłem głowę, zobaczyłem, że ogień galopuje jak oszalały po naszej posiadłości!

Johnny stał po drugiej stronie. Żeby się dostać na brzeg, musiał przebiec przez płomień; potem staliśmy obok siebie bezradni i przyglądaliśmy się zagładzie.

Las wysłany był grubą warstwą suchych szpilek sosnowych i ogień przenosił się po nich, jak gdyby były prochem. Z jakże zaciekłą szybkością rozprzestrzenił się ten wysoki słup płomieni! Znikł mój garnek do kawy i wszystko, co stało obok. Po półtorej minuty pożar przeniósł się na gęstwinę suchych krzewów bylicy wysokości sześciu lub ośmiu stóp i wtedy trzaski, wybuchy i ryk ognia rozlegały się ze straszliwą siłą. Żar bijący stamtąd zmusił nas do przeniesienia się do łodzi, gdzie siedzieliśmy oniemiały, zaczarowani.

Po pół godzinie las przed nami był jednym rozszalałym oślepiającym morzem płomieni! Ogień wznosił się coraz wyżej za sąsiednie grzbiety, przekraczał wierzchołki i znikał w kanionach za nami... Niebawem pokazywał się na wyższych i dalszych ścianach, wybuchał wspaniałą iluminacją, znów znikał, po chwili rozplomieniał się znowu, jeszcze dalej i wyżej, wysyłał tu i tam małe oddziały szturmowe, które ciągnęły za sobą purpurowe spirale ognia poprzez odległe grzbiety, zbocza i gardziele kanionów, aż wreszcie wszystkie wyniosłe stoki gór w zasięgu wzroku pokryły się jakby splątana siecią strumyków czerwonej lawy. Po drugiej stronie jeziora turnie i kopuły gór zapaliły się purpurową luną, a niebo w górze było podobniejsze do piekła niż do nieba!

Każdy fragment tego widowiska znajdował swoje odbicie w rozżarzonej czerwieni tafli jeziora! Oba obrazy były jedyne, oba były piękne; ale ten w jeziorze miał w sobie jakieś zadziwiające bogactwo, które urzekło silniejszym czarem.

Cztery godziny siedzieliśmy znieruchomiali, zapatrzeni. Nie pomyśleliśmy o kolacji, nie odczuliśmy zmęczenia. W końcu pożar wywędrował z naszego pola widzenia i o jedenastej wieczór noc okryła znów krajobraz.

Głód odezwał się teraz, ale nie mieliśmy nic do jedzenia. Nasza żywność na pewno dobrze się ugotowała, nie poszliśmy jednak sprawdzić. Byliśmy znów bezdomnymi wędrowcami, nie posiadającymi żadnej własności. Zniknęło ogrodzenie, spalił się nasz „dom”, nie mogliśmy nawet liczyć na premię ubezpieczeniową. Nasz las sosnowy był mocno osmalony, zeschnięte drzewa wypaliły się wszystkie, a po akraach gęstej bylicy pozostały tylko popioły. Jednakże koce leżały jak zwykle na naszych piaszczystych posłaniach; położyliśmy się więc i zasnęli. Nazajutrz rano wyruszyliśmy w drogę powrotną do starego obozu, ale gdy łódź oddaliła się już spory szmat drogi od brzegu, wybuchła burza tak gwałtowna, że lądowanie byłoby ryzykowne. Wybierałem więc wodę wlewającą się nam na pokład, a Johnny wiosłował ze wszystkich sił po wzburzonym jeziorze, dopóki nie znaleźliśmy się o kilka mil za starym obozem. Burza przybierała na sile i zrozumieliśmy, że lepiej jest zaryzykować niebezpieczeństwo lądowania, niż powędrować na dół na głębokość kilkuset sążni. Zaczęliśmy więc wiosłować do brzegu popychani przez wysokie, grzywiaste fale, a ja usiadłem przy sterze i skierowałem łódź prosto na piach małej plaży. W chwili gdy dziób uderzył o brzeg, przyszła wysoka fala i zmyła pasażerów wraz z ładunkiem na ląd, co oszczędziło wiele trudu. Całą resztę dnia przesiadzieliśmy drżąc z zimna za głazem, a w nocy o mało cośmy nie zamarzli. Rankiem, gdy burza przycichła, udaliśmy się do starego obozu, a byliśmy tak wygłodniali, że reszta zapasów żywności brygady znikła w naszych żołądkach; po czym natychmiast wyruszyliśmy do Carson, żeby powiedzieć o tym chłopcom i prosić ich o przebaczenie. Udzielili go nam, gdy pokryliśmy straty.

Jeździliśmy jeszcze wielokrotnie nad jezioro i często bywaliśmy o krok od śmierci, mieliśmy też mnóstwo mrozących krew w żyłach przygód, które nie zostaną zapisane w żadnych kronikach.

XXIV. DOSIADAM WIERZGAJĄCEGO KONIA

Postanowiłem kupić konia pod wierzch. Nigdzie poza cyrkiem nie widziałem tak wspaniałego, rozhasanego, swobodnego jeździectwa jak to, którym popisywali się codziennie na ulicach Carson malowniczo ubrani Meksykanie, Kalifornijczycy i zmeksykanizowani Amerykanie. Jakże oni dosiadali koni! Lekko pochyleni do przodu, swobodni, nonszalanccy, w szerokoskrzydłych kapeluszach z podwiniętym rondem z przodu i długą *riata* wysoko nad głową niczym wicher mknęli przez ulice miasta! Za chwilę byli już tylko ruchomym kłębkim kurzu na dalekiej pustyni. Jadąc stępą siedzieli swobodnie i wdzięcznie i zdawało się, że są zrośnięci z koniem; nie podskakiwali śmiesznie do góry i na dół, jak tego uczą w rajszulach. Nauczyłem się dość prędko odróżniać krowę od konia i bardzo pragnąłem pogłębić swoją wiedzę o tym zwierzęciu. Postanowiłem więc kupić wierzchowca.

I gdy ta myśl jątrzyła moją wyobraźnię, licytator zaczął objeżdżać plac na czarnym koniu, który miał tyle garbów i załamań co wielbłąd i z konieczności nie był bardzo urodziwy. Ale miał za to iść „za dwadzieścia dwa, panowie! Koń, siodło i uzda za dwadzieścia dwa dolary!” Nie mogłem oprzeć się pokusie. Jakiś nieznajomy (okazało się później, że był bratem licytatora) spostrzegł tęskne spojrzenie w moim oku i powiedział, że to jest niesłychana cena jak na takiego konia; dodał jeszcze, że samo siodło warte jest dwadzieścia dwa dolary. Było to siodło hiszpańskie, zrobione z topornej skóry podeszwowej i ozdobione imponującymi *tapidaros*. Jak powiadam, byłem już na pół zdecydowany rozpocząć licytację. Potem wydało mi się, że ten bystrooki jegomość „bierze ze mnie miarę”. Ale gdy przemówił, odegnałem podejrzenie, bo wyczułem w nim otwartość i szczerą prawdomówność. Powiedział:

– Znam tego konia... ha! Dobrze go znam. Pan jesteś tu zdaje się obcy, więc może myślisz, że to jest koń amerykański, ale zapewniam pana, że nie jest. Nic podobnego. Jest to... wybaczysz pan, że zniżę głos, ale pełno tu wszędzie ludzi... to nie inaczej tylko autentyczny meksykański mustang.

Nie miałem pojęcia, co to jest autentyczny meksykański mustang, ale nieznajomy powiedział to w taki sposób, iż poprzysiągłem sobie w duchu, że kupię konia – albo zginę.

– Może ma jeszcze jakieś... hm... inne zalety? – spytałem usiłując ukryć mój zapał.

Nieznajomy wsunął palec wskazujący w kieszeń mojej wojskowej koszuli, odprowadził mnie na bok i wyszeptał mi prosto w ucho następujące słowa:

– Jeżeli idzie o wierzganie, ten koń jest niezrównany!

– Panowie, po raz drugi! Po raz drugi... dwadzieścia cztery i pół dolara!

– Dwadzieścia siedem! – wrzasnąłem dziko.

– Sprzedany! – powiedział licytator i podał mi uzdę autentycznego meksykańskiego mustanga.

Z trudem opanowywałem radość. Zapłaciłem należną sumę i wstawiłem konia do pobliskiej stajni, aby się pożywił i odpoczął.

Po południu wyprowadziłem go na plac i podczas gdy kilku obywateli trzymało go za łeb, kilku innych zaś za ogon, wskoczyłem na siodło. Załedwie go puścili, koń zebrał wszystkie cztery kopyta w jeden pęczek, zniżył grzbiet, potem gwałtownie go wygiął do góry i wyrzucił mnie w powietrze na wysokość trzech czy czterech stóp. Spadłem na dół po tej samej linii; trafiłem na siodło. Natychmiast wyskoczyłem znów w powietrze, znów spadłem niemal na kulę siodła, znowu wyskoczyłem i spadłem na kark konia – wszystko w ciągu trzech czy czterech sekund. Potem koń poderwał się i stanął niemal pionowo na tylnych nogach, a ja, uczerpiony rozpaczliwie jego chudej szyi, zsunąłem się na siodło i tak trwałem. Potem koń opadł

na cztery nogi i natychmiast zaczął wierzgać wszystkimi kopytami, wymierzył jedno straszliwe kopnięcie w niebo i wreszcie stanął na przednich nogach tylnie wyrzuciwszy do góry. Potem znów opadł na ziemię i wrócił do pierwszego ćwiczenia – to jest raz po raz wyrzucał mnie prosto w górę.

Gdy za trzecim razem frunąłem w powietrze, usłyszałem słowa jakiegoś nieznajomego:

– Ale skika, co?

Podczas jednej z takich powietrznych przejażdżek ktoś trzepnął konia rzemieniem, że aż plasnęło, toteż gdy wróciłem, nie zastałem już autentycznego meksykańskiego mustanga. Młody Kalifornijczyk dogonił go, pochwycił i spytał, czy może się przejechać. Nie odmówiłem mu tej przyjemności. Dosiadł autentycznego, raz wyleciał w powietrze, ale spadając spiął konia ostrogami i koń pognął z szybkością telegramu. Przefrunął nad trzema płotami jak ptak i zniknął na drodze prowadzącej do doliny Washoe.

Westchnąwszy ciężko, usiadłem na kamieniu i instynktownie przycisnąłem jedną rękę do czoła, drugą do żołądka. Chyba nigdy dotąd nie zdawałem sobie tak jasno sprawy z bezmiaru ludzkiej ułomności, brakowało mi bowiem kilku rąk do przyłożenia w różne miejsca. Żadne pióro nie zdoła opisać, jak bardzo byłem wytrzesiony, żadna wyobraźnia nie zdoła sobie przedstawić, jak bardzo byłem rozklekotany – wewnątrz, zewnątrz i ogólnie – oraz rozchwiany, nadwerężony i zbeltany. Zebrał się wokół mnie tłumek współczujących obywateli.

Jeden starszawy pocieszyciel powiedział:

– Wykiwano cię, młodzieńcze. Wszyscy tutaj znają tego konia jak zły szeląg. Każde dziecko, każdy Indianin by ci powiedział, że on wierzga. Jest najbardziej wierzgającym diabelskim nasieniem na całym kontynencie amerykańskim. Ja ci to mówię. Jestem Curry. Stary Curry. Stary Abe Curry. Co więcej, ten koń jest z krwi i kości, z dziada pradziada cholerny autentyczny meksykański mustang i na dobitkę złośliwy. Ach, cymbale, gdybyś siedział cicho, zapłaciłbyś za uczciwego amerykańskiego konia niewiele więcej, niż zapłaciłeś za tego cudzoziemskiego mamuta.

Nic nie dałem po sobie poznać. Ale postanowiłem, że jeśli pogrzeb brata licytatora odbędzie się podczas mojego pobytu w Newadzie, wyrzeknę się wszystkich innych rozrywek i odprowadzę go na cmentarz.

Po szesnastomilowym galopie autentyczny meksykański mustang z młodym Kalifornijczykiem na grzbiecie wpadł do miasta rozpryskując bryzgi piany i przesadziwszy na zakończenie jednym susem wózek ręczny i Chińczyka, zarył kopytami przed rancho.

Jakże on dyszał, jak robił bokami! Jak rozdymał czerwone końskie chrapy, jak łupał dzikimi końskimi ślepiami! Ale czy ta królewska bestia została ujarzmiona? Gdzie tam! Jego wysokość przewodniczący Stanowej Izby Ustawodawczej sądził, że została ujarzmiona i dosiadł jej, żeby pojechać do gmachu parlamentu. Ale już w pierwszym susie koń przesadził stos słupów telegraficznych wysokości połowy kościelnej wieży i po dziś dzień nikt nie pobił jego rekordu na milę i trzy czwarte dzielącą go od gmachu parlamentu. Trzeba jednak przyznać, że postąpił nie bardzo uczciwie – przepuścił milę i przebiegł tylko trzy czwarte. To jest pognął skrótem przez miasto przedkładając rowy i płoty nad zakręty drogi. A zajechawszy przed gmach, przewodniczący oświadczył, że przebył tę odległość na ogonie komety.

Wieczorem przewodniczący chciał zażyć ruchu i wrócił do domu pieszo, autentycznego zaś przywiązał za ciężkim wozem ciągnącym ładunek kwarcu. Nazajutrz wypożyczyłem bestię sekretarzowi parlamentu, który wybierał się do odległej o sześć mil kopalni srebra w Dana; on też wrócił pieszo, żeby zażyć ruchu, konia zaś przywiązał do wozu. Ktokolwiek pożyczął ode mnie wierzchowca, zawsze wracał pieszo; jakoś w inny sposób ludzie ci nie mieli okazji zażywać ruchu. Mimo to nadal pożyczalem konia każdemu, kto się zgłosił, w nadziei, że koń okuleje, i wtedy pożyczający będzie go miał na karku, albo że się zabije, i wtedy pożyczający będzie mi musiał zwrócić za niego pieniądze. Ale nigdy nie spotkało go nic złego. Podejmował ryzyka, z których żaden inny koń nie uszedłby z życiem. Co dzień przeprowa-

dzał udane eksperymenty, które były dotąd uważane za niemożliwe; zdarzało się, że czasem trochę źle obliczył, i jeździec nie wychodził z nich cało, on sam jednak nie ponosił najmniejszej szkody. Próbowałem go naturalnie sprzedać; ale był to tylko dowód naiwności z mojej strony, który nie spotkał się z sympatią ogółu. Przez cztery dni licytator cwałował na nim po ulicach rozpędzając przechodniów, przerywając pracę i unicestwiając dzieci, ale nie padła nigdy żadna oferta; żadna oprócz osiemnastodolarowej, którą zgłaszał wynajęty przez licytatora próżniak, znany z chronicznego braku gotówki. Ludzie uśmiechali się tylko ujmująco i powstrzymywali chęć kupna, jeśli mieli taką. Któregoś dnia licytator przedstawił mi rachunek i wycofałem konia z rynku. Usiłowaliśmy potem przehandlować autentycznego na prywatnych licytacjach, oferując go ze stratą w zamian za używane nagrobki, stare żelastwo, broszury Towarzystwa Trzeźwości – za cokolwiek. Ale kontrahenci trzymali się mocno i znowu trzeba było wycofać konia z rynku. Nigdy go już nie dosiadałem po tej pierwszej próbie. Pieszne przechadzki były doskonałym ćwiczeniem dla człowieka mojej kondycji, któremu nic nie dolegało – jeśli naturalnie nie liczyć wewnętrznych obrażeń, nadwreżeń i tym podobnych. W końcu usiłowałem go podarować. Ale próba zawiodła. Ludzie mówili, że o trzęsienie ziemi na wybrzeżu Pacyfiku nietrudno, więc nie mają ochoty brać sobie jednego na własność. Bliski desperacji ofiarowałem go gubernatorowi na użytek brygady. W pierwszej chwili twarz mu się rozjaśniła, ale zaraz sposepniał; powiedział, że byłaby to złośliwość szyta zbyt grubymi nićmi.

Mniej więcej w tym samym czasie przysłali mi ze stajni rachunek za sześć tygodni: piętnaście dolarów za miejsce w stajni, dwieście pięćdziesiąt dolarów za obrok! Autentyczny meksykański mustang zjadł tonę siana, a stajenny powiedział, że zjadłby i sto ton, gdyby mu dali.

Poważnie mówiąc, rynkowa cena siana w tym i przez połowę następnego roku wynosiła dwieście pięćdziesiąt dolarów za tonę. Przez część ubiegłego roku płacono za tonę siana pięćset dolarów w złocie, a poprzedniej zimy dał się odczuć w Newadzie tak dotkliwy brak siana, że w niektórych wypadkach płacono za tonę osiemset dolarów w złocie! Czytelnik sam chyba odgadnie, jakie były tego skutki. Ludzie wypędzali bydło na zagładę i zanim przyszła wiosna, doliny Carson i Eagle były dosłownie usiane zwierzęcymi trupami! Wszyscy starzy osadnicy potwierdzą moje słowa.

Z wielkim trudem zapłaciłem rachunek za stajnię i tego samego dnia podarowałem autentycznego przechodzącemu przez miasto emigrantowi z Arkansas, którego zesłał mi sam Bóg. Jeżeli ta książka trafi kiedyś do rąk emigranta, nieszczęśnik przypomni sobie zapewne ów podarek.

Każdy, kto jeździł kiedykolwiek na meksykańskim koniu, rozpozna go w portrecie zwierzęcia odmalowanym w tym rozdziale i nie powie, że barwy są zbyt jaskrawe; ale niewtajemniczeni pomyślą może, że portret ów jest czystym dziełem fantazji.

XXV. NIELATWO JEST SPRAWOWAĆ RZĄDY

Początkowo Newada była częścią Utah i nosiła nazwę okręgu Carson; a trzeba przyznać, że był to okręg dość spory. Niektóre doliny dawały bogate zbiory siana, co przyciągnęło mormońskich hodowców bydła i farmerów, którzy osiedlali się tu w niewielkich koloniach. Przywędrowała też z Kalifornii nieliczna grupa ortodoksyjnych Amerykanów, ale nie było miłości między tymi dwoma typami kolonistów. Nie utrzymywali między sobą przyjaznych stosunków, każda grupa żyła w swoim obrębie. Mormonów było więcej, a sytuację ich poprawiał jeszcze fakt, że korzystali ze szczególnych przywilejów mormońskiego rządu terytorialnego, mogli więc pozwolić sobie na chłód, a nawet na wrogość w stosunku do swoich sąsiadów. Pewna autentyczna stara historyjka ilustruje doskonale sytuację w dolinie Carson z tamtych czasów. Dziewczyna, służąca w pewnej amerykańskiej rodzinie, była Irlandką i katoliczką; ale zauważono ze zdziwieniem, że jest jedyną osobą spoza społeczności mormońskiej, której mormoni świadczą drobne uprzejmości. Zwracała się do nich często i nigdy jej nie odmawiali. Było to dla wszystkich tajemnicą. Któregoś dnia, gdy wychodziła z domu, duży nóż myśliwski wypadł jej spod fartucha, a na pełne zdumienia pytanie pani dziewczyna odpowiedziała, że idzie pożyczyć od mormonów balie!

Odkrycie pokładów srebra w roku 1858 natychmiast zmieniło sytuację w okręgu Carson. Zaczęli teraz napływać licznie Kalifornijczycy i niebawem Amerykanie znaleźli się w większości. Obywatele wypowiedzieli się przeciwko zależności od Utah i Brigham Younga i ustanowili czasowy rząd terytorialny dla „Washoe”. Gubernator Roop był pierwszym i jedynym dygnitarzem stojącym na czele tego rządu.

Po jakimś czasie Kongres uchwalił ustawę o organizacji Terytorium Newady i prezydent Lincoln mianował na miejsce Roopa gubernatora Nye’a.

W tym okresie ludność terytorium wzrosła do dwunastu czy piętnastu tysięcy, a liczba ta powiększała się z każdym dniem. Rozbudowywano gorączkowo kopalnie srebra i wznoszono huty. Handel kwitł i rozwijały się pomyślnie wszelkiego rodzaju interesy.

Obywatele Newady byli radzi, że mają prawowicie ustanowiony rząd terytorialny, ale bynajmniej ich to nie cieszyło, że ludzie obcy, przybyli z dalekich stanów, sprawują władzę nad nimi; łatwo jest zrozumieć to uczucie. Uważali, że urzędnicy powinni być wybierani z ich grona, spośród wybitnych obywateli zasługujących na takie wyróżnienie, którym dobro ludności leżało na sercu – a którzy rozumieli doskonale potrzeby kraju. Niewątpliwie mieli słuszność. Nowi urzędnicy byli „emigrantami”, co nie zjednywało im niczyjej sympatii i nie budziło zachwyty.

Nowy rząd został przyjęty bardzo chłodno. Był on nie tylko intruzem z obcych stron, ale na dodatek biednym intruzem. Nie nadawał się nawet do tego, żeby go „obskubywać”; o to pokusić mogłaby się tylko najmniejsza spośród najmniejszych płotek szukających posady. Wszyscy wiedzieli, że Kongres uchwalił zaledwie dwadzieścia tysięcy dolarów papierowych rocznie na wydatki administracyjne – mniej więcej tyle, ile wynosił miesięczny koszt prowadzenia huty srebra. A co więcej, wszyscy wiedzieli, że pieniądze za pierwszy rok budżetowy znajdują się wciąż jeszcze w Waszyngtonie i że wydobycie ich stamtąd będzie sprawą trudną i zmuśną. Carson City było zbyt ostrożne i zbyt mądre, żeby w niestosownym pośpiechu otwierać kredyt takiemu importowanemu, nieopierzonemu stworowi.

Wydaje mi się, że jest coś patetycznie śmiesznego w tym borykaniu się nowej władzy terytorialnej o znalezienie sobie miejsca na świecie. Nasza władza porządnie się przy tym na-

mordowała. Pełnomocnictwa Kongresu oraz instrukcje z Departamentu Stanu żądały, aby w takim to a takim terminie wybrano ciało ustawodawcze, które w takim to a takim dniu rozpocznie swoje obrady. Nie było trudno znaleźć ustawodawców, nawet za te marne trzy dolary dziennie, chociaż utrzymanie kosztowało cztery i pół dolara, albowiem dygnitarstwo ma swój urok zarówno w Newadzie, jak wszędzie indziej na świecie, a w Carson nie brakło patriotycznie myślących obywateli będących chwilowo bez pracy. Znalezienie gmachu obrad natomiast było sprawą bez porównania trudniejszą. Carson bardzo uprzejmie odmówiło rządowi oddania sali za darmo lub wynajęcia jakiegokolwiek pomieszczenia na kredyt.

Ale gdy Curry usłyszał o tych trudnościach, przyszedł sam, w pojedynkę, i na własnych ramionach przeniósł nawę państwową przez rafy i puścił ją znów na spokojne wody. Mam na myśli „Curry’ego... starego Curry’ego... starego Abe Curry’ego”. Gdyby nie on, ciało ustawodawcze musiałoby obradować na pustyni. Ofiarował za darmo swój obszerny budynek z kamienia stojący tuż za granicami miasta, a jego propozycja została przyjęta z wdzięcznością. Potem puścił tramwaj konny z miasta do siedziby rządu i przewoził członków parlamentu za darmo. Umieblował też salę ławkami sosnowymi i krzesłami na użytek ciała prawodawczego i wysypał podłogę czystymi wiórami, co zastępowało jednocześnie dywan i spluwaczki. Gdyby nie Curry, rząd terytorialny zgasłby we wczesnym niemowlęctwie. Sekretarz zainstalował kosztem trzech dolarów i czterdziestu centów przepierzenie z płótna oddzielające Senat od Izby Reprezentantów, ale Stany Zjednoczone nie zgodziły się pokryć tego wydatku. Gdy im sekretarz przypomniał, że instrukcja zezwala na płacenie sporych sum za wynajęcie sali dla ciała i że szczodrość pana Curry’ego pozwoliła zaoszczędzić tych wydatków, Stany Zjednoczone odparły, że to nie ma nic do rzeczy i że trzy dolary i czterdzieści centów zostaną ściągnięte z rocznych poborów sekretarza, wynoszących tysiąc osiemset dolarów. I naturalnie zostały ściągnięte!

Sprawa druków była od początku niesłychanie interesującym przykładem rozlicznych trudności, z jakimi borykał się nowy rząd. Sekretarz został zaprzysiężony na grube tomy swych „Instrukcji”, te zaś żądały od niego, aby bezwzględnie wykonywał dwie czynności:

- 1) Oddawał do druku sprawozdania Senatowi i Izbie Reprezentantów.
- 2) Płacił półtora dolara papierowego za skład tysiąca znaków drukarskich i półtora dolara papierowego za dziesięć libr papieru.

Łatwo było zaprzysiąc, że się wykona te dwie czynności, ale było niemożliwością wykonać więcej niż jedną. Gdy wartość dolarów papierowych spadła do czterdziestu centów, drukarnie liczyły półtora dolara za skład i półtora dolara za dziesięć libr – ale w złocie „Instrukcje” żądały, aby sekretarz traktował dolary papierowe emitowane przez państwo na równi z wszelkimi innymi dolarami emitowanymi przez państwo i z tego powodu sprawozdania przestały ukazywać się drukiem. Wtedy Stany Zjednoczone udzieliły sekretarzowi ostrej nagany za niestosowanie się do „Instrukcji” i upomniały go, aby się poprawił. Wobec tego sekretarz wydrukował część sprawozdań, przesłał rachunek wraz z wnikliwym komentarzem na temat drożyzny panującej na terytorium Newady i zwrócił uwagę na drukowane raporty rynkowe, z których wynikało, że nawet cena siana wzrosła do dwustu pięćdziesięciu dolarów za tonę. W odpowiedzi Stany Zjednoczone obciążyły rachunkiem za druk nieszczęsną pensję sekretarza, nadmieniając przy tym ze śmiertelną powagą, że „Instrukcje” ani słowem nie wspominają o konieczności kupowania siana!

Nic na świecie nie jest spowite w tak nieprzenikniony mrok jak zdolność pojmowania ministra skarbu Stanów Zjednoczonych. Sama światłość niebiańska nie zdołałaby tego mroku rozjaśnić. W czasach, które opisuję, minister żadną miarą nie mógł zrozumieć, dlaczego dwadzieścia tysięcy dolarów starczało na krócej w Newadzie, gdzie ceny sięgały cyfr astronomicznych, niż w innych terytoriach, gdzie życie było tańsze. Minister skarbu uznawał tylko małe wydatki. Sekretarz terytorium urządził swoje biuro w sypialni, o czym już wspominałem, i nie obciążał Stanów Zjednoczonych wydatkami na komorne, chociaż jego „Instrukcje”

to przewidywały i byłby w pełni usprawiedliwiony wykorzystując tę możliwość (gdybym ja był sekretarzem, zrobiłbym to z szybkością błyskawicy). Ale ten dowód samozaparciu nie spodobał się Stanom Zjednoczonym. Mam wrażenie, że mojej ojczyźnie było wstyd zatrudniać tak nieprzezornego pracownika.

„Instrukcje”, o których wciąż wspominam (czytywaliśmy zwykle jeden rozdziałek przed śniadaniem, dla gimnastyki umysłu, a dwa rozdziałki raz na tydzień w szkółce niedzielnej, albowiem „Instrukcje” wypowiadały się na wszelkie możliwe tematy i było w nich sporo cennej treści religijnej obok innych statystyk), nakazywały zaopatrywać wszystkich członków ciała ustawodawczego w papier, koperty, pióra i noże do ostrzenia piór. Sekretarz dokonał zakupu i rozdziału. Noże do ostrzenia piór kosztowały po trzy dolary sztuka. Było ich o jeden za dużo i sekretarz dał zbywający nóż urzędnikowi Izby Reprezentantów. Stany Zjednoczone powiedziały, że urzędnik Izby Reprezentantów nie jest członkiem ciała ustawodawczego, i potrąciły te trzy dolary z uposażenia sekretarza. Jak zwykle.

Biali liczyli trzy lub cztery dolary za spiłowanie sążnia drzewa opałowego. Przeworny sekretarz wiedział, że Stany Zjednoczone nigdy w życiu nie zapłacą takiej ceny; wynalazł więc Indianina, który za spiłowanie drzewa wziął półtora dolara. Sekretarz sporządził należyty protokół, ale go nie podpisał, tylko załączył krótkie wyjaśnienie, że drzewo spiłował Indianin, że pracę tę wykonał dobrze i solidnie, ale rachunku nie podpisuje, albowiem brak mu koniecznych do tego kwalifikacji. Naturalnie sekretarz musiał zapłacić te półtora dolara. Zdawało mu się, że Stany Zjednoczone pochwalą zarówno jego oszczędność, jak uczciwość (wykonał pracę za pół ceny i nie sfingował podpisu Indianina na rachunku), ale Stany Zjednoczone zupełnie inaczej zapatrywały się na tę sprawę. Stany Zjednoczone tak przywykły do zatrudniania w urzędowym charakterze rozmaitych półtoradolarowych złodziejasków, że nie mogły się dopatrzeć w wyjaśnieniach sekretarza jakichkolwiek znamion prawdy.

Ale gdy Indianin następnym razem piłował dla nas drzewo, pokazałem mu, jak ma postawić krzyżyk na dole dokumentu (krzyżyk wyglądał tak, jakby był pijany od roku), po czym sam wystąpiłem w charakterze świadka i wszystko poszło doskonale. Stany Zjednoczone nie pisnęły ani słowa. Nie mogłem sobie darować, że wystawiłem rachunek na jeden sążeń drzewa zamiast na tysiąc. Rząd mojego kraju traktuje lekceważąco uczciwą prostotę, popiera natomiast artystyczne łajdactwo;; myślę, że gdybym pobyl z rok czy dwa w służbie państwowej, wyrobiłbym się na doskonałego złodziejaska.

Ach, co to byli za władcy, to pierwsze ciało ustawodawcze Newady! Ściągali z obywateli podatki na sumę kilkudziesięciu tysięcy dolarów i zlecali wydatki na sumę około miliona. Mieli jednak od czasu do czasu krótkotrwałe napady oszczędności, jak wszystkie tego rodzaju ciała. Jeden z członków zaproponował, żeby zwolnić kapelana, co da krajowi oszczędność trzech dolarów dziennie. A przecież ten krótkowzroczny człowiek bardziej może potrzebował kapelana niż jakikolwiek inny członek Izby, bo podczas porannych modłów siedział zwykle z nogami na biurku i jadł surową brukiew.

Parlament obradował sześćdziesiąt dni i przez cały ten czas udzielał prywatnych przywilejów pobierania myta drogowego. Po skończeniu sesji obliczono, że każdy obywatel jest właścicielem trzech przywilejów i wtedy zapanowało przekonanie, że jeśli Kongres nie doda Newadzie jeszcze jednego stopnia długości geograficznej, nie starczy miejsca na zrealizowanie wszystkich przywilejów. Już teraz wyloty dróg wisiały jak frędzla na granicy terytorium.

Poważnie mówiąc, transport tak wspaniale rozkwitł, że nagle zdobywane fortuny na mytach drogowych niewiele mniej podniecały wyobraźnię ludzką niż kopalnie srebra.

XXVI. GÓRY NASZPIKOWANE BOGACTWEM

Niebawem ja również dostałem gorączki złota. Grupy „poszukiwaczy” co dzień wyruszały w góry, co dzień znajdowały i brały w posiadanie bogate w srebro żyły i pokłady kwarcu. Tędy najwyraźniej prowadziła droga do bogactwa. W chwili naszego przyjazdu cena stopy kwadratowej w wielkiej kopalni „Gould i Curry” wynosiła trzysta do czterystu dolarów; ale w ciągu dwóch miesięcy podskoczyła do ośmiuset dolarów. Przed rokiem kopalnia „Ophir” była warta śmieszną sumę, teraz sprzedawano tam stopę kwadratową za cztery tysiące dolarów! Nie było chyba kopalni, której wartość nie wzrosłaby w oszałamiający sposób w ciągu nieprawdopodobnie krótkiego czasu. Wszyscy bezustannie rozprawiali o tych cudach i od rana do nocy nie słyszało się innych rozmów. Tom taki to a taki sprzedał część kopalni „Amanda Smith” za czternaście tysięcy dolarów, a kiedy przed pół rokiem „brał żyłę w posiadanie”, nie miał ani centa. John Jones sprzedał połowę swojego udziału w „Łysym Orle i Mary Ann” za pięćdziesiąt sześć tysięcy dolarów w złocie i pojechał po rodzinę do Stanów. Wdowa Brewster „dobrze utrafiła” w kopalni „Złote Runo” i sprzedała dziesięć stóp kwadratowych za osiemnaście tysięcy dolarów; kiedy wiosną ubiegłego roku Sing-Sing Tom zabił jej męża na pogrzebie Baldy’ego Johnsona, nie miała za co kupić żałobnego czepka. W „Ostatniej Szansie” natrafiono na „obkładzinę z gliny”, z czego wynikało, że kopacze są w bezpośrednim sąsiedztwie żyły. Skutki? Faceci, którzy wczoraj chodzili na żebrzy, dzisiaj mieli po murowanej kamienicy na głowę, a upadający ze zmęczenia właściciele, którym wczoraj nie skredytowano by kieliszka trunku w żadnym barze w całym kraju, dzisiaj wlewali w siebie szampana i byli otoczeni zastępami serdecznych przyjaciół – w mieście, gdzie z długotrwałego braku praktyki zapominali, jak się kłania i podaje rękę. Notoryczny włóczęga Johnny Morgan zasnął wieczorem w rynsztoku, a nazajutrz obudził się ze stoma tysiącami dolarów w banku; wypłacono mu tę sumę na skutek wyroku sądu w procesie o kopalnię „Lady Franklin”. Dzień po dniu wdzierały się do uszu tego rodzaju rozmowy i dzień po dniu wzrastało w mieście podniecenie.

Musiałbym być albo mniej niż człowiekiem, albo więcej niż człowiekiem, żeby nie oszaleć tak jak reszta. Wozy naładowane sztabami czystego srebra wielkości sztab ołowiu przybywały co dzień z kopalni i takie widoki przydawały cech prawdopodobieństwa szalejącym wokół mnie pogłoskom. Poddałem się i byłem od tej chwili rozgorączkowany i nieprzytomny jak inni.

Co kilka dni nadchodziły wiadomości o odkryciu nowego okręgu górniczego; natychmiast szpalty gazet wypełniały się opisami jego bogactwa i nadmiar ludności miejskiej gnał na łeb na szyję „zajmować działki”. W czasie, gdy choroba poczyniła już we mnie spore postępy, Esmeralda schodziła właśnie ze szpalt, a Humboldt zaczynał wielkim głosem przyciągać do siebie uwagę. „Humboldt! Humboldt!” było nowym okrzykiem wojennym i już nazajutrz Humboldt, najnowsze z najnowszych, najbogatsze z najbogatszych, najwspanialsze z najwspanialszych odkryć w krainie srebra zajmował dwie kolumny druku obok jednej kolumny poświęconej Esmeraldzie. Miałem właśnie wyruszyć do Esmeraldy, ale dałem się ponieść fali i zdecydowałem się na wyprawę do Humboldtu. Aby czytelnik mógł zrozumieć, co mnie do tego skłoniło, zamieszczam poniżej korespondencję, jedną z wielu, jakie ukazywały się wtedy w prasie. Otóż ta korespondencja – i kilka innych pisanych tym samym spokojnym piórem – przyczyniła się walenie do zmiany decyzji. Nie streszczam, tylko podaję ją w całości, tak jak ukazała się w „Dzienniku Terytorialnym”.

Ale co powiedzieć o naszych kopalniach? Będę z wami szczerzy. Okręg Humboldt jest najbogatszym w minerały zakątkiem na ziemi. Każdy grzbiet górski pęka wprost od bezcennych rud. Humboldt jest prawdziwą Golcondą.

Przedwczoraj próbka pobrana ze zwykłej odkrywki wykazała zawartość kruszczu równą czterem tysiącom dolarów z tony. Kilka tygodni temu próbka pobrana z podobnej zewnętrznej warstwy wykazała zawartość kruszczu równą siedmiu tysiącom dolarów! Stoki naszych gór roją się od poszukiwaczy. Każdy dzień, każda niemal godzina daje nowe dowody wspaniałych, nieprzebranych bogactw naszego szczęśliwego okręgu. Srebro nie jest jedynym znajdowanym minerałem. Natrafiono na wyraźne smugi rudy złotonośnej. Niedawne odkrycie wskazuje na obecność cynobru. Złoża metali pospolitszych są wprost bezcenne. Ostatnio odkryto węgiel bitumiczny. Wyznawałem zawsze teorię, że węgiel jest formacją drzewną. Mówiłem wielokrotnie pułkownikowi Whitmanowi, że okolice Dayton w Newadzie nie zdradzają najmniejszych nawet śladów istnienia obecnych czy dawnych złóż drzewnych, a co za tym idzie, że nie mam zaufania do jego rozstawionych kopalni węgla. Powtórzyłem tę moją teorię rozradowanym odkrywcom węgla w Humboldt.

Ostatnio rozmawiałem na ten temat z moim przyjacielem kapitanem Burchem. Całe moje niedowiarstwo znikło, gdy dowiedziałem się od niego, że dokładnie w tej okolicy, o której wspominam, widział skamieniałe drzewa długości dwustu stóp. Dowodzi to bowiem ponad wszelką wątpliwość, że ogromne bory rzucały kiedyś swój posępny cień na tę odludną okolicę. Moja wiara w istnienie węgla jest teraz niezachwiana. Bądźcie spokojni o zasoby minerałów w okręgu Humboldt. Są niezmierne – wprost niewyczerpane.

Wyjaśnię teraz kilka spraw, aby czytelnik mógł lepiej zrozumieć niektóre stwierdzenia powyższego artykułiku. W tym czasie najlepiej prosperującym okręgiem górniczym było pobliskie Gold Hill. Stamtąd pochodziła więcej niż połowa codziennych transportów sztab srebra. Bardzo bogate (i niewielkie) złoża rudy w Gold Hill dawały sto do czterystu dolarów z tony; ale przeciętna wydajność zamykała się w granicach od dwudziestu do czterdziestu dolarów z tony. Innymi słowy, każde sto funtów rudy dawało od jednego do dwóch dolarów. Ale z powyżej zamieszczonego artykułu wynika, że w Humboldt zawartość srebra w rudzie wynosiła od jednej czwartej do jednej drugiej ogólnej masy. Innymi słowy, w każdych stu funtach rudy mieściło się od dwustu do trzystu pięćdziesięciu dolarów. W kilka dni później ten sam korespondent pisał:

Wspominałem o ogromnym, bajecznym bogactwie tego okręgu. Powtarzam: jest to bogactwo wręcz nieprawdopodobne. Wnętrznosci naszych gór pękają wprost od bezcennych rud. Wspomniałem również, że natura tak ukształtowała stoki gór, aby jak najbardziej ułatwić pracę kopalń. Mówiłem wreszcie, że cały nasz okręg obfituje w tereny znakomicie nadające się pod budowę hut. Ale jak wygląda sytuacja w górnictwie okręgu Humboldt? Kopalnia „Saba” znajduje się w rękach energicznych kapitalistów z San Francisco. Jak mi doniesiono, ruda jest tu przemieszana z metalami, których obecność utrudnia proces oczyszczania za pomocą naszych prymitywnych, górskich urządzeń. Właściciele nie szczędzą kapitału i pracy rąk ludzkich. Przekopali tunel głębokości stu stóp. Sam wynik pierwszych prób, a także zamierzona rozbudowa kopalni i powszechne przekonanie o słuszności kontynuowania wysiłku sprawiły, że wartość akcji na rynku wzrosła do ośmiuset dolarów. Nie wiem, czy chociaż jedna tona rudy z tej kopalni została przetopiona na metal. Wiem natomiast, że jest w tym okręgu wiele złóż, których początkowe próbki wykazują znacznie większą zawartość srebra niż rudy „Saby”. Zapoznajmy się z kalkulacją właścicieli „Saby”. Zamierzają oni eksportować rudę do Europy. Koszt transportu ze Star City (gdzie się kopalnia znajduje) do Virginia City wyniesie siedemdziesiąt dolarów od tony; z Virginia do San Francisco – czterdzieści dolarów od tony; koszt transportu morzem z San Francisco do Liverpool, miejsca przeznaczenia, wyniesie dzie-

sięć dolarów od tony. Właściciele zakładają, że konglomerat metali w rudzie pokryje im koszt wydobycia, transportu i przetopienia, i że przy tej kalkulacji tona nie przerobionej rudy da im tysiąc dwieście dolarów zysku. Może ta cyfra jest przesadzona. Podzielmy ją na pół, a rezultat i tak będzie fantastyczny – przewyższy wszystko, co osiągnięto w tej dziedzinie na naszym zadziwiającym terytorium.

Według ogólnie panującego mniemania większość naszych kopalń będzie przynosiła pięćset dolarów z tony. Taka płodność odsuwa w najgłębszy cień kopalnie „Gould i Curry”, „Ophir” i „Meksykańską”, w naszym najbliższym sąsiedztwie. Przedstawiłem wam ocenę wartości produkcji jednej tylko kopalni. Wartość rynkowa jej akcji dowodzi bogactwa złóż. Mieszkańcy okręgu Humboldt dosłownie oszaleli; kiedy to piszę, nasze miasta są niemal wyludnione. Mają wygląd tak ospały i apatyczny jak anemiczna dziewczyna. Gdzie się podzieli nasi krzepcy i silni współobywatele? Przedzierają się przez rozpadliny i szczyty górskie. Rozeszli się na wszystkie strony. Od czasu do czasu wpada między nas jeździec na spienionym koniu. Zeskoczy na ziemię przed swoim mieszkaniem, w przelocie przywita znajomych, pobiegnie do urzędu probierczego, stamtąd do urzędu registratora okręgowego. Rankiem, uzupełniwszy zapasy żywności, puszcza się znów w swoją szaloną, wiodącą manowcami drogę. Takich jak on są już tysiące. Jest jak pijawka przyczepiony do końskiego grzbietu. Ma nienasycony żołądek rekina czy pytona. Zwycięży świat minerałów.

To nam wystarczyło. Zaledwie doczytaliśmy powyższy artykuł do końca, postanowiliśmy we czwórkę wyruszyć do Humboldt. Natychmiast zaczęły się przygotowania do drogi. I natychmiast zaczęliśmy robić sobie w duchu wymówki, że nie zdecydowaliśmy się wcześniej na ten wyjazd, ogarnęło nas bowiem przerażenie, że wszystkie bogate złoża zostaną odkryte i zajęte, zanim tam dotrzemy, i będziemy może musieli zadowolić się żyłami dającymi nie więcej niż dwieście lub trzysta dolarów z tony. Godzinę przedtem uważałem się za bogacza, gdybym posiadał dziesięć stóp w kopalni Gold Hill, której ruda dawała dwadzieścia pięć dolarów z tony; teraz zaczynałem się już martwić, że spóźnię się i będę skazany na posiadanie kopalń, spośród których najbiedniejsza byłaby fenomenem w Gold Hill.

XXVII. MY TEŻ CHCEMY W TYM UCZESTNICZYĆ

Pośpiech – oto była nasza dewiza! Nie marnowaliśmy czasu. Było nas czterech: sześćdziesięcioletni kowal, dwaj młodzi adwokaci i ja. Kupiliśmy wóz i dwie nieszczęsne szkapy. Załadowaliśmy na wóz tysiąc osiemset funtów żywności i narzędzi górniczych, po czym pewnego chłodnego popołudnia grudniowego wyruszyliśmy z Carson. Konie mieliśmy bardzo stare i słabe, doszliśmy więc niebawem do wniosku, że byłoby dobrze, gdyby jeden albo dwaj z nas zsiadli z wozu i poszli pieszo. To bardzo pomogło. Następnie stwierdziliśmy, że byłoby dobrze, gdyby trzeci spośród nas zszedł z wozu. To też bardzo pomogło. W tym mniej więcej czasie zgłosiłem się ochotniczo na woźnicę, chociaż nigdy w życiu nie powoziłem zaprzęgiem i wiele ludzi w mojej sytuacji uważałoby się za zwolnionych z tego rodzaju odpowiedzialności. Ale niebawem oni doszli do wniosku, że byłoby świetnie, gdyby woźnica też zszedł z wozu i podązał pieszo. W tym mniej więcej czasie zrezygnowałem z funkcji woźnicy i nigdy już nie brałem lejców do ręki. Po godzinie doszliśmy do wniosku, że nie tylko byłoby dobrze, ale jest wręcz konieczne, abyśmy kolejno wszyscy czterej, po dwóch naraz, pchali wóz od tyłu przez piachy, zostawiając biednym szkapinom niewiele do roboty; ot, musiały się pilnować, żeby nie wpadać pod koła. To chyba dobrze, jeżeli człowiek od razu pozna swój los i prędko się z nim pogodzi. My poznaliśmy nasz los w ciągu tego jednego popołudnia. Nie ulegało wątpliwości, że przez całe dwieście mil będziemy musieli iść po piachu i pchać wóz i konie. Pogodziliśmy się więc z sytuacją i już nigdy nie wsiadaliśmy na wóz. Co więcej, niemal cały czas pchaliśmy go od tyłu.

Przejechaliśmy siedem mil i rozbiliśmy obóz na pustyni. Młody Claggett (obecnie członek Kongresu ze stanu Montana) wyprzągnął, nakarmił i напоił konie; my z Oliphantem nacięliśmy bylicy, zapalili ognisko i przynieśli wodę; a stary Ballou, kowal, ugotował posiłek. Utrzymaaliśmy ten podział pracy przez całą wędrówkę. Nie mieliśmy namiotu, spaliliśmy więc zawinięci w koce pod gołym niebem. Byliśmy tak zmęczeni, że spaliliśmy świetnie.

Przebyliśmy te dwieście mil w ciągu piętnastu dni, właściwie trzynastu, bo ze względu na konie odpoczywaliśmy dwie doby w jednym miejscu. Właściwie mogliśmy przebyć tę odległość w dziesięć dni, gdybyśmy przywiązali konie za wozem, ale za późno przyszło nam to do głowy, pchaliśmy więc wóz i konie, zamiast oszczędzić sobie połowę wysiłku. Ludzie spotykani na drodze radzili nam niekiedy, żebyśmy postawili konie na wozie, ale pan Ballou, do którego poprzez stalowy pancerz powagi nie przenikał nigdy sarkazm, odparł, że to kiepska rada, ponieważ żywność by ucierpiała, bo konie są „bitumiczne z długiego niedostatku”. Czytelnik zechce mi wybaczyć, że mu tego nie wyjaśnię. Co pan Ballou miał na myśli, kiedy używał tego słowa, była to tajemnica między nim a jego Stwórcą. Był jednym z najlepszych i najzacniejszych ludzi, jacy ozdabiali swą obecnością niskie sfery naszego życia, był uosobieniem łagodności, prostoty i altruizmu. Chociaż miał dwa razy tyle lat co najstarszy z nas, nigdy nie żądał dla siebie z tego tytułu żadnych przywilejów, ani nie spodziewał się korzyści. Wykonywał swoją część pracy młodego mężczyzny i uczestniczył w rozmowach jak młody mężczyzna, a nie z aroganckich, przyniatających wyżyn swoich lat sześćdziesięciu. Jego cechą szczególną było zamiłowanie do słów wielkich „dla nich samych” i niezależnie od tego, czy miały jakikolwiek związek z myślą, którą chciał wyrazić. Wypowiadał te swoje pompacyjne sylaby ze swobodną nieświadomością, dzięki czemu nawet nie irytowały. A prawdę mówiąc był przy tym tak naturalny i tak pełen prostoty, że często przyjmowałem te jego uroczyście wyrażenia w taki sposób, jakby naprawdę coś znaczyły, chociaż nie było w nich absolutnie żadnego sensu. Jeżeli jakieś słowo było długie, imponujące i dźwięczne, porywało wy-

obraźnię starca; szpikował nim zdanie czy rozmowę w najmniej odpowiednich miejscach i tak się tym cieszył, jak gdyby wprost jaśniało znaczeniem.

Wszyscy czterej rozkładaliśmy koce na zmarzniętej ziemi i spaliśmy obok siebie; a gdy się Oliphant przekonał, że nasz zwariowany, długonogi szczeniak ma w sobie dużo zwierzęcego ciepła, wpuszczał go na posłanie między siebie i starego Ballou, przyciskał ciepły psi grzbiet do piersi i znajdował w tym mnóstwo pociechy. Ale w nocy szczeniak zaczynał się rozpychać, wspierał łapy na plecach starca mrucząc z wielkim zadowoleniem; od czasu do czasu zaś, ponieważ było mu przytulnie i ciepło i ponieważ odczuwał w swoim psim sercu wdzięczność i ukontentowanie, uderzał starca łapą w plecy – ot, z nadmiaru szczęścia; a kiedy indziej znów śniło mu się polowanie i przez sen łapał starca zębami za włosy z tyłu głowy i szczekał mu prosto do ucha. W końcu pan Ballou poskarżył się delikatnie na te objawy zażyłości i dodał, że takiego psa nie można wpuszczać na posłanie zmęczonych ludzi, ponieważ jest „merytoryczny w ruchach i organiczny w objawianiu uczuć”. Nie wpuszczaliśmy więc szczeniaka pod koce.

Była to ciężka, żmudna, nużąca droga, miała jednak swoje chwile jaśniejsze, bo gdy odbyliśmy dzienny marsz i zaspokoiли wilcze apetyty gorącą kolacją złożoną z chleba, smażonego boczku, melasy i gorącej kawy, palenie fajki, śpiewanie pieśni, opowiadanie historyjek wokół obozowego ogniska wśród samotnej pustynnej ciszy dostarczało nam beztroskiej, wspaniałej rozrywki; było szczytem i kulminacją wszelkich radości ziemskich. Ten rodzaj życia ma dla wszystkich nieodparty urok, zarówno dla ludzi wychowanych na wsi, jak w mieście. Jesteśmy potomkami zamieszkujących pustynię Arabów i niezliczone stulecia drogi ku cywilizacji nie zdołały zdusić w nas instynktu koczowniczego. Wszyscy jesteśmy gotowi się przyznać, że na myśl o „obozowaniu” przechodzą nas rozkoszne dreszcze.

Raz zrobiliśmy dwadzieścia pięć mil w ciągu dnia, kiedy indziej znów przeszliśmy czterdzieści mil (przez Wielką Amerykańską Pustynię) i jeszcze dalej dziesięć mil – razem pięćdziesiąt mil w ciągu dwudziestu trzech godzin nie zatrzymując się na jedzenie, picie czy spanie. Przeciągnąć się i zasnąć, nawet na twardej, zmarzniętej ziemi, po pięćdziesięciu milach pchania wozu wraz z parą koni przez dwadzieścia trzy godziny – ach! jest to rozkosz tak nieziemską, że w pierwszej chwili cena za nią zapłacona wydaje się niska.

Obozowaliśmy dwa dni nad „zlewem Humboldt”. Próbowaliśmy pić silnie alkaliczną wodę jeziora, ale jej smak zupełnie nam nie odpowiadał. Mieliśmy wrażenie, że pijemy wapno, i to bynajmniej nie w słabym roztworze. Woda pozostawiała niesmak w ustach, gorzki i ohydny, a w żołądku przykre pieczenie. Dodaliśmy do niej melasy, niewiele pomogło; dodaliśmy pikli, ale smak alkaliczny wciąż górował i woda nie nadawała się do picia. Kawa zaparzona na tej wodzie była najohydniejszym napojem, jaki wymyślił człowiek. Była naprawdę jeszcze gorsza w smaku niż sama woda. Pan Ballou jako projektant i wykonawca tego nektaru czuł się zmuszony popierać go, wypił więc pół filiżanki małymi łydkami siląc się cały czas na pochwały, w końcu jednak wylał resztę i powiedział szczerze, że jest to dla niego „zbyt techniczne”.

Ale niebawem znaleźliśmy w niewielkiej odległości od obozu źródło słodkiej wody i nic już nie psuło nam radości zasłużonego odpoczynku.

XXVIII. ZNAJDUJĘ BEZWARTOŚCIOWE ZŁOTO

Opuściwszy obozowisko nad „zlewem” wędrowaliśmy jakiś czas wzdłuż rzeki Humboldt. Dla ludzi przyzwyczajonych do przepotężnej, szerokiej na milę Missisipi słowo „rzeka” kojarzy się z wodnym majestatem najwyższego rzędu. Nic więc dziwnego, że tacy ludzie czują zawód, gdy przekonają się – stanąwszy nad brzegiem Humboldt czy Carson – że w Newadzie rzeki są nędznymi strugami przypominającymi do złudzenia kanał Erie, z tą tylko różnicą, że kanał jest dwa razy od nich szerszy i cztery razy głębszy. Jednym z najmiłszych i najbardziej ożywiających ćwiczeń są skoki z rozpędu przez Humboldt, dopóki człowiek się nie rozgrzeje i nie wypije całej rzeki do dna.

Piętnastego dnia ukończyliśmy nasz dwustomilowy marsz i wśród zawiei śnieżnej wkroczyliśmy do Unionville w okręgu Humboldt. Unionville składało się z jedenastu szałasów i słupa wolności. Sześć szałasów stało rzędem wzdłuż jednej ściany głębokiego kanionu, pięć wzdłuż drugiej ściany. Na resztę krajobrazu składały się nagie stoki gór wznoszące się tak wysoko po obu stronach kanionu, że wioska była jakby zagubiona na dnie głębokiej rozpadliny. Na szczytach górskich był już dawno dzień, zanim rozproszyły się mroki otulające Unionville.

Wybudowaliśmy mały, prymitywny szałas pod samą ścianą kanionu i w miejsce dachu przykryliśmy go brezentem; jeden odsłonięty róg zastępował nam komin, przez który było zaglądało niekiedy w nocy, objadało nasze meble i wyrывało nas ze snu. Pogoda była bardzo mroźna, a o opał trudno. Indianie przynosili na plecach z odległości kilku mil gałęzie bylicy; gdy udało nam się przyłapać obładowanego Indianina, nie posiadaliśmy się ze szczęścia, w przeciwnym wypadku (była to raczej reguła niż wyjątek) – dygotaliśmy z zimna.

Wyznaję bez wstydu, że spodziewałem się zobaczyć bryły srebra leżące na ziemi. Spodziewałem się zobaczyć srebro połyskujące w słońcu na wierzchołkach gór. Nic o tym nikomu nie mówiłem, bo jakiś instykt mi podszeptał, że takie wyobrażenie jest może przesadne, i jeżeli zdradzę swoje myśli, wystawię się na pośmiewisko. Byłem jednak najgłębiej przekonany, że w ciągu dnia lub dwóch, a najwyżej w ciągu tygodnia lub dwóch znajdę mnóstwo srebra i zdobędę bogactwo, nic więc dziwnego, że w wyobraźni snułem już plany wydawania tych pieniędzy. Przy pierwszej sposobności oddaliłem się niedbałym krokiem od szałasu, cały czas mając tamtych chłopców na oku, a ile razy mi się zdawało, że mnie obserwują, przystawałem i patrzyłem obojętnie w niebo; zaledwie jednak zobaczyłem, że mi z ich strony nic nie grozi, zacząłem uciekać jak złodziej i nie zatrzymałem się, dopóki nie miałem pewności, że jestem poza zasięgiem ich wzroku i głosu. Wtedy rozpocząłem poszukiwania w gorączkowym wprost podnieceniu, nabrzmiałym nadzieją, niemal pewnością! Pełznąć po ziemi brałem do ręki i badałem okruchy kamieni, zdmuchiwałem z nich pył lub wycierałem o ubranie, wpatrywałem się w nie z tęsknym niepokojem. W pewnej chwili znalazłem błyszczący odłamek i serce podskoczyło mi w piersi. Ukryty za wielkim głazem czyściłem mój skarb i badałem go wzrokiem z takim zapałem i radością, jakich bym nie odczuwał posiadając absolutną pewność. Im dłużej oglądałem kamyk, tym bardziej byłem pewien, że znalazłem wrota do bogactwa. Zostawiłem znaki rozpoznawcze i odszedłem unosząc w kieszeni swój skarb. Przeszukiwałem strome zbocze, piąłem się w górę i schodziłem w dół, a z każdą chwilą wzrastał mój zapal i uczucie wdzięczności, że przyjechałem do Humboldt i że nie przyjechałem, za późno. Żadne z moich przeżyć czy doświadczeń nie było tak bliskie ekstazy jak te sekretne poszukiwania wśród ukrytych skarbów krainy srebra. Byłem pijany szczęściem. Po jakimś czasie znalazłem w łożysku płytkiego strumienia osad błyszczących żółtych blaszek i serce,

zamarło mi w piersi! Kopalnia złota, a ja w mojej naiwności zadawałem się pospolitym srebrem! Byłem podniecony i niewiele brakowało, abym uwierzył, że padłem ofiarą własnej rozbujanej wyobraźni. Potem ogarnął mnie lęk, że ktoś mnie podpatrzy i odgadnie mój sekret. Pod wpływem tej myśli zatoczyłem wielkie koło i wszedłszy wyżej na stok rozejrzałem się po okolicy. Pustka. Nikogo w pobliżu. Wróciłem do mojej przyszłej kopalni przygotowując się wewnętrznie na ewentualne rozczarowanie, ale obawy były bezpodstawne – żółte łuski pobłyskiwały na dnie strumienia. Zacząłem je wybierać szuflą i przez godzinę pracowałem ciężko, posuwając się krętym łożyskiem i ogoławając dno z jego skarbów. W końcu jednak zachodzące słońce przypomniało mi, że najwyższy czas przerwać poszukiwania, puściłem się więc w drogę powrotną obładowany bogactwem. Gdy szedłem, uśmiechałem się mimo woli myśląc o moim niedawnym podnieceniu na widok srebra, kiedy niemal pod nosem miałem o tyle szlachetniejszy metal. W ciągu ostatniej godziny srebro tak bardzo straciło na wartości w moich oczach, że dwukrotnie chciałem wyrzucić próbkę.

Chłopcy jak zwykle mieli wilcze apetyty, ale ja nie mogłem jeść. Nie mogłem się też zmusić do rozmowy. Moja wyobraźnia działała gorączkowo, myśli błądziły w przestworzach. Ich gadanina naruszała tok moich marzeń i trochę mnie irytowała. Drobne, pospolite sprawy, o których mówili, budziły we mnie politowanie. Ale po jakimś czasie zaczęło mnie to nawet bawić. Jakże śmieszne mi się wydało, że planują swoje biedne, drobne oszczędności i mówią z troską o dalszych wyrzeczeniach, kiedy z okien szafasu widać kopalnię złota, naszą własną kopalnię złota, do której w każdej chwili mogę ich zaprowadzić! Tłumiona w piersi radość zaczęła mi niebawem ciążyć. Z trudem opanowywałem chęć wybuchnięcia i powiedzenia im wszystkiego; zdołałem się jednak powstrzymać. Powiedziałem sobie, że odkryję im moją wielką nowinę bez pośpiechu, spokojnie, i będę przy tym pogodny jak letni poranek, cały czas obserwując zmiany na ich twarzach. Spytałem:

- Gdzieście byli?
- Szukaliśmy.
- Znaleźliście coś?
- Nic.
- Nic nie znaleźliście? Co myślicie o tej okolicy?
- Za wcześnie, żeby coś mówić – odparł pan Ballou, który był starym, wytrawnym kopa-
czem złota i nie gorzej znał się na rudzie srebrnej.
- Jak to, nie wyrobiliście sobie jeszcze zdania?
- No, coś niecoś dałoby się już powiedzieć. Nieźle tu, owszem, ale trochę przesadzili. Tyl-
ko że pokładów dających po siedem tysięcy dolarów od tony nigdzie nie ma dużo. Ta ich
„Saba” może i jest bogata, ale nie należy do nas. Poza tym w skale jest tak dużo metalu po-
spolitego, że nie poradzi sobie z tym żadna technika na świecie. Z głodu tu nie pomrzemy, ale
o bogactwie nie ma co marzyć.
- Słowem uważasz, że to teren bardzo słaby?
- Tego bym nie powiedział.
- To może lepiej, żebyśmy wrócili?
- E, nie, skąd! Musimy jeszcze trochę popróbować.
- Założmy... mówię teoretycznie... że znaleźlibyście żyłę, która dawałaby sto pięćdziesiąt
dolarów od tony... czy to by was zadowoliło?
- Pytanie! – zawołali chórem.
- Albo założmy... mówię wciąż teoretycznie... że znaleźlibyście żyłę, która dawałaby dwa
tysiące dolarów od tony. Czy to by was zadowoliło?
- Słuchaj... co ty wygadujesz? Co to ma znaczyć? Ukrywasz coś, masz jakąś tajemnicę?
- Mniejsza o to. Nic dotąd nie powiedziałem. Wiecie doskonale, że tu nie ma bogatych te-
renów. Doskonale wiecie, boście chodzili i przekonali się na własne oczy. Zauważy to każdy,
kto się rozejrzy po okolicy. Ale założmy... teoretycznie taka rzecz jest możliwa... założmy

więc, że ktoś by tu do was przyszedł i powiedział, że żyły, dające po dwa tysiące dolarów od tony, są śmiechu warte – rozumiecie, są czymś komicznym – i że tam, niedaleko szafasu, leżą stopy czystego złota i srebra... góry złota i srebra, które w ciągu dwudziestu czterech godzin zrobią z was bogaczy. Co wtedy?

– Uważam, że mu się ze wszystkim w głowie pomieszało! – powiedział pan Ballou, ale był straszliwie podniecony.

– Panowie! – rzekłem – ja nic nie mówię. Ja nie chodziłem, nie badałem i naturalnie na niczym się nie znam. Ale chciałbym, żebyście rzucili na to okiem i powiedzieli mi, co o tym myślicie! – Cisnąłem mój skarb na stół.

Wyciągnęły się skwapliwie ręce, głowy skupiły się wokół świecy. Potem stary Ballou powiedział:

– Co o tym myślimy? Ja tam myślę, że to kupa granitowego śmiecia i paskudnej miki. niewarta dziesięciu centów od akra.

I tak rozwiały się moje majenia. Tak zniknęło moje bogactwo. Tak runął mój zamek na lodzie. Wpadłszy w nastrój moralizatorski powiedziałem, że nie wszystko złoto, co się świeci.

Stary Ballou odparł, że mogę śmiało posunąć się dalej i dodać do mojego skarbca wiedzy zasadę, że cokolwiek się świeci, na pewno nie jest złotem. Dowiedziałem się wtedy i zapamiętałem raz na zawsze, że złoto w swoim stanie pierwotnym jest ciemne i nieefektywne i że tylko metale najpospolitszego rzędu budzą zachwyty ignorantów swoim olśniewającym połyskiem. Mimo to nadal nie doceniam ludzi szczerozłotych i przeceniam ludzi z miki, w czym jestem podobny do reszty mieszkańców ziemi. Pospolita natura ludzka nie potrafi wznieść się ponad taką małość.

XXIX. UCZESTNICZYMY W BIESIADZIE NĘDZARZY

Niebawem przekonaliśmy się, czym naprawdę jest kopanie srebra. Chodziliśmy szukać ze starym Ballou. Wdrapywaliśmy się na stoki górskie, przedzierali przez krzewy, pieli między głazami, pełzli po śniegu – i padaliśmy ze zmęczenia, ale srebra nie było ani złota. I tak dzień po dniu. Niekiedy natrafialiśmy na dziury głębokości kilku stóp, wywiercone w stoku i najwyraźniej ponieczone; spotkaliśmy też zniechęconych kopaczy. Ale nigdzie nawet śladu srebra. Dziury były początkiem kominów, które miały wdzierać się na głębokość kilkuset stóp do wnętrza góry i doprowadzić kopaczy któregoś dnia do ukrytej żyły srebra. Któregoś dnia! Dzień ten wydawał się beznadziejnie, zniechęcająco odległy. Harowaliśmy ciężko dzień po dniu, wspinaliśmy się na zbocza i nam trzem młodszym obrzydła ta beznadziejna praca. W końcu zatrzymaliśmy się pod wyniosłą ścianą skalną, która wyrastała ze zbocza wysoko ku niebu. Pan Ballou odłupał młotkiem kilka okruchów i oglądał je długo i uważnie przez lupę; rzucił, odłupał w innym miejscu. Powiedział, że w skale jest kwarc, a skały kwarcowe zawierają srebro. Zawierają srebro! Wyobrażałem sobie, że taka skała będzie obłożona srebrem jak fornirem. Stary Ballou dalej odłupywał skałę, oglądał odpryski, niektóre zwilżał językiem i badał przez lupę. Wreszcie zawołał:

– Jest! jest!

Zelektryzował nas ten okrzyk. W miejscu odłupanym skała była biała i czysta, przecięta poszarpaną niebieską nicią. Ballou powiedział, że ta niebieska nić zawiera srebro wymieszane z metalami pospolitymi, takimi jak ołów, antymon i podobne śmiecie, i widać w niej nawet kilka plamek złota. Wysiliwszy wzrok zdołaliśmy w końcu dostrzec kilka maleńkich żółtych kropek i doszliśmy do wniosku, że gdyby zebrać ze dwie tony takich okruchów, wyszedłby z tego może jeden złoty dolar. Nasza radość była umiarkowana, ale stary Ballou powiedział, że zdarzają się na świecie gorsze żyły. Schował do kieszeni „najbogatszy”, jak go nazwał, odłamek, aby określić jego wartość za pomocą tak zwanej próby ognia. Wtedy nadaliśmy kopalni nazwę „Monarcha gór”, jako że skromność w doborze nazw nie jest główną cechą kopaczy srebra, a Ballou wypisał i przytwierdził do skały następujące zawiadomienie, którego kopię zostawiliśmy dla siebie, aby ją wciągnąć do rejestru górniczego w mieście:

Z a w i a d o m i e n i e

My, niżej podpisani, bierzemy w posiadanie trzy razy po trzysta stóp (oraz trzysta stóp dla odkrywcy) na tej zawierającej srebro żyłe kruszcowej (czy też pokładzie), biegnącej na północ i na południe od miejsca, w którym umieszczono to zawiadomienie, wraz ze wszystkimi jej zakrętami, załomami, rozwidleniami i odnogami, a także po pięćdziesiąt stóp kwadratowych z obu jej stron na prowadzenie robót.

Złożywszy podpisy usiłowaliśmy wmówić w siebie, że oto zdobyliśmy fortunę. Ale po długiej rozmowie z panem Ballou ogarnęło nas zwątpienie i przygnębienie. Pan Ballou powiedział, że ten kwarc powierzchniowy to jeszcze nie wszystko, bo warstwa czy pokład skalny, nazwany przez nas „Monarchą gór”, ciągnie się przez setki i setki stóp w głąb ziemi (dla lepszego zobrazowania przyrównał go do krawężnika jezdnii), zachowując wciąż tę samą grubość i odcinając się wyraźnie od zamykających go z obu stron warstw skalnych. Powiedział dalej, że pokład taki zachowuje zawsze swój odmienny charakter, choćby najgłębiej wrzynał się w ziemię czy ciągnął najdalej przez wzgórza i doliny. Wreszcie stwierdził, że głębokość

pokładu wynosi może milę, długość z dziesięć mil i że gdziekolwiek się w niego wświdrujemy – od góry czy od dołu – wszędzie znajdziemy w nim złoto i srebro, ale że nie znajdziemy ani złota, ani srebra w uboższej skale, która więzi pokład z obu stron. Wyjaśnił jeszcze, że prawdziwe bogactwo pokładu znajduje się na wielkich głębokościach i że im głębiej pokład wrzyna się w ziemię, tym jest bogatszy. Dlatego zamiast prowadzić pracę tu, na powierzchni, musimy albo wywiercić komin i wdrzeć się w głąb skały, aż natrafimy na bogate złoża (na głębokości powiedzmy stu stóp), albo też zejść w dolinę przekopać głęboki tunel u podnóża skały i tam pod ziemią natrafić na żyłę. Zarówno jedno, jak i drugie wymaga żmudnej pracy, bo w ciągu dnia zdołamy wywiercić za pomocą świdra i prochu otwór nie większy niż pięć lub sześć stóp. Ale to jeszcze nie wszystko. Ballou powiedział, że po wydobyciu ruda musi być przewieziona do odległych hut, tam przemielona i poddana długiemu i kosztownemu procesowi wytapiania. Wieki zdawały się nas dzielić od naszego bogactwa!

Zabraliśmy się jednak do pracy. Postanowiliśmy wdrzeć się w głąb skały kominem. Przez tydzień cała nasza czwórka wdrapywała się na górę obładowana kilofami, drągami, świdrami, szuflami, bańkami z prochem, zwojami lontu. Pracowaliśmy nie szczędząc sił i trudu. Początkowo skała była połupana i krucha, podważyliśmy ją więc drągiem żelaznym i wybierali odłamki szuflą; otwór powiększył się szybko. Ale po jakimś czasie natrafiliśmy na skałę twardszą i musieliśmy sięgnąć po ciężkie oskardy i kilofy. Niebawem tylko proch mógł coś wskórać. Była to praca najcięższa i najżmudniejsza. Jeden z nas trzymał świder żelazny, a drugi wbijał go ośmioletowym młotem; przypominało to trochę przybijanie gwoździ, tylko na dużą skałę. Po mniej więcej dwóch godzinach dłuto sięgało głębokości dwóch lub trzech stóp wierząc otwór o średnicy dwu cali. Zakładaliśmy ładunek prochu wraz z lontem długości pół jarda, zatykaliśmy otwór piaskiem i żwirem, zapalali lont i zbiegali ze zbocza. Gdy wybuch wyrzucił w powietrze kamienie i pył, znajdowaliśmy mniej więcej korzec odłamków twardego, opornego kwarcu. Tylko korzec. Jeden tydzień takiej pracy w zupełności mi wystarczył. Zrezygnowałem. Claggett i Oliphant poszli za moim przykładem. Nasz komin miał zaledwie dwanaście stóp głębokości. Zrozumieliśmy, że tylko budowa tunelu ma sens.

Zeszliśmy więc ze zbocza i przez tydzień mozoliliśmy się u podnóża góry. Wyżłobiliśmy w tym czasie tunel tak głęboki, że zmieściłby się w nim niewielki chlew, i w końcu doszliśmy do wniosku, iż po przekopaniu dalszych dziewięciuset stóp dotrzemy może do żyły. Znowu zrezygnowałem, a chłopcy upierali się przy tunelu zaledwie jeden dzień dłużej. Zrozumieliśmy, że budowa tunelu nie ma sensu. Sens ma tylko znalezienie żyły odkrytej. Ale takiej nie było w okolicy.

Pozostawiliśmy chwilowo „Monarchę” jego własnemu losowi. Tymczasem ludzie coraz liczniej napływali do obozu i z każdym dniem wzrastało podniecenie wywołane wciąż nowymi odkryciami w okręgu Humboldt. Padliśmy ofiarą tej epidemii i wyteżaliśmy wszystkie siły zdobywając coraz więcej i więcej „stóp”. Przeszukiwaliśmy zbocza gór, wywieszaliśmy zawiadomienia i nadawaliśmy nowym kopalniom górnotne nazwy. Wymienialiśmy część naszych stóp na stopy w kopalniach innych poszukiwaczy. W niedługim czasie staliśmy się właścicielami poważnych udziałów w „Szarym Orle”, „Kolumbianie”, „Mennicy”, „Marii Jane”; „Uniwersie”, „Na Śmierć i Życie”, „Samsonie i Dalili”, „Skarbonce”, „Golcondzie”, „Sułtanie”, „Bumerangu”, „Wielkiej Republice”, w „Wielkim Mogule” i pięćdziesięciu innych kopalniach, których nie ruszyła nigdy łopata ani nie uderzył kilof. Posiadaliśmy po trzydzieści tysięcy stóp każdy w najbogatszym okręgu górniczym świata – aby użyć wyrażenia szaleńców – i mieliśmy długi u rzeźnika. Żyliśmy w obłądnym podnieceniu, byliśmy pijani szczęściem, uginaliśmy się pod ciężarem przyszłych niezmiernych bogactw, odczuwaliśmy pełną pogardę litość dla biedujących milionerów – ale sklepik spożywczy odmawiał nam kredytu.

Trudno sobie wyobrazić dziwniejszą sytuację w życiu człowieka. Była to biesiada nędzarzy. W całym okręgu nic się nie działo – nie było kopalń ani hut, nie było produkcji ani

dochodu i w obozie nie znalazłoby się dość pieniędzy, żeby kupić narożną działkę w miasteczku na wschodzie kraju. A mimo to obcy przybysz byłby przekonany, że wszedł między puszcących się swym bogactwem milionerów. Wczesnym świtem wypelzały z miasta we wszystkich kierunkach grupy poszukiwaczy i wracały o zmroku niosąc łup – kamienie. Nic, tylko kamienie. Wszyscy mieli kieszenie pełne kamieni; podłoga każdego szałasów była wyłożona kamieniami; kamienie, posegregowane i oznaczone, leżały rzędami na półkach.

XXX. WYLEW RZEKI CARSON

Na każdym kroku spotykałem ludzi, którzy posiadali od tysiąca do trzydziestu tysięcy stóp w nie urządzonych kopalniach srebra; wierzyli najświęciej, że każda z tych stóp osiągnie niebawem cenę od pięćdziesięciu do tysiąca dolarów. Mimo to większość tych ludzi nie posiadała w majątku nawet dwudziestu dolarów. Każdy spotkany kopacz chętnie się swoją nową kopalnią i trzymał w pogotowiu próbki; przy pierwszej sposobności ciągnął cię do kąta i proponował sprzedaż – ze względu na ciebie, nie na niego – kilku stóp w „Złotym Wieku” czy „Sarze Jane”, czy na innej nikomu nie znanej odkrywce, za cenę, jak się to mówi, przyzwoitego obiadu. Tylko żebyś nie puścił pary z ust, że się zgodził na tak niską cenę, bo gotów jest ponieść tę ofiarę z czystej przyjaźni dla ciebie. Następnie wyciągał z kieszeni odłamek skały i rozejrzawszy się ukradkiem dookoła, jakby w obawie, że zostanie uprowadzony i zamordowany, jeżeli ktoś podpatrzy ten jego bezcenny skarb, ślinił kamień językiem, przytykał do niego lupę i wołał:

– Spójrz! O tu, w samym środku tego czerwonego osadu! Widzisz! Widzisz te kawałki złota? I pasmo srebra? To jest z „Wujka Abe”. Na samym wierzchu leżą setki tysięcy ton takiej rudy! A jak zaczniemy kopać i dojdziemy do samej żyły, będziemy mieli najbogatszą kopalnię na świecie! Przeczytaj wynik próby. Nie chcę, żebyś mi wierzył na gębę, przeczytaj poświadczenie próby!

W tym momencie wyciągał zatłuszczoną ćwiartkę papieru z urzędowym stwierdzeniem, że badany odłamek skały wykazuje zawartość złota i srebra w stosunku tyłu to a tyłu setek czy tysięcy dolarów z tony. Skąd ja mogłem wtedy wiedzieć, że panował wśród kopaczy zwyczaj oddawania do próby mozolnie wyszukanego najbogatszego fragmentu skały! Bardzo często fragment ten, wielkości orzecha laskowego, był jedynym w całej tonie odłamkiem zawierającym metal; a jednak z poświadczenia próby wynikało, że jest to przeciętna wartość tony śmiecia, z którego pochodził!

Nic dziwnego, że przy takim systemie probierczym okręg Humboldt oszalał. Opierając się na tego rodzaju probierzach korespondenci prasowi bredzili o skałach dających cztery czy siedem tysięcy dolarów z tony!

Czytelnik zapewne pamięta zamieszczoną nieco wyżej kalkulację korespondenta z okręgu Humboldt, według której ruda miała być przewożona do Anglii i kruszec z niej wytapiany, przy czym srebro i złoto kopacze otrzymywaliby z powrotem jako czysty dochód, miedź zaś, antymon i inne metale pokrywałyby całkowity koszt eksploatacji? Wszyscy mieli głowy nabite tego rodzaju kalkulacjami, a raczej tym obłąkańczym szaleństwem. Niewielu ludzi brało w kalkulacjach pod uwagę pracę czy też konieczne nakłady pieniężne – oprócz może cudzej pracy i cudzych wydatków.

Nie wróciliśmy już nigdy do wiercenia komina ani do kopania tunelu. Dlaczego? Po prostu zdawało nam się, że odkryliśmy prawdziwy sekret zdobycia fortuny; polegał on na tym, żeby nie wydobywać srebra samemu w pocie czoła i trudzie rąk, tylko sprzedawać pokłady tępych niewolnikom pracy. Niech się sami męczą!

Zanim opuściłem Carson, nabyliśmy wraz z sekretarzem pewną ilość stóp od rozmaitych włóczęgów przybywających z Esmeraldy. Spodziewaliśmy się rychłych dochodów w postaci sztab złota, ale zamiast tego gnębiły nas bezustanne wezwania do wnoszenia opłat za rozbudowę rzeczonych kopalni. Te wezwania stały się tak natrętne i uciążliwe, że należało osobiście wejrzeć w sprawę. Dlatego postanowiłem odbyć powrotną pielgrzymkę do Carson i stamtąd udać się do Esmeraldy. Kupiłem konia i wyruszyłem w drogę, w towarzystwie stare-

go Ballou i pewnego Niemca nazwiskiem Ollendorf, ale bynajmniej nie tego jegomościa, który sprowadził na świat tyle cierpień swoimi wstrętnymi podręcznikami nauki języków obcych, gdzie w nieskończoność powtarzają się pytania, jakich ludzie nigdy sobie nie zadają i zadawać nie mogą w normalnych rozmowach. Jechaliśmy parę dni pośród zamieci śnieżnej i w końcu dotarliśmy do „Honey Lake Smith”, samotnej gospody nad rzeką Carson. Był to dwupiętrowy dom z bali drzewnych stojący na małym pagórku pośród rozległej niziny czy pustyni, przez którą nędzna rzeczulka Carson toczy swe melancholijne wody. Niedaleko gospody stały wybudowane z suszonej na słońcu cegły stajnie poczty kontynentalnej. W promieniu kilku mil nie było żadnego innego budynku. Tuż przed zachodem słońca zajęchało około dwudziestu wozów z sianem i zatrzymało się na noc w pobliżu gospody, a woźnice przyszli na kolację – wszystko mocno nieokrzesała kompania. Było ponadto dwóch woźniców poczty i sześciu czy ośmiu włóczęgów i łazików.

Po kolacji poszliśmy się przejść i zawędrowaliśmy do niewielkiego obozu indiańskiego w pobliżu gospody. Z niewiadomej przyczyny Indianie zwijali obóz i w gorączkowym pośpiechu szykowali się do drogi. Powiedzieli nam: „zaraz idzie góra wody” i z pomocą gestów wyjaśnili, że ich zdaniem nadchodzi powódź. Pogoda była piękna, a do pory deszczowej daleko. Głębokość wody w nędznej rzeczulce nie przekraczała stopy czy najwyżej dwóch; koryto nie było szersze niż boczna uliczka w małym miasteczku, a brzegi z trudem zasłoniłyby człowieka. Gdzie więc tu mówić o powodzi? Zastanawialiśmy się przez chwilę nad tą sprawą; potem doszliśmy do wniosku, że jest to ze strony Indian podstęp i że mają zapewne ważniejsze powody do pośpiechu niż obawa powodzi.

O siódmej poszliśmy spać w pokoju na piętrze; położyliśmy się jak zwykle w ubraniu i wszyscy trzej na jednym łóżku, bo chociaż wykorzystano każdy skrawek podłogi i każde krzesło, zaledwie starczyło miejsca dla gości gospody. W godzinę później obudził nas głośny huk; wyskoczywszy z łóżka znaleźliśmy zrećznie drogę pośród gęstego szeregu chrapiących na podłodze woźniców i wyjrzelśmy przez okno. W blasku księżyca przedstawił nam się niezwykle widok. Koryto nędznej rzeczulki wypełniło się po brzegi, a rozszalałe wody pieściły się i huczały unosząc na powierzchni chaos pni drzewnych, krzaków i różnego śmiecia. Zagłębienie, w którym normalnie płynęła rzeka, szybko się wypełniało i w kilku miejscach woda przelewała się już poprzez brzegi. Mężczyźni biegli tu i tam podprowadzając wozy i konie blisko domu, bo wzniesienie, na którym stała gospoda, miało najwyżej trzydzieści stóp szerokości i sto stóp długości. Tuż nad brzegiem starego koryta rzeki, o którym dopiero co wspominałem, stała niewielka stajnia z bali drzewnych, w której zostawiliśmy nasze konie. Przybór wody w tym miejscu tak był szybki, że już po kilku minutach rwący potok toczył swe spienione nurty tuż obok małej stajni, zagarniając skrawek ziemi, na którym stała. Zrozumeliśmy, że powódź nie jest bynajmniej ciekawym wakacyjnym widowiskiem, lecz że niesie zniszczenie – i to nie tylko małej stajni, ale także zabudowaniom poczty stojącym niedaleko głównego koryta. Fale przelały się już przez brzeg i pełznąc po ziemi zagarniały murowany budynek i wdzierały się na rozległy *corral*, gdzie złożone było siano. Zbiegliśmy na dół i przyłączyli się do tłumu podnieconych mężczyzn i przestraszonych zwierząt. Brodząc po kolana w wodzie dotarliśmy do stajni, odwiązaliśmy konie, ale gdyśmy wracali, woda sięgała nam już po pas – tak szybki był przybór. Potem tłum rzucił się na *corral*; mężczyźni przewracali pośpiesznie wielkie stogi zwijanego w bele siana i przeciągali je na suchy grunt koło domu. W pewnej chwili zauważono brak Owensa, woźnicy pocztowego, i któryś z mężczyzn pobiegł do dużej stajni brodząc po kostki w wodzie, znalazł Owensa śpiącego w łóżku, obudził go i wrócił do nas. Ale Owens był rozespany i natychmiast zapadł w drzemkę; nie na długo jednak, bo gdy po kilku minutach obrócił się na łóżku, ręka zsunęła mu się i zanurzyła w zimnej wodzie, która dosięgała już siennika! Owens wyszedł brnąc w wodzie prawie po piersi, a w następnej sekundzie suszone na słońcu cegły rozpuściły się jak cukier, wielka stajnia zapadła się i w mgnieniu oka spienione fale uniosły rumowisko.

O godzinie jedenastej tylko dach małej stajni był jeszcze widoczny, a nasza gospoda wznosiła się niczym wyspa na środku oceanu. Jak daleko sięgał wzrok, widać było w blasku księżyca płaskie rozlewisko lśniącej wody, pod którą znikła preria. Indianie okazali się dobrymi prorokami, ale skąd czerpali swoje informacje? Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie.

Przez osiem dni i osiem nocy byliśmy zamknięci jak w kojcu z tą dziwną zgrają. Przekleństwa, pijaństwo i karty były na porządku dziennym, a niekiedy urozmaicała je bójka. Brud i robactwo... ale postarajmy się o nich zapomnieć; nie sposób – wprost niepodobna sobie wyobrazić tej mnogości.

Dwaj mężczyźni w tym zbiorowisku... lecz ten rozdział i tak jest za długi.

XXXI. CHODZIMY PO WŁASNYCH ŚLADACH

Dwaj mężczyźni w tym zbiorowisku szczególnie mnie irytowali. Pierwszym był niskiego wzrostu Szwed, mniej więcej dwudziestopięcioletni; znał tylko jedną jedyną piosenkę, którą bezustannie śpiewał. W ciągu dnia tłoczyliśmy się wszyscy w małym i dusznym pokoju barowym, nie było więc ucieczki przed popisami wokalnymi tego człowieka. Pośród przekleństw, pijackiej wrzawy i kłótni snuła się nic tej monotonnej pieśni – tony wciąż te same, niezmiennie w swej nużącej jednostajności, aż w końcu zdawało mi się, że śmierć byłaby lepsza od tej tortury. Drugim był atletyczny brutal o przydomku Arkansas, który nosił dwa pistolety za pasem i nóż myśliwski w cholewie buta; od rana do nocy chodził pijany i aż się rwał do bójk, budził jednak w ludziach taki strach, że nikt nie chciał mu usłużyć. Arkansas uciekał się do najrozmaitszych chytrych sztuczek i forteli, żeby wydusić z partnera obraźliwą uwagę i od czasu do czasu wyraz szczęścia rozjaśniał mu twarz, bo już mu się zdawało, że jest na najlepszej drodze do bójk; ale ofiara wymykała mu się mimo wszelkich z jego strony starań i wtedy jego rozczarowanie było tak bolesne, że niemal budziło litość. Johnson, nasz gospodarz, był łagodnym, poczciwym człowiekiem; Arkansas uczeplił się go z nadzieją w sercu i przez jakiś czas ani w dzień, ani w nocy nie dawał mu spokoju. Czwartego dnia rano upił się i usiadł w barze czyhając na okazję. Niebawem wszedł Johnson, w dobrym humorze po niewielkiej miarce whisky, i powiedział:

– Ja tam uważam, że wybory w Pensylwanii...

Arkansas podniósł ostrzegawczo palec i Johnson umilkł. Arkansas dźwignął się niepewnie na nogi i przysunął do Johnsona. Spytał:

– Co ty wiesz o Pensylwanii? Gadaj! Co wiesz o Pensylwanii?

– Chciałem tylko powiedzieć...

– Chciałeś tylko powiedzieć. A jakże! Chciałeś tylko powiedzieć... co chciałeś tylko powiedzieć? O co ci chodzi? Chciałbym usłyszeć. Chciałbym usłyszeć, cco ty... ep... co ty wiesz takiego o Pensylwanii, że mi tu w bezczelny sposób mielesz ozorem. No, gadaj!

– Panie Arkansas, jakby mi pan tylko pozwolił...

– A kto ci broni? Tylko mi nie próbuj urągać! Tego ci nie radzę! Pęta mi się tu, straszy ludzi, przeklina i ciska się jak obłąkaniec! Jak szukasz burdy, będziesz ją miał! Trafiła kosa na kamień! No, dalej!

Johnson zaczął się cofać do kąta, Arkansas szedł za nim groźny.

– Panie Arkansas, przecież ja nic nie mówiłem. Pan to nie dopuści człowieka do słowa. Chciałem tylko powiedzieć, że w Pensylwanii będą w przyszłym tygodniu wybory... tylko to... tylko tyle chciałem powiedzieć... niech padnę i skonam, jak to nieprawda.

– To dlaczegoś tego nie powiedział? Dlaczegoś tu wlaź z nadętą gębą i szukał awantury?

– Panie Arkansas, przecież ja nie szukałem awantury! Ja tylko...

– Znaczy się, że ja jestem łgarz, co? Na kości wielkiego...

– Panie Arkansas, proszę pana, ja tak wcale nie myślałem... niech padnę trupem, jak myślałem. Wszyscy chłopcy przyświadczą, że zawsze dobrze o panu mówię i szanuję pana jak nikogo w całym domu. Pan spyta Smitha. Nie jest tak, Smith? Nie mówiłem wczoraj wieczór, że jakby kto szukał człowieka, co jest, jak to się mówi, w każdym calu džentelmen, ja mu zaraz pokażę Arkansasa? Każdy z panów tu na sali powie, że słowo w słowo tak się wyraziłem. Napijmy się, panie Arkansas, podajmy sobie ręce i napijmy się. Chodźcie, chłopcy, wszyscy! Ja stawiam! Chodźcie, Bili, Tom, Scotty, napijcie się ze mną i z Arkansasem, z kochanym starym Arkansasem. Wspaniały chłop z tego Arkansasa! Daj mi jeszcze rękę! Hej,

wy, spójrzcie na niego, radzę wam, żebyście na niego spojrzeli! Powiadam wam, że to najbielszy z białych ludzi w Ameryce. I mój przyjaciel. Podaj mi jeszcze raz grabę, chłopie.

Uściskali się z pijacką serdecznością ze strony gospodarza i obojętną tolerancją ze strony Arkansasa, który dał się co prawda przekupić alkoholem, cierpiał jednak, że ofiara znowu wymknęła mu się z rąk. Gospodarz, uszczęśliwiony, że wymigał się od jatki, zachował się głupio i zamiast wyjść z pokoju i uniknąć niebezpieczeństwa, w najlepsze dalej rozprawiał. Skutek był taki, że niebawem Arkansas zaczął wpatrywać się w niego groźnie, a po chwili powiedział:

- Gospodarzu, ppowtórz, no, pproszę, coś przed chwilą mówił.
- Mówiłem do Scotty’ego, że mój ojciec miał osiemdziesiąt parę lat, jak umarł.
- Tylko to mówiłeś?
- A jakże... tylko to.
- Na pewnoś nic więcej nie powiedział?
- Nic więcej.

Zapadła nieprzyjemna cisza.

Arkansas obracał szklanekę w rękę, cały czas opierając się łokciami o kontuar i lekko się kołysząc. Potem w zamyśleniu podrapał się prawym butem w lewą łydkę. Nieprzyjemna cisza dalej trwała. Po chwili odszedł od kontuaru i z miną niezadowoloną zbliżył się do pieca, brutalnie zepchnął łokciami siedzących tam mężczyzn, zajął ich wygodne miejsca, kopnął śpiącego psa z taką siłą, że zwierzę skomląc schowało się pod ławkę, wreszcie wyciągnął długie nogi i oparł się plecami o piec. Po chwili zaczął jednak mamrotać coś pod nosem, wstał, wrócił do kontuaru i powiedział:

– Gospodarzu, niby co miało znaczyć to zadzieranie nosa i chwalenie się własnym ojcem? Może nasze towarzystwo ci nie odpowiada? Bokiem ci wychodzi, co? Jak ci się nasze towarzystwo nie podoba, to chyba sobie pójdziemy. O to ci chodziło, co? Powiedz, o to ci chodziło?

– Co też pan, panie Arkansas! Ani mi to było w głowie! Mówiłem tylko, że mój ojciec i matka...

– Gospodarzu, nie mydl człowiekowi oczu! Bo to ci nie wyjdzie na zdrowie. Jak cię giez ugryzł i koniecznie chcesz awantury, wal prosto z mostu, jak mężczyzna, ale nie wywlekaj starych truposzów i nie psuj krwi ludziom, co chcieliby tylko spokoju i zgody. Co się z tobą dzisiaj dzieje? Jak długo żyję, nie widziałem, żeby się kto tak ciskał!

– Panie Arkansas, ja naprawdę nie chciałem nic złego i jak się pan gniewa, to zaraz sobie stąd pójdę. Te trunki uderzyły mi chyba do głowy, a jeszcze na dodatek powódź i tyle gęb do żywienia...

– A, to cię boli, co? Chcesz, żebyśmy się wynieśli? Za dużo nas tutaj. Chcesz, żebyśmy się zabrali i spłynęli. Mam rację? No, gadaj!

– Człowieku, bądźże rozsądny! Wiesz przecie, że ja nie należę do takich, co...

– Grozisz mi, tak? Grozisz? Na Boga, marne widoki dla tego, kto mi chce napędzić stracha! Nie radzę ci próbować takich sztuczek, ty ciemiego. Cierpliwy jestem, ale tego nie zniosę. Wyłaż z za baru, najwyższy czas, żebym cię trochę podziurawił! Przyszła ci ochota nas wyrzucać, ty parszywy kundlu! No, wyłaż z za tego baru. Już ja cię nauczę, co to jest zadzierać nosa i napastować ludzi i czepiać się dżentelmena, który cały czas traktuje cię przyjaźnie i stara się uniknąć burdy.

– Na Boga, Arkansas... na Boga, nie strzelaj! Jeżeli dojdzie do rozlewu krwi...

– Słyszeliście, panowie? Słyszeliście, jak mówi o rozlewie krwi? Krwi ci się zachciało, ty zbrodniarzu, bandyto? Postanowiłeś ukatrupić kogoś dzisiejszego ranka, od początku to wiedziałem. Na mnie ostrzysz zęby, co? Mnie chcesz zamordować? Ale nie myśl, że ja się nie będę bronił, ty zdradziecki, tchórzliwy zbóju! Wyciągaj pistolet!

Z tymi słowy Arkansas zaczął strzelać, a gospodarz – wdrapywać się na ławki, ludzi i roz-

maite inne przeszkody w obłędnej próbie ucieczki. Wśród tego dzikiego zamieszania i wrzawy gospodarz grzmotnął ciałem w szklane drzwi, a gdy Arkansas ładował pistolet, żeby strzelić za uciekającym, żona gospodarza zjawiła się nagle w drzwiach z nożyczkami w ręce. Była wspaniała w swojej furii. Z głową podniesioną i oczyma miotającymi ogień stała chwilę nieruchomo, wyciągnąwszy broń, a potem zaczęła się zbliżać do Arkansasa. Oniemiały łotrzyk zawahał się, zrobił krok do tyłu. Gospodyni szła, a on ustępował krok za krokiem. Gdy znaleźli się na samym środku izby i otoczył ich kołem tłum zdumionych mężczyzn, gospodyni rozpuściła język i tak mu nagadała do słuchu, że chyba nigdy żaden przestraszony i zawstydzony łotrzyk nie słyszał tylu słów gorzkiej prawdy. Gdy skończyła i zwycięska wycofywała się z placu boju, dom aż się zatrząsł od wiewatów i obecni wołali jeden przez drugiego, że „stawiają wszystkim”.

Nauczka była skuteczna. Skończyły się rządy terroru i przewaga Arkansasa została raz na zawsze złamana. Do końca przymusowej niewoli na wyspie tylko jeden człowiek trzymał się wciąż na uboczu i pokornie stronił od wszelkich kłótni, i nie wypowiedział ani jednego zaczepnego słowa, a nawet przyjmował w milczeniu obelgi, którymi obrzucał go płaszczący się kiedyś tłum mężczyzn. Człowiekiem tym był Arkansas.

Piątego dnia wody opadły, ale wezbrany i rwący nurt wypełniał wciąż stare łożysko rzeki uniemożliwiając przeprawę. Ósmego dnia przeprawa nadal była niebezpieczna, jednakże brud, pijaństwo i ustawiczne bójkę tak nam dojadły, że podjęliśmy próbę wydostania się z przymusowej niewoli. Wśród gwałtownej zawiei śnieżnej załadowaliśmy do łodzi nasze siodła i wsiedliśmy sami, konie zaś holowaliśmy za łodzią. Ollendorf wiosłował na dziobie, Ballou w środku, ja zaś siadłem na rufie i trzymałem uzdy. Gdy konie straciły grunt i zaczęły płynąć, Ollendorf wpadł w panikę, było bowiem bardzo prawdopodobne, że konie utrudnią nam ładowanie, nie ulegało zaś wątpliwości, że jeśli nie wylądujemy w z góry upatrzonym punkcie, prąd porwie nas i rzuci w główny nurt Carson, która toczyła teraz dziko swe wzburzone wody. Najprawdopodobniej skończyłoby się to dla nas śmiercią, bo prąd albo by nas uniósł na bezkresne wody jeziora Carson, albo przewrócił łódź i pociągnął nas na dno. Ostrzegaliśmy Ollendorfa, żeby zachował spokój i zimną krew przy ładowaniu, ale daremnie: zaledwie dziób dotknął brzegu, Ollendorf wyskoczył, a łódź przewróciła się na głębokości dziesięciu stóp. Ollendorf uczepił się zwisającej gałęzi i wydostał na brzeg, ale my z Ballou musieliśmy płynąć, przy czym palta krępowwały nam ruchy. Nie puściliśmy jednak łodzi i chociaż woda zniosła nas niemal do Carson, zdołaliśmy pchnąć łódź na brzeg i bezpiecznie wylądować. Ociekaliśmy wodą, dygotali z zimna, ale niebezpieczeństwo minęło. Konie też wylądowały, ale nasze siodła poszły naturalnie na dno. Uwiązaliśmy zwierzęta w krzewach bylicy, gdzie spędziły następną dobę. Wyleliśmy wodę z łodzi, przepawili się na drugi brzeg i wrócili z obrokiem i derkami dla koni, sami jednak spędziliśmy tę noc w gospodzie.

Gdy nazajutrz przeprawialiśmy się z nowymi siodłami i ekwipunkiem, szalała wciąż zawieja. Dosiedliśmy koni i ruszyli z miejsca. Droga zniknęła pod grubą warstwą śniegu, gwałtowna zaś zawieja ograniczyła widoczność do najwyżej stu jardów; gdyby nie to, kierowalibyśmy się po widocznych z oddali górach. Sytuacja nie była najweselsza, ale Ollendorf powiedział, że jego instynkt kierunku jest tak wrażliwy jak najczulszy kompas i że potrafi nas poprowadzić do Carson „prosto jaki strzelił” i ani razu nie zboczyć z drogi. Dodał, że jeśli się odchyli jeden jedyny stopień od prawidłowej linii, jego instynkt zaraz da mu znać jak czyniące wymówki sumienie. Wobec tego jechaliśmy za nim, zadowoleni i szczęśliwi. Po pół godzinie dość nużącej drogi natrafiliśmy na świeże ślady w śniegu i Ollendorf zawołał z dumą:

– Mówiłem wam, że mam kompas w głowie! Te ślady wyprowadzą nas na drogę. Pośpieszmy się, zawsze lepiej jechać w kompanii.

Zachęciliśmy przeto konie do tak szybkiego kłusa, na jaki pozwalał głęboki śnieg, i niebawem stało się widoczne, że odległość między nami a tamtą grupą jeźdźców zmalała, gdyż ślady stały się wyraźniejsze. Przyśpieszyliśmy więc kroku, a po godzinie ślady stały się jesz-

cze wyraźniejsze i świeższe. Co jednak zdumiewało – to, że ilość jeźdźców przed nami zdawała się bezustannie powiększać. Dziwiliśmy się, że o takiej porze i na takim odludziu napotkaliśmy tak liczną grupę podróżnych. Ktoś podsunął myśl, że są to żołnierze z fortu; to nam trafiło do przekonania, przyśpieszyliśmy więc kroku, bo jeźdźcy nie mogli znajdować się daleko. Ale śladów wciąż przybywało i pomyśleliśmy, że pluton żołnierzy urósł w jakiś cudowny sposób do pułku – Ballou powiedział, że jest ich teraz około pięciuset! W pewnej chwili zatrzymał konia i zawołał:

– Chłopcy, to są nasze własne ślady. Od dobrych dwóch godzin kręcimy się w kółko po tej przeklętej pustyni! Na Boga, to jest naprawdę hydrauliczne!

Starzec wpadł w gniew i zaczął miotać obelgi. Obrzucał Ollendorfa najrozmaitszymi wyzwiskami – powiedział, że w życiu nie zdarzyło mu się spotkać takiego akwamarynowanego głupca, i na zakończenie wygłosił szczególnie zjadliwą opinię, że „Ollendorf nie ma nawet pojęcia o logarytmie”!

Jedno było pewne: jeździliśmy w kółko po własnych śladach. Ollendorf wraz ze swym „kompasem w głowie” znalazł się w niełasce. Po długotrwałym i uciążliwym przedzieraniu się przez śnieżycę znaleźliśmy się znów nad brzegiem rzeki, w miejscu, skąd mogliśmy dostrzec w oddali niewyraźne kontury gospody. Gdyśmy się naradzali, co robić, młody Szwed wyskoczył z łodzi na ląd i puścił się pieszo do Carson, śpiewając wiecznie tę samą monotonną pieśń o siostrze i bracie oraz o dziecięciu, co spoczywało wraz z matką w ciemnym grobie; minął nas i po chwili zniknął w białej zadymce. Od tego momentu wszelki słuch o nim zaginął. Z pewnością zablądził i zmęczenie rzuciło go w objęcia snu, a sen wydał go podstępnie śmierci. Może szedł po naszych zdradliwych śladach, aż padł wyczerpany...

Niebawem dylizans poczty kontynentalnej przeprowił się brodem przez szybko opadające wody rzeki i ruszył w pierwszą od czasu powodzi podróż do Carson. Bez wahania puściliśmy się za dylizansem i jechaliśmy sobie wesoło, mając zaufanie do dobrej orientacji woźnicy. Ale nasze wierzchowce nie mogły dotrzymać kroku wypoczętym koniom z zaprzęgu pocztowego. Dylizans bardzo prędko zniknął nam z oczu; nie miało to jednak znaczenia, kierowaliśmy się bowiem koleinami wyłobionymi przez koła w głębokim śniegu. Była już trzecia po południu i niebawem zapadła noc – bez powolnego przejścia od dnia do zmierzchu, tylko nagle, jakby ktoś zatrzasnął drzwi od piwnicy. Zamieć ani trochę nie straciła na sile i widoczność ograniczała się teraz do piętnastu jardów, ale w białym odbłasku śniegu widzieliśmy wszędzie dookoła gładkie, jakby lukrowane pagórki przykrytych śniegiem krzewów bylicy i tuż przed nami płytkie rowki ustawicznie wypełniających się białym puchem i powoli znikających kolein.

Otóż te krzewy porastały całą równinę, były wysokie na trzy do czterech stóp i stały w odległości około siedmiu stóp jeden od drugiego, teraz zaś wyglądały wszystkie jak małe kopki śniegu. W którymkolwiek kierunku podróżny zwróciłby kroki (podobnie jak w starannie rozplanowanym sadzie), miałby wrażenie, że zdąża wyraźnie wytyczoną aleją obrzeżoną po obu stronach owymi kopkami – aleją szerokości zwykłego gościńca, i równą, o brzegach dzięki kopkom lekko podwyższonych, jak to zwykle brzegi dróg. Ale myśmy o tym nie pomyśleli. Nietrudno sobie wyobrazić zimny dreszcz, który nas przebiegł, gdy późną nocą przyszło nam nagle do głowy, że skoro ostatni niewyraźny ślad kolein dawno już zniknął pod warstwą świeżego śniegu, kto wie, czy nie wędrujemy teraz aleją między dwoma rzędami krzewów bylicy, w odległości wielu mil od drogi, wciąż i wciąż się od niej oddalając. Kawalek lodu wrzucony za koszulę budzi sensacje rozkoszne w porównaniu z tym uczuciem, jakie nas przenikało. Krew, od godziny uśpiona, odezwała się gwałtownym tętnem, a nasze ciała i umysły równie nagle odegnały senną ociężałość. W ciągu sekundy byliśmy rozbudzeni i przytomni – i trzęśliśmy się, i dygotali z przerażenia! Zatrzymaliśmy konie, zeskoczyli na ziemię i nisko pochyleni badaliśmy oczyma drogę. Oczywiście na próżno; bo jeśli nie mogliśmy dojrzeć lekkiego wgłębienia z wysokości czterech czy pięciu stóp, tym bardziej nie sposób je było zobaczyć przytykając niemal nos do śniegu.

XXXII. ODPLYWAMY W NICOŚĆ

Zdawało nam się, że jesteśmy na drodze, ale to nie był żaden dowód. Aby się przekonać, rozeszliśmy się w różne strony. Rozstawione w regularnych odstępach kopczyki śniegu i równe alejki między nimi budziły w każdym przekonanie, że to on znalazł właściwą drogę. Sytuacja była krytyczna. Zesztywnieliśmy z zimna, konie goniły ostatkiem sił. Postanowiliśmy rozpaść ognisko i przetrwać przy nim do rana. Była to rozsądna decyzja, bo jeżeli istotnie oddaliliśmy się od drogi i gdyby zawieja śnieżna nie ucichła do jutra, nasze położenie stałoby się wręcz beznadziejne.

Zgodziliśmy się wszyscy, że jedyny ratunek to ognisko, ale zapalki gdzieś się nam zapodziały, postanowiliśmy więc użyć do tego celu pistoletu. Nikt z nas nie rozpałał nigdy ognia przy pomocy pistoletu, ale też nikt z nas nie wątpił, że taka rzecz jest wykonalna i zupełnie łatwa – każdy czytał o tym wielokrotnie w książkach i w końcu uwierzył z ufnością naiwnością, podobnie jak w inne książkowe szalbierstwa o Indianach i zbłąkanych myśliwych rozpalających ogień przez pocieranie dwóch kawałków drewna.

Przyklękliśmy w głębokim śniegu i skupili się ciasno, konie zaś cierpliwie zwiesiły nad nami swe łby; przygotowaliśmy się do doniosłego eksperymentu, podczas gdy płatki syjące gęsto z nieba zamieniały nas w trzy białe posągi. Nałamaliśmy gałązek bylicy i ułożyli je w mały stos na wymiecionej ze śniegu przestrzeni, pod osłoną naszych ciał. Po dziesięciu czy piętnastu minutach wszystko było gotowe, a gdy umilkła rozmowa i w niespokojnym oczekiwaniu niemal ustało bicie naszych serc, Ollendorf przyłożył pistolet, nacisnął cyngiel – i rozwiął stos gałązek na cztery strony świata! Niepodobna sobie wyobrazić zupełniejszej klapy.

Był to cios, zbladł jednak w porównaniu z czymś nieporównanie straszniejszym – przepały gdzieś konie! Miałem ich pilnować, ale eksperyment z pistoletem tak mnie przejął, że bezwiednie puściłem uzdy, a zwierzęta odeszły i zniknęły w zadymce. Nie warto było puszczać się za nimi w pogoń, bo śnieg tłumił wszelkie odgłosy i nawet z odległości dwóch jardów nie sposób byłoby je zauważyć. Rezygnując więc z próby odzyskania wierzchowców przeklinaliśmy tylko kłamliwe książki, które wmawiają w czytelnika, że koń zawsze zostaje przy swoim panu, aby się nim opiekować i dotrzymywać mu towarzystwa w ciężkich i niebezpiecznych chwilach.

Przedtem byliśmy zdesperowani; teraz czuliśmy się jeszcze bardziej nieszczęśliwi. Cierpliwie, lecz z niewielką nadzieją, nałamaliśmy gałązek i ułożyliśmy je w stos, które Ollendorf powtórnie unicestwił strzałem. Tak, rozpalanie ogniska strzałem z pistoletu było sztuką wymagającą wprawy i doświadczenia, a jeśli ktoś chciał kształcić ów talent na pustyni, o północy i podczas zawiei śnieżnej, nie wybrał odpowiedniego miejsca. Poniechaliśmy więc tej metody i postanowiliśmy spróbować innej. Wzięliśmy każdy po dwa kawałki drewna i pocieraliśmy jeden o drugi. Po pół godzinie byliśmy zmarznięci na kość, a to samo dałoby się powiedzieć o kawałkach drewna. Złorzeczyliśmy teraz Indianom, myśliwym i książkom, które zwiodły nas w tak idiotyczny sposób, i zastanawialiśmy się posepnie, co robić. W tej krytycznej chwili pan Ballou wyłowił spośród śmieci w jednej z kieszeni cztery zapalki. Znalezienie czterech sztab złota byłoby niczym w porównaniu z tym odkryciem. Nie sposób sobie wyobrazić, jaką radość sprawia widok zapalki w takich okolicznościach – jak wydaje się cenna i urocza i jak niewypowiedzianie piękna. Tym razem zbieraliśmy patyki z nową nadzieją w sercu, a gdy pan Ballou przygotował się do zapalenia pierwszej zapalki, wpatrywaliśmy się w niego z zainteresowaniem, którego opis nie zmieściłby się na stu stronach. Płomyk palił się

chwilę i zgasł. Gdyby to zgasło życie ludzkie, żal nie mógłby być większy. Następna zapalka błysnęła i w tej samej sekundzie zgasła. Wiatr zdmuchnął trzecią, gdy już sukces wydawał się pewny. Kiedy pan Ballou pocierał o kolano naszą ostatnią nadzieję, skupiliśmy się jeszcze ciałniej i okazaliśmy troskliwość solenną i patetyczną. Zapaliła się, syknęła świecątkiem sinym i drżącym, wreszcie wybuchnęła mocnym płomieniem. Osłoniwszy go dłonią starzec schylał się powoli, a wraz z nim pochylały się wszystkie serca – i naturalnie ciała. Tętna i oddechy umilkły. Płomyk przeniósł się wreszcie na patyki, opanował je powoli, zawahał się, przypuścił mocniejszy szturm, znowu się zawahał, wstrzymał oddech na pięć dramatycznych sekund, westchnął jak człowiek i zgasł.

Przez kilką minut nie padło ani jedno słowo; była to cisza osobliwie uroczysta; nawet wiatr zamarł w posępnym, zdradzieckim milczeniu i robił nie więcej hałasu niż spadające płatki śniegu. W końcu podjęliśmy nabrzmiałą smutkiem rozmowę i niebawem okazało się, iż każdy z nas jest w głębi ducha przekonany, że spędzamy naszą ostatnią noc między żywymi. A tak się łudziłem, że tylko ja sam to odczuwam! Gdy tamci dwaj w spokojnych słowach wyrazili swoje myśli, zabrzmiało to jak wezwanie przed trybunał niebieski.

Ollendorf powiedział:

– Bracia, przygotujmy się wspólnie na śmierć. Wyrzucmy z serc wszelką złość, jaką czuliśmy wzajem do siebie. Przebaczymy sobie i zapomnijmy o wszystkim, co było. Wiem, że mieliście do mnie złość o przewrócenie łodzi i o to, że was wiecznie pouczałem i prowadziłem w kółko po śniegu... ale ja przecież chciałem dobrze. Przebaczenie mi. Wyznaję szczerze: miałem w sercu złość do pana Ballou, że mnie znieważył i nazwał akwamarynowanym głupcem, bo chociaż nie wiem, co znaczy to słowo, przypuszczam, że musi ono być w Ameryce ciężką i uwłaczającą obelgą... jątrzyło mi serce i ani na chwilę nie przestawałem o nim myśleć... ale teraz przebaczam panu Ballou i...

Biedny Ollendorf załamał się i łzy trysnęły mu z oczu. Nie był w tym jednak odosobniony, ja też płakałem, a pan Ballou rychło się do nas przyłączył. Gdy Ollendorf odzyskał głos, mnie z kolei przebaczył wszystkie złe słowa i uczynki. Potem trzymając w ręku swoją butelkę whisky oznajmił, że – czy będzie żył, czy też umrze – nigdy już nie weźmie do ust kropli alkoholu. Powiedział, że stracił wszelką nadzieję na życie, i choć tak źle przygotowany, gotów jest przyjąć z pokorą wyrok losu. Wolałby wszakże pożyć jeszcze trochę – nie z jakichś egoistycznych pobudek – lecz żeby naprawić od podstaw swój charakter i przez wspomaganie biednych, pielęgnowanie chorych i pouczanie ludzi o strasznych skutkach nieumiarkowania w picciu uczynić ze swego życia zbawienny przykład dla młodych i zakończyć je kiedyś z radosnym przekonaniem, iż nie zostało zmarnowane. W ostatnich słowach zaznaczył, że już teraz w obliczu śmierci rozpoczyna swą naprawę, jako że nie stanie mu czasu na poświęcenie się dla dobra ludzkości; po czym cisnął w śnieg butelkę whisky.

Pan Ballou wypowiedział uwagi tej samej mniej więcej treści i rozpoczął reformę, której nie miał nadziei prowadzić dalej za życia, od wyrzucenia w śnieg wiekowej talii kart, która umilała nam i pozwalała znieść naszą niewolę podczas powodzi. Starzec zaznaczył, że nigdy nie splamił się hazardem, jest jednak głęboko przekonany, że wszelka gra w karty jest niemożliwa i grzeszna, więc człowiek czysty i bez skazy powinien się nimi brzydzić. – Z tej przyczyny – dodał – spełniając ów akt czuję się bliższy tym duchowym saturnaliom, bez których nie można osiągnąć całkowitej archaicznej reformy. – Te pięknie brzmiące słowa wzruszyły go bardziej, niż mogłoby go wzruszyć najzrozumialsze krasomówstwo, zaszlochał. więc żałownie, acz nie bez pewnego ukontentowania.

Moja własna wypowiedź w treści i tonie przypominała tamte i wiem, że uczucia, które mną powodowały, były szczerze i prawdziwe. Wszyscy byliśmy szczerzy, wszyscy do głębi wzruszeni i uroczyście poważni, ponieważ znajdowaliśmy się w obliczu śmierci i straciliśmy wszelką nadzieję. Rzuciłem w śnieg fajkę i natychmiast poczułem, że oto uwalniam się od grzesznego nałogu, który jak tyran trzymał mnie w swych szponach. A jeszcze zanim skoń-

czyłem mówić, wstrząsnęła mną i wycisnęła mi łzy z oczu myśl o tym, jak wiele dobrego mogłem być zdziałać na świecie i o ile więcej dobra mógłbym czynić teraz, kierowany całym nowymi i wyższymi pobudkami – gdyby tylko dane mi było pożyć jeszcze kilka lat. Objęliśmy się wszyscy trzej za szyje i oczekiwaliśmy uczucia senności, które zwiastuje zbliżającą się śmierć przez zamarznięcie.

Niebawem zaczęło na nas spływać odrętwienie i wtedy pożegnaliśmy się po raz ostatni. Rozkoszne rozmarzenie utulało powoli moje tępiejące zmysły, a płatki śniegu okrywały ciało białym całunem. Zapadłem się w nicość. Walka o życie dobiegła kresu.

XXXIII. URATOWANI, LECZ POSEPNI

Nie wiem, jak długo trwałem w tym stanie nicości, ale zdawało mi się, że minęły wieki. Stopniowo odzyskiwałem świadomość, a potem przyszło wzmagające się uczucie bólu w kończynach i całym ciele. Wzdrygnąłem się. Przemknęła mi przez głowę myśl, że „oto jest śmierć, oto wkraczam w życie przyszłe”.

Potem zakotłowało się coś białego tuż obok i usłyszałem głos nabrzmiały goryczą:

– Czy któryś z dzentelmenów zechciałby mi dać solidnego kopniaka?

Był to Ballou – a przynajmniej był to rozczłonkowany bałwan śnieżny obdarzony głosem Ballou.

Podniosłem głowę i w szarym świetle brzasku zobaczyłem, w odległości najwyżej piętnastu kroków, drewniane budynki stacji pocztowej i stojące pod daszkiem nasze trzy osiodłane konie!

Teraz rozpadła się łukowato sklepiona zaspą śnieżna i wyłonił się z niej Ollendorf; siedzieliśmy wszyscy trzej i bez słowa wpatrywali się w budynki. Naprawdę nie mieliśmy nic do powiedzenia, jak ów profan, który „nie zna się na rzeczy”; sytuacja była tak żałośnie komiczna i upokarzająca, że słowa stały się bezsilne. Zresztą i tak nie wiedzieliśmy, od czego zacząć.

Radość z nagłego ocalenia była zatruta, niemal zupełnie unicestwiona. Już po chwili spośepnieliśmy i ogarnęło nas uczucie irytacji; wreszcie wściekli jeden na drugiego, wściekli na siebie samych i w ogóle na cały świat otrzepaliśmy się ze śniegu i ponurzy, w nastroju wzajemnej wrogości, pokuśtykaliśmy do koni, rozsiedłali je i weszli pod dach stacji.

Nie wyolbrzymiłem prawie żadnego szczegółu tej dziwacznej i absurdalnej przygody. Zdarzyła się niemal dokładnie tak, jak ją opisałem. Zagubieni i zdesperowani spędziliśmy noc na pustyni, podczas szalejącej zawiei śnieżnej – w odległości piętnastu kroków od wygodnej gospody.

Przez dwie godziny siedzieliśmy każdy w innym kącie i pełni niesmaku do siebie snuliśmy posepne rozmyślenia. Tajemnica wyjaśniła się i widzieliśmy już, dlaczego konie nas opuściły. Było jasne jak słońce, że w ćwierć minuty po odejściu stały pod dachem i zapewne świetnie się bawiły słysząc nasze wyznania i lamenty.

Po śniadaniu poczuliśmy się trochę lepiej i wróciła nam chęć do życia. Świat znów wydał się piękny, a nasza obecność na nim jak dawniej napawała nas radością. Ale nagle ogarnął mnie niepokój... wzmagał się coraz dokuczliwszy... nie dawał mi chwili wytchnienia. Niestety, moje odrodzenie nie było zupełne – marzyłem o fajce! Broniłem się z całą siłą, ale ciało było słabe. Przez godzinę przechadzałem się samotnie, tocząc w duchu ciężkie boje. Przypominałem sobie wszystkie złożone obietnice poprawy i wygłaszałem do siebie samego żarliwe, pełne wyrzutów kazania. Ale wszystko na próżno i niebawem już przemykałem się ukradkiem między zaspami śnieżnymi szukając fajki. Poszukiwania trwały długo, ale w końcu znalazłem swój skarb i umknąłem cichaczem, żeby się ukryć i nacieszyć nim w skrytości. Stałem długo za stodołą zadając sobie w duchu pytanie, jak bym się też czuł, gdyby moi dzielniejsi, silniejsi, wierniejsi towarzysze przyłapali mnie na tej podłości. W końcu zapaliłem fajkę i chyba nigdy żaden człowiek nie czuł do siebie większego wstępu i obrzydzenia, niż ja wtedy czułem. Wstydzilem się wprost przebywać w swoim nikczemnym towarzystwie. Nadal lękając się wykrycia pomyślałem, że może z drugiej strony stodoły znajdę większe bezpieczeństwo, poszedłem więc za węgiel, a w tej samej sekundzie Ollendorf z butelką przy ustach obchodził węgiel z przeciwnej strony, w środku zaś między nami siedział na ziemi nieświadomy niczego Ballou, ze starą talią kart w rękę, pochłonięty stawianiem pasjansa.

Nie można było posuwać dalej tej bzdury. Podaliśmy sobie ręce i przyrzekli, że nie wspomnimy już ani słowem o poprawie i przykładzie dla przyszłych pokoleń.

Stacja, do której dotarliśmy, stała na skraju Pustyni Dwudziestej Szóstej Mili. Gdybyśmy ubiegłej nocy zbliżyli się do niej o pół godziny wcześniej, usłyszeliśmybyśmy nawoływania i strzały z pistoletów; oczekiwano tu bowiem pastuchów ze stadami owiec, a nie ulegało dla nikogo wątpliwości, że jeśli nie usłyszą sygnałów, zblądzą nieuchronnie i nie będzie dla nich ratunku. Podczas naszego pobytu w gospodzie zjawili się śmiertelnie znużeni trzej spośród gromadki pastuchów, ale po dwóch pozostałych wszelki słuch zginął.

Dotarłszy bezpiecznie do Carson postanowiliśmy odpocząć. Ów odpoczynek oraz konieczność poczynienia przygotowań przed wyprawą do Esmeraldy zatrzymały nas w mieście tydzień, dzięki czemu mogliśmy być obecni na wielkim procesie o obsunięcie się ziemi, który Hyde wytoczył Morganowi; jest to sprawa do dziś głośna w Nowadzie. Po kilku wstępnych wyjaśnieniach opiszę przebieg tej niezwyklej sprawy.

XXXIV. SŁYNNY PROCES O OBSUNIĘCIE SIĘ ZIEMI

Góry wznoszące się nad dolinami Carson, Eagle i Washoe są bardzo strome i bardzo wysokie, gdy więc wiosną śniegi zaczynają topnieć i rozgrzana warstwa zewnętrzna gleby wilgotnieje i mięknie, nadchodzi okres katastrofalnego obsuwania się ziemi. Czytelnik nie zrozumie, czym jest obsunięcie się ziemi, dopóki nie zamieszka w Newadzie i nie zobaczy któregoś pięknego poranka, jak zbocze górskie obsuwa się aż na dno doliny pozostawiając na stoku ogromną, bezdrzewną, ohydłą bliznę, która będzie mu przypominała o tym zdarzeniu przez wszystkie lata, jakie jeszcze przeżyje w promieniu siedemdziesięciu mil od tego miejsca.

Generał Buncombe został nadany, aby tak rzec, z Waszyngtonu do Newady w sporej przesyłce terytorialnych urzędników, na stanowisko Prokuratora Stanów Zjednoczonych. Uważał się za utalentowanego prawnika i marzył o sposobności zademonstrowania swych talentów – częściowo ze względów ambicjonalnych, częściowo zaś z uwagi na terytorialną niskość (co jest mocnym wyrażeniem) swej pensji. Trzeba zaznaczyć, że zasiedzieli obywatele nowego terytorium spoglądają na resztę ludzkości z pełnym spokojem, dobrotliwym współczuciem – dopóki reszta ludzkości nie wejdzie im w parady; jeżeli zaś wejdzie, dają jej ostrą nauczkę, która przybiera niekiedy formę złośliwego figla.

Pewnego poranka Dick Hyde przygalopował pod drzwi mieszkania generała Buncombe'a w Carson City i nie uwiązawszy nawet konia pośpieszył przed generalskie oblicze. Wydawał się niezwykle wzburzony. Powiedział generałowi, że chce mu powierzyć sprawę i że w razie wygranej zapłaci pięćset dolarów. A potem chlusnąwszy potokiem przekleństw wyliczył swoje krzywdy ilustrując je gwałtownymi gestami. Powiedział, iż od lat jest wszystkim wiadome, że gospodaruje z wielkim powodzeniem w okręgu Washoe i że posiada rancho w dolinie u samego podnóża gór oraz że Tom Morgan ma rancho tuż nad jego posiadłością, trochę wyżej na stoku.

Nieszczęście chciało, że obsunął się stok i rancho Morgana – wraz z ogrodzeniem, budynkami, trzodą i stajniami – zjechało na dół i przykryło dokładnie całą jego posiadłość warstwą ziemi grubą na około trzydzieści osiem stóp. Morgan uważał, że objął to miejsce w posiadanie i nie chce opuścić terenu; powiedział, że nie wszedł nikomu pod dach, że jest w swoim własnym domu i że ten dom stoi na tej samej ziemi i na tym samym rancho, na którym zawsze stał; i wreszcie, że chciałby zobaczyć tego, kto go stąd usunie.

– Jak mu zwróciłem uwagę – ciągnął Hyde ze łzami w oczach – że jego rancho jest na moim rancho i że naruszył cudzą własność, ten łotr miał czelność mnie spytać, czemu widząc, że on się zbliża, nie zostałem i nie broniłem swego stanu posiadania! Dlaczego nie zostałem na rancho! A niechże go, cymbała! Jak usłyszałem ten piekielny huk i spojrzałem w górę, pomyślałem, że to cały świat wali się ze zbocza – pojedyncze pniaki i sęgi drzewa, błyskawice i pioruny, grad i śnieg, porozwlekane stogi siana i gęste kłęby kurzu! Drzewa, co koziołkowały w powietrzu, głowy wielkości domu, co wyskakiwały na wysokość pewnie tysiąca stóp i rozpukiwały się na milion kawałków, bydło powywracane na lewą stronę i spadające z ogonami zwisającymi z pysków! A w samym środku tego rumowiska rozwalony na bramie swego rancho siedział ten przeklęty Morgan i dziwił się, dlaczego ja nie czekam, żeby bronić swego posiadania! Chryste, zmiłuj się nade mną! Spojrzałem raz – i w nogi, aż się za mną kurzyło!

Ale najbardziej psuje mi krew to, że Morgan tam siedzi i ani myśli ruszyć się z rancho... powiada, że jest jego, że na nim zostanie i że mu się teraz bardziej podoba, niż jak było wyżej

na stoku. Człowiekowi ze złości czerwono się robi przed oczami! Przez dwa dni jakby mi rozum odjęło – nie mogłem znaleźć drogi do miasta.... błąkałem się tu i tam po pustyni i o mało co nie umarłem z głodu... generał ma może coś do picia? Ale na koniec przyjechałem, jestem i oddaję sprawę do sądu!

Chyba nigdy żaden człowiek na świecie nie był tak oburzony jak teraz generał. Powiedział, że pierwszy raz w życiu zdarza mu się słyszeć o kimś, kto stosuje tak jaskrawą przemoc. Powiedział dalej, że nie warto występować na drogę sądową, bo Morgan nie ma najmniejszego prawa zostać tam, gdzie jest – nikt na świecie go nie poprze, żaden adwokat nie przyjmie jego sprawy i żaden sędzia jej nie wysłucha. Na to Hyde odparł, że generał bardzo się myli, ponieważ miasto jest za Morganem, Hal Brayton, doskonały adwokat, zgodził się go bronić, a że w sądach jest właśnie przerwa wakacyjna, sprawę ma rozpatrzeć sędzia arbiter. Były gubernator Roop został już wyznaczony na to stanowisko i otworzy posiedzenie sądu tegoż dnia o godzinie drugiej po południu w dużej sali zebrań tuż obok hotelu.

Generał nie posiadał się ze zdumienia. Powiedział, że już od dawna podejrzewał, iż niektórzy mieszkańcy terytorium to głupcy, ale dopiero teraz zyskał pewność. Dodał jednak, żeby się Hyde nie denerwował, żeby się nic a nic nie denerwował i zbierał świadków, bo zwycięstwo jest tak pewne, jakby już było po sprawie. Hyde otarł łzy i wyszedł.

O godzinie drugiej po południu sąd rozpoczął obrady; sędzia arbiter Roop siedział na swym tronie w otoczeniu szeryfów, świadków i zebranej publiczności, na twarzy zaś miał wyraz powagi tak solennej, że niektórzy spośród jego towarzyszy spiskowców zlekli się, czy przypadkiem nie zaszło nieporozumienie i czy aby Roop na pewno pojął, że uczestniczy w żarcie. Na sali panowała wręcz martwa cisza, bo przy najłżejszym szmerze odzywał się surowy głos sędziego:

– Sąd przywołuje zebranych do porządku!

A szeryfowie powtarzali natychmiast to wezwanie. Niebawem obładowany księgami prawniczymi generał zaczął sobie torować drogę przez tłum widzów; do jego uszu dotarł rozkaz sędziego, będący pierwszym, pełnym szacunku uznaniem jego urzędowej godności, z jakim spotkał się w Carson, nic więc dziwnego, że miły dreszcz przebiegł mu po skórze.

– Rozstąpić się przed Prokuratorem Stanów Zjednoczonych!

Przesłuchani świadkowie rekrutowali się spośród członków Izby Ustawodawczej, wysokich urzędników rządowych, farmerów, Indian, Chińczyków, Murzynów. W trzech czwartych byli to świadkowie pozwanego Morgana, a mimo to ich zeznania przemawiały na korzyść powoda Hyde'a. Każdy nowy świadek oświeślał garścią nowych faktów absurdalność roszczeń człowieka, który utrzymywał, że jest właścicielem cudzej własności, ponieważ obsunęło się na nią jego rancho. Potem wygłosili przemówienia obrońcy Morgana; bardzo słabe przemówienia, które ani trochę nie wzmocniły jego pozycji. Teraz wstał generał z wyrazem błogiej radości na twarzy i mówił jak w natchnieniu; grzmocił pięścią w stół, walił dłonią w księgi prawnicze, krzyczał, ryczał, wył, cytował wszystkich i wszystko – poezję, satyrę, statystykę, historię, bluźnierstwa i na zakończenie wzniósł gromki okrzyk za wolnością słowa, wolnością prasy, wolnością nauczania, za Wspaniałym Ptakiem Ameryki i za zasadami absolutnej sprawiedliwości. (Oklaski).

Generał siadł najgłębiej przekonany, że jeśli mocne zeznania świadków, wielka mowa oskarżycielska i ufne, pełne zachwyty oblicza czegoś dowodzą, Morgan przegrał sprawę z kretesem. Były gubernator Roop oparł głowę na rękach i pogrążony w myślach trwał w tej pozycji kilka minut, a milczące audytorium czekało na jego decyzję. Potem podniósł się, stał przez chwilę wyprostowany, z głową pochyloną, i znów myślał. Później przechadzał się długimi, powolnymi krokami trzymając brodę w dłoni, a publiczność wciąż czekała. W końcu wrócił na swój tron, usiadł i głosem uroczystym rozpoczął przemowę:

– Panowie, czuję ciężar spoczywającej na mnie dzisiaj odpowiedzialności. Nie jest to zwykła sprawa. Przeciwnie: jest to jedna z najtrudniejszych i najdonioślejszych spraw, jakie kie-

dykolwiek rozstrzygał człowiek. Panowie, przysłuchiwałem się pilnie zeznaniom świadków i wywnioskowałem, że w swej większości, w swej przeważającej większości, przemawiają one na korzyść Hyde'a, Śledziłem też z wielkim zainteresowaniem wywody stron, zwłaszcza zaś porwała mnie mistrzowska i nieodparta logika wywodów znakomitego prawnika, który zastępuje przed sądem powoda Hyde'a. Ale strzeżmy się, panowie, abyśmy w chwili tak doniosłej nie ulegli sugestii zwykłych ludzkich zeznań, zwykłej zręczności w argumentowaniu i zwykłemu ludzkiemu pojęciu słuszności. Panowie! Nie przystoi nam, nędznym robakom, wtrącać się do wyroków Boga. Bo nie wątpię, że to Niebiosą w swej nieodgadnionej mądrości uznały za właściwe w jakimś im tylko wiadomym celu przesunąć farmę pozwanego. Jesteśmy istotami niższego rzędu i dlatego musimy się poddać woli Niebios. Skoro Niebiosą postanowiły wyróżnić pozwanego Morgana w ów znamienity i cudowny sposób, skoro Niebiosą, niezadowolone z położenia rancho Morgana na stoku góry, postanowiły przesunąć je na pozycję bardziej wygodną i bardziej korzystną dla jego właściciela, nie przystoi nam, nędznym robakom, wglądać w prawomocność tego aktu czy też badać motywy, które go spowodowały. Nie! To Niebiosą stworzyły farmy i Niebiosą mają prawo zmieniać je, przeprowadzać z nimi rozmaite eksperymenty i przesuwać je to tu, to tam, według własnej chęci i uznania. My musimy bez skargi poddać się ich woli. Ostrzegam was, panowie, że to, co się tam zdarzyło, jest jednym z tych zjawisk, od których wara świętokradczym ręką, myślą i językiem człowieka! Panowie, sąd stwierdza wyrokiem, że powód Ryszard Hyde został pozbawiony swego rancho na skutek dopustu bożego! Od tej decyzji sądu nie ma odwołania.

Buncombe porwał swój ładunek ksiąg prawniczych i wybiegł dygocąc z oburzenia. Nazwał Roopa natchnionym idiotą i cudotwórczym głupcem. W dobrej wierze wrócił wieczorem i czynił Roopowi wyrzuty błagając go, żeby choć z pół godziny pochodził tam i sam po pokoju i zastanowił się, czy nie znajdzie jakiegoś sposobu na zmianę wyroku. Roop uległ mu w końcu, wstał i zaczął się przechadzać. Przechadzał się dwie i, pół godziny, aż w pewnej chwili wielka radość rozświetliła mu twarz. Jak wyjaśnił Buncombe'owi, przyszła mu do głowy myśl, że rancho znajdujące się pod spodem należy wciąż do Hyde'a, że jego tytuł prawny do własności nie został bynajmniej naruszony i że jego, Roopa, zdaniem, Hyde ma prawo wyko-pać rancho i...

Generał nie wysłuchał tego zdania do końca. Ale bo też był człowiekiem niecierpliwym i porywczym. Po upływie dwóch miesięcy zdołał wreszcie zrozumieć, że z niego zakpiono.

XXXV. TUNEL DRAŻĄCY POWIETRZE

Gdy w końcu wyruszyliśmy konno do Esmeraldy, nasza grupa powiększyła się o kapitana Johna Nye'a, brata gubernatora. Kapitan Nye miał doskonałą pamięć i nigdy nie zapominał języka w gębie. W czasie studwudziestomilowej drogi kapitan Nye ani razu nie pozwolił, aby rozmowa rwała się czy kulała. Prócz talentów konwersacyjnych posiadał jeszcze kilka innych wybitnych przyrodzonych uzdolnień. Jednym z nich była szczególna zręczność we wszystkim, czego się imał – od budowy linii kolejowej czy założenia partii politycznej do przysycia guzika, podkucia konia, nastawienia złamanej nogi czy posadzenia kury na jajkach.

Drugim przyrodzonym uzdolnieniem kapitana była umiejętność przystosowania się do każdej sytuacji, która to umiejętność skłaniała go zawsze i wszędzie do brania na własne barki cudzych kłopotów, potrzeb i trudności i rozwikływania ich z niezwykłą wprost zręcznością i prędkością – stąd udawało mu się zawsze znaleźć wolne łóżko w natłoczonej gospodzie i mnóstwo jedzenia w pustej spiżarni. I wreszcie, gdziekolwiek spotkał mężczyznę, kobietę czy dziecko – w obozie, gospodzie lub też na pustyni – zawsze albo znał osobiście tych ludzi, albo przynajmniej znał ich krewnych. Trudno sobie wyobrazić lepszego towarzysza podróży. Nie mogę się powstrzymać, żeby nie wyjaśnić na przykładzie, w jaki sposób kapitan Nye radził sobie z trudnościami.

Drugiego dnia podróży przyjechaliśmy zdrożeni i głodni do małej, ubogiej gospody pośrodku pustyni; powiedziano nam, że nie ma wolnych miejsc, nie ma żywności, nie ma siana i jęczmienia dla koni – słowem, że musimy jechać dalej. Wszyscy chcieliśmy jak najspieszniej puścić się w drogę, póki jeszcze było widno, ale kapitan Nye upierał się, żeby wstąpić choć na chwilę. Zsiadliśmy z koni i weszli do gospody. Nie było oznak życzliwości na twarzach obecnych. W ciągu dwudziestu minut kapitan Nye osiągnął następujące wyniki: znalazł trzech dobrych znajomych wśród woźniców, dowiedział, że chodził z matką gospodarza do szkoły, w żonie gospodarza rozpoznał młodą dziewczynę, której uratował kiedyś życie w Kalifornii, gdy poniósł ją koń, naprawił zepsutą zabawkę dziecku zyskując tym sympatię matki, która była gościem w gospodzie, wraz ze stajennym puścił krew jednemu choremu koniowi i zapisał kurację drugiemu, który miał żołądek, postawił wszystkim obecnym trzy kolejki w barze, wyciągnął z kieszeni gazetę nowszą o tydzień od tej, którą posiadano w gospodzie, i odczytał wiadomości zasłuchanemu audytorium. A oto rezultaty tych zabiegów: stajenny znalazł mnóstwo obroku dla koni, my mieliśmy pstrągi na kolację, miłą rozmowę wieczorem, wygodne łóżka do spania i królewskie śniadanie rano. A gdy wyjeżdżaliśmy, wszyscy nas opłakiwali. Kapitan Nye miał kilka złych cech charakteru, ale miał też mnóstwo cennych i dobrych, które okupywały tamte.

Pod wieloma względami Esmeralda była drugim okręgiem Humboldt, tylko że na trochę wyższym stopniu rozwoju. Kopalnie, za które ściągano od nas opłaty, okazały się zupełnie bezwartościowe, rzekliśmy się ich więc czym prędzej. W najważniejszej ruda pokazywała się na wierzchu pagórka wysokości czterestu stóp i natchniony zarząd przekopywał pod pagórkami tunel, który miał doprowadzić do pokładu. Po przekopaniu siedemdziesięciu stóp tunel trafiłby na pokład na tej samej głębokości, jaką by osiągnięto przy pomocy komina głębokiego na dwanaście stóp! Zarząd nie miał najmniejszej ochoty dokopywać się do pokładu, ponieważ wiedział, że jest w nim tyle srebra, ile powiedzmy w krawężniku jezdni. Ten epizod przywiódł mi na pamięć tunel Jima Townsenda. Zarząd kopalni „Daley”, której Jim był współwłaścicielem, ściągał z niego tak wygórowane opłaty, że niewiele brakowało, a Jim poszedłby z torbami. W końcu dostał wezwanie do wniesienia opłat na budowę w kopalni

„Daley” tunelu długości dwustu pięćdziesięciu stóp, pojechał więc w góry, żeby zbadać sprawę na miejscu. Przekonał się, że żyła „Daley” wyrzucała warstwę powierzchniową na samym wierzchołku bardzo ostrego szczytu; zastał tam dwóch ludzi wytyczających tunel. Townsend przeprowadził szybką kalkulację. Potem zwrócił się do mężczyzn:

– A więc podpisaliście umowę na przekopanie tunelu długości dwustu pięćdziesięciu stóp, żeby dostać się do tej żyły?

– Tak, proszę pana.

– Czy zdajecie sobie sprawę, że macie przed sobą jedno z najkosztowniejszych i najtrudniejszych przedsięwzięć, jakich podejmował się człowiek?

– Nie... jakże to?

– Ten szczyt ma około dwudziestu pięciu stóp szerokości. Ucząc od ściany do ściany, będziecie więc musieli wybudować dwieście dwadzieścia pięć stóp tunelu na rusztowaniach!

Ciemne i kręte były drogi działania zarządów kopalń srebra.

Braliśmy w posiadanie rozmaite kopalnie i rozpoczynaliśmy budowę tunelów i kominów, nigdyśmy ich jednak nie kończyli. Żeby utrzymać stan posiadania, należało przeprowadzić pewne prace, gdyż inaczej po upływie dziesięciu dni osoby trzecie mogły przejąć naszą własność. Szukaliśmy bezustannie nowych żył i pokładów, braliśmy je w posiadanie, przeprowadzaliśmy na nich początkowe prace, a potem czekaliśmy na kupca – który się nigdy nie zjawiał. Ani razu nie natrafiliśmy na rudę dającą więcej niż pięćdziesiąt dolarów z tony, a ponieważ huty liczyły sobie pięćdziesiąt dolarów od tony za przemiał rudy i wytopienie srebra, nasze skromne zapasy pieniędzy topniały i nic nie wpływało na ich miejsce.

Mieszkaliśmy w małej chacie i sami gotowaliśmy sobie jedzenie; ogólnie rzecz biorąc, było to życie ciężkie, chociaż nie pozbawione nadziei, bo nie przestawaliśmy wierzyć, że pewnego pięknego dnia zjawi się kupiec – a z nim bogactwo.

W końcu, gdy cena mąki podskoczyła do dolara za funt, a pieniędzy nie można było pożyczyć pod najlepszy nawet zastaw na procent niższy niż osiem od sta (przy czym ja nie miałem pod co pożyczać), porzuciłem górnictwo i przeszedłem do hutnictwa. To jest, zacząłem pracować jako zwykły robotnik w hucie srebra, gdzie otrzymywałem dziesięć dolarów na tydzień i wyżywienie.

XXXVI. ZBRZYDŁA MI CIĘŻKA PRACA

Wiedziałem już, jak ciężką, żmudną i nużącą pracą jest wkopywanie się we wnętrzości ziemi, żeby wydobyć upragnioną rudę; teraz zaś dowiedziałem się, że rycie nor w ziemi jest tylko połową zadania i że wydobywanie srebra z rudy jest jego posępną i mozolną drugą połową. Stawaliśmy do pracy o szóstej rano i pracowaliśmy do zmroku. Była to huta o sześcioczołowej tłoczni zawiasowej poruszanej parą. Sześć długich, wysokich drągów żelaznych grubości męskiej nogi w kostce, zakończonych na dole masą żelaza i stali, tkwiło jeden obok drugiego, osadzone jak pręty bramy; drągi te kolejno podnosiły się i opadały w korycie żelaznym zwanym baterią. Każdy z tych drągów czy tłoków ważył sześćset funtów. Jeden z nas stał cały dzień obok baterii tłukąc młotem bryły srebrnodajnej rudy i wrzucając je do baterii. Bezustanny taniec tłoków kruszył kamień na proch, strumień zaś wody wpływającej do baterii zmienił ów proch w gęstą maź. Miałkie cząstki przedostawały się przez gęstą siatkę drucianą przylegającą ściśle do ścian baterii i dalej przepływały do dużych wanien ogrzewanych parą; wanny te nazywały się kadziami amalgamacyjnymi. Wirujące młynki utrzymywały miazgę w kadziach w bezustannym ruchu. W baterii znajdowała się zawsze pewna ilość rtęci, która łączyła się z uwolnionymi z rudy cząstkami złota i srebra; co pół godziny wsypywaliśmy do kadzi deszcz rtęci przepuszczonej przez sito z irchy. Do kadzi należało też od czasu do czasu wrzucać spore ilości gruboziarnistej soli i siarczanu miedzi, co przyspieszało proces amalgamacji trawiąc metale nieszlachetne, które wiązały złoto i srebro i nie pozwalały im łączyć się z rtęcią. Od świtu do zmroku wykonywaliśmy kolejno wszystkie te nużące czynności. Strumienie brudnej wody spływały bezustannie z kadzi do szerokich drewnianych koryt i stąd dalej do obszernego dołu. Chociaż wydaje się to nieprawdopodobne, okruchy złota i srebra wypływały na powierzchnię głębokiej na sześć cali wody i aby je schwytać, wykładano koryta płachtami i umieszczano tu i tam w poprzek koryta małe sitka opatrzone w rtęć. Co wieczór należało czyścić sitka i prać płachty, aby wydobyć z nich cenny osad – a mimo tych wszystkich żmudnych i mozolnych zabiegów jedna trzecia srebra i złota zawartego w tonie rudy przepływała do dołu, który znajdował się u wylotu koryta, i prędzej czy później należało ją stamtąd wydobyć. Nic na świecie tak nie nuży jak praca w hucie srebra. Nie mieliśmy ani chwili wytchnienia. Szkoda, że Adam nie poszedł prosto z raju do takiej huty, bo dopiero wtedy by zrozumiał, co znaczy pracować na chleb w pocie czoła. Wiele razy w ciągu dnia musieliśmy wyławiać z kadzi nieco kruszcowej pulpy i płukać ją pracowicie na rogowej łyżce – wymywać po odrobinie, dopóki na dnie łyżki nie zostało nic prócz kilku małych ziarenek żywego srebra. Jeżeli były miękkie i ugiwały się pod dotykiem, należało dosypać do kadzi soli, siarczanu miedzi lub innego chemicznego śmiecia, które pomagało w trawieniu; jeżeli były twarde i zachowywały ślad nacięcia, znaczyło to, iż nasyciły się już dostatecznie złotem i srebrem, a więc należało dorzucić do kadzi nowy zapas rtęci. Jeżeli ktoś nie miał przez chwilę nic do roboty, mógł zawsze „przerzucać resztki”. To jest wybrać łopatą przesuszony piasek, który woda zniosła przez koryta do dołu, i przerzucić go przez ustawiony pionowo druciany przesiewnik, aby oddzielić piasek od kamyków i przygotować go do ponownego oczyszczania. Huty stosowały rozmaite metody amalgamacji przy odmiennej budowie kadzi i innych urządzeń, istniała więc duża różnica zdań co do skuteczności metod; żadna z nich jednak nie przewidywała wydobywania srebra z rudy bez przerzucania resztek. Liczne są rozrywki, jakimi człowiek umiła sobie życie, ale spośród wszystkich mi znanych przesiewanie piachu długą szuflą w dzień upalny wydaje mi się najmniej godną pożądaną.

Pod koniec tygodnia zatrzymano maszyny i przystąpiliśmy do czyszczenia. To jest wy-

brawszy pulę z kadzi i baterii wymywaliśmy cierpliwie piach, dopóki nie została sama długo zbierająca się masa rtęci z uwięzionym w niej srebrem. Masę tę ugniataliśmy w twarde, ciężkie kule wielkości kul śnieżnych, które potem układaliśmy w błyszczący stos, gdzie czekały na inspekcję. To ugniatanie kul kosztowało mnie ładny złoty pierścionek – ugniatanie i własna głupota; rtęć bowiem wsiąkała w pierścionek z taką łatwością, z jaką woda wsiąka w gąbkę – i pierścionek rozpadł się na kawałki.

Umieściliśmy nasze rtęciowe kule w żelaznej retortce opatrzonej w rurę wpuszczoną do konwi z wodą i ogrzewaliśmy tę retortę do bardzo wysokiej temperatury. Rtęć zamieniała się w parę i przedostawała rurą do konwi, gdzie woda przywróciła jej znów postać płynnego metalu. Rtęć jest bardzo kosztowna i naturalnie nie wolno jej w hutach marnować. Po otwarciu retorty zobaczyliśmy rezultat naszej tygodniowej pracy – bryłę białego, jakby pokrytego szronem srebra, dwa razy większą od ludzkiej głowy. Może jedną piątą masy stanowiło złoto, czego po kolorze nie można by się domyślić; kolor nie uwidoczniłby się, nawet gdyby dwie trzecie masy było złotem. Roztopiliśmy bryłę i wleli do żelaznej formy, która nadała jej kształt cegły.

Tą żmudną i pracowitą metodą otrzymywało się sztaby srebra. Nasza huta była jedną z licznych pracujących w tym czasie. Pierwsza huta w Newadzie została wybudowana w kanyonie Egan i była śmiesznym, nędznym zakładzikiem w porównaniu z później powstałymi, ogromnymi zakładami w Virginia City czy innych miejscowościach.

Następnie należało odłupać z naszej sztaby mały kawałek, który poddawano „próbie ogniowej”. W ten sposób ustalano procent złota, srebra i metali pospolitych w masie. Jest to proces bardzo interesujący. Badany kawałek kruszcu należy rozklepać młotem nadając mu cienkość papieru, potem zaś zważyć go na wadze tak precyzyjnej, że jeśli ktoś zważy kawałek papieru o powierzchni dwóch cali, potem zaś napisze na nim swoje nazwisko miękkiem, grubym ołówkiem i znowu położy go na szali, jęczyczek wagi wyraźnie się przesunie. Następnie płatek srebra należy zwinąć z odrobiną ołowiu (też starannie zważonego) i oba metale podgrzewać do bardzo wysokiej temperatury w małym tyglu zwanym kupelą, który jest zrobiony z popiołu kostnego sprasowanego w formie stalowej w kształt naczynia. Metale nieszlachetne utleniają się i wraz z ołowiem wsiąkają w porowate ścianki kupeli. Na dnie pozostaje gałka czy też guzik doskonale czystego stopu złota lub srebra, a po zważeniu jej i odnotowaniu różnicy urzędowy probierz określa procentową zawartość metalu nieszlachetnego w bryle. Teraz musi oddzielić srebro od złota. W tym celu rozklepuje gałkę młotkiem do grubości listka i umieszcza w piecu, gdzie metal pozostaje jakiś czas rozgrzany do czerwoności; po ostudzeniu zwija go w rurkę i podgrzewa w szklanym naczyniu napełnionym kwasem azotowym; kwas azotowy rozpuszcza srebro, złoto zaś może być teraz zważone w swej najczystszej postaci. Następnie należy wlać do kwasu azotowego roztwór soli i srebro, wyodrębnione do postaci stałej, opada na dno naczynia. Ostatnia czynność to zważenie srebra; teraz znana jest już proporcja poszczególnych metali i urzędowy probierz wyciska próbę wartości na sztabie. Nie muszę zapewne wyjaśniać pojętnemu czytelnikowi, że gdy sprytny kopacz chciał sprzedać swoją kopalnię i oddawał odłamek skały do „próby ogniowej” nie miał bynajmniej zwyczaju wybierać najuboższego okruchu w całym rumowisku. Widziałem ludzi szperających godzinę w stosie niemal bezwartościowego kwarcu i znajdujących w końcu odłamek wielkości orzecha laskowego, bogaty w złoto i srebro. Odłamek ten trafiał potem do rąk urzędnika probierczego! Naturalnie próba wykazywała, że tona tego rodzaju skały warta jest setki dolarów i na tej podstawie sprzedano niejedną bezwartościową kopalnię. Probierstwo przynosiło doskonałe zyski, toteż często zajmowali się nim ludzie nie posiadający najmniejszych kwalifikacji naukowych i moralnych. Jeden z probierzy w osadzie otrzymywał zawsze tak wspaniałe wyniki prób przedstawionych mu do badania kamieni, że stał się niemal monopolistą w swym zawodzie. Ale jak wszyscy ludzie, którym się dobrze powodzi, wzbudził zawiść i podejrzliwość. Pozostali probierze zmówili się przeciwko niemu i wtajemniczyli w swoje plany kilku

wybitnych obywateli miasta, aby ich nie pomówiono o złe intencje. Potem odłupali kawałek kamienia szlifierskiego i przez nieznaną osobę posłali popularnemu naukowcowi z prośbą o dokonanie próby. Po godzinie był już gotowy rezultat, z którego wynikało, że tona badanej skały da tysiąc dwieście osiemdziesiąt cztery dolary i czterdzieści centów w srebrze i trzysta sześćdziesiąt sześć dolarów i trzydzieści centów w złocie? Gdy ujawniono ten fakt w gazecie, popularny probierz musiał opuścić miasto „w ciągu dwóch dni”. Mimochodem zaznaczę, że przepracowałem w hucie tylko tydzień. Powiedziałem memu pracodawcy, że nie zostanę dłużej, jeżeli nie podwyższy mi pensji; że lubię tę pracę, a nawet za nią przepadam; że nigdy dotąd nie przywiązałem się do żadnego zajęcia tak serdecznie i w tak krótkim czasie; że moim zdaniem nic nie rozszerza tak horyzontów myślowych jak dorzucanie rudy do baterii i przesywanie piasku przez sito oraz że nic nie rozwija tak przymiotów serca i umysłu, jak wytrącanie srebra z rudy i pranie koców. A mimo to czuję się zmuszony prosić go o podwyżkę. Powiedział, że płaci mi dziesięć dolarów na tydzień i uważa, że jest to bardzo ładny zarobek. Ile żądam?

Odparłem, że z uwagi na ciężkie czasy zadowolę się pensją czterystu tysięcy dolarów miesięcznie i utrzymaniem.

Wyrzucił mnie za drzwi! A mimo to, gdy spoglądam na tamte dni i przypominam sobie ciężką pracę wykonywaną w hucie, żałuję, że nie zażądałem siedmiuset tysięcy dolarów.

Niedługo po tym epizodzie oszalałem – podobnie jak całe nasze miasto – na punkcie tajemniczej i cudownej żyły wapiennej. Gotowy do drogi czekałem na pierwszą sposobność, jaka się nadarzy, żeby pojechać wraz z innymi i pomóc ją odszukać.

XXXVII. SNY O BOGACTWIE

Cudowna i zadziwiająca żyła wapienna Whitemana znajdowała się jakoby w sąsiedztwie jeziora Mono. Od czasu do czasu buchała w osadzie wieść, że pan W. przemknął cichaczem przez Esmeraldę (w przebraniu i późną nocą) i natychmiast wszyscy wpadali w najdziksze podniecenie, bo naturalnie pan W. udał się do swojej tajemniczej kopalni i teraz jest właściwa pora, żeby go wyśledzić! W niecałe trzy godziny po wschodzie słońca wszystkie konie, muły i osły z okolicy były wypożyczone, kupione lub ukradzione i połowa ludności wyruszała w góry śladem Whitemana. Ale W. kluczył przez wiele dni po gardzielach dolin, a tymczasem ścigającym go kopaczom kończyła się żywność i musieli wracać do domu. Kiedyś byłem świadkiem, jak o godzinie jedenastej w nocy w dużym osiedlu górniczym rozeszła się pogłoska, że właśnie przejechał tędy Whiteman, i w dwie godziny później ulice, tak przedtem ciche, zaroily się od ludzi i zwierząt. Każdy starał się być bardzo dyskretny, ale każdy powiedział na ucho przynajmniej jednemu sąsiadowi, że W. dopiero co tędy przejeżdżał. I na długo przed świtem (w samym środku zimy) cała ludność miasteczka wyruszyła w pościg za Whitemanem.

Tradycja głosi, że przed dwudziestu laty, w okresie wczesnej emigracji, trzech młodzi Niemcy, bracia, którzy uszli z rąk Indian podczas rzezi na Wielkich Równinach, wędrowali pieszo przez pustynię unikając ścieżek i dróg i kierując się prosto na zachód; mieli nadzieję, że zanim padną z głodu i zmęczenia, zdołają dotrzeć do Kalifornii. Pewnego dnia siedli i odpoczywali w gardzeli jakiegoś wozu, gdy raptem jeden z nich zauważył osobliwą żyłę wapienną biegnącą w ziemi, gęsto usianą kawałkami ciemnożółtego metalu. Poznali, że jest to złoto, i zorientowali się, iż w ciągu jednego dnia można tu zdobyć bogactwo. Żyła miała szerokość mniej więcej krawężnika jezdni i w dwóch trzecich była czystym złotem. Jeden funt tego cudownego wapienia wart był blisko dwieście dolarów. Bracia wzięli każdy po dwadzieścia pięć funtów rudy, zatarli ślady, sporządzili prymitywną mapkę okolic i podjęli wędrowkę na zachód. Ale zaczęły ich prześladować nieszczęścia. Jeden z braci przewrócił się i złamał nogę; tamci dwaj musieli pójść dalej i zostawić go na pastwę samotnej śmierci na pustyni. Drugi, wycieńczony głodem i nadludzkim wysiłkiem, padł na ziemię i skonał, ale trzeci, po paru tygodniach bezgranicznych męczarni, dotarł do osiedli kalifornijskich śmiertelnie wyczerpany, chory i po doznanych cierpieniach bliski obłędu. Wyrzucił w drodze swój zapas złotodajnego wapienia; zostawił tylko kilka kawałków, ale i tego wystarczyło, żeby podniecić ludzką wyobraźnię.

Niemiec miał jednak dość wapiennych kanionów i żadna siła nie mogła, go skłonić do odbycia powrotnej wędrowki. W zupełności wystarczała mu praca na farmie i otrzymywane dniówki. Dał jednak swoją mapę Whitemanowi, opisał mu najlepiej, jak umiał, okolicę, w której znalazł wapienną żyłę, i tym samym przeniósł na tego dżentelmena ciężące nad nią przekleństwo; bo kiedy jeden jedyny raz widziałem przelotnie pana W. w Esmeraldzie, poszukiwał swojej zagubionej kopalni o chłodzie i głodzie, wynędzniały i schorowany, od lat dwunastu czy trzynastu. Niektórzy ludzie przypuszczali, że ją odnalazł, większość jednak sądziła, że nie natrafił jeszcze na jej ślad. Sam widziałem bryłę wapienną wielkości mojej pięści, którą Whiteman otrzymał podobno od Niemca, i przyznaję, że jej widok mnie oszołomił. Było w niej tyle kawałków czystego złota, ile jest rodzyneków w bogatym cieście. Możliwość eksploatacji tej kopalni przez jeden tydzień zadowoliliby w zupełności człowieka o umiarkowanych wymaganiach.

Nasz nowy współnik, Higbie, znał dobrze Whitemana z widzenia, a pewien nasz przyja-

ciel, Van Dorn, nie tylko znał Whitemana osobiście, ale co więcej, Whiteman przyrzekł, że da mu znać na czas, aby się mógł przyłączyć do następnej wyprawy. Van Dorn obiecał rozciągnąć na nas ten przywilej. Pewnego wieczora Higbie przyszedł ogromnie podniecony i powiedział, że prawie na pewno rozpoznał w mieście Whitemana, który był w przebraniu i udawał pijanego. Po chwili zjawił się Van Dorn i potwierdził tę wiadomość. Zasiadliśmy więc w naszej chacie do narady i zbliżywszy głowy ułożyliśmy szeptem plan.

Postanowiliśmy wyjechać tuż po północy, w dwóch lub trzech niewielkich grupach, i spotkać się o świcie na przełęczy nad jeziorem Mono, w odległości ośmiu czy dziewięciu mil od miasta. Obiecaliśmy sobie zachowywać się możliwie jak najciszej i porozumiewać się tylko szeptem. Przypuszczaliśmy, że tym razem nikt nie wie o obecności Whitemana w mieście i nikt się nie spodziewa, że szykuje wyprawę. Nasze konklawe zakończyło obrady o godzinie dziewiętej i natychmiast rozpoczęliśmy przygotowania z wielką starannością i w najściślejszej tajemnicy. O jedenastej osiodłaliśmy konie, uwiązaliśmy je długimi *riatas* (czyli *lassami*), a potem wynieśliśmy poć boczku, worek grochu, mały woreczek kawy, trochę cukru, sto funtów mąki, kilka puszek konserw, garnek do gotowania kawy, patelnię i kilka innych przedmiotów codziennego użytku. Wszystko to załadowaliśmy na grzbiet luzaka. A jeśli się ktoś nie nauczył juczyc konia od hiszpańskiego specjalisty, niech nie przypuszcza, że wystarczy mu do tego wrodzona zręczność. To po prostu niemożliwe! Higbie miał pewne doświadczenia, ale bynajmniej nie był ekspertem. Założył siodło jukowe (w kształcie przypominające kozioł drewniany), umieścił na nim ładunek, potem zaś obwiązał wszystko sznurem wzdłuż, wszerz, w poprzek – „w każdym możliwym kierunku” robiąc od czasu do czasu węzły i mocno je zaciskając, aż koniowi zapadły się boki i zaczął dyszeć. Ale ilekroć postronki zaciskały się w jednym miejscu, natychmiast rozluźniały się w drugim. Nie udało nam się przytroczyć juków porządnie, ale w końcu umocowaliśmy je jakoś i wyruszyliśmy pojedynczo, jeden tuż za drugim w zupełnej ciszy. Noc była ciemna. Trzymając się środka drogi jechaliśmy stępą między dwoma rzędami chat, a ilekroć jakiś górnik zbliżał się do drzwi, drżałem ze strachu, że zobaczy nas w świetle lampy i że nasz widok wyda mu się podejrzany. Ale moje obawy były płonne. Zaczęliśmy się wspinać długą, krętą drogą prowadzącą z dna kanionu na przełęcz i niebawem odstęp między chatami stały się dłuższe. Oddychałem teraz nieco swobodniej i czułem się trochę mniejszym złodziejem i mordercą. Jechałem na końcu prowadząc jucznego konia. Im stromiej pięła się droga pod górę, tym mniej zadowolony był koń ze swego ładunku; od czasu do czasu ciągnął za *riata* i zwalniał kroku. Moi towarzysze niknęli powoli w otaczających nas ciemnościach. Zacząłem się poważnie niepokoić. Prośbami i groźbami zdołałem skłonić wreszcie luzaka do wolnego kłusa, ale przestraszony brzękiem cynowych kubków i naczyń w jukach rzucił się do galopu. Koniec *riata* luzaka był przytwierdzony do kuli mojego siodła, gdy więc koń mnie mijał w galopie, wyleciałem w powietrze i oba wierzchowce popędziły dalej beze mnie. Nie byłem jednak sam; obluzowane juki zsunęły się z grzbietu konia i upadły na ziemię tuż obok mnie. Znajdowałem się naprzeciwko jednej z ostatnich chat. Górnik wyszedł na dwór i spytał:

– Kto tam?

Leżałem w odległości trzydziestu kroków od niego i wiedziałem, że mnie nie może dojrzeć, bo w głębokim cieniu zbocza panował nieprzenikniony mrok. Nie odezwałem się więc. Drugi mężczyzna zjawił się w oświetlonych drzwiach chaty i po chwili szli już obaj w moją stronę. Zatrzymali się w odległości dziesięciu kroków ode mnie i jeden powiedział:

– Sza! Słuchaj!

Moja sytuacja nie mogłaby być gorsza, gdybym był zbiegiem ukrywającym się przed wymiarem sprawiedliwości i gdyby naznaczono wysoką cenę na moją głowę. Górnicy siedli chyba na jakimś głazie, chociaż w gęstej ciemności nie byłem pewien, co robią. Jeden powiedział:

– Słyszałem hałas, tak jak teraz siebie słyszę. Coś mi się zdaje, że gdzieś tam...

Kamień świsnął tuż obok mojego ucha. Przywarłem do ziemi i starałem się upodobnić do znaczka pocztowego; pomyślałem, że jeśli drugi raz rzuci chociaż trochę celniej, usłyszy prawdopodobnie głośniejszy hałas. W duchu przeklinałem ukradkowe wyprawy. Przynależem sobie, że ta będzie moją ostatnią, choćby Sierra Nevada były wzdłuż i wszerz poprzecinane wapiennymi żyłami. Potem jeden z mężczyzn znów się odezwał:

– Wiesz, co ci powiem?

Welch dobrze wiedział, co mówi, jak przysięgał, że widział dzisiaj Whitemana. Ten hałas, co go słyszałem, to były konie, Idę prosto do Welcha!

Poszli sobie, ku mojej wielkiej radości. Było mi obojętne, gdzie idą, byleby się wynieśli. Bardzo byłem rad, że odwiedzą Welcha – im prędzej tym lepiej!

Zaledwie zamknęły się za nimi drzwi, moi towarzysze wyłoniли się z mroku, pochwycili konie i czekali na bezpieczną chwilę. Przytroczywszy ponownie juki do grzbietu luzaka, ruszyliśmy w dalszą drogę. Wczesnym świtem dotarliśmy do przełęczy i spotkali tam Van Dorna. Zjechaliśmy razem w dolinę jeziora Mono, a ponieważ nic nam już teraz nie groziło, zatrzymaliśmy się, żeby ugotować śniadanie, bo dokuczał nam głód i senność. W trzy godziny później reszta ludności miasteczka wysypała się na przełęcz i przedefilowała przed nami w długim pochodzie, a potem zniknęła na dalekim brzegu jeziora.

Nie wiedzieliśmy naturalnie, czy to zawinił mój wypadek z koniem. W każdym razie jedno było pewne: sekret się wydał i Whiteman nie rozpocznie tym razem poszukiwań! Byliśmy zrozpaczeni.

Po naradzie postanowiliśmy na pociechę zrobić sobie tydzień urlopu nad brzegami tego dziwnego jeziora. Ludzie niekiedy nazywają je jeziorem Mono, kiedy indziej znów Martwym Morzem Kalifornii. Jest to jeden z najosobliwszych dziwów natury, chociaż rzadko wspomina się o nim drukiem, a jeszcze rzadziej odwiedza, ponieważ leży daleko od utartych szlaków, droga zaś jest tak uciążliwa, że tylko najwytrzymalsi i najodporniejsi mogą podjąć jej trudy. Rankiem drugiego dnia podróży dotarliśmy do szczególnie odludnego i dzikiego zakątka nad brzegami jeziora, w miejscu, gdzie wpadał do niego lodowato zimny strumień górski, i rozbiliśmy obóz. Wynajęliśmy dużą łódź i dwie strzelby od samotnego farmera, który mieszkał w odległości dziesięciu mil, a niebawem poznaliśmy jezioro i wszystkie jego osobliwości.

XXXVIII. DZIWIY NAD JEZIOREM MONO

Jeziro Mono leży pośrodku martwej bezdrzewnej, ohydnej pustyni, na wysokości ośmiu tysięcy stóp nad poziomem morza, i jest otoczone górami, które wznoszą się ponad jego taflę na wysokość dwóch tysięcy stóp i których wierzchołki nikną wśród chmur. To posepne, milczące, nie znające żagli morze ten samotny rezydent najsamotniejszego zakątka na ziemi – niewiele ma wspólnego z malowniczością krajobrazu. Jest to bezpretensjonalne rozlewisko szarawej wody o obwodzie około stu mil, z dwiema wyspami pośrodku – a raczej pagórkami poszarpanej, poskręcanej od gorąca, zapiekłej lawy – o brzegach przysypanych szarym rumowiskiem pumeksu i popiołów, które niby śmiertelny całun zmarłego wulkanu otaczają ogromny krater wypełniony teraz wodami.

Głębokość jeziora sięga dwustu stóp; jego ospałe wody są tak silnie alkaliczne, że wystarczy jeden raz zanurzyć najbrudniejszą nawet odzież, a po wyjęciu będzie tak czysta, jakby przeszła przez ręce najlepszej praczki. Podczas naszego pobytu nad jeziorem pranie nie sprawiało nam kłopotu. Przywiązywaliśmy bieliznę z całego tygodnia do rufy łodzi, przepływaliśmy około ćwierć mili i robota była gotowa, tyle tylko, że należało bieliznę wyżąć. Jeżeli zmoczyliśmy głowy i potarli kilka razy palcami, na włosach tworzyła się trzycalowa warstwa białej piany. Nie jest to woda dobra na zadrapania. Mieliśmy bardzo cennego psa. Pies miał na ciele mnóstwo obtartych miejsc. Miał ich więcej niż miejsc zdrowych. Chyba nigdy nie widziałem psa, który by miał tyle obtartych miejsc co ten nasz. Któregoś dnia w ucieczce przed pchłami skoczył z łodzi do wody. Kiepski pomysł. Mógł być z równym skutkiem skoczyć w ogień. Woda alkaliczna zaczęła mu się wgrzać w ciało we wszystkich obtartych miejscach naraz, skierował się więc do brzegu z niezwykłą wprost żwawością. Płynąc cały czas skowyczał, skomlał i szczekał, ale jak wyszedł na brzeg, milczał, bo wyszczekał już cały głos i pewnie nie mógł sobie darować, że w ogóle puścił się na takie przedsięwzięcie. Zaczął biegać w kółko za własnym ogonem, drapał pazurami ziemię, bił łapami powietrze, robił po dwa koziołki, niekiedy łbem naprzód, niekiedy na plecy. Nie był z natury psem wybuchowym; był raczej poważny i spokojny i nigdy nie widziałem go w stanie takiego ożywienia. W końcu puścił się w drogę przez góry z szybkością chyba dwustu pięćdziesięciu mil na godzinę – i dotąd biegnie. Stało się to dziewięć lat temu.

Biały człowiek nie może pić wody z Mono, bo jest to niemal czysty ług. Słyszałem jednak, że Indianie z okolicy czasem ją piją. Gotów jestem w to uwierzyć, gdyż Indianie są jedynymi z najczystszych ł(u)garzy na świecie. (Nie policzę ani centa więcej za ten dowcip, chyba osobnikom, którzy poproszą o wyjaśnienie. Dowcip ten spotkał się z uznaniem najświetlejszych umysłów naszej epoki).

W wodach jeziora Mono nie ma ryb – nie ma żab, węży wodnych, kijanek, trytonów – nie ma nic, co by umilało życie. Miliony dzikich kaczek i mew unoszą się nad jego powierzchnią, ale pod nią nie ma żadnych żywych stworzeń oprócz białego, pierzastego robaka długości około pół cala, który wygląda jak kawałek postrzępionej białej nitki. W galonie wody jest ich chyba z piętnaście tysięcy i one to nadają wodzie brudnoszarą barwę. Poza tym są tam jeszcze muchy, dość podobne do naszych much domowych. Przesiadują na brzegu jeziora i jedzą robaki, które woda wyrzuca na piach; przez cały dzień widać tam pas much wysoki na cal i szeroki na sześć stóp, okalający jezioro. Pas much długości stu mil! Jeżeli rzucić w nie kamieniem, unoszą się w górę, a rój ich jest tak gęsty, że wyglądają jak ciemna chmura. Można nie wiem jak długo trzymać taką muchę pod wodą; zupełnie jej to nie przeszkadza, jest co najwyżej dumna. A jak ją puścić, wyskakuje na powierzchnię sucha niczym sprawozdanie

urzędu patentowego i odchodzi sobie tak pogodna i niewzruszona, jakby ją specjalnie wytrenowano, żeby dostarczała człowiekowi poglądowych lekcji i zarazem rozrywki. Opatrzność nie pozostawia nic na los przypadku; wszystko ma swoje przeznaczenie, swój udział i właściwe miejsce w systemie gospodarczym natury: kaczki jedzą muchy; muchy jedzą robaki; Indianie jedzą kaczki, muchy i robaki; dzikie koty jedzą Indian; biali ludzie jedzą dzikie koty. I w ten sposób wszystko ślicznie się układa.

Jeziro Mono jest odległe od oceanu o sto mil w linii powietrznej i oddzielone dwoma łańcuchami gór, a mimo to tysiące mew przybywają tu co roku, żeby złożyć jaja i wysiedzieć małe. Można by się równie dobrze spodziewać mew w Kansas. Przy okazji warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden dowód mądrości natury. Wyspy na jeziorze są ogromnymi wypryskami lawy, pokrytymi popiołem i pumeksem i zupełnie pozbawionymi roślinności czy czegokolwiek, co by się nadawało na opał; a ponieważ jaja mew w stanie surowym są zupełnie bezużyteczne, natura zaopatrzyła największą z wysp w bezustannie bijące źródło wrzącej wody; wystarczy włożyć jaja do wrzątku, a po czterech minutach są twarde jak najzatwardzalsze serca. W odległości dziesięciu stóp od źródła z wrzątkiem bije źródło czystej i zimnej wody, słodkiej i smacznej. Jak widać, człowiek ma na tej wyspie życie i pranie za darmo – a gdyby natura posunęła się dalej i umieściła na wyspie miłego amerykańskiego portiera hotelowego, który byłby szorstki i niegrzeczny i nie wiedziałby nic o godzinach odjazdu pociągów ani o trasach kolejowych, ani w ogóle o niczym, i byłby jeszcze z tego dumny – ach, nie życzyłbym sobie lepszego pensjonatu.

Do jeziora Mono wpada kilka niewielkich strumieni górskich, ale nie wypływa z niego ani jeden jakiej bądź wielkości czy rodzaju. Poziom jeziora nie podnosi się i nie opada, jest to więc posepną i krwawą tajemnicą, co Mono robi z nadmiarem swoich wód.

W okolicach jeziora Mono istnieją tylko dwie pory roku: koniec jednej zimy i początek drugiej. Kilkakrotnie byłem świadkiem (w Esmeraldzie), jak dzień zaczynał się od upalnego ranka i o godzinie ósmej było na termometrze dziewięćdziesiąt stopni; i widziałem, jak przed godziną dziewiątą wieczór spadł śnieg i ten sam termometr wskazywał czterdzieści cztery stopnie w miejscu osłoniętym od wiatru. W małej miejscinie Mono śnieg pada przynajmniej raz w miesiącu – w najlepszym wypadku. Pogoda w lecie jest tak kapryśna, że dama wybierająca się na wizytę nie jest przygotowana na wszystkie okoliczności, jeżeli nie weźmie wachlarza pod jedną pachę, pod drugą zaś śniegowców. Gdy w dniu czwartym lipca ludzie idą na pochód, zwykle pada śnieg; mówiono mi, że jeśli mężczyzna w barze poprosi o poncz arakowy, gospodarz odrąbuje mu kawałek siekierką i zawija w papier. Mówiono mi również, że starzy pijanice w ogóle nie mają zębów — połamali je jedząc coctails dżynowe. Bynajmniej nie żyruję tego twierdzenia, sprzedają je tylko czytelnikowi za tyle, ile jest warte, a warte jest... hm, powiedziałbym, że grube miliony, jeżeli ktoś w nie uwierzy bez zbytniego wysiłku. Ale za śnieg w dniu czwartym lipca biorę odpowiedzialność, ponieważ wiem, że to prawda.

XXXIX. MPFFF! PRZEKŁĘTY PIEC TYLE ZNIKŁ!

O godzinie siódmej rano pewnego upalnego ranka (był środek lata), wsiedliśmy z Higbiem do łodzi i wyruszyli na odkrycie wysp. Od dawna chcieliśmy to zrobić, ale zatrzymywała nas obawa przed burzą; burze bywały tu bowiem częste i tak gwałtowne, że zwykła łódź jak nasza łatwo mogłaby się przewrócić, to zaś musiałyby się skończyć śmiercią najdzielniejszego nawet pływaka; gryząca woda wyżarłaby mu oczy jak ogień, a gdyby się zachłysnął, spaliłaby mu wnętrzności. Nazywało się, że w prostej linii odległość do wyspy wynosi dwanaście mil, co jak na wiosła było sporym szmatem drogi, ale ranek był tak pogodny i słoneczny, tafla jeziora zaś tak gładka i lśniąca, że nie mogliśmy się oprzeć pokusie. Napelniliśmy więc dwie bańki wodą (nie było nam bowiem znane położenie źródła, które biło jakoby na większej z wysp) i odbiliśmy od brzegu. Łódź płynęła szybko, poruszana stalowymi mięśniami Higbiego, ale gdy dotarliśmy na miejsce, oceniliśmy odległość raczej na piętnaście mil niż na dwanaście.

Przybiliśmy do dużej wyspy i zeszliśmy na brzeg. Chcieliśmy się napić wody z baniek, ale się zagrzała na słońcu; była tak niesmaczna, że wylawszy ją poszliśmy szukać źródła, albowiem pragnienie szybko przybiera na sile, gdy nie można go ugasić. Wyspa była długim, niezbyt wysokim pagórkiem popiołów – nic, tylko szare popioły i pumeks, w których brnęliśmy po kolana; dookoła zaś wierzchołka wznosiła się posepna ściana spękanej skały. Gdy dotarliśmy na szczyt i przedostali się na drugą stronę ściany, zobaczyliśmy płytki basen usłany popiołami i tu, i ówdzie łąkę miękiego piasku. W kilku miejscach wytryskiwały z rozpadlin skalnych malownicze strumienie pary, co dowodziło, że chociaż ten stary wulkan dawno już wygasł, tli się jeszcze resztką ognia w jego piecu. Tuż obok takiego strumienia pary stało jedyne, samotne drzewo wyspy, mała sosna o pięknym kształcie i nieskazitelnej symetrii; była jaskrawozielona, bo strumień pary bezustannie zwilżał jej gałęzie. Ten krzepki i piękny wyrzutek ze świata flory wyglądał dziwnie na tle wymarłego i posepnego otoczenia. Był niby wesoly duszek w domu żałoby.

Przetrasnęliśmy całą wyspę w poszukiwaniu źródła, przebyliśmy ją raz wzdłuż (około trzech mil) i dwa razy wszerz, wspinaliśmy się cierpliwie na pagórki popiołu i zjeżdżaliśmy z drugiej strony w pozycji siedzącej, wzbijając w górę tumany szarego pyłu. Ale nie znaleźliśmy nic prócz samotności, popiołów i posepnej ciszy. W końcu zerwał się wiatr i natychmiast zapomnieliśmy o pragnieniu, przejęci troską znacznie poważniejszą: jezioro było przedtem tak spokojne, że nie zadaliśmy sobie trudu należytego zabezpieczenia łodzi. Pobiegliśmy na miejsce, skąd było widać przystań i – ale żadne słowa nie zdołają opisać naszej rozpacz! Łódź zniknęła! A na całym jeziorze nie było prawdopodobnie drugiej. Sytuacja zrobiła się przykra, prawdę mówiąc, wręcz przerażająca. Staliśmy się więźniami na odludnej wyspie, w irytującej bliskości przyjaciół, którzy nie mogli nam pomóc. A sytuacja wydała się jeszcze straszniejsza, gdyśmy pomyśleli, że nie mamy ani wody, ani jedzenia. Ale niebawem spostrzeżliśmy łódź. Płynęła wolno, w odległości około pięćdziesięciu jardów od brzegu, podrygując na spienionych falach. Posuwała się bezustannie, ale wciąż w tej samej bezpiecznej odległości od lądu; szliśmy równolegle z nią czekając, aż los się nad nami ulituje. Po godzinie łódź zaczęła się zbliżać do małego cypla, Higbie pobiegł przodem, stanął na samym końcu cypla i przygotował się do wielkiej próby. Jeżeli nam się ta próba nie powiedzie, nie będzie dla nas ratunku! Łódź przybliżała się powoli do cypla, ale nie wiedzieliśmy, czy płynęła dość szybko, żeby się z nim zetknąć. Gdy zbliżyła się do Higbiego na odległość trzydziestu kroków, byłem tak przejęty, że słyszałem chyba bicie własnego serca. Kiedy w chwilę później

zdawało mi się, że za moment łódź minie Higbiego, zaledwie o jard poza zasięgiem jego ręki, miałem wrażenie, że serce przestaje mi bić, a gdy znalazła się tuż naprzeciwka niego i natychmiast zaczęła się oddalać, on zaś stał nieruchomy jak posąg – serce naprawdę przestało mi bić. Ale gdy w sekundę później skoczył i wylądował na sterze, z gardła wyrwał mi się radosny okrzyk, który zbudził ciszę!

Mój entuzjazm przygasł jednak, kiedy Higbie powiedział, że było mu obojętne, czy łódź przepłynie w odległości skoku, czy nie, byleby odległość nie wynosiła więcej niż osiem – dziesięć jardów, bo i tak postanowił zamknąć oczy i usta i rzucić się w pław. Co za głupiec ze mnie, że o tym nie pomyślałem! Przecież tylko długie przebywanie w wodzie musiałoby się skończyć fatalnie.

Fale biły o brzeg coraz gwałtowniej i burza wzmagająca się z każdą chwilą. Było już późno, trzecia, może czwarta po południu. Wahaliśmy się, czy zaryzykować przeprawę na ląd, czy też ją odłożyć. Ale pragnienie tak bardzo nam dokuczało, że w końcu postanowiliśmy spróbować. Higbie wziął wiosła, ja siadłem przy sterze. Gdy z trudem i mozolnie przepłynęliśmy milę, burza wzmożła się tak bardzo, że znaleźliśmy się teraz w poważnym niebezpieczeństwie. Fale były wysokie, przykryte czapami piany, niebo czarne od burzowych chmur, wichura porywista. Zawrócilibyśmy chętnie, ale nie mieliśmy odwagi przekreślić łodzi, bo stanąwszy w poprzek prądu mogłaby się przewrócić. Naszą jedyną nadzieją było płynąć z wiatrem. Wymagało to ogromnego wysiłku, tak bardzo łódź się zanurzała i tak silnie biła fale swoim podnoszącym się i opadającym dziobem. Od czasu do czasu jedno z wiosel Higbiego prześlizgiwało się po wierzchu, drugie zaś zmieniało kierunek łodzi o pół obrotu, mimo moich manipulacji sterem. Opryskiwały nas bezustannie bryzgi fal, a niekiedy woda wdzierwała się na pokład. Higbie był człowiekiem ogromnej siły, a mimo to zaczął po jakimś czasie odczuwać zmęczenie; chciał, żebym się z nim zamienił na miejsca i dał mu trochę odpocząć. Powiedziałem jednak, że to jest niemożliwe, bo gdybym chociaż na chwilę puścił ster, łódź natychmiast stanęłaby w poprzek fal i wywróciła się, a my w ciągu najdalej pięciu minut mielibyśmy w sobie setki galonów mydlin i zostalibyśmy tak prędko wyjedzeni od środka, że nie zdążylibyśmy nawet na śledztwo w sprawie naszej śmierci. Ale nic nie trwa wiecznie. Tuż po zapadnięciu zmroku wpadliśmy do zatoki dziobem w brzeg. Higbie rzucił wiosła, żeby wiwatować; ja rzuciłem ster, żeby mu pomóc; fala pchnęła łódź – łódź się przewróciła!

Niepodobna opisać bólu wywołanego przez zetknięcie się wody alkalicznej z zadrapaniami, oparzelinami i pęcherzami na rękach; tylko wysmarowanie całego ciała grubo tłuszczem przynosi ulgę. Mimo to piliśmy, jedli i spali dobrze tego wieczora.

Opisując osobliwości jeziora Mono powinienem był wspomnieć o malowniczych, smukłych wieżyczkach gruboziarnistej, białawej skały przypominającej wysuszone wapno w kiepskim gatunku, które pojedynczo i w skupiskach okalają całe jezioro; otóż odłamałem kawałek takiej skały i znalazłem w środku doskonale zachowane, skamieniałe mewie jaja, głęboko osadzone w skalnej masie. Jak się tam dostały? Stwierdzam tylko fakt, a niech czytelnik o zainteresowaniach geologicznych rozwikła w wolnej chwili tę mewią zagadkę i po swojemu ją wytłumaczy.

Po tygodniu wyruszyliśmy w góry na wyprawę rybacką i spędziliśmy kilka dni pod zaśnieżonym szczytem Castle Peak; łowiliśmy tam z wielkim powodzeniem pstrągi w miniaturowym jeziorku, które znajdowało się na wysokości blisko dwunastu tysięcy stóp nad poziomem morza. W upalne dni sierpniowe chłodziliśmy się siadając na łąkach śniegu głębokiego na dziesięć stóp; tuż pod krawędzią łąk śnieżnych rosła bujnie piękna trawa i delikatne kwiaty. W nocy mieliśmy niemalą rozrywkę zamarzając prawie na śmierć. Potem wróciliśmy nad Mono, a przekonawszy się, że „wapienne szaleństwo” chwilowo przycichło, zwinęliśmy obóz i powędrowali do Esmeraldy. Pan Ballou rozglądał się przez jakiś czas za czymś interesującym, ale uznawszy sytuację za kiepską wyruszył samotnie do Humboldt.

W tym mniej więcej czasie zdarzył się przypadek, który uważam za dość interesujący, po-

nieważ o mało co nie przyspieszył mojego pogrzebu. W okresie gdy spodziewano się ataku Indian na miasto, obywatele pochowali zapasy prochu strzelniczego w miejscach bezpiecznych, a jednak w razie potrzeby łatwo dostępnych. Nasz sąsiad ukrył sześć puszek prochu w piekarniku starego i od dawna nie używanego pieca kuchennego, który stał pod gołym niebem tuż obok drewnianej przybudówki czy też szopy – i od tamtej pory więcej o tym nie myślałem. Pewnego dnia wynajęliśmy do prania na pół oswojonego Indianina, który ulokował się ze swoją balią w przybudówce. Stary piec znajdował się w odległości zaledwie sześciu stóp od Indianina, toteż w pewnej chwili przyszło mu do głowy, że ciepła woda będzie lepsza od zimnej i podłożywszy ogień pod ów zapomniany arsenał postawił na blasze kocioł wody. Po tem wrócił do swojej balii. Po chwili wszedłem do szopy z kilku dodatkowymi sztukami odzieży i już miałem coś powiedzieć, gdy nagle piec wyleciał w powietrze z ogłuszającym hukiem i zniknął nie pozostawiając po sobie śladu. Trochę połamanych fragmentów spadło na ulicę w odległości dwustu jardów. Wybuch zerwał trzecią część dachu nad naszymi głowami, a jedna z fajerek przepołowiła mały pień stojący przed Indianinem, gwizdnęła między nami i zaryła się do połowy w deskach wewnętrznej ściany. Byłem biały jak płótno, słaby jak mucha i nie mogłem dobyć głosu. Ale Indianin nie pokazywał po sobie ani przestachu, ani zdenerwowania, ani nawet niezadowolenia. Przerwał tylko na chwilę pranie, wpatrzył się w pustą, wymiecioną do czysta przestrzeń, gdzie stał przed chwilą piec, i powiedział:

– Mpffff! Przeklęty piec tyle znikł!! – Po czym pochylił się znów nad balią z tak niewzruszonym spokojem, jak gdyby wylatywanie w powietrze było dla pieca rzeczą najzupełniej normalną. Muszę wyjaśnić, że „tyle” znaczy w indiańsko-angielskim żargonie „mnóstwo”. Czytelnik oceni zapewne niezwykłą wymowność owego zwrotu w tym kontekście.

XL. ŚLEPA ŻYŁA OBIECUJE MILIONY

Przystępuję teraz do opisanego osobliwego epizodu – chyba najosobliwszego, jaki urozmaicił moje dotąd gnuśne, bezwartościowe, lekkomyślne życie. Ze stoku wzgórze w wyżej położonej części miasta sterczała ściana czerwonej skały kwarcowej, będąca jakby odsłoniętym czubem srebronośnej żyły, która sięgała oczywiście głęboko w ziemię. Była to własność kopalni pod nazwą „Wide West”. Nieco poniżej samego czuba wykopano szyb głęboki na sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt stóp i wszyscy w osadzie znali kamień stamtąd wydobywany – dość zresztą bogaty, ale nie przedstawiający jakiegokolwiek szczególnej wartości. Muszę tu zaznaczyć, że chociaż dla człowieka niedoświadczonego i obcego rozmaite skały kwarcowe w jednej okolicy niczym się od siebie nie różnią, staremu mieszkańcowi osiedla górniczego wystarczy jeden rzut oka na stos kamieni, aby rozsortować odłamki i powiedzieć, z której kopalni który pochodzi; robi to zaś z taką łatwością, z jaką cukiernik wybiera i nazywa poszczególne cukierki z najbardziej zmieszanego stosu.

Nagle w mieście zawrzało jak w ulu. Używając żargonu górników, kopalnia „Wide West” „utrafiła bogato”. Wszyscy chcieli się naocznie przekonać o nowym rozwoju wypadków i przez kilka dni stał wokół szybu tak gęsty tłum, jakby się właśnie odbywał masowy wiec mieszkańców. Wszyscy w mieście mówili tylko o żyłce i wszyscy o niej myśleli i śnili. Każdy wynosił z kopalni próbkę, tłukł ją w ręcznym młoteczku, płukał w rogowej łyżce i oniemiały wpatrywał się w bajeczny rezultat swych zabiegów. Nie była to skała twarda, lecz czarny, spękany kamień, który kruszył się w rękę jak pieczony kartofel, a rozsypany na papierze błyszczał gęsto rozszanymi centkami złota i okruchami srebra. Higbie przyniósł do domu garść okruchów, a gdy je przepłukał, wpadł w nieopisane zdumienie. Akcje „Wide West” skoczyły gwałtownie. Rozeszła się pogłoska, że zarząd otrzymał kilka ofert kupna po tysiąc dolarów za stopę, ale szybko je odrzucił. Wszyscy byliśmy przed tym w dość melancholijnym nastroju, ale teraz wpadłem w melancholię barwy czarnej, ponieważ to nie ja byłem właścicielem „Wide West”. Świat wydał mi się ponury, a życie jednym pasmem niedoli. Straciłem apetyt, nic mnie nie interesowało. Mimo to musiałem siedzieć i patrzeć na radość innych, bo nie miałem pieniędzy, żeby się wydostać z osady.

Zarząd „Wide West” zabronił w końcu wynosić próbki, czemu trudno się dziwić, bo każda garść rudy warta była sporą sumę. Aby dać pojęcie o bogactwie tej rudy, wystarczy wspomnieć, że ładunek tysiąca sześciuset funtów rudy został sprzedany na miejscu, przy szybie, po dolarze za funt. Kupiec, który nabył rudę, powiózł ją przez góry na mułach do odległego o sto pięćdziesiąt czy dwieście mil San Francisco, wiedział bowiem, że mu się to stokrotnie opłaci. Zarząd kopalni polecił kierownikowi, aby nie wpuszczał do szybu nikogo z wyjątkiem miejscowych robotników. Snułem wciąż moje czarne myśli; Higbie też był zadumany, ale jego medytacje miały zupełnie inny charakter. Rozmyślał bezustannie o skale, badał ją przez lupę, oglądał w różnym oświetleniu i ze wszystkich możliwych stron, po każdym zaś oglądzinach wygłaszał niezmiennie tę samą opinię w niezmiennie tych samych słowach:

– To nie jest skała „Wide West”.

Wspomniał kilkakrotnie, że obejrzy szyb „Wide West”, chociażby go mieli przy okazji zastrzelić. Czułem się ohydnie i było mi najzupełniej obojętne, czy Higbie obejrzy ten szyb, czy nie. Pewnego dnia spróbował; nie udało mu się. Ponowił próbę w nocy, znowu mu się nie udało. Poszedł nad ranem, znowu wrócił z niczym. Wreszcie położył się w krzakach bylicy i czekał kilka godzin, aż dwaj czy trzej robotnicy zatrudnieni w kopalni przerwą pracę i pójdą w cień dużego głazu zjeść obiad; pierwsza próba zakradzenia się do szybu była przedwcze-

sna, bo jeden z robotników wrócił. Higbie spróbował drugi raz, ale gdy był już prawie u wylotu komina, inny robotnik wstał i wyjrzał zza głazu. Higbie przypadł do ziemi i leżał bardzo cicho. Po chwili przeczołgał się do samego zejścia, rozejrzał dokoła, chwycił sznur i zjechał w dół szybu.

Gdy zniknął w mroku bocznej odnogi, w otworze u góry pokazała się głowa i ktoś zawołał:

– Hej!

Higbie naturalnie nie odpowiedział. Nie przeszkadzano mu już więcej. W godzinę później wszedł do chaty zgrzany, czerwony i przejęty; drżał niemal z hamowanego podniecenia. Powiedział scenicznym szeptem:

– Wiedziałem! Jesteśmy bogaci! To ślepa żyła!

Świat dokoła mnie zawirował. Nieufność, wiara, zwątpienie, szaleńcza radość, nadzieja, zdumienie, pewność, wahanie – wszystkie możliwe uczucia przemknęły przez moje serce i głowę. Po kilku sekundach tej duchowej udręki otrząsnąłem się i powiedziałem:

– Powtórz to jeszcze raz!

– To jest ślepa żyła!

– Cal... spalmy dom... albo zabijmy kogoś! Chodźmy gdzieś, gdzie można wrzeszczeć i skakać z radości! Ale to nieprawdopodobne! Takie cuda się nie zdarzają!

– Mówię ci, że to jest najlepsza ze wszystkich żył na świecie! Nawis górny, podstawa, skała płonna – wszystko jak należy! – Zerwał z głowy kapelusz i trzy razy zawołał „hura”, a ja odegnałem precz wszelkie wątpliwości i zawtórowałem mu przeraźliwym wraskiem. Byłem bowiem milionerem i gwizdałem na to, co wypada, a czego nie wypada!

Ale czytelnikowi należy się trochę wyjaśnić. „Ślepa żyła” jest żyłą czy pokładem, który nie „wyrzuca” rudy na powierzchnię. Górnik nie wie, gdzie szukać takiej żyły, ale często natrafia na nią przypadkiem przy ryciu tunelu lub kopaniu komina. Higbie znał doskonale skałę „Wide West” i im baczniej obserwował rozwój wypadków, tym głębiej był przekonany, że bajecznie bogata ruda nie pochodzi z żyły „Wide West”. Doszedł więc do wniosku – on jeden w całym osiedlu – że szyb przeciął ślepą żyłę i że nawet właściciele „Wide West” nie zdają sobie z tego sprawy. Miał słuszność. Spuściwszy się na dno komina zobaczył, że ślepa żyła przecina ukośnie żyłę „Wide West” i że jest ujęta w otok wyraźnie zaznaczonej i rozwarstwionej skały płonnej. A więc – jest własnością publiczną! Ponieważ obie żyły rysowały się w skale bardzo wyraźnie, każdy kopacz mógł stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, która należy do „Wide West”, a która nie jest własnością kopalni.

W przekonaniu, że przyda nam się silny stronnik, tegoż jeszcze wieczoru zaprosiliśmy do naszej chaty kierownika kopalni i podzieliliśmy się z nim naszą wielką nowiną. Higbie powiedział:

– Bierzemy w posiadanie tę ślepą żyłę, zarejestrujemy ją i ustalimy tytuł własności, a potem zabronimy zarządowi kopalni „Wide West” wydobywać rudę z szybu. Nie może pan niczym pomóc swojej kopalni... nikt tu już nic nie pomoże. Zejdziemy razem do szybu i udowodnię panu, że to jest ślepa żyła. Proponujemy wziąć pana do spółki i zgłosić żyłę w imieniu nas trzech. Co pan na to powie?

Co mógł powiedzieć człowiek, który sięgnąwszy ręką miał bogactwo – nic przy tym nie ryzykując, nie krzywdząc nikogo i w najmniejszym nawet stopniu nie narażając na szwank swojego dobrego imienia? Mógł tylko powiedzieć: „Zgoda!”

Jeszcze tego wieczoru wywiesiliśmy zawiadomienie o przejęciu żyły na własność i przed godziną dziesiątą formalnie zgłosiliśmy nasze roszczenie w urzędzie rejestracyjnym. Zastrzeżliśmy sobie po dwieście stóp każdy – razem sześćset stóp. Była to najmniejsza i najbardziej sprężysta organizacja w całym okręgu – i najłatwiejsza do zarządzania.

Nikt się chyba nie spodziewa, że spaliśmy tej nocy. O dwunastej położyliśmy się do łóżek, ale tylko po to, żeby myśleć, marzyć, planować. Zapadająca się chata bez podłogi była pałacem, strzępy szarych koców – jedwabnymi kołdrami, drewniane stołki – sprzętami z drzewa

różanego i mahoni. Ile razy nowy piękny obraz wyłonił się z mojej wizji przyszłości, tyle razy albo przewracałem się na łóżku, albo podrywałem do pozycji siedzącej, jakby mnie ktoś podłączył do baterii elektrycznej. Od czasu do czasu padało między nami kilka zdań. W pewnej chwili Higbie powiedział:

- Kiedy wrócisz do Stanów?
- Jutro! – odparłem robiąc kilka ewolucji, które skończyły się w pozycji siedzącej. – Jutro nie... ale najpóźniej w przyszłym miesiącu.
- Pojedziemy tym samym statkiem.
- Zgoda. Milczenie.
- Statkiem odpływającym dziesiątego?
- Dobrze. Nie! Pierwszego.
- Zgoda. Znowu milczenie.
- Gdzie będziesz mieszkał? – spytał Higbie.
- W San Francisco.
- Ja też! Milczenie.
- Za wysoko... za dużo łażenia pod górę.
- Co jest za wysoko?
- Myślałem o Russian Hill... żeby sobie tam wybudować dom.
- Za wysoko? Za dużo łażenia pod górę? To nie kupisz powozu?
- Racja. Zapomniałem. Milczenie.
- Cał, jaki sobie dom wybudujesz?
- Właśnie o tym myślałem. Dwa piętra i poddasze.
- Ale w jakim stylu?
- Czy ja tam wiem? Chyba z cegły...
- Z cegły – też pomysł!
- Dlaczego? A ty?
- Front z piaskowca... kryształowe szyby w weneckich oknach... obok jadalnego pokój bilardowy... rzeźby i malowidła... ogród z trawnikiem, najmniej dwa akry... cieplarnie... żelazna figura psa przy drzwiach frontowych... siwe konie... lando i stangret w liberii.
- Ha!
- Długie milczenie.
- Cał, kiedy pojedziesz do Europy?
- Hm... jeszcze o tym nie myślałem. A ty kiedy się wybierasz?
- Na wiosnę.
- Zostaniesz całe lato?
- Całe lato! Zostanę w Europie najmniej trzy lata!
- Nie... poważnie mówisz?
- Najpoważniej w świecie.
- Pojadę z tobą.
- Koniecznie.
- Jakie kraje w Europie zwiedzisz?
- Wszystkie. Francję, Anglię, Niemcy, Hiszpanię, Włochy, Szwajcarię, Syrię, Grecję, Palestynę, Arabię, Persję, Egipt – wszystkie kraje.
- Ja też.
- Naturalnie.
- Ale to będzie fajna podróż!
- Wydamy kilkadziesiąt tysięcy dolarów, więc powinna się chyba udać.
- Znowu długie milczenie.
- Higbie, jesteśmy winni rzeźnikowi sześć dolarów i grozi, że nam więcej nie...
- Do diabła z rzeźnikiem!

– Amen.

I tak dalej, i dalej. O godzinie trzeciej nad ranem zrozumieliśmy, że to nie ma sensu, wsta-
liśmy więc i doczekali świtu paląc fajki i grając w karty. W tym tygodniu na mnie wypadła
kolej gotowania; nigdy nie lubiłem tego zajęcia, teraz było mi wręcz nienawistne.

Wiadomość obiegła już miasto. Jeżeli przedtem ludzie byli podnieceni, teraz wpadali w
szał. Przechadzałem się po ulicach pogodny i szczęśliwy. Higbie mówił, że kierownikowi
proponowano dwieście tysięcy dolarów za jego udział w kopalni. Powiedziałem, że chciał-
bym się widzieć, jak sprzedaję swój udział za tak śmieszoną cenę. Sięgałem myślami dużo
wyżej. Moją cyfrą był okrągły milion. Ale jestem szczerze przekonany, że gdyby mi ktoś
wtedy ofiarował milion, miałoby to tylko taki skutek, że czekałbym na wyższą ofertę.

Było mi z tym bogactwem ogromnie przyjemnie. Jeden handlarz chciał mi sprzedać konia
wartości trzystu dolarów i zadowalał się moim podpisem, nawet bez zryta. Dopiero ten fakt
uzmysłowił mi z całą wyrazistością, że jestem bogaty, ponad wszelką wątpliwość bogaty.
Miałem na to mnóstwo innych dowodów; między innymi powinienem chyba wspomnieć o
rzeźniku, który przysłał nam podwójną porcję mięsa i ani słowem nie napomknął o pienią-
dzach.

Obowiązujące przepisy żądały, aby ci, co roszczą sobie prawo do własności żyły kruszco-
wej, dokonali w ciągu dziesięciu dni od objęcia w posiadanie swojego nowego obiektu pew-
nych prac, gdyż inaczej następował przepadek mienia i każdy, kto chciał, mógł je przejąć po
upływie tego terminu. Postanowiliśmy więc nazajutrz przystąpić do pracy. Gdy późnym po-
południem wychodziłem z poczty, spotkałem pana Gardinera i dowiedziałem się od niego, że
kapitan John Nye jest poważnie chory, że leży u siebie na Rancho Dziewiętej Mili i że on,
Gardiner, wraz z żoną kapitana nie mogą zapewnić choremu takiej opieki, jakiej jego stan
wymaga. Powiedziałem, że jeśli zaczeka na mnie chwilę, pojedę z nim i pomogę pielęgnować
kapitana. Pobiegłem do domu, żeby zawiadomić Higbiego. Nie zastałem go, napisałem więc
kilka słów i zostawiłem kartkę na stole. W dziesięć minut później wyjechałem z miasta wo-
zem Gardinera.

XLI. ZAŚLEPIENI ŚLEPĄ ŻYŁĄ

Kapitan Nye istotnie chorował, złożył go ciężki atak reumatyzmu. Ale starszek był sobą, to jest, był dobrotliwy i miły, kiedy czuł się dobrze; wpadał zaś w najdzikszą pasję, kiedy coś szło nie po jego myśli. Uśmiechał się pogodnie, ale gdy raptem chwycił go nowy atak, uśmiech nikł w napadzie furii. Kapitan stękał, wył, jęczał z bólu i napępiał stare kąty najbardziej wymyślnymi przekleństwami, jakie żywa fantazja i głębokie przekonanie mogły mu podsunąć. W warunkach sprzyjających umiał kłać bardzo ładnie i operował przymiotnikami z umiarem, ale gdy go chwyciły bóle, aż przykro było słuchać, jak wszystko mieszał i płał. Widziałem jednak kiedyś, jak sam pielęgnował chorego towarzysza i jak cierpliwie znosił wszystkie przykrości z tym związane, uważałem więc, że kiedy przyszła jego kolej, powinien sam korzystać z pełnych przywilejów chorego. Zresztą te jego wrzaski i wymysły zupełnie mi nie przeszkadzały, bo moje myśli były dokładnie zaprzątnięte i pracowały nadzwyczaj sprawnie, noc i dzień – czy ręce były czymś zajęte, czy odpoczywały. Zmieniałem i uzupełniałem plany mojego domu i zastanawiałem się, czy nie lepiej umieścić pokój bilardowy na poddaszu zamiast na tym samym piętrze co jadalnia. Rozmyślałem dużo i nie mogłem się zdecydować, czy wybiorę kolor niebieski, czy zielony na obicie w salonie, bo wołałem niebieski, ale uważałem, że zielony byłby praktyczniejszy ze względu na słońce i kurz; chociaż postanowiłem ubrać stangreta w skromną liberię, nie byłem jednak pewny, co zrobię z lokajem... naturalnie lokaj był mi potrzebny, ale wołałbym, żeby wykonywał swoje obowiązki w zwykłym ubraniu, bo bałem się zbyt ostentacji; z drugiej strony mój zmarły dziadek miał stangreta i tak dalej, ale jego służba nie nosiła liberii, czułem się więc w obowiązku go zdystansować, czy też raczej zdystansować jego ducha. Układałem też szczegółowy plan podróży po Europie i zdołałem w końcu ustalić trasy i czas pobytu w różnych miejscowościach, z jednym tylko wyjątkiem: nie byłem jeszcze zdecydowany, czy z Kairu do Jerozolimy przeprawię się przez pustynię na wielbłądach, czy też pojedę morzem do Bejrutu i stamtąd dalej karawaną. Jednocześnie pisałem i wysyłałem listy do przyjaciół w rodzinnym mieście; wtajemniczyłem ich w swoje plany i zamiary, zleciłem, żeby wyszukali ładny dom dla mojej matki i umówili cenę jeszcze przed moim przyjazdem i wreszcie prosiłem, żeby sprzedali mój udział w gruntach położonych w Tennessee i przekazali otrzymaną sumę na fundusz wdów i sierot związku drukarzy, którego członkiem byłem od dawna. (Te grunty w Tennessee znajdowały się od wielu lat w posiadaniu mojej rodziny i wszystko wskazywało na to, że przyniosą nam kiedyś wielkie bogactwo; do dziś wszystko na to wskazuje, ale już nie tak wyraźnie).

Dziewiątego dnia chory poczuł się lepiej, ale był bardzo osłabiony. Po południu przenieśliśmy go na krzesło i zastosowaliśmy alkoholową kąpiel parową, po czym z powrotem mieliśmy go przenieść na łóżko. Musieliśmy bardzo uważać, bo najłżejszy wstrząs powodował ból. Gardiner wziął go pod pachy, ja za nogi; w pewnej niefortunnej chwili potknąłem się i pacjent upadł ciężko na łóżko. Nigdy w życiu nie słyszałem, żeby ktoś tak kłał. Kapitan wpadł w szal i chciał pochwycić rewolwer ze stolika, ale go uprzeciłem. Kazał mi natychmiast opuścić dom i zaklinał się, że jak tylko ozdrowieje, zabije mnie przy pierwszej okazji. Był to tylko przemijający atak furii i wiedziałem, że za godzinę starszek o wszystkim zapomni, a nawet będzie się może wstydził swojego wybuchu. Ale przyznaję, że trochę mnie zirytował; do tego stopnia, iż postanowiłem wrócić do Esmeraldy. Pomyślałem, że skoro wkroczył na ścieżkę wojenną, da sobie beze mnie radę. Zjadłem kolację i gdy tylko wzeszedł księżyc, puściłem się w dziewięćmiłową pieszą wędrówkę do domu. W tamtych czasach nawet milionerzy nie dosiadali koni wybierając się na dziesięćmiłową przechadzkę bez bagażu.

Gdy wchodziłem na szczyt wzgórza, skąd roztaczał się widok na osadę, była za piętnaście dwunasta. Spojrzałem na pagórek po drugiej stronie kanionu i w blasku księżyca zobaczyłem chyba połowę ludności miasta stłoczoną wokół kopalni „Wide West”. Serce radośnie skoczyło mi w piersi i powiedziałem sobie, że pewnie natrafili dzisiaj na nową żyłę, może jeszcze bogatszą. Już skierowałem kroki w tamtą stronę, ale pomyślałem, że zdążę zobaczyć jutro, a jak na jeden wieczór – i tak dość się nachodziłem. Kiedy w drodze przez miasto mijalem małą piekarnię niemiecką, wybiegła przed dom kobieta błagając, żebym jej pomógł. Płakała, że mąż ma atak szału. Wszedłem i zobaczyłem, że kobieta nie przesadziła – powiedziałbym raczej, że piekarz miał sto ataków szału naraz. Dwaj Niemcy próbowali go przytrzymać, ale z kiepskim skutkiem. Pobiegłem po doktora, wyciągnąłem go z łóżka i na pół ubranego przyprowadziłem do piekarni. Teraz we czwórkę siłowaliśmy się z szaleńcem i doktor przez godzinę wlewał w niego lekarstwa i puszczał krew, podczas gdy biedna Niemka wzięła na siebie płkanie. W końcu chory uspokoił się, wyszliśmy więc z doktorem i pozostawiliśmy chorego pod opieką przyjaciół.

Było teraz kilka minut po pierwszej. Gdy otworzyłem drzwi do chaty, zobaczyłem w chwiejnym płomieniu świeczki łojowej Higbiego; siedział przy stole sosnowym wpatrując się tępo w moją kartkę, którą trzymał w nieruchomych palcach; był blady, poszarzały, twarz miał zapadniętą. Stałem i patrzyłem na niego. On wpatrywał się we mnie nieruchomymi oczami. Spytałem:

– Higbie, co... co się stało?

– Jesteśmy zrujnowani... nie wykonaliśmy prac... nasze prawa do ślepej żyły wygasły!

To mi wystarczyło. Usiadłem nagle osłabły, przybity, zrozpaczony. Zaledwie przed minutą byłem bogaty i roznosiła mnie pycha; teraz byłem biedakiem, spokorniałym biedakiem. Milczeliśmy przez godzinę zaprzątnięci własnymi myślami, zaprzątnięci czynieniem sobie w duchu próżnych i daremnych wymówek i stawianiem retorycznych pytań: „Dlaczego nie zrobiłem tego... dlaczego nie zrobiłem tamtego?” Potem nagle zaczęliśmy mówić i wyjaśniła się tajemnica. Otóż Higbie liczył na mnie, tak jak ja liczyłem na niego i jak obaj liczyliśmy na naszego współnika. Co za lekkomyślna głupota! Zdarzyło się pierwszy raz, że solidny i obojętny Higbie pozostawił ważną sprawę na los przypadku czy też zlekceważył ciężącą na nim część odpowiedzialności.

Ale kartkę moją widział po raz pierwszy, bo od naszego ostatniego spotkania pierwszy raz wszedł do chaty. On też zostawił dla mnie kartkę, tego samego fatalnego popołudnia; podjechał konno, spojrzał przez okno i nie zobaczył mnie, a ponieważ bardzo się śpieszył, wrzucił kartkę do środka przez stłoczoną szybę. Leżała dotąd na podłodze, tam gdzie upadła dziewięć dni temu.

„Zrób wszystko, co trzeba, przed upływem dziesięciu dni. W. dał mi znać, że przejeżdża przez miasto. Spotkamy się nad Mono i dziś wieczorem wyruszamy dalej. Powiada, że ją tym razem pewno znajdzie. Cał”.

„W”, czyli naturalnie Whiteman – po trzykroć przeklęta żyła wapienna!

Tak to wyglądało. Higbie, stary kopacz, nie mógł się oprzeć pokusie tajemniczej wyprawy w rodzaju tego szaleństwa wapiennego, tak jakby się nie mógł oprzeć pokusie jedzenia, gdyby umierał z głodu. Od miesięcy marzył o cudownej wapiennej żyłce; i teraz wbrew rozsądkowi wyjechał licząc, że sam zdołam zabezpieczyć kopalnię wartości miliona nie odkrytych wapiennych żył! Tym razem nikt ich nie śledził. Wyjazd z miasta w biały dzień był czymś tak naturalnym, że nikt nie zwrócił na to uwagi. Przez dziewięć dni na próżno przeszukiwali najdziksze partie gór; nie znaleźli wapiennej żyły. Potem nagle ogarnął Higbiego paniczny lęk, że coś mi przeszkodziło w dokonaniu koniecznych prac (choć w gruncie rzeczy wydawało mu się to zupełnie nieprawdopodobne) i natychmiast puścił się w drogę powrotną do osady. Przyjechałby do Esmeraldy na czas, ale koń mu okulał i Higbie część drogi musiał odbyć pieszo. Zdarzyło się więc, że gdy ja wchodziłem do Esmeraldy jedną drogą, on wchodził drugą.

Miał jednak więcej energii, bo udał się prosto do „Wide West” i przybył o pięć czy dziesięć minut za późno! Zawiadomienie było już wywieszona, „przejęcia własności” naszej kopalni dokonano formalnie i tłum zaczynał się rozchodzić. Zanim Higbie odszedł, zebrał garść informacji. Naszego wspólnika nie widziano w mieście od dnia przejęcia przez nas własności kopalni; powiadano, że dostał telegram i pojechał do Kalifornii w jakiejś sprawie o życiowym znaczeniu. Tak czy inaczej, nie przeprowadził żadnych prac i czujne oko społeczności nie omieszkalo tego zauważyć. O północy nieszczęsnego dziesiątego dnia kopalnia stawała się znów niczyja i już o jedenastej wzgórze zaroilo się od mężczyzn gotowych „przejąć posiadanie”. Widziałem z daleka ten tłum i wyobrażałem sobie, nieszczęsny głupiec, że odkryto nową żyłę! (My trzej mieliśmy takie same jak wszyscy prawa do „przyjęcia własności”, pod warunkiem, że zdążylibyśmy na czas). Gdy północ wybiła, czternastu mężczyzn, uzbrojonych i gotowych pistoletami poprzeć swoje roszczenia, wywiesiło zawiadomienie i obwołało się właścicielami ślepej żyły pod nową nazwą kopalni „Johnson”. Ale A. D. Allan, nasz wspólnik (dawny kierownik kopalni „Wide West”), zjawił się nagle z odbezpieczonym rewolwerem w rękę i zażądał, żeby wpisano jego nazwisko na listę, bo w przeciwnym razie „ubędzie kilku właścicieli «Johnsona»”. Był to dzielny, wspaniały, zdecydowany na wszystko człowiek i ludzie wiedzieli, że nie ma z nim żartów, doszło więc do kompromisu. Nowi właściciele wpisali na listę jego nazwisko i odstąpili mu sto stóp zachowując dla siebie przyjęte zwyczajem dwieście stóp każdy. Taki był przebieg wypadków, jak go opowiedział w drodze do domu pewien przyjaciel Higbiego.

Nazajutrz, wyruszyliśmy wraz z Higbiem na nową wyprawę górniczą – radzi, że możemy uciec ze sceny naszych udręk i męczarni – i po dwóch miesiącach ciężkiej pracy i rozczarowań wróciliśmy do Esmeraldy. Dowiedzieliśmy się, że towarzystwa „Wide West” i „Johnson” połączyły się; że pakiet akcji połączonych towarzystw obejmuje pięć tysięcy stóp, czyli akcji; że nasz dawny wspólnik, obawiając się nużących sporów prawnych i kłopotów z tak ogromną organizacją sprzedał swoje sto stóp za dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów w złocie i wrócił do Stanów. W głowie mi się mąci, jak o tym pomyślę, bo jeżeli „stopy” były warte tak zawrotną sumę przy pięciu tysiącach akcji w spółce, ile byłyby warte przy naszych początkowych sześciuset! Była to taka różnica jak między domem zamieszkanym przez sześciuset ludzi – a domem zamieszkanym przez pięć tysięcy ludzi. Gdybyśmy wzięli kilofy i szpadle i przepracowali na naszej posiadłości choć jeden dzień, byłibyśmy milionerami!

Cała ta historia wygląda na zmyśloną przez człowieka o wybujałej fantazji, ale zeznania licznych świadków oraz zapisy w księgach rejestracyjnych okręgu Esmeralda potwierdzają jej prawdziwość. Do końca życia mogę się chwalić, że przez dziesięć dni byłem najautentyczniejszym milionerem.

Przed rokiem mój szacowny i powszechnie szanowany wspólnik w milionerstwie, Higbie, napisał do mnie z jakiejś zapadłej osady górniczej gdzieś w Kalifornii, że po dziewięciu czy dziesięciu latach ciężkiej pracy i borykania się z losem uciułał wreszcie dwa i pół tysiąca dolarów, i że ma zamiar zająć się teraz handlem owocami na małą skalę. Jakżeby się czuł obrażony, gdyby mu to ktoś przepowiedział owej nocy, kiedy leżeliśmy w naszej chacie planując podróż po Europie i domy z piaskowca na Russian Hill.

CZEŚĆ DRUGA

I. ZOSTAJĘ REDAKTOREM

Co robić dalej? Było to trudne i ważne pytanie. Poszedłem w świat mając lat trzynaście, bo mój ojciec poręczył za przyjaciół, a chociaż zostawił nam hojny legat dumy rodowej (pochodził ze starej rodziny wirgińskiej), przekonałem się bardzo prędko, że samo to dziedzictwo nie wystarczy mi do życia i że od czasu do czasu muszę je zagryzać kawałkiem chleba. Zarabiałem na życie wykonując rozmaite zawody, nikogo jednak nie oszołomiły moje sukcesy. Ale lista możliwości wciąż przede mną leżała i miałem swobodę wyboru pod warunkiem, że zechcę pracować – a jako były milioner nie paliłem się naturalnie do pracy. Byłem kiedyś przez jeden dzień sprzedawcą w sklepie spożywczym, ale zjadłem tyle słodczy, że właściciel mi wymówił; powiedział, że woli mnie mieć jako klienta. Przez cały tydzień studiowałem prawo, lecz przedmiot ten tak mi się wydał prozaiczny i nudny, że po tygodniu rzuciłem studia. Oddawałem się przelotnie studiom kowalskim, ale traciłem tyle czasu na obmyślanie sposobu takiego ustawienia miechów, żeby same dęły, że majster wyrzucił mnie z kuźni, przepowiadając mi smutny koniec. Byłem subiektem w księgarni, tu jednak klienci tak mi zawracali głowę, że nie mogłem czytać, i właściciel dał mi urlop zapominając powiedzieć, kiedy mam wrócić do pracy. Przepracowałem kiedyś część lata jako pomocnik w aptece, ale moje recepty jakoś nie miały szczęścia: sprzedawaliśmy więcej sond żołądkowych niż wody sodowej. Musiałem więc odejść. Byłem niezłym drukarzem; przykładałem się do pracy w przekonaniu, że pewnego dnia zostanę drugim Beniaminem Franklinem, ale nigdy do tego nie doszło. W drukarni „Związkowca” w Esmeraldzie nie potrzebowano pracownika, a zresztą byłem tak powolnym zecerem, że spoglądałem z zazdrością na osiągnięcia czeladników po dwóch latach terminu, kiedy zaś brałem rękopis do składania, majstrowie rzucali uszczypliwe uwagi w rodzaju: „będzie pewnie gotowy w ciągu jakiegoś roku”. Byłem zupełnie dobrym pilotem na Missisipi i nie wstydziłem się osiągnąć w tym zawodzie; dostawałem dwieście pięćdziesiąt dolarów miesięcznie i wikt, a teraz wiele bym dał za to, żeby znów stanąć za sterem i nigdy, nigdy więcej nie włączyć się po świecie. Ale w listach do domu zrobiłem z siebie takiego osła i napisałem tyle bombastycznych bzdur o mojej ślepej żyle i podróżach do Europy, że musiałem postąpić teraz dokładnie tak, jak postępuje wielu biednych zawiedzionych kopaczy. Powiedziałem sobie: „To już koniec. Nie wrócę nigdy do domu, żeby się nade mną litowano i patrzono na mnie z góry”. Byłem prywatnym sekretarzem, poszukiwaczem srebra i hutnikiem i nie osiągnąłem absolutnie nic, a teraz...

Co robić dalej?

Uległem Higbiemu i zgodziłem się jeszcze raz spróbować. Poszliśmy wysoko w góry i rozpoczęliśmy pracę na małej działce należącej do nas, gdzie był komin głęboki na sześć czy osiem stóp. Higbie zszedł na dół pracując dzielnie kilofem i obruszył sporo kamieni i ziemi, wtedy ja zszedłem z łopatą na długim kij (najohydniejsze narzędzie, jakie wymyślił dotąd człowiek), żeby wybrać rumowisko. Trzeba popychać łopatę kolanem, dopóki się jej nie napelni, wtedy zaś zręcznym zamachem przez lewe ramię wyrzucić zawartość poza otwór kolumny. Zamachnąłem się i stos kamieni wylądował nad samym brzegiem otworu, po czym natychmiast wszystko wróciło mi na głowę i plecy. Nie pisałem ani słowa, tylko wygramoliłem się z kolumny i poszedłem do domu. Powiedziałem sobie, że prędzej umrę z głodu, niż zrobię znów z siebie cel, w który będę ciskał kamieniami z łopaty na długim drągu. Usiadłem w chacie i oddałem się, aby tak rzec, solidnej rozpaczce.

W dniach pogodniejszych pisywałem dla zabawy korespondencje do największego dziennika Newady, do wydawanej w Virginia City „Gazety Terytorialnej”, a ilekroć moje „dzieła”

ukazywały się w druku, odczuwałem nie lada zdziwienie. Redaktorzy „Gazety”, o których miałem początkowo wysokie mniemanie, coraz niżej spadali w moich oczach; wydawało mi się, że mogliby zapełnić szpalty lepszym materiałem niż moje wypociny. Wracając z gór odebrałem z poczty list, ale otworzyłem go dopiero po dłuższych posepnych medytacjach. Eureka! (Nie mam pojęcia, co to znaczy „eureka”, ale uważam, że jest to słowo bardzo właściwe, kiedy inne pięknie brzmiące jakoś człowiekowi nie przychodzą do głowy). Była to formalna propozycja przyjazdu do Virginia City i objęcia pracy reportera miejskiego z pensją DWUDZIESTU PIĘCIU DOLARÓW tygodniowo.

W czasach ślepej żyły wyzwałbym chyba redaktora na pojedynek; teraz miałem ochotę paść przed nim na kolana. Dwadzieścia pięć dolarów na tydzień! Była to fortuna, grzeszne i rozrzutne marnotrawienie pieniędzy. Ale entuzjazm ostygł nieco, gdy pomyślałem o moim braku doświadczenia, a co za tym idzie, o braku kwalifikacji na to stanowisko; natychmiast też przesunął mi się przed oczami długi korowód życiowych porażek. Gdybym jednak odrzucił propozycję, w niedługim czasie musiałbym się stać dla kogoś ciężarem, co ze zrozumiałych względów budziło wstęt w mężczyźnie, który od trzynastego roku życia nie doznawał tego rodzaju upokorzeń. Niewielki to powód do dumy, ale dla mnie jedyny, jaki wtedy miałem, i w ten sposób, z czystego strachu, stałem się reporterem miejskim. W innym wypadku na pewno bym odrzucił propozycję. Potrzeba jest matką ryzykownych decyzji. Nie wątpię, że gdyby mi zaproponowano wtedy honorarium za przetłumaczenie Talmudu z oryginalnej hebrajskiej wersji, zgodziłbym się – chociaż nie bez lęku i złych przeczuc – i dołożyłbym wszelkich starań, żeby urozmaicić przekład.

Pojechałem do Virginia City i rozpocząłem pracę w nowym zawodzie. Wyznaję szczerze, że byłem dość osobliwie wyglądającym reporterem miejskim: bez marynarki, w kapeluszu o szerokim rondzie, w niebieskiej wełnianej koszuli, w spodniach wpuszczonych w cholewy wysokich butów, z brodą opadającą na pierś i ogromnym marynarskim rewolwerem wiszącym u pasa. Postarałem się jednak o bardziej cywilizowane odzienie i zrezygnowałem z noszenia rewolweru. Nie zdarzyło mi się jeszcze zabić nikogo i nigdy nawet nie miałem na to ochoty, ale nosiłem broń z szacunku dla powszechnie panującego obyczaju i żeby nie rzucać się zbyt w oczy i nie zachęcać ludzi do obraźliwych uwag. Ale inni redaktorzy i drukarze nie rozstawali się z bronią. Poprosiłem naczelnego redaktora i właściciela pisma (nazwę go panem Goodmanem, gdyż to nazwisko określa go lepiej niż jakiegokolwiek inne) o kilka wskazówek dotyczących moich obowiązków. Pan Goodman powiedział, że bym chodził po mieście i zadawał najrozmaitszym ludziom najrozmaitsze pytania, notował informacje i na ich podstawie pisał artykuły do druku. Na zakończenie dodał:

– Niech pan nigdy nie pisze: „Dowiadujemy się, że”... albo: „Jak nam wiadomo...” czy: „Mówi się, że...”, czy wreszcie „Doniesiono nam, że...”, tylko niech pan zawsze dociera do samego źródła, niech pan zdobywa niezbite fakty i potem pisze: „Taka a taka rzecz przedstawia się tak a tak”. Inaczej czytelnicy nie będą mieli zaufania do pańskich wiadomości. Tylko dzięki niezachwianej pewności informacji dziennik zdobywa u ludzi dobrą reputację.

Oto cały problem. I po dziś dzień, gdy natrafię na artykuł zaczynający się od słów „Jak nam wiadomo...” budzą się we mnie podejrzenia, że reporter nie zadał sobie trudu dotarcia do źródła informacji. Moralizować potrafię, ale kiedy sam byłem reporterem, nie zawsze wcieślałem w życie piękne zasady; zbyt często pozwalałem wyobraźni brać górę nad faktami, zwłaszcza gdy była posucha na wiadomości. Nie zapomnę nigdy mojego pierwszego dnia w zawodzie reporterskim. Chodziłem po mieście zasypując ludzi pytaniami, zanudzając wszystkich na śmierć – po to tylko, żeby się przekonać, że nikt nic nie wie. Po pięciu godzinach kartki mojego notatnika były wciąż dziewiczo czyste. Zwróciłem się do pana Goodmana. Powiedział:

– W czasach posuchy, kiedy nie było pożarów ani morderstw, Dan zapychał dziury transportami siana. Nie przyjechały jakieś wozy z sianem z Truckee? Jeżeli przyjechały, może pan

napisać o nowym ożywieniu i tak dalej w handlu sianem. Nie jest to naturalnie wiadomość ani sensacyjna, ani podniecająca, ale zapełnia szpalty i wygląda poważnie.

Znowu zacząłem przebiegać ulice i w końcu znalazłem jeden stary, nędzny wóz wiozący siano ze wsi do miasta. Ale zrobiłem z tego wozu dobry użytek. Pomnożyłem go przez szesnastcie, kazałem mu wjechać do miasta z szesnastu różnych stron i napisałem na ten temat artykuł o szesnastu akapitach stwarzając atmosferę takiego ożywienia w handlu sianem, jakiego nie przeżywano jeszcze w Virginia City.

Ten początek był dość zachęcający. Musiałem wypełnić dwie kolumny nonparelem. Niebawem, gdy sytuacja znowu wyglądała dość posepnie, jakiś *desperado* zabił człowieka w barze. Natychmiast wrócił mi dobry humor i ochota do życia. Chyba nigdy drobna sprawa nie przysporzyła mi tak wiele radości. Powiedziałem mordercy:

– Panie, nie znamy się, ale wyświadczyłeś mi dziś uprzejmość, której ci nigdy nie zapomnę. Jeżeli wdzięczność hodowana w sercu przez długie lata będzie dla ciebie choć częściową rekompensatą, tobie ją dedykuję. Byłem w ciężkich terminach i tyś mnie z nich wybawił, kiedy ginąłem w mroku beznadziejności. Uważaj mnie od dziś za swego przyjaciela, bo ja nie zapominam dowodów ludzkiej dobroci.

Jeżeli mu tego nie powiedziałem, to w każdym razie miałem nieprzepartą chęć powiedzieć. Z żarłocznością człowieka wygłodniałego opisałem wszystkie najdrobniejsze szczegóły morderstwa, a gdy skończyłem, miałem w sercu tylko jeden żal: że nie powieszono mojego dobroczyńcy na miejscu, bo byłoby wtedy więcej do pisania.

Następnie zobaczyłem wozy emigrantów rozbijających obóz na placu i dowiedziałem się, że przejeżdżali przez terytorium wrogo usposobionych szczepów indiańskich i mieli dość ciężką przeprawę. Opracowałem tą wiadomość najlepiej, jak mi pozwalały okoliczności, ale miałem wewnętrzną pewność, że gdybym nie był skrupowany obecnością reporterów innych pism, dodałbym pewne szczegóły, które urozmaiciłyby artykuł. W każdym razie znalazłem jeden wóz, który bez zatrzymania jechał dalej do Kalifornii i ostrożnie wypytałem właściciela. Kiedy wywnioskowałem z jego krótkich i kwaśnych odpowiedzi na moje pytania, że na pewno wyjeżdża z miasta i nic mi jutro z jego strony nie grozi, pobiłem na głowę innych reporterów, gdyż spisałem nazwiska osób, jakie z nim jechały, i dodałem je do listy zabitych i rannych. Mając tu zaś większą swobodę działania, przeprowadziłem jego wóz przez walkę z Indianami, która po dziś dzień nie ma sobie równej w historii.

Wypełniłem swoje dwie kolumny. A czytając je nazajutrz rano zrozumiałem, że oto jest zawód, do którego zostałem stworzony. Tłumaczyłem sobie w duchu, że dla dziennika najważniejsze są wiadomości, interesujące wiadomości, i że właśnie ja posiadam szczególny dar zdobywania ciekawych informacji. Pan Goodman powiedział, iż uważa mnie za reportera równie dobrego jak Dan. Nie życzyłem sobie większej pochwały. Czuję, że słysząc takie słowa zachęty mógłbym – w razie potrzeby i gdyby dobro pisma tego wymagało – wziąć pióro i wymordować wszystkich emigrantów na Wielkiej Równinie.

II. BOGGS MŚCI SIĘ

Gdy poznałem trochę lepiej zawód reporterski i sposób docierania do źródeł informacji, nie korzystałem już tak często z pomocy fantazji i na ogół wypełniałem swoje dwie kolumny w oparciu o fakty. Zaprzyjaźniłem się z reporterami innych pism i odtąd wymieniałem z nimi regularne informacje oszczędzając w ten sposób pracy. Regularne informacje są to wiadomości pochodzące ze stałych źródeł, jak sądy, produkcja sztab srebra i złota, dochody z hut i wyniki śledztw w sprawach o morderstwa. Wszyscy w mieście chodzili uzbrojeni, mieliśmy więc prawie co dzień jedno morderstwo i dlatego tę dziedzinę zaliczano do regularnych informacji. Gazety w tamtych czasach były niezwykle urozmaicone. Moim największym konkurentem wśród reporterów był Boggs ze „Związkowca”. Uważałem go za doskonałego reportera. Raz na trzy lub cztery miesiące trochę się upijał, ale na ogół był ostrożnym i powściągliwym konsumentem trunków – chociaż skłonny poigrać trochę z nieprzyjacielem. Miał nade mną przewagę w jednej dziedzinie: otrzymywał bez trudu miesięczne sprawozdania ze szkoły średniej, do których ja nie miałem dostępu, ponieważ dyrektor szkoły nienawidził naszej gazety.

Pewnego śnieżnego wieczoru, gdy sprawozdanie miało się ukazać, wyszedłem na miasto rozmyślając posępnie nad sposobem zdobycia reportażu. Po przejściu kilku kroków natknąłem się niemal na pustej ulicy na Boggsa i spytałem, dokąd idzie.

- Po sprawozdanie szkolne.
- Pójdę z tobą.
- Nie, mój drogi. Do widzenia.
- Jak sobie życzysz.

Minął nas chłopiec z sąsiedniej knajpy; niósł dzbanek dymiącego ponczu i Boggs z wyraźną przyjemnością wciągnął w nozdrza zapach. Spojrzał tęsknie za chłopcem i zobaczył, że wchodzi na schody naszej redakcji. Powiedziałem:

– Myślałem, że mi pomożesz zdobyć to sprawozdanie, ale skoro nie możesz, skoczę do redakcji „Związkowca” i spytam, czy by mi nie pożyczyli na chwilę szczotki, chociaż nie mam wielkiej nadziei.

– Czekał chwilę. Jeżeli pójdziesz ze mną do dyrektora, nie będę miał nic przeciwko temu, żebyś sobie zrobił odpis. Posiedzę i pogadam z chłopcami.

– Nareszcie mówisz jak człowiek. Chodźmy.

Brnąc przez śnieg poszliśmy na sąsiednią ulicę po sprawozdanie i wrócili do mojej redakcji. Sprawozdanie było krótkie i przepisanie zabrało mi kilka minut. Tymczasem Boggs raczył się ponczem. Zwróciłem mu dokument i zaraz wyszliśmy na ulicę, żeby uzupełnić rubrykę morderstw, bo słyszeliśmy gdzieś w pobliżu strzały. Zebranie informacji nie trwało długo, było to bowiem pośledniejszego gatunku morderstwo barowe, mało interesujące dla szerokiej rzesz publiczności. Niedługo potem rozstaliśmy się z Boggsem. O godzinie trzeciej nad ranem, w drukarni, kiedy jak co dzień słuchaliśmy odprężającego nerwy koncertu (kilku drukarzy miało ładne głosy, inni zaś grali pięknie na gitarze i tej ohydzie zwanej akordeonem), wszedł właściciel „Związkowca” pytając, czy nie wiemy czegoś o Boggsie i jego sprawozdaniu szkolnym. Powiedzieliśmy, co nam było wiadome, i wyszliśmy wszyscy szukać delikwenta. Znaleźliśmy go – stał na stole w jakimś barze i trzymając w jednej ręce starą cynową latarkę, w drugiej zaś sprawozdanie szkolne, wygłaszał do pijanych kornwalijskich kopaczy przemówienie o niesprawiedliwości wyrzucania publicznych pieniędzy na naukę, kiedy „setki uczciwych, ciężko pracujących mężczyzn dosłownie umierają z braku whisky”. (W tym miej-

scu hałaśliwe brawa). Hulał tak od kilku godzin. Wyciągnęliśmy go z knajpy i położyli do łóżka.

Naturalnie na drugi dzień w „Związkowcu” nie było sprawozdania szkolnego i Boggs uważał, że to moja wina; chociaż – z ręką na sercu – nie miałem ani zamiaru, ani ochoty przyczyniać się do tego i żałowałem na równi z innymi, że się ta przykra sprawa zdarzyła.

Ale stosunki między nami były nadal bardzo przyjazne. W dniu, w którym miał się ukazać następny raport szkolny, właściciel kopalni „Genessee” przysłał po nas bryczkę z prośbą, żebyśmy pojechali napisać coś o jego obiekcie. Dość często zwracano się do nas z takimi prośbami i chętnie przyjmowaliśmy zaproszenia, bo reporter jak każdy człowiek lubi się czasem przejechać. Na miejscu okazało się, że nie ma tu nic oprócz dziury w skale głębokiej na dwiećnaście stóp, do której zjeżdżało się na linie spuszczonej przy pomocy kołowrotu. Robotnicy mieli przerwę i poszli na obiad. Nie byłem na tyle silny, żeby spuścić na linie ogromnego Boggsa; wziąłem więc nie zapaloną świeczkę w zęby, zrobiłem na końcu liny pętlę, wsunąłem w nią stopę, przez kilka chwil zaklinałem Boggsa, żeby nie zasnął ani nie wypuścił z ręki korby kołowrotu, po czym zsunąłem się w otwór. Dotarłem na dno bezpiecznie, chociaż ubłocony i z podrapanymi łokciami. Zapaliłem świecę, obejrzałem żyłę, wziąłem kilka próbek i zawołałem Boggsa, żeby mnie wyciągnął. Żadnej odpowiedzi. Po chwili wysoko w górze, w kręgu światła ukazała się głowa i przyplął do mnie głos Boggsa:

- Gotowy?
- Tak, gotowy. Ciągnij.
- Wygodnie ci?
- Idealnie.
- Mógłbyś trochę poczekać?
- Naturalnie... nie ma pośpiechu.
- No to do widzenia.
- Jak to? Gdzie ty idziesz?
- Po sprawozdanie szkolne!

Poszedł. Tkwiłem na dnie szybu godzinę. Robotnicy mieli niespodziankę, kiedy zamiast kubła kamieni wyciągnęli na górę człowieka. Musiałem iść pieszo do domu, pięć mil pod górę. Nazajutrz nie mieliśmy raportu szkolnego, za to „Związkowiec” miał.

W pół roku po tym, jak rozpocząłem pracę w dziennikarstwie, wybuchła w Newadzie gorączka srebra, która utrzymywała się przez następne trzy lata. Nie było już kłopotów z wypełnianiem rubryki „Kronika miejscowa”; martwiłem się teraz tylko o to, żeby zmieścić w powiększonych kolumnach masę zdarzeń i wypadków, które co dzień trafiały do naszej dziennikarskiej sieci. Virginia City stało się „najżywszym” – licząc młody wiek i ilość mieszkańców – miastem, jakie Ameryka dotąd wydała. Chodniki były tak zatłoczone, że niełatwo było się przedrzeć przez gęstwinę ludzkich ciał. Na jezdniach panował nieopisany ścisk wozów z rudą, furgonów towarowych i innych pojazdów. Przepływały nie kończącym się strumieniem. Ruch na jezdniach był tak wielki, że niekiedy woźnice czekali pół godziny na sposobność przejechania w poprzek głównej ulicy. Na wszystkich twarzach jaśniała radość, w oczach błyszczało pełne zadowolenia napięcie, które mówiło o planach zdobycia bogactwa zaprzatających umysły i o wielkich nadziejach rozgrzewających serca. Pieniędzy było tyle, co liści na drzewach; każdy człowiek uważał się za bogacza i nie widziało się na ulicach smutnych twarzy. W mieście były oddziały wojskowe, oddziały straży pożarnej, banki, hotele, teatry, sale muzyczne, szeroko otwarte wspaniałe domy gry, burzliwe wiece polityczne, pochody obywatelskie, bójkę uliczne, morderstwa, śledztwa, bunty, co pięćnaście kroków knajpy, Zarząd Miejski, burmistrz, geometra miejski, inżynier miejski, naczelnik straży pożarnej wraz z pierwszym, drugim i trzecim zastępcą, szef policji na czele dużego oddziału, kilkanaście browarów, dwie giełdy z pełnym asortymentem maklerów oraz kilka doskonale prosperujących więzień i aresztów. Wspominano też czasem o budowie kościoła. Gorączka srebra rozszalała

się w Virginia City. Na głównych ulicach jak grzyby po deszczu wyrastały duże budynki z cegły, drewniane przedmieścia rozrastały się we wszystkich kierunkach. Ceny działek w mieście podskoczyły do zawrotnych wysokości.

Ogromny i bogaty pokład Comstock ciągnął się przez sam środek miasta, z północy na południe, i wszystkie powstałe na nim kopalnie znajdowały się w stanie intensywnej rozbudowy. Jedna tylko z tych kopalni zatrudniała sześćset siedemdziesięciu pięciu robotników, a hasło podczas wyborów głosiło: „Jak głośnie «Gould i Curry», tak głośnie całe miasto”. Robotnicy zarabiali od czterech do sześciu dolarów dziennie, pracowali zaś na trzy zmiany; w dzień i w nocy nie milkły ani na chwilę odgłosy wybuchów, stuk oskardów i szurgot łopat.

Miasto Virginia rozsiało się po królewsku w połowie zbocza Mount Davidson, na wysokości siedmiu tysięcy dwustu stóp nad poziomem morza, i w przezroczystym powietrzu Newady było widoczne z odległości pięćdziesięciu mil! Ilość mieszkańców wynosiła od piętnastu do siedemnastu tysięcy i przez cały dzień połowa tej małej armii krzątała się pracownie po ulicach, podczas gdy druga połowa krzątała się pracownie po korytarzach i tunelach Comstocku na głębokości setek stóp pod tymiż ulicami. Często czuliśmy, jak drżą pod nami krzesła, i słyszeliśmy ściszone, głuche odgłosy wybuchu głęboko we wnętrzościach ziemi, pod naszym biurem.

Stok góry był tak stromy, że miasto stało na nim ukośnie – jak dach. Każda ulica była tarasem i odległość od jednej do drugiej poniżej na stoku wynosiła w prostej linii czterdzieści do pięćdziesięciu stóp. Fronty domów były na równym poziomie z ulicą, przy której stały, ale partery na tyłach były podparte wysokimi słupami; stojąc w oknie mieszkania parterowego na tyłach domu przy ulicy C spoglądało się w dół na dachy domów przy ulicy D. W rzadkim, górskim powietrzu przejście z ulicy D na ulicę A było męczącą wspinaczką i człowiek dyszał ciężko, zanim dotarł na miejsce; za to w dół schodził z szybkością wiatru. Powietrze na tej wysokości tak było rozrzedzone, że krew znajdowała się tuż pod skórą i najłżejsze zadrapanie mogło mieć fatalne skutki, gdyż często wywiązywało się poważne zapalenie skóry zwane różą. Żeby to jednak wynagrodzić, rzadka atmosfera posiadała szczególne właściwości lecznicze, zwłaszcza jeśli idzie o rany od kul, przestrzelenie więc przeciwnikowi obu płuc nie dawało dłuższej i trwałej satysfakcji, bo po miesiącu był już na nogach i szukał cię – oczywiście nie z lornetką operową w ręku.

Z wysoko położonego na stoku Virginia City widać było rozległą, daleką panoramę łańcuchów górskich i pustyni. Czy dzień był pogodny, czy chmurny, czy słońce wschodziło, zachodziło, czy stało w zenicie, czy królowała noc rozświetlona blaskiem księżyca, widok był zawsze imponujący i zawsze piękny. Nad głową patrzącego wznosiła się szara kopuła Mount Davidson, a przed nim, poniżej, kanion o poszarpanych ścianach dzielił na pół skalistą fortecę pagórków tworząc mroczną bramę, przez którą widać było skrawek delikatnej w barwach równiny przeciętej srebrną, wijącą się nitką rzeki o brzegach porośniętych drzewami, zmniejszonymi przez odległość wielu mil do rozmiarów delikatnej frędzli. Jeszcze dalej pokryte śniegiem góry zamykały długą barierą zamglony horyzont – hen, hen za jeziorem, które paliło się na pustyni jak słońce spadłe z nieba, chociaż i ono znajdowało się w odległości pięćdziesięciu mil. W którymkolwiek spojrzalesz kierunku, obraz zawsze był fascynujący. Rzadko, bardzo rzadko pokazywały się chmury na naszym niebie, a wtedy zachodzące słońce złociło, różowiło i upiększało ten bezkresny krajobraz bogactwem barw, które więziły oko jak czary i poruszały duszę jak muzyka.

III. SKÓRKA ZA WYPRAWKĘ

Dostałem podwyżkę i zarabiałem teraz czterdzieści dolarów tygodniowo. Ale rzadko odbierałem pensję. Miałem mnóstwo innych źródeł dochodów, a czymże były dwie złote dwudziestodolarowe monety dla człowieka, który miał ich pełne kieszenie – nie mówiąc już o uciążliwej obfitości błyszczących półdolarówek? – (Banknoty nie weszły nigdy w użytek na wybrzeżu Pacyfiku.) Zawód reportera był lukratywnym zawodem – ludzie w mieście zaś mieli dość pieniędzy i „stóp”. Szyby poryły całe miasto i ogromny stok góry. Było więcej kopalń niż górników. To prawda, że mniej niż jedna dziesiąta tych kopalń dawała rudę, którą opłacało się odwieźć do huty, ale wszyscy powtarzali wciąż tę samą śpiewkę: „Poczekaj, aż szyb zejdzie dalej w głąb i natrafi na właściwą żyłę. Wtedy zobaczysz!” Toteż nikt się nie zniechęcał. Były to w większości kopalnie „dzikie” i zupełnie bezwartościowe, ale nikt nie chciał w to uwierzyć. W „Ophirze”, „Gould i Curry”, „Meksykańskiej” i innych dużych kopalniach na złożach Comstock i Gold Hill wydobywano co dzień ogromne stopy bogatej skały, każdy więc był przekonany, że jego mała dzika kopalnia nie jest gorsza od tych na głównym pokładzie i że będzie warta tysiące dolarów za stopę, gdy tylko szyb „utrafi na właściwą żyłę”.

Biedacy! Jakże miłosierna była ta ich nieświadomość, że nie doczekają nigdy tego dnia! Tysiące dzikich szybów co dzień głębiej ryło skałę, a ludzie nie posiadali się ze szczęścia i pławili w nadziei. Jak oni pracowali, jak przepowiadali piękną przyszłość, jak się nią cieszyli! Czegoś takiego nie było od początku świata. Wszystkie te dzikie kopalnie – a raczej nie kopalnie, tylko dziury w ziemi nad wyimaginowanymi kopalniami – wpisywały się do rejestru spółek akcyjnych i miały pięknie wydrukowane „akcje”. Akcje te, notowane na giełdzie, kupowano i sprzedawano co dzień z gorączkową wprost łapczywością. Każdy mógł pójść na zbocze, postukać trochę kilofem, znaleźć żyłę (było ich pod dostatkiem), wywiesić „zawiadomienie” z szumną nazwą kopalni, przystąpić do kopania szybu, wydrukować akcje i – nie mogąc niczym udowodnić, że kopalnia ma jakąkolwiek wartość – sprzedawać te akcje za setki, a nawet tysiące dolarów. Robić pieniądze, i to robić je błyskawicznie, nie trudniej było niż – powiedzmy – zjeść obiad. Każdy mieszkaniec Virginia City miał „stopy” w pięćdziesięciu różnych dzikich kopalniach i uważał się za bogacza. Pomyślcie – miasto, w którym nie było ani jednego biedaka! Można by się spodziewać, że kiedy mijały miesiące i żadna dzika kopalnia (przez dziką kopalnię rozumiem każdą własność położoną nie na głównej żyłę, którą w tym wypadku była Comstock) nie dała choćby jednej tony skały, którą warto byłoby kruszyć, ludzie zaczęli podejrzewać, że może ich wiara w przyszłe bogactwa była przesadzona; ale takie myśli nie przychodziły nikomu do głowy. Ludzie z zapalem kopali szyby, sprzedawali, kupowali – i byli szczęśliwi. Co dzień brano w posiadanie nowe działki i stało się zwyczajem, że właściciel biegł prosto do redakcji pisma, dawał reporterowi w podarku kilkadziesiąt „stóp” i prosił go, żeby poszedł na miejsce, obejrzał „kopalnię” i zamieścił o niej notatkę. Było im absolutnie obojętne, co reporter miał do powiedzenia o tej nowej własności, byleby powiedział cokolwiek. Wobec tego pisaliśmy najczęściej, że kopalnia zapowiada się dobrze, że szerokość żyły wynosi sześć stóp albo że skała przypomina Comstock (istotnie przypominała, ale podobieństwo nie było takie znów oszałamiające). Jeżeli skała była względnie niezła, zgodnie z panującymi zwyczajami używaliśmy najmocniejszych przymiotników i pisaliśmy tak, jak gdyby w kraju srebra zdarzył się cud nad cudami. Jeżeli kopalnia była już w eksploatacji i nie miała interesującej rudy do pokazania (skąd ją mogła mieć?), chwaliliśmy tu-

nel; pisaliśmy, że jest to jeden z najpiękniejszych tuneli w kraju, bajdurzyliśmy i bredzili o nim, dopóki nie wyczerpała nas ta ekstaza – ale nie wspominaliśmy ani słowem o skale. Zapełnialiśmy pół kolumny pochlebczymi opisami szybu albo nowej liny stalowej, albo nowego kołowrotu, albo fascynującej pompy parowej i na zakończenie wybuchaliśmy peanem na część „energicznego i dżentelmeńskiego” dyrektora kopalni – ale ani mru-mru o skale. Mimo to ci ludzie zawsze nam byli wdzięczni, zawsze zadowoleni. Od czasu do czasu, żeby podratować naszą reputację bystrych i skrupulatnie dokładnych, zadawaliśmy którejś ze starych porzuconych kopalń cios tak straszliwy, że nie powinna się była z niego już nigdy podnieść – natychmiast ktoś korzystał z tego chwilowego rozgłosu, „brał ją w posiadanie” i sprzedawał dalej.

Każda działka górnicza, choćby pod najdziwaczniejszą postacią, miała swoich nabywców. Co dzień otrzymywaliśmy „stopy” w podarku. Jeżeli któremuś z nas potrzebne było sto dolarów, sprzedawał część swoich akcji; jeżeli nie, chowaliśmy je, święcie przekonani, że osiągną kiedyś wartość tysiąca dolarów. Miałem kufer do połowy napełniony akcjami. Jeżeli koło którejś kopalni robił się ruch i jej wartość rynkowa nagle wzrastała, przerzucałem mój stos w poszukiwaniu odpowiednich akcji i najczęściej je znajdowałem.

Ceny bezustannie rosły i spadały, ale spadek zupełnie nas nie martwił, ponieważ czekaliśmy na sumę tysiąca dolarów od stopy, a do tego czasu ceny mogły sobie skakać, jak im się podobało. Nie wszystkie akcje z mego pliku otrzymałem od właścicieli, którzy usiłowali zwrócić uwagę na swoje kopalnie. Przynajmniej połowę darowali mi ludzie nie liczący na nic więcej prócz zwykłego „dziękuję”; a nawet ta zapłata wcale nie była wymagana prawnie. Jeżeli ktoś idzie ulicą niosąc dwa koszyki jabłek i spotyka przyjaciół, naturalnie ich częstuje. To najlepiej określa stan rzeczy w Virginia City w czasach „gorączki”. Wszyscy mieli kieszenie wypchane akcjami i zwyczaj nakazywał ofiarowywać po kilka sztuk przyjaciołom. Często gdy przyjaciel dawał przyjacielowi w podarku kilka akcji, lepiej było natychmiast doprowadzić transakcję do końca, bo oferta obowiązywała tylko w chwili jej składania i jeżeli zaraz potem ceny raptownie skoczyły, można było żałować zwłoki. Pan Stewart (obecnie senator z Newady) powiedział mi któregoś dnia, że jeśli wstąpię z nim do biura, da mi dwadzieścia akcji kopalni „Justis”. Ich wartość wynosiła pięć czy dziesięć dolarów za stopę. Ponieważ szedłem właśnie na obiad, poprosiłem pana Stewarda, żeby mi pozwolił skorzystać z oferty nazajutrz. Odparł, że nazajutrz nie będzie go w mieście. Wobec tego zaryzykowałem i poszedłem na obiad zamiast po akcje. W ciągu tygodnia cena wzrosła do siedemdziesięciu, nieco później do stu pięćdziesięciu dolarów za stopę, ale mój były ofiarodawca pozostał niewzruszony. Przypuszczam, że sprzedał moją niedoszłą własność i schował nieczyste zyski do kieszeni. Pewnego popołudnia spotkałem trzech przyjaciół, którzy kupili na licytacji akcje „Overmana” – po osiem dolarów stopa. Jeden powiedział, że jeśli pójdę z nim zaraz do jego biura, da mi piętnaście sztuk; drugi powiedział, że da mi również piętnaście; trzeci nie chciał być od nich gorszy. Ale szedłem właśnie dowiedzieć się o szczegóły pewnego śledztwa, nie miałem więc czasu. W kilka tygodni później trzej moi znajomi sprzedali wszystkie swoje akcje „Oyermana” po sześćset dolarów sztuka i bardzo szlachetnie przyszli mi o tym powiedzieć, a nawet mnie namawiali, żebym przyjął następne czterdzieści pięć akcji, które mi ofiarowali. Wszystko to są fakty autentyczne i mógłbym podać ich długą listę, na cal nie oddalając się od prawdy. Zdarzało się często, że przyjaciele dawali nam po dwadzieścia pięć akcji sprzedawanych po dwadzieścia pięć dolarów sztuka – i ofiarowywali je takim gestem, jakby to było cygaro. O tak, były to czasy – te czasy gorączki! Zdawało mi się, że będą trwały wiecznie, ale jakoś nigdy dotąd nie okazałem się dobrym prorokiem.

Mania górnicza opętała wprost społeczeństwo, co najlepiej ilustruje fakt, że „brano w posiadanie” działki w piwnicach domów, gdzie kilof odsłonił warstwę przypominającą żyły kwarcowe – i to bynajmniej nie w piwnicach na przedmieściu, lecz w samym sercu miasta. Natychmiast nowi właściciele drukowali akcje i rzucali je na rynek. Było najzupełniej obojęt-

ne, do kogo należała piwnica; żyła pozostawała zawsze własnością znalazcy i jeżeli rząd Stanów Zjednoczonych nie zgłosił sprzeciwu (jako że rząd jest, a przynajmniej był w tamtych czasach właścicielem pierwsiastkowego prawa do wszystkich szlachetnych kruszców w Nevadzie), przywilej eksploatacji żyły należał do znalazcy. Wyobraźcie sobie intruza, który bierze w posiadanie działkę górniczą między cennymi krzewami waszego ogrodu i najspokojniej w świecie przystępuje do rycia ziemi za pomocą kilofów, szpadli i prochu! A działo się tak często w Kalifornii. Na środku jednej z głównych ulic Virginia City, w dzielnicy handlowej, pewien człowiek wziął w posiadanie działkę i zaczął drążyć szyb. Dał mi sto akcji swojej „kopalni”, ale sprzedałem je czym prędzej za doskonale ubranie, bałem się bowiem, że ktoś wpadnie do szybu i wystąpi na drogę sądową o odszkodowanie. Byłem współwłaścicielem innej „kopalni” znajdującej się na środku ulicy, i żeby dowieść, jak bezgraniczna jest głupota ludzi, wspomnę tylko o akcjach „East India”, które znajdowały chętnych nabywców, chociaż bezpośrednio pod „kopalnią” biegł stary tunel i każdy mógł zejść na dół i przekonać się naocznie, że tunel nie przecina pokładu żadnej skały, która by chociaż z daleka przypominała kwarc.

Jednym ze sposobów szybkiego zdobycia bogactwa było „posolenie” dzikiej kopalni i sprzedanie jej, dopóki trwało zainteresowanie odkryciem. Metoda bardzo prosta. Oszust brał w posiadanie bezwartościową żyłę, kopał szyb, kupował wóz bogatej rudy Comstock, część wrzucał do szybu, część zsypywał na ziemię obok otworu. Potem pokazywał kopalnię naiwnemu kupcowi i sprzedawał ją za grube pieniądze. Za jeden z najciekawszych przykładów „solonia” może posłużyć sprawa „North Ophir”. Właściciele utrzymywali, że żyła w ich kopalni jest odnogą oryginalnej żyły „Ophir”, niezwykle bogatej kopalni na pokładzie Comstock. Przez kilka dni całe miasto mówiło o nadzwyczajnych odkryciach w „North Ophir”. Powiadano, że w żyłę znajdują się małe, twarde bryłki najczystszej srebra. Poszedłem z właścicielami na miejsce i zobaczyłem szyb głęboki na sześć czy osiem stóp, a na jego dnie mocno połupaną żyłę ciemnej, żółtawej skały o niezbyt zachęcającym wyglądzie. Równie dobrze można by się spodziewać srebra w kamieniu szlifierskim. Wyciągnęliśmy kilka garści tego śmiecia i po opłukaniu w kałuży rzeczywiście znaleźliśmy czarne, okrągławe bryłki doskonałego... srebra. Była to rzecz niesłychana i nauka nie umiała wytłumaczyć tego fenomenu. Akcje skoczyły natychmiast do sześćdziesięciu pięciu dolarów za sztukę i za tę cenę nabył przeważający udział w kopalni światowej sławy tragik, McKean Buchanan, po raz któryś tam zamierzając rzucić scenę (wciąż nosił się z tym zamiarem). I potem okazało się nagle, że kopalnia została „posolona” – i to nie według starej i banalnej metody, ale w szczególnie śmiały i oryginalny, bezczelny i oburzający sposób. Na jednej z bryłek rodzimego srebra odczytano część wybitego w mennicy napisu: „...dnoczne Ameryki” i nikt już nie miał wątpliwości, że pomysłowi właściciele „posolili” kopalnię przetopionymi półdolarówkami. Otrzymane w ten sposób bryłki srebra poczerniono i przemieszano z pokruszoną skałą na dnie szybu. Jest to historia w każdym słowie autentyczna. Naturalnie cena akcji spadła do zera i wielki tragik był zrujnowany. Gdyby nie to zdarzenie, scena amerykańska straciłaby jednego ze swoich największych aktorów.

IV. „SANITARNY WOREK MAKI”

Czasy gorączki dzielnie się utrzymywały. Mniej więcej dwa lata przed jej wybuchem pan Goodman wraz z pewnym drukarzem pożyczili czterdzieści dolarów i wyruszyli z San Francisco szukać szczęścia w nowym Virginia City. Gdy przybyli, „Gameta Terytorialna”, podupadły tygodnik, robiła bokami i była bliska śmierci. Kupili ją wraz z czcionkami, maszynami, dobrą wolą i tak dalej za tysiąc dolarów na długie spłaty. Gabinet naczelnego redaktora, pokój reporterów, sekretariat, dział ogłoszeń, drukarnia, sypialnia, salon i kuchnia mieściły się wszystkie w jednym pomieszczeniu, które bynajmniej nie było duże. Redaktorzy i drukarze spali na podłodze, pewien Chińczyk im gotował, a kamień litograficzny służył wszystkim za stół. Ale teraz wszystko było inaczej. Gazeta stała się wielkim dziennikiem, drukowanym na maszynach parowych; zatrudniała pięciu redaktorów i dwudziestu trzech zecerów; abonament roczny wynosił szesnaście dolarów; ceny ogłoszeń były kolosalne, a rubryki aż pękały od nadmiaru materiału. Gazeta dawała od ośmiu do dziesięciu tysięcy dolarów dochodu, a nowo wzniesiony budynek z ogniotrwałej cegły czekał na przyjęcie redakcji i drukarni. Co dzień brakło miejsca dla pięciu do ośmiu kolumn ogłoszeń lub też drukowano je na pośpiesznie składanych dodatkach.

Spółka Akcyjna „Gould i Curry” budowała hutę-olbrzymia o stu tłokach, której koszt ostateczny wyniósł prawie milion dolarów. Akcje „Gould i Curry” płaciły wysokie dywidendy, co było zjawiskiem bardzo rzadkim i ograniczającym się do dwunastu czy piętnastu kopalń położonych na głównym pokładzie Comstock. Dyrektor „Gould i Curry” mieszkał (nie płacąc czynszu) w pięknym domu zbudowanym i umeblowanym przez spółkę. Do powozu zaprzęgał parę pięknych koni, które otrzymał w podarku od spółki, jego pensja zaś wynosiła dwanaście tysięcy dolarów rocznie. Dyrektor innej wielkiej kopalni jeździł wspaniałym ekwipażem, zarabiał dwadzieścia osiem tysięcy dolarów na rok, a w latach późniejszych wystąpił przeciwko swojej spółce na drogę sądową, utrzymując w pozwie, że powinien być otrzymywać ponadto jeden procent od dochodu w sztabach.

Obfitość pieniędzy wprost oszałamiała. Kłopot polegał nie na tym, jak je zdobyć, tylko jak je wydać – jak je roztrwonić, przepuścić, przehulać. Stało się więc szczęśliwie, że w takim momencie przyszła telegraficzna wiadomość o powstaniu wielkiego Komitetu Sanitarnego Stanów Zjednoczonych, który zbiera pieniądze na pomoc i opiekę nad rannymi marynarzami i żołnierzami marniejącymi w szpitalach na wschodzie kraju. Zaraz za tą wiadomością przyszła druga – że San Francisco odpowiedziało na wezwanie niezwykłą wprost szczodrością —• i to w pół dnia po otrzymaniu telegramu. Virginia City powstało jak jeden mąż. Zorganizowano pośpiesznie miejscowy Komitet Sanitarny, a jego przewodniczący wszedł na pusty wóz stojący na ulicy C i usiłował wyjaśnić hałaśliwej cizbie, że pozostali członkowie Komitetu biegają jak opętani po mieście, dwojąc się i trojąc – jeżeli obywatele zechcą tylko poczekać godzinę, biuro będzie zorganizowane, księgi otwarte i Komitet gotowy do przyjmowania składek. Jego głos utonął i prośba rozpląnęła się w nie milkącym ryku wiwatów i żądań, żeby teraz, zaraz przyjmowano pieniądze. Tłum przysięgał, że nie myśli czekać ani chwili. Przewodniczący tłumaczył i błagał, ale głusi na wszystkie prośby mężczyźni przeciskali się przez cizbę, sypali na wóz deszcz złotych monet i biegli do domów po więcej. Inni wyciągali wysoko ponad tłum garście złota w nadziei, że ta milcząca, wymowna prośba otworzy im przejście, którego nie mogli sobie wywalczyć łokciami. Nawet Chińczycy i Indianie dali się ponieść nastrojowi chwili i ciskali na wóz srebrne półdolarówki, nie wiedząc i nie pytając, na co dają. Schludnie ubrane kobiety przepychały się przez tłum, torowały sobie drogę do wozu, a gdy po jakimś

czasie wylaniały się ze zbitych szeregów, ich stroje były w stanie beznadziejnej ruiny. Tak rozkiełzanego, upartego i niesfornego tłumu nie widziano jeszcze nigdy na ulicach Virginia City; gdy w końcu szaleńczy zapał nieco osłabł i ludzie rozeszli się do domów, nie mieli w kieszeniach ani centa. Używając ich własnego określenia, przyszli nadziani, a odeszli goli.

Po tym dniu Komitet rozpoczął systematyczną pracę i przez wiele tygodni do jego skarbca napływały składki hojnym i równym strumieniem. Pojedyncze osoby i całe organizacje opodatkowały się na rzecz funduszu sanitarnego w zależności od zarobków, ale nie powtórzył się już wybuch powszechnego zapału, dopóki nie trafił do nas słynny „sanitarny worek mąki”. Jego historia jest niezwykła i bardzo interesująca. Dawny mój kolega szkolny nazwiskiem Reuel Gridley mieszkał w tym czasie w małym miasteczku Austin, w okręgu Reese River, i był kandydatem na burmistrza z ramienia demokratów. Otóż Gridley i jego przeciwnik, kandydat republikański, ułożyli się przed wyborami, że ten, który przegra, otrzyma publicznie od zwycięzcy pięćdziesięciofuntowy worek mąki i zanieś go na plecach do domu. Gridley przegrał. Nowy burmistrz ofiarował mu worek mąki, który Gridley wziął na plecy i odprowadzany przez orkiestrę i całą ludność miasteczka zaniósł do odległego o milę czy dwie swego domu w Górnym Austin. Gdy dotarli na miejsce, powiedział, że mąka nie jest mu potrzebna, i spytał ludzi, co ich zdaniem powinien z nią zrobić. Ktoś zawołał:

– Sprzedaj worek temu, który da najwięcej... na fundusz sanitarny.

Przyjęto tę propozycję głośnymi oklaskami, więc Gridley wszedł na pustą skrzynkę i wystąpił w roli licytatora. W miarę jak się rozgrzewał entuzjazm pionierów, oferty rosły coraz wyżej i wyżej, aż w końcu worek dostał się pewnemu hutnikowi, za dwieście pięćdziesiąt dolarów uiszczone czekiem. Na pytanie, gdzie każe odesłać worek, hutnik odpowiedział:

– Nigdzie, sprzedaj go jeszcze raz.

Teraz powietrze aż się zatrzęsło od wiwatów i trzeba przyznać, że i tłum stanął na wysokości zadania. Gridley sterczał na skrzynce, wrzeszczał i pocił się, dopóki słońce nie zaszło, a zanim licytacja dobiegła końca, sprzedał worek trzysta razy, trzystu różnym osobom za sumę ośmiu tysięcy dolarów w złocie. I worek nadal był jego własnością.

Wiadomość o tym dotarła do Virginia City i natychmiast poszedł telegram:

„Przywieź swój worek mąki”.

W trzydzieści sześć godzin później Gridley przyjechał i po południu, na masowym zebraniu w sali opery, rozpoczęła się licytacja. Ale worek przyjechał wcześniej, niż się go spodziewano; nastrój na sali panował ospały i licytacja szła niesporo. Do wieczora zebrano zaledwie pięć tysięcy dolarów i społeczeństwo było wyraźnie zbite z tropu. Jednakże organizatorzy ani myśleli spocząć na laurach i uznać się za pokonanych przez małą mieścinę Austin. Do późna w noc najwybitniejsi obywatele miasta przygotowywali kampanię na dzień następny i kładąc się do łóżek, byli spokojni o wyniki. Nazajutrz o godzinie jedenastej przez ulicę C przedefilował korowód otwartych powozów wzruszająco patriotycznie udekorowanych flagami – w towarzystwie bardzo głośno wiwatujących obywateli; niebawem tłum mało co nie zatarasował mu drogi. W pierwszym powozie siedział Gridley, obok niego na widocznym miejscu stał worek mąki, wspaniały w swoich jaskrawych barwach naklejek i złożonych literach napisów; w tym samym powozie jechał burmistrz i sędzia. W następnych pojazdach siedzieli radni miejscy, redaktorzy, reporterzy i inne ważne osobistości. Tłum przypuszczając, że tu odbędzie się licytacja, obiegił róg ulicy C i Taylor, doznał jednak zawodu i niepomnie się zdziwił; korowód powozów pojechał bowiem dalej, jak gdyby Virginia City w ogóle przestało istnieć, i drogą przez przełęcz skierował się do małego miasteczka Gold Hill. Wysłano już przedtem telegramy do Gold Hill, Silver City i Dayton i ludność tych osiedli, podniecona do ostatnich granic, gotowała się do walki. Dzień był upalny, nad drogą unosiły się tumany kurzu. Po pół godzinie zjechali w dół do Gold Hill, z rozwianymi chorągwiemi, wśród warkotu bębnow, otoczeni imponującymi chmurami pyłu. Cała ludność – mężczyźni, kobiety, dzieci, Chińczycy, Indianie – zebrała się na głównej ulicy, wszystkie flagi wciągnięte były na maszt,

a grzmot i dudnienie orkiestr ginęły w ogłuszających wiwatach. Girdley stanął w wozie i spytał, kto chce pierwszy zgłosić ofertę kupna narodowego sanitarnego worka mąki.

Generał W. zawołał:

– Spółka kopalń srebra „Yellow Jacket” rozpoczyna licytację od tysiąca dolarów w złocie!

Burza oklasków powitała jego słowa. Prztelegrafowano tę wiadomość do Virginia City. W piętnaście minut później ludność miasta wyległa na ulice i zwarty tłum dosłownie pożerał wiadomości; było bowiem przewidziane w planie, że biuletyny giełdowe wykonują w tym dniu część obywatelskiej pracy. Co dziesięć minut pojawiała się w biuletynach nowa wiadomość z Gold Hill i podniecenie tłumu rosło. Zaczęły napływać do nas telegramy z Virginia City błagające Gridleya, żeby wrócił ze swoim workiem mąki, ale plan kampanii bynajmniej tego nie przewidywał. Suma zapłacona w ciągu godziny za worek mąki przez ludność małego miasteczka Gold Hill wzbudziła najwyższy entuzjazm Virginia City. Następnie kawalkada Gridleya – kolos odświeżony piwem, ogromnymi ilościami piwa, bo ludzie wynosili beczki do powozów i nie tracili czasu na odmierzanie go kuflami – ruszyła dalej i w ciągu trzech najbliższych godzin szturmem zdobyła Silver City i Dayton, po czym okryta chwałą skierowała się na drogę do domu. O każdym kroku wyprawy depeszowano i wiadomości ukazywały się w biuletynie, gdy więc o godzinie wpół do dziewiątej procesja wkroczyła do miasta, cała ludność była na ulicach, jaśniały pochodnie, furkotały flagi, grały orkiestry, gromkie wiwaty wstrząsały powietrzem i miasto było gotowe do bezwarunkowej kapitulacji. Rozpoczęła się licytacja, każde zgłoszenie witano burzą oklasków i po dwóch i pół godzinach miasto o piętnastu tysiącach mieszkańców zapłaciło za pięćdziesięciofuntowy worek mąki sumę w złocie równą czterdziestu tysiącom dolarów papierowych! Wypadało prawie po trzy dolary na głowę, licząc mężczyzn, kobiety i dzieci. Osiągnięto by kwotę dwa razy wyższą, ale ulice tak były wąskie, że setki osób nie mogły się docisnąć do podium i głos ich ginął w ogólnym gwarze. Zmęczeni czekaniem poszli do domu, jeszcze zanim licytacja dobiegła końca. Był to chyba najpiękniejszy dzień Virginia City.

Girdley sprzedawał swój worek w Carson City i w kilku miastach kalifornijskich, a także w San Francisco. Potem pojechał z workiem na wschód i sprzedawał go podobno w kilku miastach nad Atlantykiem. Nie dam za to głowy. Wiem jednak z pewnością, że w końcu przybył do St. Louis, gdzie sporządzono wielką wentę na cele funduszu sanitarnego. Sprzedał swój worek za bardzo wysoką sumę, rozniecając entuzjazm ludzi widokiem solidnych sztab srebra pochodzących z darowizny Newady, następnie zaś kazał upiec z mąki ciasteczka i sprzedawał je bardzo drogo.

Gdy skończyła się „misja worka mąki”, obliczono, że został on sprzedany za sumę stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów papierowych! Jest to chyba jedyny wypadek na świecie, że zwykła mąka jadalna osiągnęła cenę rynkową trzy tysiące dolarów za funt.

Z szacunku dla pamięci Reuela Gridleya należy wspomnieć, że koszty podróży w czasie jego kampanii, podczas której przebył piętnaście tysięcy mil, były częściowo – jeżeli nie całkowicie – pokryte z jego kieszeni. Poświęcił na objazd kraju, aż trzy miesiące. Reuel Gridley był żołnierzem w wojnie meksykańskiej i kalifornijskim pionierem. Umarł w Stockton w Kalifornii, w grudniu 1870 roku, szczerze przez wszystkich opłakiwany.

V. KOŃ ZA SZEŚĆDZIESIĄT DWA TYSIĄCE DOLARÓW

Byli w tamtych czasach krezusi; mam na myśli czasy gorączki. Każde nowe odkrycie bogatej żyły produkowało jednego czy dwóch nowych krezusów. Przypominam sobie kilku spośród nich. Byli to ludzie przeważnie mili i lekkomyślni i ogół społeczeństwa tyleż korzystał z ich bogactw, co oni sami, a w niektórych wypadkach nawet więcej.

Dwaj woźnice, kuzyni, zajmowali się przewozem dla pewnego kopacza i zamiast trzystu dolarów w gotówce musieli się zadowolić małą wydzieloną częścią kopalni srebra. Dali jedną trzecią komuś obcemu, a sami dalej jeździli na swoim wozie. Ale niedługo. W dziesięć miesięcy później kopalnia była bez długów i przynosiła każdemu z właścicieli od ośmiu do dziesięciu tysięcy dolarów miesięcznie – powiedzmy sto tysięcy dolarów rocznie.

Jeden z najwcześniejszych krezusów Newady nosił na sobie brylanty wartości sześciu tysięcy dolarów i przysięgał, że jest najnieszczęśliwszym człowiekiem na świecie, bo nie może tak szybko wydać pieniędzy, jak je zarabia.

Inny krezus z Newady przechwalał się, że zarabia do szesnastu tysięcy dolarów miesięcznie; bardzo lubił opowiadać o tym, jak zaraz po przybyciu do Newady pracował za pięć dolarów dziennie w tej samej kopalni, która daje mu teraz jego bogactwo.

Kraina srebra zna jeszcze jednego wybrańca fortuny, wyniesionego z nędzy do bogactwa w ciągu jednej nocy, który wkrótce po tym był w stanie ofiarować sto tysięcy dolarów za urzędowe stanowisko wysokiej rangi i ofiarował tę bajeczną sumę, ale stanowiska nie otrzymał, ponieważ metody, jakimi się posługiwał w swojej działalności politycznej, nie były tak rzetelne jak jego rachunek w banku.

Należy jeszcze wymienić Johna Smitha. Był to dobry, uczciwy, zacny człeczyna urodzony w niższych warstwach społeczności i odznaczający się wprost bezgraniczną ignorancją. Jeździł na zarobki zaprzęgiem i miał małe rancho, które dawało mu skromne acz dostatnie utrzymanie, bo chociaż zbiory siana nie były duże, za każdą tonę otrzymywał według ceny rynkowej od dwustu pięćdziesięciu do trzystu dolarów w złocie. Pewnego dnia Smith wymienił kilka akrów swego rancho na małą, nie urządzoną kopalnię – w Gold Hill. Uruchomił ją i zbudował prymitywną hutę o dziesięciu tłokach! W półtora roku później wycofał się z produkcji siana, bo kopalnia dawała mu teraz bardzo ładny dochód. Niektórzy mówili, że trzydzieści tysięcy dolarów miesięcznie, inni, że sześćdziesiąt. W każdym razie Smith był bardzo bogaty.

Pojechał do Europy. A gdy wrócił, nie mógł się dość nachwalić pięknych wieprzy, które widział w Anglii, wspaniałych owiec, które widział w Hiszpanii, i zachwycających krów, które zauważył na pastwiskach w pobliżu Rzymu. Cuda starego świata wywarły na nim ogromne wrażenie i namawiał wszystkich, żeby podróżowali. Powiadał, że dopóki człowiek nie podróżuje, nie ma nawet pojęcia, jakie wspaniałe rzeczy są na świecie.

Pewnego dnia na pokładzie statku pasażerowie zebrali do puli pięćset dolarów, które miały przypaść temu, kto najtrafniej odgadnie ilość mil, jakie statek przepłynie w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Nazajutrz koło południa wszystkie zalakowane koperty z cyframi znajdowały się w rękach intendenta. Smith był w doskonałym humorze, bo przekupił głównego mechanika. Ale wygrał kto inny. Smith powiedział:

- Hej, wolnego! Ten gość trafił gorzej ode mnie o dwie mile.
- Panie Smith, pan popełnił większy błąd niż ktokolwiek inny na statku – odparł intendent.
- Przejechaliśmy wczoraj dwieście osiem mil.
- No, właśnie, tu pan leżysz – odparł Smith – bo powiedziałem dwieście dziewięć. Spójrz

pan jeszcze raz na moje cyfry. Masz pan tam dwójkę, a potem dwa zera... to jest dwieście, no nie? A potem zobaczysz pan dziewiątkę (2009), czyli razem dwieście dziewięć. Wezmę chyba teraz te pieniądze.

Kopalnia „Gould i Curry”, posiadająca tysiąc dwieście stóp pokładu, należała początkowo do dwóch ludzi, których nazwiska dotąd nosi. Curry był właścicielem dwóch trzecich; powiedział, że sprzedał swoją część za dwa i pół tysiąca dolarów w gotówce i starego konia cugowego, który przejechał swoją wartość rynkową w sianie i jęczmieniu w ciągu dni siedemnastu – z zegarkiem w ręku. Mówił, też, że Gould sprzedał swoją trzecią część za dwa stare koce kazonne i butelkę whisky, której zawartość zabiła dziewięciu ludzi w ciągu trzech godzin, z jednego zaś Bogu ducha winnego, który powąchał korek, zrobiła inwalidę na resztę życia. W cztery lata później tak sprzedana kopalnia osiągnęła na giełdzie San Francisco wartość siedmiu milionów sześciuset tysięcy dolarów w złocie.

Pewien Meksykanin, zupełny nędzarz, mieszkał w kanionie tuż pod miastem. Przez jego działkę płynął spadający ze zbocza strumyk, nie szerszy niż przegub męskiej dłoni. Spółka „Ophir” wybrała sto stóp ze swojej żyły i wymieniła ją z Meksykaninem na jego strumień. Okazało się, że ten odcinek zawierał najbogatszą rudę w całej okolicy; w cztery lata po zamianie jego wartość rynkowa (wraz z wybudowaną obok hutą) sięgała półtora miliona dolarów.

Inny znów osobnik, który posiadał dwadzieścia stóp w kopalni „Ophir”, zanim odkryto w niej bogate złoża, wymienił swoją własność na konia, i to bardzo nędzną szkapę. W rok czy dwa później, gdy akcje „Ophiru” skoczyły do trzech tysięcy dolarów za stopę, człowiek ów (nie miał centa przy duszy) zwykł mówić, że jest najbardziej zdumiewającym na świecie przykładem połączenia bogactwa i nędzy: dosiada konia wartości sześćdziesięciu tysięcy dolarów, ale nie stać go na siodło i albo musi je pożyczać, albo jeździć na oklep. Powiadał też, że jeśli los da mu jeszcze jednego konia wartości sześćdziesięciu tysięcy dolarów, będzie całkiem zrujnowany.

Pewien dziewiętnastoletni młodzieniec, telegrafista z Virginia City zarabiający sto dolarów miesięcznie – który miał trudności ze zrozumieniem niemieckich nazwisk na liście pasażerów przybywających do portu San Francisco i sprytnie zastępował je innymi, wybranymi ze starej książki adresowej miasta Berlina – wzbogacił się w ten sposób, że notował treść telegramów nadawanych przez zarząd kopalni, i na ich podstawie sprzedawał i kupował akcje przez swojego przyjaciela w San Francisco. Kiedyś, gdy nadano w Virginia City depeszę zawiadamiającą o odkryciu szczególnie bogatego złoża w jednej z największych kopalń, polecając trzymać całą sprawę w najściślejszej tajemnicy, dopóki nie uda się nabyć dużego pakietu akcji, telegrafista kupił dwadzieścia stóp po dwadzieścia dolarów za sztukę i niedługo potem sprzedał połowę po osiemset dolarów, resztę zaś za cenę dwa razy wyższą. W ciągu trzech miesięcy zarobił sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów i zrezygnował z pracy w urzędzie pocztowym.

Inny telegrafista, wyrzucony potem z pracy za zdradzanie tajemnic służbowych, wszedł w spółkę z pewnym bogaczem z San Francisco i przyrzekł dostarczać mu wyniki pewnego wielkiego procesu górniczego najdalej w ciągu godziny od chwili, gdy dowiedzą się o nich strony zainteresowane w San Francisco. Za tę przysługę telegrafista miał otrzymać spory procent zysków z transakcji dokonanej przez jego współkonspiratora. Przebrał się więc za woźnicę i poszedł do małego, położonego w górach urzędu pocztowego, zawarł znajomość z miejscowym telegrafistą i przesiadywał u niego całe dni paląc fajkę, narzekając, że zaprzęg mu się przemęczył i że nie może jechać dalej – i naturalnie cały czas wsłuchując się w stuk aparatu, przez który przepływały depesze z Virginia City. W końcu przebiegła po drutach depesza zawiadamiająca o wyniku procesu i natychmiast przebrany telegrafista zadepeszował do swojego współnika w San Francisco:

„Mam dość czekania. Sprzedaję konie. Jadę do domu”.

Był to umówiony szyfr. Gdyby w depeszy zostało opuszczone słowo „czekania”, znaczy-

łoby to, że proces skończył się innym wyrokiem. Zanim wynik procesu dostał się do wiadomości publicznej, wspólnik telegrafisty przeprowadził transakcję kupując akcje po bardzo niskiej cenie i zarobił fortunę.

W długi czas po tym, jak jedna z największych kopalni w Virginia City wpisała się do rejestru spółek akcyjnych, około pięćdziesięciu stóp żyły znajdowało się wciąż w rękach człowieka, który nie podpisał dokumentów inkorporacyjnych. Akcje osiągnęły ogromną wartość, starano się więc wszelkimi sposobami znaleźć tego człowieka, ale zniknął bez śladu. Kiedyś wreszcie rozeszła się pogłoska, że jest w Nowym Jorku, i kilku spekulantów pojechało go tam szukać, wrócili jednak z niczym. Kiedy indziej znów ktoś widział go jakoby na Bermudach i znów kilku spekulantów pojechało na Bermudy i znów wrócili z niczym. W końcu ktoś doniósł, że właściciel akcji przebywa w Meksyku i jego znajomy, barman, pożyczył trochę pieniędzy, odnalazł go, kupił jego „stopy” za sto dolarów, po powrocie zaś sprzedał je za siedemdziesiąt pięć tysięcy.

Czy warto wyliczać dalej? W tradycji Srebrnego Kraju mnóstwo jest takich przykładów i mógłbym je mnożyć bez końca. Chodziło mi tylko o to, żeby dać czytelnikowi pojęcie o osobliwości czasów gorączki, czego w inny sposób nie zdołałbym zrobić tak dosadnie, a co było konieczne dla lepszego zrozumienia opisywanych czasów i kraju.

Znałem osobiście większość krezusów, o których wspominałem wyżej, i dlatego, w imię dawnej przyjaźni, postarałem się tak zmienić i przestawić szczegóły i okoliczności, żeby publiczność z wybrzeży Pacyfiku nie rozpoznała tych ongiś znanych postaci. Dzisiaj nie są już znane, bo większość tych ludzi zniknęła znów w mroku nędzy.

W Newadzie popularna była historia przygód dwóch spośród miejscowych krezusów, która może jest, a może nie jest prawdziwa. Podaję ją nie biorąc za nią odpowiedzialności.

Pułkownik Jim widział trochę świata i wiedział coś niecoś o życiu, ale pułkownik Jack pochodził z zapadłego kąta Stanów, całe życie harował w pocie czoła i nigdy nie był w mieście. Otóż ci dwaj, gdy dobry los pobłogosławił ich niespodziewaną fortuną, postanowili wybrać się do Nowego Jorku. Pułkownik Jack chciał obejrzeć wielki świat, pułkownik Jim postanowił strzec świętej naiwności i prostoty przyjaciela. Do San Francisco przyjechali nocą i zaraz nazajutrz wsiedli na statek. Gdy przybyli do Nowego Jorku, pułkownik Jack powiedział:

– Całe życie słuchałem, jak ludzie gadają o powozach, i teraz sam chcę się przejechać. Wszystko mi jedno, ile to będzie kosztowało. Chodź.

Przystanęli na brzegu chodnika i pułkownik Jim kiwnął ręką na elegancki powozik.

– O nie, mój drogi! Takie dziadowskie pudła to nie dla mnie. Przyjechałem, żeby się zabawić, i ani myślę oglądać się na wydatki. Będę jeździł tylko wózkami pierwszej klasy. O, tu jedzie coś w sam raz dla mnie! Zatrzymaj ten żółty, z obrazkami na wierzchu... nie martw się o pieniądze, ja stawiam!

Pułkownik Jim zatrzymał pusty omnibus i obaj wsiedli do środka. Pułkownik Jack powiedział:

– Niczego sobie powozik, co? Ale nie... poduszki, firanki, obrazki... człowiek nie mógłby nawet porządnie odpocząć. Co by chłopcy powiedzieli, żeby nas tak zobaczyli, jak rżniemy wielkich panów w Nowym Jorku! A niech to, szkoda, że nas nie mogą zobaczyć!

Potem wystawił głowę za okno i wrzasnął do stangreta:

– Hej, to mi się podoba! Ja ci to mówię, ja! Biorę tę dryndę na cały dzień! Ja płacę, stary! Popędź te szkapiny, świśnij je batem! Nie pożałujesz, synu!

Stangret wsunął rękę przez okienko w budzie i zastukał kilka razy, żądając zapłaty. Pułkownik Jack chwycił jego dłoń i serdecznie uściśnął. Powiedział:

– Dobrześ mnie zrozumiał, stary chłopie. Załatwimy całą sprawę jak między dżentelmenami. Powąchaj to i powiedz, czy ci się podoba.

I z tymi słowy położył mu na dłoni złote dwadzieścia dolarów. Po chwili stangret powiedział, że nie ma reszty.

– Diabli z resztą! Przejeźdźmy ją! Pakuj forszę do kieszeni! A potem klepnąwszy się po udzie powiedział do pułkownika Jima:

– Ale fason, co? Diabli, jak nie wynajmę tego pudła na cały tydzień!

Omnibus zatrzymał się i weszła młoda kobieta. Pułkownik Jack wybałuszył oczy, ale zaraz szturchnął pułkownika Jima łokciem i wyszeptał:

– Ani słowa! Niech sobie jedzie, jak ma ochotę. Miejsca jest dosyć.

Młoda dama wyjęła portmonetkę i podała pułkownikowi Jackowi pieniądze za przejazd.

– A to niby na co? – spytał.

– Zechce pan uprzejmie podać stangretowi.

– Schowaj pani swoje pieniądze. Na coś takiego nie mogę pozwolić. Jedź sobie, jak chcesz długo, ale wynająłem to pudło na cały dzień i płacić ci nie pozwolę.

Zdumiona dziewczyna odsunęła się w kąt. Wsiadła teraz jejmość z koszem i ona także podała pieniądze pułkownikowi Jackowi.

– Co to, to nie, szanowna pani! – powiedział. – Rad jestem, żeś weszła, ale o płaceniu nie ma mowy. Siądź sobie, paniusiu, o tam, i niech cię o nic głowa nie boli. Czuj się tak, jak byś jechała własnym powozem.

W ciągu następnych dwóch minut wsiadły dwie grube kobiety, trzech panowie i dwoje dzieci.

– Prosimy, prosimy, przyjaciele! – wołał pułkownik Jack.

Nic się nami nie krepujcie. Ta jazda jest za darmo. – Potem wyszeptał pułkownikowi Jimowi do ucha: – Niech ja skonom, jak w Nowym Jorku nie mieszkają sami towarzyscy ludzie!

Zwalczał dzielnie wszelkie próby podawania stangretowi pieniędzy za bilety i witał wszystkich z wylewną serdecznością. Ludzie zaczęli się powoli orientować w sytuacji, chowali więc pieniądze do kieszeni i w skrytości ducha świetnie się bawili. Znów weszło kilku pasażerów.

– Miejsca tu u nas pod dostatkiem! – zawołał pułkownik Jack. – Wchodźcie, wchodźcie i czujcie się jak u siebie w domu! Jak człowiek ma ochotę pohulać, bez towarzystwa ani rusz. – Potem szepnął pułkownikowi Jimowi: – Przyjacielscy są ci nowojorczycy, co? I garną się do człowieka, nie?

Sopli lodowych między nimi nie widać. Gdyby tak karawan tędy przejeżdżał, też by się pewnie do niego ładowali.

Wsiadli nowi pasażerowie; jeszcze kilku i jeszcze kilku. Obie ławki były zajęte, mężczyźni stali w przejściu, trzymając się uchwyty nad głowami. Ci, co mieli kosze i toboły, wspinali się na dach. Wszędzie dokoła rozlegał się zduszony śmiech.

– Jak to nie jest najczystsza, najzimniejsza bezczelność, jaką w życiu widziałem, to ja jestem Indianin! – wyszeptał pułkownik Jack do pułkownika Jima.

Do omnibusu wpakował się Chińczyk.

– Poddaję się – powiedział pułkownik Jack. – Woźnico, zatrzymaj powóz! Zostańcie, panowie i panie. Bez skrepowania wszystko jest zapłacone. Woźnico, pokręć się z tymi ludziskami po ulicach, jak długo będą chcieli, rozumiesz, to są tego... nasi przyjaciele. Woź ich po całym mieście, a jak ci będzie mało pieniędzy, wpadnij, synu, do hotelu „St. Nicholas”. a wszystko z tobą załatwię jak należy. Przyjemnej drogi, panie i panowie, ja stawiam, jedźcie sobie, do kiedy chcecie! Przyjaciele wysiedli i pułkownik Jack powiedział: – Niech mnie, Jimmy! Nie widziałem jeszcze takich towarzyskich ludzi. Ten Chińczyk wszedł sobie jakby nigdy nic. Jeszcze chwila, a mielibyśmy w kompanii kilku Murzynów. Na Boga, zabarykadujemy drzwi od pokoju, bo jeszcze kilku tych facetów przyjdzie do nas na noc!

VI. SCOTTY BRIGGS I PASTOR:

Ktoś powiedział, że dla lepszego poznania społeczeństwa należy zbadać sposób grzebania zmarłych i sprawdzić, kogo grzebią z największą pompą. Trudno mi powiedzieć, kogo grzebaliśmy w czasach gorączki z większym przepychem – wybitnych dobroczyńców publicznych czy też wybitnych łajdaków. Przypuszczam, że te dwie wielkie grupy społeczne czciły swoich zmarłych mniej więcej jednakowo. Można stąd wysnuć wniosek, że filozof, którego cytowałem na początku, zanim wyrobiłby sobie sąd o ludziach Virginia City, obejrzałby wpierw dwa typowe pogrzeby.

Gdy umarł Buck Fanshaw, wyprawiono mu szumny pogrzeb. Buck Fanshaw był wybitnym obywatelem. Zabił „swojego człowieka”, chociaż trzeba przyznać, że nie we własnej kłótni, tylko w obronie nieznanego, który wbrew regułom walki został osaczony przez kilku napastników. Prowadził wspaniałą knajpę. Był właścicielem oszołamiącej towarzyszkii życia, której mógł się pozbyć bez zbędnych formalności rozwodu. Piastował wysoki urząd w straży ogniowej i był istotnym Warwickiem w polityce. Gdy umarł, podniósł się w mieście wielki lament, zwłaszcza w niższych warstwach społeczności.

Śledztwo wykazało, że Buck Fanshaw w szale wyniszczającej gorączki tyfusowej zażył arseniku, przestrzelił sobie płuca, poderżnął gardło i wyskoczył z okna czwartego piętra łamiąc kark; rozpatrzywszy sprawę wszechstronnie sąd przysięgłych – zgnębiony i smutny, ale jak zwykle bystry i nie zaślepiiony bólem – wydał orzeczenie o śmierci „z dopustu bożego”. Co świat robiłby bez sądów przysięgłych?

W mieście czyniono nadzwyczajne przygotowania do pogrzebu. Wynajęto wszystkie pojazdy, wszystkie bary i knajpy udekorowano krepą, wszystkie chorągwie miejskie i sztandary straży pożarnej spuszczone do pół masztu, wszyscy zaś strażacy otrzymali polecenie stawienia się w pełnej gali i z narzędziami pracy przybranymi czernią. A teraz wspomnijmy mimochodem, że ponieważ wszystkie narody świata miały w Krainie Srebra swoich przedstawicieli wśród zawadiaków szukających przygód i ponieważ każdy taki przedstawiciel przywoził narzeczę swojego narodu czy swojej miejscowości, powstał w Newadzie najbogatszy, najbujniejszy i najbardziej zróżnicowany żargon na świecie – może z wyjątkiem kopalń kalifornijskich. Żargon ten był językiem Newady. W kościele mało kto mógł zrozumieć kazanie, jeżeli nie było wygłoszone w miejscowym żargonie. Zwroty takie jak: „załóż się sam, bracie”, „myślę, że mi się nie zdaje”, „Irlandczycy niech się nie pchają” oraz setki innych stały się tak popularne, że mówiący wypowiadał je bezwiednie i często bez żadnego związku z tematem, pozbawiając je tym samym wszelkiego sensu.

Po ogłoszeniu orzeczenia sądu o śmierci Bucka Fanshawa odbył się wiec górniczego bractwa, bo na wybrzeżu Pacyfiku niczego nie można dokonać bez publicznego wiecu i publicznego wyrażania uczuć. Uchwalono pełne bólu rezolucje, powołano kilka komisji; spośród nich pewna jednoosobowa komisja miała się udać do pastora, który był delikatnym, łagodnym, uduchowionym młodym wychowankiem seminarium teologicznego na wschodzie i jak dotąd nie znał życia w kopalniach. Członek tego jednoosobowego komitetu, Scotty Briggs, złożył pastrowi wizytę. Trzeba wam było słyszeć, jak później pastor o niej opowiadał! Scotty był zawadiaką krzepkiej budowy, a gdy załatwiał ważne sprawy urzędowe jak udział w komisjach itp., występował w strażackim hełmie na głowie, płomiennoczerwonej koszuli, czarnym lakierowanym pasie z rewolwerem i śrubokrętem wiszącymi na karabińczykach, w kurtce zarzuconej na ramiona i spodniach wsuniętych w cholewy długich butów. Kontrast między nim a bladym studentem teologii był zdumiewający. Muszę jednak wspomnieć mi-

mochodem (należy się to Scotty'emu), że miał serce gorące, kochał wiernie przyjaciół i dopóki mógł, nie mieszał się do kłótni. Powiadano w Virginii, iż przy bliższym badaniu wychodziło na jaw, że bójki Scotty'ego nie były nigdy przez niego prowokowane. Włączał się do nich zawsze z własnej woli i dobroci serca, żeby pomóc temu, co przegrywał. Scotty i Buck Fanshaw byli przez wiele lat najbliższymi przyjaciółmi i często razem rzucali się w pełne przygód walki. Kiedyś zdjęli kurtki i stanęli po stronie przegrywającego w bójce zupełnie obcych mężczyzn, a wywalczywszy sobie z trudem zwycięstwo, przekonali się w końcu, że ten, którego bronili, dawno już zniknął z pola walki unosząc ich ubrania. Ale wróćmy do wizyty Scotty'ego Briggsa u pastora. Przybywał w smutnej misji i twarz miał zbolaną. Dopuszczony przed oblicze duchownego usiadł, położył swój hełm strażacki na nie dokończonym rękopisie kazania, tuż pod nosem pastora, wyciągnął z kieszeni ognistą jedwabną chustkę, otarł nią twarz i wtedy z piersi wyrwało mu się posępne a wstrząsające westchnienie, które tłumaczyło cel jego wizyty. Zaszlochał nawet i uronił kilka łez, ale opanował się w końcu i spytał grobowym tonem:

– Pan jesteś ten facet, co prowadzi świętą fabrykę tu przez ścianę?

– Czy jestem... pan wybaczy, ale chyba pana nie zrozumiałem...

Scotty westchnął ponownie i jeszcze jedno zduszone łkanie wyrwało mu się z piersi.

– Rozumiesz pan, mamy diabelny kłopot i chłopcy pomyśleli, że pan jeden możesz nam pomóc, jak pana odpowiednio podprawić... naturalnie, jeżeli dobrze skapowałem i jesteś dyrektorem tych religijnych zakładów przez ścianę.

– Jestem pasterzem owieczek, które mają swoją duchową zagrodę tu obok.

– Czym, proszę?

– Duchowym doradcą małego grona wiernych, których sanktuarium znajduje się w sąsiednim budynku.

Scotty podrapał się w głowę, myślał chwilę, w końcu powiedział:

– Twoje na wierzchu, ojczulku. Tej gry to ja nie kapuję. Tasuj i jeszcze raz rozdaj karty.

– Słucham pana? Przepraszam... ale sens pańskich słów do mnie nie dotarł.

– Ano, przyskrzypiłeś mnie, ojczulku. A właściwie jakoś żeśmy się obaj nawzajem przyskrzynili. Obaj siedzimy jak na tureckim kazaniu. Widzisz ojczulku, jeden z naszych chłopców wyciągnął kopyta i chcielibyśmy go pożegnać jak należy, więc chodzi o kogoś, kto by mu popitolił trochę na do widzenia.

– Przyjacielu, przygotowiesz mnie o coraz większą konfuzję. Twoje wypowiedzi są dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Czy nie mógłbyś ich jakoś uprościć? W pierwszej chwili światło mi jakieś światło, ale teraz znowu błędzę w ciemnościach. Czy dla przyspieszenia sprawy nie mógłbyś ograniczyć się ściśle do kategorycznego stwierdzenia faktów, nie obciążonych nadmiarem metafor i alegorii?

Znowu chwila milczenia i głębokiego namysłu. Potem Briggs westchnął:

– Muszę chyba spasować,

– Nie rozumiem...

– Za mocno przebiłeś, ojczulku.

– Nadal nie pojmuję pańskich słów.

– Ano, ta ostatnia przemowa, ojczulku, całkiem mnie wykończyła... to chciałem powiedzieć. Ani nie mam atuta do obrony, ani nie mogę uciec ze zrzutkami.

Oszołomiony pastor zaniemówił. Briggs oparł głowę na rękę i pogрузzył się w myślach. Po chwili podniósł twarz zbolaną, lecz pełną ufności.

– Mam! Teraz ojczulku skapujesz! – powiedział. – Potrzebny nam jest facet od Ewangelii.

– Kto?

– Facet od Ewangelii. No... pastor.

– Och! Dlaczego pan tego od razu nie powiedział? Jestem duchownym. Pastorem.

– To rozumiem! Masz moją grabę, kładź tu swoją, ojczulku – zawołał Scotty wyciągając

potężną łapę, która zamknęła się na delikatnej dłoni pastora, i potrząsnął nią z gwałtownością świadcząca o braterskiej sympatii i gorącej wdzięczności. – Teraz już wszystko poleci jak z płatka. Zaczniemy od początku. I nie dziw się, że będę trochę ciągnął nosem, ale mamy cholerne zmartwienie. Jeden z naszych chłopców kipnął...

– Kipnął?

– No kipnął... odwalił kitę,

– Odwalił kitę?

– Tak... wyciągnął nogi...

– Ach, przeniósł się do tajemniczej krainy, z której nikt nie wraca.

– Jakżeby miał wracać? Skądże! Ojczulku, on umarł.

– Tak, rozumiem.

– Och, rozumiesz? Bo już myślałem, że znowu ci się coś pokiełbało. Tak, ojczulku, umarł znowu...

– Znowu? To on już kiedyś umierał?

– Czy już kiedyś umierał? Gdzie tam! Myślisz, ojczulku, że człowiek żyje tyle razy co kot? Ale możesz się założyć z samym sobą, że on, biedaczyna, umarł na amen, a ja wolałbym nie dożyć tego dnia. Ze świecą szukać takiego drugiego przyjaciela jak Buck Fanshaw. Znałem go jak własną kieszeń, a jak znam człowieka i lubię człowieka, gardło dałbym sobie dla niego poderznąć. Jak świat światem nie było morowszego faceta w kopalniach. Nikt nigdy nie słyszał, żeby Buck Fanshaw zrobił świństwo przyjacielowi. Ale teraz już wszystko przepadło, ojczulku, wszystko przepadło. Co się stało, to się nie odstanie. Wykończyła go, ojczulku.

– Wykończyła? Kto?

– A jakże, wykończyła. Śmierć. Ale co tam, musimy się rozstać z Buckiem. Pewnie, na to nie ma rady. Jak się tak zastanowić, paskudny ten świat, co? Ale ojczulku, co za chłop był z tego naszego Bucka! Trzeba ci go było widzieć, jak się raz porządnie rozkręcił. Wielgachny chłop z pięściami jak młyńskie kamienie. Napluć mu w twarz, zrobić dosyć miejsca – i nic, tylko patrzeć, jak się uwija. Serce rosło w człowieku. Był najgorszy szafy syn, jaki chodził po tym mieście. Aż się rwał! Rwał się gorzej od Indianina.

– Rwał się? Jakże to?

– No, rwał się. Do chryi, do bójki. Przepraszam, ojczulku, że o mało co nie powiedziałem brzydkiego słowa, ale w tej pogaduszce z tobą cały czas muszę się diabelnie wysilać i mówić same salonowe dyrdymałki. Tak – co robić – trzeba się nam rozstać z Buckiem. Na to nie ma rady. Więc jakbyś zechciał, ojczulku, ładnie go nam w drogę wyprowadzić...

– Wygłosić mowę nad grobem? Asystować przy obrządkach pogrzebowych?

– Obrządki pogrzebowe – wyjąłeś mi to, ojczulku, z ust! Tak. Takeśmy sobie myśleli. Chcemy, żeby wszystko było pierwsza klasa, bez oglądania się na koszty. Buck miał zawsze szeroką rękę i stawiał wszystkim, więc jego pogrzeb nie będzie fuszerką! Nie. Solidne srebro w trumnie, sześć pióropuszy na karawanie, a na koźle Murzyn w krochmalonej koszuli i w kapeluszu jak pieróg na głowie. Ile by to razem wypadło? A o tobie też nie zapomnimy, ojczulku. Urządźmy cię, jak należy. Dostaniesz powóz, a jak ci będzie czego trzeba, raz piśniesz i już dostaniesz. Ustawiliśmy taki schodek drewniany w jego domu, żebyś miał na czym stanąć. I nic się nie strachaj, ojczulku. Wejdiesz, staniesz i wyrznisz porządną mowę. Wypraw Bucka na tamten świat, ojczulku najeleganciej jak możesz, bo każdy ci powie, że on był jeden z najbielszych ludzi w kopalniach. Żebyś nie wiem co o nim powiedział, i tak nie powiesz za dużo. W Bucku zawsze flaki się przewracały, kiedy coś nie szło tak, jak trzeba. Nikt nie zrobił tyle, co on, żeby utrzymać w tym mieście spokój i porządek. Na własne oczy widziałem, jak w jedenaście minut poszatkował czterech łobuzów, co im się nagle zachciało pohulać. Jak trzeba było z czymś zrobić porządek, nie gadał i nie baj durzył, żeby kto inny zrobił, tylko sam brał się za robotę. Katolik to on nie był. Gdzie tam! Kochał się z nimi jak pies z kotem. Miał takie powiedzenie i ciągle je powtarzał: „Irlandczycy niech się nie pchają”.

Ale jak trzeba było pokazać, co znaczy prawo człowieka, wcale o tym nie pamiętał, i kiedy jakieś łobuzy wleźli na katolicki skład truposzów, czyli cmentarz, i dalej wytyczać działki pod budowę domów, on się nimi zajął! Przepędził ich, a jakże! Byłem tam, ojczulku, i na własne oczy widziałem.

– To bardzo ładnie o nim świadczy... w każdym razie impuls można uznać za dobry, niezależnie od tego, czy był to, czy też nie był akt samoobrony. Czy zmarły żywił jakieś przekonania religijne? Innymi słowy, czy czuł swoją zależność od istoty wyższej lub może uznawał jej władzę nad sobą?

Chwila zastanowienia.

– Coś mi się zdaje, ojczulku, żeś mnie znowu przebił atutem. Nie mógłbyś tego jeszcze raz powtórzyć, trochę wolniej?

– Postaram się uprościć nieco pytanie. Czy zmarły był związany z jakąś organizacją, która wyrzekłszy się spraw ziemskich poświęcała swój czas samowyrzeczeniom w interesie moralności?

– Zwalileś wszystkie dziewięć kręgów, ojczulku. Postaw je w drugiej alei.

– Nie bardzo rozumiałem...

– Jak z tobą gram, ojczulku, przegrywam z kretesem. Co trzepniesz lewą ręką, walę się na trawę. Co pociągniesz kartę, masz asa. A do mnie szczęście jakoś nie przychodzi. Rozdajmy jeszcze raz.

– Doprawdy nie chwytam sensu... mamy zacząć od początku?

– Właśnie.

– Doskonale. Czy zmarły był człowiekiem dobrym i...

– O, rozumiem! Tylko teraz ani mrumru, ojczulku, dopóki nie zajrzę w karty. Czy był dobry, pytasz? Dobry to nie jest żadne słowo. Był najlepszym człowiekiem, jaki... ojczulku w ogień byś za niego skoczył, jakbyś go znał. To on w zeszłym roku przerwał awanturę na wyborach, zanim się jeszcze zaczęła. I wszyscy mówili, że tylko Buck mógł to zrobić. Jak wpadł na salę, w niecałe trzy minuty wynieśli czternastu chłopaków na okiennicach do domu. Przerwał chryję i załatwił wszystko ładnie i po cichu, nim ktokolwiek zdążył podnieść pięść i grzmotnąć. Lubił spokój i jak chciał, miał w mieście spokój. Buck nie znosił awantur, nie... Ojczulku, jego śmierć to wielka strata dla miasta. Chłopcy byliby radzi, jakbyś napomknął w mowie o tej stracie, a Buckowi na pewno się to należy. Jak kiedyś Irlandczycy wybijali szyby w protestanckiej niedzielnej szkółce, Buck z własnej i nie przymuszonej woli zamknął knajpę, wziął dwie sześciostrzzałowe pukawki i trzymał straż przed szkołą. Powiedział: „Irlandczycy niech się nie pchają”. I nie pchali się. Jeszcze by też! Drugiego takiego jak on nie było w całych górach, ojczulku. W siedemnastu okręgach nikt nie biegał tak szybko jak on, nikt nie skakał tak wysoko, nikt nie grzmocił tak mocno i nikt nie umiał utrzymać w sobie tyle whisky, co nasz Buck, i ani kropli nie wylać. O tym też powiedz, ojczulku, to bardzo chłopców ucieszy. I możesz jeszcze powiedzieć, że nigdy nie sponiewierał swojej matki.

– Nigdy nie sponiewierał swojej matki?

– A jakże, nigdy. Wszyscy chłopcy mogą to zaświadczyć.

– Dobrze... ale dlaczego miałyby ją poniewierać?

– Ja tam też tak uważam. Dlaczego? Ale niektórzy to robią.

– Porządni ludzie?

– Hm, niektórzy nawet nie tacy najgorsi.

– Moim zdaniem człowiek, który podnosi rękę na własną matkę, powinien...

– Wysiadaj. Tym razem spudłowałeś, ojczulku. Mówiłem tylko, że Buck nie przegnał swojej matki. Gdzie tam! Kupił jej dom i działkę w mieście i dawał jej kupę pieniędzy. A jak się nad nią trząsał, jak koło niej skakał! Kiedy zachorowała na wietrzną ospę, niech mnie diabli, jeżeli nie siedział przy niej po całych nocach jak najlepsza niańka! Nie gniewaj się, ojczulku, za to brzydkie słowo, ale tak mi się jakoś wysnęło z prędkości. Potraktowałeś mnie

jak prawdziwego dżentelmena; i ja nie taki, żeby cię urazić. Jak chcesz wiedzieć, ojczulku, to ci powiem, że z ciebie prawdziwy biały człowiek. Polubiłem cię, ojczulku i poszatkuje każdego, kto powie, że nie jesteś fajny chłop. Tak go poszatkuje, że rodzony brat go nie odróżni od zeszlórocznego umarlaka! No, daj grabę! – jeszcze jeden ojcowski uścisk dłoni i Scotty Briggs wyszedł.

„Chłopcy” nie mogli sobie życzyć wspanialszego pogrzebu. Taką pompę żałobną Virginia City widziało po raz pierwszy. Karawan ustrojony pióropuszcami, posepna muzyka dętych orkiestr, długa procesja stowarzyszeń w mundurach, oddziałów wojska, batalionów straży pożarnej, kirem przybrane sikawki, pojazdy osobistości urzędowych i obywatele w powozach i pieszo; tłumy widzów na chodnikach, na dachach, w oknach. Przez wiele lat stopień splendoru osiągnięty podczas uroczystości publicznych w Virginia City był określany przez porównanie z pogrzebem Bucka Fanshawa.

Scotty Briggs jako żałobnik podtrzymujący końce całuna był ważną osobą na pogrzebie, a gdy mowa pogrzebowa dobiegła końca i padły ostatnie słowa modlitwy za duszę zmarłego, Scotty odpowiedział cicho, lecz z uczuciem:

– Amen. Irlandczycy niech się nie pchają.

Ponieważ główny człon tego zdania nie bardzo się łączył z okolicznościami, był to zapewne tylko skromny hołd złożony pamięci przyjaciela, który odszedł; bo jak Scotty kiedyś zaznaczył, było to „jego powiedzenie”.

W czasach późniejszych Scotty Briggs zasłynął tym, że jako jedyny spośród zawadiaków wirgińskich nawrócił się na wiarę. Okazało się, że człowiek, który z szlachetności serca stawał po stronie słabszych, nie był złym materiałem na chrześcijanina, a to, że się nim stał, ani nie przytłumiło jego wspaniałomyślności, ani nie zmniejszyło odwagi – przeciwnie, skierowało je we właściwszym kierunku i dało większe pole do działania. A czyż można się dziwić, że prowadzona przez niego klasa w szkółce niedzielnej robiła szybsze postępy niż inne klasy? Moim zdaniem nic w tym dziwnego. Przemawiał do pionierskiego narybku językiem, który oni rozumieli. Jestem szczęśliwy, że na miesiąc przed śmiercią Scotty’ego miałem okazję usłyszeć, jak opowiadał swoim słuchaczom piękną historię Józefa i jego braci „bez zagładania do książki”.

Niech sobie czytelnik sam odmaluje w wyobraźni tę scenę: przepleciona żargonem, opowieść płynąca z ust poważnego, gorliwego nauczyciela i dzieci słuchające jego słów z zainteresowaniem, które świadczyło, że ani on, ani one nie zdają sobie sprawy z gwałtu zadawanego świętemu tekstowi.

VII. SZEŚCIOPALCY PETE ORAZ INNI ZBÓJCY

W pierwszych dwudziestu sześciu grobach na cmentarzu w Virginia City leżą ludzie zamordowani. Wszyscy tak mówili i wszyscy święcie w to wierzyli; wszyscy zawsze będą tak mówić i będą w to wierzyć. Na pytanie, dlaczego było tyle zabójstw, odpowiedź jest prosta: w każdym nowym okręgu górniczym przeważają elementy awanturnicze i obywatel nie jest szanowany, dopóki nie „zabije swojego człowieka”. To określenie było w powszechnym użyciu.

Gdy zjawiał się w mieście nowy przybysz, nikt nie pytał, czy jest zdolny, uczciwy, pracowity – tylko czy zabił „swojego człowieka”. Jeśli nie, spadał automatycznie na właściwe mu miejsce jednostki bez znaczenia; o ile zabił, serdeczność, z jaką go przyjmowano, zależała od ilości popełnionych morderstw. Człowiekowi o rękach nie pomazanych krwią trudno było się wspiąć na górne szczeble drabiny społecznej; jeżeli natomiast nowy przybysz miał kilka zabójstw na sumieniu, uznawano natychmiast jego wartość i szukano z nim przyjaźni.

Przez pewien czas adwokat, dziennikarz, bankier, główny *desperado*, główny szuler i właściciel baru zajmowali w Nowadzie równe pozycje społeczne – czyli szczytowe. Najtańszym i najłatwiejszym sposobem zyskania wpływów i zdobycia szacunku w społeczeństwie było stanąć za barem, wpiąć w krawat okazałą szpilkę brylantową i sprzedawać whisky. Wydaje mi się nawet, że właściciel knajpy miał rangę społeczną odrobinę wyższą niż jakikolwiek inny członek społeczeństwa. Z jego zdaniem wszyscy się liczyli. Uznawano jego przywilej wyrokowania, jak powinny wypaść wybory. Bez dyrektyw i poparcia właściciela baru żadne większe przedsięwzięcie nie mogło się udać. Uważano powszechnie, że właściciel knajpy wyświadcza łaskę, jeżeli zgodził się zostać członkiem izby ustawodawczej lub radnym miejskim. Młodzieńcy z ambicjami rzadziej myśleli o laurach adwokatury, armii czy marynarki niż o godności właściciela baru. Mieć knajpę i śmierć człowieka na sumieniu znaczyło tyle, co być jednostką wybitną i sławną. Dlatego czytelnik nie powinien się dziwić, że tak wiele ludzi w Nowadzie umierało od kuli – nawet bez pretekstu uprzedniej zaczepki – tak bardzo niecierpliwili się zabójca, żeby zdobyć jak najprędzej sławę i pozbyć się jątrzącego uczucia, że jest nikim wśród własnych towarzyszy. Znałem dwóch młodzieńców, którzy usiłowali „zabić swojego człowieka” w tym jedynie celu. I tak się starali, że aż sami zginęli. „O, idzie ten, co zabił Billa Adamsa!” – Takie słowa były najwyższą pochwałą i brzmiały najmilej w uszach tego rodzaju ludzi.

Ci, co zamordowali pierwszych dwudziestu sześciu lokatorów wirgińskiego cmentarza, nie ponieśli kary. Dlaczego? Ponieważ Alfred Wielki obmyślając instytucję sądu przysięgłych i wiedząc, że w jego czasach doskonale służyła ona sprawiedliwości, nie zdawał sobie sprawy, iż w wieku dziewiętnastym układ świata będzie tak zupełnie różny, że jeśli on, Alfred, nie wstanie z grobu i zmieniwszy zasady sądu przysięgłych nie przystosuje go do nagłych potrzeb, ów sąd stanie się najprzemysłniejszą i najbardziej niezawodną machiną do zwalczania sprawiedliwości. Bo król Alfred nie przypuszczał, że gdy jego system straci na przestrzeni wieków swoją przydatność, my, głupcy, nadal będziemy go stosowali – tak jak nie przypuszczał, że wymyśliwszy chronometry będziemy nadal stosowali jego zegary piaskowe. W jego czasach wiadomości nie rozpowszechniały się prędko. Więc Alfred mógł bez trudu skompletować sąd przysięgłych składający się z ludzi uczciwych i inteligentnych, którzy nie słyszeli o sprawie oddanej im pod deliberację; w naszych czasach, w czasach telegrafów i gazet, system króla Alfreda zmusza nas do zaprzysięgania sądu składającego się z głupców i lajdaków, ponieważ rygorystycznie wyklucza ludzi uczciwych i inteligentnych.

Przypominam sobie jedną taką żalosalną farsę Wirginii, farsę, którą zwykliśmy zwać sądem przysięgłych. Znany *desperado* zabił pana B., zacnego obywatela, morderstwa zaś dokonał w

sposób szczególnie ohydny i nieludzki. Naturalnie gazety pełne były sprawozdań i każdy, kto umiał czytać, dowiedział się o tym wydarzeniu z prasy. Naturalnie prócz głuchych, niemych i idiotów wszyscy mówili o morderstwie. Sporządzono listę ławników i panu B. L., znanemu bankierowi i szanowanemu obywatelowi, zadano pytanie dokładnie takie, jakie by mu zadano w każdym innym sądzie w Ameryce:

– Czy słyszał pan o tym zabójstwie?

– Tak.

– Czy prowadził pan rozmowy na ten temat?

– Tak.

– Czy wyrobił pan sobie zdanie o tym fakcie i czy wygłaszał je pan publicznie?

– Tak.

– Nie skorzystamy z pana usług.

Pastor, inteligentny, ceniony i cieszący się powszechnym szacunkiem; kupiec o nieskazitelnym i prawym charakterze; dyrektor kopalni, człowiek światły i bez skazy; właściciel kopalni, człowiek powszechnie w mieście szanowany – wszyscy musieli odpowiedzieć na te same pytania, po czym kandydatury ich odrzucono. Wszyscy zapewniali, że nie ulegają sugestii kursujących pogłosek i artykułów w gazetach i że zaprzysiężone zeznania przekreślą ich dotychczasowe opinie i pozwolą im wydać wyrok bezstronny i oparty na faktach. Ale naturalnie takim ludziom nie można było powierzyć sprawy. Tylko ciemni ignoranci mogli wymierzyć niczym nie skażoną sprawiedliwość.

W końcu ułożono listę dwunastu ławników, którzy oznajmili pod przysięgą, że nie słyszeli, nie czytali, nie rozmawiali i nie wyrobili sobie zdania o morderstwie, o którym wiedziało bydło w zagrodach, Indianie na prerii i kamienie brukowe na ulicy. W skład tego sądu wchodził dwaj *desperados*, dwaj politycy karczemni, trzech właściciele barów, dwaj niepiśmienni farmezy i trójka tępych półgłówków. Jak się potem okazało, jeden z tych panów był przekonany, że kazirodztwo i bigamia znaczą jedno i to samo.

Ten sąd przysięgłych wydał wyrok uniewinniający. Czy można się było spodziewać czegoś innego?

Obecna struktura sądów przysięgłych dyskryminuje inteligencję i uczciwość, faworyzuje natomiast ignorancję, głupotę i krzywoprzysięstwo. Jest rzeczą śmieszną, żebyśmy się upierali przy stosowaniu bezwartościowej instytucji prawnej tylko dlatego, że była ona dobra tysiąc lat temu. Jeżeli człowiek wybitny w społeczeństwie, inteligentny, o nieskazitelnym charakterze jest gotów przysiąc, że zeznania świadków złożone pod przysięgą będą miały dla niego większą wagę niż zasłyszane rozmowy i artykuły w prasie oparte na zwykłych pogłoskach, taki człowiek wart jest stu sędziów przysięgłych, którzy zaprzysięgają na własną ignorancję i głupotę, a sprawiedliwość w jego rękach będzie bezpieczniejsza niż w ich rękach. Czy nie można by zmienić przepisów o sądach przysięgłych w taki sposób, żeby człowiek mądry i uczciwy miał równe szansę z głupcem i łotrem? Czy jest sprawiedliwe, że w kraju dumnym z tego, iż wszyscy jego obywatele są równi i wolni, udziela się przywilejów jednej klasie ludzi, a dyskwalifikuje drugą? Kandyduję obecnie do ciała ustawodawczego. Mam zamiar zająć się strukturą sądów przysięgłych. Chciałbym ją tak zmienić, żeby rozum i charakter były w nich nagradzane i żeby na ławie sądowej nie zasiadali już nigdy idioci, łotrykowie i ludzie, którzy nie czytują gazet. Ale na pewno przegram; moje próby „ratowania ojczyzny” jakoś nigdy mi nie wychodzą.

Gdy rozpoczynałem ten rozdział, miałem zamiar powiedzieć coś o *desperados* Newady w czasach gorączki. Próba namalowania obrazu tego kraju i tej ery z pominięciem krwi i rzezi byłaby takim samym błędem jak próba przedstawienia państwa mormońskiego z pominięciem poligamii. *Desperado* przechadzał się po ulicach z miną tym pyszniejszą, im więcej miał zabójstw na sumieniu, a jeśli skinął na przywitanie głową któremuś ze swoich pokornych wielbicieli, był to dla tego człowieka szczęśliwy dzień. Do *desperado*, który „utrzymywał swój

prywatny cmentarz”, jak to się wtedy mówiło, odnoszono się ze szczególnym szacunkiem. Gdy zjawiał się na ulicy w surducie o niezwykle długich połach, w błyszczących trzewikach ze ściętymi nosami i białym, eleganckim kapeluszu nasuniętym na lewe oko, pomniejsi łotrzykowie rozstępowali się przed jego królewską mością; gdy wszedł do restauracji, kelnerzy porzucali bankierów i kupców, aby mu ofiarować swoje uniżone usługi; kiedy torował sobie łokciami drogę do baru, potrącani ludzie obracali się z wściekłości, poznawali go – i przepraszali. Otrzymywali w zamian spojrzenie mrozące krew w żyłach, ale tymczasem zgięty wpół właściciel z brylantową szpilką w krawacie zwracał ku nowo przybyłemu rozpromienioną twarz, dumny, że znajomość z nim pozwala mu na poufale słowa:

– Jak się masz, Billy, stary chłopie! Witaj, witaj. Co ci nalać? To, co zawsze?

Nazwiska tych bohaterów rewolweru w surdutach z długimi połami były najpopularniejsze w Newadzie. Oratorzy, gubernatorzy, przemysłowcy, pracodawcy zażywali pewnej sławy, ale była ona niczym w porównaniu ze sławą ludzi takich, jak Sam Brown, Jack Williams, Billy Mulligan, Farmer Pease, Słodkonogi Mike, Dziobaty Jake, El Dorado Johnny, Jack McNabb, Joe McGee, Jack Harris, Sześciopalczy Pete, itd., itd. Długo można by wyliczać ich nazwiska. Byli to ludzie odważni i zuchwali, bezustannie narażający życie. Trzeba jednak przyznać, że zabijali się najczęściej między sobą i rzadko napastowali spokojnych obywateli, uważali bowiem, że dodanie do zbiorów trofeum tak nieciekawego jak śmierć człowieka „nie spod znaku”, nie przysparza im chwały. Zabijali się z lada powodu, a każdy z nich żywił nadzieję, że sam też zginie od kuli; śmierć „w łóżku”, jak to nazywali, była bowiem w ich pojęciu hańbą.

Pamiętam pogardę, z jaką pewien *desperado* potraktował życie zwykłego obywatela. Kiedyś późnym wieczorem jadłem w restauracji kolację w towarzystwie dwóch reporterów i małego drukarza nazwiskiem – powiedzmy – Brown. Mniejsza o nazwisko. W pewnej chwili wszedł obcy mężczyzna w tużurku o bardzo długich połach i nie zauważywszy leżącego na krześle kapelusza Browna usiadł na nim. Mały Brown zerwał się z miejsca i chludnął obelgami. Obcy uśmiechnął się, wygładził kapelusz i podał Brownowi przepraszając go wylewnie, acz nie bez zgrzytliwej ironii, i błagając, aby mu darował życie. Brown zrzucił kurtkę i wyzwał nieznajomego do walki – lżył go, groził mu, poddawał w wątpliwość jego odwagę, żądał od niego walki, a nawet błagał o walkę; tymczasem obcy, wciąż się uśmiechając, szukał u nas opieki. Ale niebawem spoważniał i rzekł:

– Doskonale, panowie. Jeżeli chcecie walki, będziecie ją mieli. Ale nie rzucajcie się na oślep w niebezpieczeństwo i nie mówcie potem, że was nie ostrzegałem. Jeżeli mnie sprowokujecie, bez trudu dam wam wszystkim radę. Dowiodę tego, a jeśli mój szanowny przeciwnik nadal będzie żądał walki, postaram się mu usłużyć.

Stół, przy którym siedzieliśmy, miał pięć stóp długości i był niezwykle ciężki. Nieznajomy poprosił, żebyśmy przytrzymali przez chwilę nakrycia i zastawę, wśród której znajdował się duży, owalny półmisek z solidnym kawałem pieczeni. Obcy usiadł, podniósł stół z jednej strony, postawił sobie dwie jego nogi na kolanach, wziął blat w zęby, odjął ręce i ciągnął zębami, dopóki stół – z zastawą, nakryciem itp. – nie znalazł się w pozycji poziomej! Powiedział nam, że potrafi podnieść w zębach baryłkę pełną gwoździ. Wziął do ręki zwykły szklany kieliszek i odgryzł półokrągły kawałek. Potem odpiął koszulę na piersiach i pokazał nam siatkę blizn po kulach i nożu; pokazał inne blizny na ramionach i twarzy i powiedział, że z kul tkwiących w jego ciele można by ulepić sporą bryłę ołowiu. Był uzbrojony po zęby. Na zakończenie powiedział nam, że nazywa się... z Cariboo, a gdyśmy to usłyszeli, ugięły się pod nami nogi. Podałbym jego nazwisko, gdyby nie obawa, że przyjdzie i pokraje mnie na kawałki. W końcu spytał, czy Brown wciąż pragnie krwi. Po chwili zastanowienia Brown zaprosił go na kolację.

– Jeżeli czytelnik pozwoli, podam w następnym rozdziale kilka obrazków z życia naszego małego, górskiego miasteczka w owych dawnych czasach, gdy królowali *desperados* – byłem tam wtedy. Czytelnik zauważy rozmaite osobliwości naszego oficjalnego życia społecznego i przekona się na przykładzie, że w nowym kraju jedno morderstwo rodzi drugie.

VIII. DESPERADO NA URZĘDZIE MIEJSKIM

Kilka wyciągów z gazet tamtejszego okresu zastąpi nam fotografię – i to fotografię nie wymagającą retuszu.

F a t a l n e s k u t k i s t r z e l a n i n y. W sali bilardowej przy ulicy C doszło wczoraj wieczorem do wymiany strzałów między zastępcą szeryfa Jackiem Williamsem a Williamem Brownem. Brown zginął na miejscu. Stosunki między stronami były od kilku miesięcy bardzo napięte.

Wszczęto natychmiast dochodzenie sądowe, z którego podajemy poniższy fragment zeznań:

Policjant Geoffrey Birdsall zeznał pod przysięgą:

Powiedziano mi, że W. Brown jest pijany i rozgląda się po mieście za Jackiem Williamsem. Jak się tylko o tym dowiedziałem, poszedłem ich szukać, żeby zapobiec awanturze. Wszedłem do sali bilardowej i zobaczyłem Browna, który się ciskał i krzyczał, że jeżeli ktoś ma coś przeciwko niemu, niech wyjdzie i powie. Mówił gwałtownie i popędliwie, więc konstabl Perry odprowadził go na drugi koniec pokoju i starał się go ułagodzić. Brown wrócił do mnie i powiedział, że nie jest gorszy od innych i że nie potrzebuje cudzej opieki. Wyminął mnie i poszedł do baru. Nie wiem, czy pił. Williams był po drugiej stronie stołu bilardowego, tego bliżej schodów. Brown wrócił po chwili z baru i zaczął się przechwalać, że nie jest gorszy od innych. Potem przesunął się na koniec stołu bilardowego, tego bliżej baru. Poszedłem za nim, bo pomyślałem, że może dojść do bójki. Jak Brown wyciągnął pistolet, chwyciłem go za rękę. Strzelił do Williamsa, nie wiem, z jakim skutkiem. Przytrzymałem Browna jedną ręką, drugą chwyciłem pistolet i wykręciłem lufą do góry. Wydaje mi się, że po tym, jak chwyciłem pistolet, Brown jeszcze raz pociągnął cyngiel. Wyrwałem mu pistolet z ręki, przeszedłem na drugą stronę stołu bilardowego i powiedziałem do stojącego tam Williamsa, że odebrałem Brownowi pistolet, żeby nie strzelał. Wydaje mi się, że ogólnie oddano cztery strzały. Po wyjściu usłyszałem uwagę p. Fostera, że Brown nie żyje.

Och, nikt się tym nie przejął! Pan Foster tylko rzucił uwagę o drobnym zdarzeniu! W cztery miesiące później ukazała się w tymże piśmie (w „Gazecie Wirgińskiej”) następująca notatka. Spotykamy w niej nazwisko urzędnika miejskiego (zastępcy szeryfa, Jacka Williamsa), o którym była mowa wyżej:

Z u c h w a ł a n a p a ś ć i r a b u n e k. W środę wieczór przybył do naszego miasta i odwiedził tancbudę na ulicy B Karol Hurtzal, Niemiec, inżynier jednej z hut w Silver City. Muzyka, tańce i teutońskie dziewoje przywiodły naszemu Niemcowi na pamięć Faterland i zupełnie go rozrzewniły. Widać było, że ma pieniądze, bo szastał nimi na lewo i na prawo. Późno w nocy Jack Williams i Andy Blessington zaprosili go na dół na filiżankę kawy. Williams zaproponował grę i poszedł na górę po karty, ale ich nie znalazł. Na schodach spotkał Niemca, sterroryzował go rewolwerem i wyciągnął mu z kieszeni siedemdziesiąt dolarów. Hurtzal nie śmiał wszczynać alarmu, napastnik przyłożył mu bowiem pistolet do głowy i powiedział, że jeśli piśnie słowo lub wyda ich w jakiś inny sposób, wpakują mu kulkę. Tak skutecznie go nastraszył, że poszkodowany złożył doniesienie dopiero pod naciskiem przyjaciół. Wczoraj został wydany nakaz aresztowania, ale winowajcy zbiegli.

Ten sprawny urzędnik miejski, Jack Williams, miał reputację złodzieja, bandyty i groźnego *desperado*. Mówiono, że specjalizował się w nakładaniu kontrybucji na obywateli miasta – zawsze późną nocą, na odludnych ulicach i z rewolwerem w ręku.

W pięć miesięcy po ukazaniu się powyższej notatki Jack Williams został zastrzelony. Gdy któregoś wieczoru siedział przy kartach, lufa rewolweru ukazała się w szparze drzwi i Williams padł na podłogę podziurawiony kulami. Mówiono, że już od dłuższego czasu zdawał sobie sprawę, że ktoś z jego otoczenia (któryś z *desperados*) poprzysiągł mu śmierć; i panowało w mieście przekonanie, że przyjaciele i wrogowie Williamsa upamiętnią to zabójstwo – i jednocześnie zapiszą się wdzięcznie w sercach obywateli miasta – wzajemnym hurtowym mordem¹.

Wprawdzie to się nie zdarzyło, jednakże w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin nikt nie mógł narzekać na nudę, gdyż w tym krótkim terminie zginęła od kuli jedna kobieta, jednemu mężczyźnie rozwalono czaszkę, pewien zaś człowiek nazwiskiem Reeder też został wyekspediowany na tamten świat.

Niektóre fragmenty opisanego w „Gazecie” morderstwa warte są zanotowania, zwłaszcza zaś niebywała pobłażliwość sędziego pokoju.

R e w o l w e r y i n o ż e z n ó w w r o b o c i e. Zły duch wstąpił znów w mieszkańców naszego miasta. Na ulicach jak za dawnych czasów świszczą kule i błyskają klingi noży. Po długim okresie spokoju ludzie niechętnie zanurzają ręce we krwi; ale gdy dojdzie do jej rozlew, trudno go powstrzymać. Przedwczoraj wieczorem zginął od kul Jack Williams, wczoraj zaś w południe na tej samej ulicy, na której zginął Williams, miało miejsce nowe krwawe zajście – następstwo pierwszego. Tom Reeder, przyjaciel Williamsa, rozmawiał z George'em Gumbertem przed jego sklepem rzeźnickim o morderstwie Williamsa. W pewnej chwili Reeder powiedział, że był to akt tchórzostwa, gdyż zabito Williamsa nie dając mu możliwości obrony. Gumbert odparł, że Williams miał tyle możliwości obrony, ile sam dał Brownowi (miał na myśli człowieka, którego Williams zabił w marcu). Reeder upierał się, że to „wredne kłamstwo”, bo Williams został zabity z ukrycia. Słyszając to Gumbert wyciągnął nóż i dwukrotnie dźgnął Reedera. Za pierwszym razem nóż przeciął rękaw kurtki Reedera, zsunął się ukośnie i uderzył go poniżej pleców, druga rana była daleko groźniejsza. Gumbert oddał się w ręce przedstawicieli sprawiedliwości i zaraz potem został zwolniony na osobistą odpowiedzialność sędziego pokoju Atwilla. Przyrzekł tylko stawić się na rozprawę o godzinie szóstej tegoż dnia. Tymczasem przyjaciele zaprowadzili Reedera do doktora Owena, który opatrzył mu rany. Doktor uznał, że jedna z nich jest niebezpieczna i może się nawet okazać fatalna.

¹ Część tej przepowiedni sprawdziła się. *Desperados* utrzymywali, że jeden z ich bractwa, człowiek nazwiskiem Joe McGee, zostaj drogą losowania wyznaczony na zabójcę Williamsa; utrzymywali też, że zapadł tajny wyrok na McGee i że zginie on dokładnie w taki sposób, w jaki zginęła jego ofiara. Proroctwo to spełniło się w jakiś czas później. Po roku pełnym udręki (McGee widział bowiem zabójcę w każdym zbliżającym się doń człowieku) Jeszcze raz spróbował wydostać się ukradkiem z terytorium Newady. Pojechał do Carson, czekał w pewnym barze na dylizans, który miał odejść o czwartej nad ranem. Ale w miarę, jak upływały godziny nocy i przeredzał się tłum w barze, coraz większy niepokój ogarniał McGee'ego, który w pewnej chwili powiedział właścicielowi, że mordercy są na Jego tropie. Gospodarz poradził mu, żeby w takim razie trzymał się środka pokoju i nie podchodził ani do drzwi, ani do pieca pod oknem. Ale jakaś fatalna siła ciągnęła wciąż McGee'ego do pieca i gospodarz kilkakrotnie musiał przeprowadzać go na środek pokoju ostrzegając, żeby się stąd nie ruszał. Było to jednak silniejsze od niego. O trzeciej nad ranem podszedł znowu do pieca i usiadł obok jakiegoś nieznanego mężczyzny. Zanim gospodarz zdążył go ostrzec, ktoś strzelił zza okna i przedziurawił McGee'ego, zabijając go na miejscu.

Ponieważ jednak Reeder wypił przedtem duże ilości alkoholu, nie odczuwał teraz cierpień, wstał i wyszedł na ulicę. Zjawił się znów pod sklepem rzeźniczym Gumberta, wszczął z nim kłótnię i groził, że go zabije. Przyjaciele starali się zapobiec bójce i rozdzielili poróżnionych. W barze „Restauracja Modna” Reeder odgrażał się, że zabije Gumberta, i podobno żądał nawet od policjantów, aby go nie aresztowali, gdyż ma zamiar go zabić. Słyszając te pogroźki Gumbert poszedł do domu, wziął strzelbę o dwóch lufach naładowaną grubym śrutem czy też kulami rewolwerowymi i zaczął szukać Reедера. Tymczasem kilku przyjaciół Reедера prowadziło go do domu i gdy znaleźli się naprzeciwko sklepu Klopstocka i Harrisa, zobaczyli idącego im naprzeciw Gumberta z naładowaną bronią. Zbliżywszy się na odległość dziesięciu czy piętnastu stóp do Reедера Gumbert zawołał prowadzących go mężczyzn, żeby uważali i zeszli mu z drogi, a ledwie zdążyli odskoczyć, strzelił. Reeder usiłował się schronić za dużą beczkę stojącą przed wejściem do sklepu, kilka naboju utkwiło mu w piersiach, zachwiał się więc i zwałił na ziemię koło beczki. Wtedy Gumbert złożył się drugi raz i wypalił z drugiej lufy, ale tym razem naboje trafiły w ziemię. Gdy rozgrywała się ta scena, na ulicy było bardzo wielu przechodniów, którzy widząc, że Gumbert podnosi strzelbę, wołali na niego, aby nie strzelał. Gumbert dźgnął nożem Reедера około godziny dziesiątej, strzelał do niego około dwunastej. Po strzeleniu na ulice wyległy tłumy mieszkańców w tej części miasta; niektórzy śmieli się i mówili z ożywieniem, że przypomina to dawne dobre czasy z lat sześćdziesiątych. Szeryf Perry i konstabl Birdsall znajdowali się blisko miejsca wypadku; oni to aresztowali Gumberta, odebrali mu strzelbę i zaprowadzili do więzienia. Wielu obywateli zwabionych odgłosem strzałów na miejsce krwawego zdarzenia zdawało się zapytywać w duchu, jaki będzie dalszy rozwój wypadków i czy mania zabijania osiągnęła swój punkt szczytowy, czy też rozpoczynamy dopiero długi okres morderstw, polegający na tym, że wszyscy będą strzelali do wszystkich za lada przyczyną. Ludzie szeptali między sobą, że jeszcze dzisiaj zginie kilka osób. Reедера przeniesiono do hotelu „Virginia City”, gdzie natychmiast zbadali go wezwani lekarze. Otrzymał trzy postrzały w prawy bok; jedna z kul przeszła płuca, druga utkwiła w wątrobie. Znalaziono też dwie kule w nodze. Po otrzymaniu postrzałów Reeder wstał i powiedział z uśmiechem: „Jak mnie kto chce zabić, niech się wpierw nauczy strzelać”. Zdaniem lekarzy jest mało prawdopodobne, żeby Reeder wyżył, chociaż z uwagi na jego doskonałą kondycję nie można wykluczyć tej ewentualności mimo licznych i groźnych ran. W mieście panuje teraz spokój, jak gdyby ostatnie burze oczyściły moralną atmosferę; ale kto odgadnie, gdzie zbierają się następne burzowe chmury?

Reeder – czy raczej smutne resztki, które z niego zostały – żył dwa dni, Gumberta nie spotkała żadna kara.

Instytucja sądów przysięgłych jest palladium naszych swobód obywatelskich. Nie wiem, co to jest palladium, jako że nigdy w życiu nie widziałem palladium, ale musi to być coś bardzo dobrego.

W Newadzie zamordowano najmniej sto osób – może będę bliższy prawdy podając cyfrę trzystu – ale jeśli mi wiadomo, tylko dwaj mordercy ponieśli karę śmierci. Jednakże bodaj pięciu, którzy nie mieli pieniędzy i wpływów, ukarano więzieniem, przy czym jeden spędził w celi aż osiem miesięcy. Swoją drogą nie chciałbym przesadzać. Może nie było ich pięciu?

IX. JAK NALEŻY POSTĘPOWAĆ Z PIRATAMI

Te statystyki morderstw i wyroków przypomniały mi pewien niezwykle przewód sądowy i egzekucję sprzed dwudziestu laty; jest to historia dobrze znana Kalifornijczykom starszego pokolenia; powinni ją poznać wszyscy ludzie miłujący prostą, rzetelną sprawiedliwość nie obciążoną nonsensami. Przeprosiłbym czytelnika za tę dygresję, ale wydaje mi się, że informacja, której mu udzielię, sama to za mnie uczyni. A ponieważ książka moja jest pełna dygresji, zrezygnuję chyba z przeproszenia, gdyż mógłbym w końcu zirytować czytelnika.

Kapitan Ned Blakely (jest to nazwisko fikcyjne, gdyż kapitan żyje i może nie życzy sobie rozgłosu) pływał od wielu lat na statkach wychodzących z macierzystego portu San Francisco. Był to wciąż krzepki weteran mórza o gorącym sercu i jastrzębim wzroku; od dziecka pływał po morzach i był żeglarzem od blisko pięćdziesięciu lat; człowiekiem szorstkim, uczciwym, pełnym odwagi i rzeczowej prostoty. Nie cierpiał czczych konwenansów i nazywał je dyrdymałkami. Miał cechującą wszystkich żeglarzy pogardę dla kruczków i wybiegów prawnych i wierzył głęboko, że jedynym celem i zadaniem prawa jest działać na szkodę sprawiedliwości.

Pływał między San Francisco a wyspami Chincha na statku przewożącym guano. Załogę miał doskonałą, ale jego ulubieńcem był mat Murzyn, którego przez długie lata bezgranicznie podziwiał i szanował. Był to pierwszy rejs kapitana Neda na wyspy Chincha, jego sława szła jednak przed nim, sława człowieka, który zaczepiony natychmiast podejmie walkę i nie da się wystrychnąć na dudka – sława dobrze zasłużona. Przybywszy na wyspy kapitan przekonał się, że głównym tematem rozmów są wyczyny niejakiego Billa Noakesa, brutala, mata na jednym ze statków handlowych. Z niewielką przesadą można powiedzieć, że człowiek ów zaprowadził na wyspach rządu terroru. O godzinie dziewiątej wieczorem kapitan Ned przechadzał się w świetle gwiazd po pokładzie. Był sam na statku. W mroku jakaś postać wspięła się na burtę i zbliżyła do niego, Kapitan Ned spytał:

– Kto to?

– Jestem Bili Noakes, najważniejszy człowiek na wyspach.

– Czego tu chcesz?

– Słyszałem coś niecoś o kapitanie Nedzie Blakely. Jeden z nas jest ważniejszy od drugiego... zanim wrócę na brzeg, przekonam się który.

– Nie mogłeś lepiej trafić. Zaraz się przekonasz, jak to jest, kiedy ktoś przychodzi na ten statek bez zaproszenia.

Schwycił Noakesa za kark, postawił go pod głównym masetem, rozkwaślił mu gębę i wyrzucił za burtę.

Noakes nie był jednak przekonany. Wrócił nazajutrz wieczorem i z na nowo rozkwaszoną twarzą poleciał za burtę, głową naprzód. Tym razem uwierzył.

W tydzień później, gdy Noakes pił z kompanami na lądzie, nadszedł czarny mat kapitana Neda i Noakes próbował wszcząć z nim kłótnię. Murzyn nie dał się sprowokować i odszedł. Noakes udał się za nim, Murzyn zaczął uciekać, Noakes strzelił kładąc go trupem na miejscu. Kilku kapitanów widziało to zajście. Noakes z dwoma swoimi kompanami wycofał się potem na statek, do małej kajuty na rufie, i oznajmił, że każdy, kto ośmieli się mu tu przeszkadzać, dostanie kulę w łeb. Nikt nie próbował pochwycić łotrów; nikt nie miał takiego zamiaru, chyba nawet nikt o tym nie pomyślał. Na wyspach nie było sądów, nie było policji, nie było żadnej władzy; wyspy Chincha należały do Peru, a Peru było daleko i nie miało tu oficjalnego przedstawiciela – podobnie jak nie miało tu oficjalnego przedstawiciela żadne inne państwo.

Kapitan Ned nie przejmował się jednak takimi sprawami. Nic go one nie obchodziły. Miotła nim wściekłość i żądza wymierzenia sprawiedliwości. O dziewiątej wieczorem naładował obie lufy fuzji, wziął kajdanki i latarnię okrętową, przywołał kwatermistrza i zszedł z nim na ląd. Powiedział:

– Widzisz ten statek tam przy nabrzeżu?

– Tak, panie.

– To jest „Wenus”.

– Tak, panie.

– Znasz mnie, prawda?

– Tak, panie.

– Doskonale. Weź latarnię. Trzymaj ją wysoko, tuż pod brodą. Będę szedł za tobą i lufę oprę o twoje ramię, o tak. Trzymaj latarnię wysoko, żebym mógł widzieć na parę jardów przed tobą. Idę po Noakesa, a tamtych dwóch zamknę w kajucie. Jeżeli stchórzysz... no cóż, znasz mnie.

– Tak, panie.

W tym porządku weszli na pokład, odnaleźli kryjówkę Noakesa, a gdy kwatermistrz pchnął drzwi, ujrzeni w świetle latarni trzech *desperados* siedzących na podłodze. Kapitan Ned powiedział:

– Jestem Ned Blakely. Mogę w każdej chwili strzelić. Niech się żaden z was nie rusza bez wyraźnego rozkazu. Wy dwaj klękajcie tam w rogu, twarzami do ściany. Noakes, załóż sobie te kajdanki. Teraz podejdź bliżej. Kwatermistrzu, umocuj kajdanki. W porządku. Kwatermistrzu, przełóż klucz na zewnątrz. Wy tam, słuchajcie, zamknę was w tej kajucie, a jeżeli będziecie próbowali wyważyć drzwi... no cóż, słyszeliście chyba o mnie.

Noakes, idź przodem. W porządku. Kwatermistrzu, zamknij drzwi na klucz.

Noakes spędził tę noc na statku Blakely’ego, pod silną strażą. Wczesnym rankiem kapitan Ned odwiedził kolejno wszystkich kapitanów w porcie i z zachowaniem morskiego ceremoniału zaprosił ich na pokład statku, na godzinę dziewiątą, aby mogli być świadkami wieszania Noakesa na rei.

– Jakże to! Przecież ten człowiek nie był sądzony!

– Pewnie, że nie był. Ale Murzyna zabił, co?

– Owszem, zabił. Nie masz pan chyba zamiaru wieszać go bez sądu?

– Bez sądu! A po cóż miałyby go kto sądzić, kiedy wiadomo, że zabił Murzyna?

– Kapitanie Blakely, tak nie można. Jakże to będzie wyglądało?

– Dużo mnie to obchodzi! Zabił czy nie zabił Murzyna?

– Ależ tak, tak, kapitanie, temu nikt nie przeczy, tylko, że...

– No to go powieszę i już. Wszyscy, z którymi rozmawiałem, mówią kubek w kubek to samo. Wszyscy mówią, że zabił Murzyna, ale wszyscy chcą, żeby go za to sądzić. Nie rozumiem takiego głupiego gadania. Sądzić go! Zresztą ja się nie sprzeciwiam... jak trzeba, można go sądzić, już choćby dla samej satysfakcji. Przyjdę i sam dorzucę kilka słów, chętnie wam pomogę. Ale odłóżcie to sądenie do popołudnia – odłóżcie sądenie do popołudnia, bo dokąd go nie pogrzebią, będę miał ręce pełne roboty...

– To niemożliwe, kapitanie? Chcesz go wpierw powiesić, a potem sądzić?

– A czy nie powiedziałem, że go powieszę? W życiu nie widziałem takich ludzi jak wy tutaj. Co za różnica? Prosisz mnie pan, żebym się na coś zgodził, a ja się zgadzam, jeszcze ci mało. Wszystko jedno, czy go powieszę przed czy po sądeniu... I tak wiadomo, jaki będzie wyrok. Zabił Murzyna. Och... muszę już lecieć. Wiesz pan, jak pański mat chce to obejrzeć, niech przyjdzie. Podoba mi się.

Poruszenie w osiedlu było ogromne. Wszyscy kapitanowie przyszli do kapitana Neda prosząc go, żeby nie działał zbyt pochopnie. Obiecali, że powołają sąd przysięgłych złożony z samych ludzi o nieskazitelnej reputacji; przyrzekli poprowadzić wszystko tak, jak tego wy-

magą powaga chwili, zbadać sprawę wszechstronnie i obiektywnie osądzić oskarżonego. Zwracali kapitanowi Nedowi uwagę, że jeśli powiesi oskarżonego na statku, będzie to zwykłe morderstwo karalne według prawa amerykańskiego. Przytaczali dziesiątki argumentów. Kapitan powiedział wreszcie:

– Panowie, nie jestem uparty i nie jestem głupi. Staram się zawsze postąpić najlepiej, jak mogę. Długo to będzie trwało?

– Pewnie niedługo. Bardzo krótko.

– A jak tylko skończycie, będę go mógł wziąć na brzeg i powiesić?

– Jeżeli sąd uzna go winnym, egzekucja odbędzie się natychmiast.

– Jeżeli sąd uzna go winnym! Na wielkiego Neptuna! Uważacie, że on nie jest winien, co?! To już przechodzi wszelkie pojęcie. Przecież wiecie wszyscy, że jest winien!

Po długich perswazjach udało im się przekonać kapitana Neda, że nie mają żadnych sekretnych zamiarów. Wtedy kapitan Ned powiedział:

– No dobrze. Zróbcie ten swój sąd, a ja pójdę tymczasem do niego, przemówię mu trochę do sumienia i przygotuję go na śmierć, na pewno mu się to przyda. Chciałbym mu dać szansę dostania się na tamten świat.

Była to nowa przeszkoda. W końcu zdołali mu jakoś wytłumaczyć, że oskarżony musi być obecny w sądzie. Powiedzieli, że przyślą po niego straż.

– Co to, to nie, panowie! Sam go przyprowadzę... ani myślę wypuszczać go z rąk. Zresztą tak czy siak muszę iść na statek po sznur.

Sąd ustanowił się z zachowaniem należytego ceremoniału, zaprzysiężone dwunastu ławników, a niebawem zjawił się kapitan Ned; jedną ręką trzymał oskarżonego, w drugiej niósł Biblię i sznur. Usiadł obok swego więźnia i powiedział sądowi, żeby „podniósł kotwicę i rozwinął żagle”. Potem spojrzawszy badawczo na ławę przysięgłych, a zobaczywszy dwóch kompanów Noakesa, podszedł do nich i powiedział im poufnym tonem:

– Jesteście tu, żeby bruździć, wiadomo. Ale radzę wam głosować sprawiedliwie, rozumiecie? Bo inaczej zaraz po tym sądzie będziecie mieli rozprawę na dwie lufy, a wasze resztki pojedą do domu w dwóch koszach.

To ostrzeżenie poskutkowało. Sąd przysięgłych jednogłośnie orzekł: „Winny”.

Kapitan Ned zerwał się z krzesła i powiedział:

– Chodź, chłopcze, teraz już jesteś mój. Panowie, ta rozprawa przynosi wam zaszczyt. Proszę, żebyście poszli teraz ze mną i zobaczyli, czy postępuję, jak należy. Pójdziemy do kanionu, o milę stąd.

Sąd zawiadomił kapitana, że wyznaczono już szeryfa, który wykona egzekucję i...

Kapitan Ned stracił cierpliwość. Jego gniew nie miał granic. Sąd przezornie zrezygnował z szeryfa.

Gdy już cały tłum zebrał się w kanionie, kapitan Ned wszedł na drzewo, przerzucił sznur przez gałąź, a potem zszedł i założył oskarżonemu stryczek na szyję. Następnie zdjął kapelusz i otworzył Biblię. Wybrał na chybił trafił rozdział i odczytał go niskim głosem, nabrzmiałym szczerą powagą. Potem rzekł:

– Chłopcze, za chwilę przeniesiesz się na tamten świat, gdzie będziesz musiał zdać sprawę ze swego życia. A im krótszą ma człowiek listę grzechów, tym dla niego lepiej. Zrzuć, chłopcze grzechy z sumienia i weź ze sobą na tamten świat dziennik okrętowy, którego się nie powstydzisz. Zabiłeś Murzyna?

Żadnej odpowiedzi. Długie milczenie.

Kapitan odczytał następny rozdział, dla większego wrażenia zawieszając od czasu do czasu głos. Potem wygłosił do skazańca pełną powagi mowę i kończąc spytał ponownie:

– Zabiłeś Murzyna?

Znowu żadnej odpowiedzi, tylko błysk wściekłości w oczach. Kapitan odczytał dwa pierwsze rozdziały księgi Genesis; czyta! z wielkim przejęciem, a gdy skończył, milczał przez

chwile, potem z wielkim szacunkiem zamknął księgę i rzekł nie bez satysfakcji w głosie:

– No proszę, cztery rozdziały. Niewiele ludzi zadałoby sobie tyle trudu, mój chłopcze.

Potem podciągnął skazańca w powietrze i umocował koniec sznura; odczekał pół godziny z zegarkiem w ręku, następnie wydał ciało sądowi. W chwilę później, gdy stał wpatrzony w nieruchomy kształt na ziemi, cień wątpliwości pojawił się na jego twarzy; widocznie sumienie zaczęło mu czynić wyrzuty albo poczuł żal w sercu. Westchnąwszy ciężko powiedział:

– Może by się przyznał, gdybym go tak ze dwa razy przypalił... Ale chciałem jak najlepiej.

Kiedy wieść o tym dotarła do Kalifornii, ludzie mnóstwo na ten temat mówili, ale popularność kapitana Neda bynajmniej nie zmalała. Przeciwnie – nawet wzrosła. Ludność Kalifornii w tamtych czasach sama wymierzała sprawiedliwość w sposób prosty i prymitywny i dlatego umiała uznać i docenić czyn kapitana Neda.

X. PIĘKNA, ŚCINAJĄCA KREW W ŻYŁACH OPOWIEŚĆ

Występek rozplecił się bujnie w naszych czasach gorączki. Knajpy były przepelnione, przepelnione były też sądy policyjne, szulernie, burdele i więzienia, co należy uznać za niezawodną oznakę dobrobytu w okręgu górniczym; zresztą chyba w każdym okręgu. Czy nie mam słuszności? Długa wokanda spraw w sądzie jest chyba najlepszym dowodem, że panuje ożywienie w handlu i na rynku jest dużo pieniędzy. Ale istnieje jeszcze jeden sprawdzian; przychodzi na końcu, ponad wszelką wątpliwość ustala jednak fakt, że dobrobyt jest u szczytu. Mam na myśli narodziny tygodnika literackiego. W Virginia City zaczął się ukazywać „Tygodnik Zachodni” poświęcony „literaturze”. Do współpracy zostali zaproszeni wszyscy ludzie parający się literaturą, na redaktora zaś powołano pana F. Był to zwycięski bojownik pióra umiejący mówić rzeczy mądre w sposób ostry i zręczny. Kiedyś, gdy był redaktorem naczelnym „Związkowca”, odpowiedział na mozolny i długi na dwie kolumny, niejasny i zagmatwany atak na siebie jednym jedynym zdaniem, które na pierwszy rzut oka wyglądało na uroczysty i pełen szacunku komplement: „Logika wywodów naszego przeciwnika przypomina pokój boży...” i zawierzył pamięci czytelników, że sami nadadzą tej uwadze zgoła inny sens i skończą za niego powyższy cytat biblijny słowami: „... w tym, że przewyższa wszelkie zrozumienie”. O mieszkańcach małej, klepiącej biedę osady przydrożnej, która jedyny dochód czerpała z przypadkowych podróźnych poczty kontynentalnej zatrzymujących się na kilka godzin, powiedział kiedyś, że zmieniali fragment odmawianego w kościele „Ojciec nasz” na „podróżnego naszego powszedniego daj nam dzisiaj”...

Wiązaliśmy z „Tygodnikiem Zachodnim” wielkie nadzieje. Naturalnie tego rodzaju pismo nie mogło się obejść bez oryginalnej powieści drukowanej w odcinkach, postanowiliśmy więc rzucić do generalnego ataku cały zespół. Pani F. była zdolną powieściopisarką szkoły nieskazitelnej; nie znam innego słowa na określenie szkoły pisarskiej, która uznaje tylko bohaterów nieskazitelnie wytwornych i nieskazitelnie doskonałych. Pani F. napisała pierwszy rozdział i wprowadziła do akcji prześliczną blond idiotkę, z której ust padały same perły poezji i która była cnotliwa do granic dziwactwa. Ponadto przedstawiła czytelnikom francuskiego księcia o przerażająco wykwinnych manierach, zakochanego w blondynce. W następnym tygodniu wystąpił pan F. z dwiema nowymi postaciami – zdolnym młodym adwokatem, który zamierzał doprowadzić księcia do ruiny, i oszołamiającą młodą damę z towarzystwa, która oczarowała księcia, zmniejszając trochę jego apetyty na blondynkę. Pan D. posepny i krwiożerczy redaktor jednego z dzienników, napisał rozdział trzeci wprowadzając do akcji tajemniczą postać niejakiego Roscicruciana, który zajmował się alchemią, odbywał narady z diabłem późną nocą w ciemnej pieczarze i postawił bohaterom i bohaterkom horoskopy, które zapowiedziały mnóstwo przygód i kłopotów w ich życiu i rozbudziły łakomą ciekawość czytelników. Ponadto pan D. stworzył postać zamaskowanego etatowego łotra, wyposażył go w zatruty sztylet i kazał mu iść ciemną nocą za księciem. Powołał także do życia stangreta, Irlandczyka, mówiącego barwnym dialektem, i umieścił go na służbie oszołamiającej młodej damy z towarzystwa wyłącznie po to, aby nosił miłosne liściki do księcia.

W tym mniej więcej czasie zjawił się w Virginia City pewien obcy hulaka o skłonnościach literackich – dość wyblakły i znużony, ale bardzo spokojny, bezpretensjonalny, a nawet nieśmiały. Był tak łagodny, w obejściu zaś tak sympatyczny i ujmujący – zarówno na trzeźwo, jak i po pijanemu – że z kim się zetknął, z tym się natychmiast zaprzyjaźnił. Poprosił o pracę w „Tygodniku”, przedstawił przekonujące dowody, że ma pióro swobodne i sprawne, pan F. zaprzęgał go więc natychmiast do pracy nad powieścią. Obcy miał napisać czwarty kolejny

rozdział po panu D., ja zaś miałem skomponować piąty. I cóż zrobił? Poszedł, upił się, a następnie wrócił do domu i zabrał się do pisania, przy czym naturalnie jego wyobraźnia wyprawiła najdziwsze harce. Nietrudno odgadnąć skutki. Przejrzał pobieżnie rozdziały napisane przez swoich poprzedników, znalazł mnóstwo bohaterów i bohaterek już powołanych do życia, postanowił więc nowych nie tworzyć; a potem z całą pewnością siebie i ufnością we własne siły, jaką whisky daje swoim sługom, zabrał się do roboty. Ożenił stangreta z oszołamiącą młodą damą z towarzystwa – w imię skandalu; ożenił księcia z macochą blondynki – w imię sensacji; wstrzymał wypłatę pensji łotrzykowi z zatrutym sztyletem; doprowadził do nieporozumienia między Roscicrucianem a diabłem; oddał majątki księcia w ręce występnego adwokata; wzbudził w duszy adwokata wyrzuty sumienia, które pchnęły go na drogę pijaństwa, a stąd dalej do delirium tremens i do samobójczej śmierci; złamał stangretowi kark; naraził wdowę po nim na obelgi, nędzę, opuszczenie i suchoty; doprowadził do tego, że blondynka rzuciła się do wody pozostawiając na brzegu odzienie z przypiętą zwykłą w takich wypadkach kartką, w której przebaczała księciu i wyrażała nadzieję, iż będzie szczęśliwy; wyjawiał księciu za pomocą przyjętego zwyczajem znamienia na lewym barku, że ożenił się ze swoją dawno utraconą matką i doprowadził do zguby swoją dawno utraconą siostrę; zaaranżował konieczne i bardzo na miejscu samobójstwo księcia i księżnej, aby stało się zadość poetyckiej sprawiedliwości; otworzył ziemię i kazał Roscicrucianowi zginąć w otchłani wśród nieodzownych w takich okolicznościach grzmotów, dymu i smrodu siarki; na zakończenie zaś przyrzekł czytelnikom, że w następnym odcinku przeprowadzi ogólne śledztwo i rozprawę sądową, a potem zajmie się jedyną pozostałą przy życiu postacią powieści i powie, jaki los spotkał diabła.

Była w tej opowieści uderzająca płynność narracji i śmiertelna powaga tak zabawna, że czytając pękałem ze śmiechu. Ale w redakcji zawrzało. Autorzy poprzednich rozdziałów nie posiadali się z wściekłości. Łagodny nieznamy, jeszcze niezupełnie trzeźwy, stał pokorny pod boleśnie tnącym gradem wymówek i wodząc wzrokiem po twarzach swoich dręczycieli zastanawiał się, czym zasłużył na taką burzę. Gdy w końcu zapanowała cisza, powiedział głosem łagodnym i niemal błagalnym, że wprawdzie nie bardzo pamięta, co napisał, jest jednak pewien, że starał się ze wszystkich sił, aby powieść była nie tylko miła, a sytuacje w niej nie tylko prawdopodobne, lecz także pouczająca i...

Znowu przypuszczono gwałtowny szturm. Pisarze rzucili się z pasją na niefortunnie dobrane przymiotniki nieznamyego i zniszczyli je pociskami pogardy i szyderstwa. Walka trwała. Ilekroć obcy próbował ułagodzić nieprzyjaciela, pogarszał tylko sytuację. W końcu obiecał napisać rozdział po raz drugi. To zakończyło działania wojenne. Wzburzenie po trochu przycichło, zapanował znów spokój, napastowany zaś wycofał się bezpiecznie do swej twierdzy.

Ale w drodze zły duch go podkusił i nieznamy znowu się upił, a jego wyobraźnia znów się rozszalała. Puścił bohaterów i bohaterki w dzikszys jeszcze tan, a mimo to z opowieści biła ta sama przekonująca szczerość i powaga, którymi nacechowany był pierwszy rozdział. Przeprowadzał swoje postacie przez najdziwniejsze sytuacje, kazał im dokonywać najdziwniejszych czynów i wkładał im w usta najdziwniejsze słowa. Ale tego rozdziału nie da się opisać. Było to najdoskonalsze wariactwo, najbardziej artystyczny absurd, liczne zaś przypisy nie ustępowały w dziwaczności samemu tekstowi. Pamiętam jedną z „sytuacji” i podam ją tu jako próbkę całości. Z występnego adwokata zrobił szlachetnego, wspaniałego człowieka, obdarzył go sławą i bogactwem i ustalił jego wiek na lat trzydzieści trzy. Potem udzielił blondynce informacji – za pośrednictwem Roscicruciana i melodramatycznego łotrzyka – że księżę kocha gorąco jej pieniądze i ma zamiar je zdobyć, w sekrecie zaś czuje słabość do oszołamiącej młodej damy z towarzystwa. Dotknięta do żywego blondynka odwróciła swe uczucia od księcia i skierowała je – udzięciokrotnie – na młodego adwokata, który odwzajemnił jej się namiętym zapalem. Ale rodzice ani myśleli pozwolić na takie non-

sensy. Chcieli mieć w rodzinie księcia i postanowili, że będą mieć księcia – jakkolwiek przyznawali, że następnym po księciu byłby adwokat. Naturalnie nie mogło być inaczej: blondynka zapadła na zdrowiu. Rodzice zaniepokoiли się i błagali ją, żeby wyszła za księcia, ale ona stanowczo odmawiała, cały czas marniejąc w oczach. Wtedy ułożyli plan. Powiedzieli jej, żeby poczekała rok i dzień, a jeśli po tym terminie nadal nie będzie chciała poślubić księcia, zgodzą się na małżeństwo z adwokatem. Skutek był taki, jak się spodziewali: radość znów zamieszkała w sercu blondynki, na policzkach zakwitły rumieńce powracającego zdrowia. Wtedy rodzice podjęli następny krok. Namówili lekarza, żeby zalecił blondynce (dla całkowitego odzyskania zdrowia) długą podróż morzem i lądem, i zaprosili księcia, żeby im towarzyszył. Przypuszczali, że bezustanna obecność księcia i przedłużająca się nieobecność adwokata dokonają reszty; albowiem nie zaprosili adwokata.

Udali się więc w podróż parowcem do Ameryki i trzeciego dnia, gdy ataki choroby morskiej osłabły i mogli po raz pierwszy zasiąść do posiłku przy stole w jadali – zobaczyli adwokata. Księżę i rodzice starali się wyjść jak najlepiej z niezręcznej sytuacji. Dzień za dniem mijał, statek zbliżał się do brzegów Ameryki. Lecz nagle, w odległości dwustu mil od New Bedford, na statku wybuchł pożar; spośród załogi i pasażerów uratowało się zaledwie trzydzieści osób. Rozbitkowie unosili się na falach przez całe popołudnie i następną noc. Wśród nich byli naturalnie nasi przyjaciele. Adwokat dzięki nadludzkim wysiłkom uratował blondynkę i jej rodziców; przepłynął tam i z powrotem dwieście jardów holując za każdym razem po jednej osobie (najpierw blondynkę). Księżę uratował się sam. Rankiem zjawiły się dwa statki wielorybnicze i spuściły na wodę szalupy. Morze było ogromnie wzburzone i przechodzenie z tratwy na łódzie odbywało się wśród zamieszania i podniecenia. Adwokat spełnił swój obowiązek mężczyzny; przeniósł wyczerpaną i leżącą bez zmysłów blondynkę do szalupy, a potem pomógł przejść jej rodzicom i kilku jeszcze osobom (księżę pomagał tylko sobie). Potem jakieś dziecko na drugim końcu tratwy spadło do morza i adwokat pośpieszył na ratunek pomagając kilku innym pływakom wyłowić je z wody pośród rozdzierających serce okrzyków matki. Potem pośpieszył z powrotem na drugą stronę tratwy, ale spóźnił się o kilka sekund – szalupa z blondynką już odpłynęła. Musiał więc wsiąść do drugiej szalupy i wejść na pokład innego statku. Tymczasem huragan przybrał na sile i niebawem statki straciły się z oczu. Gdy po trzech dniach burza ucichła, statek blondynki znajdował się o siedemset mil na północ od Bostonu, statek adwokata – o tyleż mil na południe od tego portu. Kapitan statku blondynki płynął na wyprawę wielorybniczą na północny Atlantyk i nie mógł ani zawrócić, ani zawinąć do obcego portu bez zezwolenia; takie było prawo morskie. Kapitan statku adwokata wybierał się na wody północnego Pacyfiku i też ani nie mógł zawrócić, ani zawinąć bez zezwolenia do obcego portu. A ponieważ bagaże i pieniądze adwokata były w szalupie blondynki i dostały się na jej statek, kapitan kazał adwokatowi odpracować przejazd. Gdy oba statki były już na morzach blisko rok, jeden znalazł się w pobliżu Grenlandii, drugi w Cieśninie Beringa. Blondynka dała się w końcu przekonać, że fala zmyła jej adwokata z tratwy tuż przed przybyciem statków wielorybniczych, i pod naciskiem rodziców i księcia przystała na zniechęcone małżeństwo. Nie chciała jednak ustąpić i ani o dzień skrócić ustalonego terminu. Tygodnie wlokły się monotennie, czas kurczył się przerażająco, w końcu wydano polecenie przystrojenia statku na ślub – ślub wśród gór lodowych i morsów! Jeszcze pięć dni – i będzie po wszystkim. Tak rozmyślała blondynka wzdychając i roniąc łzy. Gdzież jest jej ukochany i czemuż – och, czemuż nie przybywa na ratunek? W tej właśnie chwili w Cieśninie Beringa, oddalony od blondynki o pięć tysięcy mil przez Ocean Arktyczny lub dwadzieścia tysięcy mil dookoła przylądka Horn – jej ukochany podnosił harpun, by ugodzić wieloryba. Dlatego nie przybywał. Cisnął harpun, ale źle wycelował; pośliznął się i wpadł prosto w paszczę wieloryba, po czym zsunął się w głąb gardzieli. Przez pięć dni leżał bez zmysłów, potem nagle oprzytomniał i usłyszał głosy; światło dzienne sączyło się przez dziurę wyrąbaną w wielorybim łbie. Wygramoliwszy się zrobił nie lada niespodziankę żeglarzom, którzy wcią-

gali wielorybią wątrobę na burzę. Rozpoznał statek, wdrapał się na pokład, zaskoczył młodą parę przy ołtarzu i zawołał:

– Przerwijcie ślub – otom jest! Pójdź w me ramiona, o ukochana!

To niezwykle dzieło literackie było opatrzone przypisami, w których autor usiłował dowieść, że cała ta historia jest możliwa. Powiedział między innymi, że przykład wieloryba przepływającego pięć tysięcy mil w pięć dni z Cieśniny Beringa do wybrzeży Grenlandii zaczerpnął z piosenki Charlesa Reade'a: „Kochaj mnie maleńka, kochaj mnie zawsze”. Jego zdaniem słowa piosenki były niezbitym dowodem, że taka rzecz jest możliwa. Dalej powołał się na przykład Jonasza, który żył w wielorybim brzuchu; na zakończenie dodał, że jeśli kanodzieja mógł wytrzymać trzy dni, adwokat z całą pewnością wytrzymał pięć.

Tym razem w sanktuarium redaktorskim rozpułała się burza jeszcze straszliwsza; obcy został wyrzucony za drzwi, a za nim powędrował rękopis. Ale opóźnienie było tak duże, że nikt nie zdążył napisać rozdziału, i „Tygodnik” ukazał się bez odcinka powieściowego. Było to pismo słabe, głupie i z trudem utrzymujące się przy życiu, brak zaś odcinka odebrał publiczności resztkę zaufania. Tak czy inaczej, zanim pierwsza strona następnego numeru poszła do druku, „Tygodnik Zachodni” umarł cicho i spokojnie – jak dziecko.

Czyniono pewne próby, żeby go wskrzesić pod nową i wymowną nazwą. Pan F. uważał, że trudno o lepszy tytuł niż „Feniks”, nasunie on bowiem myśl o wskrzeszeniu pisma z popiołów w nowej i wspanialszej szacie. Ale jakiś nędzny dowcipniś jednego z dzienników zaproponował, żebyśmy nazwali nowe pismo „Łazarz”; a ponieważ ludzie nie byli zbyt biegli w Piśmie świętym i zdawało im się, że wskrzeszony Łazarz i nędzny żebrak wyciągający rękę w bramie domu bogacza to jedna i ta sama osoba, proponowany tytuł wystawił nas na pośmiewisko całego miasta i na dobre pogrzebał pismo.

Martwiłem się szczerze, byłem bowiem dumny ze współpracy z pismem literackim – chyba nigdy w życiu nie byłem z niczego tak dumny. Napisałem specjalnie dla „Tygodnika” pewne rymowane utwory – nazywałem je poezją! – i zamknięcie pisma było dla mnie wielkim ciosem, gdyż „wiersze” miały się ukazać na pierwszej stronie numeru, który nie ujrzał nigdy światła dziennego. Ale czas daje niekiedy okazję do zemsty: mogę tutaj zamieścić mój utwór miast łzy uronionej nad dawno zmarłym tygodnikiem. Pomysł (a raczej sugestię pomysłu) zaczerpnąłem prawdopodobnie ze starej piosenki pod tytułem „Rozszalałe wody Kanału”, ale nie jestem tego pewien. Pamiętam natomiast, że uważałem wtedy moje wierszydło za jeden z najpiękniejszych poematów wieku.

STARY PILOT

To było na kanale Erie
W słoneczny, piękny lata dzień,
Gdym płynął razem z rodzicami...
Podróży żaden nie cmił cień –

Aż nagle z chmur, w południe samo,
Straszliwej burzy nagły ryk,
Co wspiał zmierzwione wód bałwany
I z piersi naszej wydarł krzyk.

Nad brzegiem człek, co wybiegł z domu,
Wołał: „Hej, stójcie, póki czas!
Rzućcie kotwicę, zwińcie żagiel,
Bo śladu nie zostanie z was!”

Kapitan spojrział wraz na rufę,
To znów w głąb wzburzonych mórz –
I rzekł: „O żono, o me dziatki,
Ach, może was nie ujrzę już”.

A pilot statku, dzielny pilot,
Odrzecz na to: „Szkoda słów,
Ufajcie dłoni Dollingera,
A każdy w dom powróci zdrów!”

I płynął statek, a na brzegu
Przez strugi deszczu i pod wiatr
Poganiacz pędził trwożne muły
W chłopięcej dłoni dzierząc bat.

„Na pokład, chłopcze, chodź na pokład.
Nie oprzesz się potędze burz!”
A chłopiec dalej pędził muły
I szedł za nimi, wierny stróż.

I rzekł kapitan do załogi:
„Już teraz nie mam żadnych złud,
Że tam na brzegu jest bezpieczniej,
Niż tutaj wśród wzburzonych wód.

Więc walczmy, póki sił wystarczy,
By się ocalić albo lec –
A jeśli przyjdzie w końcu zginać,
Niech... już nie mogę więcej rzec”.

A na to pilot, dzielny pilot,
Znad naszych się odezwał głów:
„Ufajcie dłoni Dollingera,
A każdy w dom powróci zdrów!”

„Most, most – uwaga, schylić głowy!”
Nasz statek wciąż przyspieszał bieg.
Mijamy kościół, młyn i wioskę,
I stromy wzdłuż kanału brzeg;
A z wioski ludzie biegną tłumnie
I krzyk ich w deszczu słychać szumie:

„O biada, biada! – grzmi ulewa
I wód się coraz burzy toń –
O biada, taki piękny statek,
O któż im da pomocną dłoń?”

Z pokładu patrzą smutne oczy
I oto widzi każdy z nas
Spieniony ślad za rufą statku
I poszarpany wichrem las...

Tu zmokłe kury pod półkoszkiem,
Tam krów w zagrodzie stado lub
Pędzące w przerażeniu świnię
I sztorm, co chlaszcze w statku dziób.

O, jak się statek
Nasz kolebie –

Już nie poradzi chyba nikt!
Jeśli się zda na wiatr i fale –
To koniec... (nagle głośny krzyk)

„Hej, stać tam, hola,
Skrócić linę!
Hej, zwinąć żagiel!
Żagiel w dół!

A ty tam, chłopcze, hej – uwaga!
Niech mocniej lewy ciągnie muł!”

„Odciążyć statek! Hej, do pompy!
Bosmanie – sonda! Trzymaj żerdź!
A wy tam, starzy, czyli młodzi,
Wszyscy gotujcie się na śmierć –
Bo choć od z górą lat czterdziestu
Żegluję po kanale już,
To nie pamiętam, Bóg mi świadkiem,
Straszliwszych od dzisiejszej burzy”.

Za burtę – hopla – worek gwoździ
I trzy kowadła w wodę! Hej!
I cztery bale worków z juty
I wszystek (dwieście funtów) klej!

Dwa worki żyta, wór pszenicy,
Ty, skrzynio książek, także giń!
Dzieła Byrona, piła, skrzypce
I parę pokładowych świń!

„Zakręt! Uwaga! Trzymaj lewą!
Na prawą burtę! Ster pod wiatr!
Znów lewa burta! Chłopcze – muły!
Po zadach batem...” świszcze bat.

„Już cztery stopy – coraz płycej,
Już tylko trzy – krzyknąłem w głos –
Więc nie ma dla nas już ratunku?
O, spełnia się straszliwy los!”

A na to pilot, dzielny pilot,
Gdy statek się przechylił znów:
„Ufajcie dłoni Dollingera,
A każdy w dom powróci zdrów!”

I lęk najśmielsze zmroził serca,
I każdy pojął – wyznać strach –
Że jest gdzieś wyrwa w dnie kanału
I stąd mielizna, i stąd piach.

A statek w przód miotany wiatrem
Przez płytki nurt jak burza rwał –
Jak gdyby go wystrzelił z kuszy
Straszliwy, bezlitosny szkwał.

„Hej, zerwać linę! Spętać muły!”
Za późno... prąd w mieliznę niósł...
„Ach, jeszcze chwila – a nasz statek
Do zbawczych by dopłynął śluz!”

Na pokład wyszła więc załoga,
Na twarzach rozpacz – w oczach łza...
Ostatni raz nam ścisnąć dłonie,
Nim oczy nam zakryje mgła.

Ten o swych dziatkach wraz pomyślał:
„Już ich nie ujrzę” – a zaś ów
Do żony westchnął i do matki,
Już może jutro w szatach wdów.

I tylko jeden wśród załogi
Zachować umiał zimną krew.
Wysłuchany w jego mocne słowa
Wierzyłem mej rozpaczycy wbrew.
To pilot statku, dzielny pilot
Powtarzał (mów, pilocie, mów):
„Ufajcie dłoni Dollingera
A każdy w dom powróci zdrów”.

Te słowa proste i prorocze
Z warg pilotowi wichur zmiótł,
I każdy westchnął z głębi serca,
By rychło się zmieniły w cud.

I nagle – jak zesłany z nieba –
Zjawił się z deską jakiś chłop
I opierając ją o burzę
Odszedł – na chmurny patrząc strop.

Zastygliśmy jak w podziwieniu –
Na czele pilot, dzielny człek...
Po chwili, milcząc, krok za krokiem
Ze statku zeszliliśmy na brzeg².

² Przełożył Włodzimierz Lewik.

XI. W TAKĄ WYDAJNOŚĆ TRUDNO WPROST UWIERZYĆ

Oznajmiam, że mam zamiar podać w tym rozdziale garść informacji o kopalniach srebra; czytelnik może skorzystać z tej dżentelmeńskiej przestrogi i przeskoczyć do rozdziału następnego. W roku 1863 gorączka osiągnęła punkt szczytowy. Virginia City tak była zatłoczona ludźmi i pojazdami, że wyglądała jak ul pełen pracowitych pszczół – naturalnie, jeżeli wzrok patrzącego zdołał się przebić przez gęste tumany alkaliczne, które wiatr przynosił w lecie. O pyle alkalicznym mogę powiedzieć tylko tyle, że po dziesięciu milach jazdy podróżny i konie pokryci byli jednolitą, bladożółtą warstwą grubości jednej szesnastej cala, w powozie zaś osiadała trzycalowa warstwa kurzu wzbijanego przez koła. Delikatne wagi używane w urządach probierczych stały w szczelnych szklanych kloszach nie przepuszczających powietrza, a jednak pył alkaliczny tak był miałki, że przedostawał się pod klosze i niszczył wagi.

Spekulacja szalała w Virginia City, ale prowadzono też dużo interesów solidnych i rzetelnych. Cały transport towarów szedł z Kalifornii przez góry (sto pięćdziesiąt mil) – częściowo na grzbietach jucznych zwierząt, częściowo zaś w ogromnych furgonach ciągnionych przez tak długie zaprzęgi mułów, że każdy zaprzęg wyglądał jak procesja i niekiedy zdawało się, że ta procesja zwierząt i mułów wlecze się nieprzerwanie z Virginii do Kalifornii. Jej długa droga przez pustynię znaczone była wyraźnie węzowatą linią kurzu unoszącego się w powietrzu. Koszt przewozu towarów tymi furgonami na całym stu pięćdziesięciomilowym odcinku drogi wynosił dwieście dolarów od tony za niepełny fracht i sto dolarów za pełny ładunek. Pewna firma z Virginia City otrzymywała miesięcznie sto ton towarów i płaciła za ich przewóz dziesięć tysięcy dolarów. Przewozy zimowe były znacznie kosztowniejsze. Całą produkcję sztab wysyłało do San Francisco dyliżansami pocztowymi (sztaba srebra była dwa razy większa od sztaby ołowiu, a wartość jej wahała się od tysiąca pięciuset do trzech tysięcy dolarów w zależności od procentu złota zmieszanego ze srebrem), opłata zaś za przewóz przy ilościach hurtowych wynosiła jeden i ćwierć procenta istotnej wartości sztaby, czyli że koszty przewozu jednej sztaby sięgały dwudziestu pięciu dolarów. Za małe przesyłki płacono dwa procent wartości. Między Virginia City a Kalifornią kursowały dziennie trzy dyliżanse i każdy z nich zabierał jedną trzecią tony sztab; wielokrotnie zdarzało mi się widzieć, jak trzy dyliżanse dzieliły między sobą i zabierały ładunek ważący dwie tony. W dwóch tonach mieściło się około czterdziestu sztab, koszt zaś ich przewozu wynosił około tysiąca dolarów. Każdy dyliżans przewoził ponadto spory ładunek zwykłej poczty, a także od piętnastu do dwudziestu pasażerów płacących około trzydziestu dolarów za bilet. Przy sześciu dyliżansach dziennie wychodzących i przychodzących do miasta firma Wells, Fargo i Spółka robiła wprost bajeczne interesy.

Pod całym centrum Virginia City i Gold Hill ciągnie się na przestrzeni dwóch mil Comstock, ogromny pokład srebra – żyła o średnicy od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu stóp ujęta w potężne ściany skał; żyła rudy srebrnej szerokości niektórych ulic Nowego Jorku! Przypomnę tylko czytelnikowi, że w Pensylwanii uważa się za bogatą żyłę węgla szerokości ośmiu stóp.

Virginia City była w tym czasie ruchliwym miastem zabudowanym domami i poprzecinanych ulicami. Pod nią istniało drugie ruchliwe miasto – głęboko we wnętrzościach ziemi. Ludność tego miasta składająca się z samych mężczyzn tłoczyła się w splątanych labiryncie korytarzy i tuneli, krzątała się to tu, to tam w migotliwym świetle latarni, mając nad głowami potężną budowlę z bali drzewnych podtrzymującą rozdarte ściany Comstocku. Bale te miały

obwód ciała mężczyzny, rusztowanie zaś wznosiło się tak wysoko ku górze, że poprzez gęstniejący mrok najbystrzejsze nawet oko nie mogło sięgnąć szczytu. Było to jak patrzenie przez oskubane do czysta żebra i kości jakiegoś kolosalnego szkieletu. Wyobraźcie sobie takie rusztowanie długości dwóch mil, szerokości sześćdziesięciu stóp i wyższe niż najwyższa wieża kościelna w Ameryce! Wyobraźcie sobie to ogromne rusztowanie wzniesione na Broadwayu i wypełniające przestrzeń od kościoła Św. Mikołaja do Wall Street; i wyobraźcie sobie zmniejszony do karlich rozmiarów pochód paradujący w dniu czwartym lipca po dachu tego rusztowania i wymachujący sztandarami – wysoko nad szczytem wieży kościoła Św. Trójcy! Można to sobie wyobrazić bez większego trudu, ale nie sposób jest odgadnąć, ile kosztował ten las drzew, od chwili gdy padł pod siekierami w kniejach sosnowych za jeziorem Washoe, gdy potem przewożono bale przez wysokie zbocza Mount Davidson płacąc bajońskie sumy za transport, gdy je ciosano, wpuszczano w głęboką gardziel kopalni i osadzano w ścianach. Dwudziestu wielkopańskich fortun nie starczyłoby na podstemplowanie jednej z tych kolosalnych kopalń. Hiszpańskie przysłowie powiada, że trzeba mieć kopalnię złota, aby móc prowadzić kopalnię srebra. Jeżeli biedny posiadacz kopalni srebra nie może jej sprzedać, jest godnym litości nędzarzem.

Nazwałem podziemie Virginia City miastem. Kopalnia „Gould i Curry” jest tylko jedną z wielu kopalń na Comstocku, a przecież jej posępne tunele i chodniki ciągną się na przestrzeni pięciu mil, zaś stan zatrudnienia wynosi pięćset osób. Wzięte jako całość podziemne miasto ma około trzydziestu mil ulic, zaludnia je zaś od pięciu do sześciu tysięcy górników. Obecnie część tej górniczej braci pracuje na głębokości od dwunastu do szesnastu tysięcy stóp pod Virginia City i Gold Hill, a system sygnałowy, przy pomocy którego ich dyrektor na górze wydaje im polecenia, działa na zasadzie telegrafu. Czasem któryś z mężczyzn spada na dno szybu głębokiego na tysiące stóp. W takich wypadkach wszczyna się zwykle śledztwo.

Gdy ktoś chce zwiedzić kopalnię, może albo zejść tunelem długości pół mili, albo wybrać krótszą drogę i zjechać z szybkością strzały w dół szybu na małej platformie. Dotarłszy na dno zwiedzający bierze świecę do ręki i rozpoczyna wędrowkę przez chodniki i tunele, gdzie roje mężczyzn kopią i wysadzają skałę prochem; przygląda się górnikom, jak ładują i wysyłają w górę kosze pełne wielkich brył rudy; wybiera kilka odłamków na pamiątkę; z zachwytem przygląda się szkieletom rusztowań; przypomina sobie często, nie bez satysfakcji, że wznosi się nad nim potężna góra, że od światła dziennego dzieli go tysiące stóp; wspina się z poziomu na poziom po niezliczonych drabinach ustawionych pionowo w górę lub pionowo w dół; a gdy w końcu nogi odmówią mu posłuszeństwa, układa się w małym pudle dźwigu i jedzie w górę ku światłu, cały czas doznając uczucia, że pełźnie poprzez grób, który nie ma końca. Wydostawszy się na powierzchnię widzi tłum krzątających się pracowicie mężczyzn, którzy odbierają wywożone na górę kosze i kadzie i zrzucają rudę z rampy do stojących jedna obok drugiej skrzyń o pojemności sześciu ton każda; pod tymi skrzyniami długie rzędy furgonów, do których ładuje się rudę prosto z przykrytych klapami otworów w skrzyniach; na ulicy zaś widzi długą procesję tych wozów wiozących do huty swój kosztowny ładunek. Zwiedzający obejrzał wszystko i może nie schodzić już nigdy do kopalni. A jeżeli zapomniał, w jaki sposób przerabia się rudę w hucie i zmienia ją w sztaby srebra, może wrócić i zajrzeć do rozdziału, w którym opisuję swój pobyt w Esmeraldzie.

Naturalnie te kopalnie zapadają się od czasu do czasu, a wtedy warto jest zaryzykować zejście i zobaczyć niszczycielską siłę obsuwających się mas skalnych. Zamieściłem kiedyś reportaż z takiej wyprawy w „Gazecie Wirgińskiej”. Poniższy opis jest jego fragmentem.

G o d z i n a w z a p a d n i ę t e j k o p a l n i. Spędziliśmy wczoraj godzinę w kopalni „Ophir” i oglądaliśmy skutki trzęsienia ziemi. Nie mogliśmy zejść główną pochylnią, ponieważ istniało tam wciąż niebezpieczeństwo osuwania się ścian, przeto odbyliśmy drogę długim tunelem, który wrzyna się w zbocze powyżej biur kopalni, a potem po długich drabinach spu-

ściliśmy się z pierwszego poziomu na czwarty. Przeszliśmy na drugą stronę chodnika, znaleźliśmy się obok tunelu hiszpańskiego i minawszy pięć progów i stempli jeszcze nie naruszonych zobaczyliśmy w końcu skutki trzęsienia ziemi. Panował tu nieopisany chaos; ziemia i potrzaskane drewno tworzyły potężne zwalisko, w którym nie było szpary dość dużej, żeby mógł się przez nią przecisnąć kot. Od czasu do czasu sypał się z góry gruz; jeden ze stempli, który jeszcze tego ranka podtrzymywał inne słupy, został wypchnięty z miejsca i zmiażdżony, co dowodziło, że proces obsuwania i osiadania ziemi jeszcze trwa. Znajdowaliśmy się w części kopalni „Ophir” zwanej „północną kopalnią”. Wróciwszy na powierzchnię zagłębiliśmy się w tunel prowadzący do głównego chodnika, chcieliśmy bowiem obejrzeć centrum kopalni. Schodziliśmy długo w głąb tym tunelem, a potem przeciąwszy kilka chodników spuściliśmy się w dół głębokiego szybu, skąd dotarliśmy na piąty poziom. Wyczołgaliśmy się przez dziurę z pobliskiego bocznego chodnika i znowu znaleźliśmy się pośrodku zniszczenia – ziemia i połamane drewno zsypane w straszne rumowisko, bez myśli o symetrii czy pięknie. Duże części poziomu drugiego, trzeciego i czwartego zapadły się i uległy zupełnemu zniszczeniu – z czego dwie wczoraj wieczór o godzinie siódmej.

Przy obrotnicy na północnym krańcu piątego poziomu dwa duże stopy przebiły się w dół z piątego poziomu, a sądząc po wyglądzie stempli, nie jest to bynajmniej koniec. Obelkowanie jest niezwykle solidne. Najpierw kładą na ziemi potężną belkę krokwiową, potem stawiają na niej prostopadłe słupy wysokie na pięć stóp, podtrzymujące następną belkę krokwiową – i tak dalej i dalej, prostokąt na prostokacie, jak ramy okienne. Prący w dół ciężar osuwającej się ziemi był tak ogromny, że końce tych potężnych słupów wciskały się w belki krokwiowe na głębokość trzech cali, same zaś słupy wyginały się jak łuki. Zanim się zapadł tunel hiszpański, napór ziemi sprasował niektóre z jego belek krokwiowych o przekroju dwunastu do pięciu cali. Wyobraźcie sobie, jakiej straszliwej siły trzeba, żeby sprasować w ten sposób belkę z solidnego drzewa. Widziałem rząd słupów odchylonych, o sześć cali od pionu przez ciężar zawalonych nad nimi pokładów. Słysząc było trzaski i szmery, a świadomość, że cały świat nad głową zapada się powoli, nie była przyjemna. Jednakże górnicy nic sobie z tego nie robią.

Wróciwszy piątym poziomem wydostaliśmy się na bezpieczną część chodnika i przeszliśmy do pokładu szóstego; natychmiast jednak musieliśmy się wycofać na chodnik, gdyż szósty pokład zalany był wodą do wysokości dziesięciu cali. Przy naprawie zniszczenia głównego chodnika zaszła konieczność wyłączenia pomp i w ciągu dwóch godzin zebrała się na dole woda sięgająca stopy. Teraz jednak puszczone znów pompy i woda szybko opadała. Wspięliśmy się do piątego pokładu i odszukaliśmy głęboki szyb prowadzący do innej części poziomu szóstego, dokąd nie dotarła woda; ale spotkało nas rozczarowanie, robotnicy poszli bowiem na obiad i nie było nikogo do obsługi korby. A ponieważ widzieliśmy już skutki katastrofy, wydostaliśmy się na powierzchnię pochylni wielkiego tunelu i ociekając woskiem świec i potem poszliśmy na obiad do biur kopalni.

W ciągu szczytowego roku 1863 Newada wyprodukowała sztaby srebra wartości dwudziestu pięciu milionów dolarów³, czyli bez mała milion na każdy tysiąc mieszkańców, co nie jest

³ Sprawdziłem w urzędowym źródle, że powyższa liczba jest przesadzona i że produkcja w roku 1863 nie przekroczyła dwudziestu milionów dolarów. Jednakże zbliża się dzień wielkich liczb; tunel Sutro przetnie pokład Comstock od końca do końca na głębokości dwóch tysięcy stóp, a wtedy wydobywanie rudy srebra będzie stosunkowo łatwiejsze i tym samym tańsze, czynności zaś tak ważne jak odwadnianie, wywożenie na powierzchnię i transport nie będą już natrafiały na tyle trudności. Ta gigantyczna praca potrwa długie lata i pochłonie wiele milionów dolarów! Ale będzie opłacalna w stosunkowo krótkim terminie, to jest, gdy tunel dotrze do początku żyły. Tunel będzie miał osiem mil długości i odkryje pod ziemią zdumiewające bogactwa. Pociągi będą przewoziły rudę prosto z tunelu do hut, dzięki czemu pomi-

źle, jeśli się zważy, że nie było tam wtedy ani przemysłu, ani rolnictwa.
Newada produkowała wyłącznie srebro.

nięty zostanie obecny kosztowny system podwójnej manipulacji i transportu rudy zaprzęgami mułów. Woda pompowana z tunelu dostarczy siły napędowej hutom. Pan Sutro, inicjator tego olbrzymiego przedsięwzięcia, jest chyba jedynym na świecie człowiekiem, który ma dość energii i odwagi, by doprowadzić dzieło do końca. Nawrócił wreszcie kilku kongresmanów i pozyskał ich życzliwość dla tego ważnego dzieła, a także objechał wzdłuż i wszerz Europę, gdzie zapewnił sobie finansowe poparcie miejscowego kapitału, (przyp. aut.).

XII. JIM BLAINE OPOWIADA O BARANIE SWEGO DZIADKA

Od czasu do czasu chłopcy mówili, że powinienem się koniecznie postarać, żeby mi Jim Blaine opowiedział wzruszającą historię o starym baranie jego dziadka, ale dodawali za każdym razem, że nie wolno mi o tym wspominać Blaine'owi, dopóki nie będzie pijany – dopóki nie wpadnie w towarzyski, pijacki nastrój. Tak często to od nich słyszałem, że w końcu podniecona ciekawość nie dawała mi spokoju. Zacząłem nachodzić Blaine'a w domu, ale wszystko na próżno; chłopcy wciąż mieli mu coś do zarzucenia, uważali, że jego stan ciągle jeszcze jest nieodpowiedni. Blaine często bywał pijany, ale ani razu nie był dostatecznie pijany. Nigdy w życiu nie obserwowałem nastroju człowieka z tak żywym zainteresowaniem, z tak niepokojną troską. W końcu któregoś wieczoru pobiegłem do jego chaty, doniesiono mi bowiem, że sytuacja jest wprost wymarzona i najbardziej nawet wymagający pedant nie może jej nic zarzucić; Blaine jest w spokojnym, pogodnym, regularnym pijackim nastroju, przy czym ani czkawka nie zniekształca jego wymowy, ani opary alkoholu nie zaćmiewają pamięci.

Gdy wszedłem, siedział na pustej beczulce po prochu w jednej ręce trzymając glinianą fajkę, drugą podnosząc do góry gestem nakazującym ciszę. Twarz miał okrągłą, czerwoną, pełną powagi; z wyglądu i z ubrania był typowym kopaczem tamtych odległych czasów. Na stole sosnowym stała świeczka i w jej blasku zobaczyłem „chłopców” siedzących na pryzkach, beczułkach po prochu, skrzynkach itp. Któryś z nich powiedział:

– Sza! Nie odzywaj się... zaraz zaczniesz.

Historia starego barana

Usiadłem i natychmiast Blaine przemówił:

– E tam, te czasy to już nie wrócą. Nie było i nie będzie na świecie drugiego takiego barana. Dziadek sprowadził go z Illinois, kupił od niejakiego Yatesa... Billa Yatesa... Możecie o nim słyszeć? Jego ojciec był diakonem u baptystów. A robotny był i szybki, nie można powiedzieć. Człowiek musiał wstać o świcie, żeby nadażyć za starym Yatesem. To on namówił Greenów, żeby połączyli wozy i pojechali razem z moim dziadkiem, kiedy się wyprawiał na zachód. Seth Green był chyba najlepszy w całym stadzie; ożenił się z Sara Wilkerson – pocziwa była z niej dziewczyna, najbardziej chyba udana jałówka, jaką odhodowali w Stoddard – każdy to mówił. Dla niej podnieść worek mąki to było tyle, co dla mnie podnieść ciastko z dziurką. Czy umiała prażyć? Ha, szkoda mówić! Czy nie zapominała języka w gębie? Ho, ho! Jak Sile Hawkins mizdrzył się do niej i smalił cholewki, wypaliła mu prosto z mostu, że chociaż jest bogaty, nie będzie z nim chodziła. Bo widzicie, Sile Hawkins był... nie, to wcale nie Sile Hawkins, tylko taki jeden drągal, co się nazywał Filkins... nie pamiętam, jak miał na imię. Ale cymbał był z niego. Przychodzi kiedyś pijany na modlitwy wieczorne i jak nie zacznie wołać hura za Nixonem! Coś mu się pokiełbasiło i myślał, że to wiec wyborczy. Ale stary diakon Ferguson łaps go za kark i przez okno – prosto na głowę biednej starej pannie Jefferson. Pocziwa z niej była kobiecina, pocziwa z kośćcami, miała szklane oko i pożyczła je pannie Wagner, jak do niej przychodzili goście, bo panna Wagner sama nie miała. To oko było na pannę Wagner trochę za małe i jak nie uważała, przekreślało jej się w powiekach i albo patrzyło do góry, albo gdzieś w bok, albo w tę czy inną stronę, a tymczasem to drugie patrzyło prościutko przed siebie jak luneta. Dorosłym to nawet specjalnie nie przeszkadzało,

ale dzieci prawie zawsze płakały, takie to jakieś było straszne. Próbowwała owijać to w oko w bawełnę, ale gdzie tam! Bawełna w mig się obluźowała i sterczały właki, a wszystko razem wyglądało tak okropnie, że dzieci w bek i ani rusz nie można ich było uspokoić. Ciągłe też to oko gubiła, a jak zgubiła, łypała na gości oczodołem i gościom robiło się nijako, bo panna Wagner sama nigdy nie wiedziała, kiedy jej wyskoczyło. Była przecież ślepa z tej strony głowy. Dopiero ktoś musiał jej przygadać. Najczęściej mówili: „Panno Wagner kochana, zgubiła pani sztuczne oko”, no i potem wszyscy musieli siedzieć i czekać, aż je wciśnie na miejsce. Wkładała je najczęściej odwrotnie, a robiła się przy tym zielona jak ptasie jajo, bo była nieśmiała z natury i w towarzystwie łatwo się mieszała. Ale co za różnica, jak je nawet włożyła od złej strony! Jej własne oko było niebiesciutkie jak niebo, a to szklane było z przodu piwne, więc czy włożyła tak czy siak, zawsze było nie do pary. Tak, stara panna Wagner do pożyczania to była jedyna! Jak miała u siebie szycie kołder albo szycie odzieży dla ubogich, leciała w te pędy do panny Higgins i pożyczala od niej drewnianą nogę; ta drewniana noga była krótsza od jej własnej, ale panna Wagner dużo sobie z tego robiła! Powiadała, że jak ma w domu gości, nie może chodzić o kulach, bo na nich kuśtyka, a przy gościach chciała prędko skakać. Miała głowę łysą jak kolano, więc często pożyczala perukę od pani Jacops. Pani Jacops była żoną handlarza trumien... stary parszywy szakał był z niego. Chodził do chorych ludzi i czekał na nich i przesiadywał, stary łajdak, po całych dniach gdzieś w cieniu na trumnie, co mu się zdawała w sam raz dla kandydata. A jak klient marudził ze śmiercią, stary łotr przynosił sobie prowiant i derkę i na noc kładł się do trumny. Kiedyś mieszkał tak trzy tygodnie, w samym środku zimy, przed domem starego Robbinsa i czekał, aż kipnie. A potem całe dwa lata nie odzywał się do starego, że tak go okpił. Odmroził sobie jedną nogę i stracił pieniądze, bo stary Robbins niespodziewanie wykaraskał się z choroby. Jak Robbins znowu zachorował, Jacops próbował dojść z nim do zgody, odlakierował tę samą trumnę i przyniósł ją staremu. Ale trafiła kosa na kamień! Stary zawołał do siebie Jacopsa, a widać było, że już ledwie dyszy. Kupił trumnę za dziesięć dolarów, ale ułożyli się między sobą, że jakby mu się trumna po wypróbowaniu nie spodobała, Jacops zwróci te dziesięć dolarów i zapłaci jeszcze dwadzieścia pięć dodatkowo. Potem Robbins umarł, a na pogrzebie wywalił wieko trumny, wstał w śmiertelnym całunie i zawołał na pastora, żeby skończył z tą hecą, bo on ani myśli leżeć w takiej trumnie. Bo rozumiecie, za młodu zasnął kiedyś w letargu i teraz postanowił spróbować po raz drugi. Wykalkulował sobie, że jak się uda, będzie miał w kieszeni dwadzieścia pięć dolarów i na dodatek trumnę. A jak mu z tym letargiem nie wyjdzie, nie straci ani centa. I niech mnie, jeżeli nie wystąpił przeciwko Jacopsowi do sądu o te dwadzieścia pięć dolarów i jeżeli ich nie wygrał! Potem postawił trumnę w pokoju i powiedział, że teraz to mu się wcale nie spieszy. Jacops rady sobie dać nie mógł, tak go piekła złość na starego. Wyprowadził się niedługo potem do Indiany i zamieszkał w Wellsville... w tym samym Wellsville, z którego pochodzą Hogardonowie. Dobra stara rodzina ci Hogardonowie. W życiu nie spotkałem człowieka, który by tyle zmieścił w sobie różnych trunków, co stary Hogardon albo który by kłął lepiej od niego. Jak się ożenił drugi raz, wziął sobie wdowę Billings... tę, co to była Betty Martins z domu, a jej córka wyszła za diakona Dunlapa. Ich znowu córka wyszła za jednego misjonarza i umarła w stanie łaski... zjedli ją dzicy. Jego, biedaczyne, też zjedli... ugotowali go. Podobno to się nigdy nie zdarzało, ale dzicy wytłumaczyli przyjacielom tego biedaka, co pojechali potem zabrać jego rzeczy, że próbowali już przyrządzać misjonarzy w najróżniejszy sposób i nigdy im nie smakowało... więc rozumiecie, chłopcy, zmartwienie całej rodziny, jak się dowiedziała, że dla eksperymentu człowiek stracił życie. Ale pamiętacie, że nigdy nic się nie dzieje na darmo. Każda rzecz, co jej ludzie nie rozumieją, obraca się na dobre, tylko trzeba poczekać, żeby solidnie dojrzała. Tak, chłopcy. Opatrzność nie strzela ślepymi nabojami. Substancja tego tam misjonarza – chociaż on sam, biedaczek, nic już o tym nie wiedział – nawróciła każdego jednego z pogan, co jedli tę potrawę. Nic ich nie mogło ruszyć, a to zaraz pomogło. Nikt mi nie powie, że takie ugotowanie misjonarza to był przypa-

dek. Przypadków nie ma na świecie. Jak kiedyś mój wujaszek Lem oparł się o rusztowanie – chory czy pijany, czy coś —jeden Irlandczyk z nosidłem pełnym cegieł spadł na niego z trzeciego piętra i przetrącił staremu kręgosłup w dwóch miejscach. Ludzie powiadali, że to przypadek. Wujaszek Lem nie wiedział, po co tam stanął, ale stanął w dobrym celu. Jakby nie stanął, Irlandczyk by się zabił. Niech ludzie mówią, co chcą, a ja i tak nie uwierzę, że to był przypadek. Pies wujaszka Lema też stał obok. Dlaczego Irlandczyk nie spadł na psa? Bo pies by zobaczył, że Irlandczyk leci i ani chybi by się odsunął. Dlatego Opatrzność nie wyznaczyła psa. Jak chodzi o wyroki Opatrzności, na psie nie można polegać. Powiadam wam, chłopcy, że to wszystko było z góry ułożone. Wypadki się nie zdarzają. Pies wujaszka Lema... szkoda, żeście go nie widzieli. Był regularny owczarek... albo prędzej półbyk i półowczarek... wspinał zwierzę. Zanim go wujaszek Lem dostał, należał do pastora Hogara. Pastor Hogar pochodził z tych Hogarów z Western Reserve. Dobra rodzina. Jego matka była z domu Watson, a jedna z jego siostr wyszła za Wheelera. Przenieśli się do Morgan County i jego chwyciła maszyna w fabryce dywanów. Ćwierć minuty nie trwało, jak go przepuściła na drugą stronę. Wdowa kupiła ten kawał dywanu, w który wetkane zostały jego szczątki i ludzie zjeżdżali się z odległości stu mil, żeby zobaczyć pogrzeb. Było tego czternaście jardów w jednym kawałku. Nie pozwoliła go zwinąć, tylko rozwiniętego wsadziła do trumny, a że kościół był mały, jeden koniec trumny musieli wystawić za okno. Nie pochowali go w ziemi, tylko postawili trumnę sztorcem – jak pomnik. I przybili tabliczkę, na której było... było napisane... ku pamięci... czter... nastu jaaardów... dy... wanu z trzyskręt... skrętnej nici... który zawiera śmier... telne... szczątki... Wil... lia... Williama...

Coraz przemożniejsza senność ogarniała Jima Blaine'a, głowa kiwnęła mu się raz, drugi, trzeci – i opadła łagodnie na piersi. Zasnął. Chłopcom łzy ciekły po policzkach, dusił ich tłumiony śmiech; było tak od samego początku, tylko ja tego nie zauważyłem. Teraz zrozumiałem, że mnie haniebnie nabrali. Otóż Jim Blaine (jak się teraz dowiedziałem) odznaczał się tą szczególną cechą, że ilekroć osiągnął pewien stopień upicia, żadna siła ludzka nie mogła go powstrzymać od rozpoczęcia – tonem namaszczonego i poważnym – opowieści o cudownej przygodzie, którą miał kiedyś ze starym baranem swego dziadka; ale nikt nie słyszał, żeby posunął się dalej niż wzmianka o baranie na samym początku opowieści. Za każdym razem bajdurzył tylko nieskończoność, przeskakiwał z tematu na temat – dopóki nie zmogła go whisky, i nie zapadł w sen. Jego przygody ze starym baranem dziadka po dziś dzień okryte są mrokiem tajemnicy.

XIII. ŁAGODNI, NIESZKODLIWI CHIŃCZYCY

Naturalnie była w Virginia City spora kolonia chińska – podobnie jak w każdym mieście czy osiedlu na wybrzeżu Pacyfiku. Jest to nieszkodliwa rasa ludzka, dopóki biali albo zostawiają ich w spokoju, albo traktują nie gorzej od psów; ściśle mówiąc, Chińczycy tak czy owak są nieszkodliwi, rzadko bowiem mają pretensję o najohydniejsze nawet obelgi czy najjaskrawsze krzywdy. Są cisi, spokojni, łatwi we współżyciu, nie, piją i w pracowitości nie mają sobie równych. Bardzo rzadko zdarzają się wśród nich awanturnicy, a pojęcie leciwego Chińczyka w ogóle nie istnieje. Dopóki Chińczyk ma siłę w rękach, nie potrzebna mu jest niczyja pomoc; biali często narzekają na brak pracy, z ust Chińczyka nie słyszy się tego rodzaju skarg. Chińczyk zawsze znajdzie jakąś robotę. Jest wielkim udogodnieniem dla wszystkich – nawet dla ludzi białych z najgorszej klasy, ponieważ odpowiada za większość ich grzechów, płaci grzywny za ich drobne kradzieże, odsiadytuje więzienie za ich napady bandyckie, idzie na szubienicę za ich morderstwa. Każdy biały może przysiąc w sądzie i posłać go na śmierć, ale Chińczyk nie może składać w sądzie zeznań przeciwko białemu człowiekowi. Nasz kraj jest krajem wolnym – nikt temu nie przeczy, nikt nie podaje tego w wątpliwość. (Może dzieje się tak, ponieważ nie pozwalamy innym świadczyć przeciwko nam.) W chwili gdy to piszę, nadeszła z San Francisco wiadomość, że w biały dzień banda wyrostków ukamienowała spokojnego i niewinnego Chińczyka, a chociaż spory tłum przyglądał się temu haniebnemu zdarzeniu, nikt nie próbował interweniować.

Na wybrzeżu Pacyfiku żyje siedemdziesiąt (może nawet sto) tysięcy Chińczyków. W Virginia City było ich blisko tysiąc. Zepchnięto wszystkich do dzielnicy chińskiej, przeciwko czemu nie mają specjalnych zastrzeżeń, ponieważ lubią żyć między sobą. Mieszkali w domach drewnianych, przeważnie parterowych, ustawionych ciasno jeden obok drugiego wzdłuż ulic tak wąskich, że tylko z trudem mógł się tędy przecisnąć wóz konny. Ich dzielnica znajdowała się w pewnym oddaleniu od miasta, Główną pracą zarobkową Chińczyków jest pranie. Do upranej odzieży przypinają zawsze kartkę z rachunkiem. Jest to zwykła kurtuazja, gdyż chińskie litery niewiele mówią klientowi. Brali wtedy za swoje usługi dwa i pół dolara od tuzina odzieży, co było ceną trochę niższą od cen pobieranych przez białych. Na domach w dzielnicy chińskiej widniały najczęściej napisy: „Si Yup, pranie i prasowanie”, „Hong Wu, pralnia”, „Sam Sing i Ah Hop, pralnia”. Większość służby domowej, kucharzy itp. w Kalifornii i Newadzie rekrutowała się spośród Chińczyków, natomiast Chinki i biali rzadko szukali zatrudnienia w domach. Chińczycy są doskonałymi służącymi – szybcy, posłuszni, cierpliwi, pojętni i niezmordowanie pracowici. Na ogół nie trzeba ich uczyć jednej rzeczy dwa razy. Mają ogromny zmysł naśladownictwa. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Chińczyk, który zobaczy, iż jego pan w wybuchu pasji łamie stół i podpala go, będzie potem używał mebli na podpałkę.

Każdy Chińczyk umie doskonale czytać, pisać i rachować – ach, gdyby można było to powiedzieć o wszystkich naszych wyborcach! W Kalifornii wynajmują małe działki ziemi i hodują na nich warzywa. Z kupy piachu potrafią zebrać bogaty plon. Nie marnują niczego. Chińczyk przechowuje pieczołowicie i potrafi w ten czy inny sposób zużytkować wszystko to, co dla Europejczyka jest zwykłym śmieciem. Gromadzi wyrzucane przez białych puszki po ostrygach i sardynkach i przetopiwszy je sprzedaje z zyskiem; robi nawóz z wyrzuconych na śmietnik kości. W Kalifornii znajduje środki do życia grzebiąc w starych szybach górniczych, które biali porzucili jako wyczerpane i bezwartościowe; ale wtedy urzędnicy podatkowi dobierają się do niego raz na miesiąc, stosując metody niesłychanego oszustwa, któremu

ciało ustawodawcze nadało szeroką nazwę „cudzoziemskiego podatku górniczego”, a który nakładany jest wyłącznie na Chińczyków. Bywa, że chiński kopacz pada dwukrotnie w ciągu miesiąca ofiarą tego szachrajstwa, ale skarb publiczny bynajmniej się na tym nie bogaci.

Chińczycy otaczają czią pamięć zmarłych; właściwie można powiedzieć, że otaczają zmarłych przodków czią boską. Dlatego w Chinach każdy zmienia swój ogródek przed domem, ogród za domem i najmniejszy skrawek podwórza w rodzinny cmentarz, aby móc w wolnej chwili odwiedzić groby bliskich. To ogromne imperium jest jednym wielkim cmentarzem, a ponieważ w Chinach każda piędź ziemi musi być wykorzystana, gdyż inaczej miliony ludzi cierpiałyby głód, uprawia się tam nawet groby i zbiera z nich plon, co nie jest bynajmniej uważane za objaw braku szacunku dla zmarłych. Skoro otacza się zmarłych tak wielką czią, Chińczyk nie może naturalnie pozwolić, żeby znieważano miejsca ich spoczynku. Pan Burlingame tym tłumaczy fakt, że Chińczycy sprzeciwiają się budowie kolei; gdziekolwiek by ją wybudowano bowiem, droga żelazna naruszałaby groby ich przodków czy przyjaciół.

Chińczyk uważa, że szczęście w życiu przyszłym czekać go będzie tylko wtedy, gdy jego ciało spocznie w ukochanych Chinach; a ponadto pragnie, aby po śmierci otoczono go czią, którą sam okazywał swoim zmarłym. Dlatego jadąc do cudzoziemskiego kraju czyni zawczasu przygotowania, aby w wypadku śmierci odesłano jego kości do ojczyzny. Jeżeli podpisuje kontrakt na wyjazd za granicę do pracy, zastrzega sobie zawsze, że w wypadku śmierci jego ciało zostanie odesłane do Chin. Gdy rząd wynajmuje cudzoziemcowi kulisów na przyjęty zwyczajem okres lat pięciu, zawsze w kontrakcie wyszczególniony jest ten warunek. Wszyscy Chińczycy na wybrzeżu Pacyfiku należą do jednego z kilku towarzystw czy organizacji, które prowadzą księgi ewidencyjne swych członków, i w wypadku śmierci odsyłają ich szczątki do ojczyzny. Największym z nich jest Towarzystwo Si Youp, drugie po nim Towarzystwo Ning Yeong, liczące osiemnaście tysięcy członków. Siedziba zarządu mieści się w San Francisco, gdzie znajduje się także okazała świątynia z kilku dygnitarzami kościelnymi i liczne duchowieństwo. Tam właśnie dano mi do wglądu rejestry członków, z odpowiednimi adnotacjami przy nazwiskach zmarłych i datą ich wysyłki do Chin. Każdy statek wypływający do Chin z portu San Francisco wiezie ciężki ładunek chińskich nieboszczyków – raczej wiózł, dopóki nasza władza ustawodawcza, z subtelną przebiegłością tak typową dla chrześcijańskiego okrucieństwa, nie wzbronila przesylek, widząc w tym manewrze zręczny i zamaskowany sposób powstrzymywania chińskiej emigracji. Projekt takiej ustawy został zgłoszony, ale nie wiem, czy go uchwalono. Wydaje mi się, że tak. Zgłoszono jeszcze inny projekt ustawy, która weszła już w życie; zmusza ona każdego chińskiego emigranta do poddania się szczepieniu w porcie i do zapłacenia urzędowemu szarlatanowi (żaden uczciwy lekarz nie zhańbiłby się takim zalegalizowanym rabunkiem) dziesięciu dolarów za zabieg. A ponieważ niewielu importerów chińskiej siły roboczej godzi się na poniesienie takiego wydatku, nasi ustawodawcy uważali, że oto zadadzą inny ciężki cios chińskiej emigracji.

Artykułik, który wydrukowałem w „Wirgińskiej Gazecie” za moich reporterskich czasów, da pojęcie o dzielnicy chińskiej w Virginia City, a raczej o dzielnicy chińskiej w każdym mieście na wybrzeżu Pacyfiku.

Wczoraj wieczorem odbyłem wraz z kolegą reporterem wędrowkę po dzielnicy chińskiej naszego miasta. Chińczycy zbudowali ją według własnego upodobania, a ponieważ nie trzymają powozów ani nie używają furgonów konnych, większość ulic jest tu zbyt wąska, żeby mógł się przez nie przecisnąć pojazd. O godzinie dziesiątej wieczorem Chińczyk występuje w całej swej chwale. W każdej ciasnej jak kojec, ubogiej chacie przepojonej mdłym zapachem lampki oliwnej, w chacie, którą oświetla tylko chwiejny płomyk głośno pryskającej łojowej świeczki, znajdowało się dwóch lub trzech żółtych włóczęgów z długimi warkoczami, zwinionych w kłębek na krótkich pryczach, palących opium, nieruchomych, o wzroku matowym i jak gdyby zapatrzonym w głąb z nadmiaru szczęścia. Był to obrazek palacza w chwilę po

tym, jak podał fajkę sąsiadowi, palenie opium jest sprawą skomplikowaną i wymagającą mnóstwa czynności. Na każdym łóżku stoi lampa, oddalona od ust palacza na odległość długiego cybucha fajki; palacz umocowuje gałkę opium na końcu drutu, podgrzewa ją nad ogniem, a potem utyka w lulce fajki w taki sposób, w jaki człowiek biały zalepia dziurkę kitem; następnie umieszcza fajkę nad ogniem i pali. Skwierczenie smażącego się narkotyku w lulce i bulgotanie soku w cybuchu może przyprawić o mdłości marmurową statuetkę. Ale Chińczyk to właśnie lubi. Wciąga dym w płuca dziesięć czy dwanaście razy – opium koi go i uspokaja – a potem kładzie się i marzy, Bóg jeden raczy wiedzieć o czym, bo my patrząc na tę otumanioną istotę nie potrafiliśmy odgadnąć. Prawdopodobnie odpływa w swoich snach daleko od pospolitości tego świata i balii pełnej prania, po czym zasiada w raju do uczty złożonej z soczystych szczurów i ptasich gniazd.

Pan Ah Sing prowadzi sklep spożywczy i towarów mieszanych przy ulicy Wang. Okazał nam gościnność szczerą i przyjazną. Miał w sklepie kilka gatunków kolorowych i bezbarwnych win o niemożliwych do wymówienia nazwach, importowanych z Chin w małych kamiennych dzbanuszkach; częstował nas nimi podając trunek w miniaturowych miseczkach z porcelany. Częstował nas także ptasimi gniazdami oraz mnóstwem maleńkich i zgrabniutkich parówek, których mogliśmy zjeść po kilka jardów – gdybyśmy się odważyli je spróbować; ponieważ jednak podejrzewaliśmy, że w każdej znajdują się zwłoki myszy, zrezygnowaliśmy z jedzenia. Pan Sing miał w swoim sklepie tysiące artykułów o niezwykłym wyglądzie, których przeznaczenia żadną miarą nie mogliśmy odgadnąć i które wymykały się wszelkiemu opisowi.

Odgadliśmy jednak bez trudu przeznaczenie jego kaczek i jaj; kaczki były obrane z kości, płaskie jak flandry i w tym stanie importowane z Chin; jajka były pokryte jakąś masą, która chroniła je podczas długiej drogi przed zepsuciem i zachowywała ich smak.

Pana Hong Wo zastaliśmy przy opracowywaniu planu loterii; wypada tu wspomnieć, że widzieliśmy w dzielnicy chińskiej najmniej pół tuzina Chińczyków oddających się temu zajęciu, co trzeci bowiem Chińczyk prowadził loterię, reszta zaś jego ziomeków grała. Tom, który mówi „bezbłędna” angielszczyzną i był głównym i jedynym kucharzem „Gazety Wirgińskiej”, kiedy przed dwoma laty prowadzono tam kawalerskie gospodarstwo, powiedział: „Chińczyk czasem kupić bilet za jeden dolar, ten dolar dać mu dwieście, trzysta dolar, czasem nie dać nic. Loteria to jak jeden człowiek walczyć siedemdziesiąt człowiek – czasem on zlać skórę, czasem jemu zlać skórę”. Ponieważ jednak szanse były przeciwko grającemu w stosunku sześćdziesiąt dziewięć do jednego, należało się raczej spodziewać, że to on będzie tym, któremu „zlać skórę”. O ile mogliśmy się zorientować, loterie chińskie niewiele się różnią od naszych; różnica polega przede wszystkim na tym, że cyfry są chińskie i żaden biały ignorant nie połapie się, co jest co; system ciągnięcia bardzo przypomina nasz.

Pan Si Yup prowadzi sklep z galanterią różną na ulicy Żwawego Lisa. Kupiliśmy u niego wachlarze z białych piór zdobne w jaskrawe ornamenty; perfumy pachnące limburskim serem, chińskie pióra i talizmany z kamienia tak twardego, że stalowy rylec nie pozostawia na nim śladu, wypolerowanego jednak i zabarwionego jak wnętrze muszli morskiej.

W dowód szacunku pan Si Yup ofiarował nam jaskrawe pióropusze zrobione ze złotego szychu i ustrojone pawimi piórami.

Jedliśmy pałeczkami chow-chow w restauracjach pod gołym niebem; nasz chiński przewodnik łątał stojące pod domami panienki o rozmarzonych oczach za ich brak kobiecej powściągliwości; rzuciliśmy po dziesiątce jednemu czy dwóm pogańskim bożkom. Na zakończenie zaś oszołomił nas geniusz pewnego chińskiego buchaltera; otóż człowiek ów przeprowadzał swoje obliczenia na maszynie podobnej do żelaznego rusztu, z guzikami nanizanymi na pręty. Poszczególne rzędy odpowiadały jednostkom, dziesiątkom, setkom i tysiącom. Chińczyk przesuwiał palcami guziczki z nieprawdopodobną wprost zręcznością, jak wirtuoz przebiegający palcami po klawiszach fortepianu.

Chińczycy są ludźmi pełnymi życzliwości i dobrej woli, ogólnie szanowanymi przez klasy wyższe na wybrzeżu Pacyfiku. Nie zdarza się nigdy, żeby kalifornijski dżentelmen czy kalifornijska dama wyzyskiwali lub ciemnęli Chińczyka; robią to tylko szumowiny społeczne – oni i ich dzieci; i naturalną koleją rzeczy policjanci i politycy, są to bowiem rajfurowie i niewolnicy społecznego tałatajstwa, zarówno w Kalifornii, jak i wszędzie w Ameryce.

XIV. FLAGA NA SZCZYCIE MOUNT DAVIDSON

Zbrzydło mi już to długie siedzenie na jednym miejscu. Przestały mnie bawić jazdy do Carson i pisanie reportażu z sesji ustawodawczej raz na rok oraz z wyścigów konnych i wystawy dyni raz na trzy miesiące (wzięto się teraz w dolinie Washoe do hodowli kartofli i dyni i naturalnie jednym z pierwszych pociągnięć ciała ustawodawczego było powołanie do życia stałej wystawy rolniczej – kosztem dziesięciu tysięcy dolarów —żeby móc na niej pokazać te właśnie dynie wartości czterdziestu dolarów. Ale o stanowym ciele ustawodawczym mówiło się zwykle, że jest to dom wariatów). Chciałem zobaczyć San Francisco. Chciałem gdzieś pojechać. Chciałem... sam nie wiedziałem, czego chcę. Chwyła mnie „gorączka wiosenna” i mam wrażenie, że chciałem po prostu odmiany. A co więcej, zgromadzenie przygotowywało konstytucję stanową; dziesięciu ludzi na dziesięciu chciało otrzymać posady; przypuszczałem, że ci panowie „namówią” niemajątkne i nieodpowiedzialne elementy w naszym społeczeństwie do uchwalenia tej konstytucji i tym samym pchną kraj w objęcia śmierci. (Kraj nie mógł udźwignąć takiego ciężaru jak rząd stanowy, ponieważ kraj nie miał nic, co by mógł obłożyć podatkami i co by dało jakieś dochody; nie urządzone bowiem kopalnie nie dąłyby żadnych wpływów podatkowych, urządzonych zaś było niewiele; zaledwie pięćdziesiąt. Niewiele też było nieruchomości do opodatkowania, a jakoś nikt dotąd nie pomyślał o prostym i zbawiennym sposobie nałożenia kar pieniężnych na morderców). Wierzyłem święcie, że rząd stanowy położy kres naszym czasom gorączki, i nie chciałem dożyć tej chwili. Wierzyłem święcie, że akcje kopalń znajdujące się w moim posiadaniu osiągną niebawem wartość stu tysięcy dolarów i postanowiłem, że jeśli to nastąpi przed uchwaleniem konstytucji, sprzedam wszystko i w ten sposób uniknę katastrofy, do której niewątpliwie doprowadzi zmiana rządu. Uważałem, że powrót do domu ze stoma tysiącami dolarów nie będzie kompromitujący, chociaż była to naturalnie suma znikoma w porównaniu z tym, co zamierzałem początkowo przywieźć ze sobą. Trochę mnie to gnębiło, ale usiłowałem się pocieszyć, że sto tysięcy dolarów zabezpieczy mnie jako tako przed niedostatkiem. Mniej więcej w tym czasie przywędrował pieszo z Rees River mój kolega szkolny, którego nie widziałem od lat; wyglądał jak istna alegoria nędzy. On, syn bogatych rodziców, znalazł się w obcej części kraju głodny, bosi, okryty starą derką końską, w kapeluszu bez runda na głowie i tak zupełnie, doszczętnie zrujnowany, że, jak to sam zręcznie powiedział, „zbladłby przy nim syn marnotrawny”. Prosił, żebym mu pożyczył czterdzieści sześć dolarów – dwadzieścia sześć na podróż do San Francisco i dwadzieścia na coś tam jeszcze; może na mydło, bo mydło naprawdę było mu potrzebne. Okazało się, że miałem przy sobie niewiele więcej niż żądana suma, wstąpiłem więc do pewnego bankiera i pożyczyłem od niego czterdzieści sześć dolarów na dwadzieścia dni, bez zbędnych formalności recepty, i dałem je przyjacielowi; wszystko dlatego, że nie chciało mi się wracać do biura, gdzie miałem odłożoną pewną sumę pieniędzy. Gdyby mi ktoś wtedy powiedział, że miną dwa lata, zanim będę mógł oddać bankierowi tę sumę (bo nie liczyłem w tym względzie na marnotrawnego i bynajmniej się nie zawiodłem), czułbym się urażony. Bankier chyba też.

Pragnąłem zmiany. Jakiej bądź zmiany. Przyszła. Pan Goodman wyjechał na tydzień i złożył w moje ręce swój urząd naczelnego redaktora. To mnie zniszczyło. Pierwszego dnia napisałem „wstępniaka” przed południem. Drugiego dnia nie miałem tematu i odłożyłem pisanie na popołudnie. Trzeciego dnia odłożyłem do wieczora, potem zaś przepisałem szumny artykuł wstępny z Amerykańskiej Encyklopedii, tego najwierniejszego przyjaciela redaktorów wszystkich pism w naszym kraju. Czwartego dnia zwlekałem aż do północy, potem zaś znów

sięgnąłem do encyklopedii. Piątego dnia łamałem sobie głowę do dwunastej, wtedy zaś, gdy maszyny czekały, nagryzmołem utwór oparty na wycieczkach osobistych pod adresem sześciu osób. Szóstego dnia pracowałem gorączkowo do późna w noc i napisałem... nic nie napisałem. Numer; poszedł do druku bez artykułu wstępnego. Siódmego dnia poddałem się. Ósmego dnia wrócił pan Goodman i zastał sześć wyzwania na pojedynki; moje wycieczki osobiste szybko wydały owoce.

Nikt, kto nie próbował, nie wie, co znaczy być redaktorem. Łatwo jest, mając wszystkie fakty w ręku, pisać rubryki miejscowe; łatwo jest z pomocą nożyczek dawać przegląd prasy; łatwo też nagryzmolić korespondencję z jakiego bądź miejsca na ziemi; ale pisanie artykułów wstępnych jest niewypowiedzianą mordęgą. Tematy, a raczej ich beznadziejny brak, sprawiają największy kłopot. Dzień po dniu trzeba myśleć, łamać sobie głowę, cierpieć – dookoła panuje jałowa pustka, a mimo to wstępne kolumny muszą być wypełnione. Dać redaktorowi temat – a już dokonał dzieła; napisanie artykułu jest głupstwem. Wyobraźcie sobie, co znaczy wysilać co dzień mózg – przez siedem dni w tygodniu, przez pięćdziesiąt dwa tygodnie w roku. Roczna produkcja pisarska redaktora naczelnego jakiego bądź dziennika w Ameryce wypełniłaby od czterech do ośmiu tomów objętości tej książki! Wyobraźcie sobie, jaki księgozbiór powstałby z prac redaktora po dwudziestu czy trzydziestu latach! A mimo to ludzie często podziwiają płodność Dickensa, Scotta, Bulwera, Dumasa itd. Gdyby ci autorzy pisali tyle, co redaktorzy pism, rezultat ich działalności pisarskiej zadziwiłby przyszłe pokolenia. Trudno wprost zrozumieć, jak redaktorzy mogą podolać tej wyczerpującej pracy, temu bezustannemu, wieloletniemu wyczerpywaniu tkanki mózgowej (praca ich bowiem jest twórcza i nie polega na mechanicznym zestawianiu faktów jak przy pisaniu reportaży). Odkąd cudem utrzymałem się przy życiu mimo tygodnia pracy redaktorskiej, znajduję jedną choć przyjemność w każdej gazecie, która trafia do moich rąk; patrzę z podziwem na długie kolumny artykułu wstępnego i myślę sobie, jak też ten człowiek zdołał tego, u licha, dokonać!

Powrót pana Goodmana potraktowałem jako zwolnienie z redakcji; musiałbym z powrotem zostać reporterem, a na to nie mogłem się zgodzić. Czyż generał armii może wracać znów do szeregów? Postanowiłem więc, że wyjadę w szeroki świat. W tym ważnym momencie życiowym Dan, mój kolega reporter, wspomniął mi mimochodem, że pewni dwaj obywatele usiłowali go namówić, aby pojechał z nimi do Nowego Jorku i pomógł im sprzedać bogatą kopalnię srebra, którą odkryli i zabezpieczyli w nowym okręgu górniczym w pobliżu Virginia City. Proponowali, że mu pokryją koszty podróży i dadzą jedną trzecią sumy uzyskanej ze sprzedaży. Dan odmówił. Na taką właśnie okazję czekałem. Zwymyślałem go, że trzymał wszystko w sekrecie i nie powiedział ani słowa. Odparł, że nie przypuszczał, iż będę miał ochotę jechać, poradził im więc, żeby się zwrócili do Marshalla, reportera jednej z miejscowych gazet. Spytałem Dana, czy ta kopalnia nie jest przypadkiem jakimś oszustwem. Powiedział, że właściciele pokazali mu osiem ton skały, którą wydobyli z myślą o zawiezieniu do Nowego Jorku i zaklął się, że nie widział w Newadzie bogatszej. Dodał jeszcze, że właściciele zabezpieczyli też spory las z cennym budulcem i doskonały teren pod budowę huty – wszystko w pobliżu kopalni. W pierwszej chwili chciałem zabić Dana. Ale się rozmyśliłem, bo przyszło mi do głowy, że może jeszcze nie wszystko jest stracone. Dan powiedział, że nic nie jest stracone, bo właściciele pojechali do kopalni i wrócą do miasta dopiero za dziesięć dni, przed samym wyjazdem na wschód. Poprosili jego, Dana, aby porozmawiał z Marshallem, a on im przyrzekł, że zanim wrócą zdobędzie dla nich albo Marshalla, albo kogoś innego – naturalnie teraz nikomu o tym nie wspomni, a jak przyjadą, zaproponuje im moją osobę.

Projekt był oszołamiący. Położyłem się do łóżka półprzytomny z podniecenia. Nikt jeszcze nie jeździł na wschód sprzedawać kopalnię srebra w Newadzie, a więc pole działania było ogromne i dziewicze. Nie wątpiłem, że kopalnia w rodzaju tej, którą mi opisał Dan, osiągnie w Nowym Jorku królewską cenę i nie będzie najmniejszego kłopotu z jej sprzedażą. Nie mogłem spać, moja wyobraźnia szalała budując zamki na lodzie. Była to nowa „ślepa żyła”.

Nazajutrz wsiałem w dylizans i wyjechałem wśród zgiełku i harmideru, jaki towarzyszy zwykle odjazdom starych obywateli; bo w Newadzie nawet jeśli się ma tylko kilku przyjaciół, robią oni szum taki, jakby ich było stu, żeby odjeżdżający nie miał uczucia, że odjeżdża opuszczony i że nikt go nie żałuje. Dan obiecał mi, że będzie pilnował tych dwóch właścicieli, którzy chcieli sprzedać kopalnię.

Odjazd zasygnalizował tylko jeden mały incydent, który zdarzył się tuż przed wyruszeniem w drogę. Jakiś obdarty pasażer wysiadł na chwilę z dylizansu i stał czekając na załadunek sztab srebra. W pewnej chwili któryś z tragarzy niosący sztabę wagi stu funtów potknął się i upuścił ją stojącemu na nogę. Biedak zwałił się na ziemię i natychmiast rozdzierające serce jęki napełniły powietrze. Zebrał się wokół niego współczujący tłum i ktoś spróbował mu ściągnąć but z nogi, prędko jednak zrezygnował, gdyż jęki przybrały jeszcze na sile. Potem nieszczęśnik zaczął dyszeć ciężko i między jednym szlochem a drugim zawołał:

– Wódki! Na miłość boską, dajcie mi wódki!

Wleli mu do gardła kwaterkę whisky, która go w cudowny sposób uspokoiła i błyskawicznie przywróciła mu siły. Poprosił, żeby mu ludzie pomogli wsiąść do dylizansu. Pracownicy poczty proponowali, że sprowadzą lekarza na swój koszt, ale mężczyzna podziękował i powiedział, że będzie wdzięczny i szczęśliwy, jeżeli dostarczą mu tylko trochę whisky, aby mógł w podróży uspokoić powracające paroksyzmy bólu. Wręczono mu natychmiast dwie butelki i ruszyliśmy w drogę. Patrząc na rozradowaną i uśmiechniętą twarz poszkodowanego, nie byłem w stanie się powstrzymać i spytałem, jak może znosić tak cierpliwie straszny ból zmiażdżonej stopy.

– A bo – powiedział – nie miałem kropli od dwunastu godzin i ani centa w kieszeni. Tak mnie suszyło, że jeszcze trochę, a byłbym marnie zginął, więc jak ten łamaga mnie stuknął, skorzystałem z okazji. Rozumiesz pan, mam drewnianą nogę.

Cały dzień był pijaniuteńki i chichotał radośnie, rozpamiętując swój fortel.

Jeden pijak przywodzi zawsze na myśl drugiego. Pewien znajomy opowiedział mi kiedyś o zdarzeniu, które rozegrało się przy nim w jakimś barze w Kalifornii. Zatytułował je: „Mąż skromny a wstydlivy pije mocne trunki”. Była to mała scenka aktorska, ale moim zdaniem znakomicie odegrana i godna samego Toodlesa. „Mąż skromny”, mocno zakropiony piwem i innymi napojami, wchodzi do baru i kładzie na kontuarze pół dolara, żąda whisky, wypija ją; gospodarz wydając mu resztę kładzie nikłową dwudziestocentówkę na ladzie w kałuży rozlanej wody. „Mąż skromny” niezdarnie próbuje ją wziąć pozbawionymi czucia palcami, ale moneta wyslizguje mu się, a woda ją trzyma. Przygląda się uważnie monecie, ponawia próbę – ten sam skutek. Widzi, że ludzie go obserwują, oblewa się rumieńcem; znowu próbuje, czerwieni się, powoli, ostrożnie, żeby nie chybić celu, wyciąga palec wskazujący, podsuwa monetę gospodarzowi i mówi wzdychając:

– Ep... poproszę o cygaro.

Słyszając tę historyjkę inny mój znajomy opowiedział naturalnie o innym pijaku. Późną nocą pijak szedł zataczając się do domu; skręcił w niewłaściwą furtkę i zdawało mu się, że widzi psa. Był to istotnie pies z lanego żelaza. Pijak nachylił się, przyjrzał uważnie psu; chciał zmiarkować, czy jest to pies zły. W końcu powiedział:

– A (ep) pódziesz!

Nie poskutkowało. Zbliżył się więc ostrożnie i próbował metod pojednawczych; złożył wargi jak do gwizdania, ale nie z tego. Zbliżył się jeszcze o krok mówiąc:

– Dobry pies... taki śliczny pieseczek... dobry piesunio. – Wszedł na stopnie obsypując wciąż psa pieścizłowymi słowami, dopóki nie znalazł się w pozycji gwarantującej mu przewagę. Wtedy wrzasnął:

– Zmykaj stąd, kundlu! – kopnął psa wściekle w zębra i naturalnie wywalił się jak długi. Chwila ciszy. Potem nabrzmiałe bólem westchnienie i uwaga wypowiedziana pełnym zadumy tonem:

– Diabelnie twardy pies. Ciekawe, co on takiego zjadł... Ep. Nie inaczej tylko kamienie. Takie zwierzaki są dla człowieka niebezpieczne. A jakże... niebezpieczne. Jak kto chce karmić psa kamieniami, niech go sobie karmi. W porządku. Ale niech trzyma takiego zwierzaka w domu zamiast pozwalać, żeby drań leżał przed drzwiami, gdzie człowiek może się o niego potknąć w ciemności.

Nie bez żalu spojrziałem po raz ostatni na maleńką flagę (w rzeczywistości miała wymiary trzydzieści pięć stóp na dziesięć) powiewającą jak damska chusteczka na szczycie Mount Davidson, na wysokości dwóch tysięcy stóp ponad dachami Virginia City; czułem bowiem, iż żegnam się na zawsze z tym miastem, które dostarczyło mi najmocniejszych i najciekawszych wrażeń w całym moim dotychczasowym życiu. Przypomina mi to pewne zdarzenie, które musiało się utrwalić w najtępszej nawet pamięci, jaką Virginia City mogło się poszczycić w tamtych czasach. Późnym popołudniem letniego dnia spadł gwałtowny deszcz. Samo to zdarzenie było dostatecznie zdumiewające, żeby w mieście zawrzało jak w ulu, bo w Nowadzie deszcze padają tylko przez tydzień lub dwa w zimie, a i wtedy tak są znikome, że kupcom nie opłaca się trzymać parasoli na składzie. Ale nie deszcz był największym dziwem. Deszcz padał najwyżej pięć czy dziesięć minut. Podczas gdy ludzie wciąż jeszcze o nim mówili, nagle nieba zasnuły się nieprzeniknionym mrokiem nocnym. Żałobna czerń okryła cały ogromny wschodni stok masywu Mount Davidson tak szczelnym całunem, że tylko dzięki bliskości i nieruchomości góry można było dostrzec jej zarys na tle głębokiej czerni nieba. Niezwykły ten widok przyciągnął do siebie oczy wszystkich mieszkańców, a gdy stali tak wpatrzni, w samym środku nocy, wysoko na szczycie góry, ukazał się drżący i falujący maleńki język jaskrawozłotego płomyka. W ciągu kilku minut ulice wypełniły się szczelnie ludźmi oniemiałymi ze zdumienia, wpatrzonymi w ów jeden jedyny jasny punkt w morzu posępnych ciemności. Chwiał się i dygotał jak płomyk świecy i był odeń nie większy; ale choć tak mały, błyszczał na ciemnym tle niezwykłą wprost jasnością. Była to flaga, chociaż w pierwszej chwili nikt się tego nie domyślił; ludziom wydawało się, że jest to jakiś gość z zaświatów, tajemniczy zwiastun niosący dobre wieści. Tak, była to flaga narodowa wyzłocona promieniami zachodzącego słońca, które ukryło się za nieprzeniknioną zasłoną z chmur; i tylko na nią w całej tej olbrzymiej panoramie gór i dolin padały złociste promienie. Nie oświetliły nawet drzewca flagi, które za dnia nie grubsze było od szpilki, teraz zaś zniknęło w mroku. Przez całą godzinę ów nieziemski znak płonął i falował na swej podniebnej samotni i przez całą godzinę wpatrywały się w niego tysiące par urzeczonych oczu. Jakże ci ludzie byli przejęci, jak podnieceni. Przesądni zaczęli szeptać, że jest to mistyczny zwiastun niosący dobre wieści z wojny (poetyczność tego pomysłu broni go i przemawia za nim) – wersja ta rozchodziła się szybko z serca do serca, z ust do ust, z ulicy na ulicę, aż wszystkich zjednoczyło pragnienie wyciągnięcia dział i przywitania posłańca salwą artyleryjską.

A przez cały ten czas pewien wystawiony na ciężką próbę człowiek, miejscowy telegrafista związany tajemnicą urzędową, musiał zaciskać usta i pętać język milczeniem, które rozszarpało mu serce; bo on, i tylko on w tym całym snującym domysły tłumie, znał wielkie wydarzenie, na które patrzyło tego dnia zachodzące słońce na wschodzie kraju. Vicksburg padł! Wojska Unii odniosły zwycięstwo w Gettysburgu!

Gdyby nie dziennikarski monopol, który zabraniał podawać wiadomości nadchodzące ze wschodu wcześniej niż w dzień po ich ukazaniu się w prasie kalifornijskiej, płomienna flaga na Mount Davidson otrzymywałaby tego pamiętnego dnia saluty wojskowe, dopóki starczyłoby prochu; miasto byłoby wspaniale iluminowane, a każdy mieszkaniec, który miał choć trochę szacunku do samego siebie, upiłby się, jak to było w zwyczaju z okazji wszystkich ważnych wydarzeń. Nawet dziś jeszcze, po tylu latach nie mogę myśleć bez żalu o tej bezpowrotnie straconej, wspaniałej okazji. Jakże byśmy się wtedy bawili!

XV. CUDOWNY KLIMAT KALIFORNI

Pędziliśmy przez równiny i doliny, wspinaliśmy się na góry i nękli w chmurach, spoglądaliśmy w dół, na stojącą w letniej szacie Kalifornię. Wspomnę tu mimochodem, że krajobraz Kalifornii najpiękniej wygląda z pewnego oddalenia. Z którejkolwiek patrzyłoby się na nie strony, góry są imponujące w swojej wspaniałości i majestacie kształtu, ale potrzebny jest dystans, aby złagodzić ostrość ich konturów i wzbogacić barwy. Puszcza kalifornijska także wygląda najpiękniej z pewnego oddalenia, gdyż jest w niej smutne ubóstwo odmian i wszystkie drzewa należą do jednej monotonnej rodziny – sosny, modrzewie, jodły, świerki; dlatego z bliska uderza męcząca jednostajność kształtu sztywnych konarów zwróconych w dół i na boki w jednym, wciąż powtarzającym się i wciąż ponawianym wezwaniu do wszystkich ludzi: „Sza... nie mówcie słowa... bo jeszcze komu przeszkodzie”. A poza tym z bliska uderza w nozdrza natrętny i męczący zapach smoły i terpentyny; z bliska nużą melancholijne, pełne skarg westchnienia wśród smutnych konarów. Człowiek chodzi po bezszelestnym dywanie złuszczonej żółtej kory i spadłych szpilek i w końcu zdaje mu się, że jest wędrującym duchem, który porusza bezcielesnymi nogami; nużą go wiotkie kępki szpilek na gałęziach i zaczyna tęsknić za mięsistymi, kształtnymi liśćmi; szuka mchu i trawy, żeby się na nich położyć, ale ich nie znajduje, bo gdzie nie ma kory i szpilek, tam jest naga ziemia i glina – wrogowie pełnych zadumy rozmyślań i czystego odzienia. Często kalifornijskie łąki są takie, jakie być powinny, ale często lepiej je oglądać z daleka, bo chociaż żdźbła trawy są wysokie, sterczą jednak do góry wyniośle i w niesąsiedzkim od siebie oddaleniu, z łatami brzydkiego piachu między kępkami.

Nic mnie tak nie bawi jak ekstatyczne zachwyty turystów ze Stanów nad pięknem „wiecznie kwitnącej Kalifornii”. A turyści ze Stanów zawsze wpadają w te zachwyty. Może nie odczuliby ich tak silnie, gdyby wiedzieli, że starzy Kalifornijczycy z świeżym wspomnieniem pokrytej kurzem i wątpliwie pięknej zieleni kalifornijskiego krajobrazu patrzą z zachwytem i uwielbieniem na bujne bogactwo, na jaskrawą zielen, zachwycającą świeżość, przebogata różnorodność kształtów i odmian listowia, które zmieniają w wizję rajy krajobraz na wschodzie kontynentu. Sama myśl o tym, że człowiek może się rozpląwać w zachwytach nad poważną i posępną Kalifornią, gdy widział łąki Nowej Anglii, jej klony, dęby, jej strzeliste wiązki w całej ich letniej krasie lub mieniącą się barwami wspaniałość jesieni rozsiadłej w lasach – sama myśl o tym byłaby prawie śmieszna, byłaby zgoła śmieszna, gdyby nie to, że jest tak żałośnie patetyczna. Kraj, którego klimat nie podlega zmianom pór roku, nie jest nigdy bardzo piękny. Tropiki nie są piękne, mimo że ludzie trwonią na ich opis tyle słów zachwyty. W pierwszej chwili wydają się urzekające, ale po jakimś czasie jednostajność psuje czar. Odmiana jest panną podręczną natury i bez niej natura nie może dokonywać swoich cudów. Kraj, który ma cztery wyraźnie zaznaczone pory roku, nie skarży się na brak piękna ani nie nuży monotonią. Każda pora roku cieszy i interesuje; ileż radości sprawia obserwowanie jej rozwoju, jej stopniowego, harmonijnego dojrzewania, jej szczytowej krasy. A gdy zaczyna nużyć, przychodzi zaraz zmiana i przynosi nowe czary i nowe cuda. Myślę, że dla człowieka kochającego naturę każda pora roku jest najpiękniejsza.

San Francisco, miasto naprawdę urocze, jest okazałe i ładne z daleka; z bliska jednak rzuca się w oczy staromodna architektura większości budynków, ulice częstokroć zabudowane zniszczonymi, poczerniałymi od dymu drewnianymi domami i na przedmieściach nagie, piaszczyste wzgórza zbyt natrętnie ciężące nad krajobrazem. Nawet łagodny klimat jest niekiedy milszy, gdy się o nim czyta, niż gdy się go doświadcza na sobie, bo błękitne, bez-

chmurne niebo przykrzy się po jakimś czasie, a kiedy wreszcie przyjdzie wyęskniony deszcz – nie chce odejść. Nawet dziecinnie zabawne trzęsienie ziemi lepiej jest oglądać z da...

Co do tego istnieją sprzeczne opinie.

Klimat San Francisco jest łagodny i zdumiewająco równomierny. Przez cały rok termometr wskazuje siedemdziesiąt stopni. Wahania temperatury są minimalne. Tak w zimie, jak i w lecie sypia się pod jednym lub dwoma lekkimi pledami i nie trzeba używać siatek chroniących od moskitów. Letnich ubrań nikt nie nosi. Mężczyźni chodzą w ubraniach z cienkiego, czarnego sukna (jeżeli je mają), zarówno w styczniu, jak i w sierpniu. Żaden z tych dwóch miesięcy nie jest ani cieplejszy, ani zimniejszy od drugiego. Nikt nie używa palt i nikt nie używa wachlarzy. Trudno sobie wyobrazić klimat miłszy, a z pewnością nigdzie na świecie nie ma bardziej równomiernego. W miesiącach letnich często wieją wiatry, ale wtedy można się przenieść do Oakland (odległego o kilka mil), gdzie wiatrów nigdy nie ma. W ciągu dwiętnastu lat śnieg padał w San Francisco tylko dwa razy i leżał na ziemi zaledwie dość długo, żeby zdumione dzieci zdażyły się spytać, co to za dziwny biały proszek.

Przez osiem miesięcy w roku niebo jest błękitne, bezchmurne i nie spada ani jedna kropla deszczu. Ale gdy nadejdą pozostałe miesiące – trudno, trzeba ukraść parasol, bo bez parasola nikt tu nie da rady. Parasol jest potrzebny nie przez jeden dzień, ale przez sto dwadzieścia – dzień po dniu, z małymi przerwami. Jeżeli ktoś wybiera się na wizytę, do teatru albo do kościoła, nie patrzy nigdy w niebo i nie zastanawia się, czy będzie padało; jeżeli jest lato, nie będzie padało i nie ma na to żadnej rady. W San Francisco nie używa się piorunochronów, ponieważ nie zdarzają się tu nigdy grzmoty ani błyskawice. A gdy przez sześć czy osiem tygodni słyszy się szmer tych posępnie monottonnych, spokojnych deszczy, człowiek zaczyna pragnąć, żeby grzmot chociaż raz zadudnił, załomotał, zatrząsł sennym niebem, żeby chociaż raz błyskawica rozdarła posępny firmament i choć na ułamek sekundy rozświetliła go oślepiającym blaskiem. Dałoby się wiele, żeby usłyszeć kochany, dobrze znajomy grzmot i zobaczyć błyskawicę uderzającą – w kogokolwiek. W lecie, kiedy nieszczęsny mieszkaniec od czterech miesięcy cierpi pod bezchmurnym niebem i jaskrawym słońcem, gotów jest paść na kolana i błagać o deszcz, grad, śnieg, pioruny i grzmoty, o cokolwiek, co by przerwało monotonię; ostatecznie gotów jest się nawet zgodzić na trzęsienie ziemi. Istnieją duże szanse, że je będzie miał.

San Francisco zostało wybudowane na wzgórzach piaszczystych, ale jest to piach żyzny, rodzący bogatą roślinność. Rzadkie kwiaty, które ludzie na wschodzie hodują pieczołowicie w doniczkach i cieplarniach, rosną tu bujnie przez cały rok pod gołym niebem. Kalie, najrozmaitsze odmiany geranium, pnące róże – nie znam nawet dziesiątej części ich nazw. Wiem tylko, że gdy nowojorczyki uginają się pod górami i zaspami śniegu, Kalifornijczyki uginają się pod górami i zaspami kwiatów – jeżeli tylko pozwalają im rosnąć w spokoju. Słyszałem też, że rośnie u nich ów najrzadszy i najosobliwszy z kwiatów, piękny Espiritu Santo, jak go zwą Hiszpanie, czyli kwiat Ducha Świętego, chociaż zdawało mi się, że kwitnie on tylko w Środkowej Ameryce, gdzieś nad międzymorzem. W kielichu tego kwiatu znajduje się dokładne facsimile białego jak śnieg gołębia. Hiszpanie otaczają ów kwiat zabobonną czcią. Zawieszono do Stanów kielich tego kwiatu zanurzony w eterze; zawieszono też cebulkę, ale wszelkie próby wyhodowania kwiatu kończyły się niepowodzeniem.

Wspominałem wyżej o wiecznej zimie w okolicach jeziora Mono w Kalifornii, przed chwilą zaś mówiłem o wiecznej wiosnie San Francisco. Otóż po przebyciu stu mil w linii prostej natrafimy na wieczne lato Sacramento. W San Francisco nie widuje się letniego odzienia i moskitier, pełno ich natomiast w Sacramento. Nie twierdzę, że zawsze, ale mniej więcej przez sto czterdzieści trzy miesiące na każde lat dwanaście. Jak się czytelnik domyśli, kwiaty kwitną tam okrągły rok, ludzie zaś przez okrągły rok pocą się, klną (rano, wieczór i w południe) i zużywają niewyczerpane zapasy energii na wachlowanie się. Gorąco jest w Sacramento, ale jeśli pojedziecie do Fortu Yuma, przekonacie się, że jest tam jeszcze goręcej. Fort Yuma jest

prawdopodobnie najgorętszym miejscem na kuli ziemskiej. Termometr cały czas wskazuje tam sto dwadzieścia stopni w cieniu – chyba że dla rozrywki rtęć skoczy wyżej. Fort Yuma jest placówką wojskową Stanów Zjednoczonych i jego mieszkańcy tak przyzwyczajają się do upałów, że cierpią w innym klimacie. Kursuje tam opowiadka przypisywana Johnowi Phe-nixowi (przywłaszczyło ją sobie pięćdziesięciu rozmaitych gryziopiórków o wyobraźni zbyt ubogiej, żeby sami mogli coś wymyślić, ale którzy nie wstydzili się kraść) o pewnym bardzo grzesznym żołnierzu, który umarł kiedyś i naturalnie poszedł prosto do najgorętszego zakątka piekła, a na drugi dzień zadeszował, żeby mu przysłano dwa wojskowe koce. Prawdziwość tej historii nie budzi wątpliwości; nie może budzić żadnej absolutnie wątpliwości. Widziałem miejsce, gdzie ów żołnierz mieszkał.

W Sacramento panuje zawsze upalne lato i można o godzinie ósmej rano zbierać róże, jeść truskawki i lody, ubrać się w białe płócienne ubranie, pocić się i dyszeć z gorąca – a potem, w południe, wsiąść do powozu, ubrać się w futra, przypiąć łyżwy i ślizgać się na lodowej tafli jeziora Donner, na wysokości siedmiu tysięcy stóp nad doliną – wśród zasp śniegu głębokich na piętnaście stóp, w cieniu potężnych szczytów górskich, które wznoszą swoje lodowate wierzchołki na wysokość dziesięciu tysięcy stóp nad poziom morza. Niemały skok! Czy znaj-dziecie takie drugie miejsce na zachodniej hemisferze? A niektórzy z nas pędzili koleją żela-zną po wirażach drogi przetartej w śniegu na wysokości sześciu tysięcy stóp nad poziomem morza i jak ptaki spoglądali w dół na wieczne lato doliny Sacramento – na bogate pola, bujną roślinność, na srebrne strumienie – wszystko zanurzone w łagodnej mgiełce cudownej atmos-fery, wszystko złagodzone i jakby odcieleśnione odległością – senny, doskonały w swym pięknie przeblysłk kraju bajki, tym bardziej zachwycający, że widziany poprzez posępną ramę lodu i śniegu, dzikich turni i przepaści.

XVI. NIECH MNIE, JAK TO NIE JEST DZIECKO!

Ta przed chwilą wspomniana dolina Sacramento była jednym z najbogatszych złotodajnych terenów we wczesnym okresie poszukiwań i do dziś widać miejscami na trawiastych zboczach i płaszczyznach wyrwy, rozdarcia i zeszpecenia pozostałe po chciwych gromadach łupieżców sprzed piętnastu czy dwudziestu lat. W całej Kalifornii widuje się takie ślady. A patrząc na miejsca, gdzie nie ma nic prócz łąk i lasów – gdzie nie ma żadnej żywej istoty, nie ma domu, nie ma kamienia czy drewna pozostałego po ruinie, gdzie żaden dźwięk ani najłżejszy szmer nie budzi uroczystej ciszy – patrząc na takie miejsca trudno wprost uwierzyć, że stało tu kiedyś kwitnące miasteczko o dwóch czy trzech tysiącach mieszkańców, miasteczko posiadające gazety, straż pożarną, orkiestry dęte, milicję obywatelską, banki, hotele, hałaśliwe pochody na czwartego lipca, uroczyste przemówienia, szulernie sine od dymu tytoniowego, głośnie od przekleństw, zatłoczone brodatymi mężczyznami wszystkich ras i narodowości, zastawione stolikami, na których piętrzył się złoty piasek wartości równej dochodom niemieckiego księstwa, ulice rojne i kwitnące handlem, działki budowlane w cenie czterystu dolarów stopa, ciężką pracę, śmiech, muzykę, taniec, przekleństwa, bójki, strzelaniny, walki na noże, śledztwa sądowe i skrwawionego trupa co dzień na śniadanie – słowem wszystko, co opromienia pięknem i urozmaica życie, wszystkie cechy i właściwości kwitnącego dobrobytem i obiecującego świetną przyszłość młodego miasta. Teraz pozostała po nim tylko martwa pustka. Ludzie odeszli, domy zniknęły, nikt nawet nie pamięta nazwy osiedla. Nigdzie na świecie w czasach nowożytnych miasta nie wymierały tak doszczętnie i nie znikwały tak bez śladu z powierzchni ziemi, jak w górniczych okręgach Kalifornii.

Ludność tamtych miast była pełna rozmachu, krzepka, żywotna. Była to ludność niezwykła. Jedyna w swoim rodzaju ludność – i wątpię, czy świat zobaczy jeszcze kiedykolwiek jej podobną. Bo pamiętajmy, że było to zbiorowisko dwustutysięcy młodych mężczyzn – nie słabeuszów i maminsyneków w białych skórkowych rękawiczkach – tylko krzepkich, muskularnych, nieustraszonych młodych zuchów, kipiących energią i zapałem, po królewsku wyposażonych we wszystkie atrybuty odważnej i wspaniałej męskości – sam kwiat najdzielniejszych spośród dzielnych. Nie było wśród nich kobiet, nie było dzieci, nie było siwych, pogarbionych starców – sami prości jak świece, bystroocy, szybcy w ruchach, mocni w rękach młodzi giganci – najosobliwszy, najwspanialszy, najdzielniejszy zastęp ludzi, jaki przemaszerał przez zbudzoną ze snu samotnię kraju nie zamieszkanego. I gdzież oni są teraz? Rozproszeni na wszystkie strony świata lub może przedwcześnie postarziali i zniszczeni, zastrzeleni czy zadźgani nożami w bójkach ulicznych, lub pomarli z rozpacz i zawiedzionych nadziei – ofiary złożone na ołtarzu złotego cielca, najszlachetniejsze ofiary całopalne, jakie wysyłały pod niebiosa zapach swych kadzideł.

Żałość ściska serce, gdy o tym pomyślę.

Byli to wspaniali ludzie, bo wszyscy ślamazarni, ospali, gnuśni niemrawcy zostali w domu; takich nie spotyka się nigdy między pionierami, z takiego materiału nie sposób zbudować pionierów. Tej właśnie ludności Kalifornia zawdzięcza swoją do dziś nie zaćmioną sławę porywania się na zdumiewające przedsięwzięcia i przeprowadzania ich ze wspaniałym rozmachem, odwagą i obojętnością na koszty i konsekwencje. A gdy przygotowuje nowe niespodzianki, poważny świat uśmiecha się jak zwykle i mówi: „No cóż, taka jest Kalifornia!”

Jakże szalone życie wiedli ci ludzie! Nurzali się w złocie, whisky, bójkach, hulankach – i byli niewypowiedzianie szczęśliwi. Pracowity kopacz wydobywał ze swej działki złoto wartości od stu do tysiąca dolarów dziennie, korzystając zaś w mieście z jaskiń gry i innych roz-

rywek – jeżeli się dobrze bawił – nazajutrz rano nie miał już ani centa przy duszy. Sami sobie gotowali swój boczek z grochem, sami przyszywali guziki, prali koszule, niebieskie wełniane koszule; a jeżeli ktoś rwał się do bójki – zaraz, natychmiast, bez irytujących wstępów, wystarczyło mu wyjść na ulicę w białej koszuli albo w cylindrze na głowie, a natychmiast miał, czego pragnął. Ci ludzie bowiem nienawidzili arystokratów. Mieli szczególnie i głęboko zakorzeniony wstręt do białej sztywnej koszuli.

Było to dzikie, rozpasane społeczeństwo. Mężczyźni, roje silnych, krzepkich mężczyzn, i ani jednej kobiety, ani jednego dziecka.

W tamtych czasach kopacze zbierali się tłumnie, żeby ujrzeć choć przelotnie ów rzadki, błogi widok – kobietę. Starzy pionierzy opowiadali, jak w pewnym osiedlu rozeszła się wczesnym rankiem wieść, że przyjechała kobieta. Ktoś zobaczył suknię perkalową wywieszoną na wozie emigranta przybyłego z Wielkiej Równiny i spędzającego noc w osiedlu. Wszyscy zbiegli się na miejsce i gdy istotnie ujrzeli suknię powiewającą na wietrze, potężny okrzyk wznosił się pod niebo. Emigrant stał obok wozu. Kopacze zawołali:

– Dawaj ją!

– Panowie, to moja żona... jest chora... Indianie zabrali nam pieniądze, żywność, wszystko... pragniemy odpoczynku.

– Dawaj ją tu! Chcemy ją zobaczyć!

– Panowie, ona biedactwo...

– D a w a j ją t u!!!

Mężczyzna wyprowadził żonę z wozu, a kopacze podrzucili kapelusze do góry i wnieśli trzy gromkie okrzyki zakończone przeciągłym „hura!” Potem otoczyli niewiastę kołem, wpatrywali się w nią, dotykali jej sukni i wsłuchiwali się w jej głos z wyrazem ludzi, którzy przysłuchują się raczej wspomnieniu niż istocie żywej; na zakończenie zaś zebrali dwa i pół tysiąca dolarów w złocie i wręczyli mężczyźnie, jeszcze raz podrzucili do góry kapelusze, jeszcze raz wnieśli trzy okrzyki i zadowoleni rozeszli się do domów.

Jadłem kiedyś w San Francisco obiad z pewnym pionierem i rozmawiałem z jego córką, młodą damą, która zaraz po zejściu na kalifornijski ląd przeżyła przygodę – chociaż sama tego nie pamiętała, gdyż była wtedy dwu czy trzyletnim dzieckiem. Jej ojciec opowiedział mi, że po wylądowaniu szli ulicą, przy czym służąca szła przodem niosąc w ramionach maleństwo. I nagle ogromny kopacz – brodaty, w szerokim pasie na biodrach, z ostrogami u butów, obwieszony bronią, najwyraźniej wracający z długiej kampanii w górach – zatarasował drogę służącej i zaczął wpatrywać się w dziecko z wyrazem rozanielenia i zdumienia na twarzy.

W końcu powiedział głosem pełnym szacunku:

– Niech mnie, jak to nie jest dziecko! – I wyjąwszy z kieszeni mały skórzany woreczek zwrócił się do służącej: – Jest tu sto pięćdziesiąt dolarów w złotym piasku. Dam ci je, jak mi pozwolisz pocałować dziecko.

Ta anegdota jest prawdziwa.

Ale pomyślcie, jak się wszystko w życiu zmienia. Gdybym siedząc przy stole i przysłuchując się tej opowieści ofiarował sumę podwójną za przywilej pocałowania tego samego dziecka, odmówiono by mi. Siedemnaście lat, które od tego czasu minęły, bardziej niż podwoiły cenę.

Ale skoro jesteśmy już przy tym temacie, wspomnę jeszcze, że kiedyś w Star City w górach Humboldt stanąłem w długiej kolejce górników (jak do okienka na pocztę) i czekałem cierpliwie na okazję spojrzenia przez szparę w ścianie chaty na wspaniałą nową sensację – autentyczną żywą kobietę. Po pół godzinie przyszła kolej na mnie; przytknąłem oko do szpary i zobaczyłem ją. Jedną ręką trzymała się pod bok, drugą podrzucała na patelni naleśniki. A łat miała sto sześćdziesiąt pięć i ani jednego zęba. (Ponieważ jestem teraz w łagodniejszym usposobieniu, chętnie odpiszę jej tę setkę. M. T.)

XVII. CO POTRAFI TRZĘSIENIE ZIEMI

Przez kilka miesięcy wiodłem zupełnie dla mnie nowe życie – beztroskie i leniwe życie motyla; nic nie robiłem, od nikogo nie byłem zależny i nie kłopotowały mnie żadne troski finansowe. Zakochałem się w tym najmiłszym i najbardziej przyjacielskim mieście w całych Stanach. Po krzewach i pustyniach alkalicznych Newady San Francisco wydawało mi się rajem. Mieszkałem w najlepszym hotelu, obnosiłem swoje wytworne ubranie po najwytworniejszych miejscach, nachodziłem uparcie operę i nauczyłem się robić wniebowzięte miny przy słuchaniu muzyki, która częściej raziała moje nie wyszkolone ucho, niż je czarowała – gdybym się tylko był zdobył po prostu na szczerść tego wyznania! Myślę jednak, że nie byłem w tym względnie gorszy od większości moich ziomeków. Marzyłem, żeby być motylem – no i wreszcie byłem motylem!

Chodziłem na przyjęcia we wspaniałym stroju wieczorowym, wdzięczyłem się jak urodzony galant, tańczyłem polki krokiem charakterystycznym dla siebie – i dla kangura. Słowem, prowadziłem życie na stopie człowieka posiadającego sto tysięcy dolarów majątku (w przyszłości) i liczącego na dużą zamożność, gdy dojdzie ostatecznie do skutku transakcja sprzedaży kopalni w Nowym Jorku. Wydawałem pieniądze pełnymi garściami, cały czas pilnie śledząc wahania akcji na giełdzie i obserwując, co się dzieje w Newadzie.

A zdarzyło się tam coś ważnego. Właściciele nieruchomości głosowali przeciwko konstytucji stanowej, ale ludzie, którzy nie mieli nic do stracenia, byli w większości i konstytucja została uchwalona. Mimo wszystko nie wyglądało na to, że katastrofa zaraz nastąpi, chociaż naturalnie nastąpić musiała. Wahałem się, skalkulowałem szansę i postanowiłem nie sprzedawać. Akcje szły wciąż w górę; rozszalała się spekulacja; bankierzy, kupcy, adwokaci, lekarze, mechanicy, robotnicy, praczki i służące – wszyscy umieszczali swoje zarobki w akcjach kopań srebra i rankiem każdego dnia słońce spoglądało nawzbożonych biedaków i zbiedniałych bogaczy. Cóż to było za szaleństwo hazardu! Akcje „Gould i Curry” skoczyły na sześć tysięcy dolarów stopa. A potem nagle wszystko się zawaliło i wszyscy stoczyli się na dno ruiny. Katastrofa była zupełna. Bańka mydlana pękła i pozostawiła po sobie jedynie prawie niedostrzegalną plamkę wilgoci. Jako jeden z pierwszych stałem się nędzarzem. Moje akcje nie były warte papieru, na którym zostały wydrukowane. Wyrzuciłem je na śmietnik – lekkomyślny idiota, rozrzucający pieniądze na lewo i prawo! Kiedy zliczyłem i spłaciłem rozmaite długi, zostało mi mniej niż pięćdziesiąt dolarów. Przeniósłem się z hotelu do małego pensjonatu. Wziąłem pracę reportera. Nie upadłem na duchu, bo ufnie budowałem przyszłość na dochodach ze sprzedaży kopalni srebra. Ale nie miałem od Dana wiadomości. Moje listy albo ginęły w drodze, albo Dan mi nie odpowiadał.

Któregoś dnia czułem się kiepsko i zostałem w domu. Nazajutrz koło południa poszedłem jak zwykle do redakcji i znalazłem na biurku kartkę leżącą tam od dwudziestu czterech godzin. Była to wiadomość od Marshalla, reportera z Virginia City, który prosił mnie, żebym przyszedł koniecznie wieczorem do hotelu, gdzie będzie czekał z dwoma przyjaciółmi, gdyż rano odpływa do Nowego Jorku. W post scriptum wyjaśnił, że sprawa dotyczy sprzedaży kopalni srebra. Nigdy w życiu nie czułem się tak nieszczęśliwy. Przeklinałem się, że wyjechałem z Virginia City i pozostawiłem osobie trzeciej sprawę, której sani powinienem był pilnować. Przeklinałem się, że nie poszedłem do redakcji w tym jednym dniu w roku, kiedy powinienem był pójść. I tak chłoscząc się wymówkami pokłusowałem do portu i przybyłem akurat na czas, żeby się spóźnić.

Statek wpływał właśnie z doku!

Pocieszałem się, że może całą tę transakcję zakończy fiasko, co było w najlepszym wypadku małą pociechą, i wróciłem do mojego reporterskiego kieratu z silnym postanowieniem, że zadowolę się trzydziestu pięcioma dolarami na tydzień i zapomnę o mrzonkach.

W miesiąc później przeżyłem pierwsze trzęsienie ziemi. Jeszcze długo potem nazywano je „wielkim trzęsieniem ziemi” i bodaj do dziś nosi tę nazwę. Było to kilka minut po dwunastej pewnego słonecznego dnia październikowego. Szedłem ulicą Trzecią. Jedyными w polu widzenia przedmiotami w ruchu na tej ciasno zabudowanej i ludnej ulicy był powozik jadący za moimi plecami i omnibus skręcający powoli w boczną ulicę. Poza tym panowała tu pustka i niedzielna cisza. Gdy skręcałem za róg, obchodząc węgiel drewnianego domu, usłyszałem głośny łomot i stuk i pomyślałem natychmiast, że mam temat – w domu wybuchła zapewne bójka. Zanim zdążyłem poszukać drzwi i obrócić się, stało się coś naprawdę przerażającego: ziemia zakołysała się przede mną, jakby ją przebiegły fale przerywane gwałtownymi wstrząsami do góry i na dół, a jednocześnie usłyszałem głośny chrobot, jak gdyby domy z cegieł ocierały się jedne o drugie. Zostałem rzucony na ścianę drewnianego budynku raniąc sobie łokieć. Wiedziałem już teraz, co to znaczy, i z czystego instynktu reporterskiego wy, ciągnąłem zegarek i sprawdziłem godzinę; w tym momencie przyszedł trzeci, i jeszcze gwałtowniejszy wstrząs, a gdy zataczając się na chodniku usiłowałem złapać równowagę, zobaczyłem widok jedyny w swoim rodzaju. Cała ściana frontowa czteropiętrowego budynku z cegły na ulicy Trzeciej odskoczyła jak otwierające się drzwi i runęła na ulicę wzbijając tuman kurzu podobny do kłębow gęstego dymu. A oto nadjechał powozik – mężczyzna wyleciał w powietrze, a w ciągu czasu krótszego niż trwa mój opis, powozik rozleciał się na małe drzazgi, które zasłały ulicę na przestrzeni blisko trzystu jardów. Można by sądzić, że ktoś wystrzelił nabój sprężyn tapicerskich i szmat. Omnibus zatrzymał się, konie szarpały uprząż, a pasażerowie wyskakiwali drzwiczkami na obu końcach, pewien zaś gruby mężczyzna wybił szybę i utkwił w połowie okna wrzeszcząc i wyjąc jak wariat nawlekany na pal. Ze wszystkich drzwi wszystkich domów w zasięgu mojego wzroku wysypali się ludzie. I niemal w mgnieniu oka wszystkie ulice, które widziałem z mojego miejsca, wypełnił gęsty zbity tłum. Chyba nigdy uroczysta niedzielna cisza nie zmieniła się szybciej w zgiełk i wrzawę.

Z dziwów „wielkiego trzęsienia ziemi” widziałem tylko te, które opisałem wyżej, ale sztuczki wyrządzone gdzie indziej dostarczyły tematów do smacznych plotek co najmniej na dziewięć dni. Tylko znikoma ilość budynków uległa całkowitemu zniszczeniu; natomiast szkody poniosła większość domów, w niektórych wypadkach dość znaczne.

Bez liku też było „osobliwości” trzęsienia ziemi. Panie i panowie, którzy byli chorzy lub odpoczywali, lub bawili się do późna i teraz odsypiali stracone godziny nocnego spoczynku, wylegli na ulice w najdziwaczniejszych strojach, niektórzy zaś w ogóle bez strojów. Pewna niewiasta kąpiąca właśnie dziecko wybiegła na ulicę trzymając maleństwo za kostki u nóg, jak oprawionego indyka. Wybitni obywatele miasta, którzy powinni byli ściśle przestrzegać niedzieli, wyskakiwali z barów bez marynarek, z kijami bilardowymi w rękę. Mężczyźni obwiązani ręcznikami wybiegali z zakładów fryzjerskich, namydleni po oczy lub z jednym policzkiem ogolonym, drugim zaś zarośniętym szczecinią zarostu. Konie wyrwały się ze sta jen, a jeden śmiertelnie przerażony pies wspiał się po stromej drabince na strych, stamtąd zaś na dach, a gdy minęło przerażenie, nie miał odwagi zejść tą samą drogą. Pewien wybitny dziennikarz zbiegł ze schodów największego hotelu w mieście ubrany w jedną jedyną bardzo krótką sztukę bielizny, spotkał na dole pokojówkę i wykrzyknął:

– Och, co ja mam zrobić? Gdzie ja mam pójść? Dziewczyna odpowiedziała z naiwną pogodą ducha:

– Może do sklepu z ubraniami?

Żona pewnego zagranicznego konsula była arbitrem mody i ilekroć pokazywała się w czymś nowym czy niezwykłym, wszystkie damy w sąsiedztwie przypuszczały szturm do salkiewek swych mężów i występowały w podobnych strojach. Pewien mąż, który poniósł w

związku z tym niemałe straty i często narzekał, stał właśnie przy oknie, aż tu nagle przyszedł wstrząs i w następnej sekundzie żona konsula, prosto z wanny, przebiegła przez ulicę w ręczniku kąpielowym. Cierpiętnik stanął na wysokości zadania i opanowawszy przerażenie zawołał do żony:

– To mi się podoba! Kochanie, wyciągnij swój ręcznik! Tynki, które spadły w tym dniu z sufitów w San Francisco, przykryłyby kilka akrów gruntu. Przez parę dni przed wieloma domami stały grupki mężczyzn oglądających i ostukujących, rysy, które zygzakiem przecinały mury od dachu aż po piwnice. Na środku jednej z ulic otworzyła się szczelina długości sto stóp i szerokości sześciu cali i natychmiast zamknęła z taką siłą, że w miejscu zetknięcia grunt wybrzuszył się tworząc coś w rodzaju długiego, wąskiego grobu. Pewna pani siedziała w swym kołyszącym się i trzeszczącym salonie; nagle zobaczyła, że sufit rozwiera się i zamyka dwa razy, zupełnie jak usta, a potem wypływa okruch cegły niczym ząb na podłogę. Ponieważ pani ta nie lubiła głupich dowcipów, wyszła czym prędzej z pokoju. Inna dama schodziła właśnie ze schodów, gdy nagle Herkules z brązu pochylił się na swym piedestale, jakby chciał ją ugodzić maczugą. Oboje znaleźli się na dole schodów jednocześnie; dama straciła ze strachu przytomność.

Przy pierwszym wstrząsie runęły w pewnym kościele dwie ogromne piszczałki organów. Pastor kończył właśnie modły trzymając ręce wzniesione do błogosławieństwa. Spojrzał w górę, zawahał się i powiedział:

– Tym razem opuścimy błogosławieństwo! – W następnej sekundzie tam, gdzie stał przed chwilą duchowny, była pustka.

Pewien pastor w Oakland powiedział po pierwszym wstrząsie:

– Nie ruszajcie się z miejsc! Jeżeli ma nas spotkać śmierć, kościół jest najlepszym miejscem... Po drugim wstrząsie dodał:

– Ale na powietrzu nie jest gorzej! – I wypadł bocznymi drzwiami.

San Francisco nigdy nie widziało takiego pogromu wśród ozdób stojących na półkach oraz buteleczek i słoików na toaletach jak w tym właśnie dniu. Większość dziewcząt i matron poniosła straty w tej dziedzinie. Obrazy wiszące na ścianach spadały, ale częściej jeszcze, na skutek jakiegoś kaprysu trzęsienia ziemi, obracały się na swych sznurkach twarzami do ściany. Początkowo istniały sprzeczne opinie co do kierunku wstrząsów, ale woda wylana ze zbiorników i kadzi rozstrzygnęła tę kwestię. U tysiący mieszkańców wstrząs i kołysanie podłóg i ulic wywołały tak silne ataki choroby morskiej, że słabi i chorzy przez kilka godzin – niektórzy zaś przez kilka dni – pozostawali w łóżkach. Tylko bardzo nieliczni spośród mieszkańców nie doznali uczucia mdłości.

Dziwaczne zdarzenia, które przez tydzień były głównym przedmiotem plotek, wypełniłyby książkę obszerniejszą niż ta; przeto porzucam ten temat.

W jakiś czas później wziąłem do ręki numer „Gazety Wirgińskiej” i zachwiałem się pod okrutnym ciosem.

NEWADA SPRZEDAJE SWOJE KOPALNIE W NOWYM JORKU

Panowie G. M. Marshall, Sheba Hurst i Amos H. Rose, którzy w lipcu wyjechali z San Francisco do Nowego Jorku wioząc próbki rudy z kopalni w Pine Wood w okręgu Humboldt, w łańcuchu górskim i nad rzeką Reese, sprzedali kopalnię obejmującą sześć tysięcy stóp i nazwaną „Pine Mountains Consolidated” za sumę 3 000 000 dolarów. Na umowie, która znajduje się teraz w drodze do Humboldt, gdzie zostanie zarejestrowana, skasowano znaczki stemplowe na sumę 3 000 dolarów, co uważa się za największą opłatę stemplową pobraną od jednego dokumentu. Wpłacono już do banku kapitał zakładowy w wysokości jednego miliona dolarów, zakupione też zostały urządzenia do huty, która powstanie w możliwie najkrótszym terminie. Ruda z tej kopalni przypomina nieco rudę z kopalni „Sheba” w Humboldt. Sheba

Hurst, odkrywca złóż, oraz jego przyjaciele połączyli wszystkie najlepsze złoża i zajęli odpowiednią ilość gruntu i lasów, zanim podali do publicznej wiadomości szczegóły swojego planu. Na podstawie badania rud przeprowadzonego w nowojorskim urzędzie probierczym można stwierdzić, że są to złoża niezwykle bogate w złoto i srebro, z przewagą srebra. W okolicy kopalni jest pod dostatkiem wody i doskonałego budulca. Należy powitać z zadowoleniem fakt, że nowojorski kapitał angażuje się w rozbudowę kopalń w tym rejonie. Obejrzawszy próbki rud i wyniki badań możemy stwierdzić z całą pewnością, że są to złoża niezwykle bogate.

Powtórnie zatryumfowała moja wrodzona głupota i straciłem milion!

Powtórzyła się historia ślepej żyły.

Nie zatrzymujmy się zbyt długo nad tą przykrą historią. Gdybym wyssał to wszystko z palca, mógłbym teraz błyszczeć humorem i dowcipem; sprawa jest jednak zbyt autentyczna, żebym się mógł zdobyć na szczerą wesołość. Wystarczy powiedzieć, że tak upadłem na duchu, tak wciąż wzdychałem, litowałem się nad samym sobą i poddawałem się próżnym żalom, że jako reporter straciłem wszelką wartość dla żywotnego pisma. W końcu jeden z właścicieli wziął mnie na stronę i z dobrocią, która do dziś budzi we mnie szacunek, umożliwił mi rezygnację i oszczędził wstydu wymówienia.

XVIII. JAK SIĘ BLUCHER NAJADŁ PRZEZ SWEGO ZASTĘPCĘ

Przez jakiś czas pisywałem literackie dyrdymałki do „Złotej Ery”. C. H. Webb otworzył doskonały tygodnik literacki pod nazwą „Kalifornijczyk”, ale wysoki poziom nie jest gwarancją sukcesu; tygodnik kulał. Webb sprzedał go trzem drukarzom, Bret Harte został redaktorem z pensją dwadzieścia dolarów miesięcznie, ja zaś zobowiązałem się dostarczać jeden artykuł tygodniowo za wynagrodzeniem dwanaście dolarów. Ale tygodnik nadal kulał i drukarze sprzedali go kapitanowi Ogdenowi, który był człowiekiem bogatym i prawdziwym dżentelmenem. Przyszła mu ochota na tego rodzaju luksusową rozrywkę, więc nie oglądał się na koszty. Kiedy go ta zabawa znudziła, odsprzedał tygodnik drukarzom i tygodnik zmarł niebawem łagodną śmiercią, a ja znowu znalazłem się bez pracy. Nie wspominałbym o tych moich przygodach, gdyby nie ilustrowały tak doskonale zmian losu charakterystycznych dla życia na wybrzeżu Pacyfiku. Nigdzie indziej na świecie zmiany te nie były tak gwałtowne i tak różnorodne.

Przez najbliższe dwa miesiące moim jedynym zajęciem było unikanie znajomych; bo przez te dwa miesiące nie zarobiłem ani centa, nie wydałem na nic ani centa, ani nie płaciłem za życie. Stałem się znakomitym fachowcem od „przemycania się”. Przemyciałem się bocznymi uliczkami, na widok twarzy, które wydawały mi się znajome, przemyciałem się na posiłki, jadłem je pokornie i przepraszałem niemo moją hojną gospodynię za każdą łyżkę strawy, którą jej kradłem, o północy zaś, po wędrówkach, które były właściwie przemycaniem się mimo świateł i wesołości, przemyciałem się do łóżka. Byłem we własnych oczach najnikczemniejszym i najgodniejszym wzgardy robakiem. Przez cały ten czas posiadałem tylko jedną jedyną monetę – srebrne dziesięć centów – z którą się nie rozstawałem i której za nic bym nie wydał w obawie, że świadomość zupełnej nędzy mogłaby mi podsunąć myśl o samobójstwie. Z wyjątkiem ubrania, które miałem na sobie, zaniósłem wszystko do lombardu; czepiałem się więc rozpaczliwie tej mojej dziesiątki, aż zrobiła się zupełnie gładka.

Nie jestem jednak ścisły. Oprócz „przemycania się” miałem jeszcze jedno stałe zajęcie. Było to zabawianie komornika (on z kolei mnie zabawiał), który miał wyegzekwować ode mnie czterdzieści sześć dolarów pożyczone u wirgińskiego bankiera dla mego kolegi „Mar-notrawnego”. Ów człowiek przychodził do mnie raz na tydzień i żądał zapłaty; niekiedy zjawiał się częściej. Robił to jedynie z przyzwyczajenia, wiedział bowiem, że nic nie dostanie. Wyciągał rachunek, podliczał procent (pięć od sta miesięcznie) i pokazywał mi, że nie ma tu żadnych omyłek ani próby oszustwa, a potem prosił, błagał, tłumaczył, żądał natarczywie i natrętnie jakiegokolwiek sumy, najdrobniejszej nawet – choćby dolara, choćby pół dolara – tytułem zaliczki. Spełniwszy w ten sposób swój obowiązek miał już czyste sumienie. Wtedy natychmiast zmieniał temat, wyciągał dwa cygara: jedno dawał mnie, drugie zapalał, kładł nogi na parapecie okna i rozpoczynaliśmy długą rozmowę o wszystkich i o wszystkim, podczas której opowiadał mi mnóstwo ciekawych przygód ze swojej egzekutorskiej działalności. Po jakimś czasie wkładał kapelusz, podawał mi rękę i mówił energicznym tonem:

– A teraz do pracy! Nie mogę przesiadywać u pana po całych dniach! – I w sekundę już go nie było.

Kto by uwierzył, że można tęsknić za komornikiem! A jednak tęskniłem do jego wizyt. Kiedy nie przyszedł w dniu, w którym się go spodziewałem, ogarniał mnie niepokój podobny do niepokoju matki czekającej na swoje dziecko. Ale pieniędzy nie zainkasował ani nie dostał nawet drobnej zaliczki. W przyszłości sam spłaciłem dług bankierowi.

Nędza szuka towarzystwa. Od czasu do czasu spotykałem nocą w źle oświetlonych, odludnych miejscach inne dziecię niedoli. Człowiek ów był taki jakiś wyblakły i nieszczęśliwy, taki opuszczony, samotny i wynędzniały, że serce wyrwało mi się do niego jak do brata. Chciałem ustalić nasze pokrewieństwo, chciałem wspólnie z nim pławić się w naszej nędzy. Jego też chyba coś do mnie ciągnęło; w każdym razie natykaliśmy się na siebie coraz częściej – chociaż niby przypadkiem. A choć nie odzywaliśmy się do siebie i nie zdradzaliśmy niczym, że się poznajemy, mam jednak wrażenie, że zobaczywszy się nie odczuwaliśmy już tępego niepokojem samotności. Zadowoleni włóczyliśmy się przez kilka godzin po ulicach, w dużej od siebie odległości, rzucaliśmy z mroku ukradkiem spojrzenia na płonące lampy i ludzi przy kominkach i cały czas rozkoszowaliśmy się tym niemym porozumieniem.

W końcu przemówiliśmy do siebie i od tej chwili staliśmy się nierozłączni. Jakże podobne były nasze dole! On też był reporterem i też stracił pracę. Postaram się możliwie najwierniej opisać jego przeżycia. Straciwszy pracę staczał się coraz niżej i niżej; z kamienicy czynszowej na Russian Hill do kamienicy czynszowej na Kearney Street, stamtąd na Dupont; wreszcie do nędznej marynarskiej nory – a potem były już tylko skrzynki po towarach i puste szopy w pobliżu doków. Przez krótki czas zarabiał na nędzne utrzymanie zeszywając w porcie pęknięte worki z ziarnem, a gdy i to zawiodło, zdobywał ochłapy jedzenia to tu, to tam – jak popadło. Nie pokazywał się już na ulicach w dzień, bo reporter zna wszystkich – biednych i bogatych, możnych i maluczkich i w dzień nie można uniknąć spotkania z nimi.

Otóż ten żebrak – dla wygody nazwę go Blucher – był wspaniałym człowiekiem. Pełen optymizmu, odwagi, pogody czytał w życiu dużo, miał wyrobiony smak, umysł błyskotliwy i był mistrzem dowcipu; jego dobroć i szlachetność przydawały mu w moich oczach królewskiego blasku i zmieniały krawężnik chodnika, na którym siadywał, w królewski tron, a postrzępiony kapelusz – w koronę.

Miał kiedyś przygodę, która utkwiała mi w pamięci; była czarująco dziwaczna i do dziś wspominam ją ze wzruszeniem. Od dwóch miesięcy chodził bez centa przy duszy. Snuł się nocą po odludnych ulicach, wśród przyjaznych ciemności, aż wreszcie stało się to jego drugą naturą. Ale w końcu musiał wyjść na świat boży w dzień. Powód był dostateczny: nie miał nic w ustach od czterdziestu ośmiu godzin i nie mógł już dłużej znieść beczynnie udreki głodu. Szedł jakąś boczną ulicą pożerając wzrokiem bochenki chleba na wystawach piekarni i byłby gotów oddać życie za kęs strawy. Widok chleba podwoił jego głód; ale dobrze było choć popatrzeć na chleb i wyobrazić sobie, co by się z nim zrobiło. Nagle dostrzegł na środku ulicy błyszczący punkcik – spojrzał jeszcze raz – nie uwierzył, nie mógł uwierzyć własnym oczom – odwrócił wzrok i jeszcze raz spojrzał. Nie omylił się, nie było to złudzenie wywołane głodem. Srebrne dziesięć centów. Porwał monetę w palce, wpatrzył się w nią chciwie, ogarnęły go wątpliwości, spróbował ją zębami, przekonał się, że jest prawdziwa, zdusił w gardle okrzyk radości. Rozejrzał się, zobaczył, że nie ma nikogo w pobliżu, rzucił monetę tam, gdzie leżała, odszedł kilka kroków, wrócił udając, że nic nie wie o jej istnieniu, aby mógł się ponownie nacieszyć jej znalezieniem. Obchodził ją dookoła przyglądając się ze wszystkich możliwych stron; potem zaczął się przechadzać z rękami w kieszeniach i odczytywał szyldy, a ile razy spojrzał z daleka na monetę, tyle razy przenikało go radosne drżenie. W końcu podniósł pieniążek i odszedł pieszcząc go palcami. Wałęsał się po odludnych ulicach, przystawał to w bramie, to za węglem, wyjmował monetę z kieszeni i patrzył na nią. Wreszcie poszedł do domu, czyli do pustej szopy po porcelanie, i do wieczora miał mnóstwo zajęcia z zastanawianiem się, co kupić za swój skarb. Ale był to trudny wybór.

Chodziło o to, żeby dostać jak najwięcej. Wiedział, że w jadłodajni marynarzy dostanie za dziesięć centów talerz fasoli i kromkę chleba albo pulpet z ryby z małym dodatkiem, ale znowu do jednego pulpetu nie dodają tam chleba. U Pete'a mógł dostać kotlet cielecy bez dodatków i kilka rzodkiewek z kromką chleba albo dużą filiżankę kawy, najmniej kwaterkę, i kromkę chleba; ale kromka była tam zawsze za cienka o jedną ósmą cala, a czasem zbrodnia-

rze krajali jeszcze cienie. O godzinie siódmej wieczorem Blucher skręcał się z głodu, ale wciąż jeszcze nie mógł się zdecydować. Opuścił swoją norę i wyszedł na Merchant Street nadal obliczając i gryząc patyk, jak to mają w zwyczaju wygłodniały nędzarze. Minąwszy światła restauracji Martina, najwytworniejszej w mieście, zatrzymał się. W szczęśliwych czasach jadał tu i Martin znał go dobrze. Stojąc tuż za kręgiem światła padającego z okien wystawy wpatrywał się rozmodlonym wzrokiem w steki i ptactwo i wyobrażał sobie, że czasy bajki nie minęły jeszcze i że za chwilę podejdzie do niego książę w przebraniu i powie mu, żeby wszedł do środka i wybrał sobie, co dusza zapagnie. Gryząc swój patyk coraz bardziej zapalał się do tego tematu. Nagle poczuł, że ktoś stoi tuż za nim. No naturalnie! Poczuł na ramieniu dotyk czyjejś ręki. Spojrzał za siebie przez ramię i zobaczył zjawę – istną alegorię głodu! Mężczyzna bardzo wysoki, chudy, nie ogolony, w łachmanach; o twarzy wynędzniałej, zapadniętych policzkach, oczach patrzących z wyrazem bolesnego błagania. Zjawa ta rzekła:

– Panie, chodź ze mną... proszę cię.

Postać wzięła Bluchera pod rękę i odprowadziła na bok, gdzie było mniej przechodniów i mniej świata, o potem obróciwszy się do niego złożyła błagalnie ręce i powiedziała:

– Przyjacielu... nieznajomy panie, spójrz na mnie! Życie jest dla ciebie łatwe... chodzisz po mieście pogodny i zadowolony, byłeś w tej restauracji, jadłeś wytworny obiad, nuciłeś wesoło, myślałeś o miłych rzeczach i powiedziałaś sobie, że świat jest piękny... ale tyś nigdy nie cierpiał! Nie wiesz, co to jest troska, nie wiesz, co to jest nędza, nie wiesz, co to głód!

Spójrz na mnie! Nieznajomy panie, zlituj się nad nieszczęsnym, samotnym, bezdomnym psem! Przysięgam na Boga, że nie miałem nic w ustach od czterdziestu ośmiu godzin! Spójrz mi w oczy – zobaczysz, że nie kłamię! Daj mi cokolwiek, żebym nie musiał umrzeć z głodu... daj mi choć dwadzieścia pięć centów! Błagam cię, nieznajomy panie... błagam cię! Dla ciebie to jest nic, dla mnie będzie życiem! Daj mi choć kilka centów, a padnę przed tobą na kolana! Będę całował ślady twoich stóp, będę wielbił ziemię, po której stąpasz! Daj mi choć kilka centów! Konam z głodu, umieram, ginę! Na miłość boską, nie opuszczaj mnie!

Blucher był zaskoczony, wzruszony, do głębi wstrząśnięty. Namyślał się, zastanawiał chwilę. Potem nagle myśl przyszła mu do głowy.

– Chodź! – powiedział.

Wziął nieszczęśnika pod rękę, zaprowadził do restauracji Martina, posadził go przy marmurowym stoliku, podał mu kartę i rzekł:

– Przyjacielu, zamów, na co masz ochotę. Panie Martin, proszę to zapisać na mój rachunek.

– Doskonale, panie Blucher – odparł Martin.

Potem Blucher oparł się o ladę i patrzył z daleka, jak w żołądku nieznajomego ginie talerz po talerzu hreczanych placuszków (siedemdziesiąt pięć centów porcja), filiżanka po filiżance kawy i steki w cenie dwa dolary sztuka; a gdy dokonało się już spustoszenie, nieznajomy zaspokoił głód, straty zaś zostały obliczone na sześć i pół dolara, Blucher poszedł do jadłodajni Pete'a, zamówił za swoją dziesiątkę kotlet cielęcy bez dodatków, kromkę chleba i trzy rzodkiewki i ucztował jak król!

Jakkolwiek spojrzeć na to zdarzenie, jest ono chyba jednym z najosobliwszych, jakie da się wyłuskać z miliona dziwaczności kalifornijskiego życia.

XIX. KOPANIE KIESZENIOWE

Któregoś dnia pewien mój stary przyjaciel, kopacz, przybył do San Francisco z jednej z na pół wymarłych osad górniczych w Tuolumne i wracając zabrał mnie ze sobą w góry. Mieszkaliśmy w małej chacie na trawiastym stoku wzgórza; na całym rozległym obszarze pagórków i lasów naliczyłoby się najwyżej pięć podobnych chat. A przecież kwitnące dwu czy trzytysięczne miasto zajmowało tę zieloną samotnię w czasach gorączki – zaledwie przed dziesięciu czy dwunastu laty – i tam, gdzie stała teraz nasza chata, było samo centrum ruchliwego śródmieścia. Gdy wyczerpały się złoża rud, miasto popadło w ruinę i w ciągu kilku lat zniknęło z powierzchni ziemi – ulice, domy mieszkalne, sklepy – wszystko zniknęło bez śladu. Trawiaste stoki były tak zielone, gładkie i odludne, jak gdyby nie naruszała ich nigdy stopa człowieka. Kopacze, którzy zostali – zaledwie garstka – byli świadkami narodzin miasta; przy nich wzrastało, rozwijało się bujnie, kwitło, przy nich zmarniało, skonało, zniknęło z powierzchni ziemi. Wraz z miastem umarły nadzieje tych ludzie i ich chęć do życia. Zrezygnowani, sami skazali się na to wygnanie, przzerwali korespondencję z dalekimi przyjaciółmi i nie zwracali już tęsknych oczu ku miastom młodości.

Zapomnieli o świecie i świat o nich zapomniał. Oddaleni od telegrafu i kolei żelaznej byli jakby żywymi trupami, umarłymi dla świata i wydarzeń, które poruszały mieszkańców globu; umarłymi dla zwykłych spraw ludzkich, odciętymi od swoich braci. Było to najosobliwsze i chyba najbardziej żałosne i melancholijne wygnanie, jakie można sobie wyobrazić. Jednym z moich towarzyszy podczas kilkumiesięcznego pobytu na tym odludziu był człowiek z uniwersyteckim wykształceniem; od osiemnastu lat marniał tu stopniowo – zarośnięty, oblepiony gliną kopacz w nędznym odzieniu. Niekiedy przeplatał swe żałosne westchnienia i monologi niejasno zapamiętanymi łacińskimi i greckimi zdaniem; zmurszałe, umarłe języki dostarczały odpowiedniego środka wyrazu dla myśli człowieka, którego marzenia kierowały się tylko ku przeszłości, którego życie było porażką; człowieka zmęczonego, któremu teraźniejszość ciążyła, przyszłość zaś była obojętna; człowieka nie związanego żadnymi więzami, obdartego z nadziei, wyczekującego końca.

W tym jednym jedynym zakątku Kalifornii można znaleźć odmienną metodę górnictwem, o której pisze się rzadko, a może nawet nigdy. Jest to tak zwane „kopanie kieszeniowe” – nie słyszałem, żeby stosowano je gdziekolwiek indziej. Złoto nie jest rozłożone równomiernie jak w zwykłych złożach nawierzchniowych, lecz skupia się w małych gniazdkach, które są rozrzucone w dużej od siebie odległości i niesłychanie trudne do odnalezienia; ale gdy się na nie natrafi, można zebrać bogate i niespodziewane żniwo. Cały ten niewielki okręg liczy teraz ze dwudziestu kopaczy i myślę, że znam ich wszystkich osobiście. Znałem jednego, który dzień po dniu przez osiem miesięcy rył cierpliwie stok wzgórza nie znajdując nawet tyle złota, żeby starczyło na tabakierkę, i dzień po dniu powiększając swój dług w sklepiku, a potem nagle znalazł „kieszę” i dwa razy wbiwszy w ziemię szpadel wydobyl złoto wartości dwóch tysięcy dolarów. Byłem świadkiem, jak kiedyś wydobyl w ciągu dwóch godzin złoto wartości trzech tysięcy dolarów, poszedł do osady i spłacił wszystkie długi, a potem hulał i do rana przepuścił cały swój skarb. Nazajutrz kupił żywność, jak zwykle, na kredyt, wziął płuczkę i szpadel na plecy i zadowolony z życia powędrował na wzgórze szukać nowych „kieszeni”, jest to najbardziej urzekająca ze wszystkich metod górniczych, a jej zwolennicy bardzo często bywają lokatorami domu wariatów.

Poza tym jest to metoda ogromnie pomysłowa. Kopacz nabiera szpadel ziemi, rzuca ją na dużą, cynową płuczkę i stopniowo rozmywa, aż dno pokryje miazgi osad. Całe złoto znajdują-

ce się w ziemi zostało, ponieważ jest najcięższe, i opadło na dno płuczki. W owym osadzie kopacz może znaleźć kilka żółtych okruchów nie większych od łebka szpilki. Kopacz jest uszczęśliwiony. Przesuwa się w bok i przemywa następną płuczkę ziemi. Jeżeli znów znajdzie złoto, przenosi się dalej w tym samym kierunku i przemywa trzecią płuczkę. Jeżeli tym razem nie znajdzie złota, jest rozradowany, ponieważ wie, że trafił na właściwy trop. Rysuje w wyobraźni plan – coś w rodzaju wachlarza, z rączką znajdującą się wyżej na stoku, wychodzi bowiem z założenia, że tam, gdzie jest koniec rączki, powinno leżeć ukryte w ziemi bogate złożo, którego okruchy wydostały się na powierzchnię i zmywane deszczami zsuwały się ze stoku coraz niżej i coraz w większej od siebie odległości. Wobec tego kopacz posuwa się w górę stoku, raz po raz przepłukując ziemię i zwążając drogę, po której się porusza, ilekroć nieobecność złota w płuczce wskazuje, że wyszedł poza rozpostarty wachlarz. W końcu, o dwadzieścia jardów wyżej na stoku, linie zeszyły się w jeden punkt – i w odległości stopy od tego miejsca kopacz nie znajduje złota! Oddycha teraz szybko, jest rozgorączkowany, podniecony; dzwonek wzywający na obiad może się zachłysnąć od dzwonienia – kopacz nie zwróci na niego uwagi; przyjaciele mogą umierać, śluby mogą się odbywać, domy mogą się palić – jego to nic nie obchodzi! Poci się, kopie, szuka z gorączkowym zapalem – i wreszcie znajduje! Łopata wydobywa grudę ziemi i kwarcu pięknie pocentkowaną okruchami, bryłkami i blaszkami złota. Niekiedy ten pierwszy szpadel ziemi jest wszystkim. Wartość – pięćset dolarów. Czasem w takim jednym gnieździe znaleźć można złota za dziesięć tysięcy dolarów, wydobyć zaś trwa dwa lub trzy dni. „Kieszeniowi kopacze” opowiadają o gnieździe wartości sześćdziesięciu tysięcy dolarów, które dwaj górnicy eksploatowali przez dwa tygodnie, po czym sprzedali ów skrawek ziemi za dziesięć tysięcy dolarów komuś, kto nie wydobył z niego nawet trzystu.

Świnie są doskonałymi kieszeniowymi kopaczami. Całe lato ryją między krzakami i usypują małe kopki ziemi. Wtedy kopacze marzą o deszczu, bo deszcz rozbija grudy, opłukuje je i odsłania złoto, niekiedy tuż nad kieszenią. Pewien kopacz znalazł w ten sposób dwie kieszenie jednego dnia. Pierwsza dała mu złoto wartości pięciu tysięcy dolarów, druga – osiem tysięcy dolarów. Ten człowiek umiał docenić swoje szczęście, bo od roku nie zarobił centa.

W Tuolumne żyło dwóch kopaczy, którzy co dzień po południu szli do pobliskiego miasteczka i co wieczór wracali z prowiantem do domu. Część tej odległości przebywali ścieżką i prawie zawsze przysiadali na wielkim kamieniu tuż obok drogi. Przez trzynaście lat powierzchnia kamienia wygładziła się od tego ich siadania. Pewnego dnia dwaj meksykańscy włóczędzy przysiedli na tym samym głazie i zaczęli, się zabawiać rozłupując go młotem. Obejrzeliby odłamek i zobaczyli, że jest w nim pełno złota. Sprzedali później ów kamień za osiemset dolarów. Ale inny aspekt tej sprawy był jeszcze bardziej irytujący: Meksykanie wiedzieli, że tam, skąd stoczył się ów kamień, musi być więcej złota. Poszli z płuczkami na stok i znaleźli najbogatszą chyba kieszeń w tym rejonie. Eksploatacja trwała trzy miesiące, wartość zaś wydobytego złota sięgała stu dwudziestu tysięcy dolarów. Dwaj amerykańscy kopacze, którzy siadywali na przydrożnym głazie, są nadal biedni i na zmianę wstają wcześnie rano, żeby przeklinać tych Meksykanów; jeśli zaś idzie o kunszt przeklinania, nikt na świecie nie dorówna Amerykaninowi.

Zatrzymałem się nieco dłużej na kieszeniowym kopaniu, gdyż temat ten rzadko jest omawiany w druku; przypuszczałem, że – jak każda nowość – zainteresuje czytelnika.

XX. KOT, KTÓRY MIAŁ ZA ZŁE

Pewien mój towarzysz – inna z ofiar osiemnastoletniego niczym, nie wynagrodzonego znoju i zawiedzionych nadziei – był jednym z najłagodniejszych ludzi, jacy nieśli cierpliwie swój krzyż na tym smutnym wygnaniu; poważny i pełen prostoty Dick Baker, kieszeniowy kopacz z Parowu Zdechłego Konia. Miał lat czterdzieści sześć, był siwiuteńki, pracowity, myślący, skąpo wykształcony, biednie ubrany, oblepiony gliną, ale serce miał z metalu szlachetniejszego niż złoto, na które kiedykolwiek natrafił jego szpadel – nie, które kiedykolwiek wydobyto z ziemi i przetopiono.

Ilećroć nie bardzo mu się szczęściło czy też był trochę przygnębiony, zaczynał wspominać z żalem swojego niezwykłego kota (gdzie nie ma kobiet i dzieci, mężczyźni o łagodnych instynktach hodują zwierzęta, muszą bowiem coś kochać). Mówił zaś o osobliwej mądrości tego kota takim tonem, jak gdyby w głębi duszy wierzył, że było w nim coś ludzkiego czy wręcz nadnaturalnego.

Słyszałem, jak kiedyś mówił o swoim ulubieńcu: – Panowie, miałem tu kiedyś kota imieniem Tom Kwarc, który by was zainteresował... każdego by zainteresował. Miałem go osiem lat i powiadam wam, że takiego dziwnego kota w życiu nie widziałem. Był duży, bury – ot, solidny kot domowy i miał więcej przyrodzonego rozumu w głowie niż ludzie w tym osiedlu, a godności tyle w nim było, że przed gubernatorem Kalifornii też by zadzierał nosa. W życiu nie złapał szczura, brzydził się tym tałatajstwem. Oprócz kopania nic go na świecie nie obchodziło. Powiadam wam, że nie widziałem człowieka, który by tyle wiedział o kopaniu co ten kot. Nie nauczylibyście go niczego nowego o kopaniu powierzchniowym, a do kopania kieszeniowego był jak stworzony. Przekopywał ziemię za mną i za Jimem, kiedyśmy chodzili na stoki, a jak było trzeba, szedł za nami pięć mil jednym ciągiem. A umiał wybrać ziemię pod kopanie – ha, czegoś takiego na oczy nie widziałem! Kiedyśmy się brali za robotę, tylko się raz i drugi rozejrzał, a jak uważał, że teren jest do luzu, spojrzał na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Hm, nie gniewajcie się, moi drodzy” i nic już więcej nie mówiąc zadzierał nosa do góry – i hajda do domu. Ale jeżeli teren mu się spodobał – o, to kładł się i nic nie mówił, dopóki pierwsza płuczka nie była gotowa, a potem podchodził, zaglądał i jak zobaczył z jakieś sześć, siedem ziaren złota – nie można powiedzieć, był zadowolony... nie wymagał nic więcej. Kładł się na naszych kurtkach i chrapał jak miech, dopókiśmy nie znaleźli kieszeni, a wtedy skik do nas i dalej robić inspekcję. Ten kot to był kat na inspekcje.

No, a potem nagle ludzie powariowali z tym ryciem w kwarcowych skałach. Wszyscy się za to wzięli – wszyscy walili kilofami i wysadzali skały prochem, zamiast grzebać się w ziemi na stokach... wszyscy wykopywali kominy, zamiast drapać stoki po wierzchu. Na Jima nie było żadnej rady – nic i nic, tylko my też musimy poszukać żyły. Zaczęliśmy wiercić dziurę w skale na komin, a Tom Kwarc wybałuszył oczy i jak się nie zacznie dziwić, co to u licha wszystko znaczy. Takiego kopania w życiu nie widział i to mu zepsuło humor, bo w żaden żywy sposób nie mógł się połapać, co jest co. Nie podobało mu się to kopanie, diabelnie mu się nie podobało i uważał, że to jakaś ciężka głupota. Koty, rozumiecie, nie lubią nowomodnych pomysłów – jakoś nie mogą się przyzwyczaić. Sami wiecie, jak to jest, kiedy człowiek do czegoś przywyknie. Ale po jakimś tam czasie Tom Kwarc trochę się z tym nawet pogodził, chociaż nigdy nie mógł całkowicie zrozumieć, że nic tylko furt kopiemy i kopiemy, a nie przepłukujemy żadnej ziemi. W końcu zaczął schodzić sam do szybu, bo chciał to sobie jakoś wykombinować. A jak mu się psuł humor i zaczynał się złościć, wściekać i diabli go brali (wiedział, że rachunek w sklepie rośnie, a my nie zarabiamy ani centa), kładł się na woreczku

z prochem gdzieś w kącie i zasypiał. No, więc któregoś dnia, kiedy komin był już głęboki na jakie osiem stóp, skała zrobiła się taka twarda, że nie było rady – musieliśmy założyć ładunek... pierwszy ładunek prochu, odkąd Tom Kwarc był na świecie. Potem zapaliliśmy lont, wygramoliliśmy się z dołu i odeszli z pięćdziesiąt jardów. I na amen zapomnieliśmy, że Tom Kwarc leży tam na woreczku z prochem. Po jakiejś minucie patrzemy – a tu z dziury bucha dym, a potem jak nie grzmotnie, jak nie łupnie i ze cztery miliony ton skały, ziemi, dymu i okruchów wyleciało w górę na jakie półtora mili, a w samym środku tego wszystkiego był Tom Kwarc – leciał nogami do góry, parskając, kichał, bił łapami jak opętany i wyciągał pazury, żeby się czegoś ucześcić. Ale gdzie tam! Nie widzieliśmy go przez jakieś dwie i pół minuty, aż tu nagle zaczyna spadać w dół deszcz kamieni i śmiecia i znowu w samym środku Tom Kwarc. Grzmotnął o ziemię pewnie dziesięć stóp od miejsca, gdzieśmy stali. I powiadam wam, żeście takiego dziwnego zwierzaka w życiu nie widzieli. Jedno ucho miał wykręcone do tyłu, ogon mu sterczał jak komin, ślipia całkiem wylazły na wierzch, i od końca do końca – cały był czarny od prochu i dymu i oblepiony gliną. Nawet nie warto było otwierać gęby, żeby go przeproszać, bośmy i tak nie mogli wydusić słowa. A Tom Kwarc spojrzał na siebie tak jakoś z obrzydzeniem, a potem spojrzał na nas, zupełnie jakby mówił: „E, panowie, może myślicie, że to dowcipnie robić kawały kotu, co się nie zna na kopaniu srebra w skale. Ja tam uważam inaczej!” I bez słowa wykręcił się na pięcie i pomaszzerował do domu.

Taki on był ten Tom Kwarc. Możecie mi nie wierzyć, ale nie widziałem kota, który tak by się wybrzydzał na kopanie w skale jak Tom Kwarc po tym wypadku. W jakiś czas później znowu zaczął schodzić na dół do szybu, ale trzeba wam było widzieć, jaki był teraz mądry! Wystarczyło, żeśmy przygotowali ładunek i lont zaczynał skwierczeć po cichu, a Tom Kwarc patrzył na nas, jakby chciał powiedzieć: „No cóż, panowie, musicie mi wybaczyć” i aż dziw brał, jak to kocisko smykało z szybu i dalej gdzieś na drzewo. To już nie była mądrość! To było natchnienie!

– No cóż, panie Baker, jego niechęć do kopania w skale była istotnie zdumiewająca, biorąc pod uwagę okoliczności, jakie wzbudziły w nim tę niechęć. Nie mógł pan go z niej wyleczyć?

– Wyleczyć? Ha! Jak Tom Kwarc coś sobie postanowił, to sobie postanowił i już – mogłeś mu pan dać trzy miliony batów i też byś go nie przekonał!

Miłość i duma rozświetlające twarz Bakera, gdy składał hołd niezłomności charakteru swego zmarłego przyjaciela, na zawsze pozostaną mi w pamięci.

Minęły dwa miesiące, ale nie znaleźliśmy kieszeni. Zryliśmy ziemię na zboczach, tak że wyglądała jak zorane pole. Mogliśmy zasiać zboże w skibach, tylko że za daleko byłoby je wozić na rynek. Mieliśmy wiele dobrych pierwszych płuczek, ale kopiąc dalej – z nadzieją i tęsknotą w sercu – trafialiśmy na jałową ziemię. Kieszeń, która powinna się tu znajdować, była tak pusta jak nasze kieszenie. W końcu wzięliśmy płuczki i szpadle na plecy i powędrowaliśmy szukać nowych okolic. Przez trzy tygodnie ryliśmy ziemię w pobliżu Angel Camp w okręgu Calaveras, ale bez powodzenia. Potem wędrowaliśmy po górach sypiając nocą pod drzewami, bo było ciepło, ale nadal byliśmy biedni jak mysz kościelna. Głupie porównanie, ale naprawdę byliśmy bardzo biedni. Jak nakazywał obyczaj kraju, nasze drzwi stały zawsze otworem i zawsze znalazła się miska jedzenia dla wędrujących kopaczy; przechodzili mimo prawie co dzień, zostawiali łopaty na progu, szli z nami na stok i próbowali szczęścia. Teraz z kolei my byliśmy przyjmowani gościnnie.

Przewędrowaliśmy szmat drogi przecinając tę część Kalifornii wzdłuż i wszerz. Mógłbym uraczyć teraz czytelnika żywym opisem ogromnych drzew i innych cudów Yo Semite – ale co mi ten nieszczęsny czytelnik zawinił, żebym się miał na nim mścić? Oddam go w ręce turystów o mniej wrażliwym sumieniu. Skoro brak mi wszelkich innych cnót, niechże będę chociaż litościwy.

XXI. JAK UNIESZKODLIWIONO ADMIRAŁA

Po trzymiesięcznej nieobecności znalazłem się znów w San Francisco bez centa przy duży. Kiedy kończył mi się już kredyt (byłem teraz zbyt leniwy, żeby pracować w gazecie porannej, w wieczornych zaś nie było wolnego miejsca), zostałem mianowany korespondentem „Gazety Wirgińskiej” w San Francisco. W ciągu pięciu miesięcy spłaciłem wszystkie długi, ale praca przestała mnie interesować; pisałem korespondencję codziennie, bez dnia przerwy czy odpoczynku i zajęcie to niewypowiedzianie mnie nudziło. Pragnąłem zmiany. Mój instynkt włóczęgowski nie dawał mi spokoju. Los uśmiechnął się jednak do mnie ofiarowując mi nową, zachwycającą posadę. Miałem, pojechać na Wyspy Hawajskie i przesyłać stamtąd korespondencję do „Unii”, doskonałego i nader hojnego dla pracowników dziennika, który wychodził w Sacramento.

W samym środku zimy wypłynęliśmy z portu na pokładzie statku „Ajaks”; przynajmniej kalendarz nazywał to zimą, bo pogoda była jakby kompromisem między wiosną i latem. W sześć dni po opuszczeniu portu zapanowało lato w całej pełni. Statek wiozł około trzydziestu pasażerów – w tym miłego, łagodnego człowieka nazwiskiem Williams i trzech starych kapitanów statków wielorybnych, którzy płynęli do swoich jednostek. Trzej kapitanowie prześadywali dzień i noc w palarni, grali w karty, pili zdumiewające ilości whisky, która nie robiła na nich żadnego wrażenia, i byli najszcześliwymi ludźmi, jakich widziałem w życiu. Ponadto znajdował się jeszcze na liście pasażerów stary Admirał, emerytowany kapitan statku wielorybniczego. Był straszliwym ryczącym połączeniem wichru, błyskawic, grzmotów i szczyrych, z głębi serca płynących przekleństw. Mimo to był łagodny jak dziecko. Był szalejącym, ogłuszającym, niszczycielskim tajfunem, który pustoszył przerażone morze, ale miał w sercu jedno ciche i bezpieczne miejsce, gdzie znajdowali schronienie i odpoczynek wszyscy, co doń przychodzili. Nie zdarzało się, żeby ktoś poznał Admirała i nie polubił go serdecznie.

Jego tytuł admirała był tytułem oficjalnym w ściślejszym tego słowa znaczeniu niż jakkolwiek inny tytuł kiedykolwiek noszony przez jakiegokolwiek oficera marynarki, była to bowiem dobrowolna darowizna całego narodu, nadana przez sam lud bez pośrednictwa biurokracji – przez lud Wysp Hawajskich. Tytuł ten był wyrazem miłości, czci i uznania dla zasług jego właściciela. Aby podkreślić autentyczność tytułu, wydano urzędowe polecenie skomponowania flagi admirałkiej wyłącznie na jego użytek. Od tej chwili, ilekroć sygnalizowano zbliżanie się Admirała do portu lub ilekroć podnosił kotwicę i szykował się do wyjścia na morze, jego flaga spływała z królewskiego masztu na dachu parlamentu, ludność zaś spontanicznie odkrywała głowy.

A przecież Admirał nie oddał ani jednego strzału w życiu i nie rozegrał ani jednej bitwy morskiej. Kiedy go poznałem na pokładzie „Ajaksa”, miał lat siedemdziesiąt dwa, z czego sześćdziesiąt jeden pływał po słonych wodach. Przez szesnaście lat wyprowadzał z portu Honolulu statki wielorybne na dalekie połowy, przez szesnaście następnych zaś był kapitanem statku pasażerskiego pływającego między San Francisco a Hawajami i ani nigdy nie stracił statku, ani nie miał najmniejszej nawet złej przygody. Krajowcy wiedzieli, że mają w nim przyjaciela, na którego zawsze mogą liczyć, i wielbili go jak dzieci ojca. Było rzeczą niebezpieczną źle ich potraktować, gdy ryczący Admirał znajdował się gdzieś w pobliżu.

Dwa lata przed naszym poznaniem Admirał wycofał się z czynnej służby zapewniając wszystkich pod kolosalną dziewięcioczlönową klątwą, że „dopóki mu życia, nie zbliży się na odległość zapachu do słonej wody”. I wiernie dotrzymał przysięgi. To jest, zdawało mu się,

że jej dotrzymuje, i byłoby rzeczą bardziej niż niebezpieczną wspomnieć mu, w najogledniejszy choćby sposób, że od czasu „wycofania się z życia”, czyli w ciągu lat dwóch, odbył jedenaście długich podróży morskich; a więc jest to raczej podtrzymywanie ducha przysięgi niż zachowanie jej litery.

W razie walki Admirał znał tylko jedną drogę postępowania, to jest przedrzeć się siłą w sam środek i nie pytając, po czyjej stronie jest słuszność czy prawo, ując się za słabszym. Tym się tłumaczy fakt, że był obecny na każdej rozprawie sądowej przeciwko ogólnie potępionemu przestępcy i próbował zastraszyć i ujarzmić sąd przysięgłych przy pomocy pełnej zemsty pantomimy, dając ławnikom do zrozumienia, że jeśli po zejściu z ławy przysięgłych wpadną mu w ręce, spotka ich coś bardzo złego. Dlatego też wszystkie dręczone koty i beapańskie psy w momentach niebezpiecznych ufnie szukały schronienia pod jego krzesłem. Na początku był najzagorzalszym i najbardziej krwiożerczym zwolennikiem unii, jaki zgłosił się kiedykolwiek pod jej sztandary, ale zaledwie Południe poniosło pierwsze klęski pod naporem armii Północy, Admirał natychmiast przypiął barwy konfederatów i do końca był nieugiętym i nieprzejednanym zwolennikiem secesji.

Nie zdarzyło mi się spotkać nikogo – ani mężczyzny, ani niewiasty – kto tępiłby brak wstrzeźliwości w picciu z tak bezkompromisową i zagorzałą wrogością jak nasz Admirał; niezmordowanie rzucał na pijaństwo gromy i niezmordowanie błagał przyjaciół i nieznanomych, aby byli przezorni i pili umiarkowanie. Ale gdyby się znalazł ktoś naiwny, kto by wspomniał, że pochłonięcie przez Admirała podczas naszej podróży dziewięciu galonów whisky jest choć w najmniejszej mierze sprzeczne z zasadami surowej i nieugiętej abstynencji, starzec wysłałby go w ataku najdzikszej furii w najdalsze rejony piekieł. Ale nie twierdzą bynajmniej, że wypita whisky szła mu kiedykolwiek do głowy czy w nogi. Bynajmniej. Był naczyniem o dużej pojemności, nigdy nie napełnianym po brzegi. Codzien nie rano, zanim zaczął się ubierać, wypijał pełny kieliszek whisky, żeby zmienić wodę w dnisku – jak powiedział. Kiedy był już prawie ubrany, wypijał drugi kieliszek, żeby „rozjaśnić myśli i nadać statkowi kierunek”. Następnie golił się i wkładał czystą koszulę; po czym recytował „Ojczyzna” żarliwym, grzmiącym basem, od którego trząsał się cały statek aż po kil i który uciszał rozmowy w salonie. A ponieważ przychodziła teraz zwykle chwila, gdy znajdował się „dziobem do góry” albo „rufą do góry”, albo „przechylał się na bakbord” lub wreszcie „przechylał się na starbord”, wypijał jeszcze jeden kieliszek, żeby „wyprostować kil i zmienić swobodnie kurs, jak przyjdą odpowiednie wiatry”. Następnie otwierały się gwałtownie drzwi kabiny i słońce czerwonej, dobrotliwej, admirałkiej twarzy spoglądało promiennie na mężczyzn, kobiety i dzieci, dudniący zaś głos witał wszystkich rykiem tak potężnym, jakby jego właściciel chciał zbudzić zmarłych i przyspieszyć zmartwychwstanie. Admirał wychodził na pokład – obraz, od którego nie można było oderwać oczu, osobowość, przykuwająca uwagę. Wysoki i tęgi, ani jednego siwego włosa na głowie, w miękkim kapeluszu o szerokim rondzie, w skrojonym po marynarsku ubraniu z granatowej wełny, luźnym i swobodnym, z pełną rozmachem przestrzeżoną białą koszulą w wycięciu kłap i z hojną obfitością czarnego krawata zawiązanego w żeglarski węzeł, z ciężką dewizką i imponującymi brelokami. Jego potężne stopy budziły szacunek, dłonie zaś były niczym ręce Opatrzności, jak to określała jego załoga na statku wielorybniczym; podciągnięte prawie do łokcia (z uwagi na upał) mankiety ukazywały włochate ręce pokryte barwnym rysunkiem czerwonych i niebieskich kotwic, statków i bogiń wolności. Ale mniejsza o te drugorzędne szczegóły; twarz Admirała działała jak magnes przyciągający uwagę. Był to rozgrzany do czerwoności dysk prześwitujący przez maskę z mahoni, upstrzony brodawkami, pocięty bliznami, poznaczony kreskami świeżych zacięć od brzytwy; wesole oczy pod krzaczastymi brwiami spoglądały na świat spoza stromej wyniosłości nosa, który górował samotny i ogromny na falistej płaszczyźnie rozpościerającej się u jego nasady. Przy nodze Admirała podskakiwał wesoło ulubieniec jego kawalerskiego gospodarstwa, terier Fan, nie większy od wiewiórki. Admirał opiekował się Fanem z matczyną troskliwością i le-

czył go z tysiąca chorób, które istniały tylko w jego wyobraźni.

Gazety czytywał Admirał rzadko; a jeżeli czasem wziął którą do ręki, nie wierzył w ani jedno słowo. Czytał wyłącznie i wierzył jedynie „Staremu Gwardziście”; było to sensacyjne pismo wychodzące w Nowym Jorku. Nosił zawsze przy sobie kilka egzemplarzy „Gwardzisty” i sięgał do nich po wszystkie potrzebne informacje. Jeżeli ich tam nie było, czerpał je z obfitych zasobów swej wyobraźni fabrykując nowe fakty historyczne, nowe daty, nazwiska i wszystko to, co wzmacniało jego argumenty w ewentualnym sporze. Nic więc dziwnego, że był groźnym przeciwnikiem w każdej dyskusji. Ilekroć oddalał się od prawdy i faktów i zaczynał tworzyć historię, oponent tracił grunt pod nogami i ogłaszał kapitulację. Co więcej – oponent nie mógł czasem ukryć oburzenia na tak sfabrykowaną historię, ale czyż w wyrażeniu gniewu mógł ktoś dorównać Admirałowi?! Był zawsze gotowy do kłótni na tematy polityczne i gdy nikt się do niej nie kwapił, sam ją wszczynał. Przy trzecim kontrargumencie zaczynał się unosić i w pięć minut później w palarni szalał huragan, w piętnaście zaś straszliwa burza przepędzała słuchaczy i starzec zostawał sam – grzmocąc w stół pięściami, kopiąc krzesła i hucząc orkanem przekleństw. Po jakimś czasie doszło do tego, że ilekroć zbliżał się Admirał z błyskiem w oczach zapowiadającym dyskusję polityczną, wystraszeni pasażerowie wymykali się po cichu i Admirał rozbijał obóz na opuszczonym polu.

W końcu jednak znalazł godnego siebie przeciwnika. Normalnie każdy, kto stawał z nim w szranki, ponosił klęskę – z wyjątkiem cichego i spokojnego pasażera nazwiskiem Williams. Mimo licznych prób nie udało się Admirałowi wyciągnąć z niego opinii na tematy polityczne. Ale pewnego dnia, gdy Admirał był już blisko drzwi i towarzystwo szykowało się do ucieczki, Williams spytał:

– Admirale, czy jest pan pewien faktów, o których wspominał pan wczoraj mówiąc o tych duchownych?

Pytanie to odnosiło się do historycznego epizodu, który Admirał wyssał z palca.

Ten brak rozwagi zdumiał wszystkich. Ludzie nie mogli pojąć, że ktoś chce się narażać dobrowolnie na unicestwienie. Zamknięto odwrót. Wszyscy usiedli czekając na dalszy rozwój wypadków. Admirał był nie mniej zdumiony od innych. Zatrzymał się w drzwiach, jego ręka niosąca czerwoną chustkę do spoconej twarzy znieruchomiała w pół drogi. Przez chwilę milczał i tylko wpatrywał się w impertynenckiego gada, który siedział w kącie salonu.

– Czy jestem pewien? Czy jestem pewien tych faktów? Może się panu zdaje, że ja kłamałem? Za kogo mnie pan bierze? Ktoś, kto nie zna tych faktów, jest ignorantem! Każde dziecko je zna. Niech się pan nauczy historii! Jak się pan trochę doksztalci, nie będzie pan pytał, czy ktoś jest pewien takich elementarnych spraw, o których wie każdy Murzyn na Południu!

W tym miejscu Admirał rozgorzał, atmosfera zgęstniała, zadudniło ostrzegawczo trzęsienie ziemi, rozległy się grzmoty, posypały błyskawice. W pięć minut później jego wulkan na dobre się rozszalał i Admirał wyrzucał z siebie płomienie i popioły gniewu, strzelał w górę czarnymi kłębami zmyślonej historii i tryskał strumieniami przekleństw. Tymczasem Williams siedział cicho i słuchał z zainteresowaniem wywodów starca. Gdy po jakimś czasie nastała znów cisza, odezwał się głosem pełnym szacunku i wdzięczności jak człowiek, któremu wyjaśniono w końcu dręczącą go od dawna zagadkę:

– Teraz rozumiem. Przypuszczałem, że znam dobrze ów epizod historyczny, bałem się jednak całkowicie mu zaufać, gdyż brak mi było owej przekonującej szczegółowości faktów, która tak jest ważna w historii. Ale jak usłyszałem wczoraj z pana ust wszystkie nazwiska, wszystkie daty i najdrobniejsze okoliczności zdarzenia w ich właściwym porządku, powiedziałem sobie, że to brzmi logicznie – oto jest prawdziwa historia, oto nareszcie zdarzenia przyobiekły kształt budzący w badaczu zaufanie. I pomyślałem sobie, że spytam Admirała, czy jest najzupełniej pewien tych faktów, a jeśli otrzymam odpowiedź twierdzącą, pójdę mu podziękować, że wyjaśnił mi tę tak trudną sprawę. To właśnie pragnę teraz uczynić, bo zanim mi pan dopomógł swymi wyjaśnieniami, w mojej głowie panował straszny zamęt.

Nikt dotąd nie zdołał tak szybko ułagodzić Admirala i wywołać na jego twarzy tak promiennego wyrazu zadowolenia. Nikt też nie słuchał jego zmyślonych historyjek jak słów Ewangelii. Prawdziwość jego wywodów była podawana w wątpliwość albo słowami, albo spojrzzeniami. Aż tu nagle znalazł się człowiek, który nie tylko przełknął wszystko, ale był ponadto wdzięczny za tę niestrawną dozę. Admirał osłupiał; nie wiedział, co powiedzieć, i nie znajdował nawet ratunku w przekleństwach. A Williams mówił dalej, skromnie i z powagą:

– Otóż, Admirale, wspominając, że był to pierwszy rzucony kamień, który przyspieszył wybuch wojny, zapominasz o pewnej doskonale ci znanej okoliczności, która w tej chwili umknęła twej pamięci. Przyznaję, że to, co powiedziałeś, jest słuszne i prawdziwe w każdym najdrobniejszym szczególe, a mianowicie: 16 października roku 1860 dwaj duchowni z Massachusetts, Waite i Granger, udali się nocą w przebraniu do domu Johna Moody w Rock Port, uprowadzili dwie niewiasty z Południa oraz dwoje drobnych dzieci, po czym unurzawszy je w smole i w pierzu pognali do Bostonu, gdzie zostały żywcem spalone na placu przed urzędem stanowym. Zgadzam się też z pańskim twierdzeniem, że czyn ów był bezpośrednią przyczyną odłączenia się Południowej Karoliny w dniu 20 grudnia tegoż roku. Doskonale. – Towarzystwo było mile zdziwione, że Williams zamierza dobrać się Admiralowi do skóry przy użyciu jego własnej niezawodnej broni, to jest czystego nonsensu historycznego, w którym nie było ani słowa prawdy. – Jak powiadam, doskonale. Ale czyż można, drogi Admirale, zamykać oczy na sprawę Willisa i Morgana z Południowej Karoliny? Jesteś pan człowiekiem zbyt dobrze poinformowanym, aby nie znać jej przebiegu. Twoje argumenty i dyskursy dowiodły, że jesteś, Admirale, znakomicie zorientowany we wszystkich najdrobniejszych szczegółach tej narodowej zwady. Przeprowadzasz pan co dzień wywody historyczne, które wskazują, że nie jesteś nieukiem zadowolającym się powierzchownym badaniem przedmiotu, lecz że badasz wszystko do głębi i zaznajamiasz się ze wszystkim, co może rzucić światło na ten ogromnej wagi spór. Niech więc mi będzie wolno przypomnieć, ci, Admirale, że sprawa Willisa i Morgana... ach, widzę już po pańskiej twarzy, że pamiętasz pan wszystko. Dwunastego sierpnia 1860 roku, a więc na dwa miesiące przed sprawą Waite'a i Grangera, dwaj duchowni z Południowej Karoliny, John H. Morgan i Winthrop L. Willis, jeden z kościoła metodystów, a drugi baptystów, udali się nocą w przebraniu do pewnego plantatora nazwiskiem Thompson... Archibald F. Thompson i uprowadzili z jego domu owdowiałą ciotkę (niewiastę z Północy) oraz jej adoptowanego syna, sierotę nazwiskiem Mortimer Highie, dotkniętego epilepsją i cierpiącego w tym czasie na opuchlinę na nodze, w związku z czym biedaczek musiał chodzić o kulach. Otóż ci dwaj duchowni, głusi na błagania swych ofiar, zawlekli je w krzaki, umazali w smole i tarzali w pierzu, po czym rzucili je na stos i spalili żywcem w Charleston. Pamięta pan doskonale, jakie poruszenie wywołał ten wypadek. Pamięta pan, że nawet „Kurier Charlestoński” napiętnował ów czyn jako przykry, niezupełnie właściwy i w gruncie rzeczy niczym nie usprawiedliwiony oraz przestrzegwał, że należy się spodziewać odwetu. Musi pan też pamiętać, że właśnie ów wypadek był przyczyną zdarzeń w Massachusetts. A teraz zastanówmy się, kim byli w istocie owi dwaj duchowni z Massachusetts? Pan, Admirale, który posiadasz tak gruntowną znajomość historii, wiesz równie dobrze jak ja, że Waite był siostrzeńcem kobiety spalonej w Charlestonie, a Granger jej kuzynem drugiego stopnia oraz że jedna z kobiet, które spalili w Bostonie, była żoną Johna H. Morgana, druga zaś rozwiedziona, lecz wciąż kochaną żoną Winthrop L. Willisa. Przyznasz, Admirale, że pierwsza prowokacja wyszła ze strony duchownych z Południa i że duchowni z Północy postąpili tylko zgodnie z prawem odwetu. W twoich dyskursach, Admirale, nigdy nie objawiałeś najmniejszych nawet tendencji do wstrzymywania się od słusznego wyroku czy innych prób przemilczania prawdy, gdy fakty historyczne przeczyły twoim poglądom, i dlatego proszę cię, abyś zechciał zdjąć winę za te zdarzenia z duchownych z Massachusetts i obarczyć nią duchownych z Południowej Karoliny.

Admirał poddał się. Zwyciężył go ten łagodny w mowie człowiek, który połykał jego

bdurne fakty historyczne, jakby były najczystsą prawdą, grzał się we wściekłym ogniu jego przekleństw jak w miłych promieniach słońca, dostrzegał tylko sprawiedliwą bezstronność w jego dzikiej partyzantce i topił go w powodzi zmyślonej historii tak gęsto naszpikowanej pochlebstwami, że nie można jej było zaprzeczyć. W kilku niezręcznych a mocnych zdaniach Admirał wyjaśnił, że sprawa Willisa i Morgana istotnie wypadła mu z pamięci, ale że teraz doskonale ją sobie przypomina, po czym pokonany zszedł z pola bitwy pod pretekstem konieczności podania Fanowi lekarstwa na jakiś urojony kaszel. Wtedy palarnia zatrzęsała się od wiwatów i śmiechu, a Williams, dobroczyńca okrętowy, został obwołany bohaterem. Wieść obiegła statek, zamówiono szampana i wszyscy poszli do palarni, żeby uścisnąć dłoń bohater-skemu zwycięzcy. Nieco później dowiedziano się od sternika, że Admirał stał, wściekał się i wymyślał sam do siebie, aż obluzowały się liny podtrzymujące komin i znieruchomiał główny żagiel.

Władza Admirała została w tym dniu złamana. Ilekroć później próbował wszcząć kłótnię na tematy polityczne, ktoś biegł po Williamsa, i starzec natychmiast opadał z sił, i natychmiast się uspokajał. A wtedy Williams łagodnym i pełnym perswazji tonem przytaczał jakiś fakt historyczny powołując się na znakomitą pamięć starca i na te numery „Starego Gwardzisty”, których starzec nie posiadał; manewr ten odwracał sytuację i odbierał Admirałowi cały rozpęd. Z czasem Admirał tak się zaczął obawiać złotoustego Williamsa, że milkł na jego widok i w końcu całkiem porzucił tematy polityczne. Od tego dnia zapanował na statku spokój i pogoda.

XXII. PIĘKNE JEST HONOLULU

Pewnego pięknego poranka ukazały się wyspy na samotnym oceanie i wszyscy wspieliśmy się na górny pokład, żeby patrzeć. Po dwóch tysiącach mil wodnej pustki był to widok radujący oko. Gdy podpłynęliśmy bliżej, wyłonił się z morza imponujący Przylądek Diamentowej Głowy o poszarpanych brzegach złagodzonych teraz lekką mgiełką; a niebawem oko zaczęło rozróżniać szczegóły samego lądu: najpierw linia plaży, potem pióropusz palm kokosowych, potem chaty tubylców i wreszcie na płaskiej równinie białe miasto Honolulu posiadające jakoby od dwunastu do piętnastu tysięcy mieszkańców – miasto o ulicach szerokich na dwadzieścia do trzydziestu stóp. Wszystkie te ulice mają twardą nawierzchnię, są płaskie jak stół i przeważnie proste; te, które nie są proste, wiją się jak skręty korkociągu.

Im dalej zagłębiałem się w miasto, tym bardziej byłem nim oczarowany. Na każdym kroku uderzał mnie nowy kontrast, nowy i niezwykle widok. W miejscu okazałych, błotnistobrazowych frontonów San Francisco widziałem domki ze słomy, z niewypalanej cegły lub z kremowej mieszaniny koralu, kamieni i muszel, łupanej w podłużne płyty i zespajanej cementem; widziałem też mnóstwo schludnych białych domków z zielonymi okiennicami; zamiast ogródków podobnych do stołu bilardowego i otoczonych parkanem z żelaznych sztachet widziałem rozległe ogrody porośnięte bujną trawą i ocienione wysokimi drzewami o listowiu tak gęstym, że niemal zatrzymującym promienie słońca; a zamiast pospolitych kalii czy geranium wegetujących w kurzu i ogólnym zaniedbaniu, widziałem bujne rabaty i klomby kwiatów, świeże jak łąka po deszczu i oszołamiające barwami; w miejscu niechlujnej ohydy terenów rozrywkowych San Francisco zwanych „Laskiem wierzbowym” widziałem przestrzeń porośniętą rozłożystymi drzewami o dziwacznych nazwach i jeszcze dziwniejszym kształcie – drzewami, które rzucały cień chmury burzowej i stały o własnych siłach, nie podparte palikami; zamiast złotych rybek zataczających kręgi w szklanych kulach swych więzień widziałem koty – kocury, kociaki, kociska z długimi ogonami, koty z krótkimi ogonami, ślepe koty, koty jednookie, koty z wylupiastymi oczami, koty zezowate, szare koty, czarne koty, białe koty, płowe koty, przegowane koty, cętkowane koty, koty oswojone, koty dzikie, koty wyleniałe, koty samotne, gromadki kotów, plutony kotów, kompanie kotów, pułki kotów, armie kotów, rzesze kotów, miliony kotów. A wszystkie były lśniące, spasioone, leniwe, i wszystkie spały mocnym snem.

Widziałem mnóstwo ludzi; niektórzy byli biali w białych marynarkach, kamizelkach, spodniach, nawet w białych płóciennych trzewikach co dzień starannie czyszczonych kredą. Większość ludzi miała jednak cerę tak niemal ciemną jak Murzyni; kobiety o ładnych twarzach, pięknych czarnych oczach, zaokrąglonych i nieco lubieżnych kształtach, o czarnych długich włosach spuszczonej swobodnie na plecy, ubrane w jaskrawoczerwone lub białe szaty opadające luźno z ramion aż po kostki, w dużych kapeluszach ozdobionych wiankami świeżych kwiatów karminowej barwy. Widziałem mnóstwo śniadych, czarnowłosych mężczyzn ubranych rozmaicie; niektórzy mieli na sobie tylko zniszczone cylindry nasunięte nisko na oczy i bardzo skąpe przepaski wokół bioder. Sporo na brąz uwędzonych dzieci nie miało na sobie nic – prócz opalenizny, która jest nader obcisłym i malowniczym odzieniem.

Zamiast awanturników zaczepiających na rogach przechodniów widziałem dwugłowe, śniade, hawajskie dziewczęta siedzące w cieniu domów i spoglądające leniwie przed siebie; zamiast ohydnych kocich łbów jezdni – twarda powierzchnia koralu – wybudowanego w głębi morza przez śmieszne, acz wytrwałe zwierzątka o tej samej nazwie – przykryta cienką warstwą lawy i popiołów wyrzuconych dawno temu z bezdennych głębi ziemi przez wystygły i poczerniały krater stojącego w oddali wulkanu; zamiast zatłoczonych, przepelnionych omni-

busów widziałem tubylcze kobiety pędzące na rącznych koniach, swobodne jak wiatr, przepasane barwnymi szarfami, które jak proporce furkotały za nimi na wietrze; zamiast wyziewów dzielnicy chińskiej i rzeźni przy ulicy Brannan wciągałem w nozdrza balsamiczną woń jaśminu i oleandra; zamiast zgiełku, rwetesu i zamętu ulic San Francisco miałem wokół siebie samo jądro ciszy letniej, tak błogiej jak świat w ogrodzie rajskim; miast zamykających widnokrąg piaszczystych wzgórz i gładkiej tafli zatoki – z jednej strony widziałem tuż obok mur wysokich, stromych gór w szacie miłej dla oka zieleni, poprzecinanych głębokimi, cienistymi, otchłannymi dolinami, z drugiej zaś – bezkresny obszar oceanu, przezroczystego, jaskrawozielonego przy brzegu, otoczonego i zamkniętego białą linią pienistych bryzgów w miejscu, gdzie fale tłuką o rafy; a dalej spokojny, głęboki błękit otwartego morza pocętkowany białymi grzywami fal i na dalekim horyzoncie samotny żagiel, który podkreślał jeszcze senną ciszę i samotność bez dźwięku i kresu. A gdy zaszło słońce – ów jedyny intruz z obcych rejonów, uparcie o nich przypominający – było rozkoszą siedzieć na dworze, wdychać wonne powietrze, i zapomnieć, że poza tymi urzekającymi wyspami istnieje inny świat.

Było rozkoszą siedzieć na dworze i marzyć – dopóki nie poczuło się na skórze ukąszenia. Ukąszenia skorpiona. Wtedy rozsądek nakazywał natychmiast wstać z trawy i zabić skorpiona; następnie trzeba było obmyć ukąszone miejsce alkoholem; wreszcie – przyrzec sobie solennie, że nigdy nie będzie się siadało na trawie. Z kolei przychodziła chwila, w której należało się wycofać do sypialni i oddać rozrywce spisywania wydarzeń dnia prawą ręką, lewą zaś zabijania moskitów – całe rodziny od jednego klapsa. Potem, na widok zbliżającego się wroga – włochatej tarantuli na wysokich szczudłach – przychodziła zbawienna myśl postawienia na nim spluwaczki. Potem szedłem do łóżka, gdzie natychmiast zaczynały się po nim przechadzać stonogi o czterdziestu dwóch nogach z lewej i z prawej strony, z których każda jest tak gorąca, że mogłaby wypalić dziurę w nie wyprawionej wołowej skórze. Znowu obmywanie ukąszonego miejsca alkoholem, znowu solenne postanowienie, że w przyszłości będzie się dokładnie oglądało łóżko przed snem. Potem pełne cierpienie oczekiwanie na chwilę, w której wszystkie moskity w sąsiedztwie przedostaną się pod siatkę, szybkie wymknięcie się na zewnątrz, uwięzienie moskitów pod siatką – i spokojny sen na podłodze. Dużą satysfakcję daje budzenie się od czasu do czasu i przeklinanie tropikalnego klimatu.

Mieliśmy naturalnie w Honolulu pod dostatkiem owoców. Pomarańcze, ananasy, banany, truskawki, cytryny, owoce mango, guawy, melony i rzadki a osobliwy owoc chirimoya, który jest niezrównany w smaku. No i naturalnie były jeszcze tamarindy. Myślałem początkowo, że tamarindy zostały stworzone w tym celu, żeby je człowiek jadł, ale widocznie nie o to chodziło. Zjadłem kilka i pomyślałem, że są w tym roku dość kwaśne. Spuchły mi od nich wargi tak bardzo, że przez dwadzieścia cztery godziny musiałem przyjmować pokarmy przez słomkę. Co gorsza, wyostrzyły mi zęby, tak że mógłbym nimi golić, i zostawiły chropowatą obwódkę na końcu każdego. Bałem się, że mi ta obwódka zostanie, ale jeden ze stałych mieszkańców wyspy pocieszył mnie, że obwódka zejdzie wraz z emalią. Przekonałem się później, że tylko nowo przybyli jedzą tamarindy – naturalnie raz.

XXIII. JAK BORYKAŁEM SIĘ Z KONIEM

W moich zapiskach z trzeciego dnia pobytu w Honolulu znajduję następujący ustęp:

Jestem dzisiejszego wieczoru najwrażliwszym człowiekiem na Wyspach Hawajskich, zwłaszcza jeśli idzie o siadanie. Od godziny piątej po południu przejechałem na grzbiecie konia około dwudziestu mil i mówiąc szczerze – siadam bardzo niechętnie.

Zaprojektowaliśmy na dzisiaj wycieczkę na Przylądek Brylantowej Głowy i do Królewskiego Gaju Kokosowego; mieliśmy wyruszyć o pół do piątej po południu w składzie trzy panie i sześciu panów. Wszyscy wyruszyli o umówionej godzinie. Ja zwiedzałem w towarzystwie kapitana Fisha i kapitana Phillipsa państwowe więzienie; było to zajęcie tak interesujące, że nie zauważyłem, jak szybko mija czas. Oprzytomniałem dopiero, kiedy ktoś powiedział, że jest dwadzieścia po czwartej. Na szczęście kapitan Phillips przyjechał do więzienia swoją bryczuszką, którą kapitan Cook przywiózł na wyspę w roku 1778, zaprzęzoną w konia pamiętającego doskonale czasy kapitana Cooka. Kapitan Phillips był dumny – i słusznie – ze swoich umiejętności woźnicy i chyżości kroku swego konia i właśnie jego chęci popisania się nimi zawdzięczam, że odbyliśmy drogę z więzienia do Hotelu Amerykańskiego w szesnaście minut; odległość wynosiła niewiele ponad pół mili. Ale jazda była ciężka i niebezpieczna. Bat kapitana cały czas był w robocie, każde zaś smagnięcie wzbijało z boków końskich tyle kurzu, że drugą połowę drogi odbywaliśmy w gęstym тумanie kierując się kieszonkowym kompasem kapitana Fisha, wielorybnika z dwudziestosześcioletnim doświadczeniem, który przez całą najeżoną niebezpieczeństwami podróż siedział tak opanowany, jakby się znajdował na pokładzie własnego statku, i od czasu do czasu udzielał wskazówek spokojnym głosem: „Steruj w lewo, w lewo!” lub: „Puść ster luzno!” albo: „Do nawietrznej, mocno do nawietrznej!” – i ani nie stracił zimnej krwi, ani nie okazał gestem czy głosem najmniejszego nawet niepokoju. Gdy zarzuciliśmy wreszcie kotwicę przed hotelem, kapitan Phillips spojrzął na zegarek i powiedział:

– Szesnaście minut... mówiłem wam, że ten koń ma w sobie krzepę! To daje ponad trzy mile na godzinę! – Wiedziałem, iż kapitan czeka na komplement, odparłem więc, że w życiu nie widziałem takiej błyskawicy. Bo też nie widziałem.

Właściciel hotelu zawiadomił mnie, że towarzystwo wyjechało przeszło godzinę temu, ale on da mi do wyboru kilka koni, które bez trudu ich dościgną. Odparłem, że mniejsza o to!., że wolę konia bezpiecznego od konia szybkiego... że najchętniej dosiadłbym konia bardzo, bardzo łagodnego... konia bez temperamentu... jeśli to możliwe, konia kulawego. W pięć minut później siedziałem na grzbiecie wierzchowca, bardzo zadowolony z wyboru. Nie miałem czasu przykleić mu etykiety z napisem: „To jest koń”, więc jeśli przechodnie brali go za owcę – trudno, nic nie poradzę. Byłem zadowolony, a o to przecież chodziło. Na cześć wyspy nazwałem go Oahu (wymawiaj Ołauhi). Gdy zobaczył pierwszą furtkę, wszedł do środka; nie miałem szpicruty ani ostróg, usiłowałem więc przemówić mu do rozsądku. Na wszelkie argumenty pozostał głuchy, uległ jednak w końcu, gdy zacząłem go lżyć i znieważać. Wycofał się tyłem z tej pierwszej furtki i natychmiast skierował się do następnej, po drugiej stronie ulicy. Zwyciężyłem go za pomocą tej samej metody. Na przestrzeni sześciuset jardów przechodził z jednej strony ulicy na drugą czternaście razy i próbował trzynastu furtek, a tymczasem tropikalne słońce prażyło mnie niemiłosiernie i dosłownie byłem zlany potem. Po jakimś czasie furtki najwyraźniej mu się znudziły i szedł teraz spokojnie, ale pogrążony w głębokich medytacjach. Zauważyłem to i zrobiło mi się nieprzyjemnie. Pomyślałem sobie, że ta bestia planuje jakiś nowy podstęp, nowe diabelstwo – żaden koń nie zastanawiałby się nad niczym

tak głęboko, gdyby nie miał złych zamiarów. Im częściej ta myśl do mnie wracała, tym większy ogarniał mnie niepokój; w końcu nie mogłem znieść dłużej tego naprężenia i zeskoczyłem na ziemię, żeby się przekonać, czy nie znajduję jakiegoś dzikiego błysku w jego oku, słyszałem bowiem, że oko najszlachetniejszego z naszych zwierząt domowych jest niezwykle wyraziste. Nie potrafię opisać, jak wielki ciężar spadł mi z serca, kiedy zobaczyłem, że on tylko śpi. Obudziłem go jakoś i zmusiłem do szybkiego kroku, a wtedy ujawniła się podłość jego natury. Usiłował wspiać się na mur kamienny wysokości pięciu czy sześciu stóp. Zrozumiałem, że muszę użyć siły i że bardziej mi się opłaci zrobić to zaraz. Odłamałem solidną gałąź z drzewa tamarindy i na jej widok koń natychmiast skapitulował. Zaczął biec dziwnym konwulsyjnym kłusem, skomponowanym z trzech krótkich kroczków i jednego długiego, który mi przypominał – to wielkie trzęsienie ziemi w San Francisco, to znów kołysanie się „Ajaksa” podczas burzy.

Trudno o lepszą sposobność, żeby przekląć człowieka, który wymyślił amerykańskie siodło. W ogóle nie ma gdzie na nim siedzieć – z równym powodzeniem można by się usadowić na łopacie – strzemiona zaś są pokryte ornamentami narzędziem tortur.

Gdybym miał tu podawać wszystkie przekleństwa, jakimi obrzuciłem owe strzemiona, powstałaby z tego książka pokaźnych rozmiarów, nawet bez ilustracji. Niekiedy stopa przesuwała mi się na drugą stronę i strzemię przybierało charakter bransoletki na nogę; kiedy indziej znów obie stopy przechodziły mi na drugą stronę i byłem wtedy skuty kajdanami, tyle że na nogi. Czasem najpierw jedna, potem druga stopa wysuwała mi się ze strzemion, które zaczynały dyndać i podskakiwać wokół łydek. Nawet gdy siedziałem we właściwej pozycji, starannie utrzymując równowagę, przynosiło mi to niewielką ulgę, gdyż drżałem w nerwowym lęku, że za chwilę stopy znów mi się wysuną. Ale jest to sprawa zbyt irytująca, żeby o niej pisać.

Półtorej mili za miastem zobaczyłem las palm kokosowych o gładkich, prostych pniach sięgających sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu stóp wysokości, przykrytych zielonym pióropuszem liści osłaniających grona orzechów kokosowych – równie malowniczy jak las kolosalnych poszarpanych parasoli z przyczepionymi pod spodem winogronami powiększonymi do ogromnych rozmiarów. Kiedyś pewien złożony podagrą inwalida z Północy powiedział mi, że palma kokosowa nie jest pozbawiona pewnej poetyczności, ale że wygląda jak miotełka do odkurzania rozszczepiona piorunem. Moim zdaniem te słowa lepiej odmalowują palmę kokosową, niżby to można zrobić za pomocą pędzla; mimo to uważam, że w palmie kokosowej jest coś urzekającego i wdzięcznego...

Tu i tam w cieniu palm przykucnęły sennie małe chatki; było ich ze dwanaście, niektóre z drzewa, inne z plecionej słomy. Te słomiane miały kolor szary i bardzo przypominały nasze chaty, z tą tylko różnicą, że dachy ich były bardziej strome, ściany zaś ułożone z mocno ściągniętych łykiem wiązek jakiejś trawy. Zarówno dachy jak i ściany były bardzo grube, a kwadratowe otwory wycięte w ścianach zastępowały okna. Chaty te z daleka sprawiały wrażenie kosmatych, jakby je zrobiono z baranicy. Wewnątrz panował miły chłód. Flaga królewska powiewała na dachu jednego z budyneczków i należało przypuszczać, że Jego Królewska Mość znajduje się w środku. Cały ten teren jest własnością króla, który w dni parne i duszne często przyjeżdża na odpoczynek. Posiadłość ta zwana jest Królewskim Gajem.

Niedaleko lasu zobaczyliśmy interesującą ruinę, smutne szczątki starożytnej świątyni. Składano tu ofiary z ludzi w owych dawno minionych czasach, gdy proste dziecię natury popadało niekiedy w grzech pod wpływem srogich pokus, a potem, ochłonawszy, w chwili spokojnych refleksji przyznawało się do winy i ze szlachetną szczerością szło na oczach wszystkich poświęcając... swą babkę jako ofiarę odkupienia; w owych dawno minionych czasach, gdy nieszczęsny grzesznik mógł dopóty oczyszczać swoje sumienie i osiągać chwilową szczęśliwość, dopóki starczało mu rodziny; na długo, długo, zanim misjonarze, nie uląkłszy się tysiąca prywacji, przybyli na wyspę i unieszczęśliwili krajowca mówiąc mu, jak pięknym,

jak błogim miejscem jest niebo i jak trudno je osiągnąć, a jak strasznym, jak popleśnym miejscem jest piekło i ile istnieje zgoła niepotrzebnych ułatwień, żeby się tam dostać; i dowodząc mu, że w swej ciemności najniepotrzebniej w świecie pozbył się całej swej rodziny; przekonując go, o ileż większym szczęściem jest pracować w pocie czoła za pięćdziesiąt centów, aby móc kupić na drugi dzień jedzenie, niż łowić ryby dla rozrywki, wylegiwać się w cieniu podczas wiecznego lata i czerpać pożywienie z owej obfitości, której dostarczała natura. Jakże smutno jest pomyśleć, że na tych pięknych wyspach tyle pokoleń zeszło do grobu nie wiedząc nic o piekle!

Starożytna świątynia zbudowana z nie ociosanych bloków lawy nie posiadała dachu i była właściwie zagrodą o wymiarach sto trzydzieści na siedemdziesiąt stóp. Nic – tylko nagie ściany, bardzo grube, ale nie wyższe od człowieka. Zostawione w spokoju przetrwają wieki. Trzy ołtarze i inne urządzenia sakralne rozpadły się w ruinę przed wielu laty. Powiadają, że w dawnych czasach spędzano tu na rzeź tysiące ludzi i zabijano ofiary w obecności nagich, wyjąjących tłumów. Gdyby te nieme kamienie mogły mówić, jakież historie by nam opowiedziały, jakież sceny by opisały! Skute łańcuchami ofiary wiły się na ołtarzu pod razami noża; tysiące postaci wylaniało się z mroku, dzikie twarze rozjaśnione blaskiem ognia ofiarnych; widmowe drzewa dokoła, a dalej czarna Piramida Brylantowej Głowy trzymająca straż nad tą upiorną sceną i księżyc spoglądający na nią przez rozdarte chmury!

Kiedy Kamehameha Wielki (który był czymś w rodzaju miejscowego Napoleona, zarówno jeśli idzie o sprawy wojskowego geniuszu, jak i ogólny dobrobyt) podbił wyspę Oahu przed siedemdziesięciu pięciu laty, wyciął w pień armię wysłaną mu naprzeciw i zawładnął krajem, po czym kazał wyszukać ze stosu trupów ciało króla Oahu oraz głównych wodzów i przybić głowy do ścian świątyni.

Czasy największego rozkwitu starej rzeźni były czasami grozy. Król i wodzowie rządili pospółstwem przy pomocy żelaznego bata; pospółstwo zbierało i dostarczało żywności dla swych panów, budowało domy i świątynie, ponosiło ciężary i wydatki, przyjmowało pokornie kopniaki i razy jako jedyne podziękowanie, wiodło życie będące jednym pasmem niedoli, płaciło śmiercią za najmniejsze wykroczenie lub szło na ołtarz ofiarny, aby wyjednać u bogów łaski dla swych okrutnych władców. Misjonarze odziali tych nieszczęśliwców, rozpoczęli wśród nich nauczanie, przełamali tyranie ich władców, zdobyli dla nich wolność i przywilej korzystania z dóbr, które wytworzyły ich ręce i mózgi i ustanowili jednakowe prawa dla wszystkich oraz jednakowe kary dla tych, co je łamali. Różnica jest tak ogromna, korzyści, jakie lud ów otrzymał z rąk misjonarzy, tak niezaprzeczalne, tak oczywiste i namacalne, że nie mogę lepiej wyrazić mojej pochwały niż wskazując na warunki życia Hawajczyków w czasach kapitana Cooka i w czasach dzisiejszych. Dzieło misjonarzy samo przemawia za nich.

XXIV. CHYTRE SZTUCZKI PRZY WYNAJMOWANIU WIERZCHOWCÓW

Pokonawszy strome zbocze przystanęliśmy na szczycie, skąd roztaczał się rozległy widok. Wzeszedł księżyc i objął łagodnym blaskiem górę, dolinę i morze, a poprzez mroczną gęstwinę listowia połyskiwały dalekie światła Honolulu jak rój błędnych ogników. Powietrze było ciężkie od aromatu kwiatów. Zatrzymaliśmy się tu na krótko. Wśród śmiechu i wesołych rozmów towarzystwo pogalopowało dalej, a ja, uczepiony kuli siodła, klusowałem na końcu. Niebawem zajechaliśmy nad rozległy obszar szczerego piachu. Objasniono mnie, że jest to dawne pole bitwy. Wszędzie dokoła, jedne tuż obok drugich, walały się na ziemi bielejące w blasku księżycy kości ludzkie. Nazbieraliśmy ich sporo na pamiątkę. Ja wziąłem kilka piszczeleli – może to były szczątki wielkich wodzów, którzy walczyli dzielnie w straszliwej bitwie, kiedy krew płynęła jak wino w miejscu, gdzieśmy stali – i najpiękniejsze z nich połamałem później na Oahu usiłując zmusić go do galopu. Wśród mnóstwa najrozmaitszych kości nie widzieliśmy jednak czaszek; ktoś z naszego towarzystwa powiedział, że grasowali tu ostatnio „poławiacze czaszek”; przyznaję, że pierwszy raz słyszałem o tego rodzaju sporcie.

Nic nie wiadomo o tym miejscu, jego historia na zawsze pozostanie tajemnicą. Najstarsi nawet krajowcy nie próbują udawać, że coś o nim wiedzą. Powiadają, że kości leżały, kiedy oni byli dziećmi, leżały, kiedy ich dziadkowie byli dziećmi, ale mogą tylko zgadywać, skąd się tam wzięły. Wielu uważa, że jest to starożytne pole bitwy i powszechnie tak się je nazywa; według nich szkielety leżą tam od wieków i są pozostałością po jakiejś dawnej, krwawej wojnie. Inni dowodzą, że Kamehameha Wielki toczył tu swój pierwszy bój. Słyszałem opowieść, która prawdopodobnie pochodzi z jednej z licznych ksiąg opisujących Wyspy Hawajskie, ale prawdę mówiąc nie wiem, skąd ją narrator zaczerpnął. Powiedział mi, że gdy Kamehameha (który był tylko pomniejszym wodzem na wyspie Hawai) wylądował na Oahu, rozbił wraz ze swą liczną armią obóz w Waikiki. Mieszkańcy Oahu wyszli mu naprzeciw, tak zaś byli pewni zwycięstwa, że chętnie przystali na żądanie kapłanów i narysowali linię w miejscu, gdzie teraz leżą kości, przysięgając uroczyście, iż w wypadku klęski nie cofną się pozaznaczony na ziemi pas. Kapłani przestrzegli ich, że śmierć i wieczne potępienie spotka każdego, kto złamie przysięgę, po czym wojownicy podjęli marsz. Kamehameha spychał ich krok za krokiem; kapłani walczyli w pierwszych szeregach i upominali wojowników głosem i dobrym przykładem, aby pamiętali o przysiędze i – jeśli trzeba – padli, lecz nie wycofali się za fatalną linię. Walczyli jak lwy, ale w końcu zginął główny kapłan przeszyty włócznią i zły omen poraził dusze dzielnych wojowników postępujących za nim. Wśród triumfalnych wrzasków napastnicy rzucili się do ataku, linia została przełamana, obrażeni bogowie odwrócili się od upadłej na duchu armii i mieszkańcy Oahu, godząc się ponieść skutki swego krzywoprzysięstwa, uciekli poprzez równinę, na której stoi teraz Honolulu, dalej w górę pięknej doliny Nuuana, zatrzymali się na chwilę nad straszną przepaścią Pari, osaczeni z dwóch stron przez strome szczyty, potem zaś zostali zepchnięci na dno głębokiej na sześćset stóp otchłani.

Jest to historia bardzo piękna, ale w doskonałym dziele Jarvesa czytamy, że mieszkańcy Oahu okopali się w dolinie Nuuana, że Kamehameha ich stamtąd wyparł, że ścigał ich w górę doliny i w końcu zepchnął w przepaść. Jarves w ogóle nie wspomina w swojej książce o naszym cmentarzysku kości.

Będąc pod silnym wrażeniem głębokiej ciszy otulającej piękny krajobraz i – jak zwykle – daleko w tyle za innymi, oddałem głos moim myślom. Powiedziałem:

– Jakże piękny jest ten obraz drzemiący pod zimnym blaskiem księżycy! Jak wyraziste

kontury wymarłego wulkanu na tle czystego nieba! Jak śnieżyste biała i kręta linia piany rozbijającej się o długą rafę! Jak cicho i spokojnie śpi miasto tam na równinie! Jak miękkie są cienie na stokach majestatycznych gór zamykających rozmarzoną dolinę Mozoha! Jakże ogromna piramida kłębiastych chmur górująca nad otchłanią Pari! Jak posepni są starodawni wojownicy, którzy zdają się zbierać na polu bitewnym w upiornych batalionach, jak przeciągły jest jęk umarłych wzbi...

W tym miejscu koń zwany Oahu usiadł najspokojniej na ziemi. Myślę, że usiadł, żeby posłuchać. Mniejsza o to, co słyszał! Przerwałem mą apostrofę i przekonałem konia, że nie należą do ludzi, którzy pozwolą, aby pomiatał nimi zwykły koń. Złamałem stos pacierzowy jakiegoś wojownika na jego zadzie i ruszyłem za towarzystwem.

Bardzo zmęczeni wróciliśmy do miasta o godzinie dziewiątej wieczór; jechałem na czele pochodu, bo kiedy w końcu mój wierzchowiec zrozumiał, że wracamy do domu i droga nie jest daleka, solidnie wziął się do roboty.

Najwyższa pora wtrącić kilka słów informacji. W Honolulu, podobnie jak w całym królestwie hawajskim, nie ma ani jednej stajni wynajmującej konie. Jeżeli więc ktoś nie posiada znajomości wśród bogatych rezydentów (wszyscy oni mają doskonale wierzchowce), musi wynajmować najpotworniejsze szkapy od kanaków (krajowców). Nawet koń pożyczony od białego człowieka jest zwykle bezwartościowy pod wierzch, gdyż właściciel przyprowadza go najczęściej z rancho, gdzie zwierzę wiecie ciężki i pracowity żywot. Jeżeli pożyczającym jest kanak, to albo sam zajeździł konia prawie na śmierć, galopując na nim dzień w dzień (kanakowie są urodzonymi jeźdźcami), albo też robił to per procura, potajemnie wypożyczając wierzchowca innym. Przynajmniej tak mnie informowano. Skutek jest taki, że żaden koń na Hawajach nie ma czasu jeść, pić, odpoczywać, nabierać sił, nie czuje się też dobrze ani dobrze nie wygląda, obcy zaś przybysze dosiadają takich rumaków, na jakim ja dzisiaj jeździłem.

Wynajmując konia od kanaka trzeba mieć oczy szeroko otwarte, ponieważ wiadomo, że ma się do czynienia z przebiegłym, pozbawionym skrupułów szachrajem. Jeżeli ktoś chce, może zostawić drzwi otwarte i kufer nie zamknięty; kanak nie dotknie cudzej własności, gdyż z natury nie ma skłonności do kradzieży; ale będzie najszcześliwszy, jeżeli uda mu się okpić kontrahenta przy tego rodzaju transakcjach. Jest to cecha charakterystyczna wszystkich handlarzy końmi na świecie, prawda? Jeśli ma tylko okazję, policzy dwa razy za dużo; wynajmie chętnemu pięknego konia wieczorem (czyjego bądź konia, nawet królewskiego, jeśli dworska stadnina znajduje się w pobliżu), rano zaś przyprowadzi sobowtóra mojego Oahu i jeszcze będzie wmawiał w ofiarę, że to ten sam koń. Jeżeli wynajmujący zrobi awanturę, kanak znajdzie zawsze wyjście dowodząc, że to nie on się umawiał, tylko jego brat, który właśnie dziś rano poszedł na wieś. Wszyscy mają braci i zrzucają na nich winę. Jedna z ofiar powiedziała kiedyś kanakowi:

– Wiem, że wynająłem konia od ciebie, bo pamiętam doskonale bliznę na twoim policzku! Odpowiedź nie była zła:

– A tak... tak... mój brat jak jak... bliźniaki.

Wczoraj mój przyjaciel, J. Smith, wynajął konia; kanak zapewnił go, że zwierzę jest w doskonałej kondycji. Smith miał własne siodło i derkę, kazał więc kanakowi założyć je na konia. Kanak powiedział, że chętnie mu powierzy siodło, które jest już na koniu. Smith jednak odmówił. Kanak wreszcie posłuchał. Ale Smith zauważył, że zamienił tylko siodła, pozostawił zaś swoją derkę; kanak wyjaśnił, że zapomniał o derce, i w końcu znudzony Smith dosiadł konia i odjechał. Milę za miastem szkapa okulała i zaczęła rzucać się dziwnie. Smith zszedł, odpiął siodło, derki nie mógł jednak zdjąć – była przylepiona do licznych ran i zadrapań. Natychmiast wyjaśniło się tajemnicze postępowanie kanaka.

Inny mój znajomy kupił kilka dni temu od pewnego kanaka zupełnie dobrego wierzchowca poddawszy go najpierw dokładnym oględzinom. Dzisiaj przekonał się, że koń jest ślepy na

jedno oko. Kupując chciał zbadać to oko i wrócił do domu w przekonaniu, że to zrobił; przypomniał sobie jednak, że ile razy zabierał się do badania, sprzedawca czym prędzej zwracał mu uwagę na jakiś inny szczegół.

Jeszcze jeden przykład, potem zajmiemy się czymś innym. Opowiadano mi, że pan L. bawiąc z wizytą w Honolulu, kupił od kanaka parę bardzo dobrych koni. Wierzchowce stały w małej stajni przedzielonej na pół ścianką, każdy we własnym pomieszczeniu. Pan L. obejrzał jednego konia bardzo uważnie przez okno (brat kanaka poszedł na wieś i zabrał klucz), a potem obszedł stajnię dookoła i obejrzał drugiego konia przez okno po drugiej stronie. Powiedział, że jest to najlepiej dobrana para, jaką zdarzyło mu się widzieć w życiu, i natychmiast uiszczył należność. Zaraz po tym kanak wyruszył na wieś do swego brata. Naturalnie nabrał haniebnie pana L. W stajni znajdował się tylko jeden koń od „pary” i pan L. oglądał lewy jego bok przez jedno okno, prawy zaś przez drugie. Sam nie bardzo wierzę w tę historię, podaję ją tu jednak dlatego, że ilustruje trafnie znany fakt: mianowicie, że tam, gdzie w grę wchodzi konie, wyobraźnia kanaków jest bujna, sumienie zaś nader elastyczne.

Można tu kupić naprawdę dobrego konia za czterdzieści dolarów, konia zaś przydatnego do wszystkich praktycznych celów za dwa i pół dolara. Przypuszczani, że mój wierzchowiec, Oahu, wart był trzydzieści pięć centów. Dużo lepszy od niego został sprzedany przedwczoraj za dolara i siedemdziesiąt pięć centów, dziś zaś odsprzedany dalej za dwa dolary i dwadzieścia pięć centów. Williams kupił wczoraj żwawą i ładną szkapinę za dziesięć dolarów, a naprawdę dobrego konia można kupić na wyspie, wraz z meksykańskim siodłem i uzdą, za siedemdziesiąt dolarów. Raz na dzień daje się koniowi trochę ziarna; importują je z San Francisco; kosztuje dwa centy funt. Koniowi daje się tyle siana, ile zechce. Siano przynoszą na targ krajowcy, nie jest ono jednak bardzo dobre; robią z niego długie wiązki wielkości człowieka. Kanakowie nadziewają po jednej takiej wiązce na koniec długiego na sześć stóp kija, kładą kij na ramiona i chodzą po ulicach w poszukiwaniu nabywcy. W ten sposób niesione wiązki siana przypominają kolosalną literę H.

Wiązka siana kosztuje dwadzieścia pięć centów i starcza koniowi mniej więcej na jeden dzień. A więc konia można kupić za psi pieniądz, tygodniową rację siana również można kupić za psi pieniądz – ponadto można puścić zwierzę na pastwisko w porośniętą trawą i rozległym ogrodzie sąsiada zupełnie za darmo – robi się to o północy, odstawia zaś zwierzę do stajni przed świtem. Jak dotąd wydatki w ogóle się nie liczą, ale gdy przychodzi do kupienia siodła i uzdy, trzeba zapłacić od dwudziestu do trzydziestu pięciu dolarów.

Czas najwyższy zamknąć zapiski na dzień dzisiejszy. Trzeba iść do łóżka. Gdy mam już zapaść w sen, głęboki głos dociera do mnie poprzez nocną ciszę i – choć ta skalista wyspa oceaniczna leży na krańcach ziemi – rozpoznaję swojską, domową atmosferę. Tylko słowa są jakieś bez składu i ładu.

„Waikiki lantoni oe Kaa hooly hooly wawhoo”, co w przekładzie znaczy: „Gdy maszerowaliśmy przez Georgię”.

XXV. POI NIE KAŻDEMU SMAKUJE

Przechodząc przez targowisko ujrzelśmy tę osobliwość Honolulu w najbardziej sprzyjających warunkach – czyli w pełnej gali popołudnia sobotniego, który to dzień jest dla krajowców dniem świątecznym. Dziewczeta – po dwie i trzy, niekiedy w kilkunastoosobowych grupkach, a czasem, nawet w całych plutonach i kompaniach – galopowały ulicami na grzbietach rączych, lecz niezbyt urodziwych wierzchowców, a ich jaskrawe stroje do konnej jazdy powiewały za nimi jak sztandary. Taka grupka swobodnych i doskonałych amazoнок siedzących na siodle jak w wygodnym fotelu, tworzy obrazek wesoły i naprawdę pełen wdzięku. Strój do konnej jazdy, o którym wspomniałem, jest zwykłą długą i szeroką szarfą, bardzo barwną i kształtem przypominającą spory obrus z dużego stołu w restauracji; dziewczyna owija go wokół bioder, przesuwa między udami i odrzuca oba końce do tyłu, gdzie furkocą i powiewają nad końskim ogonem jak dwa fantazyjne sztandary; potem wsunawszy żelaza strzemion między palce u nóg wypina naprzód pierś i w isticie generalskiej postawie pędzi z szybkością wiatru.

W sobotę po południu dziewczeta stroją się najpiękniej, jak mogą; są ubrane w czarne suknie z pięknego jedwabiu; suknie tak czerwone, że od patrzenia bołą oczy; suknie białe jak śnieg; suknie, przy których blednie tęcza. Na włosach noszą siatki, kapelusze przystrajają świeżymi kwiatami, na śniadych zaś szyjach zawieszają własnej roboty naszyjniki uplecione z jaskrawoczerwonych kwiatów ohia; napełniają rynek oraz wszystkie sąsiednie ulice swoją barwną obecnością i natrętnym zapachem orzecha kokosowego, który przypomina zapach przetwórnego szmat w czasie pożaru.

Niekiedy można spotkać dzikusa z którejś ze słonecznych wysp Mórz Południowych o twarzy i szyi pokrytych tak gęstym tatuażem, że ich właściciel wygląda jak przysłowiowy niezdara z Washoe, którego poranił wybuch w kopalni. Twarze niektórych pokryte są ciemnoniebieskim tatuażem od korzeni włosów aż po górną wargę, przy czym żółtawa mikronezyjska skóra w dolnej części twarzy pozostaje nienaruszona; ci wyglądają jak w masce. Inni mają szerokie krechy biegnące od nasady włosów aż po szyję, po obu stronach twarzy, przy czym na środku pozostawiony jest pasek oryginalnej żółtej skóry szerokości dwóch cali; ci znów przypominają ruszt z wyłamanym jednym prętem. Inni wreszcie mają całe twarze pokryte popularną żalobną barwą, przeciętą tylko jedną lub dwiema falistymi liniami w naturalnym żółtym odcieniu biegnącymi od ucha do ucha; ich oczy błyskają z tej ciemności pogłębionej rondem kapelusza jak gwiazdy w czasie nowiu.

Przechadzając się między tymi ruchliwymi tłumami prędzej czy później spotykasz sprzedawców *poi* przykucniętych w cieniu i otoczonych kupującymi. *Poi* wygląda jak nasze zwykłe ciasto; krajowcy przechowują je w dużych misach zrobionych z pewnej odmiany dyni, o pojemności od jednego do czterech galonów. *Poi* jest podstawą pożywienia kanaków przyrządzaną z rośliny zwanej *taro*. Bulwy *taro* przypominają kształtem gruby – lub jeśli wolicie, kurpulentny – kartofel, po ugotowaniu mają jednak lekko fioletowy kolor. *Taro* ugotowane może od biedy zastąpić chleb. Kanakowie pieką je w ziemi, rozcierają ciężkim tłuczkiem z lawy, dodają wody i wyrabiają ciasto, wreszcie odstawiają masę i czekają, aż sfermentuje – wtedy *poi* jest gotowe. Trzeba powiedzieć, że jest to potrawa niezbyt pociągająca – zupełnie pozbawiona smaku przed fermentacją, potem zaś zbyt kwaśna, żeby ją można było nazwać specjałem. Ale trudno o coś bardziej pożywnego. Myślę, że jedzenie *poi* wymaga zręczności i sprytu nie mniejszego niż jedzenie ryżu za pomocą chińskich pałeczek. Należy zagłębić w cieście palec wskazujący, prędko kilka razy nim zakręcić i równie prędko wyjąć, oblepiony

grubą masą jak kataplazmem; następnie należy odchylić głowę do tyłu, wsadzić palec do ust, ściągnąć masę z palca i połknąć – przy czym oczy same się zamykają w rozkosznej ekstazie. Wiele rozmaitych palców zagłębia się w jednej misie uszlachetniając jej zawartość najrozmaitszym brudem, barwą i smakami.

Wokół niewielkiej budy tłoczyli się krajowcy kupujący korzenie *awa*. Istnieje pogląd, że gdyby nie spożywanie tych korzeni, pewna importowana choroba w znacznie większym stopniu wyniszczyłaby w dawnych czasach miejscową ludność; inni znów uważają, że to zwykła fantazja. Natomiast wszyscy twierdzą zgodnie, że *poi* odradza człowieka zużytego i wyniszczonego nadmiernym spożywaniem alkoholu oraz przywraca zdrowie w niektórych chorobach, gdy wszystkie inne lekarstwa zawiodą. Co do właściwości *awa* istnieją jednak sprzeczne zdania. Krajowcy produkują z tego korzenia napój alkoholowy, który przy stałym użyciu wywołuje straszne skutki. Całe ciało pokrywa się suchą, białą łuską, w oczach wywiązuje się zapalenie i następuje przedwczesna zgrzybiałość organizmu. Chociaż kanak, przed którego szopą przystanęliśmy, płaci osiemset dolarów rocznie za licencję wyłącznej sprzedaży korzeni *awa*, robi podobno majątek; natomiast właściciele barów, którzy płacą tysiąc dolarów rocznie za prawo wyszynku whisky itp. ledwie zarabiają na życie.

Na targu rybnym były tłumy kupujących. Krajowcy przepadają za rybami – jedzą je na surowo i ż y w e! Zmieńmy prędko temat.

W dawnych czasach sobota była dniem uroczyście święconym. Cała ludność miejska przerywała pracę, wieśniacy zaś z okolicy przybywali do miasta. Wtedy biali mieszkańcy nie opuszczali domów, po ulicach bowiem harcowały tak liczne zastępy jeźdźców i amazonek, że niepodobieństwem było przecisnąć się przez tłum nie doznawszy ciężkich obrażeń.

Wieczorem ucztowali i dziewczęta tańczyły lubieżny taniec *hula-hula* – taniec, w którym ujawnia się podobno niedościgła doskonałość wystudiowanych ruchów nogi i ręki, dłoni, głowy i ciała oraz najdokładniejsza jedność gestu i zgodność rytmu. Uczestniczyła w tym tańcu grupa dziewcząt w strojach tak skąpych, że doprawdy nie warto o nich wspominać; tancerki wykonywały nieskończoną ilość gestów i figur bez kierownictwa dyrygenta, z tak jednak doskonałym wyczuciem rytmu i tak wielką zgodnością ruchów, że kiedy rozwijały prostą linię, dłonie, ramiona, ciała, nogi i głowy chwiały się, przeginały, schylały, wirowały, okręcały, przeplatały i falowały, jakby wszystkie tancerki stanowiły jedno ciało; nie sposób wprost było uwierzyć, że nie są poruszane jakimś cudownie precyzyjnym mechanizmem.

W ostatnich jednak czasach soboty straciły wiele ze swego charakteru uroczystych świąt. Te cotygodniowe kawalkady krajowców zanadto dezorganizowały pracę i godziły w interesy białych, uciekłszy się więc tu do uchwalonego prawa, tam do wygłoszonego kazania oraz rozmaitych innych środków biali stopniowo złamali tradycję.

Zabroniono też wykonywania demoralizujących tańców *hula-hula* – chyba że nocą, przy zamkniętych drzwiach, w obecności nielicznej grupki widzów oraz po otrzymaniu zezwolenia władz i opłaceniu dziesięciu dolarów. Tylko nieliczne dziewczęta potrafią dzisiaj tańczyć ów starożytny taniec z prawdziwym artyzmem.

Misjonarze ochrztili krajowców i zaprowadzili wśród nich nauczanie. Wszyscy należą do kościoła i wszyscy powyżej lat ośmiu umieją biegle czytać i pisać we własnym języku. Poza Chinami jest to naród o najwyższym poziomie powszechnego nauczania na świecie. Mają dużo książek drukowanych w języku kanaków i wszyscy bardzo lubią czytać. Do kościoła chodzą z zapalem, nie ma takiej siły, która mogłaby ich powstrzymać od pójścia na nabożeństwo. Wszystkie te uszlachetniające wpływy wyrobiły w kobiecie krajowej głęboki szacunek dla czystości – cudzej. Myślę, że nie trzeba tu dodawać więcej. Ów grzech narodowy umrze wraz z rasą, ale chyba nie wcześniej. Możemy być pewni, że ten proces oczyszczania zakończy się bardzo niedługo – jeśli weźmiemy pod uwagę, że kontakt z cywilizacją i białymi zmniejszył liczbę kanaków z czterystu tysięcy (w czasach kapitana Cooka) do pięćdziesięciu pięciu tysięcy w naszych czasach!

Spółczeństwo w tym wyraźnie misjonarskim, wielorybniczym i urzędniczym mieście jest dziwną mieszanką. Jeżeli wszcząwszy rozmowę z nieznajomym pragnąłbyś się dowiedzieć, czytelniku, po jakim gruncie stąpasz i kim jest twój rozmówca, zwróć się do niego śmiało, tytułując go kapitanem. Obserwuj uważnie jego twarz i jeśli zauważysz, żeś trafił na fałszywy ślad, spytaj go, w którym kościele wygłasza kazania. Mógłbyś bezpiecznie przyjąć zakład, że jest albo misjonarzem, albo kapitanem statku wielorybniczego. Do moich osobistych znajomych zaliczam obecnie siedemdziesięciu dwóch kapitanów i dziewięćdziesięciu sześciu misjonarzy. Kapitanowie statków i duchowni stanowią połowę ludności; jedną czwartą ludności stanowią zwykli kanakowie i cudzoziemscy handlowcy wraz z rodzinami; wreszcie na ostatnią czwartą część składają się wysocy dygnitarze rządu hawajskiego. Kotów zaś jest tyle, że wypada po trzy sztuki na głowę.

Wczoraj, gdzieś na przedmieściu, podszedł do mnie bardzo poważny nieznajomy pan i spytał:

– Dzień dobry, wasza wielobność. Jesteś zapewne kaznodzieją w tym tu kościele z cegły?

– Nie... nie. Nie jestem pastorem.

– Och, przepraszam, kapitanie! Mam nadzieję, że połów był udany. Ile tranu...

– Tranu? Za kogo mnie pan bierzesz? Nie jestem kapitanem statku wielorybniczego.

– Stokrotnie przepraszam, wasza ekselencjo! Jest pan zapewne generałem gwardii przybocznej? A może ministrem spraw wewnętrznych? Podsekretarzem stanu w Ministerstwie Wojny? Szambelanem? Skarbnikiem królewskiego...

– Dosyć! Nie jestem osobą urzędową. Nie jestem w żaden sposób związany z rządem i do prawdy...

– Na honor! Kim więc pan jesteś, u diabła? Kim pan jesteś? I jak się tu, u diabła, dostałeś? Skąd przybywasz?

– Jestem osobą prywatną... skromnym turystą niedawno przybyłym z Ameryki.

– Nie do wiary! Nie jesteś pan misjonarzem! Nie jesteś kapitanem statku... ani ministrem Jego Królewskiej Mości! Nie jesteś nawet podsekretarzem stanu w Ministerstwie Żeglugi! Ach, Boże! To zbyt piękne, żeby było prawdziwe! Niestety... niestety... ja tylko śnię. Ale ta szlachetna, uczciwa twarz... te podłużne, niewinne oczy... ta masywna głowa, niezdolna do... niezdolna do niczego. Podaj mi dłoń, podaj dłoń, miły chłopcze. Wybacz łzy. Przez szesnaście długich lat marzyłem o takiej chwili i...

Przeżywane emocje okazały się dla niego zbyt silne; osunął się na ziemię zemdlony. Współczułem nieszczęśnikowi w głębi serca. Byłem naprawdę wzruszony. Kilka łez stoczyło mi się po policzkach. Złożyłem na jego czole macierzyński pocałunek i odszedłem.

XXVI. ZABAWA W MOCARSTWO

Znowu cytuję z mojego dziennika: '

Przekonałem się, że w krajowym parlamencie zasiada sześciu białych i około czterdziestu tubylców. Było to zgromadzenie ciemnolice. Wysocy dygnitarze i ministrowie (około dwunastu) siedzieli po lewej stronie sali z Dawidem Kalakua (królewskim szambelanem) i księciem Williamem na czele. Prezydent zgromadzenia, Jego Książęca Wysokość M. Kukuanaoa, oraz wiceprezydent (biały) zajmowali miejsca na czymś w rodzaju ambony, jeśli wolno mi użyć tego określenia.

Prezydent jest ojcem króla. Jest to osiemdziesięcioletni starzec silnej budowy, słusznej postawy o siwych włosach i masywnych rysach twarzy. Był skromnie, lecz doskonale ubrany w granatową sukienką marynarkę, białą kamizelkę i białe spodnie – wszystko nienagannej czystości i kroju. Obejście miał pełne spokoju i statecznej godności, od całej zaś jego postaci biła szlachetność. Ponad pięćdziesiąt lat temu był młodym, lecz już sławnym wodzem pod rządami wspaniałego wojownika, Kamehameha Pierwszego. Znajomość dziejów jego życia nasuwa takie mniej więcej refleksje: „Ten człowiek, nagi jak go Pan Bóg stworzył, z włócznią i maczugą w ręce, szedł do ataku na czele hordy dzikich przeciwko innej hordzie dzikich i znajdował rozkosz w przelewie krwi i rzezi; padał na kolana przed swymi drewnianymi bożkami; widział setki swoich ziomków składanych w ofierze na ołtarzach pogańskich świątyń na długo, zanim pierwszy misjonarz postawił stopę na tej ziemi, i nie wiedział nic o istnieniu Boga białych ludzi; wierzył, że jego wróg może sekretną modlitwą sprowadzić na niego śmierć; pamięta z dzieciństwa czasy, kiedy kara śmierci czekała mężczyznę, który ośmielił się spożyć posiłek w towarzystwie żony lub człowieka z ludu, który pozwolił, aby jego cień padł na króla. Spójrzmy teraz na niego! Wykształcony chrześcijanin, starannie i ze smakiem ubrany, wytworny dżentelmen o szerokich horyzontach myślowych; człowiek, który nie tylko dużo podróżował, ale był gościem honorowym na dworach europejskich; mąż stanu trzymający w swych doświadczonych rękach ster oświeconego rządu, znawca zagadnień politycznych swego kraju, człowiek posiadający rozległą wiedzę praktyczną. Spójrzmy na niego, gdy siedzi tam przewodnicząc obradom ciała ustawodawczego, w którym zasiadają biali – poważny, pełen godności człowiek, tak zda się na miejscu w tym otoczeniu, jakby się tu urodził i spędził całe życie. Jakże ośmiesza tanie romantyczne urojenie przykład bogatego życia tego starca!

Kukuanaoa nie ma w żyłach krwi królewskiej. Godność książęcą otrzymał dzięki żonie, która była córką Kamehameha Wielkiego. W innych królestwach świata linia męska ma genealogiczne pierwszeństwo przed linią żeńską, ale na Hawajach rzecz ma się odwrotnie; tu linia żeńska ma pierwszeństwo. Powód tego jest bardzo przekonujący i radzę arystokracji europejskiej, żeby się poważnie zastanowiła nad tą sprawą. Kanakowie mówią, że bez trudu można się dowiedzieć, kto był czyją matką, natomiast... i tak dalej.

Przyjęte przez kanaków chrześcijaństwo nie osłabiło, a tym bardziej nie wykorzeniło niektórych barbarzyńskich zabobonów. Wspominałem przed chwilą o jednym z nich. Wciąż nader powszechna jest wiara, że jeśli wróg dostanie w ręce jakiś przedmiot należący do człowieka, którego chce zniszczyć, może paść na kolana, pochylić się nad tym przedmiotem i modlitwą zamordować swą ofiarę. Dlatego wielu krajowców rezygnuje z walki o życie i umiera; są przekonani, że wróg poddaje ich działaniu niszczącej modlitwy. To uśmiercanie człowieka modlitwą na pierwszy rzut oka wydaje się czystym absurdem, ale gdy uprzytomnimy sobie wysiłki podejmowane na ambonie przez niektórych naszych duchownych, rzecz

nabiera cech prawdopodobieństwa.

W dawnych czasach panował wśród wyspiarskiej ludności Hawajów nie tylko zwyczaj wielożeństwa, ale również wielomęstwa. Niektóre kobiety z arystokracji miały po sześciu mężów. Niewiasta tak bogato wyposażona nie mieszkała z wszystkimi mężami naraz, tylko kolejno spędzała z każdym po kilka miesięcy. W ciągu tych miesięcy na drzwiach domu wisiał pewien umówiony znak. Gdy go zdejmowano, znaczyło to: NASTĘPNY.

W owych czasach kobiety dobrze znały swoje miejsce. Musiały wykonywać całą pracę, przyjmować w pokorze wszystkie kuksańce, dostarczać mężczyźnie żywności i zadowalać się resztkami ze stołu swego pana i władcy. Starodawne prawo nie tylko zabraniało jej – pod karą śmierci – spożywać posiłek w obecności męża i siadać z nim do tej samej łodzi, lecz odmawiało jej też —; pod tą samą karą – prawa jedzenia bananów, pomarańcz, ananasów, i innych co lepszych owoców. Kobieta musiała się bardzo ściśle ograniczyć do *poi* i ciężkiej pracy. Ci biedni, ciemni poganie mieli widocznie jakieś intuicyjne zrozumienie tego, co się zdarzyło w raju, gdy kobieta zjadła owoc – i woleli nie ryzykować. Misjonarze obalili ten wygodny dla mężczyzn system. Wyzwolili kobietę i dali jej równouprawnienie z mężczyzną. Krajowcy mieli dość romantyczny sposób grzebania żywcem dzieci, gdy rodzina zanadto się rozrastała. Misjonarze położyli kres również i temu obyczajowi.

Do dziś krajowiec potrafi położyć się i umrzeć, gdy tylko przyjdzie mu na to ochota – czy jest chory, czy zdrowy. Jeżeli kanak postanowi umrzeć, koniec z nim; nikt nie zdoła go przekonać, żeby tego nie robił. Nie uratuje go żaden doktor na świecie.

Kanakowie przekładają okazały pogrzeb nad wszystkie inne zbytki i luksusy. Żeby się pozbyć niewygodnego krajowca, wystarczy mu obiecać ładny pogrzeb, wymienić dzień i godzinę; stawi się punktualnie co do minuty, a raczej stawia się jego szczątki.

Wszyscy tubylcy są teraz chrześcijanami, co nie przeszkadza, że w chwilach trwogi zwracają się o pomoc do Wielkiego Boga Rekina.

Wybuch groźnego wulkanu Kilauea lub trzęsienie ziemi zawsze ujawniają niewyczerpane zapasy lojalności w stosunku do Wielkiego Boga Rekina. Ludzie mówią, że król – niewątpliwie wykształcony dżentelmen i kulturalny, dobry chrześcijanin – w czasach ciężkich modlił się do bogów swoich ojców. Biały plantator schwytał kiedyś rekina i jeden z jego służących, ochrzczony tubylec, asystował przy oprawianiu rekina w sposób zabroniony przez dawną religię, dowodząc tym, że uwolnił się z pęt starożytnego zabobonu. Niebawem jednak zaczęły go dręczyć wyrzuty sumienia. Sposepniał, zaczął unikać ludzi; całymi dniami rozmyślał o swoim grzechu, nie jadł i w końcu oznajmił, że musi umrzeć, że powinien umrzeć, gdyż obraził Wielkiego Boga Rekina, i nigdy już nie zazna spokoju. Był głuchy na perswazje, niewrażliwy na drwiny; po paru dniach położył się do łóżka i umarł, chociaż nie zdradzał objawów choroby. Jego młodzianka córka poszła za przykładem ojca i w tydzień później dokonała życia. Zabobon tkwi głęboko w szpiku kości krajowców, nie więc dziwnego, że w czasach trudnych dochodzi do głosu. Wszędzie na wyspach widuje się przy drodze małe kopczyki kamieni, na nich ofiary z liści; kładą je krajowcy, żeby ułagodzić złe duchy lub zjednać łaskę miejscowych bóstw należących do mitologii dawnych czasów.

W okęgach wiejskich biały podróżny co rusz natyka się na gromadki śniadych dziewoi zażywających kąpeli w strumieniu czy morzu; dziewczęta są nagie i bynajmniej nie zdradzają nadmiernego zapału w ukrywaniu swej nagości. Gdy po przybyciu na wyspę misjonarze zamieszkali w Honolulu, kobiety miejscowe składały ich rodzinom – w dowód przyjaźni – niemal codzienne wizyty; nie miały na sobie absolutnie nic, nawet rumieńca wstydu. Nie było łatwo wytłumaczyć im, że jest to trochę niedelikatne. W końcu misjonarze podarowali niewiastom długie, luźne perkalowe suknie i to załatwiło sprawę, kobiety maszerowały teraz przez miasto nagusieńkie, z sukniami zwiniętymi pod pachą, a przed drzwiami starannie się ubierały. Krajowcy bardzo prędko objawili zamiłowanie do strojów, ale wyszło niebawem na jaw, że chcą się tylko popisać jedni przed drugimi. Misjonarze sprowadzili spore ilości kape-

luszy, czepków oraz rozmaitej innej męskiej i damskiej garderoby, po czym rozdawszy to wszystko między ludzi prosili ich, aby w najbliższą niedzielę nie przychodzili, jak zwykle, nago do kościoła. Krajowcy posłuchali misjonarzy; ponieważ jednak altruizm jest cechą narodową kanaków, podzielili się odzieniem z sąsiadami nieobecnymi przy rozdawaniu i najbliższej niedzieli biedni kaznodzieje ledwie zdołali zachować powagę wobec licznie zgromadzonej kongregacji. Podczas odczytywania hymnu w nawie pokazała się brązowa, korpulentna dama; szła dumna i wyniosła, przyodziana tylko w wysoki cylinder i tanie rękawiczki; za nią podążała inna jejmość, pięknie przystrojona w męską koszulę – i nic poza tym; weszła jeszcze inna, przewiązana w taliu rękawami barwnej perkalowej sukni, ciągnąc za sobą resztę przyodziewku jak tren; pełen godności, starszawy kanak wszedł w damskim czepku na głowie, założonym tyłem na przód, przy czym czepek ów był jego jedynym strojem; za nim przemierzał nawę inny Hawajczyk, z przewiązаныmi wokół szyi nogawkami spodni i resztą postaci nie obciążoną żadnym odzieniem; jeszcze inny w ognistym krawacie i kamizelce w paski. Biedni prostaczkowie promieniowali zadowoleniem i zupełnie nie zdawali sobie sprawy z absurdalności swoich strojów. Spoglądali na siebie ze szczerym zachwytem, dziewczęta zaś najwyraźniej podpatrywały wzajem swoje ubiory; w ich zachowaniu było coś tak naturalnego, jakby całe życie spędzały w kraju Biblii i wiedziały, po co kościoły zostały stworzone; było to najlepszym dowodem, że świeciła już cywilizacja. Wierni zebrani w kościele przedstawiali widok tak niezwykły, a jednocześnie tak wzruszający, że misjonarze tylko z największym trudem śledzili tekst i odprawiali nabożeństwo; niebawem zaś, gdy prostoduszne dzieci słońca rozpoczęły publiczną wymianę sztuk garderoby, co w trakcie przebierania dawało dość komiczne efekty, nie pozostało kaznodziejom nic innego jak pobłogosławić i rozpuścić do domów dziwaczne zgromadzenie.

W naszym kraju dzieci bawią się w dom. Dorośli na tych wysokościach bawią się w imperium – w taki sam dumny i dziecinny sposób, przy użyciu ubogich środków – niewielkiego terytorium i nielicznej ludności. Mają swojego Najjaśniejszego Pana, którego dochody roczne nie przekraczają dochodów dobrego nowojorskiego detektywa, to znaczy trzydziestu tysięcy dolarów, i pochodzą z „listy cywilnej” oraz z „dóbr królewskich”. Król mieszka w dwupiętrowym drewnianym „pałacu”.

Jest jeszcze rodzina królewska – zwykle mrowie królewskich siostr, braci, kuzynów oraz innych szlachetnie urodzonych trutniów i nierobów, jak to zawsze w monarchii, wszyscy oni trzymają łyżkę w misie narodowej strawy i wszyscy noszą tytuły książąt krwi.

Ale tylko nielicznych spośród nich stać na podtrzymywanie splendoru swojej królewskości jazdą w powozie; dosiadają nader ekonomicznego kanakańskiego wierzchowca lub drałują piechotą⁴.

Ponadto mamy Jego Ekszelencję Królewskiego Szambelana; jest to zwykła synekura, gdyż król ubiera się własnoręcznie – chyba że jest na wywczasach w Waikiki; wtedy w ogóle się nie ubiera.

Następnym z kolei dygnitarzem jest Jego Ekszelencja Głównodowodzący Gwardii Przybocznej; jego armia nie przewyższa liczebnością jednostki wojskowej oddawanej w innych krajach pod dowództwo kaprała.

Następnie mamy Wielkiego Skarbnika i Wielkiego Koniuszego; ci dygnitarze najwyższego szczebla mają małe pensyjki i jeszcze mniej roboty.

Dalej idzie Jego Ekszelencja Podkomorzy – urząd równie łatwy do sprawowania co pełen splendoru.

Z kolei mamy Jego Ekszelencję Premiera, amerykańskiego renegata z New Hampshire: wystający podbródek, bezdenne próżność, nieznośna pompatyczność, ignorancja. Jest on adwokatem z typu adwokatów krętaczy, oszustem z urodzenia, płaszczącym się czcicielem berła

⁴ Jest to wyrażenie misjonarzy (przyp. aut.).

i korony ponad nim, gadem pluającym wciąż na kraj swego urodzenia i niezmordowanym w pochwałach dla dziesięcioakrowego królestwa, które go przyjęło. Pensja cztery tysiące dolarów, duża władza i żadnych dochodów ubocznych.

Następnym z kolei jest Jego Ekscelencja minister finansów, który obraca milionem dolarów funduszu publicznego rocznie, przedstawia z wielką pompą swój doroczny „budżet”, rozprawia ze swadą o finansach, wspomina o imponujących planach spłacenia długu narodowego (150 000 dolarów) i wszystko to robi za cztery tysiące dolarów rocznej pensji i przeogromną chwałę swego stanowiska.

Teraz kolej na Jego Ekscelencję ministra wojny, który dzierży władzę nad armią królewską; armia ta liczy dwustu trzydziestu umundurowanych kanaków, w większości generałów brygady, a jeżeli Hawaje zostaną kiedyś wplątane w wojnę z obcym mocarstwem, z pewnością usłyszymy o tej armii. Znam Amerykanina, stałego rezydenta wysp, który miał bilety wizytowe z wydrukowanym imponującym napisem: „Generał Brygady Królewskiej Piechoty”. Gdybym powiedział, że człowiek ów był dumny ze swego tytułu, dowiódłbym powściągliwości. Minister wojny zarządza też kilku wiekowymi armatkami na Punch Bowl Hill, z których oddawane są salwy królewskie, gdy do portu zawija cudzoziemski okręt wojenny.

Następnym jest Jego Ekscelencja minister marynarki, mocarz władający królewską flotą (holownik parowy i kuter o wyporności sześćdziesięciu ton).

Dalej mamy Jego Ekscelencję Lorda Biskupa Honolulu, najwyższego dygnitarza kościoła episkopalnego. Musimy to wyjaśnić: gdy misjonarze z amerykańskiego kościoła prezbiteriańskiego kończyli dzieło doprowadzania ludności do stanu, który można było nazwać chrześcijaństwem, wkroczył na widownię miejscowy monarcha; ustanowił kościół episkopalny i sprowadził z Anglii biskupa, z rodzaju tych, których można by nazwać „tanią gotową konfekcją”. Misjonarze po dziś dzień nie wyrazili w słowach swego rozczarowania, jako że duchowym nie przystoi kłać.

Następnie idzie Jego Ekscelencja minister oświecenia publicznego.

Dalej Ekscelencje gubernatorzy Oahu, Hawai itd., dalej długa procesja wielkich szeryfów i drobniejszych płotek, które są zbyt liczne, aby je wymieniać.

Mamy jeszcze w Honolulu: Jego Ekscelencję posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego Cesarza Francuzów; Jego Ekscelencję ministra pełnomocnego Królowej Brytyjskiej; Jego Ekscelencję ministra rezydenta Stanów Zjednoczonych oraz sześciu czy ośmiu przedstawicieli innych państw i narodów. Wszyscy oni mają pięknie brzmiące tytuły, mnóstwo dostojności i żyją w dość ograniczonym przepychu.

Wyobraźcie sobie całe to dostojństwo w „królestwie”, którego ludność liczy niecałe sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców!

Ludzie tak przywykli do dziesięcioczłonowych tytułów i przepychu magnaterii, że cudzoziemski autentyczny książę nie robi w Honolulu wrażenia większego, niż, powiedzmy, kongresman z Zachodu w Nowym Jorku.

Nie zapominajmy też, że istnieje tu ściśle określony strój dworski tak zdumiewającej natury, że w porównaniu z nim strój kłowna wydałby się monotony i nudny; również każdy hawajski dygnitarz ma swój jaskrawy, różnobarwny, przystrojony złotym szamerunkiem mundur właściwy dla swojego urzędu – nie istnieją dwa jednakowe i trudno doprawdy powiedzieć, który jest krzykliwszy. Król – jak wszyscy monarchowie – wydaje w określonych odstępach czasu przyjęcia dworskie i gdy zgromadzą się w jednym pomieszczeniu wszystkie te mundury, ludzie o słabych oczach muszą zakładać przydymione szkła. Czyż nie napawa zadowoleniem kontrast między tym widowiskiem z czasów dzisiejszych a widowiskiem, którego aktorami byli przodkowie obecnych magnatów, widzami zaś misjonarze w pierwszą niedzielę po rozdziale odzieży? Wspaniałe zaiste jest dzieło religii i cywilizacji!

XXVII. ŚMIERĆ KAMEHAMEHA WIELKIEGO

Będąc w Honolulu widziałem uroczysty pogrzeb siostry króla Jej Księżęcej Wysokości księżniczki Wiktorii. Zgodnie z obyczajami panującymi w rodzinie królewskiej szczątki leżały w pałacu trzydzieści dni na paradnym katafalku, przy którym czuwała dzień i noc straż honorowa. Przez cały ten czas tłumy krajowców ze wszystkich wysp tłoczyły się na terenie pałacu i co wieczór rozpętywały prawdziwe pandemonium; kanakowie wyli i zawodzili, bili w tamtamy, półnagie dziewczęta tańczyły zabronioną (w okolicznościach zwykłych) hula-hula do wtóru pieśni niezupełnie przyzwoitych, śpiewanych na cześć zmarłej. Wydrukowany program orszaku pogrzebowego bardzo mnie w swoim czasie zainteresował, a myślę, że po tym, co powiedziałem na temat hawajskiej „zabawy w imperium” .zainteresuje również czytelnika.

Przeczytawszy długą listę dygnitarzy itd. i pamiętając, jak nieliczna jest ludność królestwa, zacząłem się zastanawiać, skąd organizatorzy wezmą materiał na tę część orszaku, która nosi miano „ogół ludności Hawajów”.

Mistrz pogrzebu.

Szkoła Królewska. Szkoła Kawalahao. Szkoła Rzymskokatolicka.

Szkoła Miaemae.

Straż pożarna Honolulu.

Stowarzyszenie Wzajemnej Pomocy Mechaników.

Lekarze Dworscy.

*Konohikowie (zarządcy) ziem koronnych, konohikowie dóbr prywatnych
Jego Królewskiej Mości. Konohikowie dóbr prywatnych zmarłej
księżniczki.*

Gubernator Oahu wraz z urzędnikami.

Hulumanu (Kompania wojskowa).

Gwardia Przyboczna.

Księżęca Hawajska Kompania Wojskowa.

Królewska Służba Pałacowa.

Służba zmarłej księżniczki.

*Duchowieństwo protestanckie. Duchowieństwo rzymskokatolickie. Lord
Louis Maigret, Jego Eminencja biskup Aratei, wikary apostolski Wysp
Hawajskich. Duchowieństwo Zreformowanego Kościoła Katolickiego na
Hawajach. Jego Eminencja biskup Honolulu.*

KARAWAN

Karoca J. K. Mości Królowej Emmy.

Insygnia królewskie.

Karoca zmarłej księżniczki.

Karoca królowej-wdowy.

Kanclerz.

Ministrowie Gabinetu.

*Jego Ekscelencja minister-rezydent Stanów Zjednoczonych.
Jego Ekscelencja poseł Cesarza Francuzów.
Jego Ekscelencja poseł Królowej Brytanii.
Sędziowie sądu najwyższego.
Członkowie tajnej rady.
Członkowie parlamentu.
Korpus konsularny.
Sędziowie okręgowi.
Urzednicy administracji państwowej.
Adwokatura.
Główny poborca podatkowy. Urzednicy urzędów podatkowych. Celnicy,
Szeryfowie wysp.*

*Królewskie pospolite ruszenie.
Rezydenci zagraniczni.
Ahahui Kaahumanu.
Ogół ludności Hawajów.
Kawaleria Hawajska.
Policja.*

Sięgam do mojego dziennika w miejscu, gdzie zamieszczony jest opis przybycia orszaku do mauzoleum królewskiego.

Gdy czoło orszaku zbliżyło się do bramy, wojsko uformowało zręcznie szpaler, wzdłuż którego długa kolumna żałobników przemaszerowała do grobowca. Trumnę wniesiono do mauzoleum, za trumną podążył król, dygnitarze państwowi, cudzoziemscy ambasadorowie, konsulowie oraz goście honorowi (Burlingame i generał Van Valkenburgh). Przywiązano teraz kilka *kahilis* do rusztowania drewnianego ustawionego przed trumną; miały tu pozostać, dopóki nie zbutwieją i nie rozpadną się lub dopóki wcześniej nie umrze inny członek rodziny królewskiej. W tym momencie tłumy zaniósł się takim wyciem i lamentem, jakiego mam nadzieję nigdy więcej nie usłyszeć. Żołnierze oddali trzykrotną salwę z muszkietów (wpierw uciszono tłumy, gdyż inaczej nie byłoby słyhać strzałów). Jego Wysokość książę William, we wspaniałym mundurze wojskowym (był to książę prawdziwy, potomek rodu obalonego przez obecną dynastię, zaręczony w swoim czasie ze zmarłą księżniczką, a później zmuszony do zerwania zaręczyn), trzymał straż przechadzając się miarowym krokiem w drzwiach mauzoleum. Garstka uprzywilejowanych, którzy weszli za trumną, pozostała jakiś czas we wnętrzu grobowca, ale król wyszedł niebawem i stał w drzwiach z boku. Człowiek obcy odgadłby natychmiast jego godność (choć ubrany był z prostotą i bezpretensjonalnie) po głębokim szacunku okazywanym mu przez wszystkich znajdujących się w pobliżu. Najwyżsi rangą oficerowie wysłuchiwali jego cichych rozkazów i poleceń z głowami odkrytymi i nisko pochylonymi; wszyscy wychodzący z mauzoleum zwracali pilną uwagę, żeby się wokół niego nie tłoczyli, chociaż drzwi były tak szerokie, że swobodnie mógłby przez nie przejechać wóz; wychodząc ocierali się plecami o mur, nigdy nie odwracali się do króla tyłem, głowy zaś przykrywali dopiero wtedy, gdy znaleźli się daleko od królewskiego majestatu.

Król był w czerni (tużurek i jedwabny cylinder) i wyglądał dość demokratycznie pośród tej mnogości jaskrawych mundurów. Na piersi miał zawieszoną dużą złotą gwiazdę, częściowo ukrytą pod klapami marynarki. Pozostawał w drzwiach około pół godziny i od czasu do czasu udzielał wskazówek służbie, która ustawiała *kahilis* przed grobowcem. Potem wszedł do karety i odjechał, niebawem zaś ludność podążyła jego śladem. Dopóki król był na miejscu,

tylko jeden człowiek przyciągał do siebie więcej uwagi. Mam na myśli Harrisa, jankeskiego premiera. Ilość krepy na jego kapeluszu starczyłaby, żeby wyrazić żałobę całego narodu; Harris jak zwykle nie ominął i tej okazji, żeby zwrócić na siebie uwagę i wzbudzić podziw tubylców. Och, szlachetne ambicje tego współczesnego Richelieu!

Ciekawie będzie porównać ceremoniał pogrzebu księżniczki Wiktorii z obrządkami pogrzebowymi jej wielkiego przodka, Kamehameha Zwycięscy, który umarł pięćdziesiąt lat przed nią, w roku 1819, na rok przed przybyciem na wyspy pierwszych misjonarzy.

Dnia 8 maja 1819 roku, w wieku lat sześćdziesięciu sześciu, Kamehameha umarł, tak jak żył: w miłości do ojczyzny. Należy żałować, że nie zetknął się z ludźmi, którzy mogli byli skierować na właściwe tory jego religijne aspiracje. Sądząc po pożytecznej działalności i porównując go z najwybitniejszymi spośród jego ziomków słusznie można nazwać Kamehameha nie tylko wielkim, ale również dobrym. Po dziś dzień jego pamięć rozgrzewa serca i wzmacnia uczucia patriotyczne Hawajczyków. Są dumni ze swego króla wojownika; wielbią jego imię; jego czyny są częścią ich historii.

Zamiast ofiar w ludziach (był to obyczaj tamtych czasów) złożono podczas obrządków pogrzebowych ofiarę z trzystu psów, co nie było mało, jeśli się zważy wartość tych zwierząt i dbałość, jaką je otaczała wyspiarska ludność Hawajów. Kości Kamehameha zostały po jakimś czasie tak starannie ukryte, że teraz nikt już nie pamięta miejsca ich spoczynku. W tym czasie pokutowało wśród ludu wierzenie, że kości króla okrutnego niepodobna ukryć; robiono z nich haczyki na ryby i strzały i używając ich dawano upust nienawiści w pełnych goryczy złorzeczeniach.

Opis okoliczności śmierci Kamehameha, podany przez hawajskiego historyka, pełen jest szczegółowych relacji, każde jednak zdanie zawiera wzmiankę o jakimś zapomnianym obyczaju tamtych czasów. Z tego względu jest to jeden z najbardziej pouczających dokumentów, z jakimi się spotkałem. Zacytuję go w całości.

Kiedy Kamehameha był już bardzo chory i kapłani nie mogli go wyleczyć, powiedzieli: „Nie trać nadziei i wybuduj dom dla boga (mieli na myśli jego prywatnego boga), abyś mógł wyzdrowieć”. Wodzowie podtrzymali tę radę kapłanów i przygotowano, a wieczorem poświęcono miejsce, gdzie oddawana miała być cześć Kukailimoku. Wodzowie i kapłani zaproponowali też królowi – z myślą o przedłużeniu mu życia – aby złożyć jego bóstwu ofiarę z ludzi. Dowiedziawszy się o tym, cała niemal ludność uciekła w obawie przed śmiercią i czekała w kryjówkach, dopóki nie minął okres tabu niosący im zagładę. Należy wątpić, czy Kamehameha pochwalał ten plan kapłanów i wodzów, aby złożyć na ołtarzu ofiary z ludzi, miał bowiem często, że ludzie są poświęceni królowi. Chciał przez to powiedzieć, że mają służyć jego następcy. Ta informacja pochodzi od Liholiho, jego syna.

Potem choroba Kamehameha tak się wzmogła, że nie miał siły obrócić się na łóżku. Gdy przyszedł następny okres poświęcony na oddawanie czci w nowej świątyni (*heiau*), król powiedział do syna Liholiho: „Idź ty i błagaj swojego boga; ja nie mam siły, będę się modlił w domu”. Gdy podjął znów modły do swego upierzonego bóstwa Kukailimoku, pewien nabożny człowiek, który miał boga-ptaka, podsunął królowi myśl, że może dzięki temu bóstwu minie jego choroba. Bóg ów nazywał się Pua i ciało miał zrobione z ptaka, zjedzonego później przez Hawajczyków i zwanego przez nich *alae*. Kamehameha zgodził się podjąć tę próbę i wybudowano dwa domy, aby ułatwić eksperyment. Ale przebywając w nich Kamehameha tak bardzo opadł z sił, że nie przyjmował już pokarmów. Gdy leżał w tych domach trzy dni, słabnąc coraz bardziej, jego żony, dzieci i wodzowie przenieśli go z powrotem do własnego domu. Wieczorem zaniesiono go do domu jadalnego i wziął do ust trochę jedzenia, ale nie przełknął;

wypił kubek wody. Wodzowie prosili, aby im udzielił rady, ale on nie odpowiedział i przeniesiono go do domu sypialnego. Gdy zbliżyła się północ – może była godzina dziesiąta – znowu przeniesiono go do domu jadalnego i znowu wziął do ust trochę jedzenia. Potem Kaikioewa zwrócił się do niego tymi słowami: „Wszyscyśmy się tu zebrali – twoi młodsi bracia, twój syn Liholiho i cudzoziemiec. Udziel nam rady umierającego, aby Liholiho i Kaahumanu słyszeli”. Wtedy Kamehameha spytał: „Czego chcecie?” Kaikioewa powtórzył: „Twojej rady”. Król powiedział: „Czyńcie dobrze, jak ja czyniłem i...” nie mógł dalej mówić. Wtedy cudzoziemiec, pan Young, objął go i ucałował. Hoapili też go objął szepcząc mu coś do ucha, po czym odniesiono Kamehameha z powrotem do domu. Około dwunastej znowu wniesiono go do domu jadalnego – wsunięto tam tylko jego głowę, podczas gdy ciało zostało w domu sypialnym. Muszę zaznaczyć, że to przenoszenie chorego wodza z jednego domu do drugiego wynikało z obowiązujących wówczas tabu. Budynek mieszkalny składał się wtedy z sześciu oddzielnych chat; jedna dla oddawania czci bóstwom, druga, w której jadalni mężczyźni, trzecia, w której jadały kobiety, i szósta, w której mieszkały kobiety w pewnych odstępach czasu żyjąc odosobnienia.

Chorego raz jeszcze przeniesiono do domu i wtedy wyzionął ducha; było to o godzinie drugiej i z tej przyczyny Leleiohoku otrzymał swe imię. Gdy król umarł, Kalaimoku wszedł do domu jadalnego i rozkazał wyjść tym, co się tam znajdowali. Dwaj starcy otrzymali ten rozkaz; jeden z nich wyszedł, drugi został, z uwagi na wielką miłość do króla, który w swej dobroci okazywał mu łaskę. Dzieciom także kazano opuścić dom. Potem Kalaimoku wszedł do domu i wodzowie odbyli naradę. Jeden z nich powiedział: „Ja tak myślę... zjedźmy go na surowo”. Kaahumanu (jedna z wdów po zmarłym królu) tak odparła: „Może to nie my powinniśmy rozporządzać jego ciałem. To, co do nas należało, jego oddech, odfrunął. Ciało należy do syna, Liholiho”.

Po tej naradzie przeniesiono ciało do domu poświęconego, aby kapłani i nowy król mogli odprawić właściwe rytuały. Ceremonia ta nazywa się *uko*, a gdy poświęcony wieprz został upieczony, kapłan ofiarował go zmarłemu i wieprz został bogiem, a nowy król cały czas potwarzał wymagane zwyczajem modlitwy.

Potem kapłan zwrócił się do króla wodzów. Powiedział: „Teraz was zapoznam z regułami obowiązującymi przy wyznaczaniu osób, które mają być poświęcone przy grzebaniu tych szczątków. Jeżeli znajdziecie jednego człowieka, zanim ciało zostanie wyniesione, jeden wystarczy. Ale po opuszczeniu domu będą potrzebni czterej ludzie. Jeżeli zwłoka potrwa do czasu, gdy będziemy nieśli ciało do grobu, rytuał będzie wymagał dziesięciu ofiar w ludziach; po złożeniu ciała do grobu – piętnastu. Jutro rano zacznie się tabu i jeśli zwłoka w złożeniu ofiary potrwa do jutra, czterdziestu ludzi będzie musiało zginąć na ołtarzu”.

Potem główny kapłan, Hewahewa, spytał wodzów: „Gdzie zamieszka król Liholiho?” Odparli: „Gdzie – to ty spośród wszystkich ludzi; powinienes wiedzieć”. Wtedy kapłan odrzekł: „Są tylko dwa odpowiednie miejsca, jedno Kau, drugie Kohala”. Wodzowie wybrali to drugie, jako że mieszka tam więcej ludzi. Kapłan dodał: „To są miejsca, w których król może zamieszkać. Nie powinien zostawać dłużej w Kona, bo Kona jest skalane”. Wodzowie przyznali mu słusność. Był teraz świt. Gdy nieśli ciało do grobu, lud zrozumiał, że król nie żyje, i podniósł się wielki lament. Kiedy przenoszono ciało z domu do grobu, orszak spotkał na drodze pewnego człowieka, który kochał gorąco Kamehameha. Człowiek ów rzucił się do wodzów, którzy nieśli ciało; chciał umrzeć razem z królem – tak bardzo go kochał. Wodzowie odpędzili go. Człowiek ponawiał prośby, ale bezskutecznie. Kalaimoku też pragnął umrzeć razem z królem, ale Hookio mu przeszkodził.

Rankiem na drugi dzień po śmierci Kamehameha Liholiho wraz ze swym orszakiem wyruszył na Kohala, jak radził kapłan, aby uniknąć skalania obecnością zmarłego. Gdy w tamtych czasach umierał wódz, cała ziemia była skalana i potomkowie przenosili się w inne strony kraju, gdzie mieszkali, dopóki ciało nie zostało pokrajane, a kości związane i okryte szmatą,

po czym kończył się okres skalania. Jeżeli zmarły nie był wodzem, śmierć kalala tylko jego dom, który po skończonym pogrzebie znów stawał się czysty.

Tego ranka, gdy Liholiho popłynął łodzią na wyspę Kohala, wodzowie i lud odprawiali przepisana zwyczajem żałobę po śmierci wodza, to jest zachowywali się jak szaleńcy i zwierzęta. Ich zachowanie było tak haniebne, że nie sposób je opisać. Ponadto kapłani zaczęli odprawiać czary, aby osoba, która modłami sprowadziła na króla śmierć, też umarła; wierzyli bowiem, że Kamehameha nie umarł z choroby czy starego wieku. Kiedy czarownicy wbili w ziemię obok swego ogniska długi kij ze strzępkim *kapa* powiewającym w górze, wódz Keaumoki, brat Kaahumanu, przyszedł oszołomiony napojem i złamał drag czarowników, z czego wyciągnięto wniosek, że Kaahumanu i jej przyjaciele, przyczynili się do śmierci króla. Z tego powodu zostali poddani klątwie.

Widzisz teraz, czytelniku, ów kontrast, i przyznasz, że jest zdumiewający. Wielka królowa Kaahumanu, która podczas orgii po śmierci króla została zgodnie ze starożytnym obyczajem „poddana klątwie”, stała się później gorliwą chrześcijanką i potężną, wierną przyjaciółką misjonarzy.

Psy były wtedy – i są nadal – hodowane przez krajowców i tuczone na pożywienie; stąd wyżej zamieszczona wzmianka o ich wartości.

Czterdzieści lat temu panował na wyspach zwyczaj zawieszania wszelkich praw na okres kilku dni po śmierci osoby z królewskiego rodu; wtedy rozpoczynały się saturnalia, które można sobie jako tako wyobrazić – ale nie w ich całej zgrozie.

Ludzie golili sobie głowy, wybijali ząb lub dwa, niekiedy wylupywali oko, krajali, dźgali, ranili, przypalali ciało, upijali się, podpalali sobie nawzajem domy, kaleczyli się lub mordowali – zależnie od kaprysu chwili – i obie płcie oddawały się brutalnej i nieokiełzanej rozpustocie. A potem przychodziło odrętwienie, z którego naród budził się powoli – oszołomiony, oślepiały, jak ze snu pełnego koszmarów. Te łagodne dzieci słońca nie były solą ziemi.

Krajowcy zachowują wciąż stary obyczaj, który z pewnością nie wpływa dobrze na człowieka chorego. Kiedy wydaje im się, że, chory przyjaciel umiera, wokół jego chaty zbierają się sąsiedzi w sile najmniej dwóch tuzinów i wyją dzień i noc, dopóki delikwent albo nie umrze, albo nie wyzdrowieje. Nie wątpię, że tym sposobem wyprawili niejednego ziomka na tamten świat przed wyznaczonym terminem.

Otaczają chatę i zawodzą z tą samą rozdzierającą serce rozpaczą, gdy przyjaciel wraca z podróży. W ów ponury sposób wyrażają radość powitania. Na nas robi to wstrząsające wrażenie.

XXVIII. FAUNA KUTRA „BUMERANG”

Pewnego sobotniego popołudnia wypłynęliśmy z portu Honolulu na pokładzie szkunera „Bumerang”; celem naszej podróży była wyspa Hawai, odległa o sto pięćdziesiąt mil. Chcieliśmy obejrzeć wielki wulkan oraz inne osobliwości, które wyróżniają Hawai spośród całego archipelagu.

Długość „Bumeranga” równała się długości dwóch omnibusów, szerokość zaś – szerokości jednego. Był to stateczek tak mały (choć większy od innych statków pływających między wyspami), że stojąc na pokładzie czułem się niewiele mniejszy, niż zapewne czuł się Kolos Rodyjski, gdy zarzucała u jego stóp kotwicę galara wojenna. Gdy „Bumerang” przechylał się w silnej bryzie, sięgałem palcami wody. A gdy kapitan, mój towarzysz podróży (pan Billings), ja oraz czterej inni pasażerowie stanęliśmy na tej maleńkiej części pokładu od strony rufy, która jest przeznaczona dla pasażerów kabin, nie było już ani skrawka miejsca dla innych znaczniejszych pasażerów. Pozostała część pokładu, dwa razy większą od naszej, wypełniali szczelnie krajowcy obojga płci wraz ze swymi psami, matami, derkami, fajkami, dywanami pełnymi *poi*, pchłami oraz mnóstwem rozmaitych innych przedmiotów zbytku i bagaży pomniejszego znaczenia. Za ledwie podnieśliśmy żagiel, krajowcy rozłożyli się na pokładzie tak ciasno jeden obok drugiego jak Murzyni w zagrodzie dla niewolników – palili, gawędzili, pluli na siebie i naprawdę dobrze się bawili.

Mała, niska kabina pod pokładem była jednak trochę większa od karawanu, tak zaś ciemna jak grobowiec. Pod obiema ścianami stały trumny... chciałem powiedzieć prycze. Mały stół, przy którym mogły zasiąść do obiadu trzy osoby, stał pod przepierzeniem od strony dziobu, na którym to przepierzeniu wisiała najmętniejsza lampka z wielorybim olejem, jaka zaludniała kiedykolwiek ciemności lochu upiornymi kształtami. Na podłodze nie pozostawało wiele wolnej przestrzeni. Można by tu chyba zmieścić kota, ale nie bardzo długiego kota. Komora za przepierzeniem była prawie pusta i od rana do wieczora ogromny stary kogut z głosem Baalama przechadzał się po tej części statku i piał. Obiad jadł zwykle o szóstej i po godzinie poświęconej na medytację wspinał się na przykrywą beczki i piał niemal całą noc. Miał coraz większą chrypkę, odrzucał jednak ze wzdargą wszelką myśl o względach osobistych, które kolidowałyby ze spełnianiem obowiązku, i trudił się niebaczny na grożący mu dyfteryt.

Kiedy kogut działał, nie było mowy o spaniu. Naprawdę złościł mnie i irytował. Wrzeszczenie i obrzucanie go obraźliwymi epitetami pogarszało tylko sytuację, brał je bowiem za aplauz i jeszcze bardziej się wysiłał. W ciągu dnia rzucałem w niego przez szparę w przepierzeniu kartoflami, ale on zręcznie uskakiwał w bok i piał dalej.

Pierwszej nocy, gdy leżałem w mej trumnie patrząc leniwie na lampkę rozkołysaną w takt ruchu stateczku i wciągałem w nozdrza mdlący odór wody zebranej na dnie, poczułem nagle, że przemyka po mnie jakiś kształt. Wyskoczyłem z łóżka. Przekonawszy się jednak, że jest to tylko szczur, położyłem się z powrotem. W chwilę później znowu coś po mnie przemknęło. Czułem, że tym razem nie jest to szczur, i pomyślałem, że może stonoga, bo po południu kapitan zabił jedną stonogę na pokładzie. Znowu wyskoczyłem z łóżka. Zobaczyłem ohydny parę; trzymającą straż na obu rogach poduszki, karaluchy wielkości listka morelowego, o długich, drżących czułkach i ognistym złośliwym oku. Zgrzytały zębami jak liszki tytoniowe i zdawały się być w wyjątkowo złym humorze. Słyszałem często, że te wstrętne gady objadają żeglarzom paznokcie u nóg do żywego mięsa, zrezygnowałem więc z powrotu na pryczę. Położyłem się na podłodze. Ale po chwili jakiś szczur zaczął mi przeszkadzać, wkrótce zaś

potem cała karalusza rodzina rozlokowała się; w moich włosach. Niebawem kogut zaczął piąć ze zdwojonym zapalem, trupa zaś pcheł wykonywała podwójne salto mortale nad moją osobą gryząc mnie, ilekroć zetknęły się w przelocie z moją skórą. Tym razem miałem tego naprawdę dość. Wstałem, ubrałem się i wyszedłem na pokład.

Nie myślcie, że powyższy opis jest przejawem; jest to autentyczny obrazek z życia na pokładzie statku kursującego między wyspami. Nie sposób utrzymać w dobrym stanie żaglowca, który wozi melasę i kanaków.

Przepiękna scena, którą niespodzianie zobaczyłem, była rekompensatą za moje cierpienia. Wyszędłem z grobowych ciemności kajuty i stanąłem w silnym blasku księżyca, jak gdyby pośrodku mórz, których wody zmieniły się w płynne srebro. Patrzałem na żagle wydęte podmuchami silnego wiatru, na statek kładący się na burcie; rozwścieczona piana syczała u burty podwietrznej, wysrebrzone księżycem bryzgi strzelały wysoko ponad dziób i jak deszcz spadały na pokład. Wypreżywszy mięśnie uczepliłem się pierwszego przedmiotu pod ręką; stałem w kapeluszu nasuniętym nisko na oczy, w rozwianym surducie furkocącym na wietrze i odczuwałem ową bezbrzeżną radość, która dreszczem spływa w dół kręgosłupa – radość, że każdy cal żagli jest wykorzystany i statek płynie przez wzburzone fale z największą możliwą szybkością. Na pokładzie nie było mroku, nie było mglistych cieni. Wszystko tu promieniowało jasnością, kontury każdego przedmiotu rysowały się ostro i wyraźnie – każdy rozpostarty na pokładzie kanak, każdy zwój liny, każda misa z dyni pełna *poi*, każdy szczeniak, każde zespojenie desek pokładu, każde przepierzenie, każdy najmniejszy nawet drobiazg — i a cień grotzagła kładł się na pokładzie czarny jak całun, obejmując gęstym mrokiem postać Billingsa i pozostawiając w księżycowym blasku tylko jego twarz wzniesioną ku górze.

W poniedziałek rano podpłynęliśmy pod brzegi wyspy Hawai i ujrzelśmy jej dwa najwyższe szczyty – Mauna Loa i Hualaia. Hualaia jest górą majestatyczną, ale że ma zaledwie dziesięć tysięcy stóp, rzadko się o niej mówi i słyszy. Szczyt Mauna Loa ma podobno szesnaście tysięcy stóp. W tropikalnym klimacie sam widok skrzącego się śniegu i lodu, które jak szpony więżą jej wierzchołek, ochłodził nas i odświeżył. Gdyby stanąć na tej górze (otuliwszy się wpierw w pledy i futra) i gasząc pragnienie soplem lodowym lub garstką śniegu, spojrzeć w dół na jej długie stoki, można by odkryć miejsca, na których rosną rośliny żyjące tylko w klimacie wiecznej zimy; nieco niżej roślinność strefy umiarkowanej; u stóp zaś góry oko zatrzymałoby się na pierzastych palmach kokosowych i innych okazach flory spotykanych tylko w parnym klimacie wiecznego lata. Jednym spojrzeniem można objąć wszystkie klimaty kuli ziemskiej – na przestrzeni nie większej niż cztery mile w linii prostej!

Niebawem wsiedliśmy do łodzi i przybili do brzegu w Kailua; zamierzaliśmy przejechać się konno przez plantacje pomarańcz i kawy ładnego okręgu Kona i wrócić na pokład w punkcie odległym o kilkanaście mil. Warto odbyć tę przejażdżkę. Ścieżka biegnie po gruncie dość wysoko położonym – powiedzmy, tysiąc stóp nad poziomem morza – i w odległości mniej więcej mili od brzegu oceanu, który wciąż jest widoczny – z wyjątkiem tych partii drogi, kiedy podróżny znajdzie się nagle w lesie, pośród bujnej tropikalnej roślinności, między dwiema ścianami drzew, których potężne konary tworzą dach nad głową; wtedy nie widać ani słońca, ani oceanu, ani w ogóle nic i jedzie się mrocznym, cienistym tunelem, wypełnionym trelami niewidocznych ptaków i aromatem tropikalnego kwiecia. Miło było jechać czasem w ciepłym słońcu i napawać wzrok wciąż zmieniającą się panoramą lasów (za nami i pod nami) o tysiącu barw, o miękkich plamkach cieni i światła, a łagodnej, falistej linii schodzącej od gór ku wybrzeżu. Miło też było rozstać się czasem ze słonecznym żarem i zagłębić się w chłodną, zieloną toń lasu i snuć sentymentalne rozmyślenia, którym jakże sprzyjał zadumany półmrok i szept listowia w górze!

Przejeżdżaliśmy przez gaj pomarańczowy, w którym rosło dziesięć tysięcy drzew. Uginały się pod ciężarem owoców!

Na jednej z farm poczęstowano nas brzoskwiniami o wybornym smaku. Na ogół brzo-

skwinie nie czują się dobrze na Wyspach Hawajskich. Ich owoce mają tu kształt migdału, są małe i gorzkawe. Podobno brzoskwinia wymaga przymrozków; jeżeli to prawda, będzie ich jeszcze długo wymagała i jej życzenia nigdy się nie spełnią. Pyszne owoce, o których wspominałem przed chwilą, pochodziły z drzew sadzonych i przesadzanych szesnaście razy, i właściciel sadu temu właśnie zabiegowi przypisywał swój sukces.

Minęliśmy kilka plantacji cukru, nowych i niezbyt dużych. W większości przypadków były to już trzecie tego roku zbiory zwane ratonami. Niemal wszędzie na Hawajach dojrzewanie trzciny cukrowej trwa dwanaście miesięcy, a chociaż powinna być uprzątnięta natychmiast, może pozostać na polu do czterech miesięcy.

Dowiedziałem się, że w Kona zbiór z jednego akra wynosi dwie tony cukru. Jak na Wyspy Hawajskie jest to zbiór przeciętny, byłby jednak zbiorem niebywałym w Luizjanie czy innych krajach produkujących cukier trzcinowy. A ponieważ plantacje w Kona położone są dość wysoko i wystawione na słońce i częste deszcze, niepotrzebne są tu żadne nawadniania.

XXIX. STRASZNA HISTORIA LISTU GREELEYA

Zatrzymaliśmy się na pewnej plantacji, żeby odpocząć i dać wytchnienie koniom. Wdaliśmy się w ożywioną pogawędkę z kilku obecnymi panami; w pokoju był jednak ktoś, starszawy jegomość z wyrazem roztargnienia na twarzy, kto na nasz widok podniósł tylko głowę, wyszeptał kilka słów powitania i natychmiast wrócił do medytacji przerwanych naszym wejściem. Plantatorzy powiedzieli nam, żebyśmy nie zwracali na niego uwagi; jest obłąkany. Wyjaśnili dalej, że przyjechał na Hawaje dla zdrowia, że jest pastorem, że pochodzi z Michigan. Uprzedzili nas ponadto, że jeśli pastor zbudzi się z zadumy i zacznie mówić o korespondencji, którą prowadził kiedyś z niejakim panem Greeleyem, musimy mu okazać pobłażliwość i słuchać jego wywodów z zainteresowaniem; i nie wolno nam rozwiewać złudzenia, że o tej korespondencji mówi cały świat.

Od pierwszego wejrzenia można było zauważyć, że jest to człowiek łagodny i że jego obłąkanie nie ma w sobie nic morderczego. Siedział ze wzrokiem wbitym w podłogę i od czasu do czasu szeptał coś do siebie, kiwał głową potakująco lub potrząsał nią w łagodnym protestie. Był zagubiony w myślach lub może we wspomnieniach. Gawędziliśmy z plantatorami przeskakując z tematu na temat. W końcu jednak słowo „okoliczności” rzucone w toku rozmowy przerwało medytację pastora; wyraz ożywienia pojawił się na jego twarzy. Wyprostował się, zwrócił do nas i powiedział:

– Okoliczności? Jakie okoliczności? Ach, wiem, wiem aż za dobrze! A więc panowie też słyszeliście o tej sprawie? (Z głębokim westchnieniem). Zresztą mniejsza o to, cały świat o niej słyszał. Cały świat. Obie hemisfery. A nie jest to mały świat i wiadomość, która go obiega, ma daleką drogę. Tak, tak... korespondencja Greeleya z Ericksonem wywołała zażarty, zawzięty spór po obu stronach Atlantyku – spór, który dotąd nie wygasł! Staliśmy się przez to sławni, przyznaję, ale jakże straszna jest cena tej sławy! Zmartwiłem się serdecznie, kiedy mi doniesiono, że nasz spór doprowadził do wybuchu tej krwawej i niszczącej wojny we Włoszech. Po tak długotrwałym przelewie krwi była to dla mnie mała pociecha, że zwycięzcy stali po mojej stronie, zwyciężeni zaś po stronie Greeleya. Nie uspokaja mnie też myśl, że to nie ja, tylko Horacy Greeley jest odpowiedzialny za bitwę pod Sadową. Królowa Wiktorja napisała mi, że podziela w tej sprawie moje stanowisko... napisała, że chociaż jak najsurowiej potępia Greeleya i jego metody w korespondencji ze mną, dałaby chętnie kilkaset dolarów” za to, żeby Sadowa nigdy się nie zdarzyła. Jeżeli panowie chcecie, pokażę wam jej list. Ale chociaż może wam się zdaje, że wiecie wszystko o tej niefortunnej korespondencji, nie będziecie o niej wiedzieli nic, dopóki ja wam nie opowiem jej przebiegu. Relacje prasy zawsze ją zniekształcały, zniekształcały ją nawet podręczniki historii. Tak, nawet dzieła historyczne, chociaż wydaje się to wprost nieprawdopodobne! Pozwólcie mi, pozwólcie mi, proszę, podać dokładny przebieg. Przyrzekam, że nie nadużyję waszego zaufania.

Pochylił się do przodu i gorliwie, z powagą, opowiedział nam swoją historię – opowiedział ją w sposób wzruszający, a jednocześnie prosty i bezpretensjonalny; słuchając go nie można się było oprzeć wrażeniu, że jest to wierny, prawy i szlachetny świadek składający zeznania w świętym interesie sprawiedliwości i pod przysięgą.

Oto co nam powiedział:

– Pani Beazeley, pani Jackson Beazeley, wdowa mieszkająca w wiosce Campbellton w stanie Kansas, napisała do mnie w sprawie leżącej jej na sercu —i w sprawie, która wielu ludziom mogła się wydać drobna i nieważna, dla niej jednak miała ogromne znaczenie. Mieszkałem właśnie w Michigan, byłem tam pastorem. Pani Beazeley była wtedy – i jest

nadal – powszechnie szanowaną niewiastą, niewiastą, dla której niedostatek i znój są bodźcami do pracowitości, nie zaś do zwątpienia. Pani Beazeley miała tylko jeden skarb bezcenny, syna Williama, młodzieńca wchodzącego właśnie w wiek męski, o miłym usposobieniu, całym sercem oddanego rolnictwu. Był jedyną pociechą wdowy i jej dumą. Tak więc kierując się miłością matczyną napisała do mnie w sprawie, która – jak wspomniałem – była bliska jej sercu, ponieważ była bliska sercu jej Williama. Chciała, żebym porozumiał się z panem Greeleyem w sprawie brukwi. Brukiew była ideałem młodzieńczych ambicji Williama. Podczas gdy inni młodzieńcy marnotrawili w frywolnych rozrywkach owe bezcenne lata rozwijających się sił męskich, które Bóg przeznaczył na pożyteczne przygotowania do życia, ten chłopiec cierpliwie wzbogacał umysł wiadomościami dotyczącymi brukwi. Sentyment Williama Beazeleya do brukwi bliski był adoracji. Gdy chłopiec myślał o brukwi, ogarniało go wzruszenie; gdy mówił o brukwi, tracił spokój; gdy patrzył na brukiew, wpadał w uniesienie; gdy jadł brukiew, łzy ciekły mu po policzkach. Cała poetyczność jego wrażliwej natury wiązała się z brukwią. O pierwszym brzasku szedł na swoją grzędę, a gdy gęstniejący mrok zmuszał go do odwrotu, zamykał się w pokoju z książkami i pochłaniał statystyki, dopóki nie zmorzył go sen. W dni deszczowe siedział w domu i godzinami rozmawiał z matką o brukwi. Gdy przychodzili goście, odkładał wszystko i uważając to za swój miły obowiązek cały dzień mówił im o radości, jaka czerpie z brukwi. A jednak – czy radość ta była bez skazy, czy była pełna? Czy nie zawierała w sobie domieszki tajemnej zgryzoty? Niestety, zawierała. Robak smutku zżerał duszę biednego chłopca; mimo wysiłków nie mógł urzeczywistnić najszlachetniejszego pragnienia swego serca, to jest, nie mógł zrobić z brukwi rośliny pnącej. Mijały tygodnie; lica Williama pobladły, w oczach nie było już ognia; westchnienia i posępna zaduma zajęły miejsce śmiechu i wesołej rozmowy. Ale czujne oko zauważyło te zmiany i niebawem miłość matczyzna dotarła do dna tajemnicy. Stąd ów list do mnie. Pani Beazeley błagała mnie o ratunek, mówiła, że jej syn powoli umiera.

Nie znałem pana Greeleya, ale co z tego? Sprawa była pilna. Napisałem doń prosząc, aby – jeśli to możliwe – rozwiązał ów trudny problem i tym samym uratował chłopcu życie. Moje zainteresowanie sprawą wzrastało, aż w końcu ogarnął mnie niepokój nie mniejszy od niepokoju matki. Czekałem dręczony niepewnością. W końcu przyszła odpowiedź.

Nie mogłem jej odczytać; pismo było nieznanym, umysł mój zaś nieco wzburzony doznawanym wzruszeniem. List częściowo zdawał się nawiązywać do sprawy chłopca, ale w głównej mierze odnosił się do spraw zupełnie z tematem nie związanych, takich jak kamienie brukowe, elektryczność, ostrygi oraz coś, co odczytałem jako „absolucja” czy też „agrarianizm”. Nie byłem jednak pewien ani jednego, ani drugiego. Wszystko to były jakby od niechcenia rzucone uwagi, nic więcej. Owszem, przyjazne w tonie, ale pozbawione związku i owej logicznej spójni, bez której stawały się zupełnie bezużyteczne. Doszedłem do wniosku, że wzburzone uczucia zmniejszają moją zdolność pojmowania, i odłożyłem list do dnia następnego.

Rano powtórnie go przeczytałem natrafiając na te same trudności, gdyż niepokój spędził mi sen z powiek i zmaćił jasność widzenia. Wprawdzie list wydał mi się teraz bardziej logiczny, nie dawał jednak odpowiedzi, na którą czekałem. Poruszał zbyt wiele tematów.

Zacytuję panom jego treść, chociaż co do niektórych słów nie miałem wtedy pewności.

Kamarylla możliwych niknie w ohydzie pamięci; burmistrz zachwycony pasmanterią; pszczelarstwo zapelnia jaźń. Prom zawołany białymi wodami, za wsią snu pozostałości daremne. Jeżozwierze durne, kapłani itp. itp., starosta somnambuliczny, wołałbym z szatanem. Prysznic się nie leje. Zpwnm.

H e v a c e E v e e l o j .

W całym liście nie było ani słowa o brukwi. Nie było rady, w jaki sposób wyhodować z brukwi pnące. Nie było w ogóle wzmianki o Beazeleyach. Postanowiłem pójść na spoczynek. Wieczorem nie zjadłem kolacji, rano nie tknąłem śniadania, zabrałem się więc do pracy z umysłem odświeżonym i pełen nadziei. Teraz treść listu była zupełnie inna, ten sam pozostał tylko podpis, który wydał mi się niewinną afektacją. List musiał pochodzić od pana Greeleya, gdyż był na papierze firmowym „Trybuny”, a nie pisałem do nikogo innego na ten adres. Treść listu, powiadam, była teraz inna, ale styl jak przedtem, nad wyraz ekscentryczny, całość zaś nie miała nic wspólnego z tematem. Oto list, jak go tym razem odczytałem:

Boliwia morzy niekiedy większość makreli; boraks szanuje poligamię; paszczami jej zapełnia się jasność. Praszczur domowy biega wokoło, za wydmami poorana darnina. Jechaliśmy daleko, kapąły, kapąły sosnowe szypułki, wyłącznie z szelestem. Pryszcz siemieniem lakierować. Zpwżnm.

H e v a c e E v e e l o j.

Byłem najwyraźniej przepracowany. Mój umysł przestał działać sprawnie. Wobec tego poświęciłem dwa dni na odpoczynek i podjąłem moje dzieło bardzo odświeżony na ciele i umyśle. Treść listu była teraz następująca:

Kataralne małże niekiedy wachlują się na pniu; buraki zachwalają potomność; przecenianie jest zapładniające. Pryszczem zarażają białych wodzów, a wysyłka snów pozostanie daremna. Jakowóż diakon, kądziel itp. itp., szturmowane stożkowato, wyleczą go z szataństwa. Proszę się nie lać. Zpwżnm.

H e v a c e E v e e l o j.

Nadal dręczył mnie niepokój. Te uogólnienia nie wносиły absolutnie nic do sprawy; były zwięzłe, sugestywne i wypowiedziane z taką niezachwianą pewnością siebie, że trafiały mi do przekonania. Ale w takiej chwili, gdy w grę wchodziło ludzkie życie, wydały mi się nie na miejscu i w bardzo złym guście. Kiedy indziej byłbym nie tylko rad, ale wręcz dumny, że otrzymałem tego rodzaju pismo od pana Greeleya, i studiowałbym je z zapalem starając się rozszerzyć horyzonty myślowe. Wiedząc jednak, że ten biedny chłopiec marnieje w dalekim domu, nie miałem serca do nauki.

Minęły trzy dni, zanim wziąłem znowu list do ręki, i znowu inaczej odczytałem jego treść. Oto ona:

Kartkami można niekiedy wyłożyć poręczę; brukiew zohydza pasję; przyczyna jest zaledwie jasna. Proszę zabrać się do biednej wdowy; bo majątki jej pana pozostają do wzięcia... Jednakże darń, kapiele itp. itp., stosowane szalbierczo, wyciągną go z szaleństwa. Proszę wciąż nie kłać. Zpwżnm.

H e v a c e E v e e l o j.

Tym razem jakiś sens zaczął mi świtać. Ale nie miałem siły ciągnąć tego dalej. Byłem nadto wyczerpany. Słowo „brukiew” napełniło moje serce przelotną radością i otuchą, ale tak bardzo opadłem już z sił, dalsza zwłoka zaś mogła się okazać dla chłopca tak zgubna, że zrezygnowałem z prób tłumaczenia tekstu i zrobiłem to, com powinien był zrobić pierwszego dnia. Siadłem i napisałem do pana Greeleya list następującej treści:

Szanowny Panie!

Obawiam się, że nie zrozumiałem Pańskiego uprzejmego listu. Nie jest chyba możliwe, żeby „brukiew zohydzała pasję” (przynajmniej studia nad brukwią i jej kontemplacja pasji nie

zohydzają), gdyż te właśnie zajęcia spopielily duszę i podkopały zdrowie naszego młodego przyjaciela. Ale jeśli brukiew istotnie zohydza pasję, czy zechciałbyś, Szanowny Panie, okazać nam nieco więcej cierpliwości i wytłumaczyć, jak się ją w tym celu przyrządza?

Przykro mi, że najwyraźniej dopatruje się Pan w moim działaniu motywów osobistej korzyści – aby nie użyć silniejszego słowa. Ale zapewniam Pana, że jeśli sprawiam takie wrażenie, jakbym się „zabierał” do wdowy, jest to tylko pozór nie mający żadnego pokrycia w rzeczywistości. Nie z własnego wyboru znalazłem się w tej dwuznacznej sytuacji. To pani Beazeley zwróciła się do mnie, żebym do Pana napisał. Nie „zabierałem się” do niej nigdy, bo jeśli idzie o ścisłość, znam ją bardzo przelotnie. Nie mam zwyczaju „zabierać się” do kogośkolwiek. Staram się żyć możliwie najzaczniej i nie krzywdzić nikogo, a już z pewnością nie rzucam na innych brzydkich insynuacji. Jeśli idzie o „majątki jej pana”, zupełnie mnie one nie interesują. Wystarcza mi to, co mam, i nie chcę zdobywać podstępem cudzej własności, która „pozostaje do wzięcia”. Czy Pan nie rozumie, że ta niewiasta jest wdową i że nie ma żadnego „pana”? Jej mąż nie żyje, przynajmniej nie żył, kiedy go kładli do trumny. Dlatego żadne „darnie, kąpiele itp.” choćby nie wiem jak „szalbierczo stosowane” nie „wyciągną go z szaleństwa”, jeżeli za szaleństwo uważa Pan stan śmierci. Uwaga, którą zamieścił Pan na końcu listu, jest tyleż niegrzeczna, co nie na miejscu. A jeśli prawdą jest, co mówią ludzie, mógł ją Pan być dużo właściwiej skierować pod własnym adresem. Z poważaniem.

Simon Erickson.

Pan Greeley zrobił to, co zrobione wcześniej, zaoszczędziłoby dużo zmartwień, dużo cielesnej i duchowej udreki. Po kilku dniach przysłał mi czytelną kopię czy też tłumaczenie swego pierwszego listu, sporządzone starannym piśmem urzędnika. Wtedy wyjaśniła się tajemnica i zrozumiałem, że ten człowiek nie miał złych intencji. Oto treść listu, jak był zamierzony i napisany:

Kartofle można niekiedy wyhodować na pnącze; buraki zachowują pasywność; przyczyna jest zupełnie jasna. Proszę zawiadomić biedną wdowę, że wysiłki syna pozostaną daremne. Jednakże dieta, kąpiele itp. itp., stosowane systematycznie, wyleczą go z szaleństwa. Proszę się nie lękać. Z poważaniem.

Horacy Greeley.

Ale niestety, panowie – było już za późno. Zbrodnicza zwłoka zrobiła swoje: młody Beazeley umarł. Jego duch poszybował w rejony, gdzie cichną wszelkie udreki, gdzie spełniają się wszystkie pragnienia i urzeczywistniają ambicje. Biedny chłopiec... położyli go do trumny z brukwią w każdej ręce.

Erickson umilkł i znów zaczął mamrotać i kiwać głową w roztargnieniu. Wstaliśmy wszyscy i zostawili go samego... Ale nasi gospodarze nie powiedzieli nam, co go przywiodło do szaleństwa. W zamieszaniu pożegnań zapomniałem spytać.

XXX. KAPITAN COOK SŁUSZNIE PONIÓSŁ ŚMIERĆ

O godzinie czwartej po południu zjeżdżaliśmy ku morzu krętą ścieżką wiodącą w dół psepnego i odludnego zbocza wylanego lawą; tu kończyła się nasza miła przejażdżka łądem. Lawa gromadziła się w ciągu wieków; w zamierzchłych czasach jeden wybuch po drugim wyrzucał ogniste strumienie i coraz wyżej i wyżej wznosił strukturę wysp. Pod powierzchnią lawa podziurawiona jest jamami. Kopanie studni w takim miejscu byłoby daremnym trudem; studnia nie utrzyma wody. Zresztą; jeśli idzie o ścisłość, nie znalazłoby się tu nigdzie wody do wypełnienia studni. Dlatego plantatorzy używają zbiorników.

Tyle czasu minęło, odkąd ostatni raz wulkan wyrzucił strumienie lawy, że nie ma już między żywymi świadka tego zdarzenia. W jednym miejscu lawa objęła swym zasięgiem i spaliła gaj palm kokosowych i do dziś widać w stwardniałym pokładzie dziury po pniach, a we wnętrzu tych dziur wyraźny odcisk kory. Drzewa runęły na płonąca rzekę i zanurzwszy się w niej pozostawiły dokładne odbicie każdego sęka, każdej gałęzi i liścia, każdego orzecha – aby poszukiwacze osobliwych widoków mieli na co patrzeć i czym się zachwycać.

Zapewne stało tu wtedy wielu kanaków na warcie, ale nie pozostawili oni w lawie odcisków swych ciał, jak to zrobili rzymscy żołnierze w Herculanium i Pompei. A szkoda – jakże interesujące są tego rodzaju widoki! Trudno. Kanakowie zapewne uciekli. Może nawet uciekli dość wcześnie. Nie sposób im jednak odmówić pewnych cnót; Rzymianie dowiedli większej odwagi, kanakowie – większego rozsądku.

Niebawem zobaczyliśmy miejsce, którego historia znana jest dobrze uczniakom całego świata: zatokę Kealakekua, gdzie przed blisko stu laty zginął z rąk krajowców wielki żeglarz, kapitan Cook. Woda paliła się w promieniach zachodzącego słońca, padał letni deszczyk i brzegi zatoki były spięte dwoma wspaniałymi łukami tęczy. Trzej nasi towarzysze, którzy wysunęli się naprzód, przejechali pod jednym z tych łuków i przez sekundę ubrania ich błyszczały iście królewskim splendorem barw. Dlaczego kapitan Cook nie miał dość dobrego smaku, żeby nadać swojemu wielkiemu odkryciu nazwy Wysp Tęczowych? Co krok spotyka się te zachwycające zjawiska, są one na wyspach bardzo pospolite. Widzi się je każdego dnia, a często nawet w nocy – nie ów srebrny łuk, który raz na sto lat widzujemy w Stanach podczas nocy księżycowych, tylko łuk jaśniejący wszystkimi barwami, jak dzieci słońca i deszczu. Często też występuje na tych szerokościach zjawisko, które żeglarze nazywają „psami deszczowymi”; są to małe płyty tęczy dryfujące po niebie jak witraże średniowiecznej katedry.

Zatoka Kealakekua ma kształt ostatniego zwoju skorupy ślimaka i krętą linią wżyna się głęboko w łąd, a jej szerokość od brzegu do brzegu wynosi około mili. Z jednej strony (tam, gdzie padł kapitan Cook) obrzeżona jest małą, płaską równiną, na której rośnie gaj palm kokosowych i stoi kilka nędznych chat. Stroma ściana lawy, wysoka na tysiąc stóp od strony łądu i na trzysta bliżej morza, schodzi w dół ze stoków górskich i zamyka zatokę z drugiej strony. Od tej właśnie ściany zatoka bierze swoją nazwę Kealakekua, co w języku krajowców znaczy „ścieżka bogów”. Kanakowie utrzymują (i wciąż w to wierzą, chociaż są tak gruntownie wykształconymi w wierze chrześcijanami), że wielki bóg Lono, który żył na szczycie góry, korzystał z tej ścieżki, ilekroć wzywały go na brzeg oceanu pilne sprawy niebieskie.

Gdy czerwone słońce spoglądało przez wysokie, gładkie pnie palm kokosowych na spokojne morze, jak czerwony na twarzy opój spogląda przez pręty miejskiego aresztu, zszedłem w dół i stanąłem nad samą krawędzią wody, na płaskiej skale, na której stał kapitan Cook, gdy zadano mu śmiertelny cios, i usiłowałem wywołać w wyobraźni obraz człowieka walczącego pośród kroci doprowadzonych do rozpaczki dzikusów, żeglarzy stłoczonych przy burcie statku

i patrzących z przerażeniem na brzeg. Nie... moja wyobraźnia okazała się bezsilna!

Mrok zgęstniał, zaczął padać deszcz, widzieliśmy w oddali nasz statek stojący bezradnie w ciszy na morzu, poszedłem więc do małego, posępnego składu towarów obok i usiadłem, żeby wypalić fajkę i podumać w spokoju; bardzo pragnałem, żeby statek mógł przybić wreszcie do lądu, bo od dziesięciu godzin prawie nic nie mieliśmy w ustach i byliśmy przeraźliwie głodni.

Proste, nie upiększone fakty historyczne odzierają śmierć kapitana Cooka z całego romantyzmu i każą wydać wyrok usprawiedliwionego zabójstwa. Gdziekolwiek pojawił się na wyspach, wszędzie krajowcy witali go przyjaźnie i zaopatrywali jego statki w obfitość wszelkiego jadła. Za serdeczność płacił obelgami i okrucieństwem. Zorientowawszy się, że kanakowie biorą go za dawno straconego i opłakiwanego boga Lono, podtrzymywał złudzenie, gdyż dawało mu to nieograniczoną władzę. Ale podczas słynnego buntu nad zatoką, gdy piętnastotyśieczna rzesza doprowadzonych do szaleństwa dzikich otoczyła Cooka i garstkę jego towarzyszy, kapitan, zraniony, jękiem zdradził swe ziemskie pochodzenie. Wydał w ten sposób wyrok śmierci na siebie. Natychmiast rozległ się ryk: „Jęczy... jęczy! Nie jest bogiem!” – Rzucili się więc na niego i prędko wyprawili go na tamten świat.

Obrali jego ciało z kości i spalili (z wyjątkiem dziewięciu funtów, które posłali na statek). Serce kapitana Cooka powiesili w jednej z chat, gdzie znalazła je i zjadła trójka dzieci – w przekonaniu, że jest to serce psa. Jedno z tych dzieci doczekało się bardzo późnego wieku i zmarło w Honolulu przed kilku zaledwie laty. Oficerowie statku odnaleźli część kości i wyprawili im żeglarski pogrzeb.

Nie można winić krajowców za zabicie Cooka. Traktowali go dobrze. Cook odwzajemniał im się obelgami. On i jego załoga dręczyli ich, zadawali im rany i zabili najmniej trzech, zanim kanakowie pomyśleli o zemście.

Niedaleko brzegu stoi „pomnik” Cooka – kikut palmy kokosowej wysoki może na cztery stopy, o średnicy około stopy. U podstawy obłożono go bryłami lawy, cały zaś od góry do dołu jest obity nierównymi, odbarwionymi kawałkami blachy miedzianej, jaką wyklada się wnętrza statków. Na każdym kawałku blachy widniał prymitywny napis wydrapany gwoździem, przeważnie zatarty. Większość tych napisów upamiętniła tylko datę i nazwiska brytyjskich kapitanów floty pielgrzymujących do tego miejsca, na jednym zaś był następujący napis:

NIEDALEKO STĄD PADŁ
KAPITAN JAMES COOK
SŁYNNY ŻEGLARZ, KTÓRY A. D. 1778,
ODKRYŁ TE WYSPY

Gdy Cook padł, jego pierwszy oficer otworzył ze statku ogień do tłumów dzikich; jedna z kul armatnich ścięła czub palmy kokosowej, po której został ten kikut. Posępne wydało nam się to miejsce i smutne w rozdeszczonym mroku. Ale jest to jedyny pomnik kapitana Cooka na wyspach. To prawda, że wyżej na stoku przejeżdżaliśmy mimo obszernej zagrody przypominającej sporą zagrodę dla świń, a zbudowanej z bloków lawy, gdzie obierano z kości i palono ciało kapitana. Ale trudno nazwać to miejsce pomnikiem, skoro wybudowali je krajowcy nie tyle dla uczczenia pamięci wielkiego żeglarza, ile dla wygody w przygotowaniu z niego pieczeni. Zawieszono tam na wysokim słupie coś w rodzaju tablicy informacyjnej, ale dawno już temu wiatr i słońce zatarty literę i napis jest nieczytelny. Około północy zerwał się silny wiatr; żaglowiec wpłynął niebawem do zatoki i zarzucił kotwicę. Przysłano po nas łódź i gdy płynęliśmy na statek, rozwiały się chmury i ustał deszcz. Czysta tarcza księżyca spoglądała spokojnie na ziemię i morze a my dwaj leżeliśmy rozciągnięci na pokładzie i śniliśmy szczęśliwe sny ludzi bardzo zmęczonych albo bardzo niewinnych.

XXXI. JAK STRZEGŁEM PIĘKNYCH DZIEWCZĄT W KĄPIELI

Nazajutrz rano zeszedliśmy na ląd, aby zwiedzić ruiny świątyni ostatniego boga Lono. Szef kuchni tej świątyni (kapłan, który stał na jej czele i piekł ofiary z ludzi) był wujem Obookii, sam zaś Obookia jako młody chłopiec odbywał tu swoją kapłańską praktykę. Za czasów Kamehameha pewien kapitan wielorybniczego statku wziął Obookię, który był młodym krajowcem o dużej wrodzonej inteligencji, oraz trzech innych młodzieńców i zawiódł ich do Nowej Anglii; dzięki tym chłopcom świat chrześcijański zwrócił uwagę na wyspy, co doprowadziło do wysłania na Hawaje misjonarzy. Otóż ów Obookia jest tym samym wrażliwym młodym dzikusiem, który siedział na stopniach kościoła i płakał, gdyż jego kraj nie znał Biblii. Obrazek upamiętniający to zdarzenie znajdował się w wielu miłych książkach do nauki religii, a oprócz obrazka opis tak wzruszający i tak tkliwy, że sam nad nim szlochałem w szkółce niedzielnej; ale płakałem chyba z zasad ogólnych, w tym bowiem czasie mało jeszcze wiedziałem i nie bardzo mogłem zrozumieć, dlaczego mieszkańcy Hawajów mieliby się tak przejmować brakiem Biblii, skoro nie wiedzą nic o jej istnieniu.

Obookia został nawrócony, otrzymał wykształcenie i wróciłby do swego kraju rodzinnego wraz z pierwszymi misjonarzami, gdyby żył. Pozostali młodzi Hawajczycy przyjechali na Wyspy i dwaj z nich dobrze wypełniali bożą służbę; trzeci, William Kanui, wypadł potem na pewien czas ze stanu łaski i gdy w Kalifornii wybuchła gorączka złota, udał się tamże i został kopaczem, mimo iż miał już lat pięćdziesiąt. Początkowo wiodło mu się zupełnie dobrze, ale bankructwo firmy Page, Bacon i Spółka pozbawiło go sumy sześciu tysięcy dolarów; zostawszy na stare lata nędzarzem wrócił do służby bożej i umarł w roku 1864 w Honolulu.

Spory teren wokół świątyni ciągnący się od wybrzeża aż po szczyt górski był w dawnych czasach poświęcony bogu Lono; było to miejsce tak święte, że jeśli człowiek z ludu postawił na nim swą świętokradczą stopę, sporządzał natychmiast testament. Wolno mu było obejść to miejsce, nie mógł jednak przekroczyć jego granicy. Cały teren był gęsto usiany pogańskimi świątyniami i niezdarnymi, prymitywnymi bóstwami wyrzeźbionymi w pniach drzewa. Między innymi była tam świątynia, w której modlono się o deszcz; wiedzeni mądrością kapłani umieścili ją tak wysoko na stokach góry, że choćby się tam ktoś modlił o deszcz dwadzieścia cztery razy na dobę, jego prośby za każdym razem byłyby wysłuchane. Prawdopodobnie zanim by powiedział „amen”, musiałyby otwierać parasol.

Znajdowała się tu również obszerna świątynia wybudowana w ciągu jednej jedynej nocy pośród grzmotów, błyskawic i deszczu rękami ludzi umarłych! Tradycja powiada, że nocą przy niezwykłym blasku błyskawic niema rzesza zjaw wysłana została wysoko na stok góry. Przemykając się to tu, to tam, niosąc w nieczułych rękach ogromne bloki lawy, to znikając, to znów się pojawiając w błędnych błyskach duchy dokonały w ciągu nocy swego zdumiewającego dzieła. Podobno ta straszna budowla do dziś budzi w krajowcach cześć pomieszaną ze zgrozą i w nocy żaden z nich nie podejrze blisko pod jej mury.

W południe spostrzegłem grono nagich miejscowych młodych dam, które zażywały kąpieli w morzu, i usiadłem na ich sukniach w obawie, że je ktoś ukradnie. Błagałem dziewczęta, żeby wyszły z wody, bo coraz większa fala podnosiła się na morzu i byłem przekonany, że narażają życie. Ale one się nie bały i po krótkiej chwili wróciły do zabawy. Były znakomitymi pływaczkami i świetnie nurkowały, a kąpiel sprawiała im bezgraniczną przyjemność. Ściagały się w wodzie, przewracały, nurkowały napelniając powietrze wesołym, dźwięcznym śmiechem. Podobno mali kanakowie zaczynają swą edukację od nauki pływania; nauka cho-

dzenia jako mniej ważna znajduje się na drugim miejscu. Słyszałem liczne opowieści o krajowcach, zarówno mężczyznach, jak kobietach, dopływających do brzegu ze statków oddalonych o wiele wiele mil – tak wiele, że nie śmiem za tę cyfrę ręczyć ani nawet jej wymienić.

Słyszałem też o pewnym tutejszym nurku, który skoczył do wody głębokiej na trzydzieści czy czterdzieści stóp i przyniósł z dna kowadło. Jeżeli pamięć mnie nie myli, połknął je później. Ale głowy nie dam.

Wspominałem kilkakrotnie o bogu Lono, może więc powiem teraz kilka słów na jego temat.

Krajowcy czcili go pod postacią długiego, niczym nie ozdobionego słupka wysokości dwunastu stóp. Tradycja utrzymuje, że był on ukochanym bogiem mieszkańców Wysp Hawajskich – wielkim królem podniesionym do rangi bóstwa za chwalebłą służbę; nagrodzonym tak, jak my nagradzamy naszych bohaterów, z tą tylko różnicą, że my mianowalibyśmy go głównym poczmistrzem zamiast bogiem. Kiedyś w złości zabił swoją żonę, boginkę imieniem Kaikilani Aiii. Wyrzuty sumienia doprowadziły go do szaleństwa i tradycja podaje nam jedyny w swoim rodzaju obraz boga-awanturnika; dręczony rozpaczą Lono wędrował z miejsca na miejsce, bił się i brał za bary z każdym, kogo napotkał. Naturalnie ta rozrywka prędko mu się sprzykrzyła, zwłaszcza że gdy tak potężne bóstwo rzucało kruchą ludzką istotę na ziemię, krucha istota więcej się nie podnosiła. Przeto Lono ustanowił igrzyska zwane makahiki i rozkazał, aby je rozgrywano na jego cześć. Potem wsiadł na trójkątną tratwę i popłynął w cudzoziemskie kraje zapewniwszy przed odjazdem wiernych, że jeszcze kiedyś wróci. I tyle go widzieli; być może trójkątna tratwa zatonała. Ale ludzie wciąż czekali na powrót Lono i tym łatwiej uwierzyli, że kapitan Cook jest odzyskanym bogiem.

Niektórzy starzy ludzie wierzyli do śmierci, że Cook był bogiem Lono, ale większość nie wierzyła, bo jakże mógł umrzeć, skoro był bogiem?

W odległości mili od zatoki Kealakekua znajduje się historyczne miejsce ostatniej bitwy stoczonej w obronie pogaństwa. Naturalnie pojechaliśmy je obejrzeć i wróciliśmy niewiele mądrzejsi – jak to zwykle ludzie oglądający tego rodzaju pamiątki w nastroju nieskłonny do refleksji.

Gdy misjonarze opływali przylądek Horn, bałwochwalcze wierzenia, które tradycja utrzymywała na wyspach od wielu setek lat, nagle się załamały. Stary Kamehameha umarł, a jego syn Liholiho, nowy król, lubił swobodne życie i był hulaką nienawidzącym ograniczeń starożytnego tabu. Współrządząca z nim Kaahumanu, królowa wdowa, była dumna i odważna, nienawidziła zaś tabu, ponieważ ograniczało przywilej jej płci i spychało kobiety do poziomu niemal zwierzęcia. Tak przedstawiały się sprawy. Liholiho był prawie zdecydowany postawić na swoim, Kaahumanu zaś była zupełnie zdecydowana go do tego namówić, a whisky dokonała reszty. Jest to chyba pierwszy wypadek, żeby whisky była brana w rachubę jako ważny czynnik na drodze do cywilizacji.

Liholiho, nieprawdopodobnie pijany, przyjechał do Kailua i wziął udział w wielkim święcie; zdecydowana na wszystko królowa podjudziła jego pijacką odwagę i nagle, na oczach oniemiałych z przerażenia tłumów, król podszedł do kobiet i usiadł z nimi! Tłumy patrzyły ze zgrozą, jak Liholiho sięga po jedzenie i pożywia się z jednej misy z kobietami! Straszne chwile wlokły się powoli, a król wciąż jadł – i wciąż żył; obrażeni bogowie nie razili go grozami! Była to rewelacja; zabobon setek pokoleń rozwiął się przed oczyma ludu jak obłok. Powietrzem zatrzęsł potężny okrzyk: „Nie ma tabu! Tabu złamane!”

Można powiedzieć, że w ten sposób król Liholiho wraz ze swą straszną whisky wygłosił pierwsze kazanie i przygotował drogę nowej Ewangelii, która płynęła na południe po wodach Atlantyku zdążając spieszenie ku wspom.

Gdy tabu zostało złamane i mimo strasznego świętokradztwa nie nastąpiła ogólna zagłada, Hawajczycy, jak zwykle pochopni, doszli do wniosku, że ich bóstwa są słabymi i nieudolnymi oszustami; w ten sam sposób doszli przedtem do wniosku, że kapitan Cook nie jest bo-

giem, ponieważ jęknął, i zabili go nie zastanawiając się, czy przypadkiem bóg nie ma prawa jęczeć – jeżeli przyjdzie mu na to ochota. Widząc, że bóstwa są bezsilne i nie mogą się bronić, zabrali się prędko do dzieła i obalili je – rąbiąc na kawałki, podpalając, rozbijając.

Pogańscy kapłani byli wściekli. I co się tu dziwić! Mieli najintratniejsze urzędy w kraju, a teraz stali się nędzarzami; byli możni – wodzowie im podlegali, a teraz stali się bezdomnymi włóczęgami. Podnieśli bunt; terrorem ściągnęli pod swoje sztandary pewną grupę ludności i bez trudu namówili Bekuokalaniego, ambitną latorośl królewskiego rodu, żeby objął dowództwo.

W pierwszej potyczce bałwochwalcy zwyciężyli wojska królewskie wysłane im naprzeciw i pewni siebie rozpoczęli marsz na Kailua. Król wysłał do nich parlamentarza i w ten sposób o mało co nie stracił jednego poddanego; dzicy nie tylko odrzucili jego propozycje pojednania, ale chcieli go zabić. Wtedy król wysłał wojowników pod wodzą Kalaimoku i oba zastępy spotkały się pod Kuamoo. Walka była długa i krwawa; jak zwykle kobiety walczyły ramię w ramię z mężczyznami, a pod wieczór buntownicy rozpierzchli się w panice. Bałwochwalstwo i tabu na Wyspach zostało ostatecznie złamane.

Armia królewska pomaszerowała wesolo do Kailua sławiąc ów nowy dowód. „Bogowie nie mają żadnej władzy! – powiadali. – Bogowie to kłamstwo i próżność. Armia niosąca obrazy bóstw była słaba. Armia nie mająca bóstw była silna i zwyciężyła!”

Naród nie miał teraz żadnej religii.

Niedługo potem przybił do brzegów statek z misjonarzami, przybił w opatrnościowej chwili i ziarno Ewangelii zostało posiane na grunt, można by rzec, dziewiczy.

XXXII. DZIWACZNE, GIGANTYCZNE MURY ŚWIĄTYNI

W południe wynajęliśmy kanaka, który za dwa dolary miał nas zawieźć czółnem do starożytnych ruin w Honaunau; jak na ośmiomilową przejażdżkę morzem cena nie była zbyt wygórowana.

Czółno hawajskie nie budzi zaufania swoim wyglądem. Naprawdę nie wiem, do czego je przyrównać – chyba najlepiej do wydrążonej łyżwy, ale i ten obraz nie daje właściwego pojęcia. Czółno ma piętnaście stóp długości, jest wysokie i spiczaste na obu końcach, głębokie na stopę czy półtorę, tak zaś wąskie, że gdyby posadzić w nim człowieka tęgiego, mógłby się już nigdy nie wydostać. Sterczy na wodzie jak kaczką, ale ma coś w rodzaju rei i jeżeli pasażerowie siedzą spokojnie, nie jest wywrotne. Ta reja składa się z dwóch długich i zagiętych pałaków przypominających ręczki pługa, które wystają z jednej burty; do ich końców przyczepiona jest wygięta deska zrobiona z niezwykle lekkiego drzewa, które ślizga się po powierzchni wody i zabezpiecza przed wywróceniem się na tę stronę, gdy tymczasem sam ciężar rei zabezpiecza czółno przed wywróceniem się na drugą stronę. Swoją drogą dopóki się nie przywyknie do siedzenia na tej brzytwie jak kura na grzędzie, dopóty chciałoby się mieć jeszcze przynajmniej jedną taką reję po drugiej stronie czółna. Ja siedziałem na dziobie, Billings w środku, twarzą zwrócony do kanaka, który siedział na rufie i wiosłował. Przy pierwszym uderzeniu wiosła ta zgrabna łupina odskoczyła od brzegu jak strzała wypuszczona z łuku. Krajobraz nie był ciekawy. Ale dopóki płynęliśmy po płytkiej wodzie laguny, mieliśmy nie lada rozrywkę patrząc w wodę na gruzły i grona rozgałęzień koralowych – ów niezrównany ogród morza. Ale rozrywka się skończyła, gdy wypłynęliśmy na ciemny błękit głębi. Za to widzieliśmy teraz przyływ bijący wściekle o zewnętrzną rafę i rozpryskujący białe bryzgi fal wysoko w powietrzu. Widok rafy też przykuwał naszą uwagę, była bowiem podziurkowana jak plaster miodu dziwaczными jamami, łukowymi otworami i tunelami i sprawiała wrażenie ruin dawnych domostw i zamków wynurzających się z niespokojnej toni. Kiedy ten widok przestał nas bawić nowością, zwróciliśmy oczy w kierunku lądu na wysoką górę o długich stokach porośniętą bujnym, zielonym lasem, który rozpościerał się aż po zasłone chmur w górze, na małe plamki domów w oddali i zmniejszony odległością żaglowiec kolebiący się na przystani. A gdy i to nas znudziło, rzuciliśmy się odważnie w sam środek ławicy ogromnych delfinów zajętych swą odwieczną zabawą: przeskakiwały łukiem przez grzbiet fali i znikwały w głębinie, a potem jeszcze raz i jeszcze raz... kręcąc się wciąż jak koła wodne. Ale delfiny odpłynęły i teraz zostaliśmy zdani na własne siły. Wystarczyło kilka minut, aby się zorientować, że słońce bucha żarem, powietrze zaś ma temperaturę wrzenia, a poza tym własności usypiające.

W jednym miejscu natknęliśmy się na sporą gromadę nagich krajowców obojga płci i w różnym wieku, oddających się narodowemu hawajskiemu sportowi – kąpieli. Te pogańskie dzieci słońca odchodziły trzysta lub czterysta jardów w głąb morza (niosąc krótką deskę), a potem zwróciwszy twarzą do brzegu czekali na szczególnie wysoką falę; w odpowiednim momencie rzucali deskę na pienistą grzywę, sami kładli się na deskę i przelatywali ze świstem ponad falą jak kula armatnia! Nie myślę, żeby ekspres mógł rozwinąć większą szybkość. Próbowałem kiedyś takiej jazdy na fali, ale się beznadziejnie skompromitowałem. Deskę rzuciłem, jak należy i we właściwej chwili, tylko sam na nią nie trafiłem. W trzy czwarte sekundy później deska grzotnęła o brzeg, nie obciążona żadnym ładunkiem, a w tym samym mniej więcej czasie ja grzotnąłem o dno obciążony dwiema baryłkami wody. Tylko krajowcy opanowują po mistrzowsku sztukę kąpieli w morzu.

Po godzinie, przebywszy odległość czterech mil, przybiliśmy do płaskiego wybrzeża; na rozległej przestrzeni wznosiły się tu starożytne ruiny i rosło wśród zwalisk wiele wysokich palm kokosowych. Było to starodawne Miasto Schronienia otoczone murami grubości dwudziestu stóp u podstawy i wysokimi na piętnaście; długi prostokąt o wymiarach tysiąc czterdzieści na prawie siedemset stóp. Wewnątrz tego ogrodzenia stały w dawnych czasach trzy prymitywne świątynie, każda o wymiarach dwieście stóp na sto, wysokie na trzysta stóp.

Gdy w tamtych czasach człowiek zabił na Wyspach człowieka, rodzina miała prawo pozabawić mordercę życia; rozpoczynała się wtedy pogoń będąca wyścigiem o życie i wolność. Wyjęty spod prawa zbrodniarz umykał przez bezdroża lasów, gór i równin, a jedyną jego nadzieją były bezpieczne mury Miasta Schronienia; żaden krwi mściciel cały czas następował mu na pięty! Niekiedy wyścig kończył się pod samymi bramami Miasta i zdyszana para mknęła wśród długiego szpaleru podnieconych krajowców, którzy z błyszczącym okiem i rozdętymi nozdrzami przyglądali się wyścigowi zachęcając uciekiniera ostrym, głośnym krzykiem i wznosząc potężny wrzask radości, gdy zamykały się za nim bramy, a wyczerpany mściciel padał na progu. Kiedy indziej uciekający zbrodniarz ginął z ręki swego prześladowcy u samych bram, gdy jeden jeszcze ułamek sekundy, jeden krok pozwoliłby mu stanąć na świętej ziemi i ochronił od wszelkich niebezpieczeństw! Skąd ci izolowani na Wyspach poganie zaczerpnęli ideę Miasta Schronienia, tak częstą w wierzeniach ludów wschodnich?

Nawet uzbrojeni buntownicy i armie najeźdźcze szanowały nietykalność tego sanktuarium. Gdy zbrodniarz, na którego głowę wyznaczono cenę, dostał się w obręb świętego miasta, a wypowiedawszy się przed najwyższym kapłanem otrzymał rozgrzeszenie, mógł się nie obawiać niczego i chodzić po świecie bezpiecznie, gdyż stanowił teraz tabu i skrzywdzenie go byłoby karane śmiercią. Buntownicy pokonani w ostatniej bitwie w obronie pogaństwa schronili się w świętym mieście i wielu znalazło tam ratunek.

Tuż pod murami, na rogu, stoi okrągła budowla z kamienia, wysoka na sześć czy osiem stóp, o średnicy około dwunastu stóp, u góry płaska. Było to miejsce egzekucji. Wysoka palisada z pni palmy kokosowej ukrywała krwawe sceny przed oczyma pospólstwa. Tutaj zabijano przestępców, obierano z kości i palono ich ciała, kości zaś utykano w szparach kamiennego kadłuba budowli. Gdy miał zginąć człowiek winny szczególnie ciężkiej zbrodni, całe jego zwłoki palono na stosie.

Mury miasta są pasjonującym polem badań; można tu znaleźć tę samą pożywkę dla rozważań, jakiej dostarczają turyście piramidy Egiptu. Jakim sposobem mógł je zbudować prymitywny lud nie posiadający wiedzy technicznej i nie mający pojęcia o mechanice? Hawajczycy nie wynaleźli własnego sposobu podnoszenia dużych ciężarów, nie mieli nigdy zwierząt pociągowych i nie wiedzą nic o właściwościach dźwigni. A przecież niektóre bloki lawy – wybrane z kamieniołomu, przeniesione po nierównym, wyboistym gruncie i wbudowane w ten mur na wysokości sześciu czy siedmiu stóp – są ogromne i ważą wiele ton. Jak je Hawajczycy przetransportowali i jak podnieśli?

Zarówno wewnętrzna jak i zewnętrzna powierzchnia murów jest gładka i stanowi chwalebny przykład dobrej murarskiej roboty. Bryły lawy, różnego kształtu i wielkości, są doskonale do siebie dopasowane i ułożone z największą starannością. Mur zwęża się od podstawy ku górze i ta pochyła linia jest doskonale utrzymana.

Przy układaniu kamieni nie użyto cementu, budowla jest jednak solidna i mocna i przez długie jeszcze wieki obroni się przed wichurami i murszeniem. Kto wybudował tę świątynię, jak ją wybudował i kiedy – wszystko to są tajemnice, które może nigdy nie zostaną rozwiązane.

Na zewnątrz starożytnych murów leży głaz o kształcie jakby trumny, o wymiarach jedenaście stóp na trzy, ważący kilka tysięcy funtów. Głaz przyniósł tu sobie na plecach i używał go potem jako kanapki wódz sprawujący władzę nad tym okręgiem. Okoliczność tę potwierdzają najbardziej wiarygodne źródła tradycji. Wódz wylegiwał się na tym kamieniu, cały czas pa-

trząc spod oka na swoich podwładnych, którzy dla niego pracowali, i pilnował, żeby nie było żadnego migania się od roboty. I na pewno nie było, bo wódz należał do ludzi o tego rodzaju budowie fizycznej, jaka zachęca pracownika do pilności. Miał czternaście czy piętnaście stóp wzrostu. Kiedy się wyciągnął jak długi na swej kamiennej ławeczce, nogi mu zwisały, a gdy chrapał, budzili się umarli. Jak już wspominałem, fakty te podaje najwiarygodniejsza tradycja.

Po drugiej stronie świątyni znajduje się monstrualnej wielkości głaz ważący najmniej siedem ton, długości jedenastu stóp, szerokości siedmiu i wysokości trzech stóp. Spoczywa on na kilku kamiennych podporach wysokości stopy lub dwóch. Nasz dobry znajomy, olbrzym od kamiennej kanapki, przyniósł go tutaj z gór – ot, dla zabawy (miał swoje własne oryginalne wyobrażenie o rozrywce) i ułożył głaz na podporach, jak go teraz widzimy i jak inni zobaczą go pewnie za sto lat, gdyż potrzeba by najmniej dwudziestu koni, żeby ruszyć go z miejsca. Podobno pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat temu dumna królowa Kaahumanu chroniła się pod tym głazem, ilekroć zrobiła awanturę swemu gwałtownemu mężowi i wołała poczekać, aż mu minie gniew. Ale ci kanakowie to straszni łgarze, czego ta opowieść jest klasycznym przykładem. Kaahumanu miała sześć stóp wzrostu, budowę wołu i istniało takie samo prawdopodobieństwo, że wciśnie się pod tę skałę, jak że przejdzie między cylindrami w fabryce cukru.

Przez blisko milę szliśmy po bitej drodze wybrukowanej płaskimi kamieniami i dowodzącej każdym szczegółem, że jej budowniczości posiadali znaczne kwalifikacje inżynierskie. Niektórzy powiadają, że mądry stary poganin Kamehameha Wielki sporządził plany i kazał wybrukować drogę; inni znów dowodzą, iż została zbudowana tak długo przed jego panowaniem, że tradycja nie wspomina nawet, kto był jej konstruktorem. Tak czy inaczej, jako dzieło rąk ludu prymitywnego i żyjącego na bardzo niskim stopniu rozwoju droga budzi duże zainteresowanie. Płyty są wytarte i gładkie i w niektórych miejscach rozdzielone szparami, tak że droga wygląda jak kopia owych brukowanych gościńców prowadzących do Rzymu, które się widuje na ilustracjach.

Celem naszej pieszej wędrówki był dziw natury znajdujący się u stóp pagórków: zastygła kaskada lawy. Dawno zapomniany wybuch wulkanu wyrzucił szeroką rzekę ognia w dół stołu i potężny strumień runął przez nawis skalny z wysokości pięćdziesięciu stóp na ziemię. Silne wiatry morskie ochłodziły ów ognisty potok, który spieniony i pokryty bąblami dochował się do dziś jak skamieniała Niagara. Wygląda niezwykle malowniczo, a ponadto tak naturalnie, iż wydaje się, że wciąż płynie. Mniejszy strumień skąpał ze skały tworząc samotnie stojącą piramidę wysokości trzydziestu stóp, która sprawia wrażenie splecionych i splątanych, pokrytych sękami korzeni i łodyg.

Gdy weszliśmy za skamieniały strumień, okazało się, że skała jest pokryta pieczarami i tunelami, krętymi i wrzynającymi się głęboko w ścianę.

Dwa spośród tych krętych tuneli mogą służyć za przykład górniczych umiejętności natury. Podłogi są równe, sufity łagodnie sklepione, szerokość wynosi około siedmiu stóp. Z wysokością natomiast jest różnie. Przeszliśmy jednym z tych tuneli ponad sto stóp; prowadzi on pod szczytem pagórka, kończy się zaś otworem w pionowej ścianie skalnej, której podnóże obmywają fale oceanu. Szliśmy przez ten tunel bardzo wygodnie i tylko miejscami musieliśmy się schylać. Sufit nabity jest gęsto ostrymi sopolkami lawy długości cala, które kapiąc zastygały w tym kształcie. Rozłożone są tak gęsto i tak równomiernie jak żelazne zęby wialni i idąc można sobie za darmo uczesać włosy.

XXXIII. KILAUEA, CZYLI SŁUP OGNI

Wróciliśmy na pokład punktualnie i statek popłynął zaraz do Kau, gdzie wysiedliśmy na ląd żegnając się na dobre z „Bumerangiem”. Nazajutrz kupiliśmy konie i puściliśmy się w drogę przez piękne w swej letniej szacie tarasy górskie w kierunku wielkiego wulkanu Kilauea. Droga trwała prawie dwa dni, ale to dlatego, żeśmy się nie śpieszyli. Na drugi dzień po zachodzie słońca znajdowaliśmy się na wysokości dwóch tysięcy stóp i gdyśmy się posuwali ostrożnie, wyszukując drogę wśród falistych pustkowi lawy stwardniałej i zastygłej przed wielu wiekami w szczytowym momencie wulkanicznej furii, ujrzelśmy pierwsze oznaki bliskości wulkanu: postrzępione szczeliny w pokładzie lawy, z których strzelały w górę opary siarczane – gorące wyziewy płynnego oceanu we wnętrzościach ziemi.

Niebawem zobaczyliśmy krater. Widziałem od tego czasu Wezuwiusz, ale w porównaniu z tym wulkanem była to zwykła zabawka, dziecinny wulkanik, kociołek z wrzącą zupą. Wezuwiusz jest zgrabnym pagórkiem wysokości trzech tysięcy sześciuset stóp, a jego krater ma kształt odwróconego stożka głębokiego na trzysta i o średnicy najwyżej tysiąca stóp. Ale wulkan Kilauea jest gigantycznym lochem o pionowych, kamiennych ścianach, głębokim w niektórych miejscach na dziewięćset, w innych na tysiąc trzysta stóp, o płaskim, równym dnie i obwodzie dziesięciu mil! Ziała ku nam kolosalna jama, na której dnie mogły rozbić obóz armie rosyjskie i jeszcze zostałyby sporo wolnego miejsca!

Po drugiej stronie otchłani, uczepona krawędzi krateru, stała niewielka „ambona”, domek, skąd turyści oglądali wspaniałe widoki. Ambona pomogła nam pojąć i ocenić rozmiar i głębię otchłani – wyglądała jak gniazdo jaskółcze uczeponie pod okapem dachu katedry. Odpoczywaliśmy chwilę patrząc i dumając, a potem pośpieszyliśmy do hotelu.

Odległość z hotelu „Pod Wulkanem” do ambony wynosi ścieżką pół mili. Zjedliśmy obfitą kolację, a gdy zrobiło się ciemno, wyruszyliśmy do krateru. Jedno spojrzenie w tamtym kierunku objawiło nam obraz wprost nieprawdopodobnej piękności. Nad kraterem wisiał gęsty opar, wspaniale iluminowany od spodu jaskrawym czerwonym blaskiem. Iluminowany obłok miał dwie mile długości i chyba milę wysokości, a jeśli zobaczysz kiedyś, czytelniku, ciemną nocą i z pewnego oddalenia, lunę pożaru palących się jednocześnie trzydziestu czy czterdziestu domów, będziesz wiedział mniej więcej, jak wyglądały te opary!

Kolosalny słup chmur wznosił się tuż nad kraterem, a zewnętrzne krawędzie jego ogromnych, kłębiastych załomów lśniły jaskrawą czerwienią, która w miejscach zagłębień bladła i przybierała delikatną, różową barwę. Słup żarzył się jak przygaszona pochodnia sięgająca zawrotnych, podniebnych wysokości. Pomyślałem, że może nie widziano mu podobnego, odkąd dzieci Izraela wędrowały przed wiekami przez pustynię ścieżką oświetloną tajemniczym „słupem ognistym”. Byłem pewien, że wiem już teraz, jak wyglądał ów majestatyczny „słup ognisty”, i myśl ta była dla mnie objawieniem.

Weszliśmy do małej, przykrytej strzechą ambony i oparłszy łokcie na parapecie spojrzeliśmy w dal poprzez szeroki krater i w dół pionowego urwiska na syczące ognie pod nami. W porównaniu z tym widokiem zbladły moje dzienne doznania. Obejrzałem się, żeby zobaczyć, jak reagują na to widowisko moi towarzysze, i ujrzałem gromadkę najczerwieńszych na twarzy ludzi, jakich widziałem w życiu! W silnym blasku każda twarz żarzyła się jak rozgrzane do czerwoności żelazo, każde ramię płonęło purpurą rozpierzchającą się dalej w rozedrganym, bezkształtnym mroku. Otchłań w dole wyglądała jak kręgi piekielne, a ci ludzie jak gromadka diabłów, którzy dopiero co dostali urlop i jeszcze niezupełnie wystygli.

Zwróciłem znów oczy na wulkan. Studnia była dość dobrze oświetlona. Na przestrzeni

półtorej mili przed nami i pół mili w prawo i lewo dno otchłani jarzyło się najwspanialszą iluminacją; dalej opary zwiesiły swoje gazowe zasłony rzucając na wszystko zwodniczy mrok, który sprawiał, że migotliwe ognie w dalekich kątach krateru zdawały się być oddalone o wiele mil – jak ogniska obozowe potężnej armii migocące gdzieś w ogromnym oddaleniu. Jakże widok ten podniecał wyobraźnię! Można sobie było wyobrazić, że te ognie są oddalone od nas o cały kontynent, że ukryte pod dzielącą nas od nich ciemnością leżą pagórki, kręte rzeki oraz nużące swą monotonią płaskie równiny i pustynie, a mimo to bezkresne perspektywy ciągną się hen, hen – do ognia i jeszcze dalej! Nie dawało się wymierzyć tej przestrzeni – była to wieczność nagle uchwytna i realna, a gołe oko dostrzegało jej kres!

Większość rozległego dna pustyni pod nami była czarna jak atrament, pozornie gładka i równa; ale ponad milę kwadratową przecinały pasma, pręgi i smugi tysiąca rozgałęzionych strumieni płynnego, oślepiającego, jaskrawego ognia! Wyglądało to jak kolosalna mapa kolejowa Massachusetts wyrysowana lampionami na czarnym tle nieba. Wyobraźcie sobie – wyobraźcie sobie czarne jak węgiel niebo rozedrgane splątana siecią ognia!

Tu i tam widniały żarzące się jamy o średnicy stu lub więcej stóp wykruszone w ciemnej skorupie, a w ich wnętrzu masy ciekłej lawy – oślepiąco białej – wrzały i bulgotały wściekle. Z tych jam rozchodziły się we wszystkich kierunkach odnogi jaskrawych strumieni – podobne do szprych koła – i biegły jakiś czas niemal po linii prostej, aby potem skręcić nagle wielkim łukiem lub rozsypać się w zygzaki najstraszliwszych błyskawic. Te strugi spotykały inne strugi i łączyły się, splatały, przecinały we wszystkich możliwych kierunkach jak ślady łyżew na uczęszczanej tafli lodowej. Niekiedy potoki szerokości dwudziestu lub trzydziestu stóp wypływały z jam i przez lornetki widzieliśmy, że płyną w dół małych, stromych wzgórków tworząc wodospady ognia – białe w miejscu ujścia, stygnące jednak prędko i zmieniające się w najżywszą czerwień przetykaną na zmianę niemi żłota i czerni. Co jakiś czas kruszyły się płaty ciemnej skorupy i spływały tymi potokami jak tratwy po rzece. Niekiedy ciekła lawa płynąca pod zamknięciem skorupy wydostawała się na zewnątrz, pękała oślepiającą linią jak błyskawica długości pięciuset lub tysiąca stóp i wtedy kruszył się akryl po akrylu zimnej lawy, rozpadał na kawały, które jak kra na wielkiej rzece przelewały się na bok, zanurzały, a potem ginęły pochłonięte przez purpurową masę. Rozległy obszar ruszonej „odwilżą” rzeki żarzył się jakiś czas, ale niebawem stygł i znów był czarny i płaski. Niektóre strumienie lawy wołały łączyć się w fantastycznie splątane koła; wyglądały wtedy jak gmatwanina lin na pokładzie statku tuż po zwinięciu żagli i zarzuceniu kotwicy – jeżeli ktoś potrafi sobie wyobrazić te liny płonące.

Pięknie wyglądały widziane przez lornetki małe fontanny lawy. Wrzały, parskaly, pluły i wyrzucały w powietrze bryzgi czerwonego ognia – konsystencji, powiedzmy, musu z jabłek – na wysokość od dziesięciu do piętnastu stóp, wraz z deszczem błyszczących białych iskier. Było to jakieś dziwne i nienaturalne połączenie bryzgów krwi z płatkami śnieżnymi.

Patrzyliśmy na koła, spirale, pasma i pręgi błyskawic – zgmatwane, skręcone, skłębione, pokrywające splątana siecią ponad milę kwadratową dna i odczuwaliśmy miłą radość na myśl, że minęły długie lata, odkąd ktokolwiek oglądał tak wspaniałe widowisko, odkąd ktokolwiek oglądał widok ciekawszy niż smutnie teraz pomniejszone Południowe i Północne Jeziora lawy. Przeglądaliśmy po południu stare roczniki hawajskich gazet i księgę pamiątkową hotelu i rozpierała nas duma.

Widziałem Jezioro Północne na dalekim krańcu horyzontu, połączone z piekłem pod nami pajęczą siecią strumyków lawy. Ono samo nie sprawiało na widzu większego wrażenia niż – powiedzmy – paląca się smoła. To prawda, że jezioro miało około dziewięciuset stóp długości i około trzystu szerokości, ale nic dziwnego, że w tym stanie rzeczy wyglądało nieszczerólnie; zresztą znajdowało się tak od nas daleko.

Zapomniałem powiedzieć, że jeśli idzie o efekty dźwiękowe, wrzenie lawy w kraterach nie robi dużego wrażenia, zwłaszcza że słyszeliśmy je z wysokości naszej podniebnej ambony.

Rozróżnić można trzy dźwięki: szmer, syczenie i prychnanie czy kasłanie. Gdy się zamknie oczy, można sobie bez trudu wyobrazić, że jedzie się rzeką na pokładzie dużego parowca i słyszy syczenie pary w kotłach, parskanie rur wydechowych i szmer wody wybijanej śrubami ku rufie. Zapach siarki jest silny, ale dla grzesznika niezbyt przykry.

Opuściliśmy naszą ambonę około godziny dziesiątej na pół upieczeni od żaru bijącego z pieców Pele, hawajskiej bogini wulkanów. Noc była tak zimna, że wracaliśmy do hotelu otuleni w pledy.

XXXIV. WYPRAWA NA DNO KRATERU

Wieczór dnia następnego poświęciliśmy na zwiedzanie dna krateru; chcieliśmy dotrzeć dołem do odległego o dwie mile Północnego Jeziora, które znajdowało się bliżej przeciwległej ściany. O zmroku wyruszyliśmy w sześciu, z latarniami i gromadką przewodników hawajskich i po zwariowanej, przeraźliwie stromej ścieżce biegnącej żłebem wyżłobionym w ścianie krateru dotarliśmy bezpiecznie na dno.

Wczorajszy wybuch wyładował całą swoją siłę i dno było dzisiaj czarne i pozornie wystygłe; ale po kilku krokach poczuliśmy silne ciepło pod stopami i zobaczyliśmy szpary w dnie, przez które groźnie błyskały ognie. Pobliski kocioł wyglądał tak, jakby miał za chwilę wykipieć, co stawiało sens wyprawy pod tym większym znakiem zapytania. Hawajscy przewodnicy oświadczyli, że nie pójdą dalej, a wtedy zrezygnowali z wycieczki wszyscy prócz pewnego nieznanego nazwiskiem Marlette. Powiedział, iż za dnia był w kraterze najmniej dziesięć razy, i przypuszcza, że nie zabłądzi nocą. Jego zdaniem najdalej po trzystu jardach wydostaniemy się na dno chłodniejsze nie spaliwszy po drodze zelówek. Odwaga tego człowieka tak na mnie podziałała, jakby mi kto dodał ostrogi. Wziąwszy jedną latarnię poleciliśmy przewodnikom umocować drugą na dachu ambony, aby służyła za latarnię morską w razie zabłądzenia; potem towarzystwo zawróciło, a my z panem Marlette ruszyliśmy w drogę. Przebiegliśmy szybko przez gorącą część dna i ziejące ogniem szczeliny i wydostaliśmy się bezpiecznie – acz z mocno rozgrzanymi podszwami – na zimną lawę. Potem wędrowaliśmy sobie dość wygodnie i miło przeskakując przez niezbyt szerokie i prawdopodobnie bezdenne otchłanie i okrążając z ogromną ufnością malownicze wzgórki lawy. Gdy kocioł z wrzątkiem pozostał daleko w tyle, ogarnęło nas uczucie, jak byśmy byli na posępnej pustyni i to przytłaczająco czarnej pustyni, zamkniętej ze wszystkich stron ledwie zarysowanymi w mroku ścianami, które zda się wyrastały aż ku niebu. Jedynym weselszym akcentem były gwiazdy migoczące wysoko nad nami.

Nagle Marlette wrzasnął: „Stać!” Nigdy w życiu nie zatrzymałem się w miejscu raptownie. Spytałem, co się stało. Powiedział, że zesliśmy ze ścieżki i zmylili drogę, że nie wolno nam zrobić ani kroku dalej, dopóki nie natrafimy na ślad ścieżki, bo wszędzie dookoła są płyty zmurszałej lawy, które mogą się pod nami zapaść, a wtedy polecimy tysiąc stóp w głąb ziemi. Pomyślałem, że na moje potrzeby wystarczy zupełnie osiemset, i już miałem to powiedzieć, gdy nagle Marlette zapadł się aż po pachy, czym dowiódł częściowo prawdziwości swego twierdzenia. Wydostał się i przyświecając sobie latarnią zaczęliśmy szukać ścieżki. Marlette powiedział, że ścieżka jest jedna, a jej ślad bardzo niewyraźny. Wszystkie nasze wysiłki były daremne. W świetle latarni lawa wydawała się wszędzie taka sama. Ale Marlette należał do ludzi pomysłowych. Powiedział, że to nie światło latarni pozwoliło mu się zorientować, iż zgubiliśmy drogę, tylko jego stopy. Pod nogami poczuł szorstki, trzeszczący żwir wulkaniczny i jakiś instynkt go ostrzegł, że na wydeptanej ścieżce nie ma tego żwiru. Odstawił więc latarnię i zaczął szukać nogami zamiast oczyma. Mądrze postąpił. Gdy pierwszy raz dotknął stopą lawy, która nie trzeszczała, okazał, że znalazł ścieżkę. Potem cały czas nadstawialiśmy uszu, czy nie rozlegnie się szorstki chrobot, który kilkakrotnie ratował nas od zbłądzenia.

Droga była długa, ale niezmiernie interesująca. Dotarliśmy do Północnego Jeziora między dziesiątą a jedenastą i usiedliśmy na ogromnej, zawieszanej nad przepaścią półce lawy — zmęczeni, ale bardzo zadowoleni. Widok, który się roztoczył przed naszymi oczyma, wart był dwa razy dłuższej drogi. Pod nami buzowało morze płynnego ognia, zda się bez kresu. Bił od

niego blask tak oślepiający, że minęła spora chwila, zanim oczy nam przywykły i mogliśmy spojrzeć w dół. Miałem wrażenie, iż patrzę w tarczę słońca w samo południe, z tą tylko różnicą, że blask nie był tak biały. Dokoła jeziora, w nierównych odstępach, stały rozgrzane do białości kominy czy też kotły lawy, wysokie na dziesięć lub piętnaście stóp; strzelały z nich w górę jaskrawe bryzgi lawy – jedne białe, inne czerwone, jeszcze inne złote; wspaniałość tego widoku urzekła i więziła oko. Dalsze ogniste fontanny wytryskujące za pajęczą zasłoną oparów wydawały się odległe o wiele mil, a im bardziej oddalała się od nas kolista linia tych fontann, tym wydawały się nam piękniejsze i bardziej feeryczne.

Od czasu do czasu falujące łono ognistego jeziora pod nami nieruchomiało złowróżbnie, jakby zbierając siły do nowych wyczynów, i potem nagle czerwona bryła lawy wielkości przeciętnego domu wyskakiwała w górę – niczym uciekający balonik – aż wnętrza jej ulatniał się jasnozielony kłębek pary i pomknąwszy w górę nił w ciemności jak dusza uwolniona z piekielnych otchłani, gdzie pokutowała za grzechy z innymi potępieńcami. Gdy rozkruszona bryła wpadała znów ze strasznym impetem do jeziora, wrzące fale biły o brzegi poruszając w posadach nasze podniebne siedlisko. W pewnej chwili część nawisu półki, na której siedzieliśmy, runęła do jeziora, a wstrząs, który przy tym nastąpił, przypominał trzęsienie ziemi. Mogło to być ostrzeżenie dla nas – ale mogło i nie być. Nie czekaliśmy, żeby się przekonać.

W drodze powrotnej znowu zbłądziliśmy i przez godzinę szukaliśmy ścieżki. Z miejsca tego widać było latarnię zawieszoną na dachu ambony, ale myśleliśmy, że to jest gwiazda i nie zwróciliśmy na nią uwagi. Do hotelu dotarliśmy o drugiej w nocy, potwornie zmęczeni.

Kilauea nie wypełnia nigdy po brzegi swego ogromnego krateru; gdy trzeba, draży ujście dla swej lawy w stoku góry. Spustoszenie w takich wypadkach jest straszne. W roku 1840 pękł jej nadmiernie wypełniony brzuch i szeroka rzeka ognia runęła ku morzu zmiatając lasy, chaty, plantacje i wszystko, co stało na drodze. Rzeka lawy miała miejscami szerokość pięciu mil, głębokość dwustu stóp, przebyła zaś odległość czterdziestu mil. Odrywała i niosła płyty ziemi o powierzchni akra – z nienaruszonym układem skał i drzew. Od strony morza widać było nocą jej czerwoną łunę z odległości stu mil, a w odległości czterdziestu mil można było o północy czytać drobny druk przy jej blasku. Powietrze było zatrute wylotami siarki i gęste od opadających popiołów, pumeksu i zgliszczy; niezliczone słupy dymu wzbijały się w górę i łączyły w jeden gigantyczny baldachim, który zakrywał niebo i żarzył się czerwonym refleksem ogni w dole; tu i tam tryskały w niebo na wysokość setek stóp fontanny lawy pękające jak pociski i spadające na ziemię czerwonym deszczem. A cały czas rodząca lawę góra trzęsła się w straszliwych konwulsjach i wyrażała swoje cierpienie jękami i stłumionym hukem podziemnych grzmotów.

Tam gdzie lawa wpadała do morza, wyginęły ryby na przestrzeni dwudziestu mil od brzegu. Samo trzęsienie ziemi przyniosło trochę strat w ludziach, a potężna fala przyływu wdarła się w ląd niszcząc osiedla i topiąc krajowców. Spustoszenie na drodze, którą przeszła lawa, było zupełne. Brakowało tylko Herculanium i Pompei u stóp Kilauea, aby historia wybuchu stała się nieśmiertelna.

XXXV. ZARABIAM NA SPRZEDAŻY MUŁA

Objechaliśmy konno całą wyspę Hawai (kręta i wijąca się droga miała ponad dwieście mil) i byliśmy zachwyceni wycieczką. Trwało to ponad tydzień, bo nasze kupione od kanaków konie nie opuściły ani jednego domu czy chaty, żeby się przy nich nie zatrzymać – szpicruta ani ostrogi nie wpływały na zmianę ich decyzji; w końcu doszliśmy do wniosku, że tracimy mniej czasu, gdy im się nie sprzeciwiamy. Wkrótce wyjaśniono nam tajemnicę: krajowcy są niepoprawnymi gadułami i zatrzymują się przy każdym domu, żeby poplotkować; drogą prostej dedukcji ich konie dochodzą do wniosku, że jest to główne zadanie człowieka i nieodzowny warunek zbawienia. Jednakże kiedyś, w bardzo ważnym momencie mego życia, wziąłem pewną nader arystokratyczną damę na przejażdżkę powozikiem zaprzężonym w konia, który przeszedł właśnie na emeryturę po długiej i chwalebnej karierze jako siła pociągowa wozu z mlekiem; dlatego obecne przeżycia zbudziły we mnie wspomnienia okryte mgiełką smutku miast naturalniejszej w takich okolicznościach pasji. Pamiętam, jak bezradny czułem się tego dnia i jak upokorzony; jak się wstydziłem, iż zaledwie przed godziną dałem dziewczynie do zrozumienia, że ten koń należy do mnie od lat i że jestem przyzwyczajony do pańskiego życia; jak starałem się być swobodny, a nawet wesoły, chociaż cierpienie porażało mi duszę; jak łagodnie a zjadliwie uśmiechała się dziewczyna, podczas gdy gorące rumieńce najpierw piekły mi policzki, a w końcu zapiekły mi twarz w krwawą leguminę; jak koń drepotał z jednej strony ulicy na drugą i czekał wyrozumiale dwie i ćwierć minuty pod co trzecim domem, chociaż okładałem mu grzbiet szpicrutą i przeklinałem go w duchu; jak na próżno starałem się mu przeszkodzić, gdy skręcał w boczną ulicę; jak stawałem na głowie, żeby go wyprowadzić za miasto, i jak mi się to nie udało; jak objeżdżał całe osiedle dostarczając wymyślane mleko do stu sześćdziesięciu dwóch domów i jak w końcu zatrzymał się przed mleczarnią miejską i za nic na świecie nie chciał się ruszyć dalej, stawiając w ten sposób kropkę nad „i” i nie pozostawiając ani cienia wątpliwości co do plebejskiego charakteru swoich życiowych zatrudnień; jak wśród milczenia odprowadziłem dziewczynę piechotą do domu i jak słowa, które wypowiedziała przy pożegnaniu, spopielily mi duszę. Powiedziała, że mój koń jest naprawdę wspaniałym, mądrym zwierzęciem i że na pewno bardzo mi zawsze pomagał w pracy; gdybym jednak następnym razem wziął kwitki na mleko i udawał, że je rozwożę po domach, może by to zwiększyło trochę jego tempo. Muszę przyznać, że od tego czasu panował między nami pewien chłód.

W jednym miejscu na wyspie zobaczyliśmy pienisty wodospad kryształowej wody spadający w przepaść skalną głębokości stu pięćdziesięciu stóp; ale tego rodzaju widoki mają swego sprzymierzeńca bardziej w arytmetyce niż w efektach wzrokowych. Jeżeli ktoś pragnie się tak wzruszyć poematem przyrody powstałym ze szczęśliwie skomponowanych uroków malowniczych skał, dalekich perspektyw, liści, barwy, gry światła i cieni oraz spadającej wody, żeby aż łzy napłynęły mu do oczu, nie musi w tym celu wyjeżdżać z Ameryki. Wodospad Tęczowy w Watkins Glen (stan Nowy Jork) przy trasie kolejowej do Erie jest najlepszym tego przykładem. Efekt zmniejszy się jednak do żalonych rozmiarów nicości, jeżeli gruboskórny turysta zacznie go oceniać za pomocą cyfr; gdyby jednak widok ów mógł stanąć do konkursu o piękno i wdzięk krajobrazu, do którego wszystko, co oszołamiające, gigantyczne i sławne nie byłoby dopuszczone – niewielu miałby groźnych konkurentów tak w starym świecie, jak w nowym.

W jednym osiedlu po drodze widzieliśmy konie urodzone i wyhodowane na szczytach gór, powyżej linii wód, konie owe nie piły nigdy tego płynu i były przyzwyczajone gasić pragnie-

nie liśćmi nasiąkniętymi rosą lub deszczem. Obwąchiwały podejrzliwe wiadro wody, a potem wsuwały pyski usiłując ugryźć ciecz, jakby to było ciało stałe. Przekonawszy się, że mają przed sobą płyn, odrzucały gwałtownie łby, drżały, prychały i zdradzały inne oznaki strachu. Kiedy przekonały się w końcu, że woda jest przyjazna i nieszkodliwa, wsuwały pyski aż po oczy, nabierały wody i zaczynały ją żuć! Widziałem, jak jeden z krajowców przez dziesięć minut namawiał łagodnie, a potem okładał szpicrutą i bódł ostrogami konia, żeby go zmusić do przekroczenia strumyka. Koń rozdymał chrapy, rozszerzał ślepią i drżał gwałtownie – biorąc zapewne strumyk za węża!

W Kawaihae nasza podróż dobiegła końca. Odbyłem ją nie tyle konno, ile na grzbiecie muła. Zapłaciłem za niego dziesięć dolarów w Kau, podkułem za cztery, przejechałem na nim dwieście mil i sprzedałem za piętnaście dolarów. Zapisuję tę okoliczność białym kamieniem (w braku kredy, nigdy bowiem nie zdarzyło mi się widzieć białego kamienia, którym człowiek mógłby cokolwiek zapisać, chociaż z szacunku dla starożytnych próbowałem wielokrotnie). A dlatego zapisuję ją białym kamieniem, że jest to do dziś moja pierwsza i ostatnia ściśle handlowa transakcja, z której wyszedłem zwycięsko. Po powrocie do Honolulu popłynęliśmy na wyspę Maui, gdzie spędziliśmy kilka przemiłych tygodni. Do dziś wspominam wycieczkę i piknik w gardzieli romantycznego wąwozu Iao. Ścieżka wiodła nad samym brzegiem potoku szemrzącego na dnie doliny – cienista droga przykryta zielonym dachem leśnych drzew. Przez szpary w listowiu migały nam malownicze widoki, wciąż nowe, wciąż pełne czaru. Pionowe ściany wznoszące się na wysokość niekiedy tysiąca, kiedy indziej trzech tysięcy stóp strzegły ścieżki z obu stron i były hojnie ustrojone różnym listowiem i falistymi łańcuchami paproci. Strzępy wędrujących chmur ciągnęły za sobą cienie po tych rozslonecznionych stokach znacząc je centkami intensywniejszej zieleni; ostre szczyty ginęły za kłębiastymi zwalami białego oparu, wysoko nad oparami lśniły za białym woalem zielone, poszarpane skały jak wyspy odpływające we mgle. Niekiedy zasłona chmur schodziła aż do połowy stoku, potem stopniowo rozdierała się w strzępy ukazując tu i tam mglistą smugę zielonej gęstwiny, a potem nagle unosiła się jakby zdmuchnięta ukazując zбочe w całej chwale słonecznego blasku. Od czasu do czasu wyskakiwały nagle przed nami skalne bastiony – niby ruiny murów i zapadłe wieżycy porośnięte mchem i obwieszane girlandami dzikiego winogrodu – i zaraz potem znów znikwały za zasłoną z liści. Niebawem wyłoniła się spoza zakrętu sięgająca tysiąca stóp iglica skalna przybrana zielenią, jak kolos strzegący tajemnic doliny. Pomyślałem, że jeśli kapitan Cook ma mieć pomnik, tu oto stoi gotowy do wykorzystania; czy nie lepiej wyrycić jego imię na tej skalnej iglicy i sprzedać na opał czcigodny kadłub palmy kokosowej?

Ale wyspa Maui szczyci się najbardziej swoim wygasłym wulkanem Haleakala, co znaczy po hawajsku „dom słońca”. Któregoś dnia po południu wspięliśmy się na stok tego samotnego kolosa i na wysokości tysiąca stóp rozbiliśmy obóz. Nazajutrz przebyliśmy pozostałe dziewięć tysięcy stóp i stanawszy na szczycie rozpaliliśmy ognisko. Całą noc to piekliśmy się, to znów marzli. Zerwawszy się z pierwszym brzaskiem, zobaczyliśmy widoki zgoła dla nas nowe. Z wysokości górującego nad okolicą szczytu patrzyliśmy na dokonujące się w milczeniu cudy natury. Z obu stron rozpościerało się pod nami morze; widziana z tej odległości jego wzburzona powierzchnia zdawała się gładka i z lekka tylko pocięta zmarszczkami. Rozległa dolina u naszych stóp wyglądała jak ogromnych rozmiarów szachownica: aksamitne, zielone plantacje cukru na przemian z jałowymi prostokątami wydm piaszczystych i gajami drzew zmniejszonymi do rozmiaru puszystych kepek mchu; za doliną wyrastały malownicze łańcuchy gór. Ale teraz słuchajcie: wydało nam się, że widok ten rozciąga się nad nami – nie pod nami. Mieliśmy wrażenie, iż siedzimy na dnie symetrycznej misy głębokiej na dziesięć tysięcy stóp, a dolina i morze znajdują się gdzieś w niebie, wysoko nad nami. Było to naprawdę zdumiewające; nie tylko zdumiewające, ale irytujące. Okazało się, że cały nasz trud był daremny – wspięliśmy się na wysokość dziesięciu tysięcy stóp, po to, żeby spoglądać na krajobraz w górę! Musieliśmy się z tym jednak pogodzić i robić dobrą minę do złej gry, bo choć-

byśmy stawali na głowie, i tak nie zdołalibyśmy ściągnąć naszego widoku z chmur na ziemię. Czytałem kiedyś artykuł, w którym Poe opisywał owo szczególne złudzenie optyczne zachodzące na izolowanych dużych wysokościach, ale pomyślałem, że jest to wytwór jego wyobraźni.

Wspominałem o widoku zewnętrznym, ale mieliśmy też widok wewnętrzny – zięjący otwór wygasłego krateru; od czasu do czasu wrzucaliśmy w tę otchłań głązy wielkości połowy beczki i obserwowaliśmy ich spadek w dół niemal pionowej ściany. Przeskakiwały w ogromnych susach po trzysta stóp na raz wzbijając chmury pyłu, ilekroć uderzyły o ścianę; były coraz mniejsze i mniejsze, aż niknęły nam z oczu, i tylko małe kłębki pyłu zdradzały ich bieg; w końcu nieruchomiały na dnie otchłani głębokiej na dwa i pół tysiąca stóp! Była to wspaniała rozrywka. Bawiliśmy się do upadłego.

Jak już wspominałem, głębokość krateru Wezuwiusza wynosi tysiąc stóp, obwód około trzech tysięcy stóp; krater Kilauea jest trochę głębszy i ma dziesięć mil obwodu. Ale! cóż to znaczy w porównaniu z przepastnym brzuchem Haleakala? Nie podam moich obliczeń, tylko dane oficjalne, to jest komandora Wilkesa z Marynarki Stanów Zjednoczonych, który przeprowadziwszy pomiary stwierdził, że Haleakala ma dwadzieścia siedem mil obwodu! Gdyby jego dno było płaskie, zmieściłoby się na nim miasto wielkości Londynu. Cóż to musiał być za widok, gdy w dawnych czasach piece tego wulkanu dawały upust wściekłości!

Niebawem wysoko nad doliną i morzem pokazały się przelotne wędrujące chmurki. Po chwili nadpłynęło ich więcej – po dwie, całe gromadki, potem imponujące bataliony i pułki. Łącząc się stopniowo utworzyły zbitą ławicę o tysiąc stóp poniżej i zasłoniły nam ziemię i morze – nie widzieliśmy nic, absolutnie nic oprócz niewysokiego rąbka krateru zataczającego ogromny krąg u naszych stóp (bo upiorne szeregi wędrowców przedarły się z zewnątrz przez szczelinę w ścianie krateru i maszerowały w, koło, i w koło, zbijały się, opadały w dół i mieszały ze sobą, aż w końcu otchłań wypełniła się po brzegi wełnistą mgłą). Teraz ustał wszelki ruch i zapanowała cisza. Mila za milą ciągnęła się aż po horyzont; śnieżna podłoga; nie była płaska i równa, lecz falista, skłębiona, poprzecinana siecią płytkich rowków, z tu i tam wznoszącymi się dumnie ku górze budowlami z mgły – niektóre tuż obok, inne gdzieś pośrodku, jeszcze inne na dalekich krańcach rozpraszały monotonię pustkowia. Milczeliśmy, bo wspaniała widok onieśmielał. Czułem się jak ostatni z ludzi na świecie, pominięty w dniu sądu i pozostawiony w pół nieba – zapomniany relikw z zaginionego świata.

Jeszcze trwała cisza, a już pojawili się na wschodzie zwiastunowie nadchodzącego zmartwychwstania. Fala ciepła objęła horyzont i niebawem słońce wynurzyło się spoza krawędzi i spojrzało na pustynię chmur, przecięło ją smugami czerwonego światła, zabarwiło rumieńcem fałdy i pagórki, wypełniło purpurą ocienione zagłębienia między nimi i upiękaczyło mgielne pałace i katedry wprost marnotrawnym bogactwem wszystkich tonów czerwieni.

Był to najwspanialszy widok, jaki oglądałem w życiu, i pewien jestem, że będę go pamiętał do końca moich dni.

XXXVI. MARKISS, KRÓL ŁGARZY

Na wyspie Maui natykałem się co krok na bardzo dziwnego typu. Z czasem stał się dla mnie źródłem prawdziwej irytacji. Pierwszy raz zobaczyłem go na sali baru w mieście Lahaiana. Siedział na krześle po drugiej stronie pokoju i przez kilka minut z takim zainteresowaniem przyglądał się naszemu towarzystwu i z taką uwagą przysłuchiwał się naszej rozmowie, jakby mu się zdawało, że mówimy do niego i czekamy na odpowiedź. Pomyślałem, że musi to być człowiek bardzo towarzyski. W pewnej chwili wypowiedziałem uwagę odnoszącą się do diskutowanego tematu; wypowiedziałem ją ze stosowną skromnością, nie było w niej bowiem nic nadzwyczajnego i miała służyć tylko jako ilustracja omawianej sprawy. Zaledwie zamknąłem usta, nieznajomy przemówił szybko i gorączkowo:

– Och, to w pewnej mierze było niezwykle, ale szkoda, że nie widział pan mojego komina, szkoda, że go pan nie widział. Niech mnie powiesz, jeżeli... panie Jones, pan przecież pamięta ten komin... pan musi go pamiętać! Ach, nie, teraz sobie przypominam, jeszcze pan nie mieszkał w tej okolicy. Ale mówię panu najszczerzą prawdę i niech padnę trupem, jeżeli ten komin nie kopał tak paskudnie, że dym zbił się w twardą masę i musiałem go wybijać kilofem! Możecie się uśmiechać, panowie, ale szeryf ma bryłkę dymu, którą przy nim wykopałem z komina, więc możecie pójść do niego i sami obejrzeć.

Ten potok słów przerwał rozmowę, która i tak kulała już od jakiejś chwili, wstaliśmy więc i wynajawszy kilku krajowców i czółna wypłynęliśmy na morze, żeby obejrzeć wielkie zawody pływackie.

W dwa tygodnie później rozmawiałem z grupą znajomych, a gdy podniosłem nagle głowę, zobaczyłem tego samego człowieka; wpatrywał się we mnie swymi świdrującymi oczami, a mięśnie twarzy aż mu drgały z wielkiej ochoty mówienia. Zaledwie skończyłem, wybuchnął:

– Przepraszam pana, bardzo pana przepraszam, ale można je uznać za niezwykle tylko wtedy, kiedy będzie się rozpatrywało całą rzecz w oderwaniu. Porównane natomiast z czymś, co znam z własnego doświadczenia, staje się natychmiast pospolite. Nie... nie, źle się wyraziłem. Nie wolno mi tak mówić o doświadczeniach człowieka nieznajomego i dżentelmena, czuję się jednak w obowiązku zaznaczyć, że nie nazywałby pan tego drzewa dużym, gdyby pan widział, tak jak ja widziałem, wielkie drzewo Yakmatack na wyspie Ounaska na Morzu Kamczatki – drzewo, które miało czterysta piętnaście stóp obwodu! Niech mnie piorun strzeli, jeżeli kłamię! Och, panowie, nie róbcie takich niedowierzających min. Jest tu stary kapitan Saltmarsh. Powie wam, czy mówię prawdę, czy nie. Pokazałem mu to drzewo.

Do rozmowy wtrącił się kapitan Saltmarsh:

– Dość tego, chłopcze! – powiedział. – Odetnij kotwicę, boś ją za mocno naciągnął. Obiecałeś mi pokazać ten dziw nad dziwy i szedłem z tobą jedenaście mil po najpaskudniejszej dżungli, jaką w życiu widziałem, żeby je obejrzeć. Ale to drzewo, coś mi je w końcu pokazał, nie było grubsze w sobie niż beczułka z piwem. Dobrze o tym wiesz, Markiss!

– Co też ten człowiek wygaduje! Pewnie, że drzewo zmałało do tego rozmiaru, ale czy ci nie tłumaczyłem dlaczego? Powiedz, nie tłumaczyłem ci? Albo może nie żałowałem, że go nie możesz zobaczyć takim, jakim ja je pierwszy raz widziałem? A jak się zaczęłaś wściekać i urągać mi, że cię zaciągnąłem jedenaście mil przez dżunglę, nie wytłumaczyłem ci może, że od dwudziestu lat wszystkie statki wielorybnicze zaopatrują się w opał z jego pnia? I co ci się, u wszystkich diabłów, zdawało? Że starczy tego drzewa do końca świata? Naprawdę nie wiem, dlaczego przeinaczasz prawdę i krzywdzisz kogoś, kto nie zrobił ci nigdy nic złego.

Człowiek ten dziwnie wytrącał mnie z równowagi, byłem więc rad, kiedy przyszedł krajo-

wiec i powiedział, że Makauau, najbardziej chyba towarzyski i obdarzony wielką fantazją wódz hawajski, zaprasza nas do siebie; chciał wraz z nami nacieszyć się widokiem pewnego misjonarza, którego przyłapał na bezprawnym myszkowaniu po jego terenie.

Gdy w dziesięć dni później objaśniając coś grupce moich przyjaciół i znajomych kończyłem wypowiedź, która nie pretendowała bynajmniej do miana wypowiedzi niezwyklej, usłyszałem znajomy głos:

– Ależ kochany panie, ten cały pański koń i ta cała pańska przygoda są śmiechu warte – śmiechu warte! Proszę się nie gniewać, ale pan nie ma pojęcia, co to jest szybki koń. Boże, gdyby pan widział moją Margaretę! To był koń! Błyskawica nie koń! Jak ona galopowała! Ach, galop to nie jest żadne słowo – ona frunęła! A jak ciągnęła powóz! Wyjechałem kiedyś... pułkownika Bilgewater, pan musi pamiętać tego konia... no, więc wyjechałem nią kiedyś o jakie trzydzieści, może trzydzieści pięć jardów przed najstraszliwszą burzą, jaką w życiu widziałem, i ta burza gonila nas ponad osiemnaście mil! Niech tu zaraz trupem padnę, jeżeli nas nie gonila! I niech pan teraz słucha, bo powiem najprawdziwszą prawdę: ani jedna kropla deszczu na mnie nie spadła – ani jednak kropla! Przysięgam! A mój pies to musiał całą drogę płynąć za powozem!

Przez tydzień czy dwa nie wychodziłem prawie z domu, bo na każdym niemal kroku spotykałem tego człowieka, który budził we mnie najżywszą antypatię. Ale któregoś wieczoru wpadłem do kapitana Perkinsa i bardzo miło gawędziliśmy sobie w gronie przyjaciół. Około godziny dziesiątej opowiadałem im o pewnym moim przyjacielu, kupcu, i niemal bezwiednie rzuciłem uwagę, że był on trochę skąpy, jeśli idzie o wynagradzanie swoich pracowników. Natychmiast z głębi pokoju, spoza gęstej pary unoszącej się nad wazą ponczu, rozległ się dobrze mi znany głos; przez chwilę walczyłem ze sobą, żeby nie wybuchnąć najstraszliwszymi przekleństwami.

– Ależ panie, pan się naprawdę ośmiesza przytaczając to zdarzenie jako przykład czegoś niezwyklego! Zna się pan na skąpstwie jak, za przeproszeniem, kura na pieprzu! Jak dwie kury! Aż przykro słuchać, kiedy taki inteligentny i ujmujący człowiek wymądrza się na temat czegoś, o czym nie ma pojęcia. Spójrz mi pan w oczy, panie, spójrz mi w oczy! John James Godfrey był synem ubogich, lecz zacnych rodziców, mieszkał w stanie Missisipi. Był moim kolegą z ławy szkolnej, a w późniejszych latach najserdeczniejszym przyjacielem. Świeć Panie nad jego złą duszą, bo nie ma go już między żywymi. Górnicza spółka akcyjna Hayblossom w Kalifornii zatrudniła Johna Jamesa Godfreya; miał dla nich wysadzać skałę w kopalni. Chłopcy nazywali zwykle tę firmę „spółką zatwardziały sknerów”. No, więc jednego dnia John wywiercił dziurę głęboką na cztery stopy, założył ogromny ładunek prochu i pochylony przyklepywał go i wygładzał kilofem długości dziewięciu stóp, gdy nagle to żelazne paskudztwo skrzeszło iskrę i nastąpił wybuch, a John Godfrey wyleciał w niebo wraz ze swoim kilofem – jak rakieta! Leciał i leciał, uważasz pan, coraz wyżej i wyżej, aż się wydawał nie większy niż dziecko... i leciał wyżej i wyżej, aż się wydawał nie większy od lalki... i leciał wyżej i wyżej, aż się wydawał nie większy od małej pszczołki. A potem w ogóle nie było go widać! Po jakimś czasie pokazał się znów na niebie i wydawał się nie większy od małej pszczołki... i schodził niżej i niżej, aż się wydawał jak lalka... i schodził jeszcze niżej i niżej, aż się wydawał znowu jak dziecko... i niżej, i niżej, aż się wydawał znów jak mężczyzna normalnego wzrostu. Po chwili John wraz ze swoim kilofem runął na ziemię i wylądował dokładnie na tym samym miejscu, na którym stał przedtem – i jak nie weźmie się znów do przyklepywania dziury i wyrównywania, jakby się nic nie zdarzyło! I wiesz pan co? Nie było tego biedaka tylko szesnaście minut, a mimo to spółka akcyjna sknerów wyrzuciła go z pracy) za zaniedbywanie obowiązków!

Wymówiłem się bólem głowy i odszedłem. I zapisałem w dzienniku: „Jeszcze jeden wieczór zmarnowany przez tego bezczelnego włóczęgę”. Dalej następowało soczyste przekleństwo. Nazajutrz spakowałem się i w najwyższym zdenerwowaniu opuściłem wyspę.

Niemal od początku uważałem tego człowieka za kłamcę.

Powyżej zamieszczone kropki wskazują, że minęło kilka lat. Pewnego pięknego dnia opinia, którą wyraziłem w ostatnim zdaniu, została w sposób przekonujący, acz niezwykle, potwierdzona przez zupełnie nie zainteresowane osoby. Rankiem znaleziono Markissa w jego własnej sypialni, za starannie zamkniętymi drzwiami i oknami, wiszącego na sznurze przy-mocowanym do pułapu. Nie żył. Na piersi miał przypiętą własnoręcznie napisaną kartkę, w której prosił przyjaciół, żeby nie winili o jego śmierć nikogo, gdyż sam ją sobie zadaje. Jednakże sąd przysięgłych wydał zdumiewające orzeczenie: „Śmierć została zadana ręką sprawcy czy też sprawców nieznanymi”. Sąd umotywował to tym, że budowana w ciągu lat trzydziestu, z żelazną konsekwencją, przez samego Markissa jego reputacja stanowi dowód niezbity, iż każde jego twierdzenie było natychmiast i bez wahania kwalifikowane jako kłamstwo. Dalej sędziowie przysięgli wyrazili przekonanie, że Markiss wcale nie umarł, na co przytoczyli niezbity dowód rzeczowy w postaci jego własnego stwierdzenia, że umarł; na koniec zaś prosili szeryfa, żeby odłożył pogrzeb do możliwie najpóźniejszej daty, jak się też stało. Gdy więc w tropikalnym klimacie Lahaina trumna stała otwarta przez siedem dni, ósmego poddał się nawet ów skrupulatny sąd przysięgłych. Ale sędziowie zasiedli do obrad i zmienili orzeczenie, które teraz brzmiało: „Samobójstwo w chwili obłądzenia”. Ponieważ – jak objaśnili z wielką wnikliwością – Markiss powiedział, że nie żyje, i rzeczywiście nie żył. A czy powiedziałby prawdę, gdyby był przy zdrowych zmysłach? – Skądże znowu!

XXXVII. NIESPODZIEWANY SUKCES MOJEGO WYKŁADU

Po półrocznej rozkosznej włóczędze opuściłem Hawaje i z prawdziwym żalem w sercu wsiadłem na pokład żaglowca płynącego do San Francisco. Podróż była bardzo miła, ale nie urozmaiciło jej ani jedno ciekawe zdarzenie; chyba żeby uznać za ciekawe zdarzenie dwutygodniową ciszę na morzu i przymusowy postój statku w odległości stu osiemdziesięciu mil od najbliższego lądu. Stada wielorybów podpływały pod samą burzę, a tak się oswoiły, że dzień w dzień igrały sobie wesoło pośród rekinów i delfinów, a my dla zabawy obrzucaliśmy je pustymi butelkami. W dwadzieścia cztery godziny później butelki tkwiły w tym samym miejscu na szklistej, gładkiej tafli, co wskazywało, że statek nawet na cal nie ruszył się z miejsca. Cisza była zupełna, ani jedna zmarszczka nie naruszała powierzchni oceanu. Przez cały jeden dzień i część nocy znajdowaliśmy się tak blisko innego statku, który przydryfował do naszej burty, że mogliśmy swobodnie prowadzić rozmowy z pasażerami, przedstawialiśmy się sobie i zawierali przyjaźń z ludźmi, o których nie słyszeliśmy nigdy przedtem – i nigdy potem. Był to jedyny statek spotkany w całej naszej podróży. Na pokładzie znajdowało się piętnastu pasażerów, żeby zaś czytelnik mógł pojąć, jak bardzo się nudzili i jak bardzo pragnęli rozrywki, wspomnę tylko, że podczas ciszy na morzu panowie poświęcali sporą część dnia na doskonalenie się w sztuce siadania na przewróconej butelce po szampanie w taki sposób, żeby nie dotykając podłogi piętami nawlec igłę; panie zaś siedząc w cieniu wielkiego masztu z ogromnym zainteresowaniem przyglądały się zawodom. Spędziliśmy na morzu pięć tygodni, ale gdyby nie kalendarz, nie potrafilibyśmy odróżnić dni powszednich od niedziel.

Znalazłem się znów w San Francisco – bez pieniędzy i bez pracy. Łamałem sobie głowę nad wynalezieniem jakiegoś sposobu oszczędzania, gdy nagle przyszła mi do głowy myśl: odczyty! Siadłem i z niecierpliwą nadzieją w sercu napisałem wykład. Pokazałem moje dzieło kilku przyjacielom, ale oni potrząsali tylko głowami. Utrzymywali, że nikt nie przyjdzie i że najem się tylko wstydu. Mówili mi, że nie przemawiałem nigdy publicznie, więc nie potrafię opanować audytorium. Byłem bliski rozpaczy. W końcu jednak pewien mój znajomy redaktor poklepał mnie po plecach i poradził, żebym spróbował. Powiedział: „Niech pan wynajmie największą salę w mieście i weźmie po dolarze za bilet”. Zuchwałstwo tej propozycji było rozbijające; z drugiej jednak strony zdumiewała jej życiowa, praktyczna mądrość. Właściciel kilku teatrów pochwalił projekt i obiecał wynająć mi za pół ceny, to jest za pięćdziesiąt dolarów, piękną, nową salę operową. Był to gest rozpaczy, ale wzięłem salę, naturalnie na kredyt. W ciągu trzech najbliższych dni powiększyłem swoje zobowiązania o sto pięćdziesiąt dolarów wydanych na druki i ogłoszenia i byłem teraz najbardziej chyba stroskanym i wystraszonego człowiekiem na całym wybrzeżu Pacyfiku. Nie sypiałem po nocach – czy jednak w takiej sytuacji mogło być inaczej? Ostatnie dwa zdania na moich afiszach wydawały się ludziom zabawne, ale pisząc je poczułem skurcz bólu w sercu:

„OTWARCIE DRZWI NASTĄPI O WPÓŁ DO ÓSMEJ.
AWANTURA ZACZNIE SIĘ O ÓSMEJ”.

Od tego czasu używano tych słów często i z wielkim pożytkiem. Posługiwali się nimi organizatorzy rozmaitych imprez. Widziałem je nawet w ogłoszeniu prasowym przypominającym uczniom o dacie rozpoczęcia roku szkolnego. W ciągu ostatnich trzech dni dręczącego oczekiwania czułem się z każdą chwilą bardziej nieszczęśliwy. Rozprzedałem dwieście bile-

tów między przyjaciół i znajomych, bałem się jednak, że nie przyjdą. Początkowo uważałem, że odczyt jest dowcipny, czas odzierał go jednak z humoru i w końcu byłem niemal pewien, że nie wywoła ani jednego uśmiechu; żałowałem tylko, że nie mogę umieścić na scenie katafalku i zmienić imprezy w pogrzeb. Wpadłem w taką panikę, że w końcu poszedłem do moich trzech starych przyjaciół, mężczyzn potężnej budowy, o napawającym otuchą wyglądem, obdarzonych tubalnymi głosami i powiedziałem:

– Znosi się na zupełną klapę. Dowcipy są takie słabe, że nikt ich nawet nie zauważy. Chciałbym, żebyście siedzieli przy samej scenie i w razie czego mi pomogli.

Obiecali, że przyjdą. Następnie udałem się do żony pewnego wybitnego obywatela i powiedziałem jej, że wyświadczy mi wielką łaskę, jeżeli zgodzi się siedzieć z mężem w lewej łoży przy scenie, gdzie będzie ich widziało całe audytorium. Wyjaśniłem, jak bardzo jest mi potrzebna jej pomoc; dodałem, że jeśli zwrócę się do niej i uśmiechnę, będzie to sygnał, że powiedziałem właśnie dowcip. – A wtedy – rzuciłem błagalnie – niech pani reaguje bez zastanowienia!

Przyrzekła mi pomoc. Na ulicy spotkałem człowieka, którego widziałem po raz pierwszy w życiu. Musiał pić, bo był w doskonałym humorze i twarz miał całą w uśmiechach. Zawołał!

– Nazywam się Sawyer! Pan mnie nie zna, ale nie szkodzi. Nie mam ani centa, ale gdyby pan wiedział, jak bardzo chcę się pośmiać, dałby mi pan bilet za darmo. No, jak?

– A czy wystarczy palcem kiwnąć, żeby się pan śmiał, czy też śmiech przychodzi panu z trudem? – spytałem.

Moja wymowa, lekko przeciągająca samogłoski, zrobiła na nim takie wrażenie, że zademontował mi kilka próbek śmiechu, który wydał mi się towarem najprzedniejszej jakości; ofiarowałem mu więc bilet i ustaliliśmy, że siądzie pośrodku i zajmie się tą częścią widowni. Udzieliłem mu szczegółowych wskazówek co do sposobu wykrywania niezbyt błyskotliwych dowcipów i pożegnałem go. Odchodząc słyszałem, jak się śmieje cicho i z zadowoleniem na myśl o tym zgoła nowym przeżyciu.

Ostatniego z trzech pamiętnych dla mnie dni nie brałem nic do ust; zanadto cierpiałem. Zamieściłem w prasie ogłoszenie, że tego trzeciego dnia w południe odbędzie się przedsprzedaż zarezerwowanych biletów. O czwartej poszedłem do teatru, żeby się dowiedzieć, czy był ruch przed kasą. Ale kasjer już wyszedł, a kasa była zamknięta. Musiałem przełknąć głośno i prędko, bo inaczej serce wyskoczyłoby mi chyba z piersi.

Żadnej przedsprzedaży – powiedziałem sobie. – Powinienem się być tego spodziewać. – Zastanawiałem się, czy nie popełnić samobójstwa, nie udać choroby, nie uciec! Myślałem o tym poważnie, bo naprawdę byłem bardzo nieszczęśliwy i bardzo przestraszony. Ale odegnałem od siebie te myśli i przygotowałem się na spotkanie z losem. Nie mogłem czekać do wpół do ósmej! Pragnąłem stanąć twarzą w twarz z tym okropieństwem i skończyć z nim jak najprędzej – takich uczuć doświadcza zapewne większość skazańców czekających na szubienicę. O szóstej przemknąłem się bocznymi uliczkami do teatru i wszedłem do gmachu od tyłu. Przez ciemne kulisy wydostałem się na scenę. Sala była mroczna i cicha, a pustka wprost przygnębiała. Wróciłem w ciemność między rozwieszone płótna dekoracji i przez półtorej godziny oddawałem się rozpaczliwej nieświadomości tego, co się wokół mnie dzieje. Potem nagle dotarł do moich uszu szmer, szmer ów z każdą minutą przybierał na sile, aż w końcu wzmógł się do ogłuszającego huku. Był tak bliski i tak głośny, że z przerażenia włosy stanęły mi na głowie. Wrzawa umilkła raptownie, znowu wybuchła, znowu umilkła; przy trzeciej pauzie, nie wiedząc kiedy i jak, znalazłem się nagle na środku sceny – wpatrzony w morze twarzy przede mną, oślepiiony blaskiem lamp, dygocący z przerażenia, które niemal zabijało. Sala była pełna, ludzie tłoczyli się w przejściach!

Zanim zdołałem się jako tako opanować, dziki tumult w sercu, głowie i nogach trwał pełną minutę. Potem dostrzegłem przyjacielską zachętę na twarzach przede mną i stopniowo, po trochu, opuścił mnie lęk. Zacząłem mówić. Po kilku minutach czułem się swobodnie, a nawet

byłem zadowolony. Moi trzej główni sprzymierzeńcy stawili się z trzema pomocnikami jak jeden mąż. Siedzieli razem w pierwszym rzędzie – wszyscy uzbrojeni w pałki własnego śmiechu i gotowi rzucić się w obronie najsłabszego nawet przebłysku humoru. A ilekroć padł z moich ust jakiś dowcip, ich pałki natychmiast szły w ruch, usta zaś rozciągały się od ucha do ucha. Sawyer, którego wesółą twarz lśniła czerwienią gdzieś w środkowych rzędach parteru, wtórował im głośnymi kaskadami i po chwili cała sala trzęsła się od śmiechu. Chyba jeszcze nigdy średnie dowcipy nie robiły tak zawrotnej kariery. Niebawem, z wielkim namaszczeniem, wypowiedziałem kilka zdań na temat bardzo poważny (było to moje ulubione miejsce); moim słowom towarzyszyła cisza, która dała mi większą satysfakcję niż najgorętsze oklaski. A gdy kończyłem ten fragment, odwróciłem głowę i przypadkiem spotkałem uważne, czujne spojrzenie pani M.; przypomniła mi się nagle moja rozmowa z nią i mimo woli się uśmiechnąłem. Pani M... wzięła mój uśmiech za umówiony sygnał i natychmiast wybuchnęła dźwięcznym śmiechem, który jak iskra spadł na widownię; wybuch, jaki teraz nastąpił był momentem szczytowym wieczoru. Miałem wrażenie, że poczciwy Sawyer po prostu się udławi, a trzej sprzymierzeńcy i ich pomocnicy o mało co nie pospadali z krzesel. Ale moja biedna, mała próbka patosu i powagi uległa zagładzie. Ludzie wzięli ją w dobrej wierze za dowcip – i to najlepszy z całego wieczoru – a ja przezornie nie protestowałem.

Gazety nazajutrz rano były dla mnie bardzo łaskawe; wrócił mi apetyt; miałem znów pod dostatkiem pieniędzy. Wszystko jest dobre, co się dobrze kończy!

XXXVIII. DOWCIP, KTÓRY SIĘ OKAZAŁ ZBYT DOWCIPNY

Z wielką odwagą rozpocząłem teraz karierę specjalisty od wygłaszania odczytów. Nie miałem konkurentów, bo w tym czasie odczyty były na wybrzeżu Pacyfiku towarem prawie nie znanym. Myślę, że teraz rzecz się ma inaczej. Poprosiłem jednego z bliskich przyjaciół, żeby został moim impresario, i przez kilka tygodni hasaliśmy po Kalifornii i Newadzie świetnie się przy tym bawiąc. Na dzień przed moim odczytem w Virginia City obrabowano dwa dylizanse w odległości zaledwie dwóch mil od miasta. Dokonało tego zuchwałego napadu sześciu zamaskowanych bandytów, którzy o zmroku otoczyli dylizanse i grożąc rewolwerami kazali wszystkim wysiąść. Prerażone ofiary zeskoczyły na ziemię, a wtedy bandyci zrabowali im zegarki i pieniądze. Następnie, przy pomocy prochu, dobrali się do żelaznych szkatulek z przesyłkami ekspresowymi i zagarnęli ich zawartość. Herszt bandy był mężczyzną niskiego wzrostu i obrotnego języka; gdy przyjechaliśmy do Virginia City, całe miasto aż się trzęsło od powieści na temat jego brawury i szybkości działania.

Nazajutrz po wykładzie w Virginia City poszedłem pieszo przez opustoszałą przełęcz do Gold Hill i wygłosiłem tam odczyt. Po odczycie zostałem jeszcze jakiś czas, żeby pogawędzić z przyjaciółmi, i w drogę powrotną puściłem się dopiero o godzinie jedenastej. Tak zwana przełęcz była wysoko położonym i odludnym miejscem oddzielającym oba miasta; dokonano tu nocami najmniej dwudziestu morderstw i chyba stu napadów. Gdy wspięliśmy się na wzniesienie, światła Gold Hill za naszymi plecami znikły i ogarnęła nas ciemność posepnej, złowieszczej nocy. Ostry wiatr dmuchnął nam w twarz i chłodem przeniknął zgrzane ciała.

– Nie lubię tego miejsca nocą – powiedział Mike, mój impresario.

– Lepiej nie mów tak głośno – odparłem. – Nie musisz ogłaszać, że tu jesteśmy.

Zaledwie to powiedziałem, jakaś postać wyłoniła się z mroku i zaczęła iść ku mnie, najwyraźniej mężczyzna. Szedł prosto na mnie, usunąłem się więc, żeby go przepuścić. Skręcił z lekka i znów był naprzeciw mnie. Zobaczyłem teraz, że jest w masce i trzyma w ręku coś, co zbliża do mojej twarzy... Usłyszałem metaliczny szcęk i dostrzegłem niewyraźny kształt pistoletu. Odsunąłem lufę ręką i powiedziałem:

– Niechże pan nie strzela!

Warknął:

– Zegarek, pieniądze!

Odparłem:

– Bardzo chętnie... ale niech pan odsunie ten pistolet od mojej twarzy. Na sam widok dostaję dreszczy.

– Dość gadania! Prędeż, pieniądze!

– Chętnie, ale...

– Ręce do góry! Tylko mi nie próbuj wyciągać pistoletu! Mówiłem do góry! Wyżej!

Trzymałem ręce wysoko nad głową. Chwila milczenia. Potem:

– No, dajesz te pieniądze?

Opuściłem ręce i przysunąłem je do kieszeni mówiąc:

– Oczywiście, ale...

– Ręce do góry! Chcesz, żebym ci podziurawił głowę jak sito? Wyżej!

Po raz drugi podniosłem ręce wysoko nad głowę. Znowu chwila milczenia.

– Dajesz te pieniądze czy nie? A... znowu?! Mówiłem, ręce do góry! Jakoś ci się bardzo śpieszy do tej dziury w głowie!

– Przyjacielu, robię, co mogę, żeby cię zadowolić. Każesz mi dać pieniądze, ale kiedy po nie sięgam, krzyczysz, bym podniósł ręce do góry. Gdybyś tylko zechciał łaskawie... Och, dajcież spokój panowie! Sześciu na jednego! A tymczasem mój towarzysz wam ucieknie... Bądźcie ludźmi... weźcie chociaż część tych pistoletów od mojej twarzy... naprawdę was proszę! Ile razy któryś szcęknie, wątroba się we mnie przewraca. Jeżeli macie matkę... jeżeli mieliście kiedykolwiek matkę albo chociaż babkę, albo...

– Milcz! Dasz te pieniądze czy wolisz, żebyśmy... Tylko żadnych sztuczek! Mówiłem, ręce do góry!

– Panowie... wiem, że jesteście dżentelmenami... poznają to po waszym...

– Milczeć! Jeżeli lubisz żarty, młodzieńcze, poczekaj lepiej na właściwą okazję i porę. To jest sprawa poważna.

– Pan zmienia mój pogląd na świat. Pogrzeby, w których miałem dotąd okazję uczestniczyć, były w porównaniu z tym wesołą zabawą. Otóż uważam...

– Dość tego mielenia ozorem! Pieniądze! Słyszałeś? Pieniądze! Stój! Ręce do góry!

– Panowie, bądźcie rozsądni! Sami widzicie, w jakiej jestem sytuacji... Och, nie przysuwajcie tak blisko tych pistoletów... czuję wyraźnie zapach prochu! Widzicie, w jakiej jestem sytuacji. Gdybym miał cztery ręce... i mógłbym dwie trzymać do góry, a...

– Udusić go! Zakneblować go! Rozwalić mu łeb!

– Nie! Panowie... panowie! Żaden z was nie pilnuje mojego towarzysza. Czy któryś nie mógłby... Auuu! Odsuńcie to trochę... błagam was! Panowie, widzicie, że muszę trzymać ręce do góry, i wobec tego nie mogę wyjąć pieniędzy... ale gdybyście zechcieli łaskawie sami je wyjąć, odwdzięczę wam się kiedyś tym samym...

– Przeszukaj go, Beauregard! A jak piśnie jeszcze słowo, przestrel mu głowę, żeby nie mógł gadać. Stonewall, pomóż Beauregardowi!

Teraz trzech rabusie, z małym, zwinnym hersztem na czele, podeszli do Mike'a i zaczęli go rewidować. Byłem tak podniecony, że rozbijała fantazja pchała mnie, abym zadał moim oprawcom krotochwilne pytanie o ich braci bandytów, zbuntowanych generałów z Południa, ale pamiętając rozkaz herszta wołałem przezornie milczeć. Gdy zabrali mi już wszystko — pieniądze, zegarek i mnóstwo drobiazgów mniejszej wartości — pomyślałem, że jestem wolny, i wsunąwszy zgrabiałe ręce do kieszeni zacząłem przytupywać — dla rozgrzewki i pobudzenia resztek odwagi. Ale natychmiast wszystkie pistolety wzięły sobie moją głowę na cel i padł rozkaz:

– Spokój tam! Ręce do góry! I radzę je tak trzymać! Postawili Mike'a obok mnie rozkazawszy mu wprawdzie, żeby trzymał ręce do góry, a potem herszt powiedział:

– Beauregard, schowaj się za tym głazem! Phil Sheridan, ty wchodź za tamten! Stonewall Jackson, wejdź między te krzaki! Trzymajcie ich na celu, a jeżeli spuszcza ręce wcześniej niż za dziesięć minut albo zrobią jakiś ruch, nie żałujcie ołowiu!

Trójka naszych strażników oddaliła się do swoich kryjówek, a reszta zniknęła na drodze prowadzącej do Virginii. Cisza była przygnębiająca, a zimno przeraźliwe.

Otóż cała ta historia była kawałem, a bandyci — naszymi przyjaciółmi i znajomymi w przebraniu. Dwudziestu innych kryło się w odległości dziesięciu stóp od nas i przysłuchiwało operacji. Mike wiedział o tym i był jednym z organizatorów kawału, ale ja się niczego nie domyślałem. Przygoda wydawała mi się aż nazbyt autentyczna.

Gdy postaliśmy tak na środku drogi z pięć minut — jak para idiotów, z rękami wzniesionymi wysoko, zamierzając na śmierć po kawałku — Mike miał tej zabawy powyżej uszu. Powiedział:

– Już chyba minęło dziesięć minut, nie?

– Nie! Stój spokojnie! Z tymi dzikusami z piekła rodem nie należy ryzykować!

Po chwili Mike znów się odezwał:

– Teraz to już na pewno minęło. Zamarzam na śmierć!

– To zamarzaj dalej. Lepiej chyba zamarzać, niż wrócić do domu z mózgiem w koszyku. Może minęło dziesięć minut, ale skąd możemy wiedzieć? Zegarki nam zabrali. Mam zamiar dać im te dziesięć minut i jeszcze pięć na dokładkę. Będę tu stał kwadrans – chyba że wcześniej umrę. Tylko się nie ruszaj!

Tak więc niechcący sprawiłem, że jednemu dowcipnisiowi kawał dobrze dał się we znaki. Gdy w końcu spuściliśmy ręce, były obolałe z zimna i zmęczenia, a kiedy przemykaliśmy się w kierunku miasta, strach, że może wyruszyliśmy za wcześnie, nie odwrócił całej mojej uwagi od bólu odczuwanego w zeszywniałym ciele.

Kawał tych naszych bandytów-przyjaciół obrócił się głównie przeciwko nim; czekali na mnie na szczycie wietrznego wzgórza dwie godziny, co z pewnością nie było zabawne, a tak przemarzli, że minęły dwa tygodnie, zanim się znów rozgrzali. Co więcej, ani przez chwilę nie przypuszczałem, że mnie zabiją, bo pieniądze mogli byli zdobyć bez tego rodzaju niebezpiecznych głupstw; tak więc za mało mnie nastraszyli, żeby przyjemność warta była poniesionych trudów. Bałem się tylko, że któryś pistolet wypali niechcący. Sama ich liczebność napawała mnie otuchą i kazała wierzyć, że nie dojdzie do rozmyślnego przelewu krwi. Bandyci nie byli inteligentni; jeżeli chcieli zobaczyć, jak autor tej książki wspina się na drzewo, powinni byli przysłać jednego tylko rabusia z fuzją o dwóch lufach!

W rezultacie jednak kawał najboleśniej mnie dał się we znaki; i to w sposób, jakiego „bandyci” nie przewidzieli. Przemarzłem stojąc bez ruchu na przełęczy, a że byłem spocony, wywiązało się zaziębienie, które z kolei doprowadziło do przewlekłej choroby; przez trzy miesiące nie mogłem pracować, nie mówiąc już o tym, że wydałem sporą sumę na lekarzy. Od tego czasu nie robię ludziom kawałów i najczęściej wpadam w złość, kiedy ktoś mi je robi.

Po powrocie do San Francisco zamierzałem wyruszyć zaraz do Japonii i stamtąd dalej na zachód, w podróż dokoła świata. Ale nagle tęsknota za domem skłoniła mnie do zmiany planów, zamówiłem więc miejsce na parostatku, pożegnałem się z najprzyjaźniejszą ziemią i najbardziej żywotną i serdeczną społecznością na naszym kontynencie i wyruszyłem do Nowego Jorku. Podróż ta nie przypominała bynajmniej pikniku, na statku wybuchła bowiem cholera i co dzień chowaliśmy w morzu kilku zmarłych. Przekonałem się, że po tak długiej nieobecności moje miasto rodzinne osobliwie się wyludniło; połowa dzieci, które kiedyś znałem, nosiła teraz wąsy lub koki i tylko nieliczni spośród znajomych mi dorosłych ludzi żyli dostatnio i szczęśliwie w domach swoich ojców – jedni wywędrowali w inne strony, drudzy byli w więzieniach, jeszcze inni skończyli na szubienicy. Zmiany te prawdziwie mną wstrząsnęły, przyłączyłem się więc do słynnej wycieczki kwakrów po miastach Europy i uniosłem moje łzy w obce kraje.

W ten sposób, po siedmiu latach zmiennych kolei losu, skończyła się „wycieczka” do kopalń srebra Newady, która miała trwać tylko trzy miesiące. Ale zwykle myślę się jeszcze bardziej w moich obliczeniach.

MORAŁ

Jeżeli czytelnik wyobraża sobie, że to już wszystko i że książka ta nie zawiera morału, bardzo się myli. Oto morał książki; jeśliś jest coś wart, zostań w domu i buduj życie uczciwą pracą; jeśli natomiast jesteś nic niewart, opuść miasto rodzinne, a wtedy chcesz czy nie chcesz, będziesz musiał pracować. Przestając być ciężarem dla swoich przyjaciół, staniesz się dla nich błogosławieństwem – choćby nawet ludzie, między których pójdziesz, mieli na tym stracić.

KRÓTKI ZARYS HISTORII MORMONÓW

Mormonizm ma zaledwie czterdzieści lat, ale jego żywot jest od początku pełen niespokojnych przygód i zapewne będzie taki do końca. Zwolenników mormonizmu szczuto i przepędzono z miejsca na miejsce, czego następstwem jest bezgraniczna nienawiść do wszystkich bez wyjątku niewiernych. Joseph Smith, znalazca Księgi Mormonów i założyciel religii, wędrował ścigany z jednego stanu do drugiego, wraz ze swymi tajemniczymi miedzianymi tablicami i cudownym kamieniem służącym do ich odczytywania. W końcu założył swój kościół w Ohio, gdzie Brigham Young przyjął nową wiarę. Ale znowu sąsiedzi prześladowali mormonów i w sekcie zaczęła się schizma. Brigham pozostał wierny i pracował nie szczędząc zapału i sił. Zapobiegał ucieczce z szeregów. Dokonał czegoś więcej: w najtrudniejszym momencie werbował nowych Wyznawców. Zyskał wśród braci popularność i wzmocnił swoją pozycję. Mianowano go jednym z dwunastu apostołów kościoła. Wkrótce wspiał się na urząd wyższy i możniejszy – prezydenta kościelnej dwunastki. Ale sąsiedzi chwycili za broń i wypędzili mormonów z Ohio; tym razem wygnańcy osiedlili się w Missouri, dokąd Brigham przeniósł się wraz z nimi. Ludność Missouri wypędziła ich, znaleźli schronienie w Nauvoo w stanie Illinois. Wiodło im się tu względnie dobrze, wybudowali nawet świątynię, która miała pewne pretensje do architektonicznego wdzięku i zyskała spory rozgłos w tej dzielnicy kraju, gdzie budynek sądów wzniesiony z cegły i przykryty cynowym dachem z kopułą budził uczucie niemal nabożnej czci. Ale sąsiedzi znów zaczęli dręczyć i prześladować mormonów. Nie pomogły proklamacje Josepha Smitha, w których odżegnywał się od poligamii i piętnował ją jako obyczaj sprzeczny z zasadami mormonów. Okoliczna ludność na obu brzegach Missisipi oskarżała mormonów nie tylko o poligamię, ale po trochu o wszystkie możliwe wszeteczeństwa. Brigham wrócił z podróży do Anglii, gdzie założył pismo mormońskie i przywiózł kilkuset nawróconych przez siebie wyznawców. Każde nowe pociągnięcie zjednywało mu większy mir wśród braci. Pewnego dnia niewierni z Missouri i Illinois napadli na Nauvoo i Joseph Smith zginął od ich kul. Pewien brat nazwiskiem Rigdon objął po Smithie prezydenturę kościoła i rządu mormońskiego, a nawet spróbował sił w prorocत्वie. Ale był na miejscu człowiek możniejszy od niego. Brigham Young skorzystał z chwili i prawem wybitniejszego umysłu, większej odwagi i silniejszej woli przegnał Rigdona, po czym sam zajął jego miejsce. Posunął się dalej. Obłożył Rigdona i jego zwolenników wymyślną klątwą; orzekł, iż prorocत्वa Rigdona są emanacjami diabła, w zakończeniu zaś oznajmił, że „oddaje fałszywego proroka karom piekielnym na lat tysiąc”, co było prawdopodobnie najdłuższym wymiarem kary ferowanym w stanie Illinois. Ludzie uznali w Brighamie swego pana. Olbrzymią większością głosów wybrali go natychmiast prezydentem i do dziś dochowują mu bezwzględne posłuszeństwa i wierności. Brigham był człowiekiem dalekowzrocznym, a cechy tej nie posiadał dotąd żaden inny wybitny mormon. Zrozumiał, że lepiej jest wynieść się samemu na puszcę, niż być zmuszonym przez sąsiadów do nowej wędrowki. Posłuszni jego wezwaniu ludzie zebrali swój ubogi dobytek, porzucili domy i pewnej mroźnej lutowej nocy żalosny pochód ruszył przez zamrzniętą Missisipi – w blasku ognia płonącej świątyni, której święte wnętrza podpaliли własnymi rękami. W kilka dni później rozbili obóz na zachodnim krańcu Iowa, tam zaś bieda, głód, zimno, choroby, rozpacz i prześladowania zrobiły swoje i wielu pomarło – męczennicy, musimy to przyznać, kimkolwiek byli! Ci, co utrzymali się przy życiu, spędzili w obozowisku dwa lata, gdy tymczasem Young z garstką wybranych powędrował dalej i założył Great Salt Lake City wybrawszy umyślnie ziemię, która nie należała do znienawidzonego amerykańskiego narodu i była poza jego jurysdykcją. Zauważcie, że działo się to w roku 1847. Brigham przeprowadził swój lud do nowo założonego miasta, ale zaledwie się tam

osiedlili, spadło nowe nieszczęście. Pokój został zawarty i Meksyk oddał schronienie mormonów wrogowi – Stanom Zjednoczonym! W roku 1847 mormoni powołali „wolny i niezależny” rząd i założyli „Państwo Pszczoły” z Brighamem Youngiem na stolcu prezydenta. Ale już w następnym roku Kongres umyślnie zlekceważył nowe „państwo” i utworzył z tego samego zlepką odludnych gór, pustyń alkalicznych i krzewów bylicy Terytorium Utah, mianując co prawda Brigham Younga gubernatorem. Potem latami płynęła przez ziemię mormonów ogromna rzeka emigracji zdążającej do Kalifornii, a mimo to kościół ich dochował wierności swemu panu i prorokowi. Głód i pragnienie, nędza i nieszczęścia, nienawiść, wzgarda, przesładowania nie zachwiały wiary mormonów; nie miała się ich nawet gorączka złota, która zniszczyła kwiat młodości i siły wielu narodów! Była to najtrudniejsza próba. Eksperyment, który wyszedł z niej zwycięsko, musiał jednak mieć gdzieś jakąś ukrytą siłę!

Great Salt Lake City kwitło, a wraz z nim kwitło całe Utah. Przed samym opuszczeniem Iowa Brigham Young pojawił się w świątyni przebrany za wielbionego i oplakiwanego proroka Smitha i przekazał prorocze dziedzictwo wraz ze wszystkimi godnościami, przywilejami i władzą na „prezydenta Brigham Younga”. To pobożne oszustwo wierni przyjęli wybuchem niebywałego entuzjazmu, władza zaś Brigham została ustalona po wsze czasy. W pięć lat później Brigham dodał wielożeństwo do zasad mormońskiej wiary, przy czym powołał się na „objawienie”, które miał jakoby dziewięć lat temu Joseph Smith, chociaż wiadomo było powszechnie, że Smith do końca życia odzęgnywał się od poligamii.

Jeśli idzie o skromne początki i nieustanne pięcie się na wyżyny dostojeństwa, Brigham Young jest drugim Andrewsem Johnsonem. Był kolejno jednym z bezimiennych wyznawców, misjonarzem krajowym, misjonarzem zagranicznym, redaktorem i wydawcą, apostołem, prezesem apostołów, prezydentem świeckim i kościelnym państwa mormońskiego, następcą z woli niebios wielkiego Jpsepha, prorokiem, natchnionym jasnowidzem. Istniała jeszcze tylko jedna wyższa godność, której mógł pragnąć; wyciągnął skromnie rękę i wziął ją sobie. Obwieścił się bogiem!

Brigham utrzymuje, że czeka na niego jego własne niebo, w którym on będzie bogiem, żony i dzieci zaś boginiami, księżętami i księżniczkami. Do tego nieba zostaną przyjęci wszyscy mormoni oraz ich rodziny, godność zaś niebieska wiernych będzie zależała od ilości posiadanych na ziemi żon i dzieci. Jeżeli mormon umrze, zanim zdoła zebrać taką ilość żon i dzieci, jaka by mu zapewniła szacunek w przyszłym niebie, pierwszy lepszy przyjaciel może – już po jego śmierci – ożenić się i wyhodować kilkoro dzieci, które zostaną zapisane skrupulatnie na konto zmarłego, dzięki czemu zyska on odpowiednio wyższą pozycję w niebie.

Pamiętajmy, że większość mormonów byli to ludzie ciemni, prości, stojący na bardzo niskim stopniu rozwoju intelektualnego i niewiele wiedzący o świecie i prawach nim rządzących; pamiętajmy, że kobiety mormońskie z konieczności nie różniły się od swoich mężów, dzieci zaś zrodzone z takich związków dziedziczą naturalnie po rodzicach. I pomyślmy, że przez czterdzieści lat ludzi tych pędzono, pędzono z miejsca na miejsce! Bito ich, masakrowano, strzelano do nich, zabijano, lżono ich, gardzono nimi, skazywano na wygnanie, zmuszono do ucieczki na bezludną pustynię, gdzie szli wycieńczeni chorobą i głodem napelniając odwieczną ciszę pustkowiecia żałobnymi lamentami i znacząc drogę setkami grobów – a wszystko dlatego, że pragnęli żyć i wielbić Boga na swój sposób i że wierzyli, całą duszą i sercem wierzyli, że jest to jedyny właściwy sposób oddawania czci Bogu. Gdy będziemy o tym pamiętali, z łatwością zrozumiemy bezdenną nienawiść mormonów do naszego narodu i naszego państwa.

Ta nienawiść „syciła swe zadawnione niechęci”, odkąd Utah rozkwitło i przeistoczyło się w samowystarczalne królestwo, a kościół okrzepł w nowo nabytym bogactwie i sile. Brigham jako gubernator terytorialny dał wyraźnie do zrozumienia, że państwo mormońskie jest dla mormonów. Rząd amerykański usiłował zmienić ten stan rzeczy wyznaczając urzędników terytorialnych spośród mieszkańców Nowej Anglii i innych antymormońskich okolic kraju,

ale Brigham dołożył starań, żeby im utrudnić wejście na teren dominium. Trzytysięczna armia Stanów Zjednoczonych musiała przemaszerować przez Wielką Równinę, aby osadzić tych panów na urzędach, a gdy już je objęli, byli bezradni jak dzieci. Ustanawiali prawa, na które nikt nie zwracał uwagi i które nie były nigdy wprowadzane w życie. Federalni sędziowie otwierali sesje sądowe w kraju zbrodni i gwałtu i siedzieli jak jarmarczne kukły dla rozrywki bezczelnie w nich wpatrzonych tłumów, bo nie było spraw do sądenia, nie było wyroków do ferowania – wokanda świeciła pustką! Gdy niewierny wniósł sprawę do sądu, mormońscy sędziowie przysięgli wydawali wyrok wedle swego widzimisię, gdy zaś sąd ferował wyrok, żaden mormon się nim nie przejmował i nie było takiej siły, która zdołałaby ów wyrok wykonać.

Nasi prezydenci wysyłali do Utah jeden transport urzędników za drugim, ale rezultat był zawsze ten sam: otaczała ich atmosfera wrogości, każdego dnia spotykały zniewagi, wszelkie próby wykonywania obowiązków urzędowych nagradzane były coraz to zjadliwymi spojrzzeniami, potajemnymi pogroźkami, jawnymi groźbami; w końcu urzędnik albo ulegał i był od tej chwili pogardzanym narzędziem w rękach mormonów, albo przestraszony opuszczał w panice terytorium. Jeżeli znalazł się człowiek naprawdę dzielny i dowiódł swojej odwagi, jakiś skłonny do kompromisów Pierce czy Buchanan zdejmował go ze stanowiska i mianował na jego miejsce bezduszną kukłę.

W roku 1857 niewiele brakowało, a generał Harney zostałby mianowany gubernatorem Utah; a więc niewiele brakowało, a mielibyśmy tam gubernatorem Harneya, sędzią zaś Cradlebaugha – dwóch ludzi, którzy pojęcie strachu znali tylko ze słownika! Szkoda, że los nie zrządził, aby piastowali razem te urzędy w Utah – szkoda już choćby ze względu na pewne urozmaicenie, jakie wnieśliby w dość monotonną historię federalnej służalczości i bezsilności!

Tak się rzeczy miały w Utah w chwili naszego tam przyjazdu. Rząd terytorialny był beznadziejnym bankrutem, a Brigham Young skupiał w swych rękach całą władzę. Był monarchą absolutnym; monarchą, który lekcewał sobie naszego prezydenta; monarchą, który śmiał się, gdy nasze wojska otaczały pierścieniem jego stolicę; monarchą, który przyjął obojętnie wiadomość, że czcigodny Kongres Stanów Zjednoczonych uchwalił surowe prawo przeciwko poligamii – i najspokojniej w świecie zawarł następne dwadzieścia pięć czy trzydzieści związków małżeńskich!

MASAKRA NA MOUNTAIN MEADOWS

Mormoni usiłowali i nadal usiłują odplacić się za prześladowania, które tak długo cierpieli i które – w ich przekonaniu – nadal cierpią, jako że odmawia im się prawa do samorządu. Zapomniana już teraz niemal masakra na Mountain Meadows była ich dziełem. W swoim czasie sprawa ta nabrała wielkiego rozgłosu, okropności zaś jej towarzyszące odbiły się głośnym echem w całych Stanach Zjednoczonych. Kilka faktów odświeży pamięć czytelnika. Duża kolumna wozów emigranckich z Arkansas i Missouri przejeżdżała przez Salt Lake City; przyłączyło się do niej kilku rozczarowanych mormonów, liczebność bowiem emigrantów dawała im nadzieję większego bezpieczeństwa podczas ucieczki. Był to dostateczny powód do zemsty ze strony przywódców mormońskich. Ale istniał jeszcze inny i nie mniej ważny powód niechęci mormonów do tych stu czterdziestu pięciu czy też stu pięćdziesięciu, nic nie podejrzewających pionierów: pochodzili oni częściowo z Arkansas, gdzie zabito niedawno znanego misjonarza mormońskiego, częściowo zaś z Missouri, znienawidzonego za okrutne prześladowania świętych, gdy byli jeszcze biedni i słabi. Ponadto grupa emigrantów była bogata, bardzo bogata w bydło, konie, muły oraz inny dobytek – a czyż mormoni, którzy z takim uporem starali się upodobnić do izrealskich plemion, mogli nie pochwycić dobytku wroga, gdy Pan tak wyraźnie zesłał im go w ręce?

Sięgnijmy teraz do „Proroka mormońskiego”, interesującej książeczki pióra pani C. V. Waite. Otóż okazuje się, że:

Brigham Young, jako archanioł czy też bóg, miał objawienie, którego treść została zakomunikowana prezydentowi J. C. Haightowi, biskupowi Higbee i Johnowi D. Lee (który był przybranym synem Brigham). Objawienie to nakazywało im zebrać możliwie najliczniejszy oddział zbrojnych, puścić się śladem „przeklętych niewiernych” (takiego dosłownie użyto zwrotu), zaatakować ich w przebraniu Indian i za pomocą „strzał pańskich” zmieść z powierzchni ziemi, aby nie pozostał ani jeden świadek tego zajścia, gdyby zaszła potrzeba, mieli wynająć do pomocy Indian w zamian za obietnicę udziału w łupach. Mieli wykonać swe zadanie z wielkim pośpiechem i starannością i odesłać zaprzęgi wraz z bydłem przed nastaniem zimy, gdyż taka była wola Boga.

Rozkaz zawarty w „objawieniu” został pilnie wykonany. Duży oddział mormonów, pomalowanych i ubranych jak Indianie, dogonił i zaatakował kolumnę emigranckich wozów w odległości mniej więcej trzystu mil od Salt Lake City. Ale pionierzy okopali się, wzniesli barykady z wozów i przez pięć dni dzielnie i skutecznie odpierali ataki napastników. Nasi dzentelmeni z Arkansas i Missouri nie boją się nędznej imitacji Indian z południowej części Utah. W razie potrzeby gotowi są walczyć z pięcioma setkami tego rodzaju dzikich.

Po pięciu dniach mormoni spróbowali fortelu wojennego. Wycofali się na odległy kraniec Mountain Meadows, zmyli farbę z twarzy, wrócili do swoich cywilizowanych strojów i uzbrojeni po zęby podjechali wozami do obozu oblężonych niosąc białą flagę. Na widok ludzi cywilizowanych emigranci rzucili broń i powitali ich gromkimi okrzykami radości. I zapewne nieświadomi poezji zawartej w tym geście, podnieśli miast białej flagi dziecko ubrane w biel!

Przywódcami przybyłych w porę „wybawców” byli: prezydent Haight i biskup John D. Lee z mormońskiego kościoła. Pan Cradlebaugh, który jakiś czas piastował urząd sędziego federalnego w Utah, potem zaś był senatorem ze stanu Newada, w mowie do Kongresu tak opisał dalsze postępowanie mormońskich przywódców:

„Oznajmili emigrantom, że są w dobrych stosunkach z Indianami, których jakoby rozwścieczyła walka, i zaproponowali, że będą rozjemcami w sporze. Po parogodzinnych pertraktacjach i porozumiewaniu się z Indianami (co było naturalnie oszustwem) mormoni przedłożyli emigrantom ultimatum dzikich: mają wyjść z obozu pozostawiając wszystko, nawet broń. Biskup John D. Lee obiecał, że oddział zbrojnych mormonów przeprowadzi bezpiecznie emigrantów do najbliższego osiedla. Oblężeni pragnęli za wszelką cenę uratować życie rodzin, przyjęli więc warunki. Mormoni oddalili się i po pewnym czasie wrócili z trzydziestu czy czterdziestu zbrojnymi. Wyprowadzono emigrantów z obozu – pierwsze szły kobiety z dziećmi, za nimi mężczyźni, na końcu straż mormońska. Gdy przeszli w tym porządku około mili, na dany znak rozpoczęła się rzeź. Mężczyźni padli niemal wszyscy od pierwszej salwy. Tylko dwaj uciekli na pustynię, ale rzucono się za nimi w pościg, dogoniono po stu pięćdziesięciu milach i zamordowano. Gromada kobiet i dzieci przebiegła jeszcze dwieście czy trzysta jardów, ale ją otoczono i wymordowano, w czym pomagali mormonom Indianie. Zachowano życie tylko siedemnaścioru dzieciom, z których najstarsze miało siedem lat. W ten oto sposób dnia siedemnastego maja 1857 roku dokonano jednego z najkrwawszych, najokrutniejszych i najchórzliwszych mordów znanych w naszej historii”.

Zginęło tego dnia z rąk mormonów sto dwadzieścia siedem osób.

Z bezprzykładną odwagą sędzia Cradlebaugh otworzył przewód sądowy, podczas którego dowiódł i obarczył mormonów odpowiedzialnością za masakrę. Cóż to musiał być za widok! Posepny, zawzięty weteran, samotny w swej dumie i odwadze, rzucający gromy na mormońską ławę przysięgłych i mormońską publiczność – to rażący ich szyderstwami, to znów dyśzący groźbą zemsty!

Oto co czytamy o przewodzie sądowym i Cradlebaughu w artykule wstępnym zamieszczonym w „Gazecie Wirgińskiej”:

Mówił i działał z odwagą i stanowczością Jacksona; ale sąd

przysięgłych nie orzekł o winie ani nie zareagował w żaden inny sposób na formułowane przez sędziego oskarżenia.

Jednocześnie ze wszystkich stron dały się słyszeć pogrożki, napomykano nawet o napaści na garnizon Stanów Zjednoczonych, jeżeli sędzia nie zaniecha dochodzeń.

Widząc tę postawę ławników Cradlebaugh rozwiązał sąd przysięgłych udzielając mu chłostkowej nagany. Dalej sam prowadził swoje dzieło. Przesłuchiwał świadków, wydawał nakazy aresztowania osób ze wszystkich kół i sfer i w końcu wywołał w obozie świętych konsternację, jakiej jeszcze w państwie mormońskim nie znano. Przestraszeni rozwojem wypadków biskupi i dygnitarze kościelni ratowali się od szubienicy ucieczką; wyszły na jaw zdumiewające fakty współudziału starszyny kościelnej w dziesiątkach rabunków i morderstw popełnionych na niewiernych w okresie ostatnich lat siedmiu.

Gdyby Harney był gubernatorem, Cradlebaugh miałby w nim oparcie i zebrałby niezbite dowody udziału mormonów w masakrze na Mountain Meadows oraz w licznych poprzednio popełnianych morderstwach, w następstwie czego rząd ofiarowałby niektórym obywatelom Utah trumny zupełnie gratis oraz dopomógłby im do zrobienia z nich jak najszybszego użytku. Ale gubernatorem federalnym był Cummings, który – pod płaszczykiem osobiście pojętej bezstronności – osłaniał, jak mógł, mormonów przed słusznymi żądaniami prawa. W pewnej chwili posunął się aż tak daleko, że zaprotestował publicznie przeciwko użyciu oddziałów wojska do ochrony poczynań Cradlebauga.

Pani C. V. Waite kończy swój interesujący opis masakry następującą uwagą, którą opatruje wyciągiem z materiału dowodowego sprawy – wyciągiem zwięzłym, dokładnym i ze wszechmiar godnym zaufania:

Ci, co nadal mogliby wątpić o winie Younga i starszyny mormońskiej, znajdą poniżej zestawienie dowodów i faktów, które nie tylko ich objaśni, ale przekona mocą argumentów tak niezbitych, jak prawda Pisma świętego.

1) Zeznania samych mormonów zamieszanych w sprawę, na które to zeznania powołuje się zarówno sędzia Cradlebaugh, jak i zastępca szeryfa Stanów Zjednoczonych, Rodgers.

2) Fakt, że Brigham Young przemilczał masakrę w swoim sprawozdaniu, które przedłożył Kongresowi jako terytorialny komisarz do spraw indiańskich oraz że wspomniął o niej z kazałnicami dopiero w wiele lat później.

3) Fakt, że gdy sprawę poddano sądowemu badaniu, wielu mormońskich dygnitarzy na najwyższych stanowiskach państwowych i kościelnych ratowało się ucieczką w góry.

4) Fakt, że „Wiadomości z Państwa Pszczoły”, organ kościelny i jedyne wtedy pismo w Utah, pierwszy raz wspomniało o masakrze dopiero w kilka miesięcy po zdarzeniu, odpierając zresztą tylko zarzuty współudziału mormonów.

5) Zeznania dzieci uratowanych z masakry.

6) Fakt, że dzieci i dobytek emigrantów znalazły się w posiadaniu mormonów już na drugi dzień po masakrze.

7) Zeznania Indian z terenów sąsiadujących z miejscem, które stało się widownią masakry. Zeznania te przytaczają nie tylko Cradlebaugh i Rodgers, lecz także wielu oficerów amerykań-

skich oraz J. Forney, który w roku 1859 był komisarzem do spraw indiańskich na terytorium Utah.

8) Zeznania R. P. Campbella, kapitana drugiego pułku dragonów, który wiosną roku 1859 został wysłany do Santa Clara z rozkazem roztoczenia opieki nad podróżnymi udającymi się do Kalifornii i zbadania na miejscu rozmiarów szkód, jakie wyrządzają Indianie.